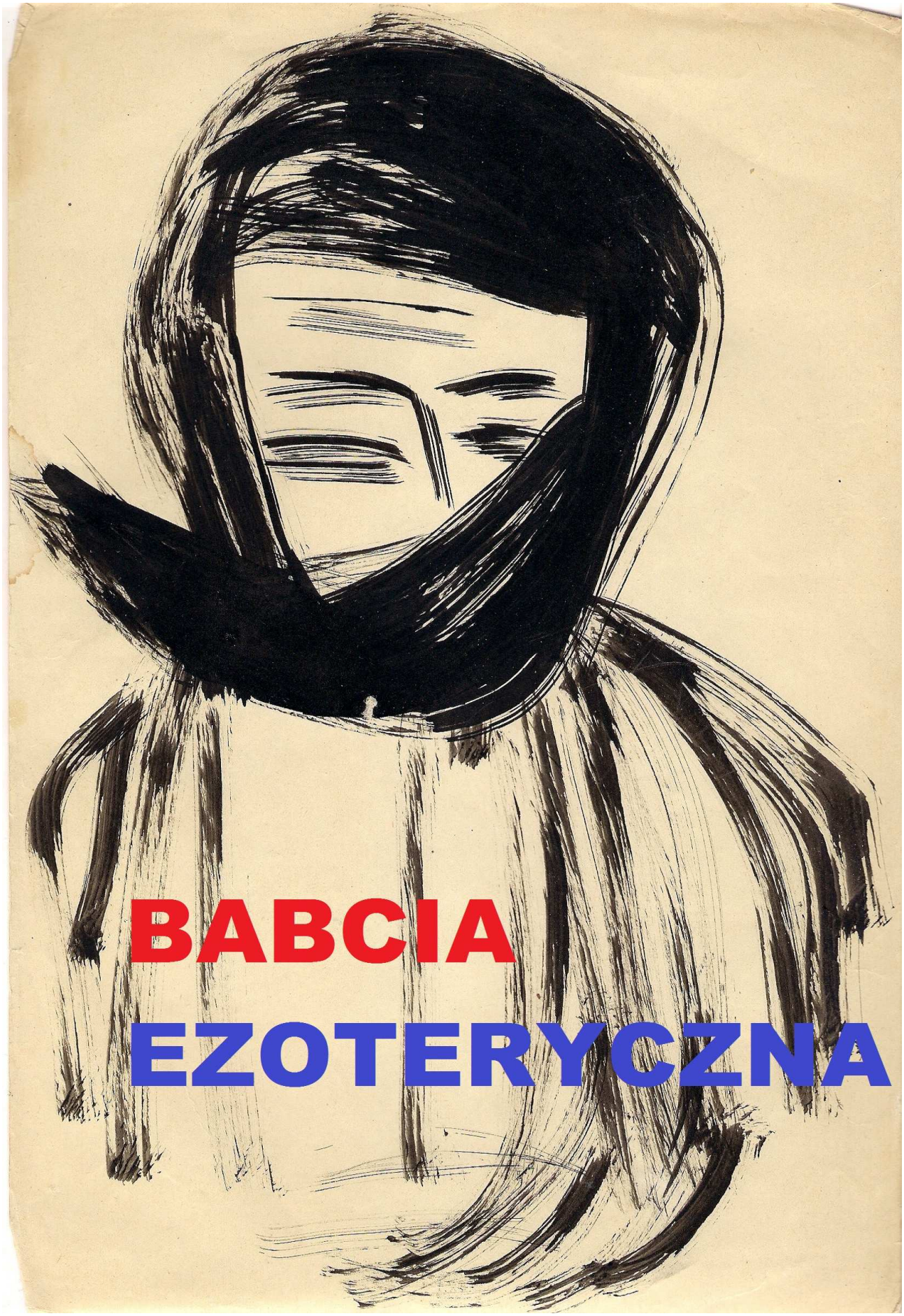
BABCIA
EZOTERYCZNA

Katarzyna Urbanowicz

Babcia ezoteryczna

czyli jak to działa na co dzień

Wstęp

Ten blog ma opisywać zwyczajne doświadczenia w zwyczajnym życiu. Świadomie sterując swoimi zachowaniami (np. tzw. świadome śnienie) czy narzucając sobie pewne praktyki, zazwyczaj ma się na oku jakiś cel, w ostateczności zmierzenie się z nowymi doświadczeniami. W naszym wysterowanym do przesady życiu, możliwość naturalnych, nowych i silnych doznań jest ograniczona, poszukuje się ich wszakże dla lepszego zrozumienia siebie. W moim życiu przeszłam wiele krańcowych doświadczeń i dlatego, być może już ich nie poszukuję. Prosto mówiąc: boję się ich gorzej, niż diabeł święconej wody. Życie nauczyło mnie, że żadnym procesem nie można bezkarnie sterować. Niewinne wysłuchanie „kasety odchudzającej" zaproponowanej przez psychologa czy udział w tzw. „muzykoterapii" może pociągnąć za sobą nieoczekiwane skutki, z których niepożądanymi wpływami walczyć trzeba nawet kilka miesięcy. Jednak zarówno mnie, jak i innym ludziom doświadczenia takie przytrafiają się niosąc ze sobą NIEZROZUMIANE I NIEOCZEKIWANE, co próbujemy zrozumieć i ocenić już po fakcie. Często jednak ocena ta jest nieudolna z braku wiedzy. W tym blogu zajmuję się tylko opisem, niech ocenia ktoś inny. Dlaczego więc ezoteryczna babcia? W tym roku kończę 70 lat, jestem Słonecznym Strzelcem i Księżycowym Rakiem. Neptun, który właśnie wszedł do znaku Ryb niedługo będzie tranzytował mój ascendent i od jakiegoś czasu odczuwam potrzebę porządkowania pewnych zjawisk w moim życiu. Kilka lat studiuję astrologię ale ona nie wystarcza mi do interpretacji niektórych zjawisk czy wydarzeń w moim życiu. Każde z nich osobno daje się zazwyczaj wytłumaczyć, ale razem, jako całość... Z podsumowaniem ich już znacznie gorzej. Pozostaje więc na razie tylko opis.

1. Jak zostać jasnowidzką

Jako neofitka jasnowidzenia a jednocześnie człowiek racjonalny uznałam, że są 3 sposoby ujawnienia się jasnowidzenia (zastrzegam, że nie mam żadnego mistrza, praktykuję samotnie od niedawna i czasem bardziej się boję sukcesów niż porażek, a generalnie rzecz biorąc najbardziej boję się tego, co ze mną zaczyna się wyprawiać, gdy zadaję pytania skierowane w przestrzeń):

Sposób 1: — przekonanie, że jest tak jak ja sądzę, straszliwie autorytarne i nieuzasadnione. Sprawdza się zazwyczaj, ale całkiem inaczej niż myślałam.

Kiedy jeden z moich synów zaczął latać samolotem a potem został prezesem szkoły lotniczej, miałam nieuzasadnione przekonanie, że to się źle skończy. Oczywiście nie podzieliłam się z nim tymi przeczuciami zdając sobie sprawę, że lotnik w powietrzu w trudnych sytuacjach może kierować się czyimś sugestiami, a tego nie chciałam (w końcu jestem córką lotnika konstruktora i oblatywacza, który zaliczył niejedno lądowanie na polu ziemniaków, także ze mną jako dzieckiem na pokładzie). Dodatkowo wskaźniki astrologiczne nie pozostawiały złudzeń – nic dobrego go na tym polu nie czeka.

Ale jako matka przeżywałam to ciężko, do czasu kiedy eksplodowałam radością, gdy okazało się, że szkoła lotnicza zbankrutowała i mój syn został z niemożliwymi do zaspokojenia sądowymi roszczeniami wobec nowego jej właściciela. Pal diabli jego roszczenia z tytułu zarobków, jego ułamkowe roszczenia do części ciągle psującego się starego grata — grunt, że to smutne zakończenie — to nie było takie, jakiego się spodziewałam.

Sposób 2: — Obraz lub ciąg obrazów pojawiający się we śnie lub w przedsennych błądzeniach myśli. Kilka razy się sprawdził. Ostatnio po rozmowie z kimś na temat zaginionej Iwony Wieczorek pojawiło się ich kilka. Elementami tych obrazów były: Drewniana wieża lub budynek, wystające z tafli wody kamienie, lub metalowe przedmioty o ostrych kształtach, z zewnątrz pokryte niebieskawo-zieloną mgiełką, zdeptany wilgotny piasek, mglisty przedświt. Obraz oglądałam z pozycji kogoś, kto upada na ziemię i patrzy z lękiem na to, co ma przed sobą. I ostatni widok: męska twarz, młoda, a właściwie jej ucięty poniżej nosa kawałek, z krótkim ciemnym wąsikiem i paskudnym uśmiechem, w którym nie widać zębów. Usta potem zasłonił mu biały prostokącik (wizytówka?, paczka papierosów? Coś innego?). I mój strach. I ten gasnący obraz mgiełki nad ostrymi kamieniami czy innymi przedmiotami.

Narysowałam to wszystko i zapisałam od razu po przebudzeniu — na ile ma to coś wspólnego z rzeczywistym przebiegiem wydarzeń – okaże się gdy sprawa zostanie rozwiązana przez specjalistów. Nie należę do osób, które na tyle wierzyłyby swoim przeczuciom ani do tych, co próbowałyby się ścigać z urzędowym jasnowidzem np. Krzysztofem Jackowskim. On w końcu napisał książkę o swoich sukcesach jasnowidzenia, a ja ciągle jestem zdziwiona, gdy coś mi się sprawdza (i rozczarowana, że dotyczy rzeczy zwykłych, a nie ważnych). Zresztą do tej pory moje odczucia dotyczyły osób bliskich, nigdy nie próbowałam się skupić na sprawach w których nie jestem osobiście zainteresowana. Tym razem uległam koleżance po kursie jasnowidzenia i jej propozycji rozmaitych ćwiczeń. Akurat padło na sprawę tego zaginięcia.

W tej sprawie wydaje się ważna pozycja moja, jako obserwatora. Leżę bezwładnie na mokrym, zdeptanym piasku i widzę tylko to, co przede mną. Nie wiem co jest za mną i bardzo boję się do tego stopnia, aż się budzę. To jest najgorsze w takich przeczuciach – jestem kimś innym, nie sobą. Jakbym miała za mało własnych zmartwień!!! Jednak moje doświadczenia „przebłysków" jak je nazywam (broń Boże nie jest to żadne jasnowidzenie, raczej ciemne kształty przybierające raz na jakiś króciutki czas dziwaczną wyrazistość)

Sposób 3. Głos, który mówi ci, że będzie tak i tak. Przytrafiło mi się to kilka lat temu. W listopadzie, gdy działki są całkiem puste, nocowałam samotnie w moim byłym domku rekreacyjnym wśród lasu (nie ma telefonu, zasięgu telefonu komórkowego, internetu i innego kontaktu, poza trąbką kolejarską, dla wzywania ratunku, którą otrzymałam po tym wydarzeniu od znajomego i której do tej pory nie wykorzystałam i poza solidną maczetą dla obrony). Nie od rzeczy jest wspomnieć, że domek stał na ziemi pełnej straszliwych wspomnień po zagładzie wielu ludzi. I że do dziś, dzieją się tam rzeczy straszne i podłe – choć niejawne. Kilka lat temu zmarli gospodarze opowiadali na przykład o procederze topienia Żydów przewożonych na Wschód przez granicę na środku rzeki – oczywiście po zerwaniu z ich szyj woreczków z resztkami majątku. Ja na ogół sypiam tam bardzo źle.

Przed snem poczułam nagle straszliwy strach i moja wyobraźnia zaczęła szaleńczo pracować. Wspominając rozmaite potworności które zaszły w okolicy oraz wydarzenia relacjonowane w prasie dotyczące napadów wyobraziłam sobie, że jestem przedmiotem takiego napadu i ginę marnie dla tych kilkudziesięciu złotych które mam ze sobą (w ubiegłym roku przed świętami w okolicy zamordowano kogoś za połeć wędzonej szynki i zwój niedawno kupionych elektrycznych kabli plus wymontowana na zimę, używana żeliwna pompa z rączką, nawet nie elektryczna, tylko ręczna, warta przysłowiowe grosze). Ten lęk wraz z zaglądającym w moje okna księżycem i krystalizującymi się w oczach za oknach enklawach szronu plus trzy bezpańskie koty na ławce pod oknem wprawiły mnie w dziwaczny stan półsnu, półjawy. W stanie tym usłyszałam wyraźny głos drwiący ze mnie: „Boisz się nie wiadomo czego, a zginiesz zupełnie inaczej! Umrzesz zraniona pałką w szyję z rąk moskiewskiego pachołka".

Obudziłam się z tego półsnu. Głos był niesłychanie wyraźny i sugestywny. Kto tak mówił, kto używał takich wyrażeń?! Oczywiście mój zmarły kilkadziesiąt lat temu dziadek. Określenie „moskiewskie pachołki" to jego stałe wyrażenie. W rodzinie miał opinie osoby jasnowidzącej ale kompletnie nie wierzącej w swoje zdolności i lekceważącej je, co nie zmienia faktu, że rodzina bardziej w nie wierzyła, niż on sam.

Wówczas słowa te mnie uspokoiły, ale pamiętam je i na dłuższą metę zastanawiam się czasem kiedy przyszły już czasy, gdy „moskiewski pachołek" może mi zagrozić. Może jakaś wojna, może niedawne euro (na wszelki wypadek nie wychodziłam z domu i wykręciłam się od wyjazdu do rodziny na dawnych polskich ziemiach, ponieważ tam łatwiej, niż u nas, o „moskiewskiego pachołka". Kiedy zapisałam się na kurs Tarota u Wojtka, który w końcu okazał się kursem astrologii, zostałam przez niego wyśmiana i przyznam, tego trzeba mi było. Nie błądź ezoteryczna babciu w gąszczu domniemań – ważne jest to, co pewne i sprawdzone. Tak trzymaj!!!

Sposób 4 Drobne i nieważne (a tak lekceważone przeze mnie) wydarzenia, kto wie, czy w ogóle zasługujące na miano „wydarzeń".

Ale zanim o nich opowiem muszę poprzedzić je wstępem, który ukaże, dlaczego podjęłam decyzję prowadzenia tego bloga. Ale to już w odcinku 2.

2. Diagnoza rowerzysty

Jestem przeciętną starą kobietą, trochę taką jak Adaś Miałczyński z „Dnia Świra" Marka Koterskiego. Bardzo żałuję, że wreszcie zmusiłam się ostatnio do obejrzenia tego filmu — zbyt wiele odnajduję w sobie cech tego bohatera. Te proszki, ten lęk sprzed psami i złość na hałasy wytrącające mnie ze stanu zadumy i refleksji, ta wściekłość na chamstwo silniejszych (ostatnio pewien mieszkaniec mojego bloku wjechał w pełnym pędzie rowerem do holu przy wejściu i próbował nie zsiadając z niego wjechać do windy, z której akurat podpierając się kulą wysiadałam i, co gorsza, mnie, ateistkę, werbalnie zapędził do grona przyjaciół Ojca Rydzyka – z powodu wieku i zapewne wyglądu) – to wszystko sytuuje moją osobowość wśród stereotypów narzuconych przez młodszą od mojej kulturę.

Ów młody człowiek przedstawił cały pakiet argumentów prawnych na poparcie tezy, że on ma prawo wg nowych przepisów, a ja jestem zbędna we współczesności, przy czym posługiwał się nieco zmodyfikowanym kodeksem drogowym nie przypuszczając zresztą, że Strzelce są za pan brat z prawem i nie biorąc pod uwagę (no bo skąd miał o tym wiedzieć) mojej przeszłości zawodowej. Babcia to babcia – ciemny moherowy beret, słabsza i zbędna w naszej kulturze.

Któż z nich zrozumie, że dwudziestoletni silnik zapuszczony przez całą noc pod moim oknem w celu podtrzymania nikłej siły klimatyzacji emituje smród przeszkadzający oddychać nocnym, nareszcie chłodnym po trzydziestodniowych upałach powietrzem? Kto z nich wreszcie obejrzy się na innych i na ich odmienność?

Tylko Adaś Miałczyński — osobnik do śmiechu. Nie znam innego wytworu kultury, który wbrew intencjom twórców tak bardzo służy ich przeciwnikom.

Ale odbiegłam od tematu. Jestem fanką „Taraki" i Wojciecha Jóźwiaka z jednego, podstawowego powodu: jest jedynym, nielicznym miejscem otwartym na INNOŚĆ i SAMOŚWIADOMOŚĆ.

Od dziecka do dziś, mimo upływu lat 70-ciu nie potrafiłam się samookreślić (inaczej – zaszufladkować) jak twierdzą moi przyjaciele. I do dziś, w wieku schyłkowym, nie wiem kim jestem: ekonomistą (studia), polonistką (studia), pisarką SF (praktyka), astrologiem (zainteresowanie). Zawsze chciałam być kimś innym niż jestem. Mam przyjaciół wśród różnych opcji politycznych — od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Rozumiem wszystkich. Mam silnego Urana w znaku powietrznym w opozycji do stellum urodzeniowego w Strzelcu, a on, ten cały Uran, dla mnie jest przede wszystkim „psujem" – jak określił to genialnie WJ. (muszę dodać, że nasze synastrie nie grają – a jednak…) Mój ojciec był lotnikiem oblatywaczem, a ja lękam się samolotów jak diabeł święconej wody!

Po tym wstępie przejdę do omówienia

<u>Sposobu 4.</u>

3. Karta, reklama i ostrzeżenie

Sposób 4

Ostatnio zetknęłam się z jasnowidzeniem „mimowolnym". Uważam się za „racjonalistkę" i podobnie, jak Adaś Miałczyński przestrzegam rytuałów człowieka racjonalnego – leki mimo braku apetytu poprzedzam kęsami jedzenia; opróżniam siebie i swój dom z niepotrzebnych resztek i rano wyprawiam się do kiosku po codzienne gazety niezależnie od tego jaką ruchomość swoich stawów odczuwam. Kieruję się wskazaniami mojej nieżyjącej mamy – „jeśli się nie ruszasz, rychło umrzesz". Mam uczulenie na psy, a właściwie ich sierść, więc do wyprowadzania pozostaje mi prasa.

Wyprawiam się co rano po gazety, zamiast prenumerować w internecie, ale dzięki temu rejestruję otaczający mnie świat i snuję teorie wynikające z codziennych obrazów. Oto przed kioskiem sprzedającym alkohol pewien rówieśnik mój, sąsiad, wyrzeka na Tuska, jakby miał on jakikolwiek wpływ na terminy wyznaczone na rehabilitacyjne zabiegi nad jego kolanem. Rozumiem nawet, że setka wódki pozwala mu lepiej zginać stawy, a w każdym razie powoduje przy zginaniu mniejszy ból i jest tańsza niż leki zapisane przez panią doktor (te w promocji niezbyt pomagają, zresztą nie ma już promocji).

Inny mędzi od rana jakieś bzdety, usiłuje być miły i uprzejmy, ale jest żałosny — dawni królowie świata źle znoszą upadek z Olimpu. Nie przyjdzie im zresztą do głowy, że powinni się przynajmniej trochę umyć i odświeżyć swój oddech (skoro nie mają kasy na nowe ząbki).

Pełna takich refleksji wchodzę do sklepu przed drzwiami którego stoi młoda, przystojna dama nawijająca coś przez komórkę. Dekolt do pasa, figura przytłaczająca babcię z nadwagą, ale nieco przygiętą do ziemi i z wzrostem przed laty uznanym za średni, ale obecnie zaliczanym do super – niskich (158 cm – znacznie poniżej uchwytów w komunikacji miejskiej!)

Wchodzę więc do sklepu (przeciskając się obok potężnej damy) celem sprawdzenia czy jest coś do kupienia zgodnie z moją zachcianką (zamarzył mi się akurat śledź, ale ja niestety nie jestem moherową poszczącą babcią i nie jest akurat piątek) przy czym ta zauważywszy mnie, woła oburzona:
— Ja byłam przed panią! Wcale nie usiłuję być pierwsza, mam czas i pragnę się zastanowić czym zastąpić nieistnienie śledzia, odzywam się więc z uprzedzającą grzecznością:

— Rozumiem, że pani jest młoda, a młodość jest niecierpliwa, to w końcu jej prawo, proszę więc jednak zrozumieć, że byłam pozbawiona świadomości, że przed sklepem jest jakaś kolejka — w sklepie nikogo, a pani formalnie rzecz biorąc stoi przed blokiem a nie przed sklepem (ach gdzież te zasady kolejkowe z czasów słusznie minionych) i rozmawia przez telefon; każdy może rozmawiać, czyż nie?

Na to ona:

— To jest chamstwo!

A przecież byłam bardziej grzeczna niż potrzeba! Gdzie tu chamstwo! Kiedy byłam młoda i lubiłam się zabawić kosztem innych, pytałam czasem słodziutko:

— Przepraszam najmocniej, że zawracam pani (panu) głowę… Tu trochę plątaniny niepotrzebnych słów wywołujących zniecierpliwienie... — Czy może mi Pan (pani) powiedzieć, która godzina?

Napad agresywnej wściekłości był dowodem, że moje teoretyczne spekulacje mają racjonalną podstawę. W miastach ludzie nie słuchają co do nich mówisz i jak to robisz — oceniają fakt, że OŚMIELASZ SIĘ ich zaczepić. Teraz już się tak nie bawię, bowiem nie czuję się równouprawnionym uczestnikiem zabawy, choć mój syn ze śmiechem informuje mnie, że mam w ręku argument nie do odparcia – inwalidzką kulę – więc nie mam powodu bać się agresji otoczenia. Faktycznie – wracając ostatnim metrem z wykładów Warszawskiej Szkoły Astrologii mimo rozstawionych wokół stacji Służew kamer, czasem muszę uważać swoją kulę za znakomitą broń (pominąwszy przypadki gdy ktoś na trasie – zresztą znany policji – strzela do mnie ze swojego balkonu ze śrutówki). Niektórzy tak lubią, ale na szczęście preferują określone dni, a właściwie rocznice.

Ale wracam do owej postawnej lśniąco pięknej foczą urodą kobiety:

— Dzwoniłam do młodego człowieka, który jest w szpitalu i oczekuje na operację. Ale takie moherowe berety, jak pani tego nie rozumieją!

Jak Adaś Miałczyński odwracający złem złe odpyskuję:

— To mnie nie interesuje. To jest podobno, postawa roszczeniowa, o ile dobrze się orientuję. I dodaję złośliwie: — Cieszę się, że kiedyś pani też, być może będzie babcią o kulach, zaszufladkowaną do jakiegoś aktualnego wówczas targetu!

I dodaję ze złośliwym podtekstem:

— Czy zdaje pani sobie sprawę, że z tak złymi emocjami nie pomoże wcale pani swojemu przyjacielowi? Jak może pani iść do chorego do szpitala naładowana taką nienawiścią do świata? To jemu zaszkodzi! Jak jego ciało ma zrozumieć, że pani nienawiść jest skierowana na wszystkich innych, a nie na niego? Skąd ma wiedzieć, że pani nie bada, kto zasłużył na nienawiść i pogardą, a kto nie? Ja już, chwilowo zdrowa, mimo że stara, poza jakimiś tam nieważnymi choć silnymi bólami stawów (nie sądzę, że zawdzięczam je akurat Tuskowi i jego partii), czuję się okropnie stojąc obok pani, a skąd on, chory, ma wiedzieć jak sobie z tym dać radę? Jak jego ciało ma odróżnić troskę Pani ducha od nienawiści w przepastności tegoż ducha? Pani osobiste pokręcenie jest dodatkowym wyzwaniem dla jego zdolności samouzdrawiających. Być może, dla niego, jest pani energetycznym wampirem, a skąd on ma wiedzieć, chory, bezbronny i oczekujący na operację, co z jego odczuć jest ważne i istotne?

Czy w ogóle wierzę w to co mówię? Troszkę!

W końcu jednak jestem *jasnowidząca* i wiem doskonale co ona na to powie.

Żal mi ich obojga. Kilkanaście lat temu na łóżku szpitalnym obok mnie umierała nie do końca świetlana osoba kobiety, którą zniszczyło Powstanie. To było autentyczne, straszliwe doświadczenie dla kogoś zwyczajnego i nie przygotowanego na traumę i dylematy moralne. Kobieta – prostytutka – katowana przez gestapo, poniżona bardziej niż jej otoczenie mogło znieść. A przecież UCZESTNICZKA POWSTANIA. Tak – HardChiefie – Powstanie realne, prawdziwe, nie wydumane jak w Twoich poetyckich opowieściach. To piękne, że współczujesz , ale czy jesteś gotowy na wysłuchanie prawdziwych opowieści? Moich, kogoś kto doświadczenia Powstania odbiera cieleśnie po

siedemdziesięciu latach i mojej, umierającej współtowarzyszki na oplutym krwawo łóżku, likwidowanego właśnie szpitala na ulicy Goszczyńskiego? Katowanej i poniżanej , szukającej sojuszników w zaświatach? Wierzącej, że ktoś tam zrozumie za co to ją wszystko spotkało – wówczas i teraz?

Czy jesteście gotowi?

I pytanie – co ma to wspólnego z jasnowidzeniem. Otóż to! Ja, zbliżając się do tego sklepu wyczułam nienawiść tej kobiety, być może potrafiłabym wymienić drogowskazy jej życiorysu. Dlaczego ja – podobno potencjalna jasnowidząca – zamiast wrócić w pół drogi szłam dalej?

Wracając do sposobu 4. (skojarzenia mimo woli) Moja koleżanka jasnowidzka postanowiła przekonać mnie o moich talentach, niedocenionych i lekceważonych przeze mnie, a zapewne przecenianych przez nią. Dwa tygodnie wcześniej moi synowie podarowali mi pod choinkę kartę wartości 200 zł do księgarni Empik. Karta była granatowa z jakimiś tam napisami. Schowałam ją w portfelu w zamiarze użycia jej gdy pójdę właśnie do tej księgarni.

Ćwiczenia koleżanka obmyśliła w myśl zapewne ćwiczeń jakie stosował Jackowski na swoich kursach. Pytanie brzmiało: Co mam w torbie? Koleżanka Jasnowidzka wyciągnęła reklamówkę, coś tam włożyła ze swojej torby, zawinęła skwapliwie i położyła na krześle pod drzwiami balkonu. Potem poszła do toalety dając mi czas na odgadnięcie. Pierwsze co zobaczyłam w myśli, to granatowa karta do empiku. Jej kolor.

Jako osoba z gruntu racjonalna zamiast próbować jasnowidzenia zaczęłam zastanawiać się: co ona też może mieć takiego w torebce? Wybór był niewielki, a jednak odczucia dziwaczne. Jasnowidzka nie paliła i nie pali papierosów. Skąd więc wizja pomarańczowego płomienia wzbijającego się ponad tłum rozweselonych ludzi? Już wiem, była taka reklama Orange: Ulicami miasta podobnego do Krakowskiego Przedmieścia, szarymi, sprzed remontu, przeciąga korowód wesołych postaci, panienki z witryn ciastkarni układają słodkości, jakiś magik w korowodzie wydmuchuje pomarańczowy płomień, wszyscy się weselą. Tonacja reklamy szaro-biała (śnieg na ulicach) i ten pomarańczowy wydmuchiwany płomień!

Szukam dalej. Moją wyobraźnię dominuje papieros. Lata temu paliłam mnóstwo wsączając tę truciznę do swojej krwi. Do dziś we snach odczuwam niezrozumiałą błogość gdy zdarza mi się we śnie zapalić papierosa. Niczym jest wówczas seks, poczucie bezpieczeństwa, najwyższe zrozumienie — ideał błogości to błysk zapalniczki ogrzewającej moje wargi i drążącej mózg, sygnał, że wreszcie ja **jestem dla siebie**. Kiedy bowiem wypełniłam swoje dzienne obowiązki pracownika, kobiety, matki i żony, a rodzina zasnęła, ja siedząc w kuchni zapalałam ostatniego papierosa – OSTATNI BASTION SWOJEJ WOLNOŚCI.

W międzyczasie wróciła z toalety moja koleżanka jasnowidzka i wyjęła przedmiot znajdujący się w reklamówce – który miałam odgadnąć.

Była to granatowa tuba, dokładnie w kolorze karty do empiku. Na jej widocznym froncie jarzył się pomarańczowy płomień z jakimś ostrzeżeniem. Poniżej kilka szarych figur ludzkich w stylu „wyginam śmiało ciało". To był inhalator, lekarstwo dla astmatyków. Granatowa tuba, ostrzeżenie przed ogniem i szare figury w korowodzie.

Wszystko się zgadzało – problem w tym, żeby reklamę, kartę i nieuświadomione ostrzeżenie połączyć w całość. Ja tego nie umiałam.

Jestem więc jasnowidzącą, czy nie?

Dlaczego stojąc w metrze obok ludzi mogę czasem opisać ich życie, dlaczego odczuwam ludzką nienawiść i dlaczego czasem – przechodząc obok kogoś – pragnę z nim porozmawiać, czy coś mu wytłumaczyć.

Jestem ezoteryczną babcią, ale w oczach otoczenia, bez wątpienia z racji wieku, legionem Ojca Rydzyka itp. itd. dlatego idąc dalej czasami odczuwam większy ból w stawach. I rezygnuję z rozmowy.

To, co odczuwam jako pulsację otoczenia – to pogarda. Dla starości, dla innego myślenia, dla komplikowania rzeczy prostych i oczywistych.

Cóż, ezoteryczna babcia – to taki wykwit dziwaczności.

4. Własność

Odkąd sięgnę pamięcią, własny dom i własne miejsce było dla mnie dobrem wątpliwym – niekoniecznie osiąganym. Jako kilkuletnie dziecko dzięki niebieskiemu misiowi wiedziałam już, że to co masz, nie jest na zawsze. Wyciągnęłam to genetycznie z świadomości mojej matki i moich przodków. Dziadkowie w roku 1938 przenieśli się do Polski centralnej z najdalszych krańców Podola (szczycili się zawsze, że ich korzenie pochodzą z miejscowości zwanej Okopami Świętej Trójcy, którą scenerią akcji słynnego dramatu uczynił Narodowy Wieszcz – Zygmunt Krasiński). Zamieszkali początkowo w Sokołowie Podlaskim, później w Wilanowie (wówczas odrębnej miejscowości). Żaden z nich nie uważał za stosowne i potrzebne nabywać na własność mieszkań, w których się zatrzymywali. Były one chwilowym przystankiem tułaczy. Dbających o jak najmniejszą objętość przenośnego dobytku: kilkanaście ważnych książek filozofii wyznawanej przez głowę rodu, trochę obrazów przedstawiających miejsca ważne dla rodziny i parę dokumentów. Cała reszta była uważana za zbędny balast. Wynajmowali mieszkania na poddaszach walących się podwarszawskich chałupek i wyprowadzali się z nich posłusznie, gdy właściciele postanawiali inaczej zadysponować MAJĄTKIEM.

Mój dziadek, uprawniony do nauczania w sześciu językach (polski, ukraiński, niemiecki, rumuński plus łacina i greka) nie miał skończonych studiów, ale zaledwie liceum – co nie przeszkadzało mu publikować wiersze niemieckich romantyków i tłumaczenia tekstów Nietschego w prasie lokalnej. Należał do tych, którzy za cel swojego życia stawiali edukację sfer niższych. Dzisiaj uznalibyśmy go za niepoprawnego zwolennika narodowego socjalizmu – jeśli można byłoby zdefiniować to, co wówczas za narodowy socjalizm uważano. Wierzył w wrodzoną siłę intelektu i wykształcenia i to uważał za swoją życiową misję. Walczył w armii austrowęgierskiej ponieważ tę walkę uważał za sprawę narodową.

Siostrom kultowego dziś Dmowskiego, sceptycznie nastawionym do wszelkich ideologii, przemiłym zresztą paniom mieszkającym po wojnie w wynajętym pokoiku obok nas, ja z siostrą jako małe dziewczynki zawdzięczałam edukację narodową w wersji sceptyczno — zdroworozsądkowej. Podobnie jak nasza rodzina miały dość wszelkich wojen i nie sądziły, że warto dzieciom wpajać jakiekolwiek poglądy, religijne czy polityczne, ponieważ wszystkie one były źródłem nieszczęść i klęsk. Zapewne ich brat przewraca się w grobie!

Nikt z mojej rodziny nie uważał za stosowne dążenia do posiadania czegokolwiek. Dwie wojny i rewolucja październikowa tak przeorały świadomość rodziny, że całkowicie wyeliminowały z niej konieczność poczucia bezpieczeństwa i posiadania – przeciwnie uznały go za niższy instynkt WŁAŚCIWY LUDZIOM PODDANYM i zależnym. Niezależni i poruszający się zawsze pod prąd nie potrzebowali świadomości, że cokolwiek posiadają. Uważali się za „arystokrację ducha". Mieszkali gdzie się da, utrzymywali z zawodu nauczyciela, przy czym nie cenili poddaństwa „reżimowi". Każdy, kto mu służył, zasługiwał na potępienie. Na przykład gdy zapisałam się do jakiejś reżimowej organizacji (ZMP lub ZMS, już nie pamiętam), choć intencje i powody były nieważne (chciałam mieć siłę przeciwstawić się mobbingowi skierowanemu przeciwko pewnej samotnej, niewiele znaczącej w zakładzie, samotnej matce z nieślubnym dzieckiem) mój Dziadek przestał uważać mnie za członka rodziny.

Błogosławiona jasność poglądów. Którą usiłuje się dziś przywrócić.

W każdym razie uroczyście zostałam wyklęta z rodziny w imię bogoojczyźnianych poglądów, które, a żeby było śmieszniej, mój Dziadek uważał za właściwe i stosowne dla osób niżej postawionych (kobiet i dzieci), ale nie dla świadomych siebie LUDZI przez duże L.

Ten przydługi nieco wywód zmierza do uświadomienia czytelnikowi, że nasza osobista historia i nasze osobiste mity (czy kłamstwa) założycielskie biorą się z rodzinnej przeszłości, z którą zmagamy się całe życie. O czym będzie bliżej w odcinku 5. Tam jednak będzie o rodzinnym dziedziczeniu chorób.

5. Wyłącznik nogi - głowa

Starsi ludzie przechodzą własną „Twardą Ścieżkę". Zazwyczaj nie czynią tego z powodu chęci. Boją się jej, czasem nienawidzą, ale to ona ich wybiera, a nie oni ją.

Moja mama w wieku 80 lat przestała chodzić. Każdy ruch jej nóg był okupiony straszliwym bólem. Badania rentgena nie wykazywały niczego, więc diagnozy były różne, najróżniejsze. Jedna z nich utkwiła mi w pamięci ponieważ niosła ze sobą powiew optymizmu. Pewien specjalista, do którego trafiłam za pośrednictwem łańcuszka znajomych znajomych (wówczas inaczej się nie dało) oświadczył, że wprawdzie nie ma pojęcia co to za choroba, ale z wieloletniego doświadczenia wie, że jeśli się już przydarzy, cofają się wszelkie objawy demencji starczej i innych zaburzeń mózgowych. Organizm wyłącza z użytku nogi, ale dzięki temu umysł pracuje nadal sprawnie.

Moja mama wówczas przejawiała skrajne zdziecinnienie i, o dziwo, profesor miał rację. Cień, który powlekał jej umysł i cofał uporczywie do nawyków do lat wczesnego dzieciństwa, gdzieś rozwiał się.

Mama umarła po kilku latach w pełni władz umysłowych – czy szczęśliwsza z tego powodu – kto wie?

Dzisiaj ja pokładam nadzieję w nowoczesnej diagnostyce, jednak bez rezultatu. Mimo rehabilitacji opłaconych bólem, mimo rozmaitych badań (ale bez tych najnowocześniejszych) chodzę coraz gorzej i nikt nie wie dlaczego. Lekarze są tylko mniej sympatyczni niż kiedyś i nawet po opłaconych prywatnie wizytach zazwyczaj od pierwszego spojrzenia w progu gabinetu rzucają: „Cóż, młodość zazwyczaj nie wraca!"

Mam tylko nadzieję, że i jak moja mama umysł będę miała do końca (mimo rozmaitych potknięć) sprawny.

Ale do czego zmierzam: Znam pewną rodzinę w której choroba, rozmaicie zresztą przejawiająca się i diagnozowana, powraca już w czwartym pokoleniu. To wyzwanie dla astrologa – bo lekarze w tym jak i mnóstwie innych wypadków nie sprawdzili się. Badają ją rozmaici specjaliści, na końcu psychiatrzy, ale nic z tego nie wynika. Coraz nowocześniejsze leki, coraz gorsze skutki uboczne, a problemy kolejnego pokolenia córek zostają.

Rośnie ostatnie pokolenie – cudowne dziecko, Julia, żywy ogień z domieszką żywiołu wody, nawet na ciele ma czerwone znamię w kształcie płomienia. I zapewne ona, jak wszyscy w jej rodzinie, będzie musiała zmagać się z nieznaną chorobą. Ma na razie niewiele ponad roczek, jeszcze nie mówi, ale jest tak pełna ciekawości, ekspresji; nieustannie promieniuje energią, nie zatrzymuje się ani na chwilę. Kiedy się na nią patrzę mam uczucie, że oglądam kogoś nietuzinkowego i niepospolitego. I strach pomyśleć, co się z nią stanie, gdy choroba zapanuje do końca nad matką i babcią. A przecież i one były kiedyś nietuzinkowe, każda w swoim rodzaju. Prababcia, bohaterka w czasie wojny, samotnie

ocaliła kilku aresztowanych przez Gestapo; babcia, grająca w orkiestrze Filharmonii, córka, którą choroba dopadła zanim zdołała rozwinąć w pełni karierę akademicką i najmłodsza, ognisty Baran, najbardziej ognisto — wodna z nich wszystkich?

Czy astrolog ma tu coś do powiedzenia? Czy może na coś poradzić? Podpowiedzieć?

6. jeszcze o tym, co, oprócz choroby, organizm może robić z nami

Założeniem „Twardej Ścieżki" jest, jak ja to rozumiem, poprzez rozmaite praktyki na naszym ciele, wytrącanie naszego organizmu z kolein nawyków i przyzwyczajeń, a wówczas znajdować możemy dostęp o wielu ukrytych jego sił wewnętrznych, także duchowych, z których nie zdajemy sobie sprawy.

Nie zawsze jednak to wytrącanie musi być celowe. Czasem przypadek powoduje, że wytrącenie następujące wbrew naszej woli daje nam podobny dostęp – tym bardziej niespodziewany, że nieoczekiwany.

Znane są i opisane rozliczne przypadki gdy człowiek w obliczu niebezpieczeństwa ujawnia niespotykane siły pozwalające mu np. podnieść samochód, żeby uwolnić kogoś nim przygniecionego.

Jedna z takich rzeczy przydarzyła się kiedyś mnie. Przytrzymywałam mężowi deseczki które miał przeciąć na pół piłą łańcuchową. Poprzedniego dnia pożyczył piłę sąsiadowi i nie sprawdził jej po oddaniu. Tymczasem sąsiad wygiął prowadnicę łańcucha i nic o tym nie powiedział. W rezultacie po włączeniu piła wyrwała się mężowi z rąk i spadła na moją dłoń przecinając ją w połowie.

Owinęłam chusteczką do nosa dłoń trzymającą się na niektórych nie do końca przeciętych kościach i od spodu na skrawku skóry, wsiedliśmy do samochodu i mąż zawiózł mnie do szpitala, znajdującego się kilkanaście kilometrów od naszej działki. Jechaliśmy pięć kilometrów po leśnych drogach gruntowych, gdzie samochód podskakiwał na wertepach, ale kiedy dojechaliśmy do szpitala tylko odrobina krwi przesiąkła przez chusteczkę.

W czasie opatrywania rany założono mi trzydzieści sześć szwów, co może dawać pojęcie jak była ona poszarpana. Nie oglądałam samego zabiegu, który odbywał się pod znieczuleniem. Siedziałam na krześle przy małym stoliku, po drugiej stronie siedział chirurg, a między nami umieszczono prześcieradło, żebym nic nie widziała. Rozglądałam się więc po sali, przyglądałam wiszącym plakatom i przeżywałam całe zdarzenie. Kiedy odsunięto płachtę i zobaczyłam swoją dłoń unieruchomioną i zabandażowaną, a lekarz zwrócił mi chusteczkę do nosa z niewielką tylko plamą krwi powiedziałam, że to bardzo dobrze, że trafiło na nieukrwioną specjalnie część ciała. Wyśmiał mnie i kazał spojrzeć na podłogę, gdzie rozlewała się wielka kałuża krwi. Powiedział mi, że moje emocje zatrzymały krwawienie do czasu, kiedy poczułam się bezpieczna pod opieką lekarza.

Krwawienia to w ogóle dziwaczna rzecz w organizmie, zachowują się czasem jak żywa istota. W następnym odcinku opowiem o tym jak mogą nastąpić za przyczyną silnych emocji, co znane jest w postaci zjawiska stygmatów. W zwyczajnym życiu zdarzają się jednak dużo mniej ważne powody potrafiące wywołać krwawą fontannę. Ja sama, zrugana w młodości niesprawiedliwie przez chamskiego szefa otworzyłam usta, by dać odpór jego wymysłom i z nosa trysła mi fontanna krwi.

To dość banalny przypadek, wiele dzieci i dorosłych krwawi z nosa. Lekarze tłumaczą to nagłym wzrostem ciśnienia krwi i uważają w przypadku osób z nadciśnieniem za wrodzone dobrodziejstwo — pęknięcie słabej żyłki w nosie, nieszkodliwe na ogół, może zapobiec pęknięciu innej, w mózgu.

W następnym odcinku opiszę jednak przypadek dziwnego krwawienia w wyniku emocji, niezbyt gwałtownych i krótkotrwałych. Jednak dziwaczność tego krwawienia brała się z jeszcze innych przyczyn...

7. Sraczka jamnika

Zaczęło się od jagód. Pewnego dnia poszłyśmy z działkowymi sąsiadkami do lasu na jagody. Ja wróciłam wcześniej: komary nie dawały spokoju, upał wyciskał pot z każdego poru skóry, bolał krzyż przygięty w niewygodnej pozycji. Pomyślałam, że nie muszę się tak katować. Co innego Irenka, ta miała gości i postanowiła na obiad zaserwować im pierogi z jagodami. Zresztą jej goście zbierali jagody razem z nią.

Po powrocie Irenka pokazywała mi swoją poplamioną bluzkę:

– Widzisz, jagoda wpadła mi do stanika i tak się rozgniotła, że przesiąkła także przez bluzkę.

Potem okazało się, że to nie była jednak jagoda, a krwawienie z piersi. W konsekwencji Irenka trafiła do szpitala na biopsję, a potem na operację, podczas której usunięto jej pierś. To doświadczenie przeorało całe jej życie, zdrowotnie, rodzinnie, zawodowo i w wielu innych dziedzinach.

Trzy lata później na działkę przyjechała do nas w odwiedziny Ala ze swoim jamnikiem.

Mąż zawsze lubił Alę, a ja byłam w sprawie Ali i innych kobiet bardzo naiwna. Uważałam, że do męża, jako osoby najbliższej albo ma się zaufanie, albo zrywa się małżeństwo. Idealistka, jak wszyscy Strzelcy. Jeżeli działo się coś, co budziło moje podejrzenia, starałam się nie dopuścić do siebie myśli, że mogłabym przeprowadzać jakieś śledztwa, dochodzić prawdy, czy coś w tym rodzaju. To byłoby przeciwko mojej godności, nieprawdaż?

Jak w każdy piątek późnym wieczorem wyruszaliśmy na działkę. Pełni zapału uprawialiśmy naszą ziemię obsiewając działkę trawą, sadząc drzewka i sukcesywnie budując dom. Lubiliśmy zapraszać gości i z nimi balować. Irenka była już trzy lata po amputacji piersi, ale doskonale pamiętałam te jej „jagody" na bluzce.

Był upał i w ciągu dnia zmieniłam już trzy sukienki. Plewiąc grządki pociłam się okropnie, ale w tamtych czasach jeszcze miałam taka niedobrą regułę postępowania, że gdy coś zacznę, to muszę skończyć, choćby nie wiem co się waliło i paliło. Uważałam, że najwyższą cnotą człowieka jest konsekwencja w postępowaniu. Ostatnia sukienka pochodziła już z tzw. „zapasów", czyli rezerwowych ubrań znajdujących się na działce. Była to niezdarnie uszyta przeze mnie z turkusowego płócienka prosta kiecka bez rękawów z karczkiem. Płócienko było dość sztywne i szew karczka ocierał moje piersi.

Wizyta Ali od początku nie przebiegała w taki sposób, jakiego się spodziewałam. Przede wszystkim nie przyjechała sama, tylko ze swym jamnikiem, Figą. Na sierść niektórych psów mam uczulenie (odkąd poparzona nadmiernie na plaży przespałam się pod nową kołdrą, będącą prezentem od mojej teściowej, do której dla większego ciepła czy działania przeciwreumatycznego dodała sierść psa), tak wiec do styczności z psami podchodzę nieufnie. Poza tym, odkąd pewien niewielki pies niezauważony przeze mnie podbiegł z tyłu i mnie ugryzł, nie lubię tych zwierząt (poza wyjątkami) i nie ufam im.

Figi nie lubiłam jeszcze z innych powodów. Był to pies nadmiernie rozpieszczany, taka poduszka pod głowę, lub podnóżek na stopy, ściągający niezasłużone, moim zdaniem, zachwyty gości, starających

się przypodobać gospodarzom w przesadnej uwadze poświęcanej temu wyjątkowo głupiemu i nieruchawemu zwierzęciu.

Tak więc przyjazd Alki z Figą wcale mnie nie cieszył. Poza tym na działce pies jest zawsze przeszkodą. Nie można postawić na ziemi żadnego garnka, nie można powstrzymać go przed kopaniem dziur na grządkach czy czynieniem innych szkód. Kiedyś pies sąsiadów ściągnął mi spod dachu worek z serem obciekającym z serwatki, aż z całych pięciu litrów wiejskiego mleka! Tym razem też nie dość, że chciałam coś zrobić, to jeszcze musiałam uważać na cudzego psa!

W dodatku szybko okazało się, że pies nie jest zdrowy i ma krwawą sraczkę. Mąż natychmiast wsiadł z Alą do samochodu i zaczął jeździć po okolicy szukając weterynarza, który pomógłby biedactwu. Nie wyobrażałam sobie, żeby poświęcił tyle uwagi moim dolegliwościom, co wówczas tej suce.

To przekonanie jakoś podświadomie musiało oddziaływać na mój organizm. Wieczorem, po skończonym pieleniu zauważyłam na sukience na wysokości piersi sporą plamę krwi. Powiedziałam mężowi i Ali o tym, ale wcale się nie przejęli. Sraczka jamnika, jako problem medyczny i emocjonalny była ważniejsza.

Ja uważałam, że to szorstki szew karczka sukienki podrażnił piersi i stąd krwawienie, ale w podświadomości ciągle tkwiła pamięć o „jagodzie" na bluzce Irenki i tym, że był to początek ogromnych zmian w jej życiu (łącznie z tą, że od tamtej pory jej mąż twierdził, że Irena przestała już być kobietą). A poza tym czułam wściekłość, że tej jamnikowej bzdurze mąż poświęca całą swą uwagę.

W poniedziałek poszłam do prywatnej przychodni, ale lekarz nie uważał tej sprawy za banalną i twierdził, że szew sukienki nie miał tu nic do rzeczy. Sprawę uważał za poważną i pilną, wobec czego już we wtorek załatwił dla mnie badania w Centrum Onkologii. Wówczas nie bardzo było tam jak dojechać, więc poprosiłam męża, żeby mnie zawiózł samochodem. Widać kolidowało to jakoś z jego planami, bo wykręcał się, ale uparłam się. Postawił samochód na parkingu i został w nim, nie chciał wejść ze mną do budynku. Psychicznie czułam się bardzo źle i miałam też żal do niego, że nie wspiera mnie ani nie poświęca tyle uwagi co durnemu jamnikowi. Zrobiono mi mammografię, potem USG i jeszcze jakieś inne badania i w korytarzu czekałam na wynik. Oczekiwanie przedłużało się, rejestratorka powiedziała, że lekarz przeprowadzający badanie poprosił o konsultację z innymi, w końcu czekali na ordynatora, a czas przedłużał się. Mój stres rósł i chwilami zdawało mi się, że nie wytrzymam tej niepewności. Uważałam, że skoro lekarze zażądali konsultacji z innymi, to sprawa stała się bardzo poważna, że moje szanse na wyleczenie maleją i właściwie to zastanawiają się tylko, jak mi powiedzieć, że umrę. Pamiętam z opowieści Ireny, że wszystko odbywało się taśmowo, mammografia (bez USG, które wówczas było nowością), termin biopsji, potem operacja. A tu jakieś zawracanie głowy.

W końcu poproszono mnie do gabinetu i tu lekarze zaczęli zadawać mnóstwo pytań. Moje przerażenie rosło, gdy więc je dostrzegli, oświadczyli, że badania NICZEGO nie wykazały. Ordynator powiedział jednak, że w jego wieloletniej praktyce miał tylko jeden przypadek, gdy krwawienie z piersi nie okazało się rakiem tylko zakażeniem bakteryjnym, a u mnie tego nie podejrzewa. Znowu powtórzyłam swoją opowieść o szorstkim szwie, ale zlekceważyli ją. Tak więc w zasadzie nic mi nie było. W zasadzie – bo jak twierdził ordynator, coś musiało być, tylko nie wiadomo z jakich przyczyn aparatura okazała się niewystarczająca. Zasugerowano mi, żebym udała się do Akademii Medycznej,

gdzie naukowcy mieli jakąś najnowszą zagraniczną aparaturę, którą testują i może, przy protekcji ordynatora i sporej, jak na owe czasy zapłacie, uda mi się z niej skorzystać.

Wyszłam ze szpitala skołowana, a mąż nawet nie zapytał jaki jest wynik badań, a ja mu nie pytana nie powiedziałam. Nazajutrz sama pojechałam do AM, wziąwszy wcześniej w pracy pożyczkę „chwilówkę" na ten cel i przeprowadzono to badanie, które znowu nic nie wykazało. Przez kilka lat jeździłam regularnie co roku do Centrum Onkologii, aż wreszcie przekonano się, że nic z tego nie wynikło.

Z biegiem czasu nabrałam przekonania, że mój organizm zaprotestował w ten sposób przeciwko zainteresowaniu męża sraczką jamnika Ali i postanowił przetestować mężowskie zainteresowanie moim zdrowiem.

8. kaseta odchudzająca

Wspomniałam o przykrych skutkach, jakie może wywołać banalna sugestia.

Po wypadku samochodowym w r.1996, który całkowicie odmienił moje życie, cierpiałam na depresję (choć wówczas coś takiego nie istniało jako diagnoza i nie słyszało się o takiej dolegliwości). Przebywałam w uzdrowiskowym szpitalu kardiologicznym (po mechanicznym uszkodzeniu serca) i w ramach opieki zdrowotnej miałam prawo do wizyty u psychologa.

Poszłam więc ze swoimi opowieściami o znużeniu, lęku przed śmiercią, napadami strachu bez powodu, braku odczuwania smaku życia, nieustannej chęci do płaczu. Intelektualnie jeszcze tkwiłam w swojej pracy, w swoich wysiłkach dorównania wymaganiom wyścigu szczurów, ale moje uczucia należały do kogoś całkowicie innego, rozmemłanej płaksiwej baby, dla której najbezpieczniejszym miejscem wydawało się łóżko, gdy można zarzucić kołdrę na głowę zostawiając jedynie niewielką szparkę do oddychania. Ciepło, ciemno i bezpiecznie (jak księżycowy Rak, oczywiście).

Pani psycholog po całym dniu wysłuchiwania nieszczęśliwych kobiet na zasiłkach, bitych przez mężów alkoholików albo, co gorzej, dorosłych synów, upokarzanych przez otoczenie, niewykształconych i nie rozumiejących przyczyn dla których taki los je spotyka (na korytarzu wszystko było słychać, a kolejka była spora, zresztą sama mi o tym powiedziała) dostała nagle pacjentkę, która zgłosiła się z wydumanymi problemami. Nie odczuwanie smaku życia było w jej pojęciu już zupełną fanaberią. Była tym mocno zdziwiona i odrobinę zniesmaczona. Wypytywała mnie nie rozumiejąc zupełnie dlaczego jest mi źle, skoro mam pracę (w dodatku świetną, bo stanowisko dyrektorskie), nikt mnie po wypadku z pracy nie wyrzucił i nie przestał płacić, mój mąż nie jest alkoholikiem i pracuje na zagranicznym kontrakcie, więc ma dochody. Dzieci mam dorosłe i nie mam wobec nich obowiązków. A dlaczego płaczę na muzykoterapii zamiast spać, jak wszyscy uczciwi sercowcy i boję nie wiadomo czego — nie miała pojęcia. Jednak bardzo chciała mi pomóc i doszła do wniosku, że moje samopoczucie ulegnie zdecydowanej poprawie kiedy się odchudzę.

Zapłaciłam jej, pamiętam jak dziś pięć sześćdziesiąt za czystą kasetę magnetofonową i otrzymałam nagranie do medytacji, która miała sprawić, że stanę się młodsza i smuklejsza i ogólnie rzecz biorąc zdrowsza. A dzięki zmianie wyglądu na plus i wzmocnieniu ego znikną natychmiast ataki paniki.

Po powrocie na leżakowaniu odpaliłam swojego grundinga i zaczęłam słuchać. Bardzo chciałam być młodsza, zdrowsza i ładniejsza, więc przystąpiłam do tego słuchania z pełnym zaangażowaniem.

Najogólniej rzecz biorąc treścią kasety była muzyka relaksacyjna plus aksamitny męski głos powtarzający sugestywnie (po jakimś tam wstępie i uzasadnieniu, z którego niewiele zapamiętałam) jedną frazę: „Wystarczy ci bardzo mała ilość jedzenia” **Wystarczy ci bardzo mała ilość jedzenia, wystarczy ci...**

Nie jestem podatna na hipnozę, ale na autosugestię, jak najbardziej — o czym zresztą wtedy nie wiedziałam.

Ta fraza wdrukowała mi się w moją świadomość podobnie, jak czasem „przyklei się” do kogoś niechciana reklama czy jakaś melodia. Tyle, że przykleiła się na trzy miesiące. I wcale nie wpoiła mi

przekonania, że powinnam mniej jeść. Przeciwnie, sprawiła, że myślałam stale o **jedzeniu** i o tym, czy go **wystarczy**. Oglądałam wystawy sklepów kalkulując na ile dni **wystarczy** im zapasów, jaka jest **najmniejsza** ilość j**edzenia,** którą będzie widać na talerzu, komu i czego nie **wystarcza do jedzenia**, jaka ilość **jedzenia** potrzebna jest by utrzymać głodujące dziecko w Afryce – to wszystko roiło się w mojej głowie, gdy broniłam się przed bezmyślnym mamrotaniem: „wystarczy ci bardzo mała ilość jedzenia... Wystarczy ci...”

Pozbyłam się tego świństwa w moim umyśle bodajże po dwóch miesiącach. Ale przytyłam 10 kg.

9. Pamięć seryjnego zabójcy

Czytałam gdzieś o metodach na zapamiętywanie. Tworzy się w wyobraźni dom, w domu tym poszczególne pokoje zawierają wiadomości z określonej dziedziny lub jej części. Zresztą może być park, ogród, okręt – jak komu wygodniej.

W książce Harrisa „Hannibal po drugiej stronie maski" autor wykorzystał charakterystyczne elementy tej metody w opisie początków kształtowania się seryjnego zabójcy, podkreślając w ten sposób dziwaczność meandrów jego umysłu.

Wpadło mi na myśl, że porządkowanie wiedzy i wspomnień w ludzkim umyśle może być równie dziwaczne, że istnieje wiele sposobów, o których się nie myśli i zaczęłam zastanawiać się, jak ja je porządkuję.

Sądzę, że ja swoją wiedzę mogę porządkować wzorując się na płocie, budowanym z drewnianych sztachet. Bierze się kawałek drewna i obrabia go. Tak i ja: zdarzenie, teorię, przemyślenia, obrabiam jak ową sztachetę. Obcinam i zestruguję to, co uważam za nieważne i trywialne. Staram się wydobyć z każdego kawałka drewna jego niepowtarzalne słoje znaczeń, melodię przewodnią epizodu. To co stanowi wynik obróbki ustawiam i przybijam do poprzecznej belki. Zdarza się, że podrzeźbiam je nieco, choć staram się tego unikać. Czasami, gdy między poszczególnymi sztachetami wyczuwam związek (nie zawsze zrozumiały i wyartykułowany) łączę je jeszcze ukośną poprzeczką, niby odliczane zapałki lub kreski na murach więzień. Strużyny przewracają się gdzieś w kącie mojej pamięci, pod piecem, czekając na spalenie, ale czasem powiew wiatru od nagle otwartych drzwi porywa je i wzbija w powietrze. Wówczas wracają, niepotrzebne i niechciane, kręcąc w nosie i drapiąc w gardle lub wracając z pieczeniem oczu. Z rzadka przychodzi olśnienie: strużyny nadają się do czegoś.

Kiedy potrzebne jest mi coś z zasobów mojej pamięci, idę na moją łąkę i przeszukuję mój płot, odbijając sztachety od belki, a czasem bezlitośnie niszcząc ich związek wyrażony ukośną poprzeczką. Łączę inaczej te wyjęte sztachety, czyszczę, tasuję i układam na mojej łące, dziwiąc się niekiedy, że ułożone na płask inaczej wyglądają niż w karnym szeregu zorganizowanej pamięci. A przecież wykorzystuję je już do budowy czegoś innego, na przykład ławy, na której pragnę przysiąść, stołu, na którym chcę napisać książkę, podestu, z którego pragnę przemówić, aby przeciw czemuś zaprotestować.

Wadą mojego płotu jest to, że nigdzie się nie zaczyna i nigdzie specjalnie nie kończy, długo można wzdłuż niego bezowocnie wędrować. Owszem, zachowuję chronologię (czego nie ma w pałacu pamięci seryjnego mordercy), ale jak zawsze, coś za coś. Czasami lepiej przerwać wędrówkę wzdłuż mojego ogrodzenia pamięci pod wpływem instynktu, położyć się w byle jakim miejscu, zasnąć i przebudzić właśnie naprzeciw potrzebnej sztachety.

Inna wada polega na tym, że w procesie ociosywania giną rozmaite, niezauważalne w tamtym czasie zapamiętywania smaczki, mogące być zaczynem czegoś ciekawego, jakiegoś sprzętu tak dalece unikalnego, że unicestwienie możliwości przez chamską obróbkę struganiem wydaje się potem niemal przestępstwem. Pierwsze sztachety murszeją, ostatnie rażą świeżyzną. Czasami wskutek tego

opowieści stają się streszczeniem, pozbawionym detali i niuansów. Na szczęście, tam w kącie pod piecem leży sterta wiórów, czasem porywanych przeciągiem…

Czy mogłabym czymś innym zastąpić tę metodę? Przydałoby się, bowiem nie zawsze wiem, kiedy zdołam przywołać niektóre sztachety, kiedy pojawią się same i w związku z czym. Mogłabym racjonalniej gospodarować swoimi zasobami, częściej przesypiać do rana.

Trudniejszą jest rzeczą wymyślenie czegoś równie eleganckiego jak pałac (lub dom) z komnatami – pokojami pamięci. Gdzież mojemu płotu do takiego zamczyska!

A może posługiwać się planetami lub znakami zodiaku? To porządkowałoby wstępnie w jakiś sposób całą tę wiedzę, dzieliłoby je na fragmenty o rozmaitej wymowie, podporządkowane archetypom i symbolom, może niezbyt racjonalne, ale różniące się między sobą. Rzecz w tym, że ani znaki zodiaku ani planety ani karty tarota nie są jednoznaczne i porządkowanie według ich znaczenia mogłoby uniemożliwić przywołanie **mojej** wiedzy, sprowadzić na manowce, zaciemnić związki miedzy wydarzeniami.

Żeby się o tym przekonać, w bezsenną noc zadaję sobie ćwiczenia. Jakiej planecie ma zostać podporządkowany ostatni mój pobyt u F i L? Chłód fizyczny i psychiczny. Uwięzienie w obietnicy. Nic nie jest takim, jakim chciałoby się to widzieć.

– Saturn, który nas dołuje, sprawia, że wszystko, nawet zaplanowane jako rozrywka, jest ciężkim, trudnym obowiązkiem? Ten patron służb mundurowych, porządku, rozwagi, ale i ojciec pożerający własne dzieci? Zimny i perfidny, być może, pozbawiony uczuć? Więzienny dozorca też.

– Uran, psuj, który sprawia, że każda podjęta decyzja jest zła?

– Mars, zsyłający na nas wrogów, wojujący mieczem, strzykawką, skalpelem chirurga? Nasyłający zapalenie jakiegoś nerwu w twarzy, dawno wyleczone.

– Pluton, łączący marsowe wypatrywanie wroga z saturnowym izolowaniem się? Nie pozwalający rozewrzeć buzi i zaprotestować.

– Neptun – rozkraczony na granicy dzielącej twórczość od szaleństwa?

Wszystkiego po trochu było w tym tygodniu gwałtownych zmian pogody, temperatury, atmosfery czekania na czyjąś śmierć, która uwolni mnie od pobytu w tym obcym, wrogim domu i danej obietnicy.

Same malefiki kotłowały się, jakby nie było. Żadnej dobroczynnej planety na okrasę.

Plącząc się po domu zamkniętym na cztery spusty, bez klucza, który został zabrany podobno przez pomyłkę, pstrykałam fotki. Ale każda z nich, a między nimi i fotografia słonecznej jadalni była oszustwem dla oczu.

To tyle jeśli chodzi o wiarę w sztuki wizualne.

Kiedy wreszcie doczekałam się odwiezienia i wsadzenia do ogrzewanego pociągu, na horyzoncie pojawiła się piękna Wenus. Młoda aktorka jadąca do Warszawy na jakąś chałturę, zaprezentowała mi całą paletę swoich perfum i opowiedziała o nich mnóstwo rzeczy, o których nie miałam zielonego pojęcia.

Nagle świat wraz z zapachami perfum uzyskał nowe barwy i wszystkie kilkudniowe wpływy malefików zostały dzięki pięknej Wenus zneutralizowane. Nawet gorączka ustąpiła.

10. Zrujnowana fabryka

Miałam wczoraj w nocy sen, który pobudził mój intelekt. Sen był taki nic nadzwyczajnego; śniłam że przechodzę przez rozmaite zakamarki zbombardowanej fabryki, w której jestem urzędniczką i niosę jakiś meldunek, dosyć tajny, do innej urzędniczki, która od razu jego treść przekazuje telegraficznie w sobie tylko znane (albo nieznane) miejsce. Odnoszę wrażenie, że sen ten często się powtarza (a może to takie złudzenie), w każdym razie meldunek ten zanoszę dość często i jest to nudne zajęcie, w dodatku przedzieranie się przez teren fabryki między rozmaitym żelastwem, lejami, niespodziewanymi przeszkodami jest denerwujące. Tym razem na miejscu poprzedniej urzędniczki jest inna, która robi wrażenie, że nie ma pojęcia, po co ja do niej przychodzę. Przed jej czymś w rodzaju pomalowanego na czerwono "kiosku" stoi kilku mężczyzn w roboczych ubraniach i trudno mi się między nimi przecisnąć, w dodatku "kiosk" ten stoi na jakimś podwyższeniu i trudno mi się doń wspiąć i jeszcze otworzyć drzwi. Kiedyś takie budowano w zajezdniach, żeby kierowca mógł porozumieć się z dyspozytorem bez wysiadania z samochodu, a wysepki były nieco szersze, żeby stanowisko nie zostało uszkodzone przy nieostrożnym manewrowaniu. Jednak wyglądały inaczej.

Ktoś, jakiś mężczyzna usiłuje mnie zatrzymać, więc złoszczę się, że zamiast mi przeszkadzać, mógłby mnie przytrzymać i pomóc mi wspiąć się, więc ta osoba mnie przytrzymuje, o wiele za długo jak na potrzebę. Urzędniczka robi wrażenie, że nie wie o co chodzi, bierze ode mnie meldunek i z grymasem odkłada gdzieś na bok. Złoszczę się na ten dowód lekceważenia i wyrywam z rąk przytrzymującej mnie osoby odchodzę postanawiając, że więcej nie pójdę z tym meldunkiem, bo widać wszyscy zapomnieli po co on komu jest, a ja jak głupia stale z nim chodzę. Po chwili uświadamiam sobie, że nawet nie przyjrzałam się człowiekowi, który mnie przytrzymywał.

Sen był bardzo dosłowny, na pierwszy rzut oka nie symboliczny, ulokowany w czasie znacznie dawniejszym niż dziś, w okresie wojny lub tuż po wojnie. Bogaty w realistyczne szczegóły otoczenia. Nie mam pojęcia dlaczego uważałam, że scenerią są Niemcy.

Kiedy przebudziłam się, jeszcze w półśnie, zaczęłam zastanawiać się, jak to możliwe, że za sprawą snów (niektórych w jednakowej scenerii i wielokrotnych) nasza świadomość pozostaje ta sama, choć przecież jesteśmy innymi osobami. Ja, Kasia, emerytka leżąca w łóżku w Warszawie w 2012 roku w istocie rzeczy jestem kimś innym, niż młoda urzędniczka ze snu, pracująca w zrujnowanej i siermiężnej choć bardzo rozległej fabryce, w roku nie późniejszym niż 1945 – gdy byłam jeszcze dzieckiem. A przecież nasza samoświadomość nie zgrzyta. Wiem, że ja to jestem ja i koniec. Na granicy jawy i snu miałam podwójne „JA”, na zdrowy rozsądek biorąc, nie mogące się między sobą pogodzić. Zaczęłam się zastanawiać: jak to się mogło stać, że te dwie osobowości zlały się w jedną. Do czego się mimowolnie podłączyłam?

Fałszywa samoświadomość? Nie, to zbyt banalne wyjaśnienie. Samoświadomość płynna, bez określonego kształtu? To już bliższe chyba prawdy. Może jest tak, że dysponujemy na co dzień tylko fragmentami samoświadomości i tylko w nielicznych chwilach potrzebne są i aktywizują się konkrety typu: data, zawód, wiek, ale wówczas rejestrujemy swoje miejsce i czas, a nie przeżywamy w swoim życiu jakiejś akcji. Czytałam gdzieś, że świadomość ludzi starszych zatrzymuje się na ogół na jakimś ich wcześniejszym wieku, najczęściej 30-40 lat i wiele lat egzystują na tym poziomie, raczej na co dzień

nie uświadamiając sobie, że w istocie mają 60 lat lub więcej. Jednak tu byłam bardzo młoda, zmęczona i niepewna siebie. I dość głupia, jak sądzę, oceniając jako Kasia swoje emocje.

Jeśli więc chwilowo żyjemy przeważnie tylko cząstką swojej świadomości, dość płynną i niejasną, nie zdefiniowaną we wszystkich szczegółach – wówczas możemy być bez zgrzytów co chwila kimś innym. Jeśli ja, jako urzędniczka w zrujnowanej fabryce, dokładnie rejestruję swoje otoczenie, nie zapamiętując jednak szczegółów w rodzaju mojego ubrania (choć pamiętam szmaciane buty na drewnianej podeszwie), to po przysłonięciu otoczenia równie dobrze mogę być emerytką Kasią, w koszuli nocnej ze starej sukienki. Koszula czy sukienka? Czy nazwa przesądza czy zaciemnia?

Czy więc nie oznacza to faktu, że nasza samoświadomość, to w istocie kompletne złudzenie, to tylko ulotny wniosek wyciągany z kształtu i oblicza otoczenia? Gdy ktoś (nawet ja sama) spyta mnie o datę, to przywołuję obraz kalendarza albo dokonuję obliczeń przypominając sobie ostatnią informację o dacie, czyli znów nie posługuję się instynktownym umiejscowieniem siebie w czasie i nie samoświadomością, tylko swoistym rodzajem rejestracji stanu otoczenia, z którego wnioskuję o tym, jakie jest moje miejsce w czasie. Czy więc samoświadomość w ogóle istnieje? I na ile jest skomplikowana? A może równie prosta, jak zwierzęca. To, co wiemy o sobie, na ogół chyba nie jest samoświadomością. Ja na przykład wiem, że lubię rozważać rozmaite rzeczy, że chętnie w myśleniu zapędzam się w dziwne rejony, ale to nie moja samoświadomość to wie, tylko są to rezultaty przeprowadzonej niejako z zewnątrz analizy mojej osobowości. Odkryłam je patrząc na siebie „spoza siebie", a nie odczuwając ze swojego wnętrza, a przecież samoświadomość, jak sama nazwa wskazuje, pochodzi z własnego wnętrza.

Jeżeli przyjmę założenie, że mogę być jednocześnie emerytką Kasią i urzędniczką zrujnowanej fabryki o nieznanym imieniu i że łączy nas jednakowa samoświadomość, oznaczać to może, że zarówno we śnie jak i w życiu, a możliwe, że też po śmierci, nawet w grobie, możemy poruszać się swobodnie między odrębnymi samoświadomościami, a więc nie ma rzeczy niewzruszonych, które zakotwiczają nas w realnym „tu i teraz".

Dalsze implikacje moich rozważań są tak dziwaczne, że przez chwilę poczułam się jak osoba stojąca na rozkołysanej fali, za chwilę mająca pogrążyć się w odmętach. I na ten „zawrót umysłu", jak zwykle w takich sytuacjach, zareagował mój intelekt wytrącając mnie z rozważań, które zapewne uznał za szkodliwe. Tak często jest, że przestaję rozmyślać w momencie intelektualnego zawrotu głowy – jakby coś broniło mi posuwać się dalej.

Podobno to jest uraniczne, jak twierdzi WJ.

11. Narowiste konie

Pisząc tego bloga martwiłam się. Obudzona w środku nocy zadawałam sobie pytanie: Czy nie za bardzo obnażam się przed obcymi, nieznanymi mi czytelnikami. Czy nie przeczyta mnie na przykład ów rowerzysta wspomniany w którymś odcinku, albo kobieta o foczej urodzie, albo wystający przed sklepem dawny bóg PRL-u i czyż nie dojdą do wniosku, że dyskusja z ich poglądami prowadzona za pośrednictwem blogu to nie jest przypadkiem nieuczciwe zagranie? Otóż oni nie mieli zamiaru stać się osobami w jakimś sensie publicznymi, a stają się za sprawą jakiejś nieważnej kobiety określającej się jako „ezoteryczna babcia”? I nie mają prawa głosu.

W końcu zasnęłam. Przyśniło mi się, że znajduję się w stajni pełnej koni przywiązanych do poręczy podobnych do tych, przy których ćwiczą baletnice.

Wchodzimy ze swoim zmarłym mężem do tej stajni i uwalniamy konie z uwięzi, ale nie wiedzieć czemu nie wypuszczamy ich na zewnątrz. Konie krążą po pomieszczeniu, spokojne i dostojne, ale ja wiem, czuję, że one pragną czegoś więcej.

Tymczasem mój mąż oświadcza mi, że musi zostawić mnie samą z tymi zwierzętami. Ja protestuję, proszę, żeby pomógł mi przywiązać je na powrót do swoich poręczy (znajdujących się przed lustrami jak u ćwiczących baletnic). Ja wzdragam się przed tym, ale nie wiem czemu, możliwe, że boję się tych koni, a możliwe, że trochę mi ich żal. Nieprzyjemne rzeczy zawsze lepiej zrzucić na kogoś innego.

Mąż oświadcza mi, że jedynym wyjściem jest wezwać policję i wówczas będę miała problem z głowy.

Pomysł nasyłania policji na konie wydaje mi się nieludzki, jednocześnie obawiam się ich przywiązywania i z tym dylematem budzę się.

Wojtek pisze książkę o zwierzętach mocy. Żadne z dotychczas omówionych nie budziło moich emocji. Cóż, wilk, niedźwiedź, żaba – takie same jak inne. Ale nie konie, broń Boże!

Z rzeczywistymi końmi w naturze jako miejskie dziecko nie miałam nigdy do czynienia. Może tylko tym razem, kiedy zapamiętałam wzdęte zwłoki konia trafionego pociskiem w czasie powstania Warszawskiego z którego ludzie wykrawali kawałki mięsa. Było to jednak doświadczenie na pograniczu snu i jawy. Pozostało po nim przekonanie, że trupy i zwierząt i ludzi nie nadają się do kawałkowania i powinno się je jak najszybciej zabrać sprzed oczu. Tuż po wojnie pracowicie grzebałam wszystkie martwe ptaszki, dżdżownice i inne przedmioty podejrzewane o to, że mogły niegdyś być żywymi (np. co ładniejsze kamienie) w przekonaniu, że należy jak najszybciej usunąć je sprzed oczu.

Jednak w słusznie minionych czasach kartkowego przydziału nie miałam nic przeciwko jedzenia kiełbasy z końskiego mięsa (sprzedawano bez kartek takie pyszne kabanosy) – ponieważ nie miały one w moim przekonaniu nic wspólnego z rzeczywistym koniem. Jako pracownik umysłowy miałam przydział 2,5 kg mięsa i trzech mężczyzn w domu, którym ta śmieszna ilość 10 kg miesięcznie na rodzinę nie wystarczyłaby nawet w połowie.

Konie fascynowały mnie w inny sposób. Piosenka Włodzimierza Wysockiego o narowistych koniach w różnych wersjach stała się moim hymnem znacznie wcześniej, niż dowiedziałam się, że mój znak Zodiaku to Strzelec. Miałam przyjaciela ze studiów, który zaopatrywał mnie we wszystkie możliwe wersje tej pieśni. Pierwszą z nich otrzymałam od kogoś, kto pracował w polskiej stacji badawczej na Antarktydzie i wymieniał się płytami z uczestnikami radzieckiego programu badawczego. Były to nagrania zakazane, robione w domowych warunkach, czasem trzeba było przegrywać je z magnetofonów szpulowych na magnetofony kasetowe. Oprócz szumów słychać było rozmowy w tych mieszkaniach, komentarze. Nie było jednej, kanonicznej wersji, za każdym nagraniem teksty i intonacja zmieniały się.

Czasami urządzaliśmy sobie całe seanse wersji „Koni" (kartkowa wódka zbierana przez cały rok wypijana była w towarzystwie na Sylwestra przy słuchaniu tych taśm), kiedy część balowiczów posnęła.

Potem, gdy przyszły nowe czasy, nagrania Wysockiego można było już kupić w Moskwie na bazarze płytowym, także i w Polsce wielu młodych wykonawców jak Przemysław Gintrowski, Jacek Kaczmarski, a nawet Maryla Rodowicz, nie mówiąc już o mniej popularnych, umieszczało je w swoim repertuarze. Jako ktoś, kogo uczono w szkole i na studiach języka rosyjskiego mogłam śledzić niuanse tłumaczeń.

Długo, długo potem, kiedy zaczęłam interesować się astrologią dowiedziałam się, że jestem słonecznym Strzelcem (w koniunkcji z Wenus i Merkurym). Wówczas symbolika tego stellum stała się dla mnie jasna, zrozumiałam symbol konia jako wewnętrzną wolność, do której powinnam zmierzać jako kobieta (Wenus) i jako człowiek myślący (Merkury). Zauroczona kiedyś w młodości Sartrem i egzystencjalizmem traktowałam wolność jako jeszcze jeden z obowiązków nakładanych na człowieka (a zwłaszcza kobietę), a do tego bynajmniej nie było mi pilno.

Niestety na realizację luźniejszej i mniej odpowiedzialnej wersji wolności było już zbyt późno.

Po 1991 roku, gdy moim przeznaczeniem stawała się opieka nad umierającymi i próby zrozumienia ich, póki jeszcze był na to czas i kiedy w 2000 roku postudiowawszy nieco astrologię, zorientowałam się, jakie znaczenie w moim horoskopie ma Chiron – wychowawca Odyseusza, kontrowersyjny nauczyciel i lekarz, który uzdrawiał wszystkich oprócz siebie, moje zrozumienie koni pogłębiło się. Wiedziałam już, że nie zrealizuję wszystkich możliwości Strzelca, nie będę zwiedzać świata i nie będzie mi dane zakosztować wolności jak wówczas, gdy jeszcze mogłabym z tej wolności skorzystać.

Czasami spotykam się z moim przyjacielem od „Koni" Wysockiego, zamieszkałym w innym mieście i o wiele bardziej uwikłanym w rzeczywistość niż ja. Siedzimy wówczas, milczymy, wypijemy troszkę i słuchamy wszystkich posiadanych przez nas wersji. Czujemy jednak, że każda kolejna, choć piękniejsza i lepiej nagrana i zaopatrzona w lepsze teledyski, coraz bardziej odbiega od tej wersji wolności, która kontemplowaliśmy słuchając wówczas Wysockiego. Piękne rozwiane grzywy, rozmaita maść koni są jak kobieta podrasowana w fotoszopie, smukła i odmłodzona, ale zbyt piękna, żeby była prawdziwa.

Cóż, wyobrażenia o wolności w czasach PRL-u nie dorastały do pięt współczesnym wyobrażeniom. Już sama myśl, że mamy znajomych na Antarktydzie, którym wolno oglądać białe niedźwiedzie (a nawet walczyć z nimi) i wędrować kilometry przez lód, śnieg i niebezpieczne szczeliny po nagrania

Wysockiego wystarczały. Wcale nie uważałam że sama mogłabym być godna zaszczytu podróżowania po świecie, dosiadania autentycznego konia.

Ironia losu sprawiła, że w swoim zniewoleniu zwiedziłam wówczas rejony świata niedostępne dzisiaj z powodu wojen i odosobnienia. Samarkanda, Buchara, Afganistan republiki kaukaskie... W Groznym z powodu awarii samolotu przesiedziałam na lotnisku trzy dni bez jedzenia, śpiąc na płytach strefy dla cudzoziemców, izolowanej od otoczenia, oglądając wszystkie, przepuszczone w Polsce odcinki „Niewolnicy Izaury". A przecież wolność oglądania seriali jest w istocie formą niewoli, nie tylko wówczas, ale i dziś.

Cóż więc tak naprawdę jest naszą wolnością? Nasze przekonania w tym względzie są złudne i nie zawsze uprawnione.

Mój wspomniany przyjaciel fotografuje namiętnie przyrodę. Kiedyś udało mu się uchwycić zdjęcie koni zmierzających rankiem do wodopoju. Może dzięki temu, że fotka jest zamglona coś w niej przetrwało z moich fascynacji. Ale on dla zasady nie używa fotoszopu.

12. Wino i woda czyli dziobanie szyby

W 2004 roku na naszej działce pierwszy raz od dziesięciu lat obrodziły winogrona. Poprzednie lata nie były dla nich łaskawe. W tym rejonie Polski, najbardziej wysuniętym na wschód przymrozki trafiały się i w czerwcu, więc pierwsze kwiaty i pąki zazwyczaj wymarzały, potem były już tylko liście. Sadzenie tutaj winorośli albo włoskich orzechów lub drzewek owocowych, zakupionych w innych rejonach było zwyczajną głupotą,

Mój mąż, który wcześniej spełnił dwa męskie obowiązki, był niepoprawnym optymistą i spełniając trzeci nałożył sobie zadanie przekraczające możliwości. Nie przeszkadzało mu, że drzewka owocowe nie przeżyły, że czereśnie zanim zdążyły dojrzeć, zjadały ptaki a wiśnie szklanki upodobały sobie wiewiórki, że orzech włoski zaowocował pierwszy raz w tym roku po dwudziestu kilku latach, gdy jego pana nie było już na tym świecie i że 18 czerwca w dziewięćdziesiątym którymś roku przymrozki zniszczyły świetnie zapowiadającą się grządkę pomidorów,

Jednak winorośl ma się dobrze i coraz lepiej – co by nie było, jest to argument za ociepleniem klimatu.

Tak więc w 2004 roku winogrona pierwszy raz wydały owoce, a ja sporządziłam z nich pierwsze swoje wino. Udało się wyjątkowo, jak żadne późniejsze.

Po śmierci męża w 2007 roku syn wyciął część drzewek i krzaków, żeby łatwiej było operować kosiarką i sznur się o nic nie zaczepiał; niektórzy moi działkowi przyjaciele i przyjaciółki poszli w ślad za mężem, a ja, nie dysponując własnym środkiem lokomocji, utraciłam większość wpływu na to, co się tam dzieje. Latem na działce przejęła rządy teściowa syna, pod dyktando zięcia wyrzucała posłusznie moje rzeczy, a jej goście wypijali wino. Zrobili to jednak dziwnie – zostawiając po pół butelki, obojętnie pięciolitrowej czy litrowej.

Z powodu zmiany układów rodzinnych syna i nie pojawieniu się na razie na horyzoncie nowej teściowej, na mnie spadły porządki w piwnicy i sprawdzenie czy te resztki wina nadają się do czegokolwiek. Nawet jako ocet byłyby w gospodarstwie pożądane.

Przyniosłam wyłączone z ośmioletniej zadumy (przerwanej wizytami letnich gości) butelki do domu, postawiłam aby zawartość się ustała, zapuściłam rurkę i sprawdziłam co z wina zostało.

Pochwalę się : nadal było wspaniałe – w miarę słodkie, aromatyczne, przejrzyste, w pięknym kolorze i goryczce uzyskanej dzięki dodatkowi aronii.

Dlaczego więc ci ludzie zostawili połowę każdej butelki? Czyżby przechylając ją kolejny raz odkrywali, że wino staje się mętne i sięgali po następną?

Przypomniałam sobie jak my piliśmy to wino. Szłam z rurką do piwnicy, ściągałam wino znad osadu z butelek do dzbanka. Piliśmy je, chłodne (temperatura w piwnicy nigdy nie przekraczała 8 stopni) pół na pół z doskonałą wodą z naszej studni. Napój był słabszy niż piwo, ale gasił pragnienie lepiej niż jakikolwiek inny. Jednak rodzina mojego syna w ferworze porządków powyrzucała wszystkie moje

rzeczy, zwłaszcza te, które nie wiadomo do czego służyły. Tak i wyrzucone zostały: sitka do cedzenia wina, rurki i inne utensylia.

Jadąc w tym tygodniu na działkę nie zabrałam wody mineralnej ponieważ syn powiedział, że woda jest na działce. Owszem, była, coca cola i jakieś świństwo o smaku truskawki, które nie stało nawet przez chwilę w pobliżu truskawki, jeśli nie liczyć obrazka na nalepce. Studnia już nie działa, znaczne zagęszczenie przepuszczalnych szamb wykluczyło jej używanie — wodę mamy z wodociągu.

Kosząc dziś trawę w prawdopodobnie ostatnie upały tego roku (aż 20 stopni!) zapragnęłam wrócić do smaków sprzed lat i wyniosłam napoczęte butelki z piwnicy. Przegotowałam wodę, ostudziłam ją i wymieszałam z winem i wyszłam przed dom.

Na ławce przysiadła czerwonodwłoka ważka, słońce odbiło widok drzewka rajskiej jabłoni w oknie i o szybę zaczęły stukać dziobami ptaki sądzące, że mają do czynienia z prawdziwymi owocami.

Za ich sprawą zrozumiałam, że ja też nie mam w szklance wina z wodą z tamtych lat, choć przez chwilę wydawało mi się, że jest jak dawniej. Kiedy siedzi się na słoneczku stawy nie bolą i można na chwilę ulec złudzeniu, że nie czuje się swojego ciała. Zobaczyłam więc wszystkie piękne i smutne działkowe dni przemieszane jak cierpki smak aronii ze smakiem winogron nie ze swojej strefy klimatycznej i zapachem świeżo skoszonej trawy. Dodatek wody z kopanej kiedyś własnoręcznie studni nadawał napojowi szlachetność wykonanej pracy.

To piękne, że udało mi się na chwilę przywołać to wrażenie. Niemniej pozostaje dziobaniem szyby

Pójdę więc rwać tegoroczne winogrona, choć nie wiem, co z nich zrobię. Pewnie wina już nie, nie dysponuję bowiem chłodną piwnicą. Ale jak wino tamtego roku było wyjątkowe, tak owoce tegoroczne są niesłychanie słodkie i dorodne.

13. Dlaczego boję się Twardej Ścieżki

Uczestniczenie w nowych doświadczeniach powinno być dążeniem każdego Strzelca. Zahamować te dążenie może jedynie strach. Czego można się jednak lękać jeśli doświadczenie przeprowadzane jest pod nadzorem i kontrolą osoby fachowej i zaufanej? Jedynie siebie i swoich reakcji, nieprawdaż? A prawdaż, prawdaż, jak mówił mój ojciec, gdy jako dziecko upojona dźwiękiem nowo poznanego, ładnie brzmiącego słowa, nadużywałam go w zwykłych codziennych rozmowach.

Ale wracając do tematu. Lęk dotyczy moich własnych reakcji. Mając dwadzieścia kilka lat przekonałam się, że w obronie dzieci mogłabym kogoś zabić (ja, organicznie bojąca się i zwalczająca każdy najdrobniejszy przejaw przemocy), że potrafię doznawać uczuć o których nie miałam pojęcia i których nie umiem nawet nazwać, że wreszcie nic, co wiem o sobie, nie jest pewne i dane mi na zawsze.

Podobnie z reakcjami na drobne, ale inne niż dotychczas doświadczenia.

Wspominałam o mojej koleżance jasnowidzce. Po pierwszym udanym eksperymencie postanowiłam dalej ostrożnie sprawdzać swoje możliwości w tym zakresie. Jednej rzeczy się nie bałam – medytacji. Po prostu wielokrotnie próbowałam i nie udawało mi się. Nie potrafiłam oczyścić swojego umysłu z myśli. Przechodziłam kolejne etapy wyłączania poszczególnych stref swojego czucia: smaku, dotyku, słuchu, wzroku odkrywając, że często czynię to w sposób naturalny, na przykład pisząc tekst, który absorbuje moją uwagę, jednak nie udało mi się nigdy świadomie „zagapić się" myślami.

Niewiele wiem o czakrach poza tym, że podobno są. Moja wspomniana koleżanka opowiadała mi, że czakra trzeciego oka jest w przeważającej mierze odpowiedzialna za doświadczenia jasnowidzenia i że powinnam spróbować medytacji i widzeniem przy użyciu wyobrażonego sobie w środku czoła oka.

Usłyszałam, że jasnowidzenie to praca nad czakrą VI i wszystkie ćwiczenia związane z nią, bardzo ułatwiają wejście w świat jasnowidzących, i przynoszą całkiem niezłe rezultaty. Czakra VI odkrywa obrazy (symboliczne lub dosłowne), te które mówią o sytuacji tu i teraz lub ukazują je z przyszłości, czasami z przeszłości i wcale nie oznacza to, że widzi się je naocznie (choć takie również pojawiają się w umyśle w formie obrazu na tyle wyraźne, że można je narysować na papierze...

W opisanym wcześniej moim doświadczeniu zwróciłam uwagę na fakt, że rozwiązanie zadania odbywało się drogami, które ja nazwałam „cytatami". Ani nie „widzę", ani nie „słyszę", tylko mój umysł przywołuje „cytaty" z rozmaitych realnych, obejrzanych artefaktów lub doznanych przeze mnie wrażeń – papierosa, reklamy Orange czy karty do Empiku.

Wizualizacja „trzeciego oka" nie wydawała mi się to jakimś skrajnym doświadczeniem, którego powinnam się lękać.

Postanowiłam do tego celu zastosować starą swoją technikę (do tej chwili bezpieczną) przywoływania snu, zastępująca popularne liczenie baranów. Leżałam w ciemności z zamkniętymi oczami i próbowałam coś widzieć bez pośrednictwa oczu. Zazwyczaj po jakimś czasie (krótszym lub dłuższym, jeśli nie zasnęłam w międzyczasie) zaczynałam widzieć rozmaite obrazy, najpierw w czarno-bieli, potem w kolorach (ale przygaszonych). Obrazy te wyglądały trochę jak wskazania radaru — po

ekranie mojego widzenia poruszała się „wskazówka” niby średnica koła, przed nią było zielonkawe światło, za nią ciemność. Wskazówka poruszała się szybko, więc zazwyczaj trudno było zrozumieć sens odsłanianych czarno-białych plam i wcale nie próbowałam tego zrobić. Można jeszcze byłoby dopatrzyć się w nich podobieństwa do obrazu z badania USG w aparatach starszego typu – lekarz coś pojmował, a ja, nawet otrzymawszy potem wydruk trójkątnego wycinka — nic. Kto by tam w mętnej mgle widział na przykład kamienie żółciowe? I chwalił się dostrzeżeniem jakiejś anomalii w układzie żyły wątrobowej. Na pewno nie ja.

Tym bardziej, gdy nie wie się, czego się szuka. Kilka razy w moim życiu obrazy te coś oznaczały, ale na ogół były scenami nierozszyfrowalnymi.

W każdym razie zazwyczaj sens tego ćwiczenia na wypełnienie bezsenności polegał na tym, że gdy obrazy z czarno-białych zmieniały się w kolorowe zygzaki o ostrych konturach, łagodne fale i zawirowania na inne, o geometrycznych kształtach — niebawem sen nadchodził. Należało więc próbować ujrzeć takie obrazy i to było celem ćwiczenia

Po raz pierwszy, w czasie próby jasnowidzenia w sprawie zaginionej dziewczyny usiłowałam odszyfrować znaczenie pojawiających się obrazów i nawet narysowałam je. Teraz, moje ambicje sięgały wyżej. Postanowiłam otworzyć w sobie „trzecie oko”.

Najpierw zobaczyłam coś w stylu obrazu impresjonistów, namalowanych na ścianie jakiejś kawiarni i zdjętych dla ekspozycji, które oglądałam trzy lata temu w Luwrze. Plątanina kolorowych, bladoniebieskich plam, a na ich tle, lub może raczej z tych plam wyłaniający się delikatny i nieoczywisty zarys oka z bardziej wyraźną źrenicą. Ta źrenica skojarzyła mi się z „czarną dziurą” i rzeczywiście w środku impresjonistycznego obrazu pojawiła się czarna dziura w malarstwie innej konwencji, ekspresjonistycznej (np. Munka). Wokół tej czarnej dziury, jako czegoś, co odczuwałam jako studnię bez dna (początkowo przy tym zero emocji), zaczęły się pojawiać wirujące drobinki. Nie wiem czemu wydało mi się, że tą drobinką między innymi jestem i ja. Obraz wyglądał jak jakaś galaktyka, ale w środku zamiast jasności była czerń. Nie otwierając jeszcze oczu (nie bałam się specjalnie, póki co) uznałam, że jestem jedną z wielu drobinek wirujących wokół czarnej dziury, ale przecież — uświadomiłam sobie — nie mogę być wirującą NA ZEWNĄTRZ drobinką, skoro usiłuję otworzyć SWOJE WEWNĘTRZNE „trzecie oko”. I wówczas znalazłam się na skraju „czarnej dziury”, w takim miejscu, z którego nie mogę już się cofnąć, w którym czuję nieuchronność, mającą nastąpić. Opierałam się jednak z całych sił. Wówczas delikatny niebieski zmienił się w kolor fioletowy – bardzo piękny i żywy — ale im bardziej ten kolor intensywniał, tym bardziej czułam strach. Kiedy fiolet był już nie do zniesienia, a czarna dziura WYPEŁNIŁA CAŁE POLE WIDZENIA, OTWORZYWŁAM OCZY.

W bloku na przeciwko nadal palił się ciąg okien na klatce schodowej i trzy okna w mieszkaniach od samej góry, w okna zaglądał księżyc (było jeszcze dość wcześnie), na zegarze widniała młoda godzina, o ile mogłam dojrzeć bez okularów, ale to wszystko było widoczne PRZEZ zapalone światło i otwarte oczy. Przeraziłam się na serio.

Pomyślałam, że muszę natychmiast zamknąć to oko, tę czarną dziurę, ale świat rzeczywisty jedynie przeświytywał delikatnie przez świat tej dziury i tego budzącego lęk fioletu. Wstałam z łóżka, chciałam (metodą polecaną na kursie Witolda Suligi o kosmografii światach subtelnych, do zastosowania, gdy doświadczenie zaczyna nas trwożyć) zadzwonić komórką do kogoś, ale do kogo dzwonić w nocy? Albo

może zapalić świeczkę? Jednak powoli, o wiele wolniej, niż pojawił się, obraz trzeciego oka mnie opuścił, Zjadłam więc trochę sera z miodem i wszystko było już ok.

Moja koleżanka jasnowidzka zmartwiła się, że czarna dziura wiruje w lewą, a nie w prawą stronę, ale nie wiedziała czy leworęczność ma tu coś do rzeczy (na kursie W. Suligi o światach subtelnych dowiedziałam się, że strona lewa człowieka jest stroną duchów i zmarłych. On też unikał wyraźnej odpowiedzi w sprawie leworęczności.)

To doświadczenie przekonało mnie, że wejście tam, gdzie cię nie zapraszają, może być groźne. Nie wiem, czy zdecyduję się powtórzyć coś w tym rodzaju.

Wracając do Twardej Ścieżki. Gdybym mogła ze względów zdrowotnych w niej uczestniczyć i tak bałabym się. Co pewnie brzmi jak odpowiedź pewnego oficera na pytanie Napoleona, czemu nie strzelają do wroga:

– „Po pierwsze nie mamy armat, po drugie…”

– „Dziękuję, wystarczy.”

14. Groźny fiolet

W czasach słusznie minionych panowała moda na zakładanie pracowniczych działek, gdzie się da i jak się da. Zakładało się także działki tymczasowe, których okres użytkowania przewidziano na nie więcej niż 5 lat – oczywiście bez domków, altanek itp. Taką 300 metrową działkę przydzielono mężowi, który w tamtym czasie dyrektorował przedsiębiorstwu budującemu oczyszczalnię ścieków w Warszawie, w jej przyszłej strefie ochronnej Hodowaliśmy na niej ogórki i pomidory. Ja miałam manię uprawy najrozmaitszych gatunków pomidorów, których nasiona zdobywałam rozmaitymi sposobami. Pracowałam w przeciwnym końcu Warszawy i sam dojazd na działkę czasem trwał ok. 2 godzin plus jeszcze półgodzinny marsz. Drogę tę przebywałam zawsze ze strachem, ponieważ dojście wiodło przez okolicę nieprzyjemną z różnych względów. Dopiero na miejscu spotykałam się z mężem, który z pracy miał bliżej no i oczywiście miał samochód.

Mój największy projekt dotyczył wyhodowania fioletowych pomidorów. Udało mi się uzyskać „kwadratowe pomidory", winogronowe, pomarańczowe i żółte – wszystkie dziś już dostępne bez trudu, łącznie z fioletowymi, na które w ubiegłym roku natknęłam się w jakimś sklepie.

Z tego strachu towarzyszącego dojściu do działki powstało opowiadanie mające obrazować powstawanie paranoi. W warstwie realnej wszystkie „zagrożenia" były prawdziwe, zawierały dokładny opis trasy pokonywanej na działkę, ale... Dałam mu tytuł: „Wasz fiolet" Możliwe, że spowodowało ono lękowe skojarzenie koloru fioletowego, czarnej dziury opisane w poprzednim odcinku. Jest to bardziej prawdopodobne niż wpływ opowiadań SF, wykładów W. Suligi i rozmaitych lektur – ponieważ lęk pochodził z autentycznego przeżycia, może nie tak dominującego, jak opisany w opowiadaniu, jednak prawdziwego.

Muszę przytoczyć go w całości, żeby było wiadomo, o co chodzi.

Wasz fiolet

— Otwórz drzwi na korytarz. Wyjrzyj. Nikogo? No to cześć, dziewczyny, lecę. W razie gdyby co, to wyszłam do kibla. Może obleci.

Cholera, diabli z tym autobusem! Boże, co z ciebie za idiotka, trzeba było wyjść wcześniej! Teraz sterczysz jak głupia... Już dwadzieścia po. Ten drań wlecze się i wlecze. Kurczę, przesiąść się nie chciało, a teraz mam nauczkę.

Za pięć... Nie będzie czekał, nie ma mowy, to nie taksówka. Zresztą nie wiadomo, z kim będzie jechał, z naczelnym czy z grubasem... Z tamtym, to nawet trzech minut nie zaczeka...

Tam, na rogu jest sklep; może namówi szefa, żeby wyskoczył po świeży chlebek prosto z prywatnej piekarni, bułeczki jeszcze ciepłe... Nie, nie ma mowy, jest dziesięć po. Im się też spieszy. Żonie zawieźć zakupy, córce zajrzeć do zeszytów, pasem przylać za wczorajszy nocny powrót z dyskoteki... „ - Panie Kaziu, wal pan do domu jak najszybciej". Wiadomo, do czyjego domu. Jest tylko jeden dom, nie pana Kazia bynajmniej. Do diabła z tym wszystkim!

Rany! Jest! Stoi! Złociutki, najmilszy, kochany mój, jeszcze chwileczkę, maciupeńką... Już, juź jestem! Mógłby się tylko ten drań pospieszyć... Jeszcze sekundę poczekaj, maleńką chwileczkę...

— Proszę mnie przepuścić! Musi pan stać w tych drzwiach, jeśli pan nie wysiada? Co za chamidło wstrętne, specjalnie się zaparł, żeby nie wypuścić... Moja sprawa, gdzie mi się spieszy, nic ci do tego, głupi baranie!

Skurwysyn! Pojechał. Nie widzisz, głupi, że środkiem jezdni zasuwa baba? Twoja własna, ślepoto! Jeśli mnie nie poznajesz, to przecież masz kretynie lusterko wsteczne, trudno nie zobaczyć czerwonej kiecki i łapy w górze... Na łapie brzęczy twoja bransoleta, gruba jak rogal, jeszcze świeci złoty metal...

Och, ty debilu! Teraz zanim tego swojego szefa zawieziesz, zanim odstawisz wóz i wrócisz po mnie, miną przynajmniej dwie godziny, a za godzinę już mrok... Nie, trudno, trzeba iść samej...

Wredny ten kawałek przez wieś... I ta wieś też jakaś taka... Dziadowska! Co krok, jakiś pies szczeka, w płotach dziury, wyleci któryś i cię pogryzie... Chap, chap, ostre zębiska na twojej łydce... Dziura i kropelka krwi...

Szybciej, pędem mały kotku, zanim wszystkie psy się zlecą! Żeby jeszcze być pewnym, że szczepione, ale kto tutaj sobie głowę zawraca zawszonymi kundlami... Janek kiedyś wracał przez wieś, do Marzeny jeszcze chodził, psy go opadły, pięć lat temu było, ich dzieciak jeszcze świata nie oglądał, skąd u chłopaka teraz wzięła się wścieklizna?!

A ten, czego się gapi! Mógłby przywołać psa, po diabła szczeka... Gały wytrzeszcza, drelichowe portki opina na tyłku rękami wsadzonymi w kieszenie...

Trzymaj się dziewczyno, ten typ ma taki wzrok, jakby chciał tym psem cię poszczuć... Za niskie czoło, oczy za małe... Tak jakoś dziwnie stoi... Wyprostuj się! Udawaj, że się nie boisz. Mówią, że psy nie znoszą ludzkiego strachu i wtedy atakują, może ludzie też? Ten, tu, może psa nie przywołać; ludzie śmieją się, gdy komuś coś złego się przydarza, zresztą to może nie jego pies... Zaraz miniesz go, jeżeli przepuści cię dziesięć kroków, to wszystko w porządku...

Cholera, pijany...

— Precz z łapami! Co pan, co pan?!

Rany boskie, kotku, chodu! Jezu! piąta! Coś strzyknęło w kolanie. Jak boli... Można zwolnić. Zatacza się, nie dogoni, za bardzo pijany. Uff! Wstrętne, kosmate łapska... Zaraz sklep i ostatnia chata, będzie koniec z pijakami. Jeszcze tylko kawałek, tylko do zakrętu... No, możesz odsapnąć... Obejrzyj się dla wszelkiej pewności. Znowu jakichś dwóch diabli niosą... Chyba pijani, takie ósemki na rowerze, cud że się nie wywrócą... Może zejść z szosy i schować się w krzaki? Ale jeśli tam ktoś jest? Mógł się zaczaić. Mówił Kazik, że kogoś tu parę razy napadli... Dobre miejsce dla bandziora, pięć zakrętów, krzaki... Kamieniem w łeb i po krzyku... Lasy są groźne. Powinno się wyciąć wszystkie lasy. Na otwartym polu wszystko widać z daleka i zawsze można uciec; w lesie tylko silni mają szansę, słaby musi zwiewać wcześniej, gdy silniejszy ma jeszcze czas.

Trudno, trzeba zaryzykować i skryć się wśród nieprzyjaznych drzew. Już. No dobra, teraz szybciutko przed siebie.

Za ciężki ten koszyk! Za dużo kanapek nabrałaś. I ptyś w wielkiej butelce dla Kazika... Śmieszne, dorosły chłop, a przepada za nim jak dziecko. Trudno iść szybko. Pałąk koszyka pije w zgięcie ręki, zostawia czerwoną pręgę z sinymi punkcikami.

Już niedaleko. Widać płot. To będzie teren budowy, tam są barakowozy, dozorca, łańcuchowy pies. Skończy się ten wredny las. Szumi i szumi, jakby chciał cię uśpić. Ptyś brzęczy, podskakuje w koszyku, mogłabyś łyknąć trochę, bo w gardle zaschło, ale gdy napoczniesz, gaz ucieknie. Tyle czasu niosłaś dla Kazika, to i doniesiesz.

Żwir przemocą wpycha się do butów; co by było, gdyby przyszło ci biec boso, bez sandałów... Nie uciekłabyś, o nie, spadają z pięt, brak im sprzączek, aby ściągnąć paski...

No, nareszcie, ostatni zakręt. Teraz tylko z jednej strony masz las, z drugiej już ogrodzenie.

Co to? Pies nie uwiązany? Dobrze, że za siatką. Jakie to ma złe ślipia! Szczekaj sobie, szczekaj, nieprzyjemny z ciebie wilczur, ale co mi do tego? O jejku! Brama otwarta! Pies już stoi na skraju szosy i ujada. Żeby tylko nie podleciał bliżej... Co robi ten dziad przeklęty, dozorca, powinien bramę zamykać albo wiązać tego diabła! Pewni śpi gdzieś, pijaczyna, dawno już był koniec pracy. Co mu tam, że kogoś pogryzą! Wszystko ma w nosie. Boczkiem, boczkiem, jeszcze parę kroków... Opanuj strach, może pies nie wyczuje, pośpiewaj sobie pod nosem, tram tam tam, la di ladi da da...

Jeszcze szesnaście słupów, piętnaście, czternaście... Ten ostatni, w kształcie odwróconej procy, ścieżka w bok, nigdy nie wysychająca kałuża po środku i już jesteś jak w domu.

Gdzie się podział ten cholernik, Kazik?! Szosa pusta, nikogo ani śladu... Widać szef coś znowu wymyślił...

Nareszcie! Rozkraczony słup już z tyłu, szosa dalej pusta, ani pijaków ani innych drani. W gardle sucho, może wypić choć łyk ptysia? Nie, to będzie dla Kazika, do bułeczki z baleronem.

Strasznie cicho na tych działkach... Nikogo nie ma. To środek tygodnia, ale po pracy czasami ktoś się trafia. A dzisiaj nikogo. Pustka. Przymrozek już zwarzył niektóre owoce, pomidory zebrano, zostało tylko plewienie truskawek przed zimą. Trzeba najpierw je podlać, bo ziemia sucha jak pieprz, chwasty odrywają się od korzonków. Woda zakręcona, trzeba iść kawałek dalej i odkręcić. Ale po co? I tak nie masz węża ani wiadra. Zamknięte w altance. Po diabła dałaś chłopu klucze? Mówił, że będzie przed tobą, a tymczasem ty tu sterczysz i nie możesz wejść.

Najgorsza z tego jest samotność:. Nikt na działkach nie spieszy się do gównianej roboty. Wyrywanie badyli zawsze może zaczekać, no nie? Smutno patrzeć na krzaki pomidorów. Wydały już najpiękniejsze owoce, gdzieniegdzie tylko zostały spóźnione pokurcze. Łodygi stały się brzydkie, zdrewniałe, nic nie warte, więc precz z nimi! Napisali, że suche krzaki trzeba wyrywać i palić, więc precz z nimi. Tak niedawno, wiosną, były śliczne, hodowane na oknie w rzędach białych kubeczków po kefirze, ustawione na specjalnych półeczkach, opatrzone karteczkami z wypisaną flamastrem nazwą, świeże niczym murawa na meczu w kolorowym telewizorze.

Widać cię ze wszystkich stron. Ktokolwiek zajrzałby przez płot, zobaczyłby ciebie nawet z daleka, a działki nie wszędzie są ogrodzone. W dwóch miejscach wyszedłszy z krzaków można trafić na przerwę. Ci, którzy przewozili części altanek, rozgrodzili płot; wygodniej im było tędy, od szosy,

podawać niż kopać się w błocie drogi, gdzie nawet niektóre. samochody grzęzły i trzeba było koparkami je wyciągać... Łatwo tędy wejść, za łatwo...

Każda działka powinna być ogrodzona wysokim murem, betonowym pełnym ogrodzeniem, a nie tym ażurowym świństwem. Tylko za mocnym murem można się czuć bezpiecznie, dookoła mieć swoich znajomych, nie obcych. Tylko mur chroni przed złymi spojrzeniami. Ci tam, na górze nie przyznają się do tego, że wierzą w złe spojrzenia, przewrotne dranie „Ciemne baby, przesądy i te pe". To po cholerę w autobusach odgrodzili kierowców szklanymi szybami od nas, jeszcze im szmaty pozawieszali. Co oni wiedzą, jeśli co dzień nie jeżdżą do pracy takim czterysta osiemdziesiąt dziewięć?! Zrozumieliby czym jest złe spojrzenie. Czy któryś czuł je na plecach? Czy ktoś wie, jak to jest, gdy za tobą stoi facet przyciśnięty udami i brzuchem do twojego tyłka, a ty po mrowieniu na swoim karku czujesz, że nie ma ochoty na nic oprócz tego, żeby nagle poczuć ostry nóż, rozpłatać nim twoje ciało od góry do dołu, zakręcić w mięknącej powoli galarecie, podeptać twój zewłok, wgnieść w gumową wykładzinę podłogi i wreszcie odetchnąć pełną piersią, przez moment, zanim nie wypełni się następnym ciałem luka powstała po tobie.. .Czy oni mogą wiedzieć, co to są złe oczy? Jeżeli nie ma złych spojrzeń, czemu nie starcza oddzielenie przezroczystym plexi, a trzeba jeszcze firaneczek w kwiatki?

Za dużo lasu dookoła. Las nie sprzyja dobrym myślom, tylko złym. Tylko złe chroni... Nie wszystkie rośliny są dobre, dlaczego więc niby las ma być dobry?

Na przykład sałata jest wstrętna. Kolor ma zbyt jaskrawy, jakby chciała nim przynęcić. A przynęca się tylko po to, żeby oszukać. Ogórki też nie są dobre. Płużą się po ziemi, podlizują, a nie lubią twojego dotyku. Ty też ich nie lubisz. Wszystkie u ciebie marnieją, a jak któryś się uchował, jak w tym roku, to tylko po to, by wydać ogromnego ogórasa, który zerwany, wpakował kłujące kolce w twoją łapę... Twoje ogórki rodzą się wyłącznie po to, żeby ciebie skaleczyć...

Tylko pomidory są dobre. Twoje pomidory mają przepiękne liście, choć owoce niespecjalne. Ale to nic nie szkodzi, to dlatego, że ciebie lubią, ich liście pragną twojej obecności; lubią, gdy odszczypujesz niepotrzebne pędy; wiedzą, że z litości pozostawiasz ich zbyt wiele, choć wolno najwyżej trzy. Nie powinno się pomidorom niszczyć pędów, bo ciebie znienawidzą, utracą do ciebie zaufanie. Na przykład ten malinowy, prawie fioletowy... Jedyny wyrósł na krzaku, ale drugiego takiego nie ma na świecie... On wie, że go nie zerwiesz mimo pierwszych przymrozków; otulisz troskliwie watą, żeby przedłużyć jego życie, a potem zapakujesz w pudełko, zaniesiesz do piwnicy, gdzie przeleży do świąt. Nikt nie uwierzy, że to nie szklarniowy. Za to pomidory cię lubią.
Tylko za dużo lasu dookoła. Pomidorom szkodzi bliskość lasu. Ostrzegają cię przed nim i mają rację.

Schroń się w altance naprzeciwko. Sąsiad dorobił werandkę obciągniętą folią ze starych worków, zamykaną na haczyk od wewnątrz, ale można wsunąć rękę przez szparę... Tam się schowasz.

Pomidory sąsiada też to pochwalają, nie na darmo muskają cię swoimi liśćmi, zapraszają do środka. Uff... Jeśli wciśniesz się w kąt, z zewnątrz cię nie będzie widać, nikt ciebie nie zaatakuje... A jeśli nawet, to pomidory ciebie obronią...

Znowu głosy... To szosą wraca jakaś banda... Śpiewają, zatracone pijaki, wydzierają się jakby nie wiedzieli, że pomidory nie lubią wrzasku. Ich ciemnozielony kolor jest uczciwy i stateczny. Gdyby mogły choć odrobinę się poruszyć! Pomidory ci mówią: miej się na baczności!

Tylko maleńka dziurka w plastiku. Musisz popatrzeć. Trzeba wiedzieć, czego się boisz. Opamiętaj się! Nie musisz mieć racji... Skąd ci do głowy przyszło, że las ci życzy źle?

Boże! Oni mają psa, jamnika! Pomidory nie znoszą jamników, dlaczego więc las je toleruje? A może. .. W lesie zawsze polowano, czyżby stara sitwa? Tego jamnika las lubi, sprzyja mu wyraźnie, szumi mu spokojnie, obaj drwią z ciebie... Widzisz, już ciebie wywęszył! Pomidory sąsiada, wprawdzie żółte, nie malinowe, ale rozumieją cię jak twoje własne... Słyszysz, jak krzyczą? Nawet te martwe, zerwane już z krzaka, odłożone w altance na dojrzewanie, wołają ciebie, żebyś skuliła się, ukryła między nimi, stała się zielonym pomidorem, a wtedy cię obronią...

Pies cię wyczuł. Ujada wokół drzwiczek do altanki, a ci, za którymi gonił, stają przy płocie i patrzą... Teraz jeden przechodzi przez dziurę..

— Pomidory moje kochane, zróbcie coś... Błagam was... Choć odrobinę pomocy za moją miłość... Gdyby... Nie poczuć więcej waszych łodyg między palcami, waszej mechatości... Dopiero zaczęliśmy się rozumieć, za krótko to trwało, tak nagle ma wszystko zgasnąć...

Spokój, idiotko! Już są na działkach. Już wiedzą, do której altanki wejść... Gdybyś choć miała klucze, otworzyłabyś kłódkę, uniosłabyś wieko ławy, pod którą mieści się skrzynia z narzędziami, wcisnęła w kąt, między grabie a konewkę, przykryta zwojami czarnego węża, narzuciła na siebie stertę prześcieradeł podartych do wiązania pomidorów... Może byś uszła złym oczom... To ogórki cię wydały. Ogórki i sałata. Wstrętne, obrzydliwe, cuchnące zgnilizną zielsko...

Już są tutaj. Monstrualna gęba przytknięta do podartej folii... Niemożliwe, żeby ciebie nie spostrzegli... Gdzie jesteś, mój miły, to ty powinieneś mnie bronić! Cóż by dla ciebie znaczyło zdusić durnego jamnika...

Wyrwą mnie. Wyrwą tak, jak i ja wyrywam was w jesiennym gorzkim dymie, ale wiem, że was już to nie boli... To wczesnym latem, gdy kret podgryzie wasze korzenie, wasz ból odczuwam w swojej głowie... Ale nie jesienią. Jesienią zasypiamy, wy wyrwane ze swojej gleby, i ja wtłoczona w mury mieszkania w bloku... Teraz wyrwą mnie, zanim doczekam jesieni i was wyrwą, już bez pieszczoty, brutalnie i ostro, rzucą na ognisko, zakopcicie gorzkim dymem...

— Panie wszystkich pomidorów, stwórz najwspanialszy owoc fioletowej barwy, pozwól mi jeszcze poznać go; nie ma nic wspanialszego na świecie niż fioletowy pomidor; uczyń kształt jego sześcienny, daj mu ostre kanty, tnące jak brzytwa; umiałeś to zrobić stwarzając niektóre liście, okaż więc łaskę i dzieciom swym, pomidorom, daj im broń przeciwko złu; zamiast pestek i soku, pestki wyczerpują go, sok rozwadnia siłę; panie pomidorów, zniszcz wszelkie lasy z czającym się złem; na pustej przestrzeni chroniącej przed zakusami wroga, niech rozwinie się ich fiolet...

Dlaczego, już wtedy fiolet kojarzył mi się ze strachem? Zupełnie nie interesowałam się wówczas innymi sprawami niż przyziemne, namacalne i konkretne.

15. Sułtanka Od Nalewania Herbaty

Mało jest ludzi, którzy działają na mnie podobnie inspirująco jak Piotr Jaczewski. Szkoda, że nie znam go osobiście, pewnie przegadalibyśmy całą noc i jeszcze trochę.

Ale póki co – ukażę Mu swoje wizje (w jego konwencji).

Sułtan Brunei siedzi na swoim tronie i żąda herbaty. Ma poważne problemy do rozważenia ze swoimi gośćmi: Zagraniczne markety niszczą osiedlowy handel w naszej ojczyźnie, a tu, w dodatku 26 października (o zgrozo!) w sąsiedztwie pałacu otwierają nową „Biedronkę". Nic to, że lokalny ksiądz w imię celów wyższych usiłuję rozkopać społeczny parking (relikt PRL), ponieważ ktoś widział, że tam, za murami cmentarza, pochowano zamordowanego Świetlanego Człowieka, a gdy już mu się uda go rozkopać, poszerzy cmentarz o ten skrawek gruntu. Nic to, że spółdzielnia podniosła czynsze i że Pani Prezydent nie wyraziła zgody na Coś Tam. Są inne, poważne sułtańskie problemy.

Sułtan Brunei siedzi na swoim tronie i żąda herbaty. Kto ją mu podaje? Może być, że niewolnica, ale pewniej któraś z oficjalnych (lub nieoficjalnych) żon (to zaszczyt, nieprawdaż?)

Więc siedzi sobie sułtan Brunei zajęty niesłychanie ważnymi sprawami politycznymi (czy parytet złota ma coś wspólnego z parytetem kobiet na listach wyborczych i w jaki sposób odróżnić Amber Gold od Alpen Gold oraz na ile może posunąć się usłużność w stosunku do uprzejmości, żeby stała się karalna), a sułtanka podaje mu herbatę.

I tu mamy zalążek dramatu – sprawa prosta której nie rozumie głupia sułtanka: Podająca herbatę tkwi w miejscu potencjalnie niebezpiecznym do swojego losu. Jeśli na przykład nierozważnie opisze w swoim blogu jakąś nadmierną ansę do jamników (w dodatku w następnym odcinku okaże podobnie groźnego jamnika) zza Oceanu odezwą się Przyjaciele Sułtanki, po licznych skrupułach informujący ją, ze źle czyni ujawniając swoje prywatne sprawy. Sułtanka może tłumaczyć się, że popełniła grzech zaniechania ujawnienia nazwiska i powinna posłużyć się pseudonimem albo nazwiskiem panieńskim (choć może zhańbić rodzinę z której się wywodzi). Wszak napisanie, że sułtan obwoził rzeczonego jamnika po jakichś weterynarzach znających się jedynie na krowach i owcach (traktory zastąpiły konie), co niewątpliwie kala jego pamięć.

Koleżanka sułtanki potwierdza, że Przyjaciel zza oceanu miał rację. Mogłaby przecież opisać tę historię jako opowieść swojej znajomej albo, jeszcze lepiej, przyjaciółki znajomej. Co by komu to szkodziło? Sułtanka nie miałaby stresów, i nie mieliby ich Przyjaciele jej Męża.

A kogo obchodzi, ze sułtance udało się nabyć herbatę Loyd Tea za 50% jej pierwotnej ceny (zamiast 15 – 7,50 zł) z powodu plajty sklepu w sąsiedztwie i wyprzedaży towaru. Akurat tak wypadło, że Sułtan Brunei nie płaci pięć lat czynszu za pałac, który formalnie jest własnością Sułtanki (spadkiem po poprzednim Sułtanie) i komornik pragnie wejść na emeryturę sułtanki, która i tak spłaca 1/3 zadłużenia za kredyt zaciągnięty na zobowiązania poprzedniego Sułtana. Sułtan żąda herbaty, więc ją dostaje. Sułtanka płaci i jeszcze ma stres, że nie umie przedstawić swoich racji.

Chyba, że coś jej odbije i zacznie pisać bloga.

PS. Samochód sfotografowany na parkingu rozkopywanym przez księżowskie lobby w Spółdzielni Mieszkaniowej (parkują na grobach naszych bohaterów!!!) przypadkowo ukazywał numer rejestracyjny, przypisany Sułtance. I kolor miał dziwaczny – fioletowy właśnie (jeśli ktoś nie wiedział). Sułtanka więc dostaje anonimy, choć samochód dawno sprzedała.

Ale Sułtan nie przejmuje się takimi bzdetami.

Pozdrawiam: Sułtanka (gościnnie, nieodpowiedzialnie itp)

16. Bulgotanie winogronowego soku

Gdybym miała wziąć udział w dziwnej ankiecie pytającej, co w zwyczajnym życiu wydaje mi się najbardziej magicznym i w dodatku magią przyjazną – bez wahania odpowiedziałabym, że bulgotanie winnego moszczu w szklanym balonie.

Zanim zaczęłam robić domowe wino, taką magiczną czynnością wydawało mi się palenie papierosów. Uwolniona od wszelkich obowiązków dnia siadałam w przyćmionym świetle kuchni i zapalałam ostatniego papierosa. Rodzina już spała, a ja zaciągając się papierosem czułam nareszcie się wolna. To moje poczucie wolności odebrano mi wprowadzając kartki na papierosy, więc musiałam po dwudziestu latach palenia odzwyczaić się, ponieważ „papieros w nocy" już nie był nazwą nadaną przeze mnie pięknej piosence głoszącej w moim wyobrażeniu drogo okupioną wolność, a nazwą zniewolenia. Kartki na alkohol i papierosy stały się walutą wymienną i nawet ludzie, mający przydziały z racji pełnionych funkcji czy dostępu do wykruszonych odpadów nabywali niesłychanej władzy nad palaczami. Pamiętam jak pokazywano w telewizji mojego teścia, kombatanta, który cały swój przydział wręczał żołnierzom, zamiast dać go synowej. W dodatku żołnierze ci nie byli właściwej opcji, co było tym przykrzejsze dla mnie. Gdybym chodziła do spowiedzi, byłby to najważniejszy grzech mojego życia – niemożliwość odpuszczenia mu tej jednej winy.

Czasami, w snach, odczuwam jeszcze euforię niemal zmysłowej przyjemności, a gdy budzę się, uświadamiam sobie, że śniło mi się iż palę papierosa.

Odzwyczaiłam się więc od palenia papierosów i od tamtej pory wiele lat nie czułam żadnego smaku życia. Aż do 2004 roku, kiedy siedząc przy komputerze zaczęłam pisać historię swojej rodziny – tekst zawierający kilkanaście tysięcy stron, niestety, nie nadający się do publikacji z powodu zbyt wielkiej jego prywatności.

Pamiętam, że wtedy ustawiłam baniak z bulgocącym moszczem blisko kaloryfera, w zakątku utworzonym przez komputer i półki z moimi papierami i bulgotanie w rurce fermentacyjnej towarzyszyło natchnieniu. Kiedy kończyła się tzw. burzliwa fermentacja i między jednym a drugim bulgotem mijało czasem kilka minut, odczuwałam to jako opuszczanie mnie przez magiczny proces przemiany soku w wino i poplątanych myśli w twórczość literacką.

Wiele osób ustawia sobie telewizor lub radio tak, aby grało cały dzień, ponieważ bez tego dźwięku czują się samotne i opuszczone. Moja teściowa musiała mieć zegar bijący godziny, zwłaszcza w nocy, ponieważ jedynie słuchając tego zegara nie uciekała myślami w straszliwe lata pogromów na Wołyniu i nabierała pewności, że tu i teraz żyje, a reszta jest sennymi marami nawracającej przeszłości.

Ja jestem inna. Dobrze się czuję w ciszy. W dzieciństwie przekłuto mi bębenki uszu (podobno) i słabo słyszałam do dwudziestego roku życia. Jadąc ze szwagrem bieszczadzką serpentyną wystraszyłam się nagłego hamowania, uderzyłam głową w lusterko i nagle zaczęłam słyszeć. Nie było to przyjemne uczucie, bynajmniej, zwłaszcza, że rozwinęła się potem pewnego rodzaju nadwrażliwość. **Muszę** zawsze i wszędzie łowić dobiegające dźwięki i radio, telewizor, głośno bijący zegar, zakłóca moje odczucia. Oczywiście, gdy jestem nastawiona na ciche słuchanie muzyki, robię to z przyjemnością, ale w innych wypadkach hałas przeszkadza mi.

Zupełnie inaczej jest z bulgotaniem wody w rurce fermentacyjnej. Jest doznaniem niemal magicznym, czuje się w nim energię przemiany, o której mogłabym rozpisywać się na kilkanaście stron.

Kiedy zaczęłam uczyć się astrologii odkryłam (a właściwie napisała mi to koleżanka z forum dyskusyjnego w Akademii Astrologii, która wówczas nosiła inną nazwę), że to przez Ceres na ascendencie. Zainteresowałam się wówczas małymi planetami, a przede wszystkim Ceres. Wiedziałam, że w mitologii była boginią urodzaju, nieszczęśliwą matką porwanej przez boga piekieł córki, z tej racji przez pół roku ignorującą swoją podstawową, życiową rolę. Czytając o Ceres i wyszukując inne informacje o niej i jej greckim pierwowzorze, bogini Demetr coraz lepiej rozumiałam jej symbolikę. Mając Ceres na ascendencie zrozumiałam, dlaczego pochodząc z rodzin nie mających nic wspólnego z rolnictwem, jestem gospodarna, ciągnie mnie do działki, robienia przetworów, gromadzenia zapasów. Wnikając głębiej, zrozumiałam też i inne atrybuty i symbolikę tej postaci, ale tu nie miejsce na rozważania dotyczące nieszczęśliwej matki porwanej przez Hadesa córki.

Siedzę więc dzisiaj przy komputerze oddając hołd bogini Ceres, wraz z nadejściem jesieni ulegającej przemianie w życiowym powołaniu, czego symbolem jest bulgotanie moszczu w baniaku.

Zawsze jednak przychodzi wiosna i lato, w którym pomieszanie wina z wodą daje ulgę pragnieniu i złym myślom. Bo w końcu z wiosną wraca Kora czy Persefona, uwięziona między Podziemiem a Ziemią z powodu schrupania małego ziarnka granatu.

A przecież tranzytująca Ceres w początku września była w kwadraturze do mojej urodzeniowej Ceres, co świadczy o tym, że kwadratury mogą być inspirujące, nawet bardzo. Przyciągnęła mnie na działkę mimo złej pogody i niekorzystnych okoliczności. W powodzi innych, niemiłych kwadratur, które mnie dotknęły w ostatnim czasie, ta akurat stanowiła ich przeciwwagę.

17. Niebieski misio

Wspomniałam w którymś z odcinków, że przekonania o tym, że coś co jest bardzo oczekiwane, po spełnieniu nie zawsze daje radość nauczył mnie niebieski misio.

Tuż po wojnie podarowano mi zagraniczną zabawkę. Jechałyśmy z mamą przygodnym otwartym wojskowym łazikiem (w Warszawie po Powstaniu jeszcze nie było komunikacji) i odmroziłam sobie policzki. Bolesne zabiegi i wszechobecny smród maści tranowej miała mi zrekompensować ta zabawka.

Misio był niebieski, a w jego pluszowym, miękkim futerku błyszczały iskierki światła. Miał oczy jak prawdziwe, z poruszającymi się źrenicami, czarny figlarny nosek i wysunięty języczek z filcu. Przechylony do przodu lub do tyłu rozkosznie mruczał.

Była to pierwsza zabawka, jaką dostałam, nie licząc brzydkiej, domowej roboty szmacianej lalki-murzynki, zniszczonej już zupełnie, z trocinami wysypującymi się z brzuszka pękniętego na szwie. Lalki tej nie cierpiałam, bo była czarna jak diabeł. Męczyłam więc ją jak mogłam, biłam ją, deptałam, rzucałam o ścianę. Czasem tylko, gdy zrobiło mi się żal czarnogłowego pęczka szmat, otulałam lalkę troskliwie jak matka, przykrywałam szmatkami i kładłam spać, ale robiłam to bez żadnego, serdecznego uczucia, z poczucia obowiązku.

Ale niebieski misio to coś zupełnie innego. To nie nędzna diablica ze spłowiałych szmatek! Misio był taki, że od razu można było go pokochać. Całą drogę powrotną przyciskałam misia do siebie i myślałam, jak to będzie wspaniale, kiedy zabiorę go wieczorem ze sobą do łóżeczka. Misio na pewno będzie chciał obejrzeć moją jaskinię (napiszę o niej innym razem), zaraz gdy tylko przyjedziemy i pójdziemy spać, zaprowadzę go tam i wszystko mu pokażę.

Ale wszystko to były mrzonki. Młodsza siostra od razu, jeszcze na progu, wyrwała mi misia i matka nie pozwoliła jej go odebrać.

— Ona jest młodsza i musisz zawsze jej ustępować, bo jesteś starsza i mądrzejsza — powiedziała. Daj jej pobawić się przez chwilę, przecież misio jest twój i będziesz go miała jeszcze długo.

— Ja go tylko potrzymam — przekonywała siostra.

Nie był to jeszcze koniec przykrości. Leżałam w łóżku z przyłożonymi do buzi kompresami z ohydnie śmierdzącej maści tranowej. Leżałam sama, bo siostra nie oddała już misia. Poczucie doznanej niesprawiedliwości zaostrzało jeszcze dolegliwości. Mama najpierw powiedziała, żebym poczekała, aż misio się znudzi siostrze; potem, że ponieważ siostra tak chce, powinnam być dobrą dziewczynką i oddać misia.

— Mówisz, że chcesz być dobra, żeby zasłużyć na niebo, możesz więc teraz właśnie to okazać — powiedziała. I dodała jeszcze: — Wiem, że bardzo chciałaś mieć tego misia, ale nagroda w niebie spotyka tylko tych ludzi, którzy stają się dobrzy dzięki wyrzeczeniom i cierpieniom.

Zredukowałam swoje pragnienie. Nie chciałam już mieć misia na własność, ale tylko dlatego, żeby móc go choć chwilę potrzymać, szczególnie wtedy, gdy czekało mnie odrywanie opatrunków od

bolącej twarzy. Ale siostra była głucha na wszystkie prośby i perswazje, ja zaś nigdy nie próbowałam odebrać jej misia siłą, nie przyszło mi to do głowy, ponieważ bicie słabszego jest pierwszym krokiem do piekła. Mama zawsze mówiła: „Nawet jeśli ktoś cię uderzy, nie wolno oddawać. Pan Bóg przykazał: jeżeli ktoś uderzy cię w jeden policzek, nadstaw drugi". To już wydawało mi się przesadą, ale nie śmiałam kwestionować wyroków boskich.

Tak więc, aby żyć w zgodzie z sumieniem, próbowałam siostrę przekupić. Oddawałam jej po kryjomu wszystkie swoje słodycze i jabłka. W końcu, po jakimś czasie, siostra pod wpływem perswazji matki, uległa. Zgodziła się dać potrzymać misia *malutką minutkę*.

— Tylko, broń Boże, żebyś go nie pocałowała! — wołała, a rodzice śmiali się z jej zachłanności, dziecinnego sprytu i niepowtarzalnej, przeuroczej wymowy : *broń Boże* .

Dotrzymałam umowy. Potrzymałam misia przez chwilę i przynaglana przez siostrę niecierpliwym : „*Już minutka minęła*!" — oddałam go nie pocałowawszy. Odtąd najważniejszym moim pragnieniem stało się pocałowanie misia, ale siostra mimo cukierków, jabłek i perswazji nigdy się na to nie zgodziła, a mnie nie wpadło jakoś do głowy, że mogę to zrobić wbrew jej woli.

Przekonałam się, że pragnąć czegoś mało wcale nie jest łatwiej niż wiele, wręcz przeciwnie, jeżeli chce się czegoś bardzo ważnego tylko najmniejszą odrobinkę, nie ma szans ani żadnego sposobu, aby to otrzymać. Już lepiej pragnąć od razu wszystkiego, jak siostra; wtedy w samej naturze tego żądania musi tkwić pewna oczywistość, która sprawia, że bywa ono z miejsca zaspokojone.

Misia dostałam po czterech latach, gdy chodziłam już do szkoły. Siostra znudziła się nim i za podarowany zeszyt oraz kredki pozwoliła mi wziąć go na zawsze. Ja, która przez cały ten czas, marzyłam o tym, żeby wziąć misia na ręce, przytulić go, pocałować i porozmawiać z nim, schwyciłam go natychmiast i pobiegłam do swojego ulubionego kąta w rogu schodów. Pocałowałam misia kilka razy, objęłam go i już chciałam opowiedzieć mu o swojej jaskini, kiedy z przerażeniem poczułam, że nie daje mi to żadnej radości. Z uwagą, nie dowierzając jeszcze, obejrzałam misia. Niebieski plusz dawno już spłowiał, kolor miał raczej brudnoszary, a gdzieniegdzie włoski wytarły się, odsłaniając ciemny splot tkaniny. Jedna za źrenic w porysowanym oku była nieruchoma. Misio nie był już taki wielki, jak ja sama. Poza tym miał urwaną jedną nogę i nie mruczał.

Był mój, całkowicie, nieodwołalnie mój — ale to już nie był ten sam misio — i z płaczem zrzuciłam go ze schodów.

Jednak nie pozwoliłam mamie wyrzucić go na śmietnik. Zawsze tkwił gdzieś schowany za innymi zabawkami. Zaglądałam w kąt od czasu do czasu w płonnej nadziei, że znowu go pokocham.

Wyrzuciłam go, gdy dostaliśmy z mężem mieszkanie i na tle zabawek moich dzieci wyglądał zbyt żałośnie.

18. Jaskinia

Miałam napisać o jaskini. Pierwsze lata życia spędzone w czasie wojny i Powstania Warszawskiego oraz stresujace dzieciństwo, eksmisja z domu przydzielonego po wojnie przez kwaterunek i inne okoliczności spowodowały, że szukałam bezpieczeństwa bardziej, niż wszystkiego innego.

Pamięć świadoma przechowała niektóre groźniejsze epizody (mimo, że nie miałam jeszcze 3 lat), ale pamięć ciała przechowała wszystko. Do dziś, kiedy słyszę sylwestrowe fajerwerki, jestem chora, może bardziej niż psy, których losem prasa z urzędu wzrusza się przed Wielkanocą i Nowym Rokiem, doradzając, by ludzie prowadzili je do weterynarza i karmili lekami uspokajającymi. Całe życie Sylwester i Rezurekcja były dla mnie najgorszym koszmarem (choć w Sylwestra można było go było stłumić alkoholem, a w PRL-u strzelanie ograniczone było do określonego dnia i jego pory). W przeciwieństwie do zwierząt, ja się jednak nie boję i nie potrzebuję się uspokajać; to z moim ciałem niespodziewanie dzieje się coś, czego nie rozumiem i na co nie mam lekarstwa. Podobnie reaguję na fruwające w powietrzu pierze (przekonałam się, gdy chciałam przesypać pierze z poduszki do nowej wsypy) oraz widok podartego materiału w czerwoną cienką kratkę na białym tle (ścierki kuchenne, obrusy, pościel). To znaczy nie ja reaguję, a moje ciało. Serce wariuje, pot się leje ciurkiem i czuję ciężar na piersi (siada mi zmora – jak nazywano to uczucie, gdy byłam dzieckiem) Czasami drży mi lewa ręka i noga. W najgorszych sennych koszmarach wybuchom towarzyszą unoszące się chmury pierza i poszarpanej pościeli w czerwoną kratkę. Czasami widzę ocalałą po bombardowaniu połowę domu.

Każdy człowiek w stresie szuka ucieczki. A gdy ten stres powtarza się zbyt często, ucieczka przybiera formy coraz bardziej zorganizowane, powtarzalne, być może nawet rytualne. Kiedy stres nie dotyczy rzeczy namacalnych, ucieczka od niego też bardziej mieści się w sferze wyobraźni niż realnej.

Ja wynalazłam sobie jaskinię. Jaskinia wykopana była głęboko w niedostępnym lesie. Wejście zamaskowano ogromnym głazem, który za dotknięciem w odpowiednim miejscu odsuwał się, ukazując prowadzące w dół schodki. W jaskini było wszystko, czego tylko można zapragnąć: wspaniałe dywany, kobierce i futra. Nie spało się w niej na łóżkach, ale wprost na ziemi wyłożonej skórą niedźwiedzia. Jaskinia była doskonale szczelna i żadna dżdżownica, żaden robak nie mógł wejść i zemścić się na mnie za zabicie albo rozdeptanie go. Do jaskini nie mogło tym bardziej dostać się żadne zwierzę, ani duże, ani małe. Nie mogły tam wniknąć myszy zabijane przez rodziców czym popadnie, gdy zbyt się rozmnożyły, kury z odrąbaną siekierą głową ani pająki spuszczające się w nocy z sufitu na niewidocznych pajęczynach. Nie mógł wejść pies sąsiadów, który zawsze straszliwie ujadał, gdy przechodziłam ulicą, ani przeraźliwie płaczące marcowe koty. Jaskinia była moją własnością. Ciemność jaskini nie była ciemnością grozy, przeciwnie, była to ciemność bezpieczna, moja własna, przeze mnie stworzona.

Codziennie wieczorem kładąc się spać upiększałam jaskinię, wprowadzałam uprawnienia, maskowałam ją coraz lepiej, w miarę jak zdobywałam coraz więcej informacji przydatnych do wykorzystania w jaskini. Wybudowałam w niej kuchnię, najpierw węglową, potem gazową, założyłam wentylację o wylocie przemyślnie ukrytym w gałęziach drzewa, zmieniłam też samo położenie jaskini.

Nie leżała już ona byle gdzie, a pośrodku górskiego strumyka tak, aby psy nie mogły wytropić śladów tych, którzy mieli prawo tam wejść. Po latach w korytarzu jaskini znajdowała się już tablica ze światełkami sprzężona z umieszczonymi przemyślnie dookoła całej strefy czujnikami, powodującymi zapalanie się światełek, gdyby ktoś niepowołany zbliżył się do jaskini.

Wieczorem, przed zaśnięciem natychmiast wędrowałam do jaskini. Kiedyś odkryłam, że najłatwiej tam się znaleźć, gdy wszystkie światła są zgaszone, a wokoło panuje cisza. Trzeba tylko naciągnąć kołdrę na głowę, szczelnie się nią przykryć zostawiając całkiem malutką szparkę dla oddychania, a już schodki jaskini widnieją w mroku i wystarczy ostrożnie stąpać po nich w dół, gładząc dłonią wybite futrem ściany. Tam, na dole tyle jest zajęć! Można urządzać i meblować jaskinię, można zdobić ją najpiękniejszymi szkiełkami, można zastanawiać się nad tym, jak jeszcze lepiej ją skryć przed oczami wrogów, można drążyć w ziemi nowe korytarze i komnaty, myśleć nad ich przeznaczeniem.

Nawet będąc już blisko czterdziestki gdy uległam fascynacji pewnym niesłychanie mądrym mężczyzną (potem został nawet ministrem) nasza znajomość nie miała dalszego ciągu – poza jaskinią oczywiście.

Dzisiaj, dzięki Akademii Astrologii wiem, że wszystkie Raki, a zwłaszcza Księżycowe Raki w stanach zagrożenia chowają się w kącie: najlepiej ciemnym, ciepłym i wilgotnym. Jestem typowym takim Rakiem. Kiedy jestem chora, coś mnie boli i mam gorączkę, uciekam od ludzi, zamykam się na trzy spusty.

Czasami miewam epizody związane z dolegliwościami serca (z racji wieku lub blizny na jego mięśniu po wypadku) i moja pani doktor na próżno mi tłumaczy, że osoba mieszkająca samotnie, gdy czuje, że coś się dzieje złego z jej sercem, powinna natychmiast wyjść z domu na ulicę, im bardziej ruchliwą, tym lepiej. W przeciwnym razie grozi smród na cały blok i konieczność dezynfekcji mieszkania. Nie, ja nie potrafię się zmusić do wyjścia. W rodzinie zawsze ze mnie żartowano, że gdy zaczynam zachowywać się niemiło i jestem opryskliwa oraz złośliwa oznacza to, że należy położyć mnie do łóżka i zostawić samą przynajmniej na kilka godzin.

Pierwszą osobą, która gościła w mojej jaskini był niebieski Misio, ostatnią ów wspomniany wyżej mężczyzna. Poza nimi zaprosiłam tam jeszcze dwie lub trzy osoby, ale żadna z nich nie zamieszkała tam ze mną i ich pobyt (w przeciwieństwie do realnej znajomości) był raczej krótki. Świadczy to o permanentnym braku zaufania do bliźnich.

Do czego zmierzam: Nieustannie słyszymy i czytamy o wojnach, bombardowaniach, wybuchach, w całym świecie. Nikt jednak nie zastanawia się i nie bierze pod uwagę w kalkulacjach patriotyczno-ojczyźnianych i strategiczno-militarnych tego, co zostanie w obecnym dziecku po dajmy na to, pięćdziesięciu latach. Ile jego, zdawałoby się irracjonalnych zachowań (np. moje fruwające pierze, fajerwerki, podarta pościel, konkretny wzór materiału), ile strat osobistych i społecznych spowodowanych pamięcią ciała obecnych dzieci, będzie miało źródło w czyichś, z założenia jedynie słusznych poglądach.

Czy ktoś, kto urządza patriotyczne marsze i interpretuje powstańcze zrywy w jeden, ograniczony sposób, choć przez moment weźmie pod uwagę, że swoim intelektualnym ograniczeniem otwiera drogę społecznym fobiom, mogącym znaleźć finały niekoniecznie tak niewinne, jak w moim przypadku?

19. Bycie wężem

HardChief opisał ostatnio swoje wrażenia z bycia wężem.

Tyle lat nas dzieli, tyle doświadczeń, a jednak pewne doznania są wspólne.

Chcę opisać swoje doświadczenie z bycia wężem.

„Na zapylonej, wiejskiej drodze stopy obute w sznurowane, brązowe buty cuchnące pastą grzęzną w piachu; trudno iść, a już nie ma mowy o tym, żeby biec; jest gorąco, nudno i mdło. Proszę matkę:

— Pozwól mi iść boso, nie chcę chodzić ciągle w butach; inne dzieci biegają boso lub mają sandałki, dlaczego tylko ja zawsze muszę nosić te obrzydliwe wkładki ortopedyczne i te wstrętne, czarne, sznurowane wysoko buty!

— Nie marudź — odpowiada zniecierpliwiona matka. — Wiesz dobrze, że masz platfus i musisz je nosić, dopóki nie dorośniesz, jeśli nie chcesz być kaleką na całe życie.

— Kiedy mi gorąco...

— Skończ już wreszcie, bo ci przyleję; za jakie grzechy Pan Bóg mnie pokarał takim dzieciakiem!

Zatrzymałyśmy się przed domem, gdzie mieszkali znajomi matki. Siostra piszcząc i uciekając przed osą biegała w sandałkach po skoszonej łące, sztywne źdźbła ślizgały się po jej gołych nogach, może na którymś z nich znalazłaby się jeszcze kropelka rosy. Ja usiadłam na skraju drogi i widząc, że matka długo nie wraca, zdjęłam przepocone skarpetki i buty. Po co je było pastować śmierdzącą mazią, od której zbiera się na wymioty, skoro już są brudne ! Połysku nie widać, a smród został (nie mówi się smród, tylko brzydki zapach — poucza nieobecna matka).

Piasek przesypywał się między palcami, bose stopy z ulgą nurzały się w nim aż po kostki. Uklękłam czołgając się na kolanach i łokciach wśród miliardów drobinek. Parzące ziarenka szlifowały moją skórę, osypując się po lśniących łuskach, nie zostawiały na nich najmniejszego pyłku. Nogi zrosły się w jeden elastyczny, pozbawiony stawów człon, podobnie jak i ręce; głowa powędrowała na czubki tego, co niedawno było moimi palcami, a teraz stało się nowym narządem, bogatszym i precyzyjniejszym w odczuciach. Ciało zmieniało się w ciało węża pełznącego przez gorący piach, uparcie, bez celu, a może do celu znanego tylko nowo doznanej, wężowej naturze, ukrytego jeszcze wciąż przed ludzką cząstką mojej istoty.

Ziarna piasku ogromniały, stawały się stosem sypkich, chrzęszczących szkiełek z rozbitych różnokolorowych butelek, iskrzących się w słońcu kryształków, układających wzory, nieznaną siłą odtwarzane natychmiast na łuskach ciała.

Jestem więc wężem, na grzbiecie mam swój wzór, tylko jeszcze język się nie rozdwoił i nie nauczyłam się syczeć; ciągle mam wargi, a one i wysunięty do przodu język schną w gorącym wietrze, podczas gdy z gardła wydostaje się nieprzyjemny charkot. To resztki ludzkiej natury, tej nie zżytej jeszcze z

upałem i piaskiem trzeszczącym w zębach, ale niewiele już brakuje, by znikły, a ja osiągnę pełnię w wężowej jedności.

Więc kiedy matka na mnie krzyczała, że sukienka była wczoraj prasowana, że inne grzeczne dziewczynki słuchają rodziców, że siadają na trawie podłożywszy uprzednio chusteczkę do nosa, że matka tak się męczy, aby mnie ubrać i obuć przyzwoicie, a ja tego nie doceniam i wstyd przynoszę wyglądając jak wsiowa dziewucha — nie miało to dla mnie większego znaczenia. Słyszałam jednak wszystko; słowa zapadają w pamięć tworząc kształt tego, do czego zobowiązuje mnie człowieczeństwo, choć tak niewiele było trzeba, by poznać tajemnicę wężów.

20. Pułkownik z Taszkentu

Przez wiele lat nie przywiązywałam wagi do dziwnych odczuć i wrażeń, które mi się przytrafiały. Jak wspominałam już, zajmowałam się tym co konkretne i namacalne. W nadmiarze obowiązków, którym usiłowałam sprostać, próba spekulacji, co właściwie mi się przydarza, obniżyłaby tylko próg zaufania do siebie, mojego trzeźwego osądu sytuacji i zdolności poradzenia sobie z pojawiającymi się problemami. Aż do pewnego momentu, gdy cały, pracowicie zbudowany przeze mnie zdroworozsądkowy świat runął i uwięziona w ciele, które okazało się słabsze niż przypuszczałam, musiałam wrócić do wypartych odczuć.

Jednym z najważniejszych było poczucie (chwilowe), że jestem w kimś, w jego środku, znam jego życie, myśli, problemy – a jednak zachowuję swoją odrębność. Jest to znacząco inne odczucie niż opisane w „Zrujnowanej fabryce", gdzie na pograniczu jawy i snu „przemieszczałam się" z jednej osobowości w drugą.

Doświadczenie to spotkało mnie dwukrotnie – raz w stosunku do człowieka po straszliwych wojennych przeżyciach, drugi raz w stosunku do kilkumiesięcznego niemowlęcia. W obu przypadkach doznałam głębokiej fascynacji cudzym światem i dlatego zapewne do dziś te wrażenia nie opuszczają mojej pamięci.

W sferze doznań fizycznych zanotowałam jedną prawidłowość: ogromne znużenie, zmęczenie powiązane z wrażeniem, że wokół mnie powietrze zgęstniało do konsystencji ledwie umożliwiającej oddychanie. Wielkie pragnienie znalezienia się gdzieś indziej.

Pierwszy raz spotkało mnie to podczas wycieczki po krajach byłego ZSRR na końcu tej wycieczki, na lotnisku w Taszkencie dwa lub trzy lata po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło część miasta.

Po kilkunastu dniach podróży i zaliczeniu ośmiu samolotów w ciągu ostatnich dwóch; braku snu, z głodem, który wskutek zmęczenia stopniowo przechodzi w brak apetytu, z wyschniętym gardłem, ale i z niechęcią do picia, bo nie wiadomo, gdzie uda znaleźć się toaletę, osiąga się stan, kiedy wszystko wokół wydaje się bądź nieważne i nie warte chwili zastanowienia, bądź tak jaskrawie istotne, jak prorocza wizja. Nękają naprzemienne wybuchy wściekłości i chwile bezmyślnego otępienia. Czasem zapragnie się jakiegoś drobiazgu bez sensu, czasem zaś grymasi na wszystko, łącznie z tym, czego przed chwilą namiętnie się pożądało.

To lotnisko było piątym z kolei w turystycznym ciągu dwóch nocodni, gdy, jak na sali porodowej, mylił się noc z dniem, a różne czasy kolejnych miast wyświetlane na wielkich tablicach powodowały, że nie wiedziało się, czy naprawdę to były dwa dni...

Byliśmy w Taszkencie zaledwie trzy godziny. Obwieziono nas autokarem po mieście, które zniszczyło trzęsienie ziemi, gdzie do oglądania zostało jedynie nowe budownictwo, noszące piętno pośpiechu oraz dziesiątków stylów, w których „zaprzyjaźnione kraje", każdy po swojemu, budowały tandetne domy; kolorowe i opatrzone mnóstwem ozdóbek oraz pompatyczne gmachy publiczne. W miejscu, gdzie kiedyś było epicentrum, w promieniu kilku kilometrów ocalał jeden, niewielki domek, który pokazywano wycieczkom. Długo w jego okolicy nic nie budowano, aż wreszcie przyszła kolej i na ten fragment miasta.

Zza okien autokaru pokazywano nam budujące się bloki, a z wykopu pod fundamenty wystawały kawałki gruzu, szmat, i kości. Wygonieni z ciepłego autokaru, senni i kulący się z zimna staliśmy bezmyślnie patrząc na ziemię miętoszoną koparkami. Ogromna łyżka przenosiła porcje gruzu, połamanych sprzętów i zetlałych szmat, gdy spomiędzy jej zębów wysypały się kości i czaszki. Pomyślałam wtedy, że jest to miasto zbudowane na cmentarzu i dlatego uczyniono go takim widnym, kolorowym i ozdobnym; szerokimi jezdniami zakryto miliony kostek i kosteczek, brokatowe spodenki kobiet, haftowane czapeczki, tony uśmiechów i kilometry warkoczy.

Potem zawieziono nas do szaszłykarni, żebyśmy przed odlotem już nie zawracali głowy.

Spytałam po polsku jakiegoś mężczyznę, siedzącego przy stoliku, czy jest wolne miejsce, zanim zdałam sobie sprawę, że nie może mnie zrozumieć i zanim sformułowałam swoje pytanie w niezgrabnym, szkolnym języku rosyjskim i zanim wskutek tego przypomniałam sobie, jak bardzo tu jestem obca, on skinął głową. Był wysoki, postawny i opalony – tyle zapamiętałam.

Marzyłam o piwie. Jedynie piwo zdolne jest zatrzeć oddech umarłych, piwo albo kawa. Kawa czyni okrutnym, piwo znieczula. Spytałam kelnerkę o piwo, ale nie było piwa. Poprosiłam więc o kawę. Ale nie było kawy, nie było piwa.

Szaszłyki podano mężowi bardzo szybko, ale ja kawy nie dostałam, musiałam czekać aż on skończy jeść, bowiem prawdopodobnie u nich w restauracjach jest przyjęte podawanie kawy na koniec posiłku, moja sprawa, że siedzę przy pustym stoliku i marzę o kawie, dostanę ją kiedy przyjdzie na to pora. Możliwe też, że w tamtych stronach kobieta nie otrzyma niczego przed mężczyzną, oboje zamówiliśmy kawę, najpierw podadzą jemu, potem jej – zbyt mało wiedziałam o tym mieście i tej szaszłykarni, której połowę umeblowano normalnie stolikami i krzesłami, a połowę we wschodnim stylu, podestami pokrytymi dywanem do siedzenia ze skrzyżowanymi nogami.

Mąż zajadał szaszłyki. Siedziałam pełna swojej niezgrabności, w wygniecionej i przykurzonej piaskami pustyni granatowej sukience Kieszeń sukienki pełna była posolonego piachu. Tłuste strąki włosów kłuły w szyję. Skąd ja się tu wzięłam?

Wyobraziłam sobie, że kawa jest tym wszystkim, czego pożądam, najpiękniejszym darem tego miasta, gdzie fundamenty kopie się między kośćmi, nagrodą za cierpliwość, nieprzespaną noc, głód i przepełniony pęcherz, jedyną rzeczą, której mi brakuje po obejrzeniu tych wszystkich cudów Samarkandy, Chiwy i Buchary, o których wiedziałam, że nigdy nie będzie mnie stać, aby spojrzeć na nie ponownie. Każde dotknięcie murów wyłożonych mozaiką sprzed setek lat było ostatnie, poślizgnięcie buta na starym kamieniu wygładzonym milionami stóp było pierwszym i ostatnim śladem, świadectwem przemijania chwil, które choć nieważne, jednak były i mijały, wiec i ta kawa, na którą czekam, będzie pierwsza i ostatnia. Kiedy napiję się kawy, myślałam, będę szczęśliwa i wówczas nie będę myśleć o tym, co mieści się pod moimi stopami, a budynki wzniesione na grobach staną się piękne, i wraz z nimi całe miasto tak przepełnione ozdóbkami, jak koronka wyłożona na brzeg sosnowej trumny dla zatarcia tchnienia śmierci. Czułam tę śmierć wszędzie, pod sobą, obok siebie, bardzo blisko.

Spojrzałam uważniej na mężczyznę siedzącego obok, bezwiednie i z przerażeniem, Patrząc na niego, wiedziałam o nim **wszystko,** nie wiadomo czemu i na dziwność tego zjawiska początkowo nie zwróciłam uwagi. Nagle on postawił przede mną butelkę piwa. Uśmiechnęłam się, tak było to dziwne

i niespodziewane, podziękowałam uparcie trzymając się polskiego, wyciągnęłam z kieszeni otwieracz przyczepiony do kluczy otwierających mieszkanie tysiące kilometrów stąd. Już pierwszy łyk przyniósł ulgę. Teraz wiedziałam o nim jeszcze więcej i szok był większy. Zawsze czułam nieszczęścia wokół siebie, swoje czy cudze, bez różnicy, bez wyboru, bez możliwości ucieczki, nigdy nie wiedziałam tylko ty to one biegną do mnie jak łaszące się koty, czy to ja pcham się w ich kierunku niczym mucha do lepu.

W dzieciństwie, gdy jeździłyśmy z matką na letnisko, ludzie w pociągach rozmawiali ze sobą, opowiadali sobie różne przeżycia, a potem rozstawali się uspokojeni. Czasem opowieści te otwierały przed dojrzewającą dziewczynką cały świat przeczuwanych dorosłych problemów i nieszczęść z tego pakietu, który stanie się dla niej dostępny w pełni, gdy dorośnie.

Ten, który siedział obok, jak podróżny z przejeżdżającego pociągu mojego dzieciństwa, domyślił się, jak gorąco pragnę piwa lub kawy i dał mi to, co miał w swojej torbie, zaczynając snuć opowieść.

Nie wiem, jak to się stało, że zrozumiałam wszystko, co mówił do mnie w swoim języku. Zniknęły bariery języka, zwyczajów, doświadczeń, poczułam aksamit swoich rąk i ból, który te ręce powinny koić.

Niewiele zdążył opowiedzieć, zanim przewodniczka nie zgarnęła nas tak szybko, że na stole zostało niedopite piwo, a kawy nie zdążono już podać. Dowiedziałam się, że był pułkownikiem, wracał z wojny w Afganistanie, urodził mu się syn, którego jeszcze nie widział, a który miał już półtora roku.

Powiedział, że tam ich zabijali i oni też zabijali, że musieli i nie mieli innego wyjścia. On też zabijał. Teraz siedzi w tej szaszłykarni i nigdzie dookoła nie ma wojny. Żadnej wojny. Czy ja mogę zrozumieć, po co to było? On też o tym nie ma pojęcia, nikt dookoła nie widzi nic dziwnego w tym spokoju wokół, nikt nie czuje nic, co unosiłoby się w powietrzu, tylko on siedzi jakby w kokonie ze złej mgły, obcy tak, jak nie był w obcym kraju.

Nie chciałam myśleć, co on, mój sąsiad przy stoliku robił w ciągu tych dwóch lat, co jemu spędzało sen z powiek, wystarczająco wiele rzeczy słyszałam i czytałam, ale nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym myśleć o nim źle. I on i ja byliśmy w tym świecie obcy, ja marzyłam o butelce piwa, on mógł spełnić tak śmiesznie niepoważne moje marzenie i nagle staliśmy się sobie tak dziwnie bliscy, tak przeniknęliśmy w siebie, jakbym ja mogła wiedzieć cokolwiek o zabijaniu, które nie pozwala spać nocami, o obrazach, które do końca życia pozostaną i rozsądek ich nigdy nie zaćmi, a jakby on mógł domyślić się tego, co uczyniło mnie obcą w stosunku do wszystkich możliwych światów... Mogłabym godzinami opowiadać o jego życiu, chociaż go w ogóle nie znałam. Wiedziałam wszystko o wojnie, którą prowadził i o rozczarowaniach, które go jeszcze czekają.

...Oni zabijali nas, obcinali nam ręce, nogi, genitalia. Na naszych oczach, w bezpiecznej odległości, po trochu, czasem kilka dni. Czasem dobijali ofiarę, a czasem zostawiali na pasie ziemi niczyjej, czasem pozwalali zabrać kadłuby, a czasem nie. My też ich zabijaliśmy. Jeśli zrobiliśmy to źle, niedokładnie, strzelali do nas...

Nie spytałam go jak miał na imię, pytałam za to o imię żony, o imię dziecka, o jego wagę i wzrost przy urodzeniu, o to, co umiałam zapytać dzięki szkolnej nauce, a nie spytałam o najważniejsze. To napływało samo w dziwnym, podwójnym dialogu.

Potem, kiedy samolot awaryjnie lądował w burzy śnieżnej kotłującej się tysiące kilometrów dalej, w chwilach najgorszego strachu powtarzałam sobie, że nie można nagle kogoś spotkać, kto tyle razy uniknął śmierci, poczuć naszą jedność i w głupi sposób umrzeć.

Według zegarka znaliśmy się 23 minuty. Zdążyliśmy jedynie podać sobie nazwy miast, w których mieszkamy. Dziś już nie pamiętam nawet nazwy jego miasta.

Teraz, została z tego zawartość krótkiego konspektu: zmęczenie wycieczką – zwiedzanie placu budowy – szaszłykarnia – zamówienie posiłku – marzenia o kawie lub piwie – postawienie piwa przez nieznajomego – rozmowa o Afganistanie – wyjście na lotnisko bez skończenia piwa i rozmowy. Cała reszta jest nieuzasadnionym, być może idiotycznym przekonaniem, że znajdowałam się we wnętrzu kogoś, a ten ktoś odwiedził moje wnętrze.

Drugi raz doznałam tego uczucia gdy zostałam sama na działce z chorym i gorączkującym niemowlęciem. Nie miałam możliwości odwiezienia go do lekarza, nie było jak wezwać pogotowia. Mogłam tylko siedzieć przy nim całą noc czekając do ranka. Od jego posłania dzielił mnie niski, podłużny stolik, który dosunęłam, żeby rzucając się po wersalce nie stoczył na ziemię.

Z drzemki po drugiej stronie stołu wyrwał mnie nagły krzyk pełen przerażenia. Zobaczyłam wtedy własnymi oczami, czego bało się dziecko. Otóż w jego śnie stolik przekręcił się, stanął na tylnich nogach, a przednimi, niby zły byk, zaatakował kopytami dziecko.

Uspokoiłam go oczywiście, napoiłam i uśpiłam. Oczywiście nie miałam jak sprawdzić, czy widziałam rzeczywisty sen małego, ale jestem pewna że tak. Moje własne, prywatne strachy nigdy nie przybierały podobnych form.

21. Troszkę o zwierzętach

Mój znajomy przeczytawszy jeden z odcinków bloga napisał mi w mailu: Tyle lat się znamy, a nie miałem pojęcia, że nie lubisz psów (zwłaszcza jamników) a także i lasu.

Muszę sprostować. Mój stosunek do lasu wymaga odrębnego omówienia, ale jest daleki od „nielubienia". Co zaś tyczy psów i innych zwierząt oraz dzieci — jest taki jak do wszystkich ludzi dookoła: jednych lubię bardziej lub mniej, innych nie lubię, do większości mam stosunek obojętny. W miarę bliższego poznawania często też inaczej patrzę na człowieka, którego wcześniej nie dostrzegałam i vice versa.

Podobnie jest z psami. Niektóre lubię, inne niezbyt. One także, jedne się łaszą inne na mnie warczą. Prawdą jest, że niespecjalnie lubiłam wspomnianą Figę i inne jamniki. Są to przecież nie pieski pokojowe, a zwierzęta dobierane i hodowane pod kątem przydatności w niektórych rodzajach polowań i traktowanie ich jako poduszki-przytulanki do snu może powodować różne aberracje. Mnie przypominają nieszczere i śliskie lizusy — ale to, jak zawsze wyłącznie moje zdanie nie poparte niczym.

Nie znoszę też psów, które wymuszają na człowieku podporządkowanie się i je egzekwują. Pewien mój znajomy miał wielkiego i groźnego psa, który nie znosił zapachu alkoholu. Jego sprawa, ale kiedy zaprosił kiedyś gości na Sylwestra pies został potraktowany środkami uspokajającymi i zamknięty w ubikacji. Niestety, czasem goście musieli tam też się udać. Było to okropne, niwelujące atmosferę beztroskiego świętowania. Po pierwsze traciło się prywatność i wszyscy wiedzieli, że tam idziesz, bo trzeba było prosić gospodarza o przytrzymanie psa. Po drugie gospodarz za kołnierz nie wylewał, więc pies rzucał się na niego, tym gorliwiej, im bardziej przestawały działać lekarstwa. W końcu gospodarz wymyślił, że przywiąże psa do pod stołem, do czterech nóg dla pewności. Oznaczało to oczywiście jedzenie z talerzykami w rękach w bezpiecznej odległości od bogato zastawionego stołu. Wszyscy już trochę wypiliśmy, a grzeczność wymagała, żeby nie ulotnić się przed północą. Mnie się to jednak udało, coś wymyśliłam. Potem słyszałam, że na zakończenie imprezy pies zerwał się z uwięzi i pogryzł gospodarza.

Czy takie zwierzę można lubić? Można współczuć, ale bynajmniej nie gospodarzom zapraszających do domu gości.

Jeśli jesteśmy już przy psychicznych odchyłkach psów muszę napisać o działkowym psie-przybłędzie. W okolicy nazywano go „Głupi". Był to pies z ogromną niezagojoną raną na czole. Prawdopodobnie została zadana wiadrem, bowiem pies nie bał się niczego: siekiery, łopaty, piły łańcuchowej, kosiarki, elektronarzędzi, — z wyjątkiem szczęku ocynkowanych wiader. Pies był bardzo przyjazny, wesoły, a raczej wesołkowaty. Łasił się do każdego, błaznował po psiemu, popisywał się. Żarł wszystko. Resztki ze śmietnika, nawóz z pola. Kiedyś wystawiłam na schodki dla ostudzenia żeliwny garnek po topieniu smalcu, z tych wpuszczanych w fajerkę kuchni, o kształcie zwężającej się ku górze amfory. Działka nie była jeszcze wówczas ogrodzona i pojawiały się na niej wszystkie możliwe zwierzęta: sarny, zające, psy, koty, lisy a nawet kuny czy łasice (nie odróżniam tych zwierząt). „Głupi" wsadził głowę do garnka, a potem nie mógł jej wyjąć. Biegał po okolicy z garnkiem na głowie, a ja i sąsiedzi usiłowaliśmy go

złapać i uwolnić. Po trzech dniach gdzieś zniknął i więcej go nie widzieliśmy. Przeżył jednak, bo w zimie na sąsiedniej działce znalazłam garnek, ale niegdzie w pobliżu nie było zwłok psa.

Temu psu współczułam – tyle nieszczęść go spotkało, ale los jakby próbował mu to wynagrodzić dając głupawą radość i entuzjazm (nie szkodzi, że spowodowane zapewne uszkodzeniem mózgu).

Ostatni weekend spędziłam w Puszczy. Rozmawialiśmy o zwierzętach. Pani Jola opowiadała o swoim psie. To przykład psa spryciarza. Rano wpadł do jej sypialni próbując zmusić do wstania, ubrania się i wyjścia z nim na zewnątrz. Zaczął więc ogryzać jej palce. Akurat pani Jola wolałaby trochę podrzemać, wiec pies poszedł do kuchni. Szafki pani Joli mają drzwiczki na magnesy, więc zamykają się same z głośnym trzaskiem. Pies otwierał drzwiczki jak najszerzej i puszczał je. W końcu pani Jola miała dosyć i musiała wstać.

O psach i ich sprycie można by mówić w nieskończoność. Ale o ptakach?

Cała rozmowa zaczęła się od opowieści emerytowanego leśniczego o ptakach porywających włoskie orzechy, które w tym roku bardzo obrodziły. Leśniczy twierdził, że musi bardzo rano zbierać orzechy, bo inaczej porywają je kawki, niosą i rzucają na asfalt czekając, aż rozjadą je samochody. Nie jestem pewna czy opowiadał coś, co sam widział, czy po prostu gdzieś usłyszał lub przeczytał tę opowieść. Ale gdy opowiadał o tym, jak ptaki przenoszą te orzechy – chyba musiał to widzieć. Twierdził, że gdy orzech miał miękką, zieloną otoczkę, ptak wbijał weń zamknięty dziób i tak niósł orzech.

Jeżeli jestem już przy orzechach, to pewnie nikt mi nie uwierzy, kiedy powiem, że wiewiórki lubią wiśnie. W tym roku w lipcu zjadły z działki wszystkie wiśnie szklanki. Zazwyczaj zjadają je ptaki, ale w tym roku zabrały się za nie wiewiórki.

Poniżej dowód:

W następnym odcinku o słowiku który naśladował telefon komórkowy oraz o innych moich dziwnych obserwacjach.

22. Wariacje słowiczych treli

W maju lub czerwcu w naszej okolicy śpiewa kilka słowików, i każdy robi to inaczej, czasami wydaje się wręcz, że idą z sobą w zawody. Nie jestem pewna czy potrafiłabym je odróżnić od innych maleńkich ptaszków, których pełno wiosną na działce, głos słowików jednak bardzo się wyróżnia.

Melodie każdego pana słowika zmieniają się w zależności od pory dnia i od sytuacji życiowej – podobno pan słowik śpiewa nie tylko podczas zalotów, ale także, gdy samica wysiaduje jajka – aby umilić jej nudne życie. W każdym razie ja odróżniałam „swojego" słowika, śpiewającego w narożniku ogrodu od dwóch słowików sąsiadów. „Mój" słowik był stosunkowo cichutki, lubił zaczynać śpiewy bardzo rano i raczej milczał w południe, ale jeden ze słowików sąsiadów odznaczał się bardzo donośnym i ostrym głosem i jakby dążąc do zlikwidowania konkurencji, najchętniej śpiewał właśnie w południe, gdy inne słowiki i reszta ptaków zachowuje się ciszej. Ten słowik mieszkał po drugiej stronie działki sąsiadów, ale często przylatywał na naszą działkę, jakby chciał się popisywać przed ludźmi, co sprawiało, że był najlepiej słyszany ze wszystkich.

Słowiki nie poprzestają na jednej melodii; wydaje się, że im bliżej lata, coraz bardziej różnicują swoje trele. Potrafią też (chyba) podkradać sobie swoje frazy.

Pewnego dnia robiłam coś na grządce pod płotem, a telefon komórkowy położyłam na pieńku przy basenie (moja działka jest na granicy zasięgu i nie we wszystkich miejscach i porach dnia telefon odbiera sygnał, w każdym jednak razie najlepiej na tym właśnie miejscu i tu ustawiłam pieniek, na którym go kładę. Tego dnia telefon dzwonił kilkakrotnie, ciągle ktoś miał do przekazania wiadomości dla moich sąsiadów, u których odbiór był jeszcze gorszy. Za którymś razem pobiegłam przez cały ogród (depcząc w pośpiechu truskawki, przez które było najbliżej), ale na miejscu okazało się, że się pomyliłam, nikt nie dzwonił. Kiedy sytuacja powtórzyła się trzy razy, sprawdziłam pamięć rozmów w telefonie i okazało się, że oczywiście, były to fałszywe alarmy. Gotowa byłam już posądzać się o omamy słuchowe (czasem mi się zdarzają na granicy snu i jawy, przeważnie gdy się budzę), kiedy zorientowałam się, że to słowik sąsiadów naśladuje głos mojego telefonu.

Oczywiście słyszałam o papugach, ale nigdy nie natknęłam się na wiadomości o innych ptakach, naśladujących głosy. W każdym zaś razie nie o słowikach. W ciągu całego dnia, aż do wieczora, słowik powtarzał uparcie sygnał z mojego telefonu, a od dnia następnego zaczął go twórczo rozbudowywać i przekształcać. Wplatał jego fragmenty w swoje trele, tak że można było tę muzykę nazwać *wariacjami słowiczych treli na temat telefonu komórkowego*, co samym brzmieniem określenia budzi pewną odrazę połączoną z żalem, że oto jeszcze jedna nieskażona część przyrody przemija na naszych oczach (i uszach).

Niestety, wytwory kultury człowieka przedostają się także do świata zwierząt i nie są to wytwory najwyższego rzędu, a głupawe melodyjki sygnałowe ludzkich urządzeń. Nie szkodzi, że twórczo przekształcone przez ptaka spełniają jego życiowe powinności w wystarczającym stopniu, zawsze jednak pozostaną sygnałem telefonu, a nie sonatą słowiczego Bacha.

Tu jeszcze dodam historyjkę o ciężarnej kocicy, która w panicznej ucieczce przed goniącym ją psem, po sekundach ostatecznego namysłu nad wyborem wroga, wybrała łańcuchową piłę i drżąc na całym

ciele przysiadła na stosie przycinanych pieńków, ponieważ prawdopodobnie zdała sobie sprawę, że piła łańcuchowa jest zwierzęciem podporządkowanym człowiekowi (w przeciwieństwie do goniącego ją jakiegoś obcego psa) i uznała, że obecność człowieka daje jej większe szanse. Lub opowieść z poprzedniego odcinka o psie, nazwanym „Głupi".

Na życiu tych wszystkich zwierząt odcisnął piętno człowiek, a właściwie jego kultura (materialna lub nie) wypaczając ich naturalny rozwój. Wprawdzie psy i koty od bardzo dawna współżyły z człowiekiem i dostosowywały się do niego, jednak obecnie prawie niezauważalnie, mimochodem i bez zainteresowania, psujemy świat otaczający nas, przenosząc problemy, z którymi sami nie dajemy sobie rady na barki innych, jeszcze mniej do tego przystosowanych. W końcu to my zwiększyliśmy liczbę wrogów tej wspomnianej kocicy o parę elektronarzędzi. Jeżeli prawdą jest historia o kawkach czekających na rozjechanie samochodami orzechów, to także uczymy je nieprzewidywalnego używania przypadkowych narzędzi. Głównie do niszczenia zresztą.

Kiedyś spędzałam na działce po kilkanaście dni, miałam czas na poranne wsłuchiwanie się w głosy ptaków. Miałam atlas, ale, niestety, nie miałam dostępu do internetu i nie przyszło mi do głowy sprawdzać gatunków ptaków po ich śpiewie. Teraz czasem to robię, mam dyktafon, nagrywam głos i w domu sprawdzam próbując dociec, jakiego ptaka słuchałam. Niestety, jak wspomniałam, działką już nie zarządzam i nie zawsze mam możliwość tam pojechać, gdybym nawet chciała. A w sezonie słowików zwłaszcza. Poza tym stale zmienia się rodzaj ptaków na działce. W ubiegłym roku paskudnie skrzeczały sroki, podobnie jak w Warszawie, pod moim blokiem.

23. Wilczy las

Postanowiłam odrębny odcinek poświęcić mojemu stosunkowi do lasu. Niektórzy moi znajomi, jak większość czytelników zresztą, myli autora z bohaterem. Zamieszczenie opowiadania „Wasz fiolet" o kobiecie popadającej w paranoję z powodu lęków m.in. przed lasem uznało, że ja także boję się lasu i nie lubię go (podobnie jak jamników).

Mój przyjaciel z dawnych lat napisał nawet z podświadomie sformułowaną pretensją: „Tyle lat cię znam, a nie wiedziałem, że nienawidzisz lasu... Ja bez niego nie mogę żyć"

Miałam mu to wytłumaczyć w mailu, napiszę jednak na blogu.

Do lasu nie mam żadnych uprzedzeń. A jednak...

W astrologii kwadratura planet różni się od ich opozycji tym, że skłania do dyskusji i prób osiągnięcia rezultatu w postaci uzgodnienia, przepracowania, w przeciwieństwie do opozycji planet, która skłania raczej do walki i przeciwstawiania się czemuś. Tak więc używając astrologicznej analogii, mój stosunek do lasu jest raczej z gatunku kwadratur niż opozycji.

Myśląc o lesie najdalszą pamięcią sięgam do lat dziecinnych. Rzecz działa się prawdopodobnie w roku 1948 lub wcześniej na Białostoczczyźnie, prawdopodobnie na dzisiejszych terenach puszczy Białowieskiej. Wnioskuję to stąd, że do szkoły poszłam w wieku 5 lat (nikt w domu nie był w stanie ze mną wytrzymać – dziś nazywa się to ADHD), a urodziłam się w roku 1942, siostra w 1945. W czasie tych wydarzeń nie chodziłam jeszcze do szkoły, był więc to prawdopodobnie rok 1946 lub 1947.

W lecie matka ze mną i siostrą jeździła na letnisko. Towarzyszyłyśmy przyjaciółce mamy, do której przedwojennych majątków wieś ta należała. Matka lubiła tam jeździć. Pobyt nie kosztował drogo, a traktowano ją tam z głębokim szacunkiem i wręcz uniżonością. Przyjaciółka matki była *dobrą dziedziczką,* więc ludzie ją życzliwie pamiętali i szanowali, a co więcej, nie będąc pewni stałości powojennych porządków, na wszelki wypadek woleli dobrze żyć ze swoim byłym państwem.

Wieś znajdowała się w środku rozległej puszczy. W mojej pamięci zostały przede wszystkim ogromne łopiany porastające brzeg małej rzeczki, ginącej w lasach okrążających wieś, o których mówiono: *nieprzebyta puszcza*. Samo słowo „łopuchy" budzi we mnie do dziś skojarzenie z upalną tajemniczą wilgocią i małą Calineczką kulącą się na liściu.

W pobliżu wsi puszcza wyglądała jak każdy inny las — rzadko rosnące stare sosny i świerki, miękki mech i podłużne wielkie szyszki, którymi bawiłyśmy się z siostrą, a które stare, wiejskie kobiety zbierały do wielkich, zarzucanych na plecy koszy, aby nimi palić pod kuchnią. Ale coś z tajemniczości i grozy tego określenia wywierało wpływ na drzewa rosnące wokół, wydawały się bowiem większe i szumiały groźniej, niż jakiekolwiek inne drzewa. W tym lesie, między dwoma pniami matka rozwieszała sznurkowy hamak, w którym bujałam się, podczas gdy siostra spała w wózku.

We wsi najciekawsze były wieczory. Matka wraz ze swoją przyjaciółką, siadywały w kuchni z wiejskimi kobietami. My bawiłyśmy się w kącie i przysłuchiwałyśmy dorosłym. W tym otoczeniu matka nie mogła tak kierować rozmowami, jak u siebie w domu i to sprawiało, że mogłam słyszeć mnóstwo interesujących rzeczy, zupełnie dla mnie nowych. Wprawdzie matka uważała, że jej dzieci nie

powinny słuchać głupich bajek prostych bab, ale przyjaciółka ją wyśmiała. Twierdziła, że na tych bajkach wychowało się wiele dzieci ze sfer ziemiańskich włącznie z jej córkami i w niczym to im nie zaszkodziło. Moja matka, urodzona w mieście, a wychowana w sierocińcu u zakonnic, uważała, że bajki tylko szkodzą dzieciom, uczą je głupstw i przesądów. Była jednak podatna na wpływy ludzi, którzy jej imponowali, a do których należała jej przyjaciółka, chociażby z racji swojej niegdysiejszej pozycji wielkiej właścicielki ziemskiej – tak, że przynajmniej w jej obecności nie sprzeciwiała się obowiązującym zwyczajom. Mówiła wprawdzie do mnie z pogardą, że są to proste wiejskie kobiety i nie można przywiązywać zbytniej wagi do tego, co plotą, ale uwagi te puszczałam mimo uszu, bo opowiadania tych kobiet były barwne i fascynujące; słuchać ich można było bez końca z zapartym tchem.

I tak oprócz baśni usłyszałam mnóstwo *prawdziwych historii* o wilkach, wilkołakach, duchach, zmorach, utopcach i strzygach. Nie obeznana do tej pory z baśniową mitologią nie odróżniałam tych stworzeń od siebie, zwłaszcza wilków od wilkołaków, ale bałam się ich tak samo. Kobiety opowiadały, że w czasie ostrych zim wilki buszowały po wsi nawet w biały dzień, a ludzie bali się wyjść do stajni, obory lub studni. Najstraszniejszą chyba historię opowiadano o młodym koniku, kasztanku, który był własnością syna opowiadającej. Źrebak ten wydostał się przez niedomknięte drzwi stajni i uciekał po całym podwórku, goniony przez stado wilków. Rodzina zamknięta w chacie, bała się wyjść i syn opowiadającej musiał patrzeć, jak wilki zagryzają jego ukochanego konika i słuchać jego przedśmiertnego rżenia, od czego zawsze już w chwilach napięcia drga mu powieka.

Było także mnóstwo innych historii o wilkach: o niemowlęciu, które matka zostawiła w lesie zbierając jagody i które zagryzły wilki, o kobiecie z drugiej wsi, której wilki tak słuchały jak swojej pani i robiły wszystko, co im kazała. Kobieta ta chodziła śmiało sama po lesie, a kiedyś widziano ją, gdy szeptała na ucho coś sekretnie dwom wilczycom. Następnego dnia wilki zagryzły krowę na pastwisku jej największej nieprzyjaciółki. Było wreszcie opowiadanie o młodej dziewczynie, maltretowanej przez narzeczonego, która nie mogąc znieść tego traktowania, poszła sama w nocy do lasu, na spotkanie śmierci. Rano ku przerażeniu wsi, wróciła cała i żywa, ale z pokąsanymi przez wilki rękami. Od tej pory zmieniła się zupełnie. Przestała odzywać się do ludzi, jeśli coś chciała, okazywała to warczeniem i gestami; odeszła też od chłopca, a on znalazł sobie inną dziewczynę, mimo że narzeczona była najbogatsza w okolicy. Pewnej nocy znaleziono jednak chłopca z drugą dziewczyną zagryzionych przez wilki. Gdy ludzie ruszyli śladem wilczych tropów, doszli do chaty narzeczonej i przez okno ujrzeli, że z wilczycy zmienia się z powrotem w dziewczynę. Związali ją więc, zbili batami, że ledwo dyszała i w głębokim lesie przywiązali do drzewa, aby zamarzła, nikt bowiem nie miał tyle odwagi, aby własnoręcznie zabić kogoś, kogo znało się od dziecka. Ale kompani dziewczyny — *wilcy* — nie dali jej zginąć. W lesie pozostały tylko przegryzione więzy, a sama dziewczyna, już w postaci wilczycy, długo nękała okolicznych chłopów, nie zmieniając się jednak na szczęście w kobietę, bo wiedziała, że ludzie jej już wśród siebie nie chcieli.

Wszystkie te opowieści zapadły głęboko w mój umysł. Bałam się chodzić do lasu mimo bliskości wsi i jasnego dnia. Matka jednak śmiała się z mojego strachu.

— Wilki mogą wyjść z lasu do wsi — mówiła — jedynie w czasie bardzo ostrych zim, kiedy w lesie nie mogą znaleźć pożywienia. Poza tym, polują tylko w nocy. W środku lata, a tym bardziej w dzień, nie zbliżają się do siedzib ludzkich na odległość głosu.

Matka postanowiła wyleczyć mnie z moich obaw. Pewnego dnia powiedziała, że idzie na grzyby, a my mamy zostać na polanie w lesie i tu na nią czekać. Wsadziła siostrę do wózka, a mnie do hamaka i zabroniła nam ruszać się z miejsca. Wybuchłam płaczem.

— Mamusiu, nie zostawiaj mnie samej — wołałam — ratuj mnie, ratuj mnie!

Gdy matka odchodziła, z krzykiem pogoniłam za nią i uczepiłam się jej sukienki, próbując ją zatrzymać. Matka urwała jakąś witkę z krzaka i zbiła mnie, po czym wsadziła z powrotem do hamaka. Ale strach przed wilkami i pozostawieniem w lesie był we mnie silniejszy, niż obawa przed biciem. Znowu pobiegłam za matką zanosząc się krzykiem. Tym razem matka była bardziej stanowcza. Zdjęła pasek od sukienki, odwiązała sznurek od torby przywiązując nimi mnie do hamaka za ręce i nogi, po czym zbiła mnie tak mocno, że na udach i rękach wystąpiły sine i krwawe pręgi. Zabrała wówczas koszyk i poszła do lasu.

Wrzeszczałam tak, że wydawało mi się, że za moment umrę od tego wrzasku. Brakowało mi już tchu, czułam, że się duszę, ale nie mogłam przestać krzyczeć. Dookoła był spokojny, słoneczny las, a mnie wydawało się, że za chwilę zza krzaka wypadnie gromada wilków z błyszczącymi czerwonymi ślepiami i rzuci się na mnie, skrępowaną i unieruchomioną, rozszarpując na krwawe kawałki. Wolałabym już umrzeć od wrzasku, teraz, w tej sekundzie, niż oczekiwać tego cierpienia, które nieuchronnie musi się pojawić, gdy wilki zaczną żywcem szarpać moje ciało; trzeba więc wrzeszczeć jak najgłośniej, może wszystko w środku mnie samo popęka.

Wtedy pojawiła się wiejska staruszka. Rozwiązała mnie, zdjęła z hamaka i zaczęła uspokajać. Kiedy nadeszła matka, staruszka postawiła mnie na ziemi, wymyślając matce jędrnymi, chłopskimi słowami, dosadnymi i pełnymi zimnej, spokojnej pogardy ludzi, którzy nie mają żadnych wątpliwości. Obrażona matka zabrała nas i wróciła do wsi. Byłam już spokojna, ale po raz pierwszy poczułam ogromną siłę nienawiści do matki. Gdybym była duża i silna i umiała to zrobić, na pewno bym ją zabiła, albo namówiła wilki, żeby ją zagryzły. Gotowa byłam zawrzeć pakt z każdym wilkołakiem, który potrafiłby sprawić, żeby matka umarła w takich mękach, jakie szykowała dla mnie.

W ten sposób skończyły się nasze wakacje. Przyjaciółka mamy powiedziała bez ogródek, że matka postąpiła głupio i okrutnie, a wilki zagryzły niemowlę w ubiegłym roku właśnie w środku lata i że jej zdaniem miałam prawo się bać. Matka doszła do wniosku, że w tej sytuacji nie może dłużej korzystać z jej gościny tym bardziej, że wiejskie kobiety odnosiły się do niej teraz bardzo wrogo i nawet spluwały na jej widok.

Wsiadłyśmy więc na wynajętą furkę, która zawiozła nas do stacji kolejowej, a powożący chłop od razu podkreślił, że nigdy by z taką paniusią, jak ona, nie pojechał za żadne pieniądze, gdyby nie to, że pani dziedziczka usilnie go o to prosiła.

Dziś za sprawą internetu i telewizji dzieci bardziej żyją w świecie wymyślonym niż rzeczywistym. Zapewne dlatego są uodpornione – do czasu – na niektóre typy lęków.

Ale w mojej pamięci las przetrwał jako struktura obca, do której należy podejść z rezerwą. Wspaniale jest słuchać szumu lasu przed burzą, kiedy w otoczeniu cichną nagle ptaki, a człowiek może siąść na chwilę na ławce przed domem oglądając błyskawice świadomy, że za chwilę może skryć się w domu, zamknąć drzwi i że chociaż nie ma piorunochronu (który w mieście jest na każdym wysokim budynku)

to sąsiedzi mają wyższe domy, piętrowe, więc prawdopodobieństwo uderzenia pioruna w mój parterowy jest niewielkie.

Nawet gdy na skraju lasu pioruny powaliły kilkanaście drzew przeżywałam to jedynie jak mieszczuch oglądający w telewizji wystąpienie rzeczki *„Smródki”* z koryta – z zaciekawieniem i fascynacją. Droga prowadząca na nasze działkowisko została zablokowana i fajnie było patrzeć jak niedoświadczeni kierowcy usiłują w leśnym gąszczu zawrócić, albo porzucają samochody i brnąc po kolana w kałuży, przenoszą swój dobytek, zamiast luksusowo dowieźć go pod wiatę własnego domu.

Czytałam kiedyś powieść o mieszkańcach świata *„po katastrofie”,* zamkniętych za palisadą wioski, w której to powieści pojawiał się motyw straszliwych, wieczornych, przerażających dźwięków. Na końcu okazywało się to szumem lasu.

Daleka jestem od takiego odbioru. Chodzę do lasu chętnie, wolę las dziki od takiego, w którym spotyka się co krok grzybiarza, jednak każde leśne bagienko przywołuje obraz leśnej rusałki, każdy omszały kamień legowisko dziwnego stwora, każdy szum i trzask pękających gałęzi odgłosy czegoś nieznanego i nieoczywistego. Moje obecne lęki, to strach przed samotnym natknięciem się na zastawione sidła (w moim lesie na działce brak zasięgu telefonu komórkowego i poza sezonem grzybów rzadko kto tam spaceruje, las jest pełen wykrotów i nor, w których łatwo wpaść).

Jestem jednak jak najdalsza od myśli odgradzania się od niego wielkim murem. Nie lubię jednak być w nim sama — choć ćwiczę to uparcie.

Jednak w snach i fantazjach zawsze LAS jest wielką, zaskakującą niewiadomą.

24. Laurka na dzień Nauczyciela — Niezrozumienie w metrze

Słucham muzyki zaproponowanej przez HardChiefa i Marię Peszek, śpiewającą: budzi moje przerażenie.

Chciałabym zawołać: Dziewczyno, czy ty wiesz jak naprawdę okropnie jest walczyć o fizyczne przeżycie? Kobieto, wychowana wśród problemów nie do końca rzeczywistych! Czy NAPRAWDE walczyłaś kiedyś o życie? Na wojnie, na łóżku szpitalnym, umierająca w pogardzie świata i zwątpieniu?

Wiem, rozumiem, że to niemożliwość porozumienia. Moje i Twoje pokolenie — suma strachów jest stałą arytmetyczną. Ich przyczyna – przypadkowa.

Dzisiaj jadąc metrem do miasta wysłuchałam takiej oto rozmówki, a właściwie opowiadania młodej dziewczyny:

— „Bardzo dzisiaj w nocy źle się czułam, nie mogłam spać, śniły mi się jakieś głupoty i w ogóle. Pewnie brała mnie grypa, a rano tak okropnie mnie głowa bolała, że nie masz pojęcia. Tymczasem z rana wytacza się z sypialni mój stary(ojciec) i zaczyna nawijać, że bierze go grypa, że w nocy nie mógł spać, że śniły się mu jakieś głupoty, wszystko to samo, co ze mną. Więc ja mu zaczęłam opowiadać, jak ja się w nocy czułam, a on stoi i słucha jak mówię. Kiedy skończyłam, on mówi: no nic, muszę iść do pracy. Byłam tak wściekła na niego, że kiedy już był przy drzwiach wykrzyczałam, że nic gorszego mnie nie mogło spotkać niż mieć takiego ojca, że go nienawidzę, że mogłabym go zabić i w ogóle."

Pomyślałam sobie z litością o tym biednym, zagrypionym ojcu, na którego córka napada nie wiadomo dlaczego, ale bardziej mnie zaciekawiło, co takiego w owym zdarzeniu było, i w zachowaniu się tego ojca, że zostało odebrane z taką ogromną dozą agresji. Dziewczyna była na oko tak koło dwudziestki, więc nie gówniara zupełna, potrafiła dokładnie powtórzyć co się zdarzyło. Po chwili dokończyła swoje opowiadanie:

— „No więc on wrócił już ubrany do wyjścia i powiedział: skoro mnie tak nienawidzisz nie musisz mieszkać ze mną, masz swoje mieszkanie."

Ale zagadka! Faktycznie, skoro ma swoje mieszkanie (zresztą pewnie ów tata jej kupił, albo odziedziczyła po babci, w każdym razie nie sądzę, żeby zdążyła na niego sama zapracować), to po cholerę mieszka ze starym, którego nienawidzi i z którym nie może się porozumieć? O mało nie wyrwały mi się te pytania, taka byłam zaciekawiona (aż zapomniałam, że mnie samą boli głowa, że w nocy nie mogłam spać, że mam gorączkę i że wreszcie pół godziny wcześniej jakaś furiatka uderzyła mnie w kolejce do przychodni, a ja nazwałam ją krową, wskutek tego w obawie o swoją głowę i okulary musiałam zwiewać bez pomocy lekarskiej i odłożyć swoją grypę do zakończenia reformy zdrowia).

Mój umysł z rozkoszą wyrwał się spod presji skrzeczącej rzeczywistości i zajął się zagadnieniem porozumienia między generacjami oraz kombinowaniem w jaki sposób dowiedzieć się od tej dziewczyny, co w odezwaniu się ojca tak ją dotknęło. Pomyślałam raptem, że może zacznę trochę rozumieć swoje dzieci (choć już na to pewnie za późno). Na szczęście dziewczyna zaczęła dalej

opowiadać milczącej koleżance i widać nie będąc pewna, czy tamta ją w pełni zrozumiała, zaczęła tłumaczyć:

— *„Ja zrozumiałabym, gdyby powiedział mi: idź do cholery, gówno mnie to obchodzi co czujesz, albo tak jak ja czasem mówię: no dobra, dobra i nie słucham co on do mnie mówi, to normalne. Ale tak stanąć na środku kuchni i dać mi opowiadać, a potem powiedzieć „idę do pracy". To najgorsze chamstwo!"*

Tak więc owa kobieta uważała że ojciec nie powinien słuchać co ona do niego mówi (a co uczynił zapewne z grzeczności, jak i ja bym zrobiła i cała większość ludzi z mojego pokolenia i nieco młodszych) tylko od razu uciąć jej opowieść. Ale dlaczego? Mógł wcale nie być znudzony jej opowiadaniem, a tylko w połowie uświadomić sobie że jest późno i trzeba wyjść z domu. Mogło go to interesować, ale już nie miał czasu na odpowiedź, albo głowa go bolała i nie chciało mu się myśleć z rana, albo pomyślał sobie: ja się poskarżyłem to i jej wolno. Albo myśleć o emeryturze i o tym, że bezrobocie i w ogóle i musi wytrwać jeszcze trochę... Nie mógł całkiem jej nienawidzić, bo dlaczego zgodziłby się żeby z nim mieszkała skoro ma własne mieszkanie? W każdym razie istnieje co najmniej dziesięć wiarygodnych sposobów interpretacji jego zachowania, i jedna interpretacja jej, całkiem niewiarygodna.

Ona uważała, że zachowanie ojca wskazuje bez cienia wątpliwości na brak szacunku do niej. Wydawałoby się więc, że jest osobą o nieco skrzywionej psychice, interpretującej wszystko na swoją niekorzyść, zbyt zakompleksioną, zbyt zapatrzoną w siebie, ale czy ja wiem? Czy, przypuśćmy, gdybyśmy zaczęły rozmawiać, lepiej by uzasadniła swoje przekonanie o chamstwie jego zachowania, nie wiem. Odwoływała się do czegoś, co dla niej było całkiem oczywiste, a dla mnie wcale. Tak więc do dyskusji między nią i ojcem, czy nią, a mną, nie było nawet skrawka przestrzeni wspólnej.

Dalsza część rozmowy dziewcząt nie była już interesująca, bo dotyczyła tego, co ona zrobi, jak ojciec każe jej naprawdę wracać do swojego mieszkania i za nie płacić, a że jest uparty itp.

Przypomniało mi się, że często w metrze słyszę różne rozmówki (taka akustyka, zresztą młodzież nie rozmawia przyciszonymi głosami, raczej się napawa swoimi opowiastkami, tak, aby mogło je słyszeć otoczenie). Często są to opowieści o wspaniałych pełnych humoru zdarzeniach i incydentach, przerywane wybuchami śmiechu, wymachiwaniem rąk, podskokami itp. żywiołowymi reakcjami, rzadko jednak można odnaleźć w nich jakąkolwiek iskrę prawdziwie interesującą. Są to opowieści pozbawione zupełnie fabuły, humoru, sensu.

— *„No więc on, rozumiesz, on powiedział do niej hahaha, spierdalaj, a ona, rozumiesz ona, hahahaha, poszła sobie, a ten zajob patrzył hahaha... „*

Zawsze zastanawiało mnie, o co naprawdę w tych opowiastkach chodzi. Przypisywałam tej młodzieży nieumiejętność opisu słowami jakiegoś śmiesznego wydarzenia oglądanego własnymi oczami niczym na ekranie telewizora, wszystko było jasne dla tych co widzieli, ale niezrozumiałe dla tych co słyszeli z kuchni.

Teraz jednak pomyślałam coś innego: To jest coś więcej niż telewizyjne widzenie. To jest inny język, i nie starczy go tłumaczyć na nasz, bo i tak nie stanie się zrozumiały. Niemożliwość zrozumienia wynika z zupełnie innych matryc znajdujących się w owych młodych ludziach. To coś tak jak obsługa edytora tekstów w komputerze. Naciśniesz nożyczki, znaczy wyciąć zaznaczony fragment, naciśniesz walizkę,

znaczy wkleić go w określone miejsce. Ale dla ciebie walizka to symbol podróży, jeśli więc weźmiesz do ręki walizkę znajdującą się na szafie, to prawdopodobnie znaczy, że masz zamiar wyjechać. Oni jednak odczytują ten zawężony tylko do jednej interpretacji sens.

— „*Weź walizkę, powiedział jej, hahahaha, a ona wyszła z domu hahahaha.*"

Nie przyjdzie im do głowy, że jest komputer i jest życie prawdziwe i są miliony innych układów oprócz ziemi, komputera, prywatki...

Tym bardziej jestem więc pełna podziwu dla nauczycieli, jako tłumacza dwóch światów. Niedoceniane osiągnięcia pedagogiczne to przecież nic innego niż ukazanie tym młodym (blokersom, szalikowcom, narodowcom skinom, i innym -*om* — (niepotrzebne skreślić), że istnieje jeszcze inny świat oprócz ich wyobrażeń, co więcej, że świat ten, pełen niuansów, dwuznaczności i przemyśleń, może być o wiele bardziej fascynujący niż to, co oglądali dotychczas. Kto jednak nauczy większość młodych ludzi rozumienia uczuć innych, ich postępowania, zamiarów i planów, w aspekcie innym niż nakłonienie ich do wydania forsy! Ze swoich młodych lat pamiętam własną fascynacje jedynymi, prostymi rozwiązaniami, obojętnie czego by nie dotyczyły, aż wreszcie nabycie przekonania, ze ludzie dotknięci nieszczęściami o wiele mniej by cierpieli, gdyby potrafili swe jasne i proste odczucia nieco zanalizować i skomplikować, ponieważ cierpienie może zmniejszyć się jeśli dostrzeże się jego sens i zrozumie drogi, którymi można się posuwać dalej w swoim stosunku do tego cierpienia, a także odkryje się, że inni też borykali się z podobnymi sprawami i jak z nich wychodzili: kiedy osiągali zwycięstwo, a kiedy padali pod brzemieniem.

Pięć lat pracowałam jako nauczycielka, jednak nie zdzierżyłam. Ta praca wysysa z człowieka całą jego zawartość. Ja tego nie chciałam.

25. Dzień Tryfidów

W książkach i filmach szukam zupełnie innych przekazów niż otoczenie, choć interesuje mnie nie tylko to, co autor chciał powiedzieć, lecz i to co mu mimowolnie „powiedziało się", choć to nieco schizofreniczne.

Początek takiego szukania zawdzięczam mojej koleżance, nie polonistce bynajmniej, a wieloletniemu pracownikowi ubezpieczeniowemu byłej Centrali Rolniczej Samopomoc Chłopska, z którą jako młoda dziewczyna pracowałam. Koleżanka ta była świetnym fachowcem od ubezpieczeń, zwłaszcza transportowych, autorką kilku podręczników, w owych czasach jedynych z tego zakresu. Była kobietą bardzo inteligentną i dociekliwą. Współpracując przy opiniowaniu dokumentów prawnych, nabyła umiejętności czytania tekstów, odzierania ich z prawnych ozdobników i mętnej mowy. Niesłychanie trafnie potrafiła ocenić konsekwencje dla sensu danego tekstu użycia takiego a nie innego sformułowania. Poza tym, że cała moja znajomość zawodu pochodzi od niej, łączyło nas jeszcze zamiłowanie do literatury SF i Tolkiena, przy czym ja podsuwałam jej książki, ona zaś czytając je uwielbiała dyskusje nad nimi. Czytając jednak te dzieła, robiła to inaczej niż ja; ja nie rozmyślałam zbyt nad tą literaturą, po prostu ją lubiłam, a tylko niektóre z książek uważałam za warte głębszej analizy, ona zaś czytała je podobnie jak projekty rozporządzeń prezesa Rady Ministrów czy ogólne warunki ubezpieczeń, wyłuskując także i to, czego autor bynajmniej nie chciał powiedzieć, ale co wylazło z jego książki jak szydło z worka.

W latach, gdy dobra zagraniczna literatura SF była mało dostępna wpadła mi w rękę książka, której autora nie pamiętam o niewiele mówiącym, choć tajemniczym tytule: „Dzień Tryfidów". Była wtedy taka moda (do dziś nie całkiem zapomniana) na „dni" w tytułach: „Dzień szakala", „Dzień świstaka", „Dzień świra" i jeszcze całe mnóstwo innych, bardziej zapomnianych dni.

Książkę przeczytałam jednym tchem i tak mnie poruszyła, że natychmiast z powodu zachwytu i chęci podzielenia się moją fascynacją pożyczyłam ją koleżance. Tymczasem ona, o zgrozo, wcale się nią nie zachwyciła. Zapytała mnie: Czy ty nie widzisz, że autor jest faszystą? Że proponuje podporządkowanie człowieka i całej jego osobowości, uczuć, miłości i marzeń wreszcie, społeczeństwu, które wprawdzie w słusznym zdaniem autora celu, niby dla konieczności przetrwania, decyduje o prokreacji, sposobie życia, narzucając jednostce rygory nie do przyjęcia. Nawet w naszym ustroju (były wówczas lata 70-te PRL) to jest nie do przyjęcia!

Zastanowiłam się. Oczywiście, miała rację. Jak najbardziej! Zrozumiałam, że autor zbudował społeczeństwo głęboko totalitarne, z reglamentacją wszystkich zachowań, w dodatku zakładających jednomyślność tego społeczeństwa, co nieuchronnie musi doprowadzić do eliminacji myślących inaczej (o czym jednak autor nawet nie napomykał).

Ale… Zepsuła mi przyjemność czytania.

Skłamałabym, gdybym stwierdziła, że byłam z takiej analizy dzieła zadowolona. Jako czytelniczka literatury rozrywkowej straciłam swoją dziewiczość, jako czytelniczka literatury poważnej wpadłam w pułapkę oceny wartości autorytetów. Wcale tego nie chciałam. Pisarzom chciałam wierzyć, wejść w ich świat z całym jego konstrukcyjnym i przesłaniowym bogactwem, stając się przez to na moment

autorem książki. To wejście w cudzy świat było na tyle fascynujące, że uważałam iż jest warte porzucenia na czas czytania normalnego krytycyzmu.

Ona była **recenzentką**, ja **czytelnikiem**, gotowym naiwnie uwierzyć w tezy autora, bo świat przez niego przedstawiony był frapujący i na chwilę uległam złudzeniu, że wszystko w nim jest piękne i słuszne.

Dziś, jako osoba znacznie bardziej dojrzała wiem, co w tej wizji tak mnie pociągało. Po pierwsze: skojarzenie. Pomiędzy tryfidami z powieści, dziwnymi stworami podobnymi do roślin, a tzw. „barszczem Sosnowskiego", rośliną która wyrwała się z plantacji kołchozowych b. ZSRR, gdzie hodowano ja na wysoko wydajną paszę, i pochłonęła na terenie południowo wschodniej Polski pierwsze ofiary, wprawdzie nie śmiertelne, ale dotkliwie poparzone, na pozór nie istniało podobieństwo. Barszcz Sosnowskiego nie był inteligentnym stworem i nie sposób mu było przypisać zamiaru „polowania" na ludzi. Jego ofiary zapuszczały się na nieużytki, tereny nieskoszone i, zwłaszcza w czasie upałów, wskutek dotknięcia samej rośliny lub nawet nadmiernego zbliżenia, parzyły się otoczką olejków eterycznych, unoszących się wokół. Barszcz był więc jedynie czymś w rodzaju groźniejszej pokrzywy.

Jednak skojarzenie tryfidów z rośliną, która realnie i namacalnie wyrwała się spod władzy człowieka po raz pierwszy uświadomiło mi, że nie wszystko, co robi się w dobrym celu, przynosi dobre wyniki. Jednym słowem „dobrymi chęciami piekło wybrukowane".

Pozostawiając na boku słuszność lub niesłuszność rozwiązań zastosowanych przez społeczność w „Dniu tryfidów" wiem już, że takie rozwiązania nie są niemożliwe w praktyce i że Ludzkość może łatwo nieoczekiwanie znaleźć się między młotem chaosu a kowadłem uporządkowania.

Co to ma wspólnego z recenzjami? Od tamtych czasów nie miałam nigdy ochoty dzielić się swoimi przeżyciami z czytania książek, a już zwłaszcza tych, które mi się podobały. Odkryciem ich głębi i piękna wolałam nie dzielić się z nikim w lęku, że odbiorą mi nieuchwytny intymny kontakt łączący pisarza z czytelnikiem. Recenzent był dla mnie tylko niechcianym pośrednikiem, kimś w rodzaju konkurenta do tego związku. Jak w trójkącie miłosnym.

Rozumiem też tych, którzy, jak większość społeczeństwa, deklaracje polityków odbierają jak audioboki. I w pewnej mierze zazdroszczę im.

26. Esej o starości

Czytam Przybylskiego "Baśń zimową - esej o starości". Temat jest bolesny, więc kilka razy zaczynałam i przerywałam. Chwilami nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co przeżywali znakomici pisarze tuż przed śmiercią. Przybylski dość dużo pisze o moim ukochanym Eliocie, jednak zajmuje się zupełnie innymi jego fragmentami niż trafiały do mnie, a więc odczytuje inne znaczenia, a "szczurza aleja gdzie umarli pogubili swoje kości" nie zwróciła jego uwagi na tyle, aby ją skomentować (jak zresztą i inne bliskie mi fragmenty wraz ze słynnym stwierdzeniem, że "przemierzyłem swe życie łyżeczką od kawy" oraz tańcem wokół kolczastego kłęba).

Mój ukochany Eliot, a właściwie jego "Gerontion" został rozebrany na części pierwsze i odarty z moich interpretacji. Odkryłam, że ja, mając dwadzieścia lat, zrozumiałam Eliota (35-letniego) nieco inaczej niż Przybylski, płyciej i bardziej prymitywnie, ale inaczej i to rozumienie przetrwało do dziś. Ktoś odebrał mi mojego Eliota, lepiej go zrozumiał, pogrążając mnie w kolejnej otchłani wstydu. Zawsze uważałam, że w poemacie tym Eliot dokonując syntezy życia staruszka robi to z pozycji młodego człowieka siedzącego w starczym ciele. Informacja, że miał 35 lat, gdy pisał ten poemat znakomicie pasuje do moich interpretacji. Nigdy nie uważałam, że doskonale wczuwa się w rolę starca, sądziłam raczej że podsumowuje pewien etap życia młodego człowieka usiłując odkryć, co zostanie z niego na starość. Świadczyła o tym, moim zdaniem pewnego rodzaju żywość myśli i skojarzeń, daleko od starczego mamlania problemów. Cóż, Przybylski rozbiera inne fragmenty, analizuje je, a nie próbuje intuicyjnie odkryć ich sens, jak ja to zawsze czyniłam. Najpierw było intuicyjne poznanie sensu, potem analiza.

Czytając o umierających starcach i literackich produktach ich umierania, odnajduję coś z własnych tęsknot i przeżyć, choć może nie tak gwałtownych. Ja czuję się, jakby parę lat temu ktoś przetworzył mi kręgosłup, z człowieczego, charakteryzującego się wyprostowaną postawą, w pokrętny, właściwy płazom albo gadom. Od tej pory nie chodzę, a pełzam po ziemi, szukając ratunku, zrozumienia i pomocy. Znajduję miłych, codziennych ludzi i już na szczęście nie mam do czynienia z tym skoncentrowanym złem, jakie napiętnowało moje ostatnie lata zawodowej aktywności. Ale nie pragnę, tak jak wówczas, spokoju, odpoczynku i luzu. Pragnę smaku życia. Chcę, żeby truskawka smakowała jak dawniej, a piękna muzyka nie powodowała bolesnego, nadprogramowego skurczu serca. Chcę, żeby moje sny były piękne i dawały mi ulgę, a nie przynosiły kolejne koszmary. Nie chcę w nich liczyć, usiłować załatwić jakąś sprawę, szukać błędów w sprawozdaniach, borykać się z dylematami moralnymi. Nie chcę uzależniać się od Boga. Nie chcę gorączkowo się modlić, wypowiadając modlitwy jak zaklęcia, odsuwające na bok czarną chwilę, nie chcę bić się w piersi powtarzając "moja wina, moja wina". Nie chcę bólu ani fizycznego ani moralnego. (z tym pierwszym trudniej).

Zostawiłam więc „Baśń zimową” swojemu losowi (może do zimy) i wzięłam się za lekturę łatwą, aby wśród zabójstw, pościgów i wybuchających pułapek znaleźć ów powiew optymizmu, że „nic nie jest naprawdę”.

Czytam więc powieść, podobno rozrywkową: „Miała na sobie jasnoniebieski kostium od Walentina z rosyjską sobolową etolą owiniętą wokół szyi i pumpy od Maud Frizon. W ręku trzymała marynarską torebkę ozdobioną błyszczącym inicjałem firmy Hermes: H” Facet patrzący na nią od innego stolika

rozmyślał w równie modnym stylu: „Sprawiedliwość jest w moich rękach, rzekł pan, a ja jestem mieczem sprawiedliwości, narzędziem jego zemsty. Moje życie to nieustanna pokuta... itp., itd.”

Czy nie sądzicie, że żyjemy w czasie absolutnego braku wolności? Jesteśmy tylko stojakami dla ubrań, przeżyć, poglądów – a wszystkie firmowane są cudzymi nazwiskami. Połowa z nich zresztą mnie osobiście nic nie mówi. Wszystkie razem zaś stanowią zawartość zsypu – tu szmatka, tam kawałek Biblii. Zmieniam lekturę. Czytam sobotnie „Wysokie obcasy”, a właściwie przeglądam dział o architekturze wnętrz: Beżowy salon. Nad kanapą Swing firmy Dema... (co to jest „Swing” pisany przez duże S? Nie jest to obraz, choć ewentualnie mógłby być, bo to coś w rodzaju deski z przenikającymi się beżami) Fotel Be Bop. Półki na książki firmy Poliform... itp. Na półce na książki nie ma książek za to leżą kamienie. Jak mieszkać w takim mieszkaniu? Co może myśleć ktoś, kto zajmuje siedemdziesiąt pięć metrów powierzchni bez jednego osobistego akcentu, książki zastępują kamienie, patera zawiera owoce nie do jedzenia, w kuchni nie ma ani jednego garnka Obraz nazywa się *be bop* lub *swing* i sporządzony jest (bo przecież nie namalowany) pod kolor obicia kanapy.

W moim domu na działce wisi taki obraz. Namalowany w 1922 roku przez malarza znanego i cenionego dziś na aukcjach, zaprzyjaźnionego z rodzicami drugiej żony mojego ojca, podarowany im jeszcze przed wojną. Przetrwał wojenną zawieruchę i zawisł dumnie nad granatową, peerelowską wersalką „zdobytą” przez tę panią kosztem wielu wyrzeczeń i dzięki jej znajomościom. Sęk w tym, że obraz (moim skromnym zdaniem) przedstawiał rozmytą i artystycznie przetworzoną postać kobiety w ludowym stroju. Niestety, zdaniem drugiej żony mojego ojca obraz powieszony nad granatową wersalką powinien mieć coś z granatu w feerii zastosowanych kolorów, a skoro nie miał (dominował zielony i czerwony), powinien przynajmniej kompozycją dostosować się do owego peerelowskiego mebla. Jakie było z tego wyjście? Proste! Powiesić obraz wzdłuż boku, a nie wszerz. Wyszło więc na to, że kobieta w ludowym pasiaku nie stała, a leżała nad osobami śpiącymi na wersalce, co było pretekstem do cichych żartów z gospodarzy. Jednak gospodyni nie przejmowała się nimi, bowiem nad jej wersalką nie wisiało ślubne podkolorowane zdjęcie, jak w „niższych sferach”, a prawdziwy obraz prawdziwego znanego malarza.

U mnie na działce kobieta też wisi „na leżąco” podtrzymując tradycję, ponieważ nie chciało mi się zmieniać zaczepu w starej ramie. Tyle, że nie wisi nad wersalką, a nad kuchennym blatem. Znajomi uważają, że przedstawia pęczek włoszczyzny.

Czym jest więc sztuka? Oszustwem, czy ukojeniem?

27. Poczekalnia przed wejściem w inny świat

Kiedy myślę o zbliżającym się Święcie Zmarłych przypominają mi się ostatnie dni mojej teściowej. Miała 90 lat, a za sobą wiele potwornych, wojennych przejść i wiele chorób — jak to starsi ludzie. Posprzeczała się z teściem, bo pewnego dnia rano poczuła się tak bardzo źle, że nie mogąc wstać z łóżka, zawołała go, mówiąc mężowi, że chyba będzie umierać. On zaś, zamiast – jak oczekiwała – wezwać natychmiast pogotowie, podsunął jej pod nos kartkę i długopis, żeby pisała testament, co ożywiło ją na tyle, że natychmiast wstała z łóżka, opóźniając przyjście właściwej śmierci o kilkanaście dni.

Zła na niego zadzwoniła do kogoś znajomego, żeby ją odwiózł do bratowej, samotnej starszej kobiety mieszkającej kilkadziesiąt kilometrów za Warszawą. Teściowa, w przeciwieństwie do teścia, nigdy za mojej pamięci nie wyjeżdżała, rzadko w ogóle opuszczała dom, choć poruszała się sprawnie. Sądziłam, że te wszystkie domy, które w życiu utraciła, jej bliscy, pierwszy mąż i synowie, których losów nie znała, skłaniały ją to trwania w ostatnim, własnym miejscu. Zawsze wszyscy przyjeżdżali do niej, ona do nikogo.

Bratowa teściowej, jej rówieśnica, mieszkała w małym drewnianym domku, w miejscu gdzie czas zatrzymał się co najmniej kilkadziesiąt lat wcześniej. Specyficzny zapach starych mebli i tkanin, przemożny chłód nawet w upalny dzień, kamienne podłogi, oszklona weranda ocieniona ogromnym, zasłaniającym cały dom świerkiem i od strony ogródka płynący kanałek, który wcale nie był kanałkiem, tylko rzeką Utratą. W ogródku rośliny i chwasty rosły tak bujnie, że w tej wybujałości było coś niezdrowego. Czasami wiecznie wilgotne liście wydawały się na brzegach wręcz przezroczyste. W ogóle ten dom i jego otoczenie sprawiały wrażenie miejsca, w którym się odchodzi, jakiejś ostatniej przystani tlącego się życia.

Byłam tam pierwszy i ostatni raz, bo po tygodniu teść postanowił się przeprosić z teściową i z mężem zawieźliśmy go tam. Byliśmy u nich ze dwie godziny, w czasie których obserwowałam wybuchy typowego wisielczego humoru, zarówno ze strony bratowej jak i teściowej. U bratowej nie było to nic dziwnego, z zawodu była położną i lubiła żarty, czasem dość ostre, „medyczne” i „fizjologiczne”. Była niesłychanie energiczną staruszką suchą i szybką w ruchach, w doskonałej kondycji. Podobno jeszcze tuż przed osiemdziesiątką zdarzało jej się odbierać porody. Jednak moja teściowa należała do zupełnie innych kobiet, też stanowcza, raczej oschła, ale spokojna i zrównoważona. Tymczasem nieustający dialog, który ze sobą prowadziły nie był zupełnie w stylu mojej teściowej. Zachowywały się jak dwie smarkate, chichotały, wygłupiały się, można powiedzieć, ale treścią ich rozmów była śmierć.

Zaczęło się od tego, że spały obie na starodawnej rozkładanej kanapie, której jednak nie mogły rozłożyć, bo zbyt była dla nich ciężka. Musiały wiec spać przytulone ściśle do siebie, co było początkiem żartów. Potem przeszły do opowiadania, jak w nocy się budzą i macają, czy ta druga przypadkiem nie jest już zimna, jak to macanie może być interpretowane, w którym miejscu ciała zaczyna się śmierć i gdzie najwcześniej można ją wyczuć i tak dalej.

Potem teściowa poszła z teściem do kuchni, rozmawiali o czymś poważnie kilkanaście minut i chyba się pogodzili. W każdym razie teść płakał, czego nigdy wcześniej i później nie robił, bo nawet po jej

śmierci miał oczy suche. Myślę, że ona doskonale wiedziała, że umrze, że wiedziała także o tym jej bratowa, że świetnie się rozumiały, tak że pomyślałam nawet iż dziwne jest, że tak rzadko przedtem się widywały. Wtedy jednak niczego nie podejrzewałam i zastanawiałam się tylko nad niesamowitą atmosferą tego domu.

Nasza wizyta wypadła gdzieś w środku tygodnia, a w sobotę teściowa wracała do swojego domu na imieniny (namówiliśmy ją na to, choć nie miała specjalnej ochoty) i po drodze w samochodzie kuzyna umarła. Nawet rodzina bratowej, która ją odwoziła do Warszawy nie wiedziała, kiedy to się stało. Po prostu w pewnym momencie powiedziała, że źle się czuje. Rodzina zatrzymała samochód, teściowa wysiadła, po czym po chwili powiedziała, że już lepiej i wsiadła z powrotem. Do Żyrardowa było jeszcze kilkanaście kilometrów i rodzina postanowiła ją tam zawieźć do szpitala. Siedziała z tyłu, obok osiemnastoletniego syna tych państwa, po czym w pewnym momencie oparła mu głowę o ramię. Jeszcze coś mu powiedziała, że tak jej wygodniej. Kiedy zajechali pod szpital okazało się, że nie żyje.

Niedługo po tym ów dziwny dom przestał istnieć. Bratowa teściowej odkręcała zawór butli gazowej i gaz wybuchł. Szczęściem dla niej wybuch spowodował załamanie się stropu nad piwnicą i kobieta spadła tam z kuchnią i podłogą. Dom z zewnątrz został całkowicie zmieciony (wraz z owym wspaniałym świerkiem), bratowa zaś, choć mocno połamana, przeżyła. Jednak po prawie półrocznym pobycie w szpitalu wyzdrowiała, i zmarła mając niewiele poniżej setki. Kilka lat później zmarł mój teść, młodszy od żony.

Na pogrzebie teściowej było mnóstwo osób z całej Polski i mnie przypadła rola nakarmienia i napojenia wszystkich przed odjazdem. choć z powodu skromnych warunków i braku możliwości gotowania w jej mieszkaniu (teściowie bali się gazu i po likwidacji w przedwojennej kamienicy kuchni węglowej zrezygnowali z jego instalacji) musiałam przywieźć potrawy w termosach z domu. Byłam bardzo zmęczona, zestresowana i podniecona poznaniem wielu nowych osób, ich opowieściami i kiedy w nocy przyśniła mi się zmarła, przepraszająca mnie usilnie za coś, co ma stać się w przyszłości, choć bardzo się zdziwiłam, nie wyobrażając sobie, że w ogóle mogłaby mnie za cośkolwiek przepraszać, zlekceważyłam ten sen. Rodzina wyśmiała mnie, jak zwykle, gdy to, co im mówiłam odbiegało od zwyczajnych codziennych spraw. Sam pomysł, że teściowa mogłaby kogokolwiek za cokolwiek przepraszać wydawał się im idiotyczny.

Sen zrozumiałam niedawno, po ponad dwudziestu latach od jej śmierci, gdy przyszło, wspomniane w jednym z pierwszych odcinków blogu, pismo od komornika reprezentującego Skarb Państwa. Nie interesowałam się nigdy sprawami majątkowymi rodziny męża i nie wiedziałam, że wraz z jego śmiercią spadną na mnie ciężary z nimi związane, także dotyczące osób, których los po wojnie nie został ustalony. Mogła temu zapobiec jedna drobna czynność: sporządzenie testamentu przez teściową – zresztą stanowiącego benificjentem spadku obojętnie kogo. Ale, jak wspomniałam na początku, tego testamentu teściowa nie sporządziła, choć sprawę wcześniej omówili, ponieważ teść wybrał do tego najmniej odpowiedni moment.

Teraz, kiedy myślę o śmierci, ten dom wydaje mi się jakby poczekalnią przed wejściem w inny świat i sądzę, że one obie o tym wiedziały. Nie wiedziały jednak jeszcze wielu rzeczy, jak my wszyscy. Tego, co najważniejsze, dowiedziały się zapewne ***potem***.

Od kiedy zmarła bliska mi osoba, przypadkowo usłyszany w sklepie muzycznym utwór Evansescence „Lacrymosa” zawsze będzie kojarzył mi się z tęsknotą za tymi, których już nie ma.

28. Antyczna tragedia

Korzenie mojej rodziny ze strony ojca oraz rodziny mojego męża sięgają daleko na wschód. Podczas rodzinnych uroczystości jak śluby i pogrzeby (tych pierwszych jest mało, tych drugich coraz więcej, zwłaszcza jesienią) krążą opowieści, niektóre prawdziwie okrutne. Tematem tych opowieści jest zazwyczaj zagłada i śmierć, próby jej uniknięcia. Część z nich opisuje wydarzenia późniejsze, gdy wszystko z pozoru uległo uładzeniu, przypudrowaniu i *nowemu otwarciu*. Jednak, jak w Biblii i wielu świętych księgach oraz mitologiach, wydarzenia, mające miejsce wiele lat wcześniej, powracają w nowej odsłonie. Opowiada się o nich po cichu na weselach i głośniej na pogrzebach (najczęściej). Opowieści podobne do tej, jak młody, niewinny Edyp wędrując przed siebie spotkał niechcący na drodze swoje przeznaczenie...

Oto jedna z nich:

Bohaterką jest kobieta, samotna wdowa, tuż po wojnie mieszkająca w miasteczku na Ziemiach Zachodnich. Jej mąż, nauczyciel, zginął w nieznanych okolicznościach, a jego ciała nigdy nie odnaleziono. Kobieta przyjechała tam po pogromach na Wołyniu wraz z ocalałymi z rzezi sąsiadami, ale nie objęła gospodarstwa, tylko zamieszkała w jednym ze starych domów. Osamotniona stawia karty Tarota, pomaga dzieciom, działa w nieoficjalnej pomocy przesiedleńcom, znana całemu miastu jako pani (tu imię), niech będzie na przykład pani Aniela. Poza tym czeka na śmierć. Nie oczekuje niczego od życia poza chęcią wypełnienia czasu, który jej pozostał.

Pewnego dnia zwraca się do niej miejska urzędniczka z prośbą o pomoc w zakwaterowaniu pewnego samotnego mężczyzny, wysiedlonego z Kresów, który stracił tam całą rodzinę. Poznają się, gdy urzędniczka wyrabia mu dokumenty na podstawie świadectwa chrztu. Reszta dokumentów mężczyzny zaginęła. Nawiasem mówiąc urzędniczka, która polubiła naszą bohaterkę, ma nadzieję, że poznają się i razem ułożą sobie życie. Mężczyzna jest nieśmiały, zahukany, delikatny w obejściu. Kobieta odważna, pewna siebie, ale depresyjna. Są w jednym wieku i zdaniem urzędniczki świetnie pasują do siebie.

Wieczorem w mieszkaniu naszej bohaterki pojawia się ów mężczyzna, któremu powiedziano: „— pan pójdzie do pani Anieli pod taki a taki adres”.

Rozmawiają ze sobą, pojawia się bliskość i zrozumienie. Opowiadają sobie swoje przeżycia. Rano wdowa zabiera jego dokumenty, żeby zameldować go i załatwić obowiązujące wówczas kartki na żywność. Twierdzi, że może mu wynająć pokój. Mężczyzna czeka na nią, szykuje śniadanie podśpiewując. Był kucharzem, lubi gotować. Ma wiele innych zalet.

...

Pojawia się policja i aresztuje mężczyznę. Posługiwał się dokumentami zmarłego męża kobiety, ustalono, że był jego mordercą. Kobieta nie doczekała się procesu, podobno aresztant uciekł.

Po latach dostaje list z Kanady, od przyjaciółki, która tam wyemigrowała. Dowiaduje się, że mieszka tam mężczyzna, posługujący się jej nazwiskiem o imieniu zbieżnym z imieniem jej męża. Syn tego mężczyzny ma żenić się z jej córką. Matka córki wysyła zaproszenie do naszej bohaterki. Chce

wiedzieć, kim jest ojciec przyszłego zięcia, pyta więc, czy nie jest przypadkiem krewnym jej męża. Jednak zna historię naszej bohaterki i zapewne spodziewa się przedślubnej konfrontacji.

Osoba opowiadająca tę historię mówiła, że zaproszona ma poważny dylemat. Jest niczym Edyp wyruszający w swą wędrówkę, ale ma nad nim przewagę, mniej więcej wie, czego ma się spodziewać (zresztą Edyp też powinien wiedzieć, wywróżono mu, nieprawdaż?). Edyp jest niewinny, ale źródłem czynów, których przyjdzie mu dokonać, wypełniając proroctwo, jest jego pochodzenie rodzinne – z rodu Kadmosa, ludzi zrodzonych z zębów smoka, człowieka którego do Teb doprowadziła krowa o znamieniu księżyca na obu bokach, przyszłego króla tego miasta.

Przodkowie naszej bohaterki i przodkowie zabójcy jej męża są podobnym rodem wyrosłym z zębów smoka i nie dociekać nam dziś, który z tych zębów był lepszy, a który gorszy i po czyjej stronie jest racja. *Zasiani ludzie* (Spartowie) pozabijali się nawzajem i tylko niewielu z nich ocalało.

Zastanawiam się, co ja bym zrobiła w takiej sytuacji. Wolę prawdę, nawet najgorszą, niż niepewność i złudzenia. Nie opuszczałaby mnie nigdy świadomość, że odmawiając wyjazdu unikam prawdy i jestem tchórzem. Ale przecież, gdyby okazało się, że ów człowiek jest istotnie zabójcą męża, sprowadziłabym swoim rozpoznaniem tragedię na dwoje niewinnych ludzi: córkę przyjaciółki i jej narzeczonego. Miałabym jeszcze jedno wyjście: rozpoznać mężczyznę, ale ze względu na parę młodych nic o tym rozpoznaniu nie powiedzieć. Jeśli bym jednak umiała prawdę ukryć, jak wyglądałaby moja lojalność wobec przyjaciółki, która finansowałaby wyjazd? Po co bym w końcu tam pojechała, jak nie po to, by sprowadzić karę na zabójcę? Ale, co gorzej, gdybym zrezygnowała z podróży wykręcając się wiekiem i zdrowiem, miałabym poczucie pozostawienia mojej przyjaciółki z niezaspokojonym domysłem, a takie mogą zatruć ostatnie lata jej i jej rodziny. Jej niepewność zawsze może wyjść na jaw, robiąc równie wiele złego, jak pewność. W końcu zęby smoka już zasiano.

Nawet gdyby to była tragedia typu antycznego, współczesny pisarz opisujący tę historię najprawdopodobniej nie zająłby żadnego stanowiska (każąc czytelnikowi wybierać – co modne obecnie w literaturze), a więc uśmiercił kobietę na przykład, a żeby było dramatyczniej, amerykańskim wzorem, w katastrofie samolotu.

Jednak czytelnikowi nie można niczego nakazać. Doszedłszy do końca książki i opisu katastrofy z niechęcią rzuci książkę na bok nie mając ochoty wgłębiać się w dylematy moralne, których autor stara się uniknąć, żeby nie wydać się banalnym (skoro on to robi, to ja też mogę – mówi sobie czytelnik).

Jednak ja bym poleciała i, mam nadzieję, nie rozbiłabym się, chociażby z tej przyczyny, że katastrofy lotnicze relatywnie zdarzają się rzadko. Przecież Edyp, mimo przepowiedni, też nie unikał podróży!

Nie wiem, co zrobiła prawdziwa bohaterka tej opowieści; opowiadającego więcej nie spotkałam.

29. O przyrządzaniu wrogów

W styczniu 2009 roku telewizja regionalna na wschodzie Polski transmituje uroczystości myśliwskie w Bydgoszczy. Impreza nosi nazwę „Konkurs na najlepsze wyroby z dziczyzny". Dwie główne kategorie tego konkursu: pieczenie mięsa i pasztety.

Nagrodzony facet wypowiada się z podium zwycięzcy. Tłumaczy, że najważniejsze jest macerowanie mięsa w marynacie co najmniej 5 dni i że nie bez znaczenia jest także wiek zabitego zwierzęcia, w tym przypadku dzika. Tłumacząc to dodaje: – co do składu marynaty, przyprawiania i przyrządzania mięsa, to nie będę się wypowiadał, bo sekrety przyrządzania zna jedynie moja żona.

Dlaczego więc ON, a nie ONA stanęła na podium zwycięzców? No już nawet OBYDWOJE, byłoby sprawiedliwsze.

Pierwsza myśl, jaka się nasuwa, to bliskie feminizmowi stwierdzenie, że kobiety, a zwłaszcza mężatki, zostają zawsze w cieniu mężczyzn. Nie twierdzę, że to nieprawda. Ale mogę pójść dalej.

Uroczystość owa nie była w gruncie rzeczy konkursem gotowania, jak twierdzono oficjalnie, a konkursem myśliwych – samców. Jedne samce zostały pokonane, zabite i ugotowane, inne, zwycięskie, zjadły te pokonane. Konkurs na najlepsze pieczenie i pasztety był wyłącznie próbą racjonalizacji tego zwycięstwa, udowodnienia wszystkim dookoła, że zabijanie niektórych samców jest pożyteczne, bowiem można je potem zjeść. Wiele osób, (no może oprócz koneserów, ale tacy zawsze się znajdą) sądzi jednak w cichości ducha, że dziczyzna nie jest wcale takim super smacznym mięsem. Jest zazwyczaj łykowate, ciemne i o posmaku „biegającego barana". Nie przez przypadek biblijny pasterz rysowany jest z owcą na ręku; przed zabiciem, owca nie może uciekać, bowiem mięso zestresowanego zwierzęcia jest niejadalne. Zazwyczaj jednak dziczyzna biega przed śmiercią i cały ten konkurs gotowania potrzebny jest nie dla smakoszy, a dla udowodnienia samczej racji, anachronicznej dzisiaj, że trzeba było tego konkretnego samca zwyciężyć i zabić, aby mieć z niego pożytek. Samo gotowanie jest więc kamuflażem, rodzajem oszustwa skierowanym w stronę publiczności, która łowów nie akceptuje.

Nic więc dziwnego, że z tego punktu widzenia marynująca mięso i przyrządzająca je kobieta nie ma najmniejszego znaczenia i nie zasługuje na postawienie na podium.

Cały szkopuł w tym, że większość społecznych zachowań to gry i polowania samców. Samice w tym świecie, może z wyjątkiem starych słonic, które prowadzą stada znanymi sobie od lat szlakami, mają na ogół jedno zadanie: opiekę nad potomstwem. Ale nikt od nich nie wymaga by gotowały swoim samcom ich zabitych wrogów i dodawały im zasług i chwały z racji swojego kunsztu.

My, ludzie, poszliśmy dalej.

30. Atomka

Wracam do wspomnień z dawnych podróży. Jest koniec lat siedemdziesiątych, w Polsce nic poza octem i musztardą nie można kupić, dawne ZSRR to oaza spokoju i dobrobytu. Tak, nie pomyliłam się. W Ukraińskiej SSR (jeszcze nie jest odrębnym państwem) sklepy są pełne. Pięć rodzajów kefirów, kilka śmietany, kasza jaglana w kilku granulacjach, znakomite pieczywo. Ale i kurioza w rodzaju kartofli w wielkich, trzylitrowych słojach w wodnej zalewie czy wielkie ocynkowane zbiorniki, w których pływają na wpół zgniłe kwaszone arbuzy, ogórki, papryka i kapusta kwaszona w główkach. Za to w takich samych trzylitrowych słojach można kupić soki: z brzozy, granatu, wiśni, jabłek. Mięso sprzedaje się z pojemników ustawionych wprost na ziemi, a wszechobecne wiatry nanoszą tumany piachu.

Sprzedawczyni z kołchozu, w białym fartuchu i wysokiej czapie bynajmniej nie walczy z piachem i nie przykrywa mięsa – to korzystne dla sprzedawcy, ponieważ jednocześnie wagi ubywa przez upływ krwi z mięsa, tworzący kałuże wokół pojemników. Kolejka na chodniczku z płyt przerzuconych przez piasek musi bardzo uważać, żeby nie wdepnąć w tę krew.

Alkohol wprawdzie sprzedaje się od 14-ej ale nie ma kolejek, kartek. Pełny przegląd znakomitych gruzińskich koniaków i niezłych szampanów. Bogactwo sprzętów gospodarstwa domowego, telewizory kolorowe, rozmaite sokowirówki, elektryczne maszynki do mięsa i roboty kuchenne, prasowalnice i kupa rzeczy, o których nie wiadomo do czego służą.

Ale też — zapóźnienia przywołujące wspomnienia z czasów tuż po wojnie. Ukraińcy żyją bardzo biednie, więc sklepy z tymi dobrami są całkowicie puste (jeśli nie liczyć Polaków).

Atomka — taką nazwę — nieporozumienie nadano rozbudowie elektrowni atomowej, jednej z kilku, budowanych na Ukrainie, tym różniącej się od innych, że większość zatrudnionych stanowią Polacy. Mój mąż jest tam kierownikiem grupy robót. Pracuje tam dwa lata i raz na trzy miesiące ma prawo przyjazdu do kraju na dwa tygodnie. Żony mają prawo do przyjazdu raz do roku na dwa tygodnie plus ewentualnie wykupione w miejscowym biurze turystycznym wycieczki. Swoje paszporty oglądamy z rzadka: w kraju, żeby je odebrać, musimy zdać dowód osobisty, w autokarze odbiera nam kierownik tzw. „rozłąki", na miejscu zabiera nam je miejscowa milicja. Nie jest zbyt sympatyczna, bo przybysze z Polski, wojskowe tajemnice itp. itd. Na wycieczkach żony są gorszym rodzajem człowieka – mężów kwaterują w pokojach, z nami zmagają się miejscowe „służby" szukając dziury w całym: paszport, wygląd, nie tego rodzaju okulary inna fryzura i takie drobiazgi. Żeby się nie tłumaczyć udajemy, że nie znamy rosyjskiego ni w ząb, więc czasem bawią się z nami dwie lub trzy godziny, zanim puszczą nas do mężów śpiących smacznie w pokojach. Raz nawet, w czasie międzylądowania w Moskwie z powodu śnieżycy, przetrzymano nas, biedne trzy nieszczęśnice, w hotelowym holu do samego rana, ponieważ teleksem usiłowano sprawdzić w Atomce, czy istotnie jesteśmy tymi, za kogo się podajemy, a tam teleks w nocy nie działał. Nie dano nam nic do jedzenia ani do picia. Potem wsadzono nas do jakiegoś nieciekawego busa i powieziono w nieznane. Na szczęście po ponad godzinie okazało się, że dowieziono nas prosto do samolotu, a tam już czekali mężowie, po prysznicu, śniadaniu, przebrani w świeże rzeczy i odwiezieni luksusowo autokarem.

Nazwa miasta — Nietiszyn — również nie jest istotna, niektórzy jadący tam po raz pierwszy nie znają jej, potem posługują się wymyślonymi określeniami, jedynie żony umieszczają nazwę miasta na kopertach listów wysyłanych w czwartki

O tym, że nazwa także dla miejscowych nie jest ważna (albo tajna), świadczy jej brak w mieście obwodowym na tablicy kursów międzymiastowych autobusów. Wiesz na pewno., że miejscowość ta musi istnieć., bo z niej przyjechałaś (chociaż w obcym kraju nie ma nic pewnego) i dlatego strach i zniecierpliwienie atakują naprzemian. Dopiero po długim. studiowaniu tablicy odnajdujesz nazwę przynajmniej budzącą skojarzenie z miejscem, z którego przybyłaś. Napis XAE , który rozgryzam po kilku minutach, bo widziałam go na tablicy przed wjazdem do Nietiszyna. Jest to. właśnie owa Atomka — Chmielnickaja Atomnaja Ekektrostancja. Jeszcze na razie nie wiesz, że popełniłaś błąd, że rosyjskie „n", widywane dotąd tylko w podręczniku, odczytałaś błędnie jako „k". Jest to jedno ze skrótowców, jakie tam się często spotyka: „Atomna" od „Atomnaja elektrostancja", ale „Atomka", mimo że błędna, napawa otuchą. „Atomka" — brzmi pieszczotliwie i zdrobniale. Oddychasz z ulgą, niepewna jeszcze, ale nabierając już przekonania, że uda się wrócić. Koniecznie trzeba gdzieś wrócić — to obce miasto w obcym kraju chwilowo jest najlepszym miejscem, bo już wcześniej, poznanym. Ale doświadczenie, które cię spotyka wykazuje, że nigdy nic nie jest zbyt proste, nawet zwyczajny powrót.

Zrobiłam sobie samotną wycieczkę do dawnej polskiej twierdzy, czterysta kilometrów w jedną stronę. Bilet kupił mi miejscowy, bo Polakom nie wolno było poruszać się poza wyznaczoną strefą. Wsiadłam do autobusu, a właściwie wsadzili mnie tam znajomi męża, który był bardzo zajęty i teraz miałam stamtąd wracać. Nie sądziłam, że jak dziecko nie będę wiedziała dokąd jechać.

W tamtych stronach inaczej niż u nas ogłasza się odjazdy autobusów, W takim Ciechanowie, Mławie czy Żurominie słyszysz że „ autobus do Warszawy przez Pułtusk i Nowy Dwór Mazowiecki odjedzie ze stanowiska trzeciego. Planowany odjazd autobusu godzina ósma czterdzieści pięć". W tym samym czasie, także o ósmej czterdzieści pięć ze stanowiska drugiego i pierwszego odchodzą autobusy do innych miejscowości, ale głos zawsze oznajmi ci dokąd jedzie autobus.

Tutaj jest zupełnie inaczej: „Autobus z ósmej czterdzieści pięć odjedzie ze stanowiska trzeciego". Niepewna swojej znajomości języka oczekujesz powtórnej zapowiedzi. Do stojących na wysepce podchodzą co chwila ludzie i pytają, czy to autobus z.. ósmej czterdzieści pięć. Usłyszawszy, że tak, wsiadają, nie pytając dokąd jedzie. Próbujesz sformułować pytanie w ich języku, ale nie jest to takie proste, jeśli jesteś tam pierwszy raz i wiele lat. dzieli cię od szkolnej nauki; możesz się tylko cieszyć, że rozumiesz większość tego., co do ciebie mówią. Nie umiejąc się zapytać głupiejesz natychmiast, także i dlatego, iż uświadamiasz sobie nieważność faktu g d z i e jedziesz, w przeciwieństwie do tego.) o k t ó r e j g o d z i n i e wsiadasz do autobusu. Znane skojarzenia przemykają przez myśl.

Jeśli się pomylisz i nie wsiądziesz o właściwej porze do parowozu dziejów, jeśli twój zegarek spieszy się lub późni (a może zegarek maszynisty?) — przepadłaś. System ten bowiem nie opiera się na rzeczywistym czasie odjazdu. (który jak wszystko w życiu — może się zmieniać), a tylko na czasie p l a n o w a y m. Nie jest to jednak takie proste, jak mogłoby się zdawać. Ten czas planowany nie musi być tu i teraz. Na lotniskach bywają tablice z czasem odlotów wg czasu moskiewskiego., a nie miejscowego, musisz więc trafiwszy przed taką tablicę wiedzieć, g d z i e jesteś i jaka tu jest r ó ż n i c a czasu w stosunku do moskiewskiego. Szczęściem takie problemy omijają dworce autobusowe.

Stojąc na wysepce obok autobusu, który nie wiadomo dokąd jedzie, choć wiadomo o której odjeżdża, wracasz do czasów dzieciństwa (te baby z bańkami mleka w białych płachtach na plecach, te cukierki „krówki" z formy do ciasta sprzedawane w strzęp oderwanej gazety, poranek rozpoczynający się wołaniem: jagooody, jagooody..., klaksony samochodów, którym wtedy jeszcze wolno było trąbić). Jak dziecko — zbyt mało rozumiesz z otaczającego świata, żeby odnaleźć godzinę odjazdu. Jeszcze wtedy nikt cię nie uczył kojarzyć prowincji z ciasnotą, prowincja to. było coś odległego, nieznanego, coś do odkrycia. Teraz słodycz odkrywania zabija strach i wiesz, że za mało odkrywałaś w swoim życiu i dlatego boisz się niczym dziecko.

Kobieta z workiem pokrzyw, większym pewnie od niej, pyta cię o coś; nie umiesz jej odpowiedzieć, więc. wstydzisz się okropnie; uciekasz bez słowa i nagle widzisz. rozłożone na ściereczce słodkie, lepkie cukierki. Pragnienie słodyczy odzywa się z zapomnianą dziecinną siłą. Nieporadnie obliczasz obce pieniądze, każdą monetę oglądając z obu stron i wreszcie, czując w ustach słodycz, odważasz się ruszyć na poszukiwanie wiadomości, jak masz wrócić tam, skąd przyjechałaś.

Na tablicy odczytałaś „Tomka" i robi się słodko i miło. Ten. pierwszy z. serii popełnionych błędów dziwnym trafem w niczym ci nie zaszkodzi. Chwilowo zapomnisz, że atom budził w tobie zawsze strach dziecka, chowanego na wizjach zagłady; teraz Atomka to bliskie i zdrobniałe imię. Odczytujesz godzinę: ósma czterdzieści pięć. Biegniesz więc na wysepkę, gdzie zaczepiła cię kobieta z workiem pokrzyw, choć dworcowe zegary pokazują już dziewiątą. Na szczęście autobus jeszcze stoi. Nie odjechał.

Wpadasz zdyszana i. z tego, co mówi kierowca rozumiesz, że czekają tylko na ciebie, bilet bowiem został sprzedany, a miejsce jest wolne. Pełna jesteś podziwu; z dworca w Ciechanowie czy Mławie autobus odjechałby już dawno, a kierowca sprzedał miejsce komuś oczekującemu na taką okazję; tutaj czekali na ciebie, mimo że nie wiedzieli kim jesteś. Jak błyskawica wstrząsa lęk, czy istotnie Atomka jest miejscem dokąd zdążasz i czy powinnaś ulegać przekonaniu, że inni lepiej od ciebie wiedzą dokąd powinnaś jechać i już nie mija, chociaż upewniono cię poprzez twoje numerowane miejsce i godzinę odjazdu, a zwłaszcza pewność kierowcy, iż ty jesteś kimś, na kogo czekał; że znajdujesz się na właściwym miejscu.

31. Cmentarz w Moskwie

Tak jakoś się składało, że w swoich podróżach zawsze zwiedzałam cmentarze. W Samarkandzie i w Bucharze, w Moskwie, a ostatnio w Paryżu. Najczęściej robiłam to sama, ponieważ nikt nie lubi chodzić na cmentarze, jeśli nie musi i nie ma tam bliskich. Interesowały mnie wszystkie różnice między naszym, a obcym obyczajem, sposobem zachowania się ludzi. Próbowałam wyciągać wnioski z ich nastroju, sposobu bycia, otwartości lub nie na kontakty z obcymi, zrozumieć tradycje. Oczywiście nie było to możliwe na tak nikłej podstawie, jak powierzchowna obserwacja, jednak czasami udawało się dotknąć przynajmniej skrawka obcej kultury.

Nie spodziewałam się jednak przeżyć, których doznałam podczas zwiedzania cmentarza Wagańkowskiego w Moskwie, w lecie 1996 roku, kilka miesięcy po moim wypadku. Skądinąd wrażenia były bardzo interesujące, z powodu odmiennej od naszej architektury grobów, symboli (wszechobecne sierpy i młoty oraz czerwone gwiazdy), dziwnych i nieco jarmarcznych ozdób, a przede wszystkim ciasno ustawionych, pomalowanych najczęściej na niebiesko płotków. Ciekawe były też zamieszczone teksty epitafiów, ale dziś ich już nie pamiętam. Poszłam tam obejrzeć grób Wysockiego, na którym jego fani składali kwiaty, odgrywali przedstawienia, wygłaszali mowy, a także odtwarzali za pomocą przenośnych magnetofonów ulubione jego piosenki. Stałam tam jakiś czas i chłonęłam widowisko tak odległe od naszych obyczajów cmentarnych. Na maleńkiej przestrzeni ogrodzonej płotkiem (choć większej niż przeciętne nasze groby) nie przeszkadzając sobie krzątało się kilka osób sprzątających, układających kwiaty i fanów rozkładających aparaturę nagłaśniającą. Obok stał tłumek obserwatorów chętnie wdających się w rozmowy. Wszystko było hałaśliwe i dalekie od skupienia. Zorientowałam się, że im znaczniejsza osoba, tym większą przestrzeń ograniczał płotek, ale dokładne miejsce pochówku nie było oznaczone płytą, czy w inny sposób. Osoby naprawdę ważne miały kwatery nawet wystające rogiem czy częścią na główną aleję, zaburzając tym samym geometrię cmentarza. Na grobie Wysockiego stał alegoryczny posąg barda, oraz jego fotografia, obecnie jednak, sądząc ze zdjęć w internecie okolony chodniczkiem i obramowany płytami. Postawiono także inny posąg, już poza jego grobem.

Gdy oglądaliśmy wcześniej cmentarze na wschodzie interesowało nas na ile ich wygląd był odbiciem zwyczajów mahometan, a na ile rosyjskiego obyczaju. Napotkaliśmy tam kiedyś nawet na kondukt żałobny. Nieboszczyka ułożono na platformie przyczepy do ciągnika wyłożonej pięknymi dywanami, a padający śnieg (był luty) nie topił się na jego odkrytej twarzy, więc co chwilę któryś z żałobników strzepywał go małą miotełką.

Obejrzawszy grób Wysockiego ruszyłam dalej. W ten sposób trafiłam na grób pewnej rosyjskiej dziewczyny, studentki, córki bardzo znanego (nie mnie, ale opowiadali o tym ludzie) moskiewskiego dziennikarza, wyróżniający się niesłychanym, nawet jak na tamtejsze warunki przepychem, posuniętym nawet do tego stopnia, że jej kwatera wcinała się swoim złotym ogrodzeniem w szeroką główną aleję. Grób ten wyglądał w ten sposób, że na ogrodzonym pozłacanymi sztachetami i łańcuchami kawałku gruntu wkopana weń została fotografia wielkości metr na metr mniej więcej, obstawiona ciasno najrozmaitszymi kwiatami. Przy tym grobie przystawało bardzo wiele osób i właśnie ci ludzie objaśnili mi treść napisu i fakt, że ojciec tej dziewczyny był bardzo znanym

dziennikarzem filmowym, choć jego nazwisko mi nic nie mówiło, a jego córka zginęła kilka miesięcy wcześniej w wypadku drogowym, z jakichś powodów głośnym w Moskwie.

Przyglądając się temu grobowi czułam się nie wiadomo czemu głęboko poruszona, aż chciało mi się z samej siebie śmiać. Owszem, dziewczyna na fotografii była bardzo ładna, ale nie budziła żadnych moich skojarzeń z jakąkolwiek znaną mi twarzą, co by usprawiedliwiać mogło moje emocje. Dopiero mozolnie odczytując ruskie, nieco już zapomniane od lat studiów bukwy, dotarłam do daty jej śmierci, która jednocześnie była datą mojego wypadku (19 styczeń 1996 r.). Potem, dalej przeczytałam datę jej urodzenia i ona też była identyczna z moją, tyle, że rok nie był 1942 jak mój tylko 1972, to znaczy urodziła się równe 50 lat później. Ponieważ uznałam to za ciekawostkę wartą zapamiętania, zamiast spisać wszystkie dane w tego grobu, poprosiłam towarzyszącego mi kierowcę o zrobienie zdjęcia. Pierwsze zrobiłam sama, całego grobu, drugie zrobił on, obejmujące mnie stojącą przy owych złocistych sztachetkach.

Oba zdjęcia nie wyszły. Zdjęcie obejmujące fotografię dziewczyny, tablicę i złociste sztachetki zostało całkowicie prześwietlone, natomiast na zdjęciu, na którym ja stałam przy grobie, obok mnie znalazła się jasna smuga, całkowicie zakrywająca wszystko poza moją osobą. Muszę dodać, że zdjęcia te były w środku kliszy, wśród innych dobrych, tak że nie było żadnego uzasadnienia dla faktu ich prześwietlenia. O ile w pierwszym wypadku fotograf w zakładzie twierdził, że złociste sztachetki mogły dać odblask prześwietlający kliszę, o tyle w drugim, ze mną, moja ciemna sukienka powinna pochłonąć ten odblask. Tak więc nie udało mi się uwiecznić czegokolwiek, co dotyczyło tej dziewczyny, jej nazwiska, tekstu napisów i tak dalej, jakby jej duch nie życzył sobie moich dalszych poszukiwań w tej sprawie, które miałam ochotę, nie ukrywam, prowadzić.

Ten przypadek przypomniał mi obejrzany kiedyś film o amerykańskim konstruktorze krzeseł elektrycznych, który jako ekspert badający resztki zabudowań Oświęcimia, zaangażował się bardzo silnie w udowadnianie, że holokaust w rzeczywistości nie miał miejsca. Jako uboczny motyw tego filmu autorzy podkreślali jego wyjątkową wręcz drobiazgowość, ilustrowaną własną opowieścią o prowadzonych pracach. Ten wątek, o którym teraz piszę, był migawką, przypadkowym odpryskiem jego wypowiedzi. Dla ilustracji skrupulatności tego człowieka pozwolono mu obszernie mówić o naprawach krzeseł elektrycznych. Długie sekwencje jego wypowiedzi poświęcone były materiałom, z których krzesła te wykonano i próbom odtworzenia stosowanych kilkadziesiąt lat wcześniej tworzyw. Człowiek ten zaczynał więc swoją pracę od rozłożenia krzesła na części pierwsze, analizy poszczególnych części, poszukiwaniu autentycznych materiałów i łączeniu ich z zachowanymi częściami. Dla uniknięcia przyszłych pomyłek, przed rozłożeniem krzesła na części pierwsze, konstruktor ten sporządzał przynajmniej kilkanaście fotografii dokumentujących pierwotny wygląd krzesła. Podczas ich prezentacji inżynier pokazał dwie z fotografii jednego z krzeseł, które w miejscu oparcia, wypadającym naprzeciw serca skazanego, miały świetlisty krąg wielkości małej piłeczki. Ponieważ człowiek był bardzo rzeczowy, nie komentował tego specjalnie, pokazał tylko jako ciekawostkę, mającą świadczyć o tym, jak bardzo mało wiemy o procesach zachodzących w organizmie zabijanego człowieka, co jego zdaniem, wskazywało na wyższość uśmiercania delikwenta zastrzykiem z trucizną.

Puszczając wodze literackiej wyobraźni można by posunąć się do twierdzenia, że Los, omylny jak my wszyscy, pomylił dwie fiszki z jednego dnia, choć w różnych punktach globu i mnie dał przeżyć, zamiast tamtej dziewczynie. Gdybym coś więcej wiedziała o niej, mogłabym snuć rozmaite teorie na

temat sensu zaplanowanej dla mnie i dla niej egzekucji, więc powstrzymano mnie prześwietlając kliszę. Dlaczego jednak Wielki Krupier zagnał mnie tam, gdzie mogłam zapoznać się z dziwną zbieżnością losów? A może On nie pomylił tych fiszek, tylko celowo je przestawił? Czy to są ostrzeżenia, czy bonifikaty i za jakie czyny?

Nie tworzę żadnych teorii w tych sprawach. Traktuję te wydarzenia jako zbiegi okoliczności. Tak jest bezpieczniej dla mnie. Ale nie potrafią wyjść z mojej pamięci.

Zupełnie inne wrażenia wyniosłam w 2009 roku ze zwiedzania cmentarza Pere Lachaise. Pusto, prawie bezludnie, na ogromnym terenie wiele prawdziwych dzieł sztuki, na grobach niewiele kwiatów (zazwyczaj ususzonych na amen), brak zniczy. Niektóre nagrobki przypominają miniaturowe rezydencje. Wiele opatrzonych symbolami, np. masońskimi. Odnosi się wrażenie, że zmarłych pochowano dbając o solidną i artystyczną oprawę ich pochówku (żadnych lastriko czy czegoś w tym rodzaju!) i pozostawiono sobie. Na tym ogromnym cmentarzu, gdzie chodziłyśmy kilka godzin spotkałyśmy tylko jedną staruszkę, która nie wyglądała na turystkę.

32. Skrzydło motyla

Co jest przyczyną, a co skutkiem? Ze studiów pamiętam przykład na zawodność interpretacji badań statystycznych. Mianowicie w pewnej miejscowości, bodajże w Szkocji, badania wskazały na powiązanie statystyczne dwóch grup danych: populacji bocianów i urodzeń dzieci — obie grupy wzrastały lub malały w podobnym tempie. Nie należało z tych badań wyciągać wniosków, że zwiększenie liczby bocianów zwiększało wydajność ich populacji w przynoszeniu dzieci. Broń Boże! Chodziło ponoć o to, że miejscowość jako oddalona od „cywilizacji" była znakomitym miejscem życia dla bocianów, a brak rozrywek mieszkańców skutkował tradycyjnym stylem życia oraz rodzeniem licznych dzieci.

Zafascynowała mnie też historia gdzieś przeczytana (ponoć autentyczna). Papież Borgia miał nieślubną córkę, która była całym jego szczęściem. Dziesięć lat przed omawianymi wydarzeniami tarociści przepowiadali mu klęskę, a właściwie klęskę całego rodu Borgiów. Po naradach z wróżbitami pewnego dnia, ni stąd ni zowąd, papież, który (podobno) tak bardzo trząsł się nad ową nieślubną córką, że po urodzeniu przez nią dziecka oddzielił ją od jej męża i nakazał zamknąć w komnacie przylegającej do własnej, pod konwojem odesłał ją do odległego zamku. (Nawiasem mówiąc świadczy to chyba o braku zaufania do jej męża a nie o trosce o córkę!) W tym czasie jej matka także spodziewała się dziecka, ale ona pozostała przy papieżu.

Pewnego dnia obie kobiety z dziećmi znaleziono martwe, córka papieża z dzieckiem leżała nieżywa na odległym zamku, jej matka w nocy urodziła martwe dziecko i umarła w pałacu papieskim, zanim ktoś się zorientował. Wydarzenia te wpłynęły tak na papieża, że otoczenie obawiało się o jego władze umysłowe, i w rezultacie nie sprostał wyzwaniom politycznym, które się pojawiły, przegrał kilka bitew i wojnę, aż wreszcie go zamordowano, co było końcem rodu Borgiów.

Co było skutkiem, a co przyczyną?

Pewna moja koleżanka toczyła spór ze swoim synem. Przez kilka dni gościła u siebie siostrzeńca i jego dziewczynę, co syn koleżanki uznał za zamach na swoje prawa, ponieważ utrudniło mu dostęp do takich dóbr jak telewizor i komputer (mają niewielkie, dwupokojowe mieszkanie i pojedyncze egzemplarze tego luksusu). Wyrzucając matce, że nie respektuje jego praw wyszedł z domu i upił się, po czym został napadnięty i obrabowany. Teraz do jego listy zarzutów przeciw matce doszedł jeszcze jeden: „swoim krytycznym podejściem do moich argumentów przedstawionych w sporze, odebrałaś mi pewność siebie, wskutek czego osłabiłaś moją energię życiową i dlatego spotkało mnie nieszczęście"

To wszystko przypomniało mi się podczas tego całego zamieszania w telewizji w związku z rzekomymi lub rzeczywistymi śladami materiałów wybuchowych. W Akademii Astrologii Wojciech Jóźwiak pod frapującym tytułem „Saturn atakuje Słońce Donalda Tuska" przedstawił horoskop premiera wraz z aktualnymi tranzytami. Tekst ten jest także w blogu Mesuranema i stale zamieszczane są na nim komentarze. Widać czytelnicy sprawdzają stale aktualną sytuację. Nie da się ukryć, że istotnie, Saturn tworzy trudne aspekty z całym układem planet Tuska. Istotnie, opozycja wyciąga przeciwko niemu mnóstwo argumentów, część z nich „ma ręce i nogi", część zaś jest z gatunku argumentów syna mojej koleżanki. Ostatnio nawet sprawy zaszły tak bardzo daleko, że nie mogą być przez bohatera

ignorowane. Chociaż, kto wie? Niezależnie od tego, jak potoczą się dalej wydarzenia: co będzie skutkiem, a co przyczyną?

Wyżej przytoczone przykłady zdają się wskazywać na to, że szukanie przyczyn albo skutków jest stratą czasu.

Dlaczego więc stale to robimy? Po prostu lubimy upraszczać rzeczy skomplikowane albo niezrozumiałe. Rzucił mnie, bo ma inną. Nie załatwiono mojej sprawy tak jak chciałem, bo nie dałem łapówki. Dziecko zachowuje się skandalicznie z powodu niskich kwalifikacji nauczycieli. Polakom żyje się coraz gorzej, bo Tusk już się wypalił. itd., itd....

Myślące dziecko wychowane w atmosferze takich prostych prawdeczek raczej nigdy potem nie będzie wiedziało co jest przyczyną, a co skutkiem; czy gdyby nie było takiej czy innej wojny, łagodniej, czy przeciwnie, gorzej obchodzono by się z Albańczykami z Kosowa, Irańczykami, Syryjczykami czy inną nacją. Co było pierwsze: jajko czy kura, terrorysta czy służby?

Ja też nie wiem, czy gdyby Powstanie Warszawskie nie wybuchło, nie poznałabym bombardowań, nie zranił by mnie odłamek, nie otrzymałabym transfuzji krwi od mojej ciężarnej mamy bez badania czynnika Rh, aż wreszcie skutkiem tego moje dzieci nie urodziłyby się z konfliktem krwi. Pomyślcie tylko, wskutek wybuchu powstania w 1944 roku (i całej historii Polski, Europy, Świata, Ziemi, Kosmosu) zagrożone jest także życie dziecka urodzonego w roku 1966! Jest tylko jedno wytłumaczenie, niestety, też zbyt proste.

Motyl machnął skrzydłem...

33. Kandydatki na czarownice (1)

Blisko czterdzieści lat temu pracowałam w Centrali Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” i uczestniczyłam w pewnej, bardzo poważnej konferencji, odbywającej się w warszawskim „Domu Chłopa” (był to jak na owe czasy luksusowy hotel i centrum konferencyjne). Konferencja miała za zadanie ukazać zebranym przedstawicielom powiatów z całej Polski konieczność zajęcia się propagandą i zabezpieczeniami przeciwpożarowymi na wsi. Tematyka była obszerna, obejmowała mnóstwo problemów, od ubezpieczeń, funduszy prewencyjnych, Straży Pożarnej, BHP w gospodarstwie rolnym i innych ważnych spraw, więc konferencja przeciągała się. Byliśmy wszyscy po sutym obiedzie, za oknami zapadł już zmrok, a prelegent nawijał coś monotonnie. Niektórzy uczestnicy przysypiali. Wtedy pewna kobieta ze Śląska, wysoka, chuda, koło czterdziestki, o intensywnie rudych włosach, robiąca na oko bardzo poważne wrażenie, odezwała się na głos ni z tego ni z owego:

—„Pomówmy lepiej o miłości”.

Coś niesłychanego stało się z salą. Były to czasy, gdy takie spotkania i narady były niesłychanie nudne, wzorowane jeszcze na przemówieniach Gomółki. „Samopomoc Chłopska” była prawie ministerstwem. Myśl, że można coś takiego powiedzieć publicznie nie mieściła się w głowie nikomu. Prelegent zaniemówił, w końcu coś wybąkał na temat tego, że nie jesteśmy w szkole i sztubackie żarty nie są na miejscu. Jednak ta niestosowna wypowiedź spowodowała, że wszyscy obudzili się, prelegent przestał nudzić i zaczął się streszczać, niektórzy zaczęli szeptać i chichotać się. Nie ulega wątpliwości, że byłby to jedyny, interesujący wszystkich temat.

Czyż nie była prawdziwą czarownicą?

Zapamiętałam to zdarzenie, bo później poznałam ową rudą kobietę (wówczas z dziesięć lat starszą ode mnie). Była chyba jedyną osobą, poznaną w tamtym okresie mojego życia, która nie ukrywała, że żyje się wyłącznie dla uczucia fascynacji drugim człowiekiem, a cała reszta jest mierzwą. Poza tym nie było w niej nic nadzwyczajnego, ale pociągała mnie swoim brakiem zahamowań przed okazywaniem poglądów i niefrasobliwością, z którą pomijała nawet najważniejsze, zajmujące wszystkich kwestie.

Mój szef (w którym się w tamtych czasach platonicznie podkochiwałam), nie znosił jej, a ja przeżywałam rozdwojenie: z jednej strony fascynował mnie on, swoją wiedzą, inteligencją, umiejętnością prowadzenia skomplikowanych politycznych gier, światowym obyciem; jednak był zdecydowanym prawicowcem w poglądach, co we mnie wywoływało przykre uczucia braku pełnego zachwytu dla jego osoby.

Z drugiej zaś strony pociągała mnie jej osobowość, krańcowo odmienna, pozbawiona wiary w sprawdzone autorytety, poszukująca jedynie swojej drogi, bez oglądania się na ludzką opinię. Nie robiła nic złego, nie stała na bakier z uznaną moralnością, ani nic takiego, (przynajmniej o tym nic nie wiem), ale nie dowierzała z zasady żadnym autorytetom. Mówiła pięknie gwarą w czasach, gdy gwarowość uznawano za synonim niższego statusu społecznego. Nie była żadną intelektualistką, miała wykształcenie tylko średnie, była jednak bardzo dobrym pracownikiem i zawsze czuła się na

swoim miejscu, więc nikt jej specjalnie nie tępił, choć czasem lekceważono, jako z lekka stukniętą. Może istotnie była czarownicą?

Oczywiście przyznawałam jej wówczas (jedynie) teoretycznie rację, (a przyznaję dziś w całej rozciągłości). Prawicowość (wg obecnych klasyfikacji; wtedy nazwa ta była zarezerwowana dla politycznych odstępców) szefa w poglądach na kobiety, ich rolę, jego poczucie wyższości, należne z racji stanowiska, urodzenia i zamożności, drażniły mnie, jednak nie mogę zapomnieć, że wyłącznie jemu zawdzięczam skierowanie na studia, że kpiąc z mojego braku wykształcenia w pewien sposób zmusił mnie do podjęcia tego wysiłku w 38 roku życia.

Na drzwiach pokoju, w którym pracowałam z kilkoma osobami znajdował się spis pracowników za szklaną szybką w solidnej metalowej oprawie. W tej kolumnie nazwisk jedynie moje imię i nazwisko, pozbawione tytułu, wyróżniało się. Uważałam to za napiętnowanie i byłam szczególnie drażliwa, gdy z tego żartowano.

Inna sprawa, czy podjęcie studiów na kierunku, którym zupełnie wtedy nie byłam zainteresowana, poza podniesieniem stopnia wiary w siebie, dało mi więcej zadowolenia z życia.

Jej zaś, tej rudej czarownicy, zawdzięczałam pierwsze refleksje na temat tego, co w życiu jest ważne, choć w moim przypadku nie wszystko było takie proste. Zawsze największym zarzutem, jaki mi stawiano, począwszy od rodziny poprzez współpracowników i szefów, była nadmierna uczuciowość, spontaniczność, brak konwencjonalności. Ileż ja się namęczyłam próbując przystosować mój styl do potrzeb korespondencji urzędowej, z jej specyficznym słownictwem, konstrukcją zdań i argumentacją mającą raczej zaciemniać problem niż go rozjaśniać! Starając się żyć jak wszyscy i wypełniać przypisane mi role społeczne nie doznawałam satysfakcji. Czasami sądziłam, że jedynym uczuciem, które we mnie zostało był nieokreślony żal i ból, ale ponieważ byłam honorowa, starałam się nigdy uczuciem tym nie kierować. Za swój fetysz uznałam zdrowy rozsądek, a tymczasem i on nie przyniósł mi ulgi. Z moimi „odchyleniami" walczyłam lata, sama uważając je za bzdurę i czerpiąc z nich tylko udrękę, a w dodatku bojąc się opinii otoczenia.

Ale wykiwałam ich wszystkich. Tuż przed napisaniem pracy magisterskiej zdobyłam pierwszą nagrodę za opowiadanie SF „Plama na wodzie" i wydano ją w zbiorku, który jeszcze gdzieś tam pałęta się po Allegro. Pisząc pracę na temat niepewności i ryzyka w działalności gospodarczej miałam kłopot z częścią stanowiącą wstępną podbudowę teoretyczną. W Polsce uważano wówczas prowadzenie firmy w warunkach ryzyka za typowy przykład absurdu (kto normalnie rozsądny w gospodarce „planowej" podejmuje się czegoś takiego?). Języków obcych nie znałam na tyle, żeby tłumaczyć materiały, poprzestałam na tłumaczeniu tytułów rozdziałów książek, które podałam w bibliografii, nie miałam więc skąd wziąć teorii. Zresztą w tym okresie wszystko mi się plątało – opowiadania SF, praca magisterska, trudności materialne i problemy życiowe. Kiedy termin oddania pracy już się zbliżał wstawiłam do niej fragmenty wymyślone na potrzeby uzasadnienia wydarzeń i zamieszczone w opowiadaniu „Plama na wodzie". Brzmiały bardzo mądrze i nadawały się. Nikt ich nie zakwestionował, pracę oceniono bardzo dobrze, nawet otrzymałam za nią jakąś nagrodę rektora uczelni.

Po latach przeczytałam notkę o identycznej teorii (przynajmniej tak brzmiało to w prasowym skrócie) opublikowanej przez jakiegoś słynnego angielskiego ekonomistę.

Czyż nie byłam wtedy czarownicą?

34. Czarownice – stereotypy

Bardzo brzydko wydrukował się mój komentarz do komentarza Piotra Jaczewskiego, muszę więc (z tego i innych powodów) zająć się stereotypami. Na pierwszy ogień – stereotypem czarownicy. Powtórzę więc swoją wypowiedź (stanowiącą odpowiedź bynajmniej nie na post Piotra, ale na załączony przez niego link). Z zapałem obejrzałam wszystkie śliczne przedstawienia czarownic i (jako osoba poukładana generalnie rzecz biorąc) próbowałam wtłoczyć je w kilka schematów. Niepokojące było to, że tych schematów było stanowczo zbyt mało. Ot, tak naprawdę tylko dwa, w morzu pocztówek obrazów i fotografii . Schemat nr 1 – piękność w typie dwudziestolecia międzywojennego. Wyraziste oczy, głębokie spojrzenie, powiewna szata, rekwizyty: czarny kot, dynia (nieznana do niedawna w naszej symbolice), miotła. Nr 2 – rekwizyty się nie zmieniły, ale zmienił się typ sex urody. Już nie ma głębokiego spojrzenia (zostało czasami zastąpione sztucznymi rzęsami – zainteresowanych ich typem odsyłam do stosownych reklam) a jest napakowany biust wylewający się z umownego stanika, nóżki z bicepsami nie przymierzając jak u kulturysty, blond kudły. Rekwizyty zostały te same.

Tak więc obraz czarownicy w popularnej kulturze niewiele różni się od obrazu sex-bomby wg nomenklatury takich przestarzałych babć, jak ja.

Zadaję sobie więc pytanie: Dlaczego kandydatki na czarownice koniecznie muszą być młode i śliczne?

Dlaczego nie mogą być na przykład takie?

„Była czarownicą. O tym tylko ona wiedziała. Napuchłe stopy ciężko mlaskały w przejmująco zimnym błocie, niekształtna sylwetka opatulona w jakieś szmaty poruszała się niczym pajac na sznurku: lewa ręka-prawa noga, prawa ręka lewa noga. Stawy bolały ją od kilku już lat, ale nigdy tak bardzo, jak dzisiejszego poranka, gdy wilgoć z powietrza w ten piękny, majowy poranek wsączała się wszędzie, także i w jej, nie do końca stare kości.

Mogłaby śpiewać pieśń czarownicy, hymn kobiety do swoich znękanych kości, żeby uległy wreszcie zaklęciom i przestały boleć. Piękne strofy wiersza kotłowały się w jej głowie pod strzechą siwych włosów, rymy nieodkryte dotąd przez poetów wpadały (i przepadały) w tym chłodnym poranku, wsysane przez chlupiące błoto. Przełożyła dwie sterty drzewa, te kłody na spodzie były jeszcze zamarznięte. Kiedy je układała w kwietniu, wziął mróz i sypnął śniegiem, trociny z piły przymarzły do drewna i teraz odpadały, choć w głębi drzewo było nadal zmarznięte. Myślała, przekładając to drewno, jak coraz bardziej zamarza jej serce i jakie to okropne być czarownicą z zamarzniętym sercem. Już nigdy nikt nie odkryje w niej dobrej czarownicy, to zamarznięte serce i majowe błocko przesądza sprawę.

Jej czarny kocur złapał mysz (a może nornicę) i właśnie się z nią bawił, choć zabawa ta nie była tym samym dla myszy, co i dla kota. Gdy była młodsza, czasem współczuła myszom, teraz już nie. Śmierć myszy jest częścią tego losu, który spotyka wcześniej czy później także i czarownice. Nawet takie, których nikt nie posądza o to, że są czarownicami.

Tego ranka obudziła się przed świtem, przerażona niczym dziecko i pełna nie wiadomo skąd biorącego się przekonania, że właśnie dzisiejszego dnia ujawni się jej przeznaczenie, na które czekała od dzieciństwa, znosząc niewygody swojego życia przynajmniej od lat kilkunastu. Sen mówił wyraźnie, że

to, co dotąd było bólem tylko i nie przynosiło żadnego pożytku, ujawni teraz swoją moc. Cóż jej przychodziło dotąd z tego, że każdy stojący obok przekazywał jej swój ból: kości, mięśni, serca, zębów, głowy i ten najgorszy ból, nie całkiem zrozumiały dla niej, miłości bez perspektyw, związków bez sensu, przyzwyczajeń wbrew sobie. Te cudze bóle wchodziły w jej ciało i musiała z nimi walczyć tak jak walczyła ze swoimi.

Ale dzisiaj rano wiedziała już, co z tym zrobić. Niczym błyskawica pojawiło się przekonanie o posiadanej mocy i poczuła: dziś jest mój dzień. Dlatego człapała mimo bolących stawów do najbliższego miasteczka, nie wiedząc dlaczego i po co, a piękne wiersze w jej głowie składały się bez żadnego wysiłku, choć niestety, zapominała je po kilku chwilach."

To fragment mojego opowiadania „Utulić zło" ze zbiorku „Niech żyje Polska, Hurra". Tak przynajmniej ja wówczas, w roku 2006 widziałam postać czarownicy.

Nawiasem mówiąc już utraciłam wówczas swoje manipulacyjne zdolności czarownicy. Nie udał mi się ponowny numer z przeniesieniem tekstów. Na spotkaniu z czytelnikami zarzucono mi, że nie ma w opowiadaniu w ogóle o Polsce. Niestety, moim drogim, a nieuważnym czytelnikom umknął fakt, że posłużyłam się obszernym fragmentem przemówienia Jarosława Kaczyńskiego jako apelem do mieszkańców pewnego miasteczka o wskazywanie i eliminację czarownic.

Rozumiem dlaczego tak się stało. Polacy generalnie dzielą się na dwa rodzaje: tych którzy przejmują się politycznym bełkotem i tych, którzy czując nawet na kilometr jego zapach pomijają go skwapliwie. W prasie czytają tylko o faktach, resztę pomijają. Moi czytelnicy zapewne pomijali ideologiczne uzasadnienia walki z starymi babami i dziwacznymi bachorami o pretensjach do bycia czarownicami. Zapamiętali dobrze tylko fakt, że czarownica urwała się ze sznura i – co więcej – przeżyła. Reszta była już ok.

Ale zmieńmy temat na bardziej ciekawy. Sex a czarownica.

Dlaczego wszystkie te przedstawione czarownice nie całują w tyłek szatana? Dlaczego z obrazów nie wynika, że obcując z szatanem cieleśnie, odczuwają zimno jego członka? Dlaczego brakuje w nich szatańskich praktyk, np. sado-maso? (o tym chcę napisać następnym razem)

Chciałabym nawiązać do pierwiastka „wiedźmy" czy „czarownicy" i rzekomo niezbędności seksu w doświadczaniu świata i czarowaniu. Jestem zdania, że to wymysł męskiego, prawicowego odłamu literatury SF, a następnie popularnego stereotypu, bezmyślnie powtarzanego czasem nawet przez piszące kobiety.

Od dawna chcemy, żeby literacki bohater (ka) byli piękni, nawet jeśli są brzydcy, to muszą być piękni w swojej brzydocie (jak modelki nowej generacji). A czarownica, którą czeka spalenie na stosie powinna być bardzo piękna, wręcz niesamowicie piękna, żeby czytelnikowi było jej bardziej żal. Nikt przecież nie żałuje, gdy umrze jakaś bezimienna, brudna i sterana życiem staruszka; co innego gdy śmierć dotknie młodą, piękną dziewczynę. Całe miasto gotowe ruszać w marszach protestu! To samo dotyczy też szamanek.

Prawdziwa Wiedźma czy Czarownica, moim zdaniem, musi odrzucić może nie tyle swoją seksualność, ale jej silną obecność w swoim życiu. Namiętna kobieta, kochająca czy nie, tak naprawdę nie będzie czarownicą, bowiem ten aspekt życia zaciemni całą resztę jej osobowości (może być tylko chwilowo).

Nie chodzi tu o to, żeby nie uprawiać seksu, nie, ale żeby on nie stanowił w życiu ważnego fragmentu, bowiem kobieta tak jest skonstruowana, że silna seksualność wszystko odsuwa na dalszy plan. Tak mi się przynajmniej wydaje. Dopiero, gdy seks przestaje mieć ważne miejsce w życiu, rozumie się, czuje i doznaje więcej. Można „wyjść z siebie i stanąć obok".

To jest tak jak z paleniem papierosów: kiedy przestajesz palić, czujesz same nieprzyjemne rzeczy; za rok jednak czy dwa przychodzi chwila, gdy pełną piersią odetchniesz cudownymi zapachami i ze zdziwieniem stwierdzisz, że są to normalne zapachy: rozgrzanej smoły, siana, jakichś palonych łętów ziemniaczanych, odrzuconych w sklepie liści kapusty albo marchwianej naci, złamanych nutą wysychających kropli krótkiego deszczu (długi inaczej pachnie i smakuje), czy innych, równie prozaicznych rzeczy. W żadnym wypadku perfumy. Poczujesz wtedy niechęć do silnych, choć nawet przyjemnych zapachów, za to podniecą cię delikatne nuty zapachowe w powietrzu.

To wszystko się jakoś łączy; smak seksualnej nuty w międzyludzkich związkach musi być delikatny i w jakiś sposób czysty, ma nie tłumić możliwości czarownicy, a je wspomagać. Odpowiedzcie mi na proste pytanie: Dlaczego nie są czarownicami może nawet nie szczęśliwe, ale zadowolone mężatki? Właśnie dlatego.

Nawiązując do wiedźm w ogóle, to stanowczo zbyt wiele ich się namnożyło. W internecie na to hasło znalazłam 2.830.000 stron. W 2006 roku Znalazłam kilkadziesiąt blogów dziewcząt twierdzących, że są wiedźmami, dziś zapewne jest ich dziesięciokrotnie więcej, ale poza opisem alkoholowo – narkotykowych balang i stwierdzeniami że „mają wszystkiego dosyć" (a zwłaszcza szkoły i facetów), żadnych objawów wiedźmowatości nie stwierdziłam. Wygląda więc na to, że jest to symbol dość zużyty i wskazane, żeby prawdziwa wiedźma się go pozbyła.

Może więc Viki ma rację, że jest pilną rzeczą opracowanie Kodeksu Czarownicy?

35. Nauczycielka z Eliaszówki

Na początku marca 2005 roku przydarzyła mi się rzecz dziwna i niewytłumaczalna, choć mógł to być zbieg przypadków.

Pewnego wieczora listonosz przyniósł mężowi (na emeryturze zajmował się historią Wołynia) zamówioną przez niego w wydawnictwie książkę, zawierającą spisy Polaków pomordowanych na Ukrainie i relacje naocznych świadków tych morderstw. Był to tom III tego wydawnictwa poświęcony dawnemu województwu Stanisławowskiemu. Pokazał mi ją i powiedział, że ponieważ moja rodzina mieszkała na tamtych terenach, może coś mnie w tej książce zainteresuje. Jest to bardzo opasłe tomiszcze, — prawie 1200 stron — zbyt ciężkie, żeby przeglądać je w łóżku, więc położyłam je tylko na półce obok siebie, do przejrzenia rano. Muszę też nadmienić (a jest to w tej sprawie rzecz ważna), że tom I i II tej publikacji, dotyczącej Ukrainy Zachodniej, skąd pochodziła rodzina męża znajduje się u nas w domu i stała na półce w jego pokoju. Oba pierwsze tomy przeglądałam kiedyś tylko luźno i nie znalazłam w nich nic takiego, co by mnie zainteresowało.

Następnego ranka mąż wstał pierwszy, co w ogóle mu się nie zdarzało; lubił bowiem sypiać do południa a pracować w nocy. Była godzina 6-ta, dopiero się rozjaśniało. Ja byłam mocno jeszcze zaspana, a on przyszedł do mojego pokoju i zaczął zawracać mi głowę. Pytał jak się czuję i tym podobne. Wcale nie miałam ochoty się budzić, byłam jeszcze na wpół śpiąca. W końcu musiałam wstać, więc się wybudziłam całkowicie.

Spytałam męża, co się stało, że tak rano robi mi pobudkę. Na to on, że to ja go obudziłam, bo wołałam przez sen „ratunku” i „pomocy”. Oświadczyłam, że to niemożliwe, bo obudzona przez niego, jeszcze na granicy snu wcale nie śniłam niczego takiego strasznego, co by usprawiedliwiało moje wołanie, a dokładnie pamiętałam ostatni sen: piękną dziewczynę o kwadratowej twarzy ubraną nieco staroświecko, którą właśnie poznałam i z którą miałam zacząć rozmawiać, kiedy przeszkodził mi mąż.

Foto

Szczegółów nie pamiętam, ani ubioru, ani sylwetki, pamiętam tylko wrażenie, że była bardzo ładna, wydawała mi się sympatyczna i miała twarz o wyjątkowo prostokątnym kształcie. Cała reszta wrażeń była zatarta, lub zatarła mi się po obudzeniu, bo w ogóle nie myślałam o tym śnie, przywołałam go do pamięci tylko jako dowód, że nie mogłam krzyczeć „ratunku" i „pomocy". Ale on się upierał. Zaczęliśmy się sprzeczać, czy w ogóle jest możliwe, żeby mąż usłyszał co ja mówię, w swoim, dość odległym pokoju i ta kłótnia zakończyła sprawę.

Wieczorem zaczęłam przeglądać książkę. Sprawdziłam listę pomordowanych w Mielnicy Podolskiej (skąd pochodzi moja rodzina) i dowiedziałam się, że w samym mieście nikogo nie zamordowano, przeciwnie zjeżdżali tam uciekinierzy z pobliskich wiosek i w okolicach byli pomordowani, ale nikt nie znał ich nazwisk.

W historii mojej rodziny ze strony ojca była tylko jedna kobieta, o której dowiedziałam się niedawno i przypadkiem, Stanisława. Była nauczycielką i została zamordowana przez UPA. Postanowiłam sprawdzić, gdzie, w jakiej miejscowości to było i sięgnęłam po jeden z załączników do mojej „Historii rodziny", którą się wówczas zajmowałam p.t. Notki biograficzne. Były to karty z informacjami o poszczególnych osobach, ich życiorysach i zawierające fotografie, jeśli je posiadałam. Notka dotycząca Stanisławy była bardzo uboga, żadnych dat i szczegółów, tylko fotografia.

Dowiedziałam się o jej istnieniu w taki sposób, że w rodzinie utrzymywano iż brat mojego Dziadka, Kwiryn, miał dwie córki. Niektórzy twierdzili, że Kwiryn w ogóle nie miał żony ani dzieci. Kiedy znalazłam w na stronie internetowej poświęconej historii szkoły w Trawnikach w latach 1939 — 1944 nazwisko nauczycielki w dwóch miejscach, w jednym z imieniem Karolina, w drugim bez imienia, początkowo sądziłam, że to jedna i ta sama osoba. Jednak z korespondencji z autorem strony ustaliłam, że były dwie nauczycielki, obie były siostrami. Pomyślałam więc, że mogły to być owe hipotetyczne dwie córki Kwiryna. Mój kuzyn Bohdan napisał do miejscowego historyka i ten odpisał mu, że sióstr było cztery, trzy mieszkały w okolicy Trawnik, a czwarta na Ukrainie. Ta czwarta spędzała z nimi ostatnie wakacje przed wojną i stąd o niej wie od swojej nieżyjącej żony, która znała te trzy nauczycielki. Żona mówiła mu tylko, że zginęła zamordowana przez UPA.

Poprzez znajomych w archiwum nauczycielskim w Lublinie ustaliliśmy imiona tych trzech nauczycielek i ich życiorysy, co do czwartej tylko jej imię i imiona rodziców i miejsce pracy: Eliaszówka k/Ostroga. Nic więcej, żadnych dat i szczegółów. Fotografię Stanisławy otrzymałam od krewnych jej zmarłej siostry (żadna z nauczycielek już nie żyła, a jedna tylko zostawiła rodzinę). Tak więc miałam fotografię, imiona rodziców i miejscowość gdzie pracowała i gdzie ją zamordowano.

To jest może rzecz do oceny, ale kobieta na fotografii mogła mieć cechy przypominającą moją ze snu, choć ta senna była w kolorach i miała dość jasne włosy i kremową cienką sukienkę, czyli była inaczej ubrana niż Stanisława na fotografii.

Znalazłam potwierdzenie jej śmierci w książce Władysława i Ewy Siemaszków „Ludobójstwo...", ale nie w tomie III, otrzymanym w przesyłce, tylko w stojącym na półce u męża tomie I. Więc nie było to przeniknięcie treści świeżo otrzymanej książki do mojego snu. W dodatku nazwisko było zniekształcone, (podano 3 możliwe brzmienia nazwiska, zbliżone ale nieprawidłowe) brak było imienia, za to zgadzało się jedno: była nauczycielką w Eliaszówce. Brak było także dokładnej daty śmierci (ja też jej nie znam) ale znajdowała się adnotacja, że działo się to w początku marca 1943.

Pozostaje pytanie: kto wołał z mojego snu „ratunku" i „pomocy"? No i może powinnam spróbować ustalić dokładną datę jej śmierci, żeby sprawdzić czy to nie była przypadkiem rocznica.

Zaręczam, że w ogóle o niej nie myślałam wcześniej, ani zdjęcia nie pamiętałam. Wszystko mam w komputerze, swoje i męża zdjęcia rodzinne, jest tego na setki. Kiedy nagrywałam swoje dokumenty dotyczące historii rodziny na płytę, żeby zwolnić miejsce na dysku było tam 723 pliki! Nie do zapamiętania!

36. Śmierć Stalina

Niedawno w filmie pokazywano jak ludność Korei Północnej szlocha na placu przed portretem Kim Dzong Ila. Szczególnie smakowite kadry pokazywały histeryzujące młode, ładne Koreanki, w swoim żalu osuwające się na ziemię, nie bacząc na deszcz i słotę. Śmierć wzięła go z mojej półki. Młodzi komentatorzy kompletnie nie rozumieją tej histerii, tych szlochów w kraju zniewolonych ludzi.

To proste dla nich — tak ludność kraju zmanipulowano. Od dziecka wychowana w przedszkolach, często tygodniowych, karmiona propagandą, poddana dyscyplinie, tępiona za każdy przejaw indywidualizmu i odmienności, recytująca bzdurne teksty – po prostu wyprano im mózgi.

Już wcześniej pokazywano wiele filmów o Korei Południowej nacechowanych kompletnym niezrozumieniem emocji, jakie tam grały. Trudno bowiem sobie nam wyobrazić, łatwiej skwitować: — Ot, żałośni ludzie z ich żałosnymi, ograniczonymi uczuciami! Normalny człowiek tego nie pojmie. Taki skansen.

Ja te filmy z Korei Północnej oglądam jako deja vu swojej młodości.

Posłano mnie do szkoły w roku 1947, gdy nie miałam jeszcze sześciu lat, ponieważ byłam dzieckiem nadpobudliwym i nikt nie mógł ze mną wytrzymać. Na sumieniu mam mnóstwo rozmaitych psot i niezręczności, jeśli przewracałam się – a było to często – to od razu pociągałam za sobą cały wieszak z ubraniami (w tamtych latach stały w klasach wzdłuż ściany) i demolowałam urządzenie klasy, przewracały się ławki, wypadały z nich wpuszczone szklane kałamarze, do których co dzień woźna nalewała świeży atrament z wielkiej butli. Atrament plamił klepkę podłogową pastowaną wiórami wosku.

Najgorsza z tych afer, z gatunku tych, które potwierdzają opinię, że „nic tak nie plami jak atrament” wprawiła w przerażenie moją rodzinę.

Z pewną koleżanką wpadłyśmy na pomysł, żeby w podręczniku z figurującym na pierwszej stronie portretem Stalina, domalować mu wąsy, jak u kota. Pierwsza spostrzegła to bluźnierstwo moja mama. Blady strach padł na rodziców. Uważali, że za coś takiego mogą zostać aresztowani, zwłaszcza, że ojciec pracował w Instytucie Lotnictwa przy niektórych tajnych projektach przynosząc plany do domu i „służby” czasem wpadały do nas kontrolując sposób przechowywania tych dokumentów. Przewracali czasem dom do góry nogami. Co by się więc stało, gdyby przy okazji na przykład trafili na podręcznik ze Stalinem z domalowanymi wąsami!

Mama wyrwała kartkę z podręcznika i spaliła ją pod kuchnią. Wyrwała też następną, na której odcisnęły się wodniste ślady atramentu. Potem jednak zastanowiła się: brak portretu Stalina w podręczniku wcale nie załatwia sprawy – nie wiadomo co gorsze: Stalin z wąsami czy jego brak. Wrzuciła więc cały podręcznik pod kuchnię. To samo zrobiła mama koleżanki.

Ale powstał następny problem: jak zdobyć brakujące podręczniki? Nie kupowało się ich, tylko dostawało z przydziału i trzeba się było z nich rozliczać, a na koniec roku oddawać. W dodatku podręczniki przepadły dwu koleżankom z jednej ławki – to naprawdę zdaniem szkoły wymagało śledztwa. Mamy wymyśliły nam opowiastkę o tym jak poszłyśmy uczyć się nad Wisłę i podręczniki

utopiły się nam w wodzie. Ale kto takie dzieci puszcza same nad Wisłę? I w dodatku odległą o parę kilometrów!

Kłamstwo miało jeszcze inne luki, więc zaczęło się dobrze, ale potem nie byłyśmy w stanie oprzeć się śledztwu. Szlochałyśmy więc bez opamiętania. Na szczęście „Pani" zrozumiała, że coś w tym jest i przestała drążyć sprawę upewniwszy się tylko, że rodzice o tym wiedzą.

Nie pamiętam już w jaki sposób nasze mamy zdobyły jeden egzemplarz podręcznika, którym musiałyśmy się dzielić.

Wydarzenie błahe na pozór miało dalsze konsekwencje. Rodzice w klasie szeptali o jakichś niewyjaśnionych sprawach i generalnie rzecz biorąc byłyśmy dokładnie obserwowane. Kto wie, czy strach naszych mam nie był tym właśnie, co ściągnęło na nas uwagę.

Kiedy więc u innej koleżanki odrabiałam lekcje i gdy przyszedł porozmawiać z nami jej wujek (ostrzegano mnie, że trzeba przy nim bardzo ostrożnie się wypowiadać, a najlepiej nic nie mówić) i zaczął wypytywać, co u nas w szkole, a potem czego nas uczono o towarzyszu Stalinie, uznałam za najbezpieczniejsze wyrecytowanie wiersza, którego nas uczono. Było coś tam o głodzie w Polsce powojennej i zwrotka mówiąca, że wówczas „Stalin spichrze radzieckie otworzył". Wujek koleżanki usiłował zmusić mnie do powiedzenia o tym wszystkim, co Stalin dobrego zrobił do Polski własnymi słowami, ale ponieważ używał nacisku i perswazji właściwej śledczemu, nie uzyskał nic poza tym, że powtarzałam stale ten wers w kółko na okrągło, aż wreszcie przerażona, bez płaszcza i kapturka wybiegłam z domu koleżanki (a była zima) i biegłam spory kawał do domu.

Na rodziców znowu padł strach, tata już naszykował w swojej teczce przedmioty ewentualnie potrzebne mu w więzieniu. Sprawa jakoś rozeszła się po kościach. Mama koleżanki przyszła jednak ostrzec moją mamę. Temu człowiekowi wytłumaczyła, że ja się jąkam, co akurat było prawdą.

Jednak najśmieszniejsze jest to, że wówczas przestałam się jąkać.

Ile takich drobnych wydarzeń znaczy drogę koreańskiego dziecka? Komu w ogóle przyjdzie do głowy, jak dramatyczne chwile może przeżywać!

Byłam w szóstej klasie szkoły podstawowej kiedy, umarł towarzysz Stalin. Szlochałam z innymi dziećmi na apelu. Nie dlatego, że opuściło mnie Bóstwo Najwyższe (teraz Witold Suliga tłumaczy na wykładach, że był to egregor – jakby to cokolwiek wyjaśniało), ale dlatego, że zdążyłam już zrozumieć, czego oczekuje ode mnie społeczność, która mnie otacza. W niej żyłam i ona była moim jedynym układem odniesienia. Jedna dziewczynka została relegowana ze szkoły, bo nie płakała, a dostała ataku śmiechu.

To był mechanizm podobny do tego, który zaprezentował mój dwudziestoletni syn na pogrzebie babci. Nie dość, że się spóźnił, a jeszcze musiał wyjść z kościoła, bowiem opanował go niepowstrzymany atak śmiechu.

Potem rodzina i żałobnicy komentowali ten fakt do obrzydliwości. Ja zaś, zamiast płakać po mamie, zmagałam się z opinią o „nieprawomyślności" wnuka, któremu babcia zostawiła mieszkanie. Nikt nie wiedział (ja też), że jadąc na pogrzeb miał wypadek samochodowy i śmiech był reakcją na cały ten, niesłychanie trudny dla niego poranek.

Przebyłam bardzo daleką drogę od płaczu po śmierci towarzysza Stalina — drogę od emocji zbiorowych (umiejscowionych podobno w egregorach) do uczuć prywatnych. Jeżeli to wykonalne, to wreszcie, po sześćdziesięciu paru latach uwolniłam się od cienia (egregora) towarzysza Stalina!

Nie wierzę już teraz w żadne emocje zbiorowe. Nie wierzę reklamom. Nie płakałam po śmierci Papieża. Kiedy po katastrofie smoleńskiej kondukt przechodził ulicami Warszawy ja zauważyłam tylko, że w otoczeniu machających kadzielnicami księży i purpuratów kroczących dostojnie w takt muzyki, drepczącego księdza asystenta, trzymającego przed którymś dostojnikiem otwarty laptop tak, aby ten coś tam mógł obejrzeć czy przeczytać.

Zrozumiałam, że amputowano mi emocje zbiorowe i zapewne wielu Koreańczyków będzie przeżywało to samo. Możliwe jednak, że się mylę i pogląd ten nie ma większego sensu, a zbiorowe emocje powrócą (oby nie!), bo obowiązek płaczu po śmierci towarzysza Stalina może ciążyć na osobowości dziecka aż do jego śmierci.

Egregor czy bóstwo – czy takie rozróżnienie ma sens? Napędem egregora są myśli ludzkie, a właściwie wiara w istnienie ucieleśnionego pojęcia. A bóstwa? Czy nie to samo? Tak czy inaczej, z przerażonego dziecka wyrosłam na kogoś pozbawionego wiary w to, co mówi większość czy inne autorytety.

Jeśli zrozumiecie ten wywód, oznaczać to będzie, że mój Merkury nie całkiem jest spalony.

37. Służew nad Dolinką reality show

W 2007 roku zmarł mój mąż, z zawodu inżynier budowlany. W 2008 roku przed moim domem, w miejscu niebieskiego, blaszanego baraczku „Samu", rozpoczęto budowę luksusowego trzypiętrowego domu dla dzieci prominentów mojej spółdzielni. W grudniu, w najgorszą pogodę, zainstalowano na placu budowy dwa dźwigi. Odrywając wzrok od ekranu komputera patrzyłam na samochody brnące bladym świtem, nieodśnieżoną jezdnią, z ładunkiem długich elementów dźwigu, usiłujące wymanewrować w wąskich uliczkach, w dodatku zastawionych samochodami, i wjechać na plac budowy by rozładować to, co wiozły na skrzyni.

Co ja przeżywałam, gdy o piątej rano, po ciemku, formowała się niepisana kolejka samochodów! Najpierw na plac budowy wjeżdżał dźwig. „Rozpakowywał się" jakiś czas, a tymczasem w kolejce do rozładunku stały dwie lub trzy dłużyce. Rzecz w tym, że czas przybycia tych samochodów (i w związku z tym ustawiona kolejka) nie zawsze był zgodny z logiką rozładunku, którym kierował się operator dźwigu. Powstawały nieporozumienia, niektórzy chcieli, żeby szybciej ich rozładować, a ich elementy odłożyć na bok, ale nie było zbyt wiele miejsca na takie przejściowe magazynowanie. Te wszystkie konflikty odczytywałam na wpół senna siedząc przy swoim biurku o wgapiając się w ów plac budowy. To mało: przeżywałam stres jednego kierowcy, który przyjechał najwcześniej (już stał, kiedy się obudziłam) i który zgodnie z „kolejką" wjechał na plac, ale potem musiał stamtąd wyjechać jak niepyszny (tak sądziłam po jego gwałtownych ruchach i gestykulacji) i trafił jako ostatni do rozładunku. Potem obserwowałam poszczególne elementy: który do którego pasuje, jak go założą, na ziemi czy w powietrzu, jak go podniosą i jak je złączą w powietrzu.

Na dworze ledwo świt, a ja zrywam się z łóżka i na wpół przytomna biegnę do okna. O ! Przywieźli jeden, dwa, trzy elementy. A przecież dźwig już stoi! Czyżby mieli instalować drugi? Mąż, inżynier budowlany, zza grobu śmieje się ze mnie:

— Panie kierowniku budowy, niech pan do nich pójdzie i powie im, że pieprzą robotę... Teraz muszą dodawać chyba do betonu jakieś dodatki, kiedyś u mnie na budowie pozamarzały pompy i na końcu betoniarnia też zamarzła...

Z ulicy dobiegają przekleństwa: Kurwa jego mać ty zajebany chuju... Przyjechały dwa kolejne dźwigi. To konkurencja czy współpraca?

Robię nieżyjącemu mężowi egzamin z budownictwa: Czy jeżeli biorą ten element najpierw, to oznacza, że on będzie na dole i do czego ta część służy? Skąd się bierze ta chmura pary?

Jeden dźwig odjechał, ale za chwilę przyjechał inny. Dlaczego? Dlaczego, dlaczego? Nie mam się kogo spytać. Ci w niebieskich kombinezonach, to ekipa instalacyjna dźwigu. Przeganiają tych w czerwonych kamizelkach i żółtych kaskach. Tych w białych się nie czepiają. Dlaczego długo w noc palą się wszystkie światła, czyżby teraz hotele robotnicze mieściły się na placach budowy?

Jedziemy z synem do marketu na Ursynowie, przed nami plac budowy. Ichni dźwig obłożony jest wokół betonami, dlaczego nasz nie; tylko mocowany jest na jakieś żelastwo i śruby? Ichnie barakowozy w trzech rzędach do góry (nasze tylko w dwóch).

Rano człapię do kiosku po bułki i gazety. Minus piętnaście, kulę się w swoim sztucznym futerku; pod spodem ruskie rajtuzy za osiem złotych naciągnięte na nocną koszulę (za dwanaście), spódnica do kostek przykrywa rajtuzy, buty z futerkiem wciągnięte na gołe nogi, czarna czapka za osiem złotych opiera się na okularach. Wyborcza, Polityka, Przegląd – a jak są pieniądze – Wróżka, i myk do prześwitu z budowy: O, przyjechała betoniara w zielone paski (normalnie te, co przyjeżdżają, są w niebieskie), a teraz, w czerwono – białe – granatowe : jak na fladze Francji, to pewnie ściągnęli beton z innej firmy. Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Kogo teraz pytać?

Na pierwszym dźwigu napisano „PEINER", na drugim widnieje tylko telefon. Pierwszy ustawiali w jeden dzień, drugi aż cztery dni. Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Drugi dźwig ma dłuższe ramiona. Przecież się będą zaczepiały! Ustawili dwa elementy, trzeci naprowadzili na wierzch tych dwóch i obsunęli w dół.

Dwa dźwigi wciągają na raz jeden element. Że też się nic im nie chwieje! Co oznacza ta skrzynka, którą ciągną na linie? Wygląda jak teczka dyplomatka miotana podmuchem wiatru i fantazją dźwigowego...Czy żółte, czerwone i białe hełmy robotników coś znaczą?

Ale cwane! Teraz dźwig sam siebie wciąga. Zamontowane ramiona podnoszą kolejne elementy, w tym nasuniętym kawałku odsłania się dziura, podnosi się dźwig, taka jakaś dziwna strzałka - to urządzenie do przesuwania: ramię dźwigu wciąga element zaczepiony na tej strzałce i wsuwa się w powstałą dziurę, ci w granatowych kurtkach, co rządzą wszystkim, uczepieni jak małpy drabinek wewnątrz konstrukcji, stukają, pukają, mocują...

Kolejny poranek. Włączony komputer, ściągają się wyciągi bankowe i przelewy świadczeń za czynsz, fundusz remontowy, kablówkę, telefony i światło, (a wraz z nimi wirusy podłączone przez kogoś do moich rachunków) w wirtualną przestrzeń wędruje moja emerytura i renta powypadkowa, ongiś mająca wyrównać mi różnicę między dochodami starszej pani, a dynamicznej byłej pani dyrektor, która wyrwała się z masy pracujących kobiet i zanim zdążyła poczuć blask sukcesu, wskutek wypadku drogowego, trafiła do grona emerytek – rencistek naszego bloku, którym nie za bardzo starcza na czynsz.

A ja czekam, kiedy ten pan od dźwigu będzie wdrapywał się na górę i chcę wiedzieć, jak szybko to zrobi. Czy zatrzyma się po drodze, czy będzie parł do przodu. Dlaczego nie zostałam dźwigową? Taki sukces jest wymierny. Pniesz się do góry i nie wygląda na to, żebyś miała w najbliższym czasie spaść. Niebo o świcie oznacza twoją zdolność do mobilizacji, a tym samym życie. Słabość – wyklucza cię z gry w tym dniu, a może i na zawsze. Czasami, mój nieznany przyjacielu (bo wszystko już było), łazisz po ramieniu dźwigu, szerokim na stopę, uczepiony zewnętrznej krawędzi, przekładasz jakieś kable... Ja od samego tego widoku, spadłabym w dół.

W poniedziałek źle się czuję. Ale idę do sklepu – może mróz mnie wyrwie z ospałości i wyrówna bicie serca. Następnego dnia na drzwiach wejściowych klepsydry. Zmarł w wieku 60 lat, zmarł w wieku 61 lat. Czy to wyobraźnia płata mi figle, czy wyczuwałam śmierć między ścianami bloku? Mąż zawsze mruczał: — z naszej półki już biorą. W listopadzie skończę sześćdziesiąt sześć. Tamte półki jeszcze młodsze. Dzwoni kuzyn: mam okropne zadanie, muszę napisać trzy listy kondolencyjne, pomóż mi. Więc mu dyktuję. Młodsi ode mnie, 60-61 lat.

Przed moimi oczami dźwigowy (nieco brzuchaty) pnie się po drabince zamontowanej wewnątrz elementów, przystaje na każdym podeście, a jest ich do góry dziesięć. To nie ten, co wspinał się wczoraj rano, tamten nawet raz się nie zatrzymał. Ten jest w połowie drogi między swoim kolegą z wczorajszego dnia, a mną, babcią ze sztucznym futerkiem zarzuconym na koszulę nocną i ruskie rajtuzy za osiem złotych. Przed bramą budowy stoi dłużyca i trąbi. Dozorca zmiata śnieg (bo inaczej zapłaci mandat). Dźwigowy wspinając się, co chwila przystaje. Chciałabym zawołać: „jestem z tobą" ale milczę i spieszę do domu na poranną herbatę i pięć proszków: cztery białe i jeden czerwony.

38. Kandydatki na czarownice (2)

Na ogół tak bywa, że żadna kobieta nie jest w pełni czarownicą. Przynajmniej takiej nie znam. Dlatego też żadna nie dostąpiłaby zaszczytu napisania Kodeksu Czarownicy – należnego zdaniem Przemysława (komentarz do odcinka 34) – jedynie czarownicy koncesjonowanej, czyli takiej, która udowodniła bycie czarownicą (Przed kim? W jaki sposób? Ile to by kosztowało?)

Zazwyczaj czarownicą się raczej bywa, niż jest. Pewna moja koleżanka powiedziała mi kiedyś tak: — „ Dla mnie o wiele łatwiej jest **nie pokazać**, chociaż wymaga to dodatkowej gimnastyki, niż się pokazać". Później co prawda spróbowała to skomplikować twierdząc, że: „skoro widać, że przebrałam się za wiedźmę, to nikt nie uwierzy, że naprawdę jestem wiedźmą".

Dlaczego była czarownicą? W jej przedpokoju stała stara szafka na buty, w której hodowała demona. Trzymanie demonów na uwięzi chyba świadczy o zdolnościach do czarowania? Hodowała go na przekór otoczeniu i dlatego nie zauważyła, że we własnym mieszkaniu, w pełnym świetle dnia wyhodowała sobie inne dwa straszliwe, ogromne, potworne geniusze — czarty. Demoniska te pod jej nieobecność wyrzuciły z domu niepotrzebne graty, a przede wszystkim szafkę z demonem i stuletni durszlak z podstawką, przez który lubił przecedzać swoje myśli. Do odcedzonych zawsze można było wrócić, więc sprzęt ten posiadał nieocenioną wartość.

Koleżanka jest pisarką, więc bez demona jej wena twórcza zamarła, zresztą musiała zarabiać na nowe meble. Nic dziwnego, że sceptyczne rozbawienie, z jakim spoglądała na świat jako wiedźma, jej dystans do rzeczywistości, oglądanie świata na raz z kilku innych punktów widzenia było oczywiście maską, która do tej pory przylegała do jej twarzy dość szczelnie. Pozbawiona demona zaczęła trochę pękać, czy już na tyle, żeby polała się krew, nie wiem. Jeżeli byłaby autentyczną czarownicą w życiu rzeczywistym, dlaczego czary miałyby nie działać w twórczości, gdzie przecież nie trzeba pokonywać oporu materii? Przemysław uważałby zapewne, że jej kandydaturę należy odrzucić.

Następna kandydatka. Seksowna, owijająca sobie mężczyzn wokół małego palca, żyjąca burzliwie na miarę swoich możliwości. Otrzymywała Znaki. Coś lub ktoś przemawiając z jej głębi, używając jej ciała, dawało znak, że ma szansę i nie wolno jej zmarnować. Jeśli o takich wydarzeniach wiemy cośkolwiek, to zazwyczaj to, że podporządkowanie się tym znakom oznacza spełnienie woli sił wyższych i przynosi oczekiwany rezultat.

Niestety, tym razem ja odrzucam jej kandydaturę. Szatana zamieniła na białą kanapę plus dwa fotele z prawdziwej skóry skutkiem czego straciła swoją moc. W dodatku przykryła je narzutami, co spowodowało, że nawet zły duch stojąc wobec konieczności ustawicznego poprawiania ześlizgującej się materii, wolałby goły tyłek Lucyfera.

I trzecia kandydatka. Jasnowidząca. Z certyfikatem i zdolnościami. Wykształcona, z praktyką także w tradycyjnych zawodach artystycznych. Bezrobotna, poszukująca pracy, ostatnio jakiejkolwiek. Mimo, że ma Moc, bezowocnie pisuje CV, aplikując do stanowiska czarownicy na telefon. Nie jest w stanie zrozumieć, że ewentualny przyszły pracodawca nie jest zainteresowany tym, co może sensownego powiedzieć klientowi, jej zdolnościami, umiejętnościami, opiniami znawców ezoteryki i innymi rzeczami, które nierozsądne czarownice lubią zamieszczać w swoim CV, a tym, ile godzin wytrzyma w

dusznej kanciapie nawijając głupoty napalonym ciemniakom i czy jej oczekiwania finansowe mieszczą się poniżej tysiąca. Poza tym czarownica ta pracowała nad swoim CV tyle czasu, że zazwyczaj sprawa przestawała być już aktualna. Niestety, internet redukował jej zdolności wpływu na przyszłych pracodawców i nie stwarzał jej możliwości osobistego spotkania się z nimi celem za- czy o-czarowania.

Przedostatnia, czwarta, do której pragnę zawołać:

— Jeszcze się nie spiesz, jeszcze wytrzymaj trochę, jeszcze poczekaj trochę, ile tylko dasz radę, jeszcze odrobinkę, ociupinkę, trzymam za ciebie kciuki... Jesteś przecież czarownicą, widziałam jak sprowadziłaś burzę, a one zawsze, wcześniej czy później sprowadzą deszcz lub burzę, jeśli to będzie potrzebne. Często wtedy, gdy utraciły już nadzieję, że to potrafią...

I piąta, to prawdziwa wredna wiedźma. Jeździ na trzykołowym inwalidzkim rowerze a poprzedzają ją trzy równie wredne, czarne psy bez smyczy i kagańców. Zawsze się z nią o te zabezpieczenia awanturuję, ponieważ jestem słaba w psiej psychologii i trudno mi zaspanym rankiem odgadnąć, który z jej diabłów ma ochotę na śniadanie z mojej nogi. Tej bym nie pytała o certyfikaty, a raczej omijała z daleka. Czasami śnią mi się jej psy i co gorsza, we śnie umieją fruwać.

39. Śpiewnik domowy

Odwiedzam pewną trzypokoleniową rodzinę: babcia, dziadek, małżeństwo z dwojgiem dzieci – blisko rok i pięć lat. Siedzę w dużym pokoju czekając aż rodzina upora się z obowiązkami i będziemy mogli zająć się sprawami dorosłych.

Babcia zabawia najmłodsze śpiewankami, żeby nie marudziło. Wyśpiewuje znużonym, niezwyczajnym do śpiewania głosem:

Kosi kosi łapci

Pojedziem do babci

Babcia da nam mączki

Upieczemy pączki...

Dziecko dalej marudzi, odpycha butelkę, więc w zabawianie wnuka włącza się dziadek, śpiewając lekka fałszywie:

Siedzi baba na cmentarzu

Trzyma nogi w kałamarzu

Przyszedł duch

Babę w brzuch

Baba fik,

A duch znikł...

Te „kołysanki” znam od dzieciństwa. Moja mama śpiewała mojej malutkiej siostrze jeszcze:

Ta ostatnia niedziela,

Dzisiaj się rozstaniemy...

oraz jakiś spolszczony blues:

Twój ojciec w polu zgina grzbiet,

a bat mu plecy krwawo tnie...

Nie da się ukryć, że równie makabryczne. Moja wyobraźnia wówczas wyrabiała dziwne fikołki. Ale od dawna jestem już dorosła i nie boję się rodzicielskiego pasa.

W końcu mama dziecięcia, śpiewa ładnym głosem śląską balladę córek ojców–górników, wykopanych z kopalni:

Kosi kosi

Pojedziem do pani Zosi

Pani Zosia taka i owaka

Męża ma pijaka...

Nadstawiam ucho wyczulone na poezję i słyszę, jak mama przytupuje sobie do rytmu, klaszcząc jednocześnie swoimi i dziecka rączkami:

Pani Zo, Zo, Zo–Sia, Sia

Męża męża, męża ma, ma,

A ten mąż, mąż, mąż,

Pije wciąż, wciąż, wciąż,

Trochę wina, trochę wódki

I od tego jest malutki...

Robi mi się nieswojo. Niewątpliwie baba na cmentarzu, która trzyma nogi w kałamarzu jest postacią lekko przerażającą, ale chyba żadne dziecko nie potraktuje jej poważnie. Co innego pani Zo–sia–sia, co męża pijaka ma ma ma...

Ale młoda mamusia ciągnie dalej. Głos ma ładny, wyćwiczony śpiewaniem z towarzyszeniem piosenek z radia:

Pani Kry, Kry–Sia, Sia,

Dobrego męża ma, ma, ma.

Mąż pani Kry Kry–si, si,

Do tańca ją pro–si, si,

I forsę do domu przynosi.

Kocha ją bardzo czule,

Do szpitala przynosi koszule,

Zdradza tylko od czasu do czasu,

Nie robi zbyt wiele hałasu...

Starszy, pięcioletni synek namiętnie ogląda telewizję. Nie interesuje się treścią kołysanek, którymi karmi się jego brata, ale możliwe, że rejestruje je w pamięci. Może śpiewano mu takie same i dlatego nie zastanawia się nad ich treścią. Teraz, żeby nie zawracał głowy, rodzice włączyli mu kablówkowy program dla dzieci, bodajże Fox Kids, czy coś w tym rodzaju.

Próbuję rozmawiać z chłopcem o tym, co ogląda:

— Co ten potwór robi? — pytam go. Na ekranie straszliwy stwór ryczy i chrypi wyrzucając z gęby paskudny dym. Malec coś bełkoce i wyraża jakieś emocje, których nie potrafię zrozumieć. Boi się, cieszy, czy coś innego? Mimo 5 lat bardzo niewyraźnie mówi, choć rodzice posyłają go na ćwiczenia do logopedy. W dodatku w przedszkolu uczą go angielskiego, a tytuły kreskówek w programach dla dzieci, które są na kablówkach w Warszawie, jak na przykład Carlton Network i Fox Kids czy Jetix albo inne, to też całkowita angielszczyzna. W programach tych nikt nie tłumaczy tytułu filmu na przykład na „kot i pies" tylko zapowiada „cat and dog", ale tytuły są często bardziej skomplikowane. W wykonaniu chłopca jest to coraz większy bełkot, ani angielski ani polski, w dodatku zniekształcony. W końcu postaci z kreskówek nie mówią normalnym głosem tylko piszczą.

Tak wiec spytałam go o potwora, a odpowiedział mi bełkotem. Zdaję sobie sprawę, że bez znajomości treści tych filmów nie sposób niczego się dowiedzieć, bo potwory noszą skomplikowane imiona, a słysząc imię takiego potwora, nie wiem o co chodzi, bo po prostu nie znam filmu.

Nie mogąc porozumieć się z dzieckiem i zagaić rozmowy, zaczynam wsłuchiwać się w polski dialog towarzyszący potworom.

Jeden z nich oświadcza wprost: — Inicjuję sekwencję.

— Konfiguracja zatwierdzona — odpowiada mu inny potwór, tylko z zielonym pyskiem, zamiast fioletowego.

Na ekranie pojawia się mała dziewczynka (ale biuściasta) i po serii pisków, wstrząsów i kręcenia kuperkiem oświadcza potworom:

— Czyżby krzywa eliptyczna była świadectwem niepokojącego narastania zjawiska chi? (brzmi to jak pytanie retoryczne). — Natychmiast skorygować konkluzję mikromolekułów! — wydaje polecenie.

I dalej takie ble ble. Podobnie jak system TAED w proszkach do prania. Trzeba by nagrać, żeby zapamiętać. Przynajmniej jednak poprawne politycznie — kobieta rozkazuje, potwory wykonują.

Jak dziecko ma mówić porządnie po polsku, gdy łamią mu język czymś takim, w dodatku bez najmniejszego sensu! I jeszcze uczą po angielsku, albo jak słyszałam od pewnej światłej osoby, *po angielskiemu,* co miało oznaczać rodzaj angielszczyzny serwowany dzieciom w przedszkolach. Jak dziecko ma opowiedzieć komukolwiek, co robią te potwory? Jak dorosły ma zrozumieć świat dziecka?

I jakim jawi się w dzieciństwie nasz świat, w którym żyjemy?

40. Wolność palacza

Wojtek pisał o odzwyczajaniu się od palenia, co mi przypomniało, jak ja to robiłam.

Paliłam wiele lat. Od pierwszego papierosa, wypalonego na balu maturalnym w wieku 16 lat, przebyłam bardzo długą drogę do chudej, rozgorączkowanej czterdziestolatki, w przerwach między biegiem na stałej trasie: praca, dom i kolejka w sklepie, nerwowo zaciągającej się którymś z czterdziestu tego dnia papierosów.

Pierwszym papierosem zaczynałam dzień. Z ciepłego łóżka wywlekałam się nieprzytomnie, siadałam na sedesie na wpół śpiąc i zapalałam papierosa. On był potrzebny do pobudzenia ruchu moich jelit; jeśli nie zadziałałby w ciągu tych kilku minut, jakie miałam do dyspozycji przed obudzeniem się reszty rodziny, nerwowy poranek i warunki dnia pracy odwlekłyby ową konieczność o dzień lub dwa. Dopiero potem następowało mycie, szykowanie śniadania dla rodziny, wszystko w pośpiechu i stresie. Śniadania nie jadałam w ogóle, zbyt byłam rano rozgorączkowana, mój żołądek reagował gorączkowymi skurczami na coś innego, niż szklanka zimnej herbaty, zaparzonej jeszcze poprzedniego dnia i papierosa, oczywiście.

Ostatniego papierosa wypalałam w mroku nocy, gdy rodzina spała już snem zasłużonych i nie sądziłam, że kiedykolwiek pozwolę sobie odebrać to szczęście odpoczynku, przy cichutko grającym magnetofonie, z melodią nagraną z jakiejś radiowej audycji, którą, nie znając tytułu, sama nazwałam „papieros w nocy". Przy pomocy papierosa poganiałam swój organizm do przyspieszenia obrotów rano i w ciągu dnia, a uspokajałam go wieczorem.

Czy taki człowiek, jak ja, wtedy mógł w ogóle rzucić palenie? Nawet system kartkowy nie był w stanie skłonić mnie do tego. Mogłam wyrzec się wszystkiego, ale nie papierosa. Mówiłam wówczas: — Moje życie składa się z pasma niekończących się obowiązków, praca w rozjazdach, dom, zaoczne studia, kolejki po mięso, problemy dojrzewających dzieci, obowiązki małżeńskie; czy jest w ogóle jakaś rzecz, którą mogę nazwać swoją przyjemnością? I odpowiadałam sama sobie: tylko jedna – papieros w nocy, gdy wszyscy dookoła śpią, a ja wreszcie czuję się wolnym człowiekiem. Nikt mi niczego nie narzuca, nie poleca, nie krytykuje, nie jęczy, że za mało treściwego jedzenia, a same ochłapy, chamowaty prezes nie podkreśla różnic między babą a normalnym pracownikiem, spokojna melodia, spojrzenie na ucichłe za oknem miasto, gasnące kolejno światła w oknach sąsiednich bloków. Czy ktoś by się ważył odebrać mi to wszystko wraz z papierosem?

Zawsze byłam osobą bardzo praktyczną. Takie podejście pozwalało mi organizować cały dzień, przeznaczając stosowne miejsce na palenie papierosów. Nawet dojeżdżając PKS (w internecie znajdziecie wyjaśnienie, co to było) do ówczesnych 28 powiatów naszego województwa, gdzie spędzałam 14 dni w miesiącu na kontrolach, tak miałam rozpracowany rozkład jazdy, że wiedziałam, gdzie kierowca zatrzymuje się na dłuższy, kilkuminutowy postój, a tym samym, ile czasu podczas jazdy muszę wytrzymać bez papierosa. Zawsze mogłam obliczyć ile danego dnia uda mi się wypalić papierosów, a tym samym zaplanować zakup i zabranie ich odpowiedniej ilości. To był czas, gdy paliłam około 40 sztuk dziennie, z rzadka tylko przekraczając magiczną liczbę dwóch paczek.

System kartkowy tylko na krótko zachwiał ów porządek. Paliliśmy oboje z mężem. Jako pracownicy umysłowi mieliśmy „małe" kartki, nie było czego wymieniać na papierosy. Wódka też była potrzebna,

bez niej nie załatwiłoby się wielu rzeczy, każda naprawa czegokolwiek w domu, jak pralka, światło, telewizor — to konieczność wyciągnięcia wódki lub kartki na nią (albo na papierosy). Początkowo teściowie, którzy sami nie palili, obiecali nam oddawać swoje kartki na papierosy, ale na obietnicy się skończyło. Pewnego dnia, tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, obejrzałam mego teścia, byłego wojskowego, w telewizji, wręczającego uroczyście na placu Komuny Paryskiej (dawniej i dziś Wilsona) kilka paczek papierosów żołnierzom w czołgu stojącym na placu i zapewniam, nie z powodów odrazy politycznej do tego gestu, a z powodu odrazy do przedłożenia wartości ideologicznych nad własną rodzinę, nabyłam uprzedzeń do tego skądinąd spokojnego człowieka. U moich teściów z miesiąca na miesiąc gromadziły się w szafce sterty paczek papierosów i butelki wódki pozwalając mieć im złudne przekonanie, że wreszcie coś znaczą w otaczającym świecie. Dziś wiem, że to była ich wolność. Mnie oczywiście moja niepaląca mama oddawała cały swój przydział papierosów i wódki i mimo jej trudnego charakteru, powodującego że całe życie spierałyśmy się o byle co, tym gestem przekreśliła wszystko zło, które nasuwało mi się na myśl w związku z jej osobą. Zarówno moja mama jak i teściowa dawno nie żyją, a ja dawno nie palę, jednak czasami widzę je przez pryzmat owego kartkowego przydziału papierosów.

Można powiedzieć, że kartki na papierosy pozwoliły mnie i zapewne wielu innym ludziom zacząć uświadamiać sobie, że papierosy to nie wolność w nocy przy oknie i uspokajającej melodii, a niewola o wiele okrutniejsza, bo sięgająca najgłębszych naszych marzeń o szczęściu, które nie wydawało się w ogóle możliwe bez papierosa. On, ta pachnąca i delikatnie szeleszcząca bibułka wypełniona pokruszoną zawartością, był w trudzie każdego dnia, musiał więc i być w ewentualnie czekającym nas szczęściu. Prawda, jak małe i jakie dziwaczne mieliśmy oczekiwania?

Ja zobaczyłam to wyraźnie na wczasach. Dzięki swojej pracy, polegającej na kontrolach szkód transportowych, miałam zawsze dostęp do uszkodzonych lub zniszczonych towarów, które można było kupić za małe pieniądze. Tak kiedyś trafiłam na ciężarówkę z papierosami zalanymi przez ulewę nawalną (to taki termin ubezpieczeniowy pozwalający zwykłe zamoknięcie przemienić w szkodę transportową). Papierosy częściowo dały się wysuszyć, a zakład uzyskał zgodę na ich sprzedaż poza systemem kartkowym. Tak stałam się posiadaczką całego kartonu Extra Mocnych oraz papierowego worka po cukrze z pokruszonymi papierosami z rozmiękłych paczek. To wszystko czekało na mnie w recepcji domu wczasowego, dowiezione poprzedniego dnia przez inspektora z powiatu dla pani inspektor z województwa. Czekał mnie więc wspaniały okres: dwa tygodnie urlopu, włóczenie się po lasach, zbieranie grzybów i niczym nie ograniczone palenie, palenie, palenie. Tym wspanialsze, że wczasy rozpoczynały się 14-go sierpnia, więc w Warszawie nie sprzedano mi papierosów na następną połowę miesiąca, a tam z kolei, w skądinąd sympatycznym Supraślu, nie sprzedawano papierosów osobom z obcych województw. Wczasowicze przybyli więc na drugi turnus mogli pożegnać się z paleniem, wszyscy oczywiście, z wyjątkiem mnie.

Już wcześniej spotykałam się z widokiem ludzi, którzy wszystko (bez przesady) zrobiliby za papierosa. W tych czasach, nie znających jeszcze żebractwa, szokiem był widok dobrze ubranej osoby podchodzącej do palącej kobiety i oferującej wszystko za papierosa, jak zdarzyło mi się kiedyś na dworcu w Jeleniej Górze. Jednak tego, co obejrzałam na owych wczasach, nie doznałam więcej w życiu. Nigdy nie miałam tak bezpośredniego wglądu w rwanie się związków między ludźmi, jakie obejrzałam w tymże Supraślu do dnia, kiedy około 25-go, pod koniec turnusu, kierownictwu domu wczasowego udało się załatwić realizację kartek dla wczasowiczów za pośrednictwem stołówki i kiedy

to w porze obiadu, po pięciu dniach papierosowej abstynencji, palacze mogli zaspokoić swój największy głód.

Podwójny domek kempingowy obok naszego zajmowały dwa blisko ze sobą zżyte młode małżeństwa z dziećmi. To było widać po wszystkim, po ich rozmowach, wspólnym spędzaniu czasu, zabawach z dziećmi przyjaciół. Cała czwórka była bardzo kulturalna, sympatyczna, wesoła, na luzie. Wieczorami siadywali na ganku przy piwie i mogli tak siedzieć rozmawiając przyciszonymi głosami, aby nie obudzić dzieci, długo w noc. Byli tak hermetyczni, jako grupa, że inne osoby na wczasach mogły dla nich nie istnieć, obserwowaliśmy więc ich z mężem tylko z boku, nie znając się właściwie. Tak było może przez trzy dni, do czasu kiedy okazało się, że żaden kiosk w okolicy nie zrealizuje naszych kartek i kiedy sąsiadom skończyły się zapasy.

Powoli między przyjaciół, ale i do małżeństw, zaczęły się wkradać niesnaski. Już nie częstowali się papierosami nawzajem, prawdopodobnie jedno z małżeństw miało większy zapas i nie miało chęci dzielić się z drugim. Najpierw pary boczyły się na siebie, potem już małżeństwa były skłócone ze sobą, na końcu przestały bawić się ze sobą dzieci. Ostatnim aktem były totalne awantury o byle co. Wtedy jeden z młodych małżonków zauważył, że nie cierpię na brak papierosów. Parę razy poprosił mnie o papierosa sugerując niedwuznacznie, że za większą ich ilość byłby w stanie się odwdzięczyć romansując z nieco już podstarzałą panią. Wydawało mi się to obrzydliwe, zwłaszcza, że ogólnie biorąc, miałam wówczas dosyć wszystkich mężczyzn na świecie włącznie z szefem, mężem, synami i politykami.

To spowodowało, że naturalna moja sympatia obróciła się w kierunku żony owego młodego człowieka, która, moim zdaniem, musiała znosić taką nielojalność swojego męża. Dałam mu więc dwa papierosy i pozbywszy się w ten sposób owego wczasowego plejboja, poszłam do jego żony z dwoma paczkami papierosów. Powiedziałam, że od jej męża dowiedziałam się, że im zabrakło, więc chętnie im dam, bo mam zapas. Dałam jej jedną paczkę, prosząc aby drugą oddała przyjaciółce, której akurat nie było.

No i jak myślicie, czy niespodziewany dar poprawił stosunki między owymi przyjaciółmi? Skąd! Ta kobieta zatrzymała obie paczki dla siebie, boczyła się też na męża; może już przedtem zdobywał papierosy w podobny sposób, jak usiłował to zrobić ze mną; może była na niego zła, w każdym razie jemu też nie dała.

Teraz dopiero się porobiło! Cała pozostała trójka, łącznie z dziećmi, zjednoczyła się przeciwko nieszczęsnej egoistce, która wieczorami teraz płakała na werandzie, samotnie zaciągając się papierosem. Chciałam dobrze, a wyszło źle.

Widziałam i inne podobne sceny. Wcześniej, jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego, w moim zakładzie pracy „Solidarność” skonfiskowała w kiosku wszystkie papierosy z trzech kolejnych dostaw (dwie w tygodniu) dowożąc je nyską do Regionu Mazowsze ,czym spowodowała, że wszystkie społeczne listy kolejkowe unieważniły się, a pracownicy w całym zakładzie, poza chyba niepalącymi (też zapisanymi w kolejce) i niewielkiej grupie politycznych „jastrzębi” przestały wierzyć temu związkowi, wstępując do związków branżowych, które niczego nie konfiskowały (bo już chyba nie miały czego). Stosunki w zakładzie skomplikowały się w sposób, na który niewątpliwy wpływ miały towary reglamentowane, a wśród nich przede wszystkim papierosy.

Tak więc najdalsza byłam wówczas od myśli o tym, że kiedyś rzucę palenie. Cała antyrakowa propaganda na kilometry pachniała mi wmawianiem, że szkodliwe jest to, co najbardziej upragnione, cukier, smalec, wódka i papierosy, to znaczy wszystko to, czego na rynku brakuje.

Stan wojenny minął, ja po raz kolejny zmieniłam pracę, zaczęłam dojrzewać do dokonania zmian w moim życiu. Tuż przed rozpoczęciem nowej pracy rzuciłam palenie.

Zrobiłam to tak nagle i w taki dziwaczny sposób, że nikt nie chciał wierzyć w trwałość mojego postanowienia. Poprzedniego roku, jeszcze w epoce kartek, zrobiłam przymiarkę. Wytrzymałam bez palenia zaledwie 3 dni. Trzeciego dnia w nocy złapały mnie tak silne kurcze we wszystkich mięśniach całego ciała, że wyłam z bólu. Przeczytałam kiedyś, że kurcze likwiduje najlepiej zanurzenie kończyny w ciepłej wodzie, ale ja nie mogłam nie tylko chodzić, a nawet czołgać się, tak miałam nogi i ręce powykręcane. Mąż zaniósł mnie do wanny, napuścił ciepłej wody i jakoś to pomogło. Następnego dnia poszłam do lekarza zakładowego, zapisała mi jakieś witaminy (mikroelementów wtedy nie dodawano do witamin, nie wiem czy w ogóle poza szpitalem je stosowano) i płyn na zgagę i powiedziała, że rzucenie palenia jest poważną sprawą, nie można tego dokonywać ot tak sobie. Najlepiej jest zmniejszać ilość wypalanych papierosów w dłuższym okresie czasu, a jeżeli tego się nie uda, powinnam wystarać się o węgierski środek w pastylkach, który bodajże nazywał się „Tabex" i który, zastępując wypalane papierosy, likwiduje objawy głodu nikotynowego i podobnie nieprzyjemne fizyczne objawy, jakie miałam. Zmartwiła mnie także, że po odstawieniu palenia wcale nie będę czuła się lepiej, że skutki pozytywne odczuję najwcześniej po roku lub dwóch. Na koniec powiedziała, że najlepiej dla mnie byłoby załatwić sobie przyjęcie do szpitala, bo tam mogę uzyskać środki wspomagające kurację. Ponieważ Tabexu nie udało mi się zdobyć, dojścia do szpitala też nie miałam, stopniowego zmniejszania ilości wypalanych papierosów także nie udało mi się przeprowadzić, sprawa uległa odciągnięciu o kolejny rok.

Zaczęło się od grypy z dużą gorączką. Leżąc w domu, przez pierwszy dzień w ogóle nie miałam ochoty zapalić papierosa, także przez następny. Kilka razy w życiu zdarzało mi się, że w czasie choroby zanikał głód nikotyny, podobnie jak w czasie po porodzie, gdy nie paliłam aż 5 dni. Jednak trzeciego dnia nabrałam już ochoty, ale nie była ona zbyt dokuczliwa, zadowoliłam się więc ustawieniem popielniczki i nie napoczętej paczki w pogotowiu. Gorączka minęła, czytałam nawet już jakieś gazety i nad tymi gazetami zasnęłam. Przyśnił mi się niesłychanie sugestywny sen: Na jakiejś płaszczyźnie, rozciągniętej niczym płachta i falującej pod moim ciężarem, ale i też mogącej zatopić niczym bagno, toczyłam straszliwą walkę z czymś nieokreślonym, silniejszym ode mnie i oślizgłym, przerażającym i wstrętnym. W czasie tym nie wyświetlano w kinach ani w telewizji horrorów, literatura SF nie była tak jeszcze rozbuchana straszliwościami, więc wrażenie było bardzo silne. Obudziłam się z przekonaniem, że jest to „sen znaczący". Walczyłam w nim z czymś, co wydawało się silniejsze ode mnie, jednak do końca snu to coś nie zwyciężyło, choć miało druzgocącą przewagę. Powróciłam do czytania gazet i w jednej z nich, bodajże w „Przekroju", znalazłam artykuł dotyczący osób ciężko chorych. Autor artykułu twierdził, że lekarze często dowiadywali się od pacjentów, że ciężkie zachorowania, rozwijające się w organizmie przez jakiś czas, na przykład rak, choroby serca i inne, poprzedzały męczące sny, których przedmiotem były nieokreślone zmagania pacjentów. Sny te występowały rok lub pół roku przed zachorowaniem i często wynik zmagania był prognozą możliwości wyleczenia choroby. Szczególnie często sny takie występowały u ludzi, u których stwierdzano później raka.

Ów artykuł i poprzedzający go sen wywarł tak silne wrażenie na mnie, że po dwudziestu paru latach palenia rzuciłam je tego dnia. Tym razem fizycznie nie odczuwałam większych dolegliwości, natomiast miałam kłopoty innego rodzaju. Przez miesiąc czy dwa odczuwałam przymus posiadania papierosów. Zawsze musiałam mieć paczkę w zasięgu wzroku, czy dotyku, w kieszeni. Tę paczkę po jakimś czasie wyrzucałam, bowiem nieustannie noszone papierosy kruszyły się, musiałam jednak przed tym kupić nową. Kiedy zostawiłam paczkę na przykład w kieszeni płaszcza, a płaszcz został w szatni, popadałam w panikę.

Odzwyczajanie się od palenia powodowało jeszcze jeden nieprzyjemny objaw, co gorsza, silnie krytykowany przez otoczenie. W dziecinnych latach, podobnie jak wyrywanie włosów z czubka głowy przez moją siostrę, ja miałam inne natręctwo – dłubanie w nosie. Nieustannie strofowana przez mamę, w końcu nauczyłam się to robić jedynie w całkowitym odosobnieniu, kontrolować ten nawyk na tyle, że nie zwracał niczyjej uwagi, zwłaszcza że nie występował już tak często, jak w dziecinnych latach. Po zaprzestaniu palenia nawyk powrócił i oczywiście, jak zwykle w takich sytuacjach, zwrócili na to uwagę, wcale nie najżyczliwsi, a obcy. W tym przypadku wykrzyczała mi to pewna moja pracownica, niezadowolona z harmonogramu urlopów. Wzięłam się w garść i nawyk zwalczyłam, jednak nie do końca — pozostał mi gest podnoszenia ręki do nosa; zawieszałam więc tę rękę na moment, pocierałam nos i opuszczałam rękę w dół. Z kolei na tę przypadłość zwróciła uwagę moja dyrektorka, zalecając mi branie odpowiednich leków i tym podobne, ale już nie dało się nic więcej zrobić. Gest ten był i jest interpretowany jako celowa nieszczerość. Mimo świadomości, jak jest rozumiany, gest ten pozostał mi do dziś, choć jest zdecydowanie rzadszy, no i albo czasy się zmieniły, albo nie mam już szefów, żeby się nimi przejmować.

Rzucając papierosy porzuciłam swoją młodość. Nigdy już więcej nie zapaliłam papierosa i dziś, w wieku 70 lat nie odczuwam żadnego do nich pociągu. Zresztą choruję na serce i nadciśnienie, mam chyba początki astmy, tak więc sam mój organizm walczący nieraz o zaczerpnięcie oddechu, nie dopuszcza do siebie myśli o papierosie.

Jednak zdarzyło mi się, chyba ze dwa razy, przeżyć we śnie wspaniałe uczucie wszechogarniającego szczęścia. Sny mam na ogół ponure, najczęściej usiłuję w nich coś policzyć czy uporządkować i to mi się nie udaje. Nie są więc warte zapamiętania. Ten sen jednak pamiętam doskonale. Jestem w nim tak szczęśliwa, jak chyba w rzeczywistości byłam tylko raz w życiu, przez kilkanaście minut, w pewnym brzozowym i podmokłym lesie. Orgazm wypływający z głębi mózgu, na myśl... To poczucie szczęścia jest tak ogromne, że z oczu lecą mi łzy, mocząc poduszkę. Budzę się więc zalana łzami i uświadamiam sobie, że śniło mi się, iż zaciągam się papierosem.

41. Ekwiwalencja planet i astrologiczne przesądy

Sześć planet walczy o władztwo nade mną. Jowisz, Merkury, Wenus, Uran, Neptun i Księżyc. Stanowczo zbyt wiele bóstw jest zainteresowanych moją skromną osobą. Nie, nie jestem skromna. Waham się od przekonania, że mam światu coś niesłychanie ważnego do powiedzenia, jedynego i niepowtarzalnego, do ściany, przed którą zatrzymuję się kpiąc sama z siebie i swoich porywów. Następstwem tego jest psychiczny dołek, przekonanie, że nie jestem w stanie wyartykułować tego, co dla mnie najważniejsze, że wszelkie przypowieści których używam dla przybliżenia otoczeniu moich przemyśleń, są diabła warte.

Niestety, nikt nie skonstruuje z nich Biblii! Nawet apokryficznej. W dodatku ta ściana, przed którą **muszę** się zatrzymać! Jakież to uraniczne! Coś stopuje cię w dążeniu do rozwiązania zagadki. Gdzież tobie, głupia Kasiu, do szachisty, rozważającego kilkanaście kroków naprzód! Tobie ściana wyrasta już przy trzecim, a najdalej czwartym kroku!

Najgorzej, że czas dany tobie na rozwiązywanie wszelkich życiowych zagadek niemiłosiernie się kurczy, a zagadek przybywa.

Spoglądam przez okno i widzę sąsiadkę w inwalidzkim wózku jak męczy się biedna przed krawężnikiem. Zazdroszczę jej. Ma piękny, akumulatorowy wózek i nie musi chodząc, zmagać się z bólem. Jakże jestem nierozsądna!

Szukając w astrologii odpowiedzi na moje pytania, nie jestem w stanie odróżnić przesądów światło ćmiących od kanonu odkryć potwierdzonych. Astrologia nie jest podobno nauką, ma wiele szkół i wielu przywódców, pewnych siebie i niewzruszonych. Ja nie jestem pewna niczego. Taka chorągiewka na wietrze. Kto raniej wstanie, ten rządzi; kogo przeczytam, ten zawładnie moją wyobraźnią (tu oddaję honor Przemysławowi, który bez przywoływania astrologii, przy okazji „Dnia Tryfidów" rozgryzł mnie, jak nikt inny – to nie kpina, po namyśle przyznaję mu rację).

Jakiś czas chodziłam na wykłady Izy Podlaskiej i Mii Krogulskiej chcąc poznać tę astrologię, która bada życiorysy władców rzeczywistych i władców wyobraźni, celebrytów, prezydentów, aktorów, milionerów, polityków i seksualnych niewolnic, psychopatów, szaleńców, a także jest w stanie ustalić dla nich dobre dni na zawarcie małżeństwa (choćby było piątym z kolei), decyzji finansowych i wszystkich innych przedsięwzięć np. wybór szkoły dla dziecka z trzeciego małżeństwa czy zakup rasowego pieska. Nie zdzierżyłam, bowiem nie czytywałam „Pudelka" i nie byłam na bieżąco z życiorysami celebrytów.

Jednak na jednym z wykładów usłyszałam przypowieść, która zawładnęła moją wyobraźnią.

Pewien misjonarz udaje się do plemienia ludożerców z zamiarem nawiązania z nimi dialogu o życiowych priorytetach. Wiezie ze sobą mnóstwo kolorowych paciorków, lusterek itp. darów. Nie jest jednak w stanie porozumieć się z tym plemieniem. Oni za najlepszy dar uważają jego ciało, które mogą ugotować i zjeść.

Ja często czuję się jak ów misjonarz. Tłumaczę w Urzędzie Skarbowym jakieś zagadnienie powołując się z przyzwyczajenia na konkretne paragrafy punkty i podpunkty ustawy, a kobita twierdzi, że nie

może niczego znaleźć w swoim komputerze. Że pisano z US do mnie w tej sprawie dwa lata temu, a dokumenty potwierdzające otrzymałam dopiero teraz? — Pliki sprzed dwóch lat są archiwizowane — mówi mi pani zza biurka. Po czym kierują mnie kolejno do rozmaitych pokojów aż wreszcie trafiam do niej z powrotem. Jeśli wyślę prawnika w garniturze i z laptopem, zaświadczenie dostaje od ręki. Nawet nikomu nie przeszkadza, że nie ma mojego upoważnienia.

Idę do lekarza specjalisty (prywatnie!), a on życzliwie zauważa, że nie ma mocy mnie odmłodzić i wygania z gabinetu po trzech minutach, chociaż zapłaciłam za standardowe dziesięć. Młody bysio ze złamaną kończyną wypełnia jego i mój czas.

Żadne z nich nie chce być jakoś specjalnie nieżyczliwe – po prostu oni są plemieniem ludożerców do których wyobraźni ja, jako misjonarz, nie jestem w stanie zaapelować, ponieważ nikt nie dał mi czasu na przedstawienie mojego punktu widzenia. Od razu wsadzili mnie do garnka i mają z głowy. W najlepszym wypadku nie widzą mnie.

Odwiedza mnie syn i stwierdza, że ma czasu dwadzieścia minut, po czym blisko piętnaście poświęca na służbowe rozmowy telefoniczne i sms-y. Jest bardzo zdziwiony, że nie mam mu nic do opowiedzenia, ja zaś borykam się z ustaleniem, o czym najważniejszym chciałabym mu powiedzieć oraz obliczaniem, ile czasu mi to zajmie, po czym dochodzę do wniosku, że czasu jest za mało, żeby o czymkolwiek porozmawiać. Przez grzeczność nie pytam: po co przyszedłeś? Wiadomo, wizytę u starej matki trzeba zaliczyć raz na jakiś czas.

Opowieści te mają ilustrować problem „spalonego Merkurego". Ktoś taki jest inteligentny inaczej: z pozoru elokwentny i łatwy w kontakcie, nie jest w stanie porozumieć się z tymi, na których mu najbardziej zależy.

Ale nie jest powiedziane, że „spalony Merkury" to jest prawdziwa prawda. Przeciwnie, opozycja Urana do Merkurego może dać taki sam efekt. Uran nie zawsze jest nowatorski i odkrywczy. Bywa złośliwy i nieobliczalny. Uranik (-czka) nie musi być lotnikiem, może, będąc córką lotnika – oblatywacza i matką sportowego pilota, latając, przeżywać kolejne odsłony lęku na myśl o ewentualnej śmierci.

Z sześciu planet mniej więcej o równorzędnej sile w moim horoskopie (wg zasad ekwiwalencji – ponieważ nie mam planet na osiach) dwie budzą zastrzeżenia. Jowisz to powodzenie życiowe, nadmiar nawet, bujność. Ale przecież w świecie wszystko jest sprawą kontekstu. Nie jestem bezrobotną i bezdomną, poniewieraną i upokarzaną permanentnie kobietą. Miałam swoje wzloty i sukcesy, ale żaden z nich nie przekształcił się w coś trwałego oraz miałam upadki, ale nigdy nie na samo dno. Od dna się odbiłam bardzo wcześnie, mając kilkanaście lat, ale nie wskoczyłam tam, gdzie zmierzałam (nie chodzi mi o sprawy materialne). Jowisz jest władcą Strzelca (a w astrologii reformowanej ekwiwalentem), ale w moim horoskopie przebywa w znaku Raka, który wg Wojtka do Raka nie pasuje. Cóż prostszego, by odwołać się do tradycji mówiącej, że Jowisz w Raku jest w egzaltacji, został przeceniony. Oczekiwania wobec niego były nadmierne, księżycowe wręcz. Sam pomysł jednak króla w podróży jest przesądem, podobnie jak „władcy" znaku. Jednak w tym przypadku ekwiwalent nie jest w pełni ekwiwalentny. A może czegoś nie dostrzegam? Może Jowisz jest na tyle męski, że w kobiecym horoskopie przejawia się inaczej? Może nie tyle posiadam, ile chcę rozdawać?

Do grona innych, przeciwstawnych stwierdzeń: Księżyc, jako „władca" Raka daje rodzinność, miłość i troskę o najbliższych. Wg astrologii tradycyjnej Mars jest w Raku w upadku. Nieprawda, moje stosunki z rodziną były marsowe, choć nie ukrywam, że nie potrafiłam i nie potrafię się z ich siły wyzwolić. A więc astrologia tradycyjna tu nie działa.

Wenus jest łagodna, współczująca, ugodowa, kocha piękno. Ale jaka planeta każe poszukiwać piękna wśród brzydoty? I uważać konwencjonalne piękno za nudne i śmieszne? Spalona czy w opozycji do Urana? Piękno zniszczenia, zagłady i katastrof?

Można powiedzieć: Uran wszystko psuje. Jest krytyczny, innowacyjny i kontestujący. Uran – psuj – jak napisał kiedyś Wojtek. Ale Urana nie ma w tradycyjnej astrologii! Może też jest przesądem, tyle, że nowocześniejszym?

Inna sprawa: pewne moje życiowe zawirowania doskonale tłumaczy koniunkcja Księżyca z Lilith w Raku. Nie doprecyzuję, bo na łożu śmierci nie dostanę rozgrzeszenia. Przesąd, Lilith jako taka nie istnieje, to jakiś hipotetyczny węzeł obliczony na nieboskłonie, a nie realna planeta.

A zamiłowanie do przetworów domowych, działki, ekologicznej żywności, fizyczna wręcz fascynacja procesem fermentacji wina, bulgotaniem w szklanej rurce, gospodarność rozumiana tradycyjnie — szycie, naprawa, reperacja, żadnego wyrzucania rzeczy niepotrzebnych — Ceres na ascendencie (jako jedyna moja planeta na osiach). Ale przecież w tradycyjnej astrologii małych planet nie było! Żadnej Ceres, żadnego Chirona! Astrologia reformowana też je chyba pomija. (Jest jeszcze tzw. astrologia humanistyczna, ale ta minęła wraz ze starym ustrojem), zresztą żadnych rewelacji nie przynosiła.

Do czego zmierzam? Czasami wydaje mi się, że astrologia nowoczesna czy tradycyjna, reformowana czy nie, bez różnicy, nie do końca przystaje do naszych doświadczeń. Jest niby robak na wędce, zaczepiony by zanęcić rybę, by zaczęła zastanawiać się nad swoim życiem i losem, przyczynami i skutkami, by na koniec bezlitośnie ją złapać i spożyć, w dodatku usmażoną na patelni. I jedyny problem jest taki: czy należy smażyć ją na smalcu, czy na oliwie i jakimi ziołami, czy gotowymi mieszankami przyprawić. Knorr czy Winiary, a może i te tańsze się nadają? Sama ryba dla nikogo nie ma większego znaczenia — jest takim misjonarzem gotowanym w kotle. Wiadomo, dzieci i Ryby (ascendentalne) głosu nie mają.

Żeby wypowiadać się autorytatywnie, trzeba mieć doświadczenie, bazę horoskopów. Trzeba praktykować. Mimo to i tak łatwo o błąd mimo zachowania i uczciwości, i najwyższej staranności w badaniach. A ja mam żałośnie małe doświadczenie.

Wyobraźmy sobie taką scenkę: średniowieczny astrolog zostaje przeniesiony w czasy obecne. Idąc ulicą miasta podziwia wspaniale kościoły, których więcej niż domów i są o wiele wyższe niż w jego czasach. Widać ludzie opanowali swoją duchowość i zredukowali codzienną fizyczność – konstatuje. Na ulicy widzi człowieka przyciskającego do ucha przedmiot mniejszy od jego dłoni i mówiącego doń. Ustala, że człowiek ten rozmawiał z kimś odległym o wiele kilometrów od tego miejsca. – Ach, jaki odnieśliście sukces – zachwyca się – opanowaliście telepatię! Teraz każdy może być telepatą, nie tylko wybrani. Zapewne więc i wasza astrologia już nigdy się nie myli! Każde zdarzenie przewidujecie też dzięki powszechnemu doświadczeniu jasnowidztwa! – Co, nie wierzycie we wpływ gwiazd na ludzkie życie? Nie umiecie jeszcze obliczyć tych sił wiążących to co na górze z tym, co na dole?

Niesamowite! To jesteście bardziej zapóźnieni niż my! Ale przecież, jak nie będąc jasnowidzami, oglądacie na waszych ścianach ludzi i zdarzenia z innych miejsc i innego czasu?

Co może mnie pocieszyć? Czytałam w internecie rozważania, z których wynikało, że piszący ma zupełnie inną koncepcję tego, co z człowiekiem dzieje się po śmieci i w dodatku twierdzi, że nie sprzeciwia się ona wyznawanemu katolicyzmowi (co mnie, osobiście, w obecnej chwili, jest całkiem obojętne). Nie wierzy więc, że dusza oddziela się od ciała i wędruje gdzieś nie wiadomo gdzie (do nieba, piekła czy czyśćca, czy jeszcze gdzie indziej), nie wierzy także w reinkarnację i wcielanie się duszy w rozmaite żywe stworzenia usytuowane wyżej czy niżej w jakiejś hierarchii zasług, ale twierdzi, że jedynym sensownym rozwiązaniem jest to, że z człowieka po śmierci **złuszcza** się jego ciało, niczym pewna, zewnętrzna warstwa. Nikt nie wie ile tych warstw jeszcze pozostaje i jak często się złuszczają ani co po nich zostanie. Czy to prawda (może przybliżona, symboliczna), czy przesąd?

Mam nadzieję, że Wojtek nie ma za złe ostatnich przemyśleń swojej niezbyt lojalnej uczennicy. Czy właśnie astrologia nie jest taką zapomnianą **nauką,** z której złuszcza się poszczególne warstwy? Aż do ostatniego jądra? Także w takich herezjach, jak moje i w dyskusjach na granicy dyletanctwa. Chciałabym doczekać, by je, te warstwy, zrozumieć, a jeszcze lepiej, zobaczyć.

42. Kąsający czas

Pewnego dnia na działce z moim pięcioletnim wówczas wnukiem ganialiśmy za ptakami w ogrodzie i posługując się książką rozpoznawaliśmy ich gatunki. Wieczorem już padliśmy oboje; Mateusz kaszlał i bolało go ucho, mnie gardło i też kaszlałam. Obojgu nam nie chciało się nic robić z tą różnicą, że Mateuszek jęczał co chwilę, że coś go boli (a to ucho, a to noga, a to jakiś zastarzały siniak, a to brzuch) oraz narzekał, że mu się nudzi; ja nie narzekałam, ale też mnie bolało to i tamto, no i oczywiście marzyłam, żeby się ponudzić. Jednak obowiązek nie dawał mi zasnąć mimo podwójnej aspiryny. W związku z tym położyłam się na łóżku w swoim pokoju, jego posadziłam na fotelu i kazałam wypatrywać przez okno ptaków. Ponieważ żaden ptak akurat się nie pojawił w polu widzenia rozpoczęła się taka byle-co-rozmowa o niczym, ale wyzwanie dla mojego Merkurego, żeby Mateusz chciał siedzieć dalej na fotelu i żebym nie musiała wstawać z łóżka i go zabawiać.

Zaczęło się od zagadek. Mateusz rano od dziadka dostał zabawkę na bateryjkę: młot udarowy do kruszenia (byliśmy na etapie budowy werandy i pozostało nam skuć krzywo położone betony). Ponieważ przy włączeniu zabawki zapalała się lampka, Mateusz zadał mi pytanie, czy wiem jak nazywa się ta jego zabawka. Powiedziałam, że młot udarowy (Mąż potem mnie skrytykował, bo nazywa się to podobno młot pneumatyczny, a nie udarowy, udarowa może być tylko wiertarka), ale Mateusz nazwał go „młotem piorunowym". Na pytanie, dlaczego go tak nazywa powiedział, że światełko ma takie, jak piorun.

Na to ja odparłam filozoficznie, że piorun składa się z dwóch rzeczy: dźwięku i światła i rzeczywiście z powodu światła (bo dźwięku już nie) można nazwać młot piorunowym, a także wiertarkę, zamiast udarową, piorunową. W myślach dodałam, że udar mózgu można też nazwać udarem piorunowym, a mocną kawę na czczo piorunianem (wiadomo, myśli babć chodzą własnymi drogami).

Wtedy Mateusz spytał mnie, czy wiem, co jest najszybsze w świecie, a ja powiedziałam, że nie bardzo wiem (nie chciało mi się myśleć, bo gorączka, mimo aspiryny, rosła). Matuś stwierdził dojrzale, że światło. Zdziwiłam się, skąd to wie; spytałam, czy mówili mu w przedszkolu, ale on powiedział, że tak powiedziała mu mama. Jednak wyjaśniając, dlaczego tak sądzi, oświadczył, że sprawdził sam.

Ciekawa, jakie to doświadczenie doprowadziło go do tego wniosku, zaczęłam się dopytywać i usłyszałam, że u nich w domu idąc korytarzem powoli, (korytarz biegnie naokoło całego bloku i jest podzielony na segmenty) i zapalając światło w jednym segmencie, można stwierdzić, że ono może zgasnąć i zapalić się w drugim segmencie, zanim tam się doszło, z czego Mateusz wyciągnął wniosek, że światło biegnie szybciej niż człowiek idący wolno.

Jak mu to wytłumaczyć, że wyłącznik czasowy został źle ustawiony? I czy jest sens prostować błędne przesłanki do prawidłowego wniosku? Wpadłam na pomysł, żeby ukazać mu względność wszelkich tego typu doświadczeń i postanowiłam zrobić to za pomocą zagadki. Spytałam więc, czy wie, co jest najszybsze w świecie. Wersja odpowiedzi była taka: jeden człowiek mówił, że głos, bo jak krzyknie z jednego końca podwórka, to na drugim końcu dzieci przed nim uciekają; drugi człowiek twierdził, że światło błyskawicy, bo piorun zdążył mu zapalić dom zanim usłyszał odgłos grzmotu; a trzeci, że myśl, bo jak tylko pomyśli, to już tam jest, gdzie chce. I nie wiedziałam w jaką dyskusję filozoficzną się wdałam.

Mateusz na początku zaprotestował posługując się opisanym już przykładem z zapalaniem i gaszeniem światła na korytarzu, ja zaś na to kazałam mu zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jest w domu w Warszawie w swoim łóżeczku i przykrywa się swoją kołderką, a po chwili powiedziałam, gdy już wiedziałam, że widzi to w swojej wyobraźni, że tak naprawdę to tatuś jedzie samochodem z działki dwie i pół godziny, a jeszcze trochę musi potrwać zanim wysiądą, Matuś rozbierze się i założy piżamkę i znajdzie się w łóżku (nie wspomniałam o myciu bo on nienawidzi mycia, więc synowa myła go nie przed spaniem, tylko wtedy, gdy królewicz łaskawie się zgodził, w każdym razie nie należało o tym mówić, bo to tylko denerwuje dziecko).

Mateusz w zasadzie zaakceptował odpowiedź, że myśl jest najszybsza w świecie, ale czuł, choć nie potrafił wyrazić, że nie jest to dokładnie prawdziwa odpowiedź. Zaczęłam mu tłumaczyć, że na świecie niektóre rzeczy są ze sobą nierozerwalnie związane, jak na przykład błysk i grzmot w piorunie. Podobnie w zagadkach nierozerwalnie są związane ze sobą: odpowiedź prawdziwa i dowcip, żart; z tym, że czasem w tej mieszance jest więcej prawdy, a czasem więcej dowcipu. O dziwo, to wyjaśnienie w zupełności go zadowoliło i zaczął poszukiwać w standartowych odpowiedziach na rozmaite zagadki, czego jest więcej: prawdy czy dowcipu.

W zagadce: „Co nie żyje, a chodzi i bije” (zegar) uznał, że więcej jest dowcipu niż prawdy i postanowił zmodyfikować tę zagadkę tak, aby było jeszcze więcej dowcipu, a mniej prawdy. Wymyślił wiec, że gdyby do skrzydeł komara przywiązać wskazówki zegara i gdyby ten komar udawał zegar i gdyby kogoś ugryzł, to jak należałoby określić przedmiot zagadki, godzinę?

Słyszeliście kiedyś coś równie cudownego? Wyobraźcie sobie tylko komara, machającego skrzydełkami, do których przywiązano wskazówki zegara i kąsający człowieka czas. I czy dorosłemu człowiekowi przyszłoby w ogóle coś podobnego na myśl?

Motyw ten wykorzystałam w najważniejszym ze swoich opowiadań, i przesądnie myśląc, uważam, że jemu zawdzięczam sukces tego opowiadania, choć było ono całkiem o czymś innym niż SF. Działo się to tak, jakby mój wnuk poprzez przestrzeń i czas przekazując mi najważniejsze przesłanie, energię swoich młodzieńczych świeżych i niezużytych jeszcze myśli, dodał wartości wszystkim innym rozważaniom, zawartym w wątpliwych literackich konstrukcjach. Szkoda, że już dorasta i nie dzieli się tak hojnie swoimi pomysłami

43. Kwiecień w Paryżu

Trzy lata temu wybrałam się ze znajomą i synową do Paryża. Nie chciałam korzystać z wycieczki organizowanej przez jakieś biuro turystyczne, ponieważ pragnęłam kierować się własnym planem pobytu. Ani ja ani znajoma nie znamy francuskiego, naszym przewodnikiem była więc synowa. Zarezerwowałyśmy trzyosobowy skromny pokoik w hotelu przy jednej z linii metra, kupiłyśmy tygodniowy bilet i przystąpiłyśmy do realizacji naszego planu. Założenie było takie, że każda z nas wybiera jedno muzeum do zwiedzenia. Padło na Luwr, Muzeum de Cluny (to mój pomysł, koniecznie chciałam zobaczyć średniowieczne arrasy ze słynną kolekcją „Dama z jednorożcem") oraz muzeum d`Orsay.

Tak więc zwiedzałyśmy wszystko, co należało, ale w najgłębszej pamięci, jak zwykle, zostały nam zupełnie inne rzeczy.

Moja znajoma (ascendentalna Panna) myślami wraca do zwiedzanych zabytków, swojej dokumentacji fotograficznej, którą strzeże jak ochroniarz ważnej osoby, każąc mi przysięgać, że nie udostępnię nikomu spoza naszej trójki jej zdjęć . Miała bardzo dobry aparat i doskonale mogła fotografować zabytki bez lampy błyskowej, co pozwalało jej utrwalać wszystko, gdy użycie tej lampy (w większości obiektów) było zabronione. Nie fotografuje zawodowo, więc jej zastrzeżenie do dziś jest dla mnie niezrozumiałe, ale godzę się, że jej, moje i synowej zdjęcia mogę oglądać jedynie samotnie, bez świadków, ponieważ pogrupowałam je według obiektów, a nie autorek.

Moja synowa przedpołudnia spędzała razem z nami, popołudniami, gdy musiałam odpoczywać, chodziła swoimi drogami. Czasami przynosiła zdjęcia, czasami nie. Zapamiętała uciążliwość pobytu w jednym pokoju z dwoma babciami (to astrologiczna zagadka: ascendentalna Panna i ascendentalne Ryby – zgadnijcie, która z nas była dla niej najbardziej uciążliwą sublokatorką — podpowiem: że ta, która miała w zwyczaju robić w swojej walizce porządki, szeleszcząc torebkami, w środku nocy, zamiast w dzień.)

Ja uciążliwości wspólnego pobytu odczuwałam, ale wówczas, gdy występowały; wysiadając na lotnisku w Warszawie, już o nich nie pamiętałam. Zapamiętałam oglądane zabytki, swoją pokorę wobec dzieł sztuki, zwłaszcza średniowiecznych (muzeum Cluny), podziw dla tej niesłusznie lekceważonej epoki, dla cierpliwości ludzi z tamtych czasów. W ogóle cały Paryż zapamiętałam jako miasto ludzi zupełnie pozbawionych agresywnej wściekłości, tak często oglądanej w Warszawie. No bo na przykład: na czerwonym świetle toczy się przez ulicę jakaś mamuśka z tabunem dzieci, zatrzymuje się na środku, przywołuje brzdące, coś przepakowuje z jednej do drugiej torby, daje dzieciom coś do zjedzenia – a sznur kierowców karnie stoi na jezdni i czeka aż mamuśka się zmobilizuje do przejścia. Gdzież tam do Warszawy, gdzie jak się nie puścisz się biegiem przez przejście (bo nie jesteś do tego zdolna), to zielone światło obliczone na młodych sprinterów, dla babć gaśnie w połowie jezdni, a kierowcy (jeśli nie trąbią) to głośno gazują, żeby dać ci do zrozumienia, że nie pozwalasz im rozwinąć całej przypisanej im szybkości, właściwej dla ich usytuowania na społecznej drabinie porządku do dziobania. Czasami zastanawiam się jakie zwierzę mocy ich opanowało.

W Paryżu też ludzie się spieszą, ale niewiele widać agresji (może gdzieś na obrzeżach miasta, w etnicznych gettach) ale w śródmieściu, mimo mieszanki kolorów, strojów, nacji, sposobów bycia tej agresji nie widać.

Tu przykład: Jeździłyśmy metrem, bo na metro wykupiłyśmy tygodniowy bilet. Rano wsiadałyśmy z ludźmi spieszącymi do pracy, często w tłoku. Metro paryskie jest w porównaniu z warszawskim badziewne. Stare, brudne, na peronach zasyfione ławki, wagony jak w naszych Kolejach Mazowieckich, otwierają się na stacjach nie automatycznie, tylko trzeba szarpać za wajchę i jak w Kolejach Mazowieckich trzeba mieć do tego męską siłę. Tu też, jak w Warszawie, mężczyźni lubią stać przy drzwiach małym tłumkiem. Ale tam nie bałam się, że nie zdołam wysiąść. Stojący przy drzwiach, nawet nie oglądają się za siebie, sprawdzając kto wychodzi, szarpią wajchą, wychodzą na peron, żeby przepuścić wysiadających. Prawdziwy Wersal, niezależnie od etniczności wyglądu. Nikt plecakiem nie szoruje po twojej buzi, kogoś kto ma 1,58 wzrostu zamiast obowiązującego w Polsce przynajmniej 1,75 (jak obliczone są uchwyty w środkach komunikacji miejskiej). Odnosiłam wrażenie, że mieszkańcy Paryża, żyjący w wielkim stłoczeniu, nauczyli się innym nie przeszkadzać nadmiernie swoimi osobami. Zapewne mają inne możliwości wyżycia się i okazania swojej mocy.

Ale odbiegłam od tematu. Z całego wyjazdu najbardziej zapamiętałam dwie sceny, bynajmniej nie ilustrujące szacowne zabytki. To byli ludzie, a mianowicie małżeńskie (zapewne) pary spotkane przypadkowo.

Pierwsza z tych par, to starsi ludzie, odpoczywający na ławce w muzeum d`Orsay. Widać było, że kobietę wykończyło łażenie po muzeum (mnie zresztą też). Siedzieli oboje na ławce, a mężczyzna zdjął jej pantofle i masował stopy. Robił to z taką czułością, jakby miała dwudziestkę i była piękną laską, a nie starą kobietą, której nie zauważa się na ulicy. Zrobiłam im zdjęcie z daleka, zażenowana i pełna wewnętrznego żalu, że takie gesty w Polsce są tak rzadkie iż żadnego sobie nie jestem w stanie przypomnieć (oprócz jednego – który opiszę na końcu)

Następnego dnia na Montmartre spotkałam drugą parę. Zrobiłam im zdjęcia od tyłu, więc nie widać tego, co zaobserwowałam. Otóż mężczyzna wyraźnie nie kontaktował. Zapewne alzhaimer albo demencja starcza. Ale jak pięknie ubrany! Elegancki płaszcz, kapelusz, czerwony szal zawiązany fantazyjnie i kobieta czule poprawiająca mu ubranie. Szedł przed siebie niczego nie widząc, ale towarzysząca mu starsza elegancka pani, z ufarbowanymi włosami i bezbłędnym makijażem, okazująca mu ogrom czułości. Ona nie była z nim dla obowiązku! Wydawało się, że gdyby spojrzeć jej oczami zobaczyłabym pięknego, młodego mężczyznę, czarusia i bawidamka ale z gatunku tych, którzy kiedyś, dawno temu ulegli jej urokowi.

To były takie dwa widoki w ciągu zaledwie 6 dni pobytu. W Polsce spotkałam coś takiego tylko jeden raz. Mężczyzna i kobieta na naszym osiedlu, zniszczeni alkoholem i używkami, brudni zbieracze puszek, gniotący je nocami pod moim oknem. Strach byłoby ich dotknąć dla ich brudu i zapewne rojących się insektów. Ale tyle miłości i czułości w ich ruchach, tyle wzajemnego wsparcia! Skrzypiące, przepite, chropawe głosy, monosylaby zamiast zwykłej rozmowy, ale piękna bliskość, i zrozumienie. Jedno spotkanie na dziesiątki lat!

Co łączy te trzy paryskie wspomnienia: nocne szeleszczenie torebkami i dwa opisane obrazki wraz z trzecim, polskim? Wszystkie one dotyczą faktu, że drugiego człowieka obok siebie można widzieć, albo nie dostrzegać, niezależnie od stopnia natężenia tego widzenia lub niewidzenia.

I na koniec nie mogę się oprzeć autoreklamie: Ja w muzeum d`Orsay. Najciekawsze, że wzór mojej bluzki idealnie współgra z ramą obrazu; aż się prosi, żeby dostosować do siebie zawartości!

44. Rozmowy podsłuchane

Podsłuchiwanie cudzych rozmów lub czytanie cudzych listów często bywa zajęciem pouczającym. W dzisiejszych czasach nie stanowi jakiejś specjalnej niedyskrecji, ponieważ posiadacze telefonów komórkowych wszem i wobec trąbią o swoich sprawach. A że nieraz są śmieszni i nadają się do dowcipów – to już inna sprawa.

Ktoś opowiada o znajomych:

— Rodzina była głęboko skonfliktowana; matka miała objawienia religijne, a ojciec kochankę.

Małżeństwo rozmawia o kafelkach, które układa w ich domu majster. Żona zastanawia się, które szafki zabierze ze starego mieszkania, a które dokupią. Wątpliwości pojawiały się przy wiszącej narożnej szafce — stwierdziła, że wolałaby taką z kręconą półką, bo łatwiej sięgać po rozmaite przedmioty. Ale jednak szafki narożne są drogie, więc chyba zabiorą tą, która już jest... Na to mąż wybucha oburzeniem:

— Ty chyba jesteś idiotką! Lepiej myśl o tym jaki kolor fugi kupić do tych kafelków, a nie zawracaj głowy szafkami. Myśl teraz o tym, co najważniejsze.

Żona przez łzy:

— To już nawet nie wolno mi myśleć, o czym chcę?

Na to mąż:

— Oczywiście, że nie wolno, bo głupio myślisz!

Pewien pan tłumaczy się ze swojego niezbyt chwalebnego postępowania:

— No wiesz, w nocy krytycyzm spada...

We wczesnych latach sześćdziesiątych pracowałam w pewnej instytucji która zmuszona była zatrudniać mało inteligentne panie – żony oficerów wysłanych do Wietnamu jako doradcy wojskowi. Panie te raczej nie nadawały się do robienia czegoś sensownego, zazwyczaj więc siedziały i opowiadały sobie filmy. Przebojem sezonu były wówczas francuskie filmy z cyklu o markizie Angelice. Piękna markiza wskutek dworskich intryg straciła majątek i musiała ukrywać się wśród Cyganów i żebraków. Wyszła za mąż, ale męża jej bodajże spalono na stosie (o tym, że przeżył nie wiedziała oczywiście) Ją zaś porywano kilkakrotnie, sprzedano jako niewolnicę, w końcu trafiła do haremu sułtana. Wśród tych nieprawdopodobnych przygód urodziła kilkoro dzieci (nie tracąc oczywiście smukłej figury) i szczęśliwie nie musiała się nimi przejmować, bo zawsze znaleźli się dobrzy przyjaciele, którzy w tym obowiązku ją zastąpili.

Pewnego dnia wspomniane panie opowiadały sobie treść „Angeliki wśród piratów". Jedna z nich, pełna współczucia dla bohaterki opisywała jak okrutnie potraktował ją mąż – kiedy się już odnalazł – gdy dowiedział się, że ona *z sułtanem, tego, wiecie co...* (to były pruderyjne czasy, o tych rzeczach nie mówiło się wprost). Sułtan (może nawet Brunei) rzucał bogactwa do jej stóp nie mogąc zrozumieć, że ona kocha jedynie utraconego męża – pirata.

Na to inna westchnęła, a reszta pań poparła ją w jej refleksyjnej diagnozie:

— No, bo wiecie, takie jest życie!

Jeśli chodzi o sprawy męsko damskie, pewna dziewczyna na porodówce tłumaczyła mi, dlaczego uległa chłopakowi i zaszła w ciążę:

— No bo wie pani, wszystko odbyło się w pościeli i w ogóle... Jak mogłam odmówić? Miała 15 lat i była optymistką. Powiedziała, że cieszy się z tego, że będzie miała dziecko, ponieważ teraz matka już nie będzie mogła zabronić jej chodzić na zabawy, ponieważ stała się dorosła.

Od rozmów podsłuchanych niedaleka droga do czytania cudzej korespondencji. W zaraniu swojej kariery zawodowej pracowałam jako archiwistka w PZU. Do moich obowiązków należało wyciąganie akt spraw, w których poszkodowani odwoływali się od urzędniczych postanowień (wówczas brzmiało to groźniej – „decyzji").

Pewien człowiek nie był zadowolony z faktu, że przyznano mu zaniżony – jego zdaniem – procent utraty zdrowia. W odwołaniu napisał więc: „ W wyniku wypadku jestem tylko w 30 procentach mężczyzną, o czym może zaświadczyć moja żona i wszyscy sąsiedzi"

Inny niezadowolony, rolnik, którego krowę przejechał pociąg, skarży się na liczne klęski, które go dotknęły wskutek tego wypadku. Pisze więc nie owijając w bawełnę: „Wskutek tego wypadku nie tylko straciłem Krasulę, która była jak domownik, ale i córka panną być przestała i zaciążyła i nikt się nie chce z nią ożenić” Zaciekawionej, jaki był związek przyczynowo – skutkowy z wypadkiem krowy wypasanej na kolejowym nasypie, ów rolnik wyjaśnił:

— Krowa była posagiem córki, a kto ją teraz weźmie bez krowy i z dzieckiem?

Ostatnio podobny przykład tego, co robią seriale z umysłem wykształconej i skądinąd kiedyś rozsądnej kobiety miałam możliwość zaobserwować na działce, kiedy namiętna oglądaczka tych filmów zrobiła dziką awanturę synowi, że poszedł z żoną i ze swoim czteroletnim synkiem do wiejskiego kiosku na piwo, pozwalając dziecku oglądać innych piwoszy. Kiedy koleżanka dała spokój synowi, wzięła się za synową, że mu na takie coś pozwala, że nie żąda przez to szacunku dla siebie, co zaowocuje porzuceniem jej z dzieckiem i tak dalej. Oraz za sąsiada, ponieważ się podśmiewał. I za mnie ponieważ jej nie poparłam.

Nie przeszkodziło to jej jednak następnego dnia temu samemu wnusiowi dać pół szklanki piwa, którym ją poczęstowałam. Dobra babcia dzieli się z wnukiem. O częstowaniu piwem nie było mowy w serialach, skąd więc biedna miała wiedzieć, że dzieciom się alkoholu nie daje?

45. Ubezpieczenie od ognia w spodniach

Jeżeli sądzicie, że posłowie za czasów PRL byli mądrzejsi i światlejsi niż dziś, to bardzo się mylicie.

Pracowałam we wspomnianej już Centrali gdy pewien poseł w czasie dyskusji nad zakresem obowiązkowych ubezpieczeń w gospodarstwach rolnych zgłosił w sejmie interpelację w sprawie zmian w dotychczasowych warunkach. Stosowne żądanie dokonania zmian trafiło kolejno z Sejmu do Prezesa Centrali, Dyrektora Biura, mojego szefa, który scedował sprawę na mnie (tę ofiarę bez mgr przy nazwisku)

Nazwa ubezpieczenia brzmiała: „Od ognia i innych zdarzeń losowych". Pod pojęciem *inne zdarzenia losowe* rozumiano wyliczone w treści warunków: trzęsienie, zapadanie i usuwanie się ziemi, huragan, grad, ulewę nawalną, powódź itp. plagi.

Życzenia były dwa: pierwsze dotyczyło skrócenia nazwy ubezpieczenia, bo była, zdaniem posłów, zbyt długa i trudno było ją zapamiętać, drugie zaś, na pozór stanowiące odwrotność pierwszego, nakazywało rozszerzyć nazwę o ryzyko ***elementów***.

Zdaniem posła (ów) nazwa powinna brzmieć: „Obowiązkowe ubezpieczenie od ognia i elementów".

Ki diabeł z tymi elementami? Nie mogłam spytać bezpośrednio posła (za wysokie progi...), moi szefowie nie chcieli też, żebym zawracała im głowy, w końcu informację uzyskałam od pewnej sekretarki, która czytała protokół z sejmowego posiedzenia.

Okazało się, że posłom chodziło o alimenty (całkiem serio!) – ubezpieczenie od alimentów. Tylko nieco szwankował w ich horoskopach Merkury – zapewne był „uszkodzony" (to też przesąd?).

Przygotowałam stosowny projekt i wówczas nawet moi szefowie zrozumieli, że ubezpieczenie od ognia w spodniach nie jest najlepszym pomysłem.

Posłów poinformowano, że wprowadzenie zmian opóźnia się z powodu niekompetencji pewnej niedokształconej urzędniczki, którą już pouczono i sprawa się odciągnie, ale nie przepadnie itp. Nie muszę dodawać, że ubezpieczenia tego nigdy nie wprowadzono.

Jak zwykle zaś: kowal zawinił, a Cygana powiesili.

Z ubezpieczeniami i szkodami ludzie zazwyczaj mieli trudności. Także we wczesnych latach siedemdziesiątych panie psycholożki, oceniające stan gotowości szkolnej moich synów, których chciałam posłać pół roku wcześniej do szkoły.

Na przesłuchanie dzieci udały się z babcią, która tyle wiedziała o specyfice mojej pracy, co dzieci.

Pani psycholog spytała chłopców: Gdzie wasza mama pracuje? Dzieci nie wiedziały, jak odpowiedzieć. Pani psycholog drążyła więc: w biurze, w fabryce, w sklepie, na budowie? Chłopcy wiedzieli, że w żadnym z tych miejsc i że mama jeździ w delegacje. Któryś z chłopców rezolutnie stwierdził, że wprawdzie nie może powiedzieć, gdzie mama pracuje, ale za to wie, na czym się mama zna.

— Na czym się więc zna? — pytała dalej pani psycholog. Obaj odpowiedzieli razem, jak na komendę:

— Mama zna się na szkodach.

Panie psycholog relacjonowały babci przesłuchanie z oburzeniem, każąc natychmiast stawić się matce.

— O czym te dzieci mówią? Na jakim świecie żyją? Co to znaczy szkoda? Szkoda czego? Komu? Jak można znać się na czymś takim?!

W konsekwencji uznano, że dzieci nie są jeszcze gotowe pójść do szkoły, ale za to z puli psychologów uzyskałam natychmiastowe skierowanie malców do przedszkola bez kolejki, o co bezskutecznie wcześniej zabiegałam.

Nie ma więc tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Od tamtej pory uważam jednak astrologię i tarota za bardziej sprawdzalne niż psychologia (i ekonomia). Zwłaszcza, że kiedyś wyprowadziłam w pole biegłą psycholog. To była frajda!

46. Siedemdziesięciolecie

Poprzednie odcinki były wesolutkie. Teraz czas na sprawy poważne. Kończę 70 lat i podsumowuję swoje życie. Staram się to wtłoczyć w punkty:

1) Podarowałam MZK pół roku i 20 zł. bowiem zapłaciłam za rok bilet na karcie miejskiej (od czerwca), a od 26-go listopada przysługuje mi bilet bezpłatny. Teorie spiskowe mówią, że raczej ludzie darują coś władzom niż władze ludziom, co się sprawdza. Także gdy komornik wchodzi na emeryturę – (za cudze długi) i lubi to robić przed świętami. Świat podarował mi wiele, ale część z tego nie było podarunkiem tylko kredytem z odroczonym terminem płatności.

2) Słońce weszło w znak Strzelca, ale wolałabym urodzić się w lecie — ciepły wiatr bardziej sprzyja człowiekowi i jego stawom niż mgliste perspektywy i telewizyjne dzienniki poświecone gehennie pasażerów lotnisk. Co mi tam pasażerowie, gdy mnie nie chce się wstać, a muszę! Nadmierna uwaga poświęcana tym latającym wyjątkom mierzi mnie i niepokoi, bowiem stwarza stereotyp, do którego większość z nas nie potrzebuje, ani nie chce się dostosować. Jednak ich traktuje się jako ważniejszych! Nikt nie mówi w TVN 24 o panu Ziutku, który w takie dni od rana grabi liście, albo zaspanej pani Ani, która otwiera spożywczy kiosk i musi ważyć po pół kilo kartofli takim babciom, jak ja. Nie mogłyby kupić od razu pięć kilo! Tyle samo schylania, a zarobek większy.

3) Czekała mnie nudna imieninowo-urodzinowa impreza. Stale te same osoby, te same opowieści, jak to dwadzieścia lat temu, jeszcze za komuny, na wczasach w Bułgarii dawali na śniadanie szynkę w majonezie. A w Soczi nawet wino. I ohydną kaszkę mannę polaną chłopkowym olejem (z bawełny). Postanowiłam więc przemieszać gości. Literaci, politycy, babcie i dziadki, młodzi zapaleńcy szukający swoich dróg, jasnowidząca sztuk jedna, biznesmeni sztuk 3, niektóre żony i krytycznie nastawione dzieci itp. Pomijam fakt, że w tym niewielkim towarzystwie jeszcze mieszczą się inne podziały prowadzące do polskich zadrażnień. Teraz nie mogę spać obawiając się, że może dojść do jakiejś awantury, ponieważ na co dzień te środowiska są od siebie skutecznie izolowane. Gdybym się tak nie bała, miałabym frajdę! A już gdybym była czarownicą, mogłabym doprosić jeszcze szatana. Nie zezwól Szanowny Panie Szatanie na rozmowy o Katastrofie!

4) Niektórzy twierdzą, że powinnam zdać się na innych, niekoniecznie próbować żyć po swojemu. Słyszę to od co najmniej sześćdziesięciu pięciu lat i stwierdzam na koniec, że ilekroć ulegałam tym głosom, nic dobrego z tego nie wychodziło. Dlaczego nie chciały przemówić do mnie Prawdziwe Głosy?

5) Wszelkie związki przyklepane prawem, biologią albo zwyczajem zawierały w sobie większą dawkę goryczy, niż chciałoby się znieść. Wszystko w życiu, co piękne, było ulotne. Nieokreślone spojrzenie, zanucona przy bridżu piosenka, oczy pułkownika wracającego z wojny w szaszłykarni w Taszkencie i wypite z nim piwo, parę słów zamienionych z lekarzem, który przyjechał do umierającego, upalna sucha trawa na bieszczadzkim wzgórzu, gdy zyskiwało się pewność, że przetaczający się po niebie chmur na pewno jest rodzaju męskiego, koźlaki czerwonogłowce na brzozowym bagienku, gdy usłyszało się czyjś niewyraźny szept: — jutro powiem ci coś bardzo ważnego — i gorycz jesiennego dymu, gdy palono ziemniaczane łęty, a rozmowa na zwalonym drzewie oznaczała koniec rojeń o Avalonie. I pewne słowa czy frazy w tekstach osób, których się nie zna, ale które trafiają w czuły

punkt. Nie będę wymieniała więcej. Tak czy inaczej ulotność tych chwil stanowiła o ich wartości. Kontynuacja niosłaby nieuchronne rozczarowanie, byłaby zapewne czymś w rodzaju szorowania twarzą po granitowej, chropowatej kolumnie w celu jej wygładzenia.

6) Zobaczyłam w świecie coś, czego widoku dotychczas unikałam. Z rozpędu nazwałam to „ezoteryką", ale nazwa w żadnej mierze nie oddaje tego, co zobaczyłam. Nie jest to ezoteryka, nie jest religia, nie jest to przekonanie o celowości wszystkiego, ani, tym bardziej, o tym, że światem kierują prawa stałe i niezmienne, nawet nie jest to emocja czy rozumowanie. To coś mogę przybliżyć tylko w jeden, najbardziej nieokreślony sposób. Kiedyś we śnie doznałam uczucia, całkowicie oderwanego od kontekstu, najbardziej zbliżonego do uniesienia czy natchnienia, ale nie będącego żadnym z nich, ani nawet konkretną wizją. Mieściło się chyba, chociaż nie do końca, w kategorii „emocje", ale nie dawało się nazwać żadnymi dostępnymi mi nazwami. Obejmowało także przekonanie, że wszystko wiem lub wiedziałam, ale zapomniałam. I może kiedyś sobie przypomnę. Możliwe, że to mój mózg pod wpływem zwiększonego ciśnienia krwi, które u babć jest najbardziej niebezpieczne tuż przed świtem, wyprodukował jakąś bzdurę i wdrukował ją w moją pamięć długotrwałą. Najważniejsze jednak, że przekonałam się, iż katalog naszych doznań nie jest zamknięty ani stały.

7) I na koniec świadomość, że tyle lat zmarnowałam przez przesądy: obyczajowe, polityczne, społeczne i ekonomiczne, literackie. Może także astrologiczne. Wszak tyle planet mam w retro!

Trzymajcie za mnie kciuki! Tak bardzo chciałabym, żeby spotkanie się udało! Żeby ludzie wytrąceni ze swych codziennych szyn spojrzeli na siebie, przez chwilę poczuli satysfakcję z tego, że są odmienni dostrzegając urok tej ulotnej chwili.

47. Sprawozdanie z imprezy

Dzięki tranzytującemu Uranowi (w trygonie do urodzeniowego Słońca) i Waszym dobrym energiom impreza jubileuszowa udała się znakomicie. Przemieszanie towarzystwa spowodowało, że nikt nie siedział nudząc się, wszyscy dyskutowali z zapałem choć bez agresji i ośmielę się powiedzieć, znacznie kulturalniej niż na niejednym spędzie rozmówców w telewizji. W dzisiejszych czasach gdy człowiek o jednym zawodzie jest w odwrocie, najciekawsze okazało się gdzieś w połowie spotkania, że mimo rozmaitych łatek, jakie im przyczepiłam: jak „twórca", „ezoteryk", „biznesmen" w konsekwencji większość okazała się ... informatykami. Ponieważ większość poznała się na tej imprezie uniknęliśmy nudnych rozważań „co słychać u X, Y i Z", którymi zazwyczaj wypełnia się czas. Dla mnie osobiście to spotkanie przyniosło jeszcze inne miłe rezultaty.

Nowych rzeczy usłyszałam tyle, że będę je trawić jeszcze jakiś czas. Jedna rzecz była niezmienna: wyraźnie w dyskusjach był widoczny podział na spojrzenie męskie i kobiece, niezależnie czym się w danym momencie zajmowaliśmy, choć ogólnie biorąc najciekawsza dyskusja dotykała głównie ezoteryki. To jednak pokazuje jak głęboki jest w Polsce podział kulturowy na te dwa spojrzenia, choć może nie tak głęboki jak podział polityczny. W ezoteryce kobiety i mężczyzn interesuje zupełnie coś innego. W tym towarzystwie podejście mężczyzn było raczej dynamiczne, nastawione na kształtowanie rzeczywistości, kobiet bardziej pasywne, na odbieranie i rozumienie tego, co spontanicznie się pojawia. Może zbyt uogólniam, ale takie odniosłam wrażenie.

Niestety, nie uniknęliśmy tematu Katastrofy, zwłaszcza, że wśród nas był pilot.

Jedno pytanie nie znalazło odpowiedzi, a właściwie znalazło tyle odpowiedzi, ile obecnych osób — mianowicie „Co sprawia, że biznesmen udaje się w swoich sprawach zawodowych do wróżki?". Pytający mógł wybierać między różnymi odpowiedziami, co nie znaczy, że wybrał najwłaściwszą, a raczej, że najbardziej mu odpowiadającą.

48. Czy leworęczni mogą medytować?

Najpierw zadam pytanie, które może wydawać się dziwaczne, ale stawiam je na serio: Czy osoby leworęczne mogą medytować?

Wychodzę od doświadczeń własnych, które próbowałam przeprowadzać kilkakrotnie. Od razu powiem, że mnie żadna próba medytacji nie udała się. Nigdy. Najpierw protestowało ciało, zaczynało coś swędzieć, boleć, szczypać, kłuć; pojawiała się konieczność natychmiastowej zmiany pozycji ciała. Nigdy nie było takiej, która okazałaby się odpowiednia.

Potem następna sprawa: odprężenie. Niemożliwe. Jeśli mówię sobie: „moje ciało jest ciężkie" ono robi się aż tak ciężkie, że napinam mięśnie, wbijając ręce i nogi w materac z całej siły. Jeśli mówię sobie „moje ciało jest lekkie", wcale nie unoszę się ani nie fruwam, tylko walczę z poczuciem, że jestem zbyt ciężka i próbuję zrobić się lżejsza, co oczywiście do niczego nie prowadzi. Powtarzanie mantr, sylaby OM czy innych, wcale nie powoduje oczyszczenia umysłu, a wręcz przeciwnie, prowokuje gonitwę myśli. W każdym razie po pół godzinie takich zmagań, rezygnuję. Podobnie zresztą było z modlitwą, gdy jeszcze chciałam się modlić. Nie potrafiłam się skupić na modlitwie, a jak za bardzo się skupiłam, uciekały mi jej słowa.

Na przykład chciałam się pomodlić o coś; natychmiast przychodziło mi na myśl wątpliwe prawo do zgłaszania mojej modlitwy w myśl zasady, że ja będę się modlić o deszcz, a ktoś inny o suszę.

Usłyszałam gdzieś zdanie: „Uprawianie ogródka też jest modlitwą". Jednak grzebanie pazurami w ziemi, wyrywanie tkwiących korzeni chwastów przeradzało się w miarę czasu i zmęczenia w jakąś dziwaczną namiętność, jakby ukryta wola niszczenia, tkwiąca wewnątrz mnie wypełzała na wierzch niczym nie powstrzymywana. Chwasty są o wiele silniejsze i twardsze niż rośliny uprawne czy kwiaty i dlatego aby je chronić trzeba bezlitośnie wyrywać. Jednak czasami są tak splecione, lub my nieuważni, że niszczymy i to co chcieliśmy ochronić. Czasami ogarniała mnie przynajmniej chęć, żeby powyrywać wszystko, do gołej ziemi, nie zawracać sobie głowy tym, co warto zostawić, a co zniszczyć. Nie da się ukryć, że tak postępuje i z nami siła wyższa. Potem na zrytej ziemi można na nowo coś ciekawego posadzić i tym się cieszyć (póki się znowu nie zachwaści).

Sami zrozumiecie, że uprawianie mojej działki bynajmniej nie było modlitwą, tylko walką z siłami wyższymi i bardziej rozpędzonymi w swej nieustępliwości niż ja.

Czasami w stanie odprężenia znajduję się na granicy snu i jawy, ale wówczas, jeśli nie zasnę, pojawiają się słowa i myśli obce, tak jakbym dawała dostęp do siebie czemuś nieprzewidywalnemu i strasznemu. Boję się mu ulec i wybudzam się.

Czytałam kiedyś o tym, że w czasie medytacji osłabieniu u człowieka ulega lewa półkula mózgu (zawiadująca prawą stroną ciała) i dopuszcza do głosu, zazwyczaj podporządkowaną prawą półkulę, odpowiedzialną między innymi za doznania transcendentalne. U mnie, jako u osoby leworęcznej jest na odwrót, dominującą półkulą jest prawa półkula. Czy nie jest tak, że osłabienie lewej półkuli powoduje tylko nierównowagę, a więc doznania przykre? Oddanie okrętu pozbawionego steru i możliwości żeglugi na pastwę fal?

Kiedyś, nie pamiętam już w jakim opowiadaniu SF, jego bohater, chłopiec, dziecko zmarłych kosmonautów, wychowany przez bezcielesne siły na obcej, niegościnnej planecie styka się po raz pierwszy z ludźmi z innej wyprawy. Jego doznania są czymś spomiędzy doznań ludzkich i doznań owych obcych, którzy nim się opiekują. Nie należy do żadnego świata i musi samotnie zostać na tamtej planecie, ponieważ na ziemi nie umiałby żyć.

Uderzyło mnie w tej historii jedno: dziecko otrzymywało zawsze odpowiedzi na swoje pytania nieznaną drogą. Nie rozumowało, nie zastanawiało się. „Jest pytanie, jest odpowiedź" – opowiada chłopiec Ziemianom. Podobnie jak i ja. Ważne odpowiedzi i zdarzenia przychodzą z zewnątrz. Nie potrafię wskazać drogi w której rozumne postępowanie doprowadziłoby mnie do jakiegoś poważnego, postawionego sobie celu. Nie rezygnuję, ale nie ono jest decydujące.

Dlatego też zadaję pytanie: Czy leworęczni mogą medytować? I jak mają to zrobić, żeby nie było szkodliwe i groźne? I żeby nie przeradzało się w jakąś potworną wersję słusznych przedsięwzięć — jak większość pięknych idei.

49. Bezbarwna sekretarka

Dawno temu, pewna moja koleżanka z pracy, na serio zajmująca się magią i kontaktem z zaświatami, znana z tego, że umiała bezbłędnie odpowiedzieć na wiele pytań w tym zakresie i uzyskać od zmarłych odpowiedzi dla osób nimi zainteresowanych, powiedziała mi, że jest to działalność tak bardzo niebezpieczna, że gdyby wiedziała o tym wcześniej nigdy nie zaczęłaby się magią zajmować. W rozmowie z nią padały same ogólniki, po prostu o szczegółach nie chciała mówić. Przestrzegała mnie jednak bardzo przed próbami zajmowania się tymi sprawami (ja nie byłam w tym okresie zainteresowana wiedzą tajemną, jednak SF zaczynało się trochę tym interesować, więc starałam się rozpoznawać takie trendy) i twierdziła, że są osoby, które nigdy w życiu nie powinny tego próbować i że ja do nich właśnie należę.

Ta dziewczyna, to w ogóle była dziwaczna postać; czterdziestoletnia panna, mieszkająca z matką, która podobno ją terroryzowała, typu szara myszka; małomówna, niesłychanie skrupulatna, wieloletnia sekretarka dyrektora biura (coś jak dziś sekretarka wiceministra w jakimś ministerstwie). Niespodziewanie awansowała z maszynistki na hali maszyn, co było najniższym stanowiskiem w hierarchii tego pseudo — ministerstwa. Wydawało się bardzo dziwnym, że taką osobę wybrał sobie ten pan, skoro do przyjmowania i obsługi gości wypożyczał z innych biur bardziej reprezentacyjne panie.

Chodziły słuchy, że większość sukcesów ten dyrektor zawdzięczał wiedzy swojej sekretarki o przyszłych zdarzeniach. Ja zetknęłam się z nią, ponieważ była najbliższą przyjaciółką mojej koleżanki i szefowej i kiedyś spotkałyśmy się u niej na jej „babskich imieninach". Musiało być w tym coś z prawdy, ponieważ zewnętrznie i w charakterze zupełnie nie zdradzała cech dobrej sekretarki; ani przystojna ani wykształcona, energiczna ani nie dobrze zorganizowana, dość powolna i w dodatku bezbarwna.

Mówiło się o tym, że dyrektor poprosił kogoś z hali maszyn do podyktowania listu pod nieobecność jego pierwszej sekretarki i że ona list ten napisała, po czym wychodząc powiedziała, że list ten odniesie całkowicie przeciwny skutek, bo w tej sprawie w sejmie będzie interweniował jakiś poseł. Podobno rzeczywiście, w ramach interpelacji poselskiej podważono sens planowanych przedsięwzięć do tego stopnia, że utraciły akceptację rządu, który pierwotnie sprawę wymyślił i forsował.

Interpelacje posłów w sprawach Centrali były częste, ale na ogół działo się to z zaskoczenia, ktoś z czymś wyskakiwał całkiem niespodziewanie. Przewidzenie tego rodzaju sprawy przez kobietę z dołu drabiny służbowej, pracownika fizycznego nie obeznanego z zawiłą siecią wewnętrznych intryg (na halę maszyn trafiały tylko pisma typu okólniki, inne powstawały w zespołach i dla zachowania poufności pisali je sami pracownicy merytoryczni) było rzeczywiście czymś niesłychanym.

Ale odbiegam od tematu. W każdym razie tak jakoś było, że traktowałam ją bardzo poważnie i wierzyłam święcie w to, co mówiła, i nawet nie pytałam jej o moje sprawy. Bałam się, że usłyszę prawdziwą odpowiedź, a wolałam, żeby los mnie zaskakiwał. Tak było ciekawiej. Nie pamiętam, co wtedy czułam, ale wierzyłam, że ona WIE.

Często zastanawiałam się co naprawdę działa w tych sprawach. Bo czasami, chociaż bardzo rzadko – naprawdę działa.

Po pierwsze: — Obojętnie jak nazwać, czarami czy manipulacją — nie wszystkim się udaje i nie u wszystkich to działa,

Po drugie: — Trzeba się poddać całkowicie i bezwarunkowo: guru, manipulantowi, Bogu, czy komuś innemu. Można nawet kasecie magnetofonowej (podobno czasami, gdy włączyć nienagraną kasetę, słychać w tle głosy. Ja to uważam za zjawisko z gatunku „kanałów na Marsie" – gdzie ludzka wyobraźnia łączy hipotetyczne punkty w sensowne struktury. Ale są tacy, którzy wierzą, że przemawiają do nich w ten sposób zmarli, wywołani dzięki „Kronice Akaszy"). I wierzyć, że to ma jakiś sens, choćby sensu nie miało. To najważniejszy warunek, żeby coś w powietrzu zachodziło, jakiś proces kierujący wydarzenia na określone tory, albo myśli torami wydarzeń, które dopiero nastąpią.

Po trzecie — najbardziej istotny jest moment, w którym podejmuje się działanie. Podobnie było z rzucaniem palenia — co czyniłam kilkakrotnie i bezskutecznie mimo solennych postanowień, aż nastąpił moment gdy je rzuciłam bez specjalnych postanowień — i innymi moimi życiowymi sprawami. To coś, co określa się słowami: „sytuacja dojrzała".

Gdzieś tam na horyzoncie gromadzą się wydarzenia, które niczym obłok dopłyną do człowieka, otoczą go i wystarczy chwila decyzji, a reszta będzie prosta. Tak sądzę.

Nie wierzę w skutki zaklinania rzeczywistości. Sądzę, **że to ona nas zaklina, odnajduje, wyznacza odpowiedni moment, pozwalając na złudzenie, że sami podjęliśmy decyzję.**

Posługuje się przy tym różnymi metodami, stosownie do osoby z jaką ma do czynienia. Na niedowiarków też ma swoje sposoby. Skłania ich na przykład do zainteresowania się astrologią. Wydaje się bardziej wiarygodna niż np. wróżenie z ręki, pewnie dlatego, że jest doczepiona do nauk takich jak astronomia i matematyka, a więc zaakceptowanych jako nauka, a nie traktowanych jako przesąd.

50. Dobry Bakuś contra zły mag Jogos, czyli jak Bakoma walczy z Jogobellą

Swego czasu mój wnuk kazał sobie kupować serki Bakomy dla dzieci. Ponieważ dziecko było i jest niejadkiem, syn i synowa ulegli jego żądaniom i wszyscy w rodzinie mieli zapowiedziane, że na wizyty wnuka w domu dziadków ma być koniecznie serek Bakomy (Broń, Boże żaden inny). Moje zdumienie budził jednak fakt, że wnuk w sklepach wrzucał do koszyka rzeczone serki, w domu rozbrajał je, ale nawet nie próbował ich jeść. Twierdził, że ich nie lubi.

Staram się swoje wydatki ograniczać do rzeczy potrzebnych, więc trochę się buntowałam, zwłaszcza, że serki te były obrzydliwie słodkie, a ja słodyczy raczej nie jadam, całość więc szła do kosza.

Sprawa wyjaśniła się nieco później. Dekielków od pojemniczków (jak potem rozmaitych nakrętek, etykiet itp. wnuk potrzebował do gier komputerowych. Ofiarowały one rozmaite profity w grach komputerowych, jak „kod dodatkowa energia 50%", „Kod nieśmiertelność 90 sekund" itp.

Oczywiście udział w grze zachęcał dzieci do kupowania serków. Można dyskutować, czy nie niesie to za sobą ubocznego skutku w postaci zachęty do uzależnienia w przyszłości od hazardu. Niemniej nawet na pierwszy rzut oka nie budził moich wątpliwości fakt, że ta forma sterowania dziećmi jest nieuczciwą walką z innym producentem podobnych produktów. Kim bowiem jest ten zły mag Jogos, z którym walczy dobry Bakuś? Oczywiście produktem konkurencyjnych twarożków Jogobelli. Dzieciak w sklepie zobaczy na przykład jogurcik Jogobelli (nie mówiąc o twarożku) i nawet ekstra duże kawałki owoców nie są w stanie zachęcić go do spróbowania — jeśli nawet niemądra babcia kupi mu coś „na spróbowanie", żeby rozszerzyć żenująco ograniczoną paletę produktów, które jada dziecko. Wszak to jest „od złego maga Jogosa", więc dobre dziecko tego nie tknie.

Nie tylko jednak dzieci są manipulowane. Czym jest ten przesławny „Instytut Pampers"? Rozsyła niemądrym mamuśkom kilkudziesieciostronnicowe opracowania przygotowane tak, żeby wyglądały jak naukowe badania, z których wynika, że dziecko powinno nosić pieluchy aż do pójścia do przedszkola czy nawet szkoły, bowiem nie należy go stresować sadzaniem na nocnik. Nabierają się na to nawet panie z wyższym wykształceniem!

Wszyscy wiemy, że małym kotkom czy pieskom należy stosować „trening czystości" tylko w określonym przedziale czasowym, inaczej przyuczenie do pewnych zwyczajów jest trudne, jeśli nie niemożliwe. Znam więc dzieci – i jest ich coraz więcej – moczące się w wieku nawet 12-13 lat. Podobno nie zawsze są to przyczyny neurologiczne czy psychiatryczne, czy może raczej nie tylko te przyczyny. Lekarze mówią o braku wytrenowania mięśni sterujących oddawaniem moczu czy fekaliów.

Znam też chłopca, który do 14 roku życia po przyjściu ze szkoły kładł się na tapczanie z butelką mleka ze smoczkiem. Poza tym pod każdym innym względem nie przejawiał żadnych zaburzeń. Po prostu babcia chyba za długo mu dawała butelkę. I możliwe, że odstresowywał się za pomocą tegoż smoczka. Nikt nie nauczył go, że można to robić inaczej. I że nie musi się z odstresowywaniem kryć przed rówieśnikami.

Manipulowani jesteśmy tak powszechnie, że w końcu przestajemy sobie z tego zdawać sprawę. Pół biedy, jeśli jedna babcia daje jednemu wnukowi smoczka nie bacząc na jego wiek. Sprawa jednak jest poważniejsza, gdy producent jednorazowych pieluch wmawia tysiącom matek, że nie muszą uczyć dzieci treningu czystości, a producent papek w słoiczkach dla małych dzieci, że nie muszą ich podgrzewać i zawierają wszystkie konieczne składniki dla człowieka. Do diety z tych przecieranek dołożą się jeszcze osłodzone produkty konkurencyjnej walki producentów i diabli wezmą wszystkie dążenia do zdrowego odżywiania. Potem na maturze, za pomocą testów ćwiczy się dzieci w odgadywanie jednej słusznej odpowiedzi.

(Czytałam w którymś roku w „Wyborczej" zadania maturalne z języka polskiego i wytyczne do ich sprawdzania. Pytanie brzmiało: „Jakie jest przeciwne sformułowanie do określenia „romantyczna fikcja"". Prawidłowa odpowiedź brzmiała "Racjonalistyczny świat". A jeśli ktoś odpowiedziałby: „Racjonalna rzeczywistość" albo „pozytywistyczna przyziemność"? Czyż nie lepszym przeciwstawieniem „fikcji" jest „rzeczywistość" zamiast preferowanego „świata"? A może „fikcji" należy przeciwstawiać „faktyczność" lub po prostu „fakty" w określeniu: „przyziemne fakty"?. Prawdę mówiąc tylko przez przypadek użyłabym w tym przeciwstawieniu słowo „świat". Dla mnie przeciwstawnym pojęciem do „fikcji" jest „realność". Jak można tak bardzo narzucać jedynie słuszną, niezbyt prawidłową odpowiedź? To brzmi jak teleturniej z odgadywania, co powie większość, niezależnie od tego, jakie głupoty by ta większość plotła!)

... Aż wreszcie w wieku dorosłym dochodzimy do jednej słusznej opcji politycznej i faktu, że musi być wyłącznie jedna. PO albo PiS. **Bakuś** albo **Jogos**. I mamy, na miarę czyichś potrzeb i poglądów, prawidłowo ukształtowanego człowieka. Biada mu, jeśli myśli nieco inaczej niż wszyscy!

Nieważne, że jeden człowiek uwierzy, iż straszliwy wróg ludzkości czyha w latającym talerzu na jego zakodowane w ciele geny i w celu ich poznania porywa nieszczęśnika, rozkłada na laboratoryjnym stole i bada, bada, bada (a nawet coś mu wszczepia). Gorzej, jeśli wiele osób wierzy, że Katastrofę spowodowali Rosjanie za pomocą sztucznej mgły, obłoku azotu, czy wreszcie środków pirotechnicznych. Znajomi jednak poinformowali mnie, że skoro Rosjanie mają tak bardzo rozwinięte badania psychotroniczne, to całkowicie niepotrzebne są im środki tego rodzaju. Czterdziestu telepatów plus jeden jasnowidzący i dwóch szpiegów oraz flaszka wódki dla kontrolerów lotów, w zupełności wystarczyłaby.

Pośmiałam się trochę, ale gdyby przyjąć tę teorię na serio, mamy coś w rodzaju „zamienił stryjek siekierkę na kijek" Czterdziestu telepatów na usługach Putina to ten sam gatunek, co sztuczna mgła.

Jednego jasnowidzącego darowałabym sobie — ich skuteczność podobno nie przekracza 65%, w przeciwieństwie do flaszki wódki.

51. Słodkie aromaty imitacji

Pewna aktorka serialowa w wywiadzie powiedziała, że jej ulubionym zapachem jest zapach detergentów, ponieważ dla niej jest zapachem domu i czystości.

Ta sama pani przyznała, że nie czytała książki, według której nakręcono serial w którym gra, chociaż słyszała, że książka jest dobra. Niezależnie od wartości książki o której wspomniano i wyjaśnień powodów (takie normalne wykręty)

już na pierwszy rzut oka widać, że pani ta przedkłada produkty wysoko przetworzone nad naturalne.

Toż wszystkie detergenty w aromatach starają się naśladować przyrodę, mniej lub więcej udolnie. Ja, wychowana na siermiężnych zapachach naturalnych pamiętam zapach środków dezynfekcyjnych jako coś nieprzyjemnego, ostrego i drażniącego. Chlorek, bielinka, proszek DDT wysypywany po kątach przeciw robactwu, w szpitalach wszechobecny zapach eteru (narkoza i przemywanie skóry) i tym podobne. Zapach maści tranowej, którą leczono odmrożenia lub oparzenia i tranu, który wydawano dzieciom codziennie w szkole. Nie, zapach czystości i zdrowia nie był wcale przyjemny! Dzisiaj jest tylko mniej nieprzyjemny.

Miły zapach domu to był zapach słoninki topionej z cebulką i jabłkiem, grzybów czy jabłek suszonych na piecu, gorącego octu, którym zalewano śliwki, przetworów na zimę, świeżo kupionego chleba. Cudowny był też soczysty zapach cebuli gryzionej przez obficie płynące łzy, szczypiący, ale słodki pod tym szczypaniem, a już gdy talerz nakrojonej cebuli można było polać śmietaną! Prawdziwe niebo!

Ale najpiękniejsze zapachy, codzienne choć sezonowe, to kwitnąca czeremcha w kącie ogrodu, biały bez, brzydki, bo mający szybko rdzewiejące kwiaty, ale jak cudownie pachnące! Wieczorem maciejka na rabatce pod oknem — o zapachu znużonego końca dnia — pierwsze truskawki i poziomki zerwane rankiem na grządce, kiedy ledwo dojrzały, a nawet świeżo wyciągnięty korzeń marchwi obtarty z ziemi i pałaszowany z jesiennym zapałem.

Zapachy odświętne to zapach sosnowego lasu w wakacje, perfumowane mydełko z amerykańskich darów UNRA, fajki palonej przez kolegę ojca, nowych ubrań i butów, podręczników na początku roku szkolnego.

Najobrzydliwszy zapach to zapach drewnianego kościółka na Bielanach, prowizorki zbudowanej z smołowanych bali i desek. W upalne dni trudno było tam wytrzymać, ja jako dziecko mdlałam w połowie nabożeństwa. Co ciekawsze, podobny zapach – drewnianych podkładów kolejowych, nasączonych tę samą substancją był zapachem miłym, bo wakacyjnym. Stało się na peronie i czekało na pociąg, który zabierze nas daleko stąd. Dziś na Ursynowie ludzie skarżą się na dobiegające zapachy smoły z torów postojowych metra, chociaż dzieli ich od nich kilkaset metrów. Niechby musieli modlić się albo spowiadać w takim kościele! Przypominał piekło i kotły, w którym mieszały ogoniaste diabły.

Tak więc już jest, że jak uczono mnie na studiach ekonomicznych, gorsze pieniądze wypierają lepsze, ryzykowne papiery bezpieczne lokaty. Imitacje wypierają pierwowzory, nawet gdy myślimy o smakach czy zapachach.

Kiedy rzuciłam palenie, po dwóch latach nagle pewnego poranka poczułam moc zapomnianych zapachów. Oszołomiły mnie. W sąsiednim bloku ktoś przypalił mleko, pachniała na trawniku świeżo skoszona trawa, ktoś wyrzucił do śmietnika jakieś nadgniłe kwiaty róż.

Jednak nie było tak słodko. Wszystkie zapachy sztuczne były zbyt mocne. Płyn do mycia podłóg o zapachu leśnym (czy leśny udający), kisielek poziomkowy z proszku lub herbata poziomkowa aromatyzowana, płyn do płukania o zapachu lawendy skutecznie obrzydziły mi naturalne aromaty, które miały imitować.

To podobnie jak z muzyką – kiedy słucha się muzyki poważnej, przejmuje się nią, kiedy największą głośność rozdzierającą twoje uszy, mózg i emocje prezentuje aria z opery Verdiego, wówczas rąbanka dobiegająca z głośnika samochodu stojącego pod blokiem, mimo, że stosunkowo niewielkie jest natężenie jej dźwięku – może przyprawić o irytację, a nawet wściekłość!

Tak reaguję czasem na niektóre zapachy dezodorantów (im droższe tym gorsze), detergentów (bez wyjątków). Aromaty te odbieram jak nawet już nie imitację, a karykaturę zapachów.

Wracając do wspomnianej na początku aktorki. Czy zapach czystego i wyświeżonego domu jest naprawdę miłym zapachem? Zapach woskowanych parkietów mnie osobiście zawsze kojarzył się ze świętami, a właściwie z przygotowaniami do nich. Mama była zmęczona, wściekła, dzieciom się obrywało za byle co. Najmniejsza plamka od wody na parkiecie i trzeba na nowo pastować i froterować. Godzinami jeździło się na tzw. suknach, czyli kawałkach filcu i tylko na środku można było się trochę rozpędzić. Froterowanie reszty pokoju była najnudniejszym zajęciem dla dzieci. Czy wypucowany dom, pachnący czystością, nie jest w jakiś sposób sztuczny i nieprawdziwy? Chyba, że zajmują się nim opłacane osoby. Ale czystość dla sprzątającej Ukrainki także inaczej pachnie niż dla właścicielki sprzątanego mieszkania.

52. Roje zdarzeń (1)

Krążyłam wokół rzeczy, które nakierowały mnie na ścieżkę dociekań ezoterycznych. Niektóre odcinki mojego blogu były takim przeczekaniem — pisaniem o wszystkim i niczym. Nie mam już przed sobą żadnych wymówek.

Czas napisać o tym, jak ze skrajnej sceptyczki religijnej, totalnej niewiary w sprawy paranormalne, żartów z wróżek, Cyganek i kpin z naiwności ludzkiej przeszłam do całkowitej zmiany podejście do tych spraw.

Sięgnę najdalej jak mogę – do czasów, gdy zaczął się ów proces, gdy był na tyle silny, że zwrócił moją uwagę. A właściwie gdy wybuchnął. Przydarzyło mi się to dwukrotnie. Nie wiedziałam wówczas nic o swoim horoskopie, astrologii, tarocie. Jeszcze nie pisałam opowiadań SF. Byłam typową gospodynią domową, perfekcjonistką, spędzającą czas między pracą, domem, dziećmi i wymagającym mężem. Musiałam przerwać studia polonistyczne i iść do pracy, ale nie traciłam nadziei, że uda mi się je podjąć na nowo. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że (jak dziś sądzę) w przebiegu naszego życia powstają w czasie i w danym miejscu coś w rodzaju „węzłów”, gdzie rozmaite rzeczy się łączą ze sobą, gdzie wydarzenia tłoczą się z szybkością, która nie pozwala ich śledzić ani na nie wpływać, wątki mieszają się lub przeciwnie, dzielą na wyraźne strumienie. Potem chwila taka mija i nic się nie dzieje

miesiącami czy latami. O tym, że węzeł taki zaistniał, dowiadujemy się znacznie później. Kiedy się powtórzy – przestaje być pechem, a staje się zagadką. Tak było chyba i tym razem.

Nazwałam to „rojem zdarzeń" i dobudowałam do tego całą teorię, którą wykorzystałam w opowiadaniu „Plama na wodzie", a potem splagiatowałam do pracy magisterskiej.

Przeżyłam dwa takie potężne roje i jeden mniej gęsty. Data pierwszego jest nie do ustalenia, data drugiego wypada na początku lipca 1974 roku.

Byłam wtedy inspektorem do spraw ubezpieczeń, pracownikiem działu przewozów zarządu spółdzielni transportowej. Pewnego dnia jadąc do pracy autobusem uczestniczyłam w wypadku. Nic mi się nie stało, ale przyjechałam roztrzęsiona do pracy i nie bardzo mogłam się skupić nad obowiązkami. Wtedy do mojego działu zgłosił się kierowca żuka z oddziału terenowego z korespondencją dla mojego szefa. Wraz z listami dostarczył przesyłkę części zamiennych do regeneracji w warsztacie, znajdującym się na naszym terenie. Miał jeszcze zawieźć silnik ciężarówki do remontu głównego, (który wykonywały wówczas tylko wybrane warsztaty, a w kolejce oczekiwało się nawet i rok), gdzieś na Pragę i nie wiedział, jak tam trafić. W ogóle twierdził, że nie zna Warszawy, że jeździ tylko ciężarówką na trasie stacja kolejowa – magazyny i że tak się złożyło, iż kogoś musiał zastąpić. W tamtych czasach mnóstwo było takich kierowców, zwłaszcza w mojej firmie; ich praca to kilkanaście lub kilkadziesiąt kursów na trasie długości czasem zaledwie mniej niż kilometr. Ponieważ miałam zawieźć jakieś materiały do dyrekcji kolei, mieszczącej się przy „pomniku śpiących", szef polecił mi poprowadzić tego kierowcę.

W szoferce już ktoś siedział, więc usiadłam z tyłu, na ławeczce położonej wzdłuż skrzyni samochodu. Wjeżdżając na Rondo Starzyńskiego mój kierowca wymusił pierwszeństwo przejazdu i zderzył się z jakimś, będącym już w ruchu pojazdem. Nikomu nic się nie stało, jednak największe niebezpieczeństwo groziło mnie. Dla utrzymania równowagi na wąskiej ławeczce, przy skrętach w bok, gdy nie było czego się trzymać, wyciągałam nogi daleko do przodu i zapierałam się nimi o podłogę. Wskutek siły zderzenia zsunęłam się z ławeczki i moje nogi znalazły się w poprzek toru toczącego się silnika, który wskutek impetu ruchu wyłamał tylne drzwi samochodu i wytoczył się na jezdnię, uderzając w inny, nadjeżdżający samochód. Do dziś nie wiem, jak w tej pozycji i w czasie działania tych sił, rzucających samochodem we wszystkie strony, udało mi się uchronić przed zmiażdżeniem przez toczący się silnik. W każdym razie nic mi się nie stało.

Wysiadłam z samochodu zostawiając resztę spraw kierowcom i policji i postanowiłam, dla uspokojenia się, do rzeczonej dyrekcji przejść piechotą. Szłam jakiś czas między osiedlowymi blokami, gdy zobaczyłam mały sklepik spożywczy i poczułam, że bardzo mi się chce pić. Postanowiłam wejść tam i coś kupić. Stałam przed regałem z towarami, wpatrując się w napoje znajdujące się na półce, gdy cały regał nagle runął na mnie. I w tym wypadku nie rozumiem, jak mi się udało uskoczyć tak, że nic mi się nie stało. To były czasy, gdy napoje sprzedawano wyłącznie w szklanych opakowaniach; butelki i słoiki były ciężkie i spadając rozbijały się; nie tylko, że przewracający się regał z ciężarem mógł kogoś zabić, ale też można było nieźle się pokaleczyć. Jednak miałam szczęście. Nie zostałam nawet draśnięta. Nie kupiłam jednak nic i wyszłam ze sklepu.

Ale COŚ albo KTOŚ mnie tropiło nadal. Na schodkach zawadziłam nogą o jakiś porzucony metalowy przedmiot, prawdopodobnie służący personelowi sklepu do blokowania otwartych drzwi i wyciągnęłam się jak długa rozbijając kolano i nos. Kolano zawinęłam kupionym w pobliskiej aptece

bandażem, do nosa przyłożyłam chustkę, a gdy krwotok ustał ruszyłam dalej. Zawiozłam dokumenty, po czym wsiadłam w autobus i wróciłam do pracy.

Opowiadając szefowi o moich przeżyciach, niechcący wywróciłam czajnik z gorącą wodą, na szczęście uskakując w czas przed wrzątkiem. Miałam wtedy bardzo dobry refleks, pamiętam, że kiedyś, w pociągu, schwyciłam w locie spadającą mi na głowę paczkę, co napawało dużym podziwem współpasażerów. Prawdopodobnie ten refleks ratował mnie tego dnia.

Po tym wszystkim mój szef kazał mi wracać do domu i położyć się do łóżka, bowiem, jego zdaniem, tylko tam nie spotka mnie nic złego. Przyjechałam więc do domu, rozłożyłam wersalkę, założyłam koszulę nocną, rozpięłam ciężki kok rozpuszczając długie włosy i postanowiłam się przespać, zanim dzieci wrócą ze szkoły. Uświadomiłam sobie wtedy, że nie udało mi się od rana niczego napić i poczułam, jak bardzo jestem spragniona, poszłam więc do kuchni zrobić sobie herbatę. Dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, że kolejność czynności, jakie podjęłam, uratowała mi życie.

Najpierw odkręciłam wodę nad zlewozmywakiem, żeby umyć brudną szklankę. Potem nalałam wody do czajnika, żeby postawić go na gaz. Jednak wody nie zakręciłam, bo w zlewie stało jeszcze coś, co postanowiłam przy okazji zmyć w oczekiwaniu na zagotowanie wody. Jednak nie było tego dużo, co także miało później swoje znaczenie.

W każdym razie woda lała się z kranu, a w zlewie było jeszcze dużo miejsca, gdy odkręciłam gaz i zapaliłam zapalniczkę. Prawdopodobnie pstryknęłam nią raz lub dwa razy, a ciśnienie gazu było większe niż normalne, bo płomień buchnął gwałtownie w górę, zapalając moje, przerzucone do przodu przez ramię, długie włosy. Uratowało mnie to, że błyskawicznie wsadziłam głowę do zlewozmywaka pod lejącą się wodę i w ten sposób ugasiłam płomień. Tego dnia bałam się już czegokolwiek robić, ale rano, przed pracą, musiałam zejść do fryzjera, na szczęście mieszczącego się na parterze w moim bloku i ściąć włosy tak krótko, *na zapałkę*, jak nigdy jeszcze ich nie ścinałam. Ale mimo to, jedna połowa głowy była prawie łysa.

Zostawiając kuchnię, herbatę i spalone włosy, powędrowałam do łóżka. Leżąc w półśnie, za oknem widziałam, nie wiadomo czemu obniżający się helikopter, nadlatujący nad parking przed moim blokiem. Wtedy właśnie powstał pomysł „Plamy na wodzie", wraz z rozbiciem się helikoptera kończącym życie ukochanego pechowej bohaterki opowiadania, za które otrzymałam pierwszą nagrodę i które wrzuciło mnie ze świata gospodyń domowych z powrotem (po przerwaniu studiów) w świat pisarzy, a zwłaszcza pisarzy leworęcznych. (To odrębna historia, mam nadzieję, że nie zapomnę o niej napisać). Kiedy napatoczyła mi się potem gazeta z ogłoszeniem o konkursie literackim na opowiadanie SF miałam już gotowy plan przerażającej historii.

Z jednej więc strony ów rój zdarzeń stanowił zagrożenie dla mojego zdrowia, a być może i życia, z drugiej zaś strony wytrącił z torów gospodyni domowej i przekierował na tory literackie.

Który to mógł być rok? 1973? 1974? W każdym razie przed drugim rojem zdarzeń. Niestety, dokładna data jest nie do określenia. Nie pamiętam nawet pory roku, wiem tylko, że nie było śniegu i raczej była wiosna lub jesień, bo chodziłam w kurtce i półbutach. Uran przez parę lat tkwił w tym czasie w jednym miejscu, nie tworząc szczególnie znamiennych aspektów w moim horoskopie.

53. Roje zdarzeń (2)

Wspomniane już opowiadanie „Plama na wodzie” powstało na kanwie zdarzeń autentycznych, a właściwie dwóch niezależnych ciągów takich zdarzeń, co sprowokowało mnie do wymyślenia literackiej teorii „roju zdarzeń” W poprzednim odcinku napisałam o pierwszym „roju”.

Po odchowaniu dzieci postanowiłam wznowić studia i w tym celu przygotowywałam się do egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu na nowo otwarty wtedy kierunek ubezpieczeniowy, jedyny wówczas w Polsce. Otrzymałam wezwanie na egzamin pisemny, który miał odbyć się w trzy kolejne dni po sobie, w godzinach o 8-ej rano i ustny, na który należało się wcześniej zapisać. Z pieczątki na moim świadectwie dojrzałości wynika, że był to rok 1974, a egzaminy na wyższe uczelnie odbywały się wówczas w początku lipca, zazwyczaj od 2-go. Jednak nie jestem do końca pewna – gdzieś zapisałam datę marcową i możliwe, że ona jest prawidłowa. Pamiętam, że było wtedy słonecznie i to wszystko.

Ponieważ pociąg z Warszawy do Radomia przyjeżdżał po godzinie 8-ej rano, mąż zdecydował się zawieźć mnie tam samochodem, naszą syrenką. Wyjechaliśmy rano ze znacznym zapasem czasu, jednak po drodze samochód się zepsuł i zanim udało się nam ruszyć, dotrzymanie terminu zgłoszenia na egzamin stało się niemożliwe. Na szczęście jednak, gdy już miałam odejść, nie wpuszczona na salę przez „bramkarzy” pojawił się któryś z pracowników naukowych uczelni i wysłuchawszy historii moich kłopotów powiedział mi, o czym wcześniej nie wiedziałam, że egzamin odbywa się w dwóch turach, z których następna zaczyna się o trzeciej po południu, i że może mi załatwić przeniesienie na turę popołudniową.

Mieliśmy czas do trzeciej, więc postanowiliśmy przejechać się do lasu i tam poczekać. Postawiliśmy samochód na skraju szosy i poszliśmy przejść się. Była piękna pogoda, cieplutko, a my byliśmy zmęczeni i z powodu rannego wyjazdu oraz mojej nocnej nauki niewyspani, więc w trakcie spaceru przysiedliśmy na jakiejś polance i zdrzemnęliśmy się. Kiedy obudziliśmy się było już wpół do trzeciej, więc należało zaraz wracać.

Kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie pozostawiliśmy nasz samochód okazało się, że ktoś zepchnął go do głębokiego rowu. Syrence nic się nie stało, stała na zaciągniętym hamulcu ręcznym, więc spychający musieli mocno się namęczyć i musiało ich być kilku, niemniej jednak wyjechanie z tego rowu albo wypchnięcie samochodu przez nas samych nie było możliwe.

Próbowaliśmy zatrzymywać przejeżdżające ciężarówki, ale kierowcy albo nie mieli czasu lub linki holowniczej, lub po prostu nie chciało im się zatrzymać. Wreszcie zatrzymał się samochód osobowy obiecujący podwieźć nas do miasta, gdzie mąż miał szukać pomocy drogowej. Nie były to czasy takie jak dziś, że wystarczy zadzwonić z telefonu komórkowego i pomoc drogowa zgłasza się na wyścigi, a czasem nawet czeka na ewentualnych klientów w kolizyjnych miejscach. Nie było nawet pewne, czy mężowi uda się coś tego dnia załatwić. Właściciel samochodu obiecał mnie odwieźć prosto na egzamin, z mężem zaś umówiłam się, że jeśli uda mu się wyciągnąć samochód przed końcem egzaminu, to będzie na mnie czekać pod salą egzaminacyjną, jeśli zaś nie, to przenocuję u rodziny, mieszkającej jedną lub dwie stacje dalej, w Sarżysku – Kamiennej.

Niestety, wskutek tych zawirowań spóźniłam się znowu na rozpoczęcie egzaminu o 15 minut. Tym razem nowi „bramkarze" byli na luzie i wyglądało, że nie przejmowaliby się moim spóźnieniem, gdyby nie to, że nie mieli mnie na popołudniowej liście egzaminacyjnej. Niestety, nie znałam nazwiska owego pracownika naukowego, który obiecał przepisać mnie z terminu porannego na popołudniowy i czego nie zrobił. Szukając tego człowieka trafiłam na panią docent, która sprawę załatwiła, kazała mi się jednak zadeklarować, że następnego dnia przyjdę na 8-mą rano, tym razem punktualnie. Obiecałam jej to solennie i weszłam na salę. Mimo wszystkich tych przeszkód byłam przekonana, że egzamin (z matematyki) poszedł mi bardzo dobrze.

W optymistycznym nastroju wsiadłam w pociąg i pojechałam do Skarżyska do krewnych męża. Sprawdziłam na dworcu, że w tym kierunku mam rano zupełnie dobre połączenie i powędrowałam na osiedle, na którym mieszkali.

Jednak to COŚ (czy KTOŚ), co stawiało mi nieustannie na mojej drodze przeszkody, wcale nie spasowało. Gospodarzy nie zastałam w domu. Początkowo nie wyglądało to poważnie, ot, po prostu gdzieś sobie wyszli. Była to rodzina z dwojgiem dzieci, oboje pracowali jako nauczyciele, raczej nie wyglądało na to, że będą gdzieś wieczorem w środku tygodnia długo przebywać poza domem. Usiadłam więc przed domem na ławeczce, choć było już ciemno i postanowiłam czekać. Było dość zimno – ale na szczęście nikt mnie nie zaczepiał. Koło 12-ej w nocy nabrałam pewności, że już nie wrócą do domu (potem okazało się, że pojechali do rodziny na wesele). Do stacji było daleko, skończyły mi się papierosy, ale bałam się po nocy chodzić w obcym mieście po ulicach. Kucnęłam więc w zakolu muru śmietnika, gdzie znajdowała się ławeczka i próbowałam drzemać. Co jakiś czas wstawałam, żeby rozprostować kości i znowu siadałam i drzemałam. Tak doczekałam poranka. Rano wsiadłam w pociąg do Radomia. Pociąg powinien przyjechać zgodnie z rozkładem parę minut po siódmej, miałabym więc jeszcze trochę czasu, żeby na dworcu się umyć i coś zjeść. Niestety, nie przyjechał. Zatrzymał się po drodze i już więcej nie ruszył. Dopiero w trzy czy cztery godziny później kolej podstawiła autobus, który zawiózł nas do Radomia. Poszłam od razu na uczelnię, a było już koło południa, usiadłam na krześle i drzemiąc przeczekałam do trzeciej.

Oczywiście o trzeciej problem się powtórzył, to znaczy nie byłam umieszczona na liście popołudniowej. Zanim odszukano panią docent, która zresztą była pewna, że tego dnia kazała mi przyjść normalnie, rano, a której ja udowadniałam, że zrozumiałam inaczej (co będę jej opowiadała o prześladującym mnie pechu!). Wreszcie niezadowolona i zapewne żałująca swojej decyzji machnęła ręką i kazała mi wejść na egzamin. Jednak trwał on już od godziny, więc czas przeznaczony na odpowiedź uległ skróceniu o jedną trzecią. Przy egzaminie z matematyki nie miało to żadnego znaczenia, wyszłam z sali już po godzinie odpowiedziawszy na wszystkie pytania i rozwiązawszy zadania, jednak przy historii połączonej z geografią nie poszło mi tak prosto. Prawdę mówiąc miałam ogromne trudności. Były dwa tematy z historii Polski i jeden z geografii, które należało przedstawić opisowo. Jeden z tematów z historii był tym, na którym zawsze się zacinałam, nawet w szkole, później zresztą na polonistyce także. Dotyczył dwudziestolecia międzywojennego, a właściwie partii politycznych w tym okresie działających. Polityka mnie nigdy nie obchodziła, nie odróżniałam socjalistów od komunistów, lewicy od prawicy, a już ruch chłopski był dla mnie mgławicą. Wszystkie te partie żądały bardzo podobnych rzeczy jak 8-godzinny dzień pracy, obchody święta 1 maja, wolność słowa, myśli i czegoś tam jeszcze i w dodatku miały jakiś beznadziejnie skomplikowane nazwy, jak np. PPS Frakcja Rewolucyjna, które nic nie mówiły o ich ideologii. Niektóre miały bojówki, inne nie. Temat opanowywałam wyłącznie pamięciowo, więc prawdopodobnie nie wstawiłam tego 8-

godzinnego dnia pracy, święta 1 maja i rozmaitych wolności tam gdzie trzeba, możliwe, że pokręciłam coś z bojówkami, w każdym razie dowiedziałam się później, że nie zaliczono mi tej odpowiedzi. Za drugie pytanie z historii, o średniowieczu, otrzymałam maksymalną liczbę punktów, bo był to mój konik. Za to jednak zacięłam się na geografii. Temat brzmiał: „browary w Polsce". Cóż ja wtedy wiedziałam o browarach, nic. Nie piłam w ogóle piwa, w domu rodzinnym ani w naszym się go nie kupowało, nie stało tak jak teraz w sklepach, żeby można było sobie pooglądać butelki, nikt go nie reklamował w telewizji. Skąd na Boga miałam wiedzieć, gdzie w Polsce są browary? Geografii nigdy się nie uczyłam, ale miałam niezłą orientację w tym przedmiocie pochodzącą z lektur, sądziłam więc, że zdanie tej części egzaminu nie będzie zbyt trudne. Wiedziałam o jednym browarze, w Sierpcu, bo mąż tam pracował budując ujęcie wody dla tego browaru, ale nigdy go nie zwiedzałam ani nie oglądałam. Wymieniłam więc Sierpc i zabrakło mi już czasu na dalsze spekulacje czy ewentualne podpytanie współzdających. Zmęczona, niewyspana i z gorączką, która pojawiała się zawsze u mnie w czasie stresów, nie myślałam odpowiednio szybko i przytomnie. Czas przeznaczony na egzamin minął.

Wróciłam do domu bez żadnych przeszkód, pociąg nie spóźnił się nawet minuty.

Trzeciego dnia, na egzaminie z języka rosyjskiego, też pojawiły się jakieś przeszkody, ale dokładnie ich nie pamiętam. Zresztą nie były już ważne, bo mój los zadecydował się wcześniej.

Po dwóch tygodniach dostałam wezwanie na egzamin ustny. Godzina rozpoczęcia była lepsza, przyjechałam pociągiem bez żadnych problemów, ale jako osoba z nazwiskiem na „U" byłam na końcu listy zdających i wreszcie, gdy zmęczona i zdenerwowana weszłam do sali, trafiłam na równie zmęczonych i zdenerwowanych egzaminatorów, a wśród nich na panią docent, która od razu mnie poznała. Widać niezbyt życzliwie mnie zapamiętała, bo od razu, zanim padło jakiekolwiek pytanie i zanim zdążyłam wyciągnąć jakąkolwiek kartkę, wygłosiła mowę na temat tego, jaką to ogromną dozę tupetu okazałam (ja i tupet!) nie mając pojęcia o geografii i historii, a przystępując do egzaminu na wyższą uczelnię. Stwierdziła, że nie zostałabym dopuszczona w ogóle do egzaminu ustnego, gdyby nie nalegania kolegi matematyka, który z faktu, że dostałam maksymalną liczbę punktów, wyciągnął wniosek, że zasługuję na pewną szansę. Ona jednak uważa to za bzdurę, bo albo się coś umie, albo nie umie, a wtedy w ciągu 2 tygodni nie da się niczego nauczyć. Nie dając mi w ogóle dojść do głosu, zawołała retorycznie: „Czy pani uważa, że ekonomista może pracować i działać nie znając historii?"

Miałam już dość, jej, tego egzaminu i mojego pecha. Wypięłam więc dumnie pierś i odrzekłam: „Właśnie dlatego tak w Polsce jest, jak jest, że ekonomiści znają historię, ale nie umieją liczyć!" Na to ona zupełnie spokojnie: „W takim razie nie mamy o czym rozmawiać, proszę wyjść". Mnie pozostało tylko trzaśnięcie drzwiami.

I komu historia przyznała rację?

54. Kobieta z rowerem

Wysiadłam z windy w metrze i pospiesznie szłam wąskim przejściem w kierunku peronów. Z daleka słyszałam szum nadjeżdżającego pociągu. W tym korytarzyku minęłam się z ubogo ubraną staruszką prowadzącą rower. Kobieta ta przepuszczając mnie powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

— Nie zabieram pasażerów.

Westchnęłam w duchu na myśl o tym jak smutna może być starość, gdy człowieka opuszcza rozum i poszłam dalej.

Kiedy weszłam na peron okazało się, że pociąg właśnie przyjechał, ale drzwi się nie otworzyły i pociąg odjechał. Wówczas zrozumiałam kobietę. Mówiła po prostu:

— Nie zabiera pasażerów.

Dlaczego łatwiej mi było uwierzyć w to, że staruszka miała nierówno pod sufitem niż w to, że zupełnie bezinteresownie próbuje powstrzymać mnie przed niepotrzebnym pośpiechem?

Poczułam się głęboko zawstydzona.

Tak często stykam się ze stereotypowym myśleniem (także o mnie), że powinnam być wolna od tej przywary. Słucham rozmów dookoła siebie i zżymam się:

— Każda kobieta powinna mieć syna...

— Każda kobieta powinna dbać o siebie...

— Każdy mężczyzna powinien zarabiać na utrzymanie żony a jej pensja powinna być na drobne wydatki...

— Dziecko powinno się słuchać dorosłych...

— Przy dzieciach nie należy omawiać spraw dorosłych...

itp.

Dawno temu w liceum mój nauczyciel polskiego w dzień nauczyciela zamiast normalnej lekcji czytał nam zabawne fragmenty uczniowskich wypracowań. Między nimi przeczytał fragment czyjejś pracy: „Pod szatą Dejaniry Słowacki ukrywa nierówność społeczną. Autor nawołuje do zerwania tej szaty...” Cóż, to były czasy „ciężkiej doli chłopa pańszczyźnianego” i tym podobnych wyrażeń. Wszyscy śmialiśmy się. Nieco później uświadomiłam sobie jaką siłę mają stereotypy, kiedy sama coś takiego napisałam w swoim wypracowaniu i dopiero na „nierówność społeczną” otworzyła mi się jakaś klapka w mózgu.

Kiedy w latach sześćdziesiątych mieszkałam w Gdańsku, dojeżdżając pociągiem do tego miasta widziałam z daleka stojący w szczerym polu budynek szpitala psychiatrycznego, bodajże w Drewnicy.

Kiedyś przed 22 lipca wywieszono na nim wielki transparent: „Naszą drogą droga do socjalizmu”. Dopiero po kilku dniach ktoś to zauważył i zdjął napis.

Rozumiem, że stereotypami myśli się łatwiej. Nie trzeba w ogóle się zastanawiać, same cisną się na usta. I niosą zadowolenie, że zdiagnozowało się jakąś sytuację. Określiłam ją — więc sprostałam swojemu zadaniu. Jakiej jakości uzyskałam wynik – to już nikogo nie obchodzi. Zwłaszcza rano myśli się stereotypami.

Opowiada mi moja koleżanka taką historię: Jej ciotka ma syna, który jest specjalistą w określonej dziedzinie. Akurat tak się zdarzyło, że koleżanka pilnie potrzebowała informacji z tej właśnie dziedziny, a był wieczór i trudno było szukać obcych autorytetów. Zadzwoniła więc do ciotki prosząc o telefon do jej syna. Zanim zdążyła wyłuszczyć jej przyczyny swojej prośby, ta wygłosiła (zapewne już z góry przygotowane) przemówienie. Sens tego przemówienia był taki że: po pierwsze: syn faktycznie złożył firmę, ale po drugie: nie jest jej właścicielem, a więc po trzecie: nie jest w stanie załatwić nikomu pracy. Moja koleżanka jest osobą nieśmiałą i grzeczną, więc kiedy jej próby wytłumaczenia ciotce, że nie o pracę tu chodzi, nie przebiły się przez jej tyradę, nie chcąc przelewać wzbierającej w niej wściekłości na inną osobę, po prostu odłożyła słuchawkę. Następnego dnia ciotka zadzwoniła do jej matki pogłębiając to tłumaczenie: że syn nie może nikomu załatwić żadnej pracy bo jest po prostu słupem, a nie właścicielem itp. itd. Gotowa była więc dokonać wyznania niezbyt dobrze świadczącego o synu (i niezbyt bezpiecznego w świetle ostatnich ustaleń w sprawie tzw. służb) po to by chronić swoje dziecko przed natrętami... albo siebie przed niestereotypowym myśleniem.

Czas przedświąteczny to pełne stereotypów zamieszanie. Te wszystkie obrzydliwe pseudo-choinki, te zakupy z obłędem w oczach, te „szlachetne paczki” wywołujące wyrzuty sumienia w ludziach, którzy nie mają możliwości przygotowywania i wożenia zakupów (np. nie mają samochodów) i wolą darowizny przelewać na konto, a nie posługiwać się SMS-ami których zarobek to połowa darowizny na szlachetny cel — wszystko to obliczone jest na stereotypową dobroczynność i stereotypowe pozbycie się stereotypowych wyrzutów sumienia. Nikt nie oczekuje od nikogo własnej inicjatywy, a jedynie podporządkowania się wymyślonym przez kogoś formom i terminom udzielania pomocy.

Kilka dni temu w ośrodku o ogólnopolskiej sławie, w którym po rocznej kolejce uzyskałam dostęp do rehabilitacji na najwyższym poziomie — a miała ona trwać do końca roku — przeczytałam ogłoszenie, że kontrakt w NFZ się skończył i od 21 grudnia nie będzie już zabiegów. Tak więc decyzją czyjąśtam pozbawiono mnie pięciu dni zabiegów, które po kilku latach standardowej rehabilitacji w „normalnych” ośrodkach nie przynosiły nie tylko żadnych rezultatów, a wręcz przeciwnie, pogarszały dolegliwości. Do piątku miałam zaledwie cztery zabiegi, pełne bólu, potu i łez, wręcz tortur, ale poruszam się płynnie i boli mnie całkiem gdzie indziej. Więc coś się zmienia po raz pierwszy od lat – być może na lepsze. Po decyzji ośrodka zabraknie mi pięciu dni , które, możliwe, że pozwoliłyby mi pozbyć się kul i chodzić bez bólu i perspektywy wózka, jak normalni ludzie. Może dlatego ostatnio miewam sny, w których biegam jak za młodu.

Jednak są symptomy, że to wcale nie sprawa kontraktu z NFZ zaważyła. Pracownicy chcieli urlopów przed świętami, frekwencja jest niska, cóż prostszego niż ogłosić, że NFZ i jeden taki minister odszczepieniec jest winien. Ludzie zadowolą się stereotypem, 21-go ustawią się w kolejkę do lekarza specjalisty, a potem rehabilitanta, zostaną zapisani najwcześniej na wrzesień przyszłego roku i rehabilitacja znowu wypadnie im w grudniu. A przez ten czas przykurcze pogłębią się i nie będzie już

mowy o nadrobieniu zaległych zabiegów, a o konieczności nowych, startujących z gorszego poziomu wyjścia. Jednak stereotypy każą ludziom uwierzyć. No i podporządkować się.

Kiedy więc przeczytałam kartkę podczepioną pod „oficjalnym" komunikatem o zawieszeniu zabiegów o treści:

Z uwagi na zbliżający się koniec świata zabiegi po 21 grudnia nie mają najmniejszego sensu

toteż odstępujemy od wykonywania tychże i radzimy:

Lepiej myślcie o duchu niż o nędznym ciele, które i tak będzie was boleć do końca waszych dni

roześmiałam się i przeszła mi cała moja złość. Wszystkiego najlepszego żartownisiu! Niech się wściekają inni!

55. Roje zdarzeń (3)

W styczniu 1996 roku dopadł mnie trzeci rój

19 stycznia 1996 roku o godzinie 16,30 miałam wypadek, który zmienił moje życie. Nie byłam kierowcą i nie miałam żadnego wpływu na wydarzenie. Polegał on na tym, że z ulicy podporządkowanej wyjechał samochód uderzając z mojej prawej strony w fotel pasażera i wyrzucając mnie w powietrze (samochód, polonez truck, nie miał napinaczy przy pasach bezpieczeństwa) Jakiś czas przed tym miałam napady silnych lęków, także związanych z komunikacją (ale nie zawsze).

Pierwszy z nich nastąpił w październiku 1995 roku, ostatni przed Bożym Narodzeniem tegoż roku. Lęki dotyczyły wszystkiego, co działo się po mojej prawej stronie i wypadek także wiązał się z uderzeniem innego samochodu z prawej strony w drzwi po mojej stronie – pasażera. W tym czasie dwukrotnie przydarzyło mi się uczestnictwo w kolizji, raz tramwajowej, drugi raz autobusowej. Za każdym razem siedziałam (jak lubię) po prawej stronie i zderzenie następowało z innym pojazdem nadjeżdżającym z prawej strony. Były to kolizje, w których nie zostałam poszkodowana, ale zawsze miałam porządnego stracha, ponieważ uderzenie następowało niedaleko miejsca, gdzie siedziałam. Napadowych lęków jakoś jednak nie wiązałam z tymi wydarzeniami.

Prawie równo 12 lat wcześniej napisałam opowiadanie, którego motywem był wypadek leworęcznego kierowcy. (nie znam daty napisania, opowiadanie ukazało się drukiem 28 stycznia 1984 roku, ale wtedy dawałam do druku teksty na bieżąco, mogło więc być napisane nie wcześniej niż miesiąc). Opowiadanie dotyczyło leworęcznego kierowcy, który kierowany niejasnymi odruchami lub sugestiami pochodzącymi z jego poprzedniego wcielenia, chcąc uniknąć zagrożenia, dokonuje niewłaściwego manewru i skrętu, z powodu czego ponownie ginie w wypadku, podobnie jak jego poprzednie wcielenie (a).

Z grubsza scenariusz opowiadania i realnego wydarzenia zgadzał się, choć opis wypadku był tylko pretekstem do innej sprawy – bohater musiał trafić w zaświaty, narodzić się na nowo i w nieskończoność ponawiać scenariusz końca swojego życia, czego odbiciem w realnym, bieżącym życiu, była jego leworęczność.

Próbując badać aspekty wypadku, gdy zainteresowałam się astrologią, dostrzegłam jedynie to, że w dniu wypadku sześć planet wraz z Słońcem, Merkurym, Uranem, Neptunem, Księżycem, Jowiszem, znalazło się w Koziorożcu minąwszy moje imum coeli, w opozycji do urodzeniowego Jowisza, a w czołówce tego peletonu znalazł się Mars w Wodniku.

Dwanaście lat wcześniej, gdy ukazało się opowiadanie, układ był bardzo podobny, choć nieco bardziej rozproszony.

W tym zestawie wydarzeń było coś, co dało mi impuls do szukania sensu. Można było to zrobić jedynie tak, jak robi się z interpretacją snu. Rezonans między opowiadaniem a faktycznym wypadkiem dotyczył przede wszystkim opozycji prawa/lewa strona, a tym samym całkowite przekierowanie życia na inne tory.

W dyskusjach na forum astrologicznym zwracano mi uwagę, że strona prawa w naszej kulturze jest poprawna czy prawidłowa. Moja wewnętrzna niezgoda na wydarzenia, które odbywają się z prawej strony, to brak zaufania do autorytetów (kierowcy, kierowców mojego życia), konieczność polegania na sobie. Uszkodzenie serca w wypadku to odwzorowanie zawodu w związku. W ogóle odwzorowanie konfliktu męsko – damskiego, rozziewu między dawaniem, a przyjmowaniem. Padło także zdanie, że gdybym wcześniej rozbudowała to opowiadanie, nie pisała go tak intuicyjnie i w pośpiechu, tylko zastanowiła się głębiej nad jego przesłaniem, lub gdybym napisała kilka takich opowiadań, być może wypadek nie musiałby się wydarzyć, ponieważ problem zostałby rozpracowany.

Tchnie to wnioskami, których się obawiam. Nie szłam nigdy w swoich rozważaniach aż tak daleko. Nie wątpiłam, że wypadek zmienił moje życie, bo nie wróciłam już do pracy zawodowej i wyścigu szczurów. Pamiętam, w szpitalu uzdrowiskowym w Nałęczowie, po wypadku, mimo śniegu i lodowicy trzymającej aż do końca kwietnia, wdrapałam się z trudem na jakąś okoliczną górkę i weszłam do małego sklepiku z pamiątkami. Leżał tam plakat przedstawiający widoczek z wąwozem, skałami i typowym krajobrazem górskich lasów i wielkim białym napisem: „Jeśli chcesz poznać, co w tobie najgłębsze, umiej się zatrzymać". Odczułam to jako zadanie dla siebie na przyszłość – poznawanie siebie i tego co mnie otacza, szukanie prawdziwej drogi.

Po dwóch latach depresji i pogubienia powoli zaczęłam z powrotem odnajdować swoje kierunki, choć od tamtego czasu przestałam odczuwać smak życia. Ale to normalne: albo się życie smakuje, albo się poznaje przepisy na przygotowanie potraw.

W tych wydarzeniach jest jeszcze inne dno. Pamiętając, że w moim dzieciństwie leworęczność traktowano jako kalectwo, że usiłowano mnie jej oduczyć nawet bardzo radykalnymi metodami, co w pewnej mierze się udało (ale przyniosło więcej złego niż dobrego), świadoma, że dodatkowo życie codzienne jest pełne przeszkód stawianych leworęcznym (np. zwykłe noże piłki mając żłobienie po niewłaściwej stronie kroją palec zamiast potrawy; problem dotyczy też nożyczek, uchwytów żelazek i w ogóle wszelkiego rodzaju narzędzi) zwracam uwagę na niespodzianki, które moja leworęczność może mi przynieść. Czasem muszę siąść w innym miejscu stołu niż mi wskazują, bo obok szeroko rozsiadających się osób praworęcznych moje ubranie narażone jest na szwank, gdy zbyt gwałtownie poruszają łokciami.

Leworęczność ma także swoje dobre strony – kiedyś gdy namiętnie zajmowałam się robótkami ręcznymi nikt nie mógł odgadnąć, na czym polegała tajemnica niektórych moich ściegów – wyglądały jak ścieg w zamkniętym okręgu, a były używane w prostokącie. Oczka układały się w jedną stronę, co normalnym sposobem nie było osiągalne. Ja zaś przekładałam tylko druty lub szydełko z ręki do ręki.

Kiedyś, gdy zdobyłam nagrodę za opowiadanie „Plama na wodzie" zaproszono mnie na trzydniowy spęd miłośników SF w Dzierżoniowie. Posadzono mnie przy sześcioosobowym stole młodych pisarzy. Ze zdziwieniem zauważyłam, że wszyscy, bez wyjątku, byliśmy leworęczni.

To także daje do myślenia.

56. Wyścig szczurów, wścieklizna i wypadek (1)

W poprzednim odcinku opowiedziałam o trzecim i ostatnim „roju zdarzeń". Nie był on jednak tak klarowny i czytelny jak poprzedni i tylko niektóre jego elementy: (napady lęku, prawostronność/lewostronność) uwypukliłam. Całość układu była bardziej skomplikowana, wielostronna, choć z perspektywy czasu patrząc, nieuchronnie, tak czy inaczej, prowadziła do opisanego końca – wypadku.

Od 1 października 1995 roku zmieniłam pracę i przeszłam do nowej firmy ubezpieczeniowej, którą można by nazwać wzorem Johna Grishama i tytułu jego powieści „FIRMA". Myślałam bardzo długo, zanim na to się zdecydowałam, ale nie był to dobry pomysł. Firma była własnością jednego człowieka, Polaka posiadającego obywatelstwo niemieckie, człowieka bardzo inteligentnego i bystrego, ale mającego dwie wady: namiętność do ręcznego sterowania każdą duperelą oraz bezkrytyczne zapatrzenie w „to co na Zachodzie" (co zresztą w tamtych latach było powszechną przywarą). W związku z tym panował *zachodni* styl pracy, faktycznie jednak bardziej pańszczyźniany lub wczesnokapitalistyczny niż cokolwiek. W firmie pracowało się dopóty, dopóki nie udało się uciec, co czasami następowało grubo po północy. Właściciel rekompensował to sobie sypiając do popołudnia i pojawiając się w Firmie koło 14-ej, ale szarzy pracownicy musieli przychodzić rano.

Całe szczęście, że ja pracowałam w Warszawie, a nie w siedzibie Firmy, która mieściła się w innym mieście, kiedy jednak pojawiałam się tam średnio raz w miesiącu, 3 dni pobytu odchorowywałam czasem dłużej niż te 3 dni. Pracownicy mający małe dzieci, wyskakiwali na chwilę do przedszkoli lub szkół, a potem dzieci te spały po kątach na stertach druków i innych papierzysk. O 3-ciej w nocy rodzicom żal je było budzić, więc pracując zostawali do rana, pospiesznie myli je pod kranami w łazience, wycierali tonami jednorazowych ręczników, wypachniali służbowymi dezodorantami (jak Europa, to Europa!), dawali forsę na frytki i hajda do szkoły. To dotyczyło młodych pracowników.

Ale firma zatrudniała także, wręcz z upodobaniem, trochę kobiet w wieku koło pięćdziesiątki. Oczywiście one doceniały tę wspaniałą szansę, jaką zapewniono im, że zamiast zasiłku dla bezrobotnych pozwolono im pracować. Mężowie już bez pracy, albo szykujący się do opuszczenia zamykanych największych zakładów w tym mieście, fiksujący od nadmiaru stresów, byli dla tych pań potwierdzeniem ich „ostatniej szansy". Były to osoby dość wykształcone, z długoletnim stażem pracy w ubezpieczeniach, nauczone pracy „dopóki się nie zrobi", cóż, kiedy już i siły i zdrowie nie to, a zwłaszcza nie przyzwyczajone do dzikiej odmiany kapitalizmu, który wyssie z człowieka wszystkie siły, jeśli mu się na to pozwoli. I oto właśnie chodziło! Za gówniane pieniądze, pomiatane, doduszane do kresu sił, maskujące makijażem coraz większe zmęczenie... Tacy byli pracownicy tej Firmy.

Nie przez przypadek używam tutaj nazwy pisanej z dużych liter, Powieść Grishama "FIRMA", opowiadała o młodych prawnikach zatrudnianych w amerykańskim biurze konsultingowym, zresztą świetnie opłacanych (samochody, domy nabywane przez firmę), ale pozbawionych jakiejkolwiek samodzielności w czymkolwiek i wykorzystywanych do granic ich fizycznych możliwości. Pomysły amerykańskiego pisarza były o wiele mniej rewelacyjne niż możliwości polskich właścicieli (poza wyciskaniem wszystkich sił z pracowników nikt ich nie gnębił, nie poniżał, nie wyzywał od kurew i skurwysynów o trzeciej w nocy, nie kazał spowiadać się z najmniejszej nielojalnej myśli) no i tamta Firma płaciła tym ludziom więcej niż godziwie w przeciwieństwie do mojej.)

Tak więc do tego zespołu i ja dołączyłam. Zostałam dyrektorem nowo otwartego Oddziału w Warszawie. Obiecywano mi ogromną samodzielność, ale jak co do czego przyszło, to jedynie miałam wpływ na to jakiego koloru papier toaletowy zakupię, (jeżeli wcześniej właścicielowi nie przyszło do głowy kupować hurtowo papier w macierzystym mieście).

Zaczęło się to wszystko — pamiętam jak dziś — 1 października 1995 r. A było jak w amerykańskim horrorze wg schematu: *przyjeżdża rodzina do nowego domu...*

Do 31 września pracowałam w poprzedniej firmie, ta nowa wysłała pismo o służbowe przeniesienie, ta stara zgodziła się, rozliczyłam się ze wszystkiego, wzięłam papiery w rękę, odbyłam pożegnalne przyjęcie, pożegnalną rozmowę z „byłym" prezesem, który powiedział: *Życzę pani, pani Kasiu, żeby pani tej decyzji nie żałowała* (choć sam doskonale wiedział, że nie miałam innego wyjścia) i powiedział to w złą godzinę.

Następnego dnia wsiadłam rano do pociągu Intercity wyjeżdżającego o szóstej rano, dyskretna muzyczka z głośników, mój najlepszy kostium, kupiony na tę okazję, żeby wyglądać odpowiednio do nowego stanowiska, żorżeta ciemny turkus, biała bluzka, okrągłe kolczyki turkus w srebrze — ale dużo tego srebra, złoto jest *passe* — nie dziękuję, kawa bez cukru i śmietanki i jeszcze sok grapefruitowy poproszę — za oknem nudne krajobrazy, spogląda się na nie okiem myśliwego jadącego na polowanie w buszu, resztę można sobie dośpiewać — jak w filmie.

Pojechałam na dwa, trzy dni, a siedziałam dwa tygodnie. Siedziałam, bo uparłam się, że nie wyjadę, dopóki nie otrzymam umowy o pracę i pełnomocnictw. Coś trzeciego dnia zaczęłam zastanawiać się, czy oni naprawdę mają zamiar mi dać umowę o pracę i o co w ogóle w tej firmie chodzi. Wszyscy biegali szalenie zajęci, ale nic konkretnego nie robiono, wszyscy załatwiali jakieś sprawy, ciągle brakowało kogoś albo czegoś. Oczywiście zaplanowałam sobie, że w czasie pobytu zapoznam się z zarządzeniami, warunkami, taryfami i innymi papierami, bez których nie może działać firma ubezpieczeniowa. Tymczasem nie „mogli" mi ich dać, bo nie miałam umowy o pracę, a nie „mogłam" jej otrzymać, bo ciągle brakowało jakiejś referentki, która wprawdzie była fizycznie obecna, ale utraciła zaufanie właściciela firmy, który postanowił ją odsunąć od niektórych spraw, ale dlaczego tego nie robił przez parę dni, jest tylko jego tajemnicą. Zresztą mogło być całkiem inaczej, tylko przekazywano mi jakieś bajki wymyślone naprędce.

Tak gdzieś w połowie drugiego dnia zaczęła pracować moja wyobraźnia. Ponieważ całe to towarzystwo robiło na mnie wrażenie nieco dziwacznego, moja wyobraźnia podsunęła mi obrazy zaczerpnięte z amerykańskich kryminałów, także z wspomnianej „FIRMY", gdzie sytuacja jest prawie kropka w kropkę: młody prawnik przyjęty do nowej firmy odnosi identyczne wrażenia jak ja, a w kolejnym rozdziale zaczynają się różne zamachy na jego życie. Oczywiście były i różnice, w tym jedna najważniejsza, ów młody prawnik otrzymał dom należący do FIRMY, a ja tylko zamieszkałam w rezydencji właściciela, pełniącej jednocześnie rolę hotelu dla pracowników zamiejscowych i różnych gości.

Zaczęłam się zastanawiać, a czasu miałam dużo. Po dniu spędzonym w biurze odwożono mnie do rezydencji otoczonej wysokim murem, ze strażnikami, psami, fotokomórkami itp. gadżetami, a rano zabierano stamtąd. Nie bardzo wiedziałam, gdzie się to znajduję, teoretycznie oczywiście mogłam wyjść, ale w praktyce nie było to łatwe. Dom znajdował się na odludziu. Pogoda była paskudna, pokój miałam na piętrze, a już samo zejście na parter, gdy w pobliżu nie było nikogo z obsługi, było

ryzykowne. Po korytarzach tej rezydencji ganiał ogromny pies z upodobaniem rzucający się na obcych. Już pierwszego wieczoru, poproszono mnie do telefonu, który znajdował się w recepcji na parterze (to jeszcze było przed erą telefonów komórkowych, pierwszy widziałam u właściciela, był to wielki aparat z wysuwaną anteną, noszony za nim przez jego ochroniarza), a kiedy rozmawiałam, z tyłu cichcem podszedł ten pies i ugryzł mnie. Zdenerwowałam się strasznie, ale nawet nie bardzo miałam się z kim awanturować, ponieważ z obsługi widywałam jedynie jakąś tępą bełkoczącą babę, z którą trudno było się porozumieć. Na żądanie świadectwa szczepienia psa przyniosła mi jakiś świstek, będący kwitem zapłaty nieczytelnej sumy weterynarzowi, bez wyszczególnienia czego dotyczy i musiałam się tym zadowolić.

Później dowiedziałam się, że nie byłam jedyną pokąsaną, a w Firmie nawet krążył dowcip, że spotkanie z psem jest testem lojalności pracowników i dlatego nikt z obsługi nie broni gryzionych, tak musi być, żeby nie zapominali o tym gdzie są i kto nimi rządzi.

Mijał już trzeci dzień, a ja nadal nie wiedziałam co tu robię i po co jestem. Plątałam się cały dzień po Firmie i czasami aż mi się płakać chciało. Miałam ochotę rzucić wszystko i wracać, ale przecież zostałabym bez pracy, a w moim wieku pięćdziesięciu paru lat i w kryzysie nie tak łatwo o zatrudnienie, które by mi odpowiadało pod względem finansowym i zadowalało moje ambicje. Ponadto przed samą sobą nie chciałam uchodzić za tchórza i tak wszystko się we mnie kotłowało.

Teoretycznie byłam przygotowana na nowe czasy, pracowałam w innej firmie ubezpieczeniowej i nieźle mi się wiodło, dopóki pewnej nocy firmy nie sprzedano zagranicznemu kontrahentowi. W praktyce nie zakosztowałam jednak bezrobocia, upokorzeń, poczucia, że jestem śmieciem na rynku pracy, peerelowskim złogiem i tak dalej. To wszystko było jeszcze przede mną.

57. Wyścig szczurów, wścieklizna i wypadek (2)

Po dwóch tygodniach dostałam wszystkie papiery i pełnomocnictwa i wróciłam do Warszawy, ale cień tych strachów i rozterek we mnie pozostał. Pozornie całymi dniami byłam zajęta, w szafie wisiał elegancki kostium, na wypadek, gdyby trzeba było wieczorem iść na jakieś przyjęcie i często to się zdarzało, ale byłam tak wymęczona, że miałam całego świata dosyć. Na przyjęciach (w dodatku w najnudniejszym dla mnie światku sportowym, na imprezach typu „nagroda sportowca roku” — (to materiał na osobną opowieść o mechanizmach działania mediów) oczy mi się zamykały, a poznanie miss nastolatek 1995 pogrążyło mnie w jeszcze większej melancholii — tak bardzo pasowało do polskiej wersji FIRMY

W tym samym czasie mąż po powrocie z zagranicznego kontraktu pracował w kolejnej w ciągu roku firmie-krzak, pan dyrektor po trzech miesiącach bezrobocia, zestresowany, zarabiający grosze, więc nie było mowy, żeby wziąć to wszystko i rzucić w diabły, bo moja pensja stanowiła podstawę bytu, a i jego sytuacja była o wiele gorsza od mojej, bo w każdej chwili albo firma mogła paść, albo nie zapłacić pracownikom, albo ich wygonić. Moja robiła poważniejsze wrażenie przynajmniej. Musiałam więc pazurami i zębami trzymać się tego co mam i na pociechę powtarzać sobie, że gromadzę balast ciekawych przeżyć, choć nic w nich ciekawego nie było, poważna literatura amerykańska już takie konflikty przemieliła nie jeden raz, a „FIRMĘ” jako gatunek rozrywkowy napisano przede mną, *choć oczywiście ja bym to zrobiła lepiej, mniej sensacji, więcej drapieżności, starcia charakterów i nieuchronny w tle cień rewolucji...Do tego polskie realia ,tfu...*Czyli ślepa uliczka samooszukiwania się i samopodtrzymywania na duchu.

No, ale w mojej firmie za chwilę John Grisham, autor bestsellerowej FIRMY (wyd. polskie 1991 rok), z podwiniętym ogonem ustąpi pola Stephenowi Kingowi.

Stephen King ma coś z Hitchcocka — leniwe popołudnie, nic się nie dzieje, czytelnik jednak wie, że tam w nieoświetlonej chwilowo przestrzeni gromadzi się jakiś kłąb czerni, nic określonego, ale przez to bardziej groźnego, i zresztą nie zawsze do końca książki zostanie to coś zdefiniowane. Jedyne uproszczenie Kinga polega na założeniu, że to coś jest ZŁE, ale ja bym takich założeń nie robiła, skoro nie wiem, co to jest, skąd mogę wiedzieć że jest złe, zwłaszcza, że nie wiem czy to coś jest poza mną (jak u Kinga), czy może we mnie... Może to nie jest wcale złe, tylko my nie umiemy się z tym obchodzić?

Zostawiając na boku dygresje, zmuszona jestem skonkretyzować to, co mi się przydarzyło.

Siedziałam sobie spokojnie w autobusie dojeżdżającym do placu Bankowego w późny poranek listopada, chłodny, słoneczny i rześki; w autobusie wcale nie było duszno; ja nie byłam zestresowana, miałam przed sobą raczej spokojny dzień, kiedy nagle, ni stąd ni zowąd ogarnął mnie paniczny strach. Był tak silny i tak bezprzedmiotowy, że przerażenie z powodu tego nieoczekiwanego bezprzedmiotowego strachu nakręciło jeszcze spiralę. W mgnieniu oka zrobiłam się mokra od stóp do głów, potem, kiedy dojechałam do pracy, wszystko co miałam na sobie można było wyżymać.

Nie mogę powiedzieć, że przedtem ataki lęku nie zdarzały mi się. Owszem boję się mostów nad rzekami, zwłaszcza kiedy jadę pociągiem, lotu samolotami, wysokości, otrucia grzybami, ale są to dobrze mi znane, oswojone fobie, z którymi nauczyłam się dawać sobie radę, nigdy jednak nie zdarzyło mi się coś takiego. Kiedy ten atak minął, pomyślałam, że jestem na coś chora, może jakaś choroba mająca powiązanie z mózgiem...Pomyślałam o tym ugryzieniu przez psa, może tak zaczyna się wścieklizna...Wariacka panika bez powodu nakazująca psom gnać przed siebie...

Poszłam więc do lekarza pierwszego kontaktu dowiedzieć się, jak to jest ze wścieklizną, ile czasu wylęga się u człowieka, kiedy można mieć pewność, że się nie zachoruje. Przedtem oczywiście zadzwoniłam do znajomego mojego męża, lekarza domowego, ale ten tylko zbył mnie żartami, że ludzie po kilku latach od ugryzienia chorowali i że wtedy już nie wiadomo czy to od ugryzienia psa i tym podobne historyjki. Innymi słowy nie potraktował mnie poważnie. Dorwałam gdzieś Encyklopedię zdrowia i tam wyczytałam mądre zdanie na interesujący mnie temat: „***W zasadzie*** *wystąpienie objawów choroby następuje po* ***około*** *6 tygodniach od ukąszenia"* Wszystko byłoby dobrze, żeby nie to „***W zasadzie"*** i ***„około"***. Pies pogryzł mnie 3 października, więc w końcu listopada powinnam już być pewna, że po niebezpieczeństwie. Ale przecież mijało dopiero owe 6 tygodni...Teraz już kolejne napady lęku miały realniejsze podstawy, ale nadal było dla mnie tajemnicą, dlaczego występowały na przykład ni stąd ni zowąd, kiedy o sprawie nie myślałam, a nie było ich kiedy rozważałam wszelkie aspekty owych „***W zasadzie"*** i ***„około"***.

Dla przecięcia więc wszystkich swoich dylematów udałam się do zakładowej przychodni zdrowia. Tu bardzo dokładnie wyjaśniłam pani doktor swoje wątpliwości dotyczące terminu wystąpienia pierwszych objawów wścieklizny, ale pani doktór uznała to za problem wyłącznie dla psychiatry. Stwierdziła, że powinna pomóc terapia zdroworozsądkowa: Takiego bogatego biznesmena stać chyba do cholery na szczepienie swoich psów, niezależnie od tego czy mają zaświadczenia czy nie i w jakiej formie te zaświadczenia są wystawione. Ponadto gdyby ten pies był wściekły, to dawno by już zachorował, a biznesmen poszukiwał mnie wszelkimi sposobami celem zapobieżenia wypłacie

ogromnego odszkodowania w razie mojej śmierci wynikłej z powodu wścieklizny jego psa. Pracuję przecież w ubezpieczeniach, czyż nie? Skoro takie wytłumaczenie przekonuje mój rozsądek, ale nie zapobiega napadom lęku, jest świadectwem zawirowań mojej psychiki.

Wzięłam skierowanie do psychiatry, ale nadal nie byłam przekonana. Z miesiąc wcześniej zmienili mi lekarze zestaw leków na nadciśnienie, więc następnym moim pomysłem było to, że któryś z tych nowych leków po długotrwałym zażywaniu powoduje skutki uboczne w sferze psychiki. Miałam już do czynienia z czymś takim kilkanaście lat temu, kiedy po półrocznym braniu jednego leku na nadciśnienie popadłam w prawdziwą rozpacz i płakałam bez przerwy trzy dni, aż się okazało, że z powodu takich właśnie skutków ubocznych lek ten właśnie wycofywano z aptek. Po trzech dniach od zaprzestania stosowania go, wróciła mi radość życia. Myślałam więc, że może i tym razem tak będzie, ale nikt nie słyszał o podobnych skutkach ubocznych leków które brałam, więc ponieważ napady lęku powracały, szczególnie wówczas, gdy byłam odprężona i odpoczywałam, postanowiłam jednak pójść do psychiatry.

Zapisałam się do niego, ale po przejściu testów i rozmów z psychologiem po prostu uciekłam. W recepcji zażądano ode mnie dowodu osobistego, książeczka ubezpieczeniowa nie starczyła, paszport też nie. Zauważyłam, że spisywano numery dowodów osobistych pacjentów i gdzieś z nimi wychodzono. Nie byłam więc pewna czy nie znajdę się w jakimś „rejestrze", z którego trudno będzie potem się wypisać. Także nie byłam pewna czy przypadkiem nie znakuje się w jakiś sposób dowodów osobistych np. na użytek policji. Tak więc po prostu zwiałam.

Nie wiem jak to wszystko dalej by się potoczyło, czy starczyłoby mi siły, żeby samodzielnie walczyć z tymi napadami lęku, gdyby nie to, że mężowi zaproponowano pracę za granicą. Wyjazd miał nastąpić 1 stycznia, więc wszystko, przygotowania, zakupy i inne czynności wypełniły te parę dni, które dzieliły nas od świąt. W tym całym zamieszaniu napady lęku ustąpiły, jakby ich nigdy przedtem nie było.

Mąż wyjechał, a ja rozpoczęłam życie na własną rękę. Początkowo nawet byłam bardzo zadowolona, czułam się swobodniejsza, odpadło nużące gotowanie obiadów. W pracy miałam mikrofalówkę, więc odgrzewałam sobie jakieś gotowe kupione w sklepie obok danie, tak samo rano kupowałam jakiś twarożek i bułeczkę, wydatki moje zmalały ogromnie, wracałam z pracy późnym wieczorem, więc nie miałam żadnych potrzeb.

Czasami przyjeżdżał po mnie do pracy syn i w taki właśnie sposób znalazłam się w jego samochodzie 19 stycznia. Ulice były już puste, więc jechaliśmy bardzo szybko, Syn był po całonocnej i całodziennej jeździe, właśnie wracając z trasy zajechał po mnie, byliśmy więc oboje zmęczeni i spieszyło nam się do domu. W wypadku, który nastąpił, nie było żadnej jego winy, ale możliwe, że jego zmęczenie miało wpływ na czas reakcji. Trudno zresztą to później ocenić.

Z bocznej, podporządkowanej jezdni, spod znaku STOP, nie zatrzymując się ani nie zwalniając nawet, wyjechał samochód kierowany przez starszego, skądinąd sympatycznego pana, który właśnie odwiózł umierającą matkę, staruszkę do szpitala i był taki skołowany, że nie bardzo wiedział co robi.

Jego samochód uderzył całym pędem w boczne drzwi, tam, gdzie właśnie siedziałam. W wyniku uderzenia fotel zawinął się dookoła mnie, a potem oderwał się od podłoża i poszybował do przodu. Miałam zapięte pasy, więc one utrzymały mnie z tym fotelem na miejscu, ale były dość luźne, jeszcze

starego typu, bez napinaczy, więc dostałam jakby obuchem w piersi. Samochód odrzuciło z jezdni, przez chodnik na słup, a potem ścianę domu.

Był to jeden z tych wypadków, że kiedy ogląda się pogięty wrak, trudno uwierzyć, że tam jeszcze ktoś przeżył.

Przeżyłam ale byłam tak zaklinowana w tym żelastwie, że nie mogłam się wydostać. Kiedy ocknęłam się, zaczęłam się szarpać w środku, ale nie mogłam się wydostać przez to, że fotel zawinięty był wokół moich nóg. Czułam smród lejącej się benzyny, a ludzie na ulicy wrzeszczeli że benzyna się leje i dlatego nikt nie odważył się podejść i mnie wyciągnąć. Moja wyobraźnia już podsunęła mi wszystkie oglądane w filmach sceny z palącymi się ludźmi w samochodach i był to ostatni, napaskudniejszy atak paniki. Teraz wierzę że można ze strachu umrzeć.

W międzyczasie syn trochę oprzytomniał i wyciągnął mnie razem z resztką fotela z samochodu i wtedy poczułam taką ogromną ulgę. Pierwsza moja myśl była, że już nie muszę się bać, że to co miało się stać, już się stało i że przed tym ostrzegał mnie mój lęk. Przypomniałam sobie jak gdzieś ze trzydzieści lat temu wróżyła mi nawiedzona starucha żyjąca jak za dawnych lat na skraju wsi (z wdzięczności za to, że pozwoliłam jej brać zlewki z kolonijnej kuchni) i powiedziała mi, oprócz rzeczy które się sprawdziły w 100%, jak to że będę miała męża bruneta i bliźniaki oraz inne, że będę żyła spokojnie i długo z jednym wyjątkiem, w wieku średnim moje życie zawiśnie na włosku i jeśli się z tego wykaraskam, będę żyła długo i raczej bez większych kłopotów. Tak więc spełniła się ostatnia rzecz z jej wróżby.

Przypomniałam sobie, że dwa dni wcześniej jechaliśmy z synem i w międzyczasie znaleźliśmy się między dwoma wielkimi ciężarówkami i jedna z nich, ta od mojej strony, zaczęła zbaczać, zagrażając, że nas ściśnie. Popadłam w panikę, zaczęłam coś wrzeszczeć, ale syn po prostu zatrąbił i ciężarówka odbiła w prawo. Poprzedniego zaś dnia jechałam z pracy tramwajem i ciężarówka uderzyła w bok tramwaju, tuż przede mną w drzwi. Trochę było ludzi, którzy się poprzewracali, ale ja siedziałam, wprawdzie tuż za drzwiami, ale nic mi się nie stało.

No i czy to nie było tak, jakby ktoś na mnie polował? Po wypadku syn biegał wokoło i opowiadał, że mama tak się zawsze bała, gdy coś zbliżało się z jej prawej strony i to była prawda, bo jako leworęczna czuję się pewniej ze swojej lewej strony.

Żeby już skończyć to nieprzyjemne dla mnie opowiadanie, pogotowie zabrało mnie do szpitala, ale po prześwietleniach stwierdzili, że nic nie mam złamanego, zrobili mi EKG, ale było w porządku i pojechałam do domu. W domu położyłam się spać i obudziłam się w nocy z uczuciem, że zaraz umrę. Zrobiło mi się słabo, a zamiast oddechu rzęziłam i ślina ciekła mi z ust. Tak samo, jak moja mama, gdy umierała. Przyjechało drugi raz pogotowie i lekarz wysłuchał, że w worku osierdziowym znajduje się płyn, prawdopodobnie krew z uszkodzonego serca. Ale to już zupełnie nowa historia, szpitale, ksiądz wyciągający rękę po datek zamiast udzielenia wsparcia i myśli o umieraniu, depresja, wegetacja na 360-złotowej rencie i powolne dokonywanie zmian w swoim życiu, zawrócenie z dotychczasowej drogi.

Choć jestem pogodna i spokojna, żyję bez większych stresów i komplikacji, nie mogę się ustrzec od z głębi pochodzącego przekonania, że wszystko w każdej chwili może się odmienić na nieprzewidywalne.

To coś takiego, jakby coraz mocniej doduszając i okiełznawszy wreszcie rzeczywistość, sprowadziwszy ją na spokojne i uregulowane tory, szykować sobie nieprzewidywalną erupcję, niszczącą wszystko dookoła. Przeregulowane rzeki, gospodarka opanowana przez wielkie struktury, prawo regulujące zapalenie papierosa w określonym miejscu lub innych użycie innych specyfików, klimat psuty wypuszczaniem doń ogromnych ilości gazów — to wszystko może w jednej chwili odwinąć się i dać nam pięścią w nos — ludzkości i konkretnie mnie, żyjącej w przeregulowanej społecznie i osobiście rzeczywistości. I ciągle brniemy w złą stronę — czytam o projekcie zmiany prawa, penalizującym agresywne wypowiedzi.

Oczywiście nie wierzę w koniec świata, a właściwie w jego konkretny moment, jednak przy tej okazji warto nad tym dociskaniem rzeczywistości pomyśleć.

58. Czułość świata

Wszystko, co pisze się o dawaniu i otrzymywaniu jest w zasadzie słuszne. Tylko... Nie otrzymujemy więcej czułości od świata, choćbyśmy jeszcze bardziej na nią zasługiwali, jak wszyscy sądzimy i jak nieśmiało sobie powtarzam, gdy nocami nie mogę zasnąć.

Czułość świata jest niezasłużonym darem, dlatego też tyle zgorzkniałych ludzi, a zwłaszcza kobiet na starość. Młodość kaleczy nas samą swoją obecnością, starość zresztą też. Pytamy: czy zdążę nacieszyć się światem? Chyba już nie. Ale nie widzimy jednocześnie, co by miało nas do tego cieszenia się doprowadzić. Brakuje nam młodzieńczego zaufania i zadufania. Ciężary wypchanych siatek i godzin spędzonych w kolejkach sprzed lat odbijają się na naszych znękanych ciałach i widoczne są w obsesyjnie zapełnianych przedświątecznie lodówkach. **Święta Szynka**, której nie może zabraknąć na każdym świątecznym stole! Paradoks polega na tym, że rehabilitacja naszych ciał jest domeną Plutona i niesie Plutoniczny ból, znacznie gorszy niż zwykły, codzienny ból, a doznajemy go w przekonaniu (lub wierze), że w przyszłości (niezbyt odległej) zmartwychwstaniemy i będziemy biegać jak w naszych snach.

I ta rocznica 13-go grudnia, opiewana jako nieszczęście dla dzieci, nie mogących obejrzeć teleranka! Kogo obchodzi, co naprawdę czuły i przeżywały kobiety tamtych czasów! Komunistki (jeśli takie były), mocherowe babcie (to określenie współczesne), nieśmiałe i zahukane pre-feministki (do których ja się zaliczam). Może o tym jeszcze napiszę. Ale tamte czasy miały w sobie coś wspaniałego — po obu stronach barykady — tylu ludzi budziło się do refleksji! Tyle kobiet musiało łatać podziały w rodzinach i rozważać zagadnienia nienawiści, akceptacji, tolerancji. Obliczać stosunek miłości do złości naszej codziennej, której zamiast polityków bywały ofiarami rodziny zwykłych zjadaczy chleba. Na szczęście minęło (...Ach mój miły Augustynie, wszystko minie, wszystko minie...) i nasze Raki mogły powrócić na swoje miejsce do IC, i odnajdować się w codzienności, mimo, że już nic nie było takie jak przedtem.

Strach przed tęsknotą, która może (choć niekoniecznie) nadejść i powroty do nękających myśli o tym, czy była szansa ujścia z jednej, drugiej czy trzeciej pułapki, zanim pułapkę tę rozpoznało się – to niepokojące.

A jednak znam chłopaka (to ostatnie pokolenie, wnuków), którego **Bóg jeździ Tirem** i chętnie się zatrzymuje aby go podwieźć. Jednak opis świata tego chłopca brzmi tak smutno, bo przecież wiadomo, że Bóg też kochał Hioba, który wyciągał ze swoich ran przygarść robaków, które rzucone w

twarz szydercom zmieniały się z złote monety, a Żydzi byli narodem wybranym i wiadomo jak się to dla nich skończyło. Wspomniany chłopak jest poetą, alkoholikiem i narkomanem i paradoksalnie, ten jego stosunek do świata uniemożliwia podjęcie życia na własny rachunek. Ale czyż można od kogoś wymagać, żeby był Świętym Hiobem?

Niechcący nasunęła mi się myśl (choć to nie Wielkanoc), że być może Pan Jezus moment przed przybiciem do krzyża też nie wiedział, co go czeka. Może On tak jak ów nieznany poeta narkoman, spodziewał się, że Bóg kochając go, rozwiąże wszelkie czekające go problemy. Może jego męczarnia dla Niego samego była zaskoczeniem? Może szkoda, że Ewangelię pisali tylko problematyczni świadkowie, bowiem tak naprawdę nic nie wiemy z tego, czym jest cierpienie i zawód, zanim nas nie dotkną osobiście. Jednak On podobno zmartwychwstał. Czy wiemy wskutek tego tak naprawdę, po co było Jego cierpienie? Domyślamy się i my i Ewangeliści przed nami. Może Pan przez naszą twórczość daje nam dotknąć odrobiny tego co odczuwał? Całej reszty musimy się domyślać. Czy Żydzi musieli cierpieć dlatego, czy mimo to, że byli Narodem Wybranym? W końcu i tak wszystko zmierza do tego, że albo musimy Mu zaufać, albo rozpłynąć się w problemach. A my – trochę ufamy (ale nie całkiem), trochę rozpływamy się (ale niezupełnie). Skrajności budzą nasz niesmak, może właśnie o to chodzi, aby myśląc ufać, albo ufając myśleć i stale dokonywać wyborów? Nie zadowalać się skrajnościami. Może.

Ale najgorszy pomysł ze wszystkich: narodzić się do cierpienia. Dlatego dla mnie Boże Narodzenie nie było świętem radosnym — w przeciwieństwie do Wielkanocy.

Kiedy opuścił nas ojciec zawieszając ślubną obrączkę na marmurowym posążku greckiej bogini Demetr (oczywiście kopii) niosącej dzban oliwy, nasza mama z bożonarodzeniowego rytuału zrobiła swój własny rytuał. Na obrusie stawiała dodatkowe nakrycie „dla tego, który odszedł", stawiała przed tym nakryciem najlepszy fotel rodzinny (inne krzesła miały tendencję do rozpadu) i kazała nam w tej intencji się modlić.

Nienawidziłyśmy, a zwłaszcza ja, Bożego Narodzenia, tych modlitw żeby „On" wrócił. Zawsze uważał mnie za kogoś, kto intelektualnie nie sprosta jego rodzinie, dziwaczne dziecko naznaczone skazą nie do naprawienia. Mama zawsze twierdziła, ze byłam „dzieckiem miłości", ale on miał widać całkiem inne zdanie na temat tego dziecka i miłości, która sprowadziła je na świat.

Genetycznie mam więcej z kobiet rodziny ojca niż matki, ale widzę to dopiero dziś. Taka ironia losu, powiedzmy.

W każdym razie jako rodzina, nigdy nie zaprosiliśmy do wigilijnego stołu obcego wędrowca, bezdomnego, jak każe tradycja. I to był — moim zdaniem —największy grzech naszej rodziny.

Jednak nie czuję się na siłach jej przełamać. Nie wyjdę przecież pod mój śmietnik i nie zaproszę do domu pijanego czy naćpanego zbieracza śmieci przydeptującego nocami puszki, którego obwiniam za swoją bezsenność.

Idę więc do sklepu naprzeciwko naszego bloku kupuję kilka buteleczek setek żołądkowej gorzkiej (tradycyjnej, żółtej a nie białej i słodkiej) i wręczam buteleczki kolejnym osiedlowym nurkom.

Przecież dla nich świętowanie jest czymś innym niż dla mnie, a ja o tym wiem. Ale wolę nie narażać się, że ktoś mi da w łeb za zawartość mojej lodówki.

Może i ja doznam w nagrodę czułości świata, kto wie?

Czytam o eksperymentach genetycznych. Dowiedziałam się, że myszy transgeniczne o zwiększonej inteligencji mają także zwiększoną wrażliwość na ból, bo szybciej przenoszą się u nich sygnały na synapsach nerwowych. Wygląda na to, że ból jest ceną za myślenie, nawet u myszy.

59. Stan wojenny

Pracowałam wówczas w zarządzie spółdzielni transportu wiejskiego jako inspektor do spraw ubezpieczeń i szkód i w stanie wojennym, w tymże zarządzie zamienionym w jednostkę zmilitaryzowaną, jako jeden z dyspozytorów. Pracowałam 24 godziny na 24 wolne. Miałam klucze od wszystkiego, także od wolnostojącego pawilonu zarządzanego przez emerytkę panią Pelę – byłą księgową, a ówczesną bibliotekarkę. Byłam też przewodniczącą komitetu do spraw rozdzielnictwa dóbr wszelakich, to jest serów z serwatki, masła z odzysków tłuszczu, kaszanki z kaszy i krwi, kur niosek zabijanych po wypełnieniu swojego życiowego zadania.

Przywożono nam całe samochody tych kur, spętanych, ale żywych. Na pracownika przypadało 6 do 8 sztuk. Ale były żywe! Pracownicy już organizowali towarzyskie party – byle zdążyć przed godziną milicyjną. Na środku pokoju stawiało się ogromną miskę z wrzątkiem, zanurzało zabite ciała kur, skubało zbiorowo (żartując i popijając kartkową albo bimberek). Nie można było zawieść klasy robotniczej! Dyspozytorzy układali więc je szpalerkiem wzdłuż podjazdu pod biurowiec, łapkami po prawej stronie, szyjkami po lewej i zadaniem kierowcy było tak precyzyjnie przejechać biedne byłe nioski, żeby zmiażdżyć ich główki, a zostawić nietknięte korpusy.

Byłam ważną osobą, chociaż pracownicy warsztatów napraw głównych wskazali mi już topolę, na której będę wisiała – ponieważ biorąc udział w rozdzielnictwie dóbr służyłam reżimowi. Niemałe znaczenie miał fakt, że chodziłam w szpilkach i kożuszku, a nie w zasmołowanym kombinezonie i że służbowo czasem wchodziłam w konflikt ze złodziejami pragnącymi ukryć kradzieże przedstawiając je jako szkody.

Pani Pela miała w swojej bibliotece kilka książek z dziedziny ubezpieczeń, a ja akurat prowadziłam szkolenie terenowych referentów ubezpieczeń. Przedefilowałam więc przez plac, widoczna dla wszystkich ,idąc do okrąglaczka biblioteki, otworzyłam kluczami pani Peli budyneczek. A tam, na podłodze, skrzynie z materiałami opatrunkowymi, niedostępną dla pań, a upragnioną ligniną i watą (podpasek jeszcze nie było, z braku waty używało się starych szmat) oraz skrzynie z bronią, Wyleciałam jak oparzona, przysięgałam typom, którzy mnie pochwycili na wszystkie świętości, że nikomu nie powiem, a jednak wyznaczono mi pewną topolę ze szpaleru okalających plac drzew, na której zawisnę, za to, że po prostu jestem.

Po kilku dniach ogłoszono stan wojenny. Odczułam ulgę. Możliwe, że uniknę powieszenia. Jednak, jak zwykle w takich razach wpadłam z deszczu po rynnę. Komendantem mojej firmy wyznaczono faceta, pijaka, niedoszłego artystę, malarza sentymentalnych pocztówek. Całymi godzinami tkwił zamknięty w swoim gabinecie, kiedy jednak stamtąd wybiegał w stanie niedopitym, groził na korytarzu wszystkim spotkanym odbezpieczoną bronią wprawiając w popłoch zwłaszcza panie. Oświadczał, że każda odmowa wykonania rozkazu stawia delikwenta(kę) pod mur. To był początek i przez kilka dni tak naprawdę nikt nie wiedział, na czym polega ten stan wojenny. Może miała to być prawdziwa okupacja, jak z gestapowcami, hitlerowcami itp? Może więc i teraz będą strzelać za odmowę wykonania polecenia służbowego?!

I znowu moja elastyczność przydała się. Sama kiedyś malowałam obrazy, była to moja pierwsza fascynacja, znałam trochę teorię i wiele „chwytów", więc malarzowi pocztówek przydawałam się ze

swoimi radami. Ja także miałam dzieci, synów, a pan komendant (jak mi się zwierzył) lękał się o swoich, zdecydowanie kontestujących stan wojenny. Był rozdarty, a rozdarci ludzie bywają nieobliczalni.

Był to czas, kiedy idioci z obu stron dochodzili do głosu i nikt nie był w stanie przywołać ich do rozsądku.

Moi synowie, harcerze, ulegli presji swojego komendanta hufca, który postanowił nauczyć ich odwagi. W noc sylwestrową wydał rozkaz harcerzom przejścia na drugi brzeg Wisły po kładce montażowej poniżej mostu. Sęk w tym, że wojsko strzelało do tych „dywersantów", choć na szczęście nikogo nie trafiło. A komendant chełpił się odwagą swoich harcerzy!

Ich mama miała zaś inne zmartwienia (na szczęście nie wiedząc nic o „próbie męstwa" swoich dzieci.)

Malarz pocztówek postanowił zgrają urzędasów wziąć z garść. Wygonili nas, tabun urzędniczek w szpilkach i cieniutkich pończoszkach na ulicę Komarowa (dziś Wołoska) rozdając żelazne łomy. Miałyśmy rąbać zeskorupiały lód na jezdni. Obok pracowali robotnicy z dawnej „Tewy" i jakichś zakładów naprawczych, których nie pilnowano tak mocno jak nas, i za niewielkie świadczenia w papierosach lub serze z serwatki zastępowali koleżanki w ich ciężkiej pracy. Jednak po jakimś czasie wydało się to i pan komendant stawiał niektóre z nas pod ścianę, grożąc bronią za niewykonanie rozkazu.

Czarę wszystkiego dopełnił nowy transport kur niosek do zabicia. W moich aktach personalnych widniała adnotacja, że jestem posiadaczką prawa jazdy i pan komendant oświadczył, że od godziny 6 rano (koniec mojego 24-godzinnego dyżuru) zostaję przesunięta ze stanowiska specjalisty d/s ubezpieczeń na stanowisko kierowcy samochodu „Robur". Nie pomogły żadne tłumaczenia, że odkąd w pierwszej jeździe po zdaniu egzaminu na prawo jazdy (w mieście) wjechałam samochodem Syrenka na jedyne, stojące w polu drzewo (na wsi), nie siadam za kierownicą samochodu, w dodatku ciężarowego.

Miałam przed sobą szpaler kur do zabicia. W dzieciństwie przeżyłam okropną traumę, kiedy kura z odciętą na pieńku głową biegała wokół mnie, a jak wiadomo fobie są silniejsze niż wszystko.

Wybiegłam z płaczem i bez przepustki poza tern naszej bazy. Resztą rozsądku udałam się do komendanta wojskowego rejonu, który zawiadował służbą zdrowia na terenie Służewca Przemysłowego. Zgłosiłam się do lekarza wojskowego z bólem zamostkowym i problemem niedziałania leków obniżających ciśnienie. Istotnie, to ciśnienie mi zaszalało. Teraz natychmiast z takim ciśnieniem pakują delikwenta do szpitala, ale to były inne czasy.

Pan lekarz wojskowy kazał mi się rozebrać do pasa (w obecności trzech zarumienionych i skrępowanych poborowych i mnie, ponieważ moja halka była spłowiała i w brzydkim różowym kolorze z nieco poszarpaną nylonową koronką), wysłuchał mnie łaskawie i oświadczył, że istotnie nie mogę prowadzić pojazdów mechanicznych mimo posiadanego prawa jazdy. Ponieważ byłam jedną z pierwszych klientek wojskowej służby zdrowia spotkała mnie dodatkowa nagroda w postaci zwolnienia lekarskiego (w pełni prawomocnego w jednostkach zmilitaryzowanych) na 6 tygodni, z zaznaczeniem, że delikwentka może chodzić (czytaj: stać w kolejkach). Pan lekarz podkreślił to ostatnie uprawnienie, jakby ze strony wojskowych władz spotkała mnie nagroda specjalna za lojalność. A może po prostu był tylko dobrym człowiekiem?

Potem szybko zmieniłam pracę. Ale jeszcze dziś jadąc tramwajem ulicą Komarowa, widzę w głębi, wzdłuż małej równoległej uliczki, ów szpaler topoli i przechodzą mnie ciarki po plecach. Cóż mnie obchodzi, że jakieś dziecko, czy nawet mnóstwo dzieci nie obejrzało swojego teleranka!

Ale takie symbole są właśnie najbardziej pożądane politycznie. Manipulacja polega na tym, żeby, jak w reklamach, posłużyć się słodkim maleństwem dla wymuszenia wzruszeń i zestawić to z okrucieństwem świata dorosłych — ale nie nadmiernym okrucieństwem, bo takiego unikamy, żeby nasze dzieci nie zetknęły się zbyt wcześnie z prawdziwym życiem.

Chodzi także o to, żeby jedną stronę przedstawić jako lepszą, słuszniejszą, drugiej zaś ująć autentycznych racji. Dlatego rozdmuchuje się problem konfidentów, donosicieli i współpracowników rzeczywistych i hipotetycznych, łącznie z paniami roznoszącymi herbatę, unikając jak diabeł święconej wody rzetelnego opisu ówczesnej rzeczywistości. To znaczy mam na myśli w przedstawianiu faktów nie faworyzowanie żadnej strony konfliktu. Wymiera już to pokolenie, które pamięta stan wojenny w dużym mieście (bo inaczej było na wsi i w małych ośrodkach) i za dziesięć lat już będzie można każdemu młodemu człowiekowi wcisnąć ciemnotę i wmówić co się tylko chce. Zapominamy, albo chcemy zapomnieć jako społeczeństwo, że nikt nie jest wszechwiedzący i że wszyscy w tamtych czasach wprawdzie czuli przez skórę idące zmiany, ale różnie je rozumieli i różne rzeczy akceptowali. Byliśmy o wiele mniej podzieleni, ci z jednej i z drugiej strony, co do zasad, niż dziś.

Mowa nienawiści bierze się z jednostronnego oglądu świata, a taki ogląd jest wygodniejszy dla rządzących i jest to samonapędzający się mechanizm.

60. Choinka jako Wisielec, głowa szczupaka i inne zwyczaje bożonarodzeniowe

Usłyszałam w telewizji, że w Stanach Zjednoczonych niektórzy wieszają choinkę od sufitu gałęziami w dół. Zapewne bombki i ozdoby też zwisają w dół (chyba, że ich nie ma). Z czysto praktycznego punktu widzenia taki sposób ekspozycji ma same zalety: pozostawia dużo miejsca w małym mieszkaniu, nie pozwala poddawać się terrorowi „choinki aż do sufitu” i przez swą odmienność pozwala powrócić do źródeł świętowania – kontemplacji. Ja na przykład (gdyby po latach bożonarodzeniowych obowiązków przyszła mi do głowy idiotyczna myśl o kupieniu i postawieniu choinki) bardzo szybko przetłumaczyłabym sobie, że należy uformować ją jak tarotowego WISIELCA, z całą jego (może być wzbogaconą dodatkowo) symboliką.

Pewna moja samotna koleżanka, pracująca i przebywająca cały tydzień poza miejscem zamieszkania, traktuje sobotę i niedzielę jako możliwość pomieszkania u siebie. Natrętne zapraszanie przez rodzinę, od którego nawet chorobą się nie wykręci, bo rodzina przyjedzie do niej ze świątecznymi potrawami, jest dla niej przykre przez fakt konieczności przyjęcia zaproszenia, jedzenia do przesytu, rozmów i alkoholu. Zaproponowałam jej, żeby postawiła warunek zapraszającym: jeśli powiesicie choinkę gałęziami w dół, wówczas przyjadę — ale nie łudziłam się, że uda jej się to wymusić. Z góry wiadomo, że zwycięży stereotyp. W końcu ortodoksi wigilijni bardzo źle przyjęli pomysł, że Wigilia nie musi być postna, choć wyszło to z kręgów kościelnych...

Że nie wszystko o zwyczajach wigilijnych jednak jest nam znane do końca świadczy o tym pamiętnik pewnego pana, obecnie dziewięćdziesięcioparoletniego. Pamiętnik zatytułowany jest „Tak zapamiętałem”, i przeczytałam na razie pierwsze dwa tomy obejmujące lata od 1919 do wybuchu

wojny. Jest to dzieło zawierające ponad dwa tysiące stron maszynopisu, z czego przeczytałam na razie około 300. Resztę ma mi dostarczyć za jakiś czas, ponieważ dostał w prezencie laptop i przepisuje tekst do komputera. (Nauczył się tego po 95 roku życia!!!) Oczywiście nie wydał tej historii swojego życia, tylko napisał ją dla wnuków. Nie ma ona wartości literackiej, zresztą autor nie miał wcale takich zamierzeń, był majstrem budowlanym z wykształcenia. Jednak mimo zaledwie średniej szkoły zawodowej pisze dość poprawnie stylistycznie, tak że czyta się gładko, a najważniejsze, jest poukładany, nie odbiega od tego co zamierzał napisać, nie popada w dygresje, stara się pisać z pozycji obiektywnej, no i jest bardzo szczegółowy, więc wielu rzeczy można się dowiedzieć. Mnie urzekł na przykład dokładny opis umeblowania i urządzenia mieszkania jego rodziców. Każdy szczegół został zapamiętany! Nawet ustawienie palmy!

W pierwszych dwóch tomach opisuje życie przedwojennej Warszawy, a właściwie Bródna, w środowisku kolejarzy, ludzi stosunkowo ubogich i żyjących skromnie. Dużo czasu poświęca opisom realiów, pisze co się jadło, jak się ubierało, jak często kupowano ubrania, jakie były rozrywki itp. Dzięki takiemu stylowi pisania pamiętnik jest kopalnią wiadomości, do których w inny sposób nie miałabym dostępu. No i oczywiście pełen jest nieoczekiwanych „smaczków", zwłaszcza w opisach ówczesnych obyczajów.

Na przykład pan Karol opisuje otoczenie domku, w którym się wychowali, a ponieważ jest wzrokowcem (malował także rozmaite obrazy dla ozdoby swojego domu letniskowego, zaskakujące czasem niesamowitym nowatorstwem) , niespodziewanie opis robi ogromne wrażenie. Opisuje zaśnieżoną, pustą parcelę wzdłuż ulicy, przeciętą ścieżką wydeptaną przez przechodzących, już nie tak białą i czystą oraz starą kobietę, okrytą czarną chustką, w czarnej długiej spódnicy nie sięgającej jednak ziemi, idącą boso po tej ścieżce. Ta kobieta chodziła tak całą zimę, miała to być forma pokuty, ale pan Karol nie wiedział za co. W końcu zniknęła, przestała chodzić, umarła, a może tylko założyła buty. (to już moja refleksja). (Można przeczytać jego opis Powstania Warszawskiego na stronie Muzeum Powstania (także moje wspomnienia z opowieści mojej mamy)

Opisuje pierwsze kroki pewnego dziecka i to, że zaczęło chodzić dopiero wtedy, gdy dostało do ręki tłuczek od kartofli.

Opisuje zwyczaje wigilijne, o których nie miałam pojęcia, a mianowicie jedzenie głowy szczupaka.

Z jednej strony ma to związek z mnemotechniką (o której rozgorzała dyskusja po odcinku blogu Wojciecha Jóźwiaka) z drugiej zaś z kontemplacyjną rolą dawnych świąt.

U mnie w rodzinnym domu głowę ryby gotowało się na zupę rybną lub wywar do galarety i głowa szczupaka uważana była za najlepszą, bo dawała w przeciwieństwie do karpia, rosół dość klarowny i stosunkowo przezroczysty. Miała też dość dużo mięsa i pracowicie obierało się ją z ości i blaszek, kręcąc mięso przez maszynkę i robiąc z niego „szczupaka faszerowanego" do galarety. Całe zajęcie było dość pracochłonne, zwłaszcza gotowanie i zastudzanie mielonej ryby z przyprawami w specjalnym woreczku lub szmatce, ale powstawała nowa potrawa do zestawu dań wigilijnych, więc było warto, bo ambicją gospodyni było przygotować potraw tych co najmniej siedem, a najlepiej kilkanaście. Zresztą liczyło się to za dwie potrawy: ryba faszerowana raz i galareta, dwa. Podobnie jak barszcz z uszkami, barszcz raz, uszka dwa. Takie drobne naciąganie tradycji.

Tymczasem pan Karol opisuje jedzenie głowy szczupaka jako czynność rytualną. W głowie szczupaka znajdowały się ości podobne kształtem do różnych narzędzi używanych do męczenia Jezusa i ojciec jego mówił, że w głowie szczupaka jest cała Męka Pańska. Jedząc ją, opisywał tę mękę dzieciom i rodzinie (nie w Wielkanoc, ale w Boże Narodzenie) chyba dla przypomnienia, że człowiek rodzi się po to, by umrzeć. Niestety, nie zapisałam dokładnie jakie narzędzia symbolizowały ości z głowy szczupaka, ale jeśli uda mi się jeszcze spotkać z sędziwym autorem jeszcze za jego życia (jesienią nie przyjechał na działkę z powodu grypy – i jestem umówiona na wiosnę na naszych działkach) to postaram się to niedopatrzenie nadrobić.

Po śpiewaniu kolęd przychodził czas na opowiadania o duchach i strachach na cmentarzu (było to w pobliżu cmentarza Bródnowskiego), wypełniano tymi opowiadaniami oczekiwanie na pójście na pasterkę. Opowiadano także o duchach dokuczających spóźnionym przechodniom i o zakładach odważnych młodzieńców lekceważących te strachy. Jeden z takich zakładów skończył się tragicznie. Zakład polegał na tym, żeby o północy, w bezksiężycową noc, w określonym miejscu cmentarza, gdzie najwięcej straszyło, przybić do drewnianej ławki białą kokardę. Śmiałek dotarł na miejsce, po omacku przybił kokardę, ale gdy chciał się wyprostować i odejść, nie mógł, bo coś go trzymało. Na drugi dzień znaleziono go martwego, umarł na atak serca. Okazało się, że po ciemku przybił kokardę razem z połą płaszcza.

Dzieci w tamtych czasach grały w cetno i licho, o tym słyszałam, ale nikt nigdy nie opisał na czym ta gra polegała. Okazało się, że cetno to była parzysta ilość, a licho, nieparzysta.

Mnie osobiście zainteresował opis szkolenia szybowcowego i nauka pilotażu. Mój ojciec przebył też taka samą drogę, tylko bardziej zaawansowaną, uczył się pilotażu jako inżynier konstruktor, a szybownictwo uprawiał sportowo, był też instruktorem lotniczym. Miał w klapie zawsze okrągłą odznakę: na niebieskiej emalii trzy ptaki w locie. Niewiele jednak chciał o tym mówić, nawet o tej odznace, zbywał mnie zawsze, że jestem za mała, żeby coś zrozumieć, a poza tym chyba był przekonany, że lotnictwo (jak wiele innych spraw) nie jest sprawą kobiecą.

Dopiero przeczytałam opowieść pana Karola, gdzie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami zostało opisane, jak przygotowywano chłopców do nauki pilotażu, jak ich uczono, jakie niebezpieczeństwa na nich czyhały i jak im zapobiegano. Na przykład zaczynano od tego, że kilku kursantów trzymało szybowiec na długich gumowych linach na uwięzi, napinano je, a potem biegnąc do przodu określoną ilość kroków, zaczynając od dwóch lub trzech, powodowano skoki maszyny o długości metra lub półtora metra. Zadaniem kandydata na pilota było utrzymanie w tym czasie skrzydeł w linii prostej. Pan Karol opisuje wygląd i konstrukcje poszczególnych typów samolotów i szybowców, opisuje rozmaite błędy i przypadki, które się trafiały oraz jakie były wymagania do zdobycia odznak jednej, dwu lub trzech mew. Tak więc dzięki temu opisowi łatwiej mi sobie wyobrazić rzeczy, które pasjonowały mojego ojca w młodości, a o których w domu nie miał zamiaru nikomu opowiadać, mimo moich pytań i zaciekawienia. Z ojca szkoleń pamiętam tylko jedną, dość makabryczną anegdotę, zresztą wspomnianą też w którejś książce o lotnictwie pilotów, rówieśników mojego ojca. Mianowicie ich rocznik kończył szkołę pilotażu w Dęblinie tuż przed wojną i z okazji promocji popili sobie i ruszyli nocą do miasteczka pohałasować trochę i porozrabiać. Któryś z młodzieńców zerwał znad jakiegoś sklepu szyld i postanowił, na dowód, że jest całkiem trzeźwy, wejść na wieżę obserwacyjną i szyld ten tam zawiesić. Kiedy zszedł na dół, wyszedł zza chmur księżyc i okazało się, że był to szyld zerwany znad sklepu z trumnami. Podobno nazajutrz (albo w najbliższym czasie) chłopak

ten zginął w katastrofie lotniczej. We wspomnieniach pilota z dywizjonu 303, które czytałam, też opisano tę historię tylko z tym, że chłopak ten zginął w pierwszych dniach wojny, jako pierwszy pilot z ich szkoły.

Może więc lepiej nie wieszać choinki gałęziami w dół? W kultowych opowieściach zamiana rzeczy uświęconych tradycją skutkuje zaburzeniami rozchodzącymi się jak złowrogie fale od źródła zmiany. Na przykład, jak w baśni o dziewczynie, która nie chcąc zamoczyć pantofelków położyła na środku kałuży bochenek chleba. Nawet historia mówi nam o niewykorzystanych zwycięstwach (bitwa pod Grunwaldem) bowiem uświęconą rzeczą jest pozabijać wrogów.

61. Dlaczego działają wróżby

Zastanawiam się dlaczego działa tarot i inne wróżby – bo podobno działają. Mam tylko jedno przypuszczenie: człowiek próbujący przewidzieć rozwój określonej sytuacji przywołuje w pamięci całe swoje doświadczenie, podobne sytuacje, rozwiązania, rozwój wydarzeń w przyszłości. Nie są to rzeczy zupełnie dowolne – część z nich łatwo przewidzieć, część trudniej, ale zawsze, poruszając się w kręgu swojej wiedzy coś można odgadnąć. Zrozumienie tego staramy się ogniskować wokół jakiegoś pewnika, czy czynnika uznanego arbitralnie za najbardziej pewny i oczywisty. Tak jak rozwiązując zadanie matematyczne, staram się sobie przypomnieć podobne zadania, rozwiązywane w przeszłości i uwieńczone sukcesem. Gdy mimo tego rozwiązać zadania tę metodą się nie da, szukam innych pomysłów od prostych do coraz bardziej skomplikowanych.

Na przykład ja w testach na inteligencję często popełniałam błędy. Polegały one na tym, że szukałam konstrukcji bardzo skomplikowanych, a okazywało się, że rozwiązanie było proste, tylko ja na nie nie wpadłam. Szukając pośród kilku figur jednej, różnej od innych, szukałam odmiennych jej elementów, a stwierdzając, że zamiast jednego, jest ich kilka; starałam się zorientować, jakiej cząstki brakuje lub jest nadmiar: „daszka", „boczku", „nóżek', czy czegoś podobnego. Tymczasem okazywało się, że różnica polegała na obrocie iluś figur o określony kąt i tylko jednej nie obrócono. Było to tak, jakby różnica tkwiła w sferze ideologii, jednej ogólnej zasady porządkującej, a nie wśród dowolnych odmian zjawiska, jak powinno się dziać w moim oczekiwaniu. Wszak pytanie najczęściej brzmiało: „uzupełnij zestaw o brakującą figurę" czy coś w tym rodzaju, a nie : „podaj zasadę wedle której możemy zróżnicować dany zestaw". Traktując zadane pytanie dosłownie zbaczamy na manowce.

W testach na inteligencję nie gra się uczciwie, dlatego niektórzy twierdzą, że testy te nie mierzą inteligencji, a tylko zdolność rozwiązywania takich testów. Tak też większość ludzi prognozuje przyszłość: ustala jedną ideę (uznawaną za słuszną) i wokół niej skupia poszukiwanie możliwości. Zadając sobie na przykład pytanie czy małżeństwo określonej dziewczyny będzie szczęśliwe, szukam przyszłej „idei" tego małżeństwa. Wiedząc, że chłopak lubi popić, a dziewczyna nie ma zbyt silnego charakteru, nie prognozuję dobrze tej parze na przyszłość – i mogę oczywiście popełnić błąd: tym częściej, im częściej czytam w prasie lub słyszę w telewizji o nieszczęśliwych małżeństwach alkoholików albo o przemocy domowej. Ja osobiście staram się takiego myślenia unikać i także popełniam głupie błędy w testach rysunkowych na inteligencję.

W testach słownych jest inaczej, ale tam sposób rozwiązywania zadań jest inny.

Wracając do tarota – dysponuję „podpórką" w postaci kart. Pozwala mi ona uwierzyć, że oprócz życiowego doświadczenia mam do dyspozycji jeszcze jeden **pewny** element. A skoro jest on pewny, należy go brać pod uwagę równie dobrze jak inne raczej pewne elementy układanki. Nie jest to określona z góry przez innych idea (bo karty się zmieniają), nie jestem więc wobec niej nieufna, jak wobec banałów w rodzaju, że małżeństwa alkoholików są nieszczęśliwe. Karta ze swoim znaczeniem może odciągnąć moje myśli od banalnych rozwiązań pchających się same na myśl i skierować je na zupełnie inne, nieoczekiwane tory, w inne miejsce plaży, gdzie pośród piasku i brudów może tkwić piękny bursztyn, muszla, czy nawet zgubiony pierścionek. Albo nawet butelka od rozbitka sprzed setki lat.

Bo jak wiadomo, najlepsze rozwiązania czają się na pograniczach. Tarot i inne systemy wróżebne są jakby „odciągaczem” myśli od banalnych rozwiązań, co by nie myśleli na ten temat naukowcy. Zresztą na tej zasadzie oparta jest też „burza mózgów’ co miałam okazję stwierdzić w czasie ćwiczeń na studiach ekonomicznych. Wbrew pozorom i opisom nie jest ważny sam dziwaczny pomysł, tylko jego „naciągnięcie” do analizowanej rzeczywistości.

W ćwiczeniach, których zadaniem było przezwyciężenie sprzeczności między podażą a popytem i zrównoważenie ich (w czasach słusznie minionych), zwyciężył mój pomysł — „zlikwidować potrzeby”, a tym samym popyt. Pomysł był błyskotliwy na oko, jednak przy bliższej analizie okazywało się, że od dawna jest stosowany. Wszak wszelka ideologia podniesiona do rangi wiary, redukuje przyziemne potrzeby do granic ich fizycznej możliwości. Reklama redukuje jedne potrzeby, kosztem wprowadzania czy uwypuklania innych. I tak dalej i tak dalej. Okazuje się, że częściej wpływamy na same potrzeby niż na proces ich zaspokojenia, co by się wydawało najbardziej rozsądnym.

Tak więc wszelkiego rodzaju wróżby **muszą** po prostu się sprawdzać, jeśli są wynikiem autentycznego procesu myślowego i podświadomych skojarzeń.

62. Cielesność i umieranie AD 2012

Niedawno postanowiłam pójść do kwiaciarni kupić komuś imieninowego kwiatka. Nie miałam ani pieniędzy, ani pomysłu na prezent, postanowiłam więc nabyć żółtą różę za 15 złotych.

W kwiaciarni stał młody, elegancki facet, który kupił właśnie wieniec na czyjś pogrzeb (za który zapłacił ponad 1000 złotych) i w związku z tym uznał za stosowne relacjonowanie okropnego wrażenia jakie wywarł na nim nieboszczyk kiedy jeszcze żył, i kiedy go odwiedził w szpitalu. Wypasiony samochód stał przed kwiaciarnią, tuż za światłami, z pracującym silnikiem i otwartymi drzwiami, a on opowiadał wszystko z detalami nie bacząc, że tarasuje innym przejazd i nie reagując na ich trąbienie. Ja zaś musiałam wysłuchać żałosnych wynurzeń, bo swoim wieńcem przykrył papier do pakowania mojej nędznej różyczki, no i jako osoba płacąca taką kasę oraz jako zbolały żałobnik, zasługiwał na uwagę i współczucie personelu kwiaciarni. Przez chwilę czułam się jak na pogrzebie; jakbym kupiła nie imieninowy kwiatek, a wybierała się na czyjś grób. Tak więc można i komuś ukraść imieniny, lub inną uroczystość.

Zmuszona jednak do wypełniania czasu oczekiwania refleksją, pomyślałam, że młodzi biznesmeni zupełnie inaczej traktują śmierć niż na przykład ja, czy osoby inne mojego wieku. Owszem, śmierć jest dla wszystkich straszna, ja jednak pielęgnowałam swoja mamę, myłam ją, gdy już nie trzymała moczu i kału, także myłam ją tuż po śmierci. Wiem, to przeżycie było okropne, jednak mając świadomość, że spełniam jakąś powinność, że oszczędzam mamie wzroku obcych ludzi, nie skupiałam się zbytnio na sensacyjności cielesnych przejawów umierania. Kiedy zmarł w szpitalu mój ojciec i poszliśmy do przyszpitalnej kostnicy zobaczyłam scenkę, która na zawsze zostanie w mojej pamięci. Na wyłożonym nierdzewną blachą stole pracownik kostnicy położył na sobie dwoje nagich nieboszczyków: starszą chudziutką kobietę i na niej wielkiego, brzuchatego mężczyznę. Dosunął obu nieboszczyków do ściany, rozłożył przed nimi pojemniki na drugie śniadanie i z zapałem pałaszował bułkę z wędliną oraz nalewaną z termosu herbatę. Ja nie mogłam powstrzymać się od myśli, jak bardzo ciężko było tej nieznanej pani o szlachetnych rysach i wątłej postaci znosić ciężar obcego, ciężkiego chłopa.

Rozmawiałam o tym z innymi osobami, porównywałam doświadczenia, nie zapomnę nigdy uwag pewnej czterdziestoletniej policjantki, sąsiadki mojej mamy, kobiety, która niejedno doświadczenie miała za sobą i która skłoniła mnie i moją siostrę do własnoręcznego przygotowania mamy do grobu.

Nauczyłam się dzięki tym rozmowom i doświadczeniu rozpoznawać śmierć nadchodzącą do żywego jeszcze człowieka, oswoić się z nią i zrozumieć odchodzących ludzi, ich strach i ostatnie, nieskuteczne poszukiwanie czyjejś bliskości. Nieskuteczne, bo nie zabierzemy TAM nikogo ze sobą dla towarzystwa i wsparcia. Mimo, że nie nadaję się na siostrę miłosierdzia, zbyt odczuwam cudzy ból – zrozumiałam tyle, ile jest dostępne każdej starszej osobie.

Ten facet w kwiaciarni inaczej to odbierał. Śmierć tej osoby była dla niego obrzydliwa, śmierdząca, a żyjący jeszcze chory, wyjący z bólu jakimś widowiskiem, które powinno zostać normalnym ludziom oszczędzone. Po prostu takich filmów nie powinno się kręcić, a w szpitalu powinno się robić coś, żeby ludzie nie musieli tego oglądać. Odwiedziny umierającego ten pan traktował jak ja imieninową różyczkę — formalność podlegającą pewnym regułom. Idąc do kogoś na imieniny wręczam mu nieparzystą liczbę kwiatków (idąc na pogrzeb wieniec lub ilość parzystą). I tu i tu niechętnie widziane

są krzyki, szlochy i tym podobne skandaliczne zachowania. Gospodarz przyjęcia i dyrekcja szpitala ma obowiązek zadbać, żeby do żenujących scen nie dochodziło. Od tego są.

Dlatego myślę, że w polskich warunkach zgoda na eutanazję byłaby spełnieniem życzeń takich osób, które po prostu nie chcą takich rzeczy oglądać i o nich myśleć. Wolą dwa razy tyle zapłacić, a nie być ciąganym do szpitala na pożegnanie z krewnym czy bliskim. No, a jeśli można, wziąć sprawy w swoje ręce... W najlepszym razie wyperswadować kurczowe trzymanie się życia i sprawianie innym przykrości robieniem zamieszania wokół własnej. niewiele już znaczącej osoby.

Taka postawa dotyczy nie tylko śmierci. Mając osiemnaście lat i eksmitowana z kwaterunkowego mieszkania, przekazanego spadkobiercom właściciela, musiałam szukać miejsca do mycia i kąpieli. Byłam wówczas studentką UW, a w pobliżu, na sąsiedniej posesji mieściła się łaźnia „Diana" do której zaczęłam uczęszczać w czwartki – dniu dla kobiet. Pamiętam swój szok, kiedy zobaczyłam kilkanaście nagich kobiet o ciałach zdeformowanych wiekiem i chorobą. Byłam jedyną młodą dziewczyną w tym towarzystwie i zaczęłam się wstydzić swojej gładkiej skóry – choć z drugiej strony był to znakomity lek na kompleksy. Po dwóch czy trzech pobytach nie uważałam się już za brzydką i grubą. Zwłaszcza, że nawiązałam trochę znajomości z osobami bardzo mądrymi i przeniosłam jakby swoje kompleksy na stronę intelektu. Cenię za to obecnie Katarzynę Kozyrę – za jej determinację w oswajaniu cielesności (ludzkiej i zwierzęcej).

Wspominam o tym dlatego, że w prasie wybuchła żenująca dyskusja sprowokowana listem pewnej pani, która oświadczała wszem i wobec, że nie życzy sobie aby jej kilkuletnia córka pod prysznicem przed basenem miała oglądać stare i brzydkie cielska. Do listu dołączyło się grono osób zniesmaczonych widokiem kobiet karmiących publicznie piersią niemowlęta (jakby nie istniały całe wieki motywu Marii karmiącej Jezusa w sztuce kościelnej).

Wiadomo powszechnie, że ciało młode i piękne zdominowało naszą popkulturę. Ale przecież każdy z tych młodych ludzi w takim czy innym, chcianym lub niechcianym momencie, obejrzało nagą starszą osobę bliską, matkę ojca na przykład. Powinni odczuć w tym momencie, że akceptacja tego kogoś (jeśli nie miłość, wdzięczność, litość nawet) to uczucia, które godzą sferę cielesną ze sferą duchową.

Rodziców się kocha, nienawidzi lub walczy z nimi niezależnie od tego, jaka jest ich cielesność. Można ją omijać, ale wówczas przeżywa się taki szok jak ów biznesman kupujący kwiatki.

Powszechnie propagowano w prasie akcję „Rodzić po ludzku". Akcja „Umierać po ludzku" Gazety Wyborczej umarła śmiercią nienaturalną po dwóch dniach od jej ogłoszenia. Nikt jej nie podjął, a zapewne decydenci skrytykowali.

W święta Bożego Narodzenia chodzimy na groby bliskich. Może czasem nie zaszkodziłoby wspomnieć ich jako CIAŁA, a nie tylko DUSZE.

63. Trzymanie ręki na pulsie

Tak chyba bywa, że nad ranem wszystkie upiory z najtajniejszych snów wyłażą na wierzch i domagają się natychmiastowej uwagi. Kiedy się jest mniej zmęczonym, mniej uważnym, dokonuje się selekcji tych potworów, kiedy bardziej, bezmyślna selekcja dokonuje się sama. Moja mama miała pewne powiedzenie, które obnażało jej problemy, choć wówczas nie miałam pojęcia, co ono naprawdę oznacza, ale gdy sama doszłam do tego etapu życia, zrozumiałam jak bardzo było obciążające. Kiedyś nawet przyśniło mi się w okropnym śnie. Śniłam, że jedziemy z mamą płonącą windą w płonącym bloku, boję się, że zginiemy w tej windzie, zanim dojedzie ona na dół, a moja mama podchodzi do rozżarzonej ścianki windy, przykłada do niej dłoń i mówi: „**trzymam rękę na pulsie**".

To właśnie było to powiedzenie mamy. — Ja muszę trzymać rękę na pulsie — wmawiała nam, gdy uważałyśmy, że jesteśmy z siostrą dorosłe i nie powinna nas już kontrolować. — Ja tylko trzymam rękę na pulsie — broniła się, gdy robiłam jej wymówki, że za bardzo wtrąca się w nasze intymne, małżeńskie sprawy,

Myślę, że to jest taki etap życia. Przyzwyczaiłyśmy się, że kontrolujemy swoje i otoczenia życie, zaakceptowałyśmy nasze matczyne i żonine obowiązki, a tu nagle nikt naszej kontroli nie potrzebuje. Jednak dalej musimy „**trzymać rękę na pulsie**", bo obawiamy się, że bez naszego rozsądku, uwagi i oddania, rzeczywistość zacznie zbaczać na jakieś nieprawdopodobne tory. Można to ilustrować przykładem żony kierowcy: On prowadzi samochód, a ona siedzi obok i gromi go, że za szybko jedzie. Ja też byłam taka, wprawdzie nie gromiłam go, ale zamiast się odprężyć i podziwiać krajobrazy, miałam cały czas napiętą uwagę, bo może zauważę coś, czego on nie zauważy.

Poszukiwałam czegoś w internetowej wyszukiwarce, już nie pamiętam czego, według kluczowych słów i trafiłam w ten sposób na stronę internetową miasta Elbląga. Tam, zupełnie bez związku z moim pierwotnym zainteresowaniem, trafiłam na informację o tym, że do miasta przyjechało dwóch mieszkańców Skierniewic w celu zakupienia samochodu i gdy tylko wyszli na ulicę podbiegł do nich jakiś zamaskowany napastnik i dwukrotnie wystrzelił. Jeden z Skierniewiczan padł martwy, drugi walczył o życie w szpitalu. Policja prowadzi dochodzenie i prosi wszystkich, którzy coś wiedzą... itp. Na tej stronie było kilka rozmaitych informacji i każda mogła być przez internautów skomentowana. Przeczytałam komentarze do informacji o strzelaninie i ogarnęła mnie zgroza. Było ich bez przesady ze czterdzieści albo więcej. Żaden z nich nie dotyczył kwestii bezpieczeństwa w mieście, postępów śledztwa, zastanawiania się kto i po co to zrobił — jak bym się spodziewała. Przeważająca większość to dyskusje nad parametrami broni, która mogła być użyta (jeden nawet napisał, że — „skoro twierdzisz, że to był kaliber taki, a nie taki, to zasługujesz na to, żeby ci tym kalibrem rozwalić twój głupi łeb, co na pewno zrobię, jak cię spotkam").To była większość wpisów. Część oczywiście okropnym slangiem, że nie do końca rozumiałam, o co w nich chodzi.

Drugim dominującym motywem dyskusji było pochodzenie ofiar. Internauci piszą w przeważającej mierze, że — „jeśli taki typ ze Skierniewic może przyjechać do naszego miasta i szwendać się po ulicach, to zasługuje na to, żeby go zastrzelono. I ja sam bym to zrobił" — dodają niektórzy. Ktoś wyraził zadowolenie, że Elbląg też posiada swoją mafię, bo myślał do tej pory, że miasto jest „bezpłciowe". Do tych komentarzy oczywiście mnóstwo bluzgów i spostrzeżeń z dziedziny „ni przypiął ni przyłatał" ale obnażających agresję i dyskomfort dyskutantów.

Ogarnęło mnie przerażenie. Żeby na kilkadziesiąt nie było jednego wpisu, który mógłby zaakceptować spokojny, rozsądny człowiek! ¾ dyskusje o broni, ¼ „dobrze im tak bo pochodzą ze Skierniewic”! Ani jednego współczującego.

Myślę, że my wszyscy, za sprawą polityków, dopiero zaczynamy dostrzegać, że z ludźmi dzieje się coś bardzo złego, że mimo tłumaczeń i wyjaśnień o ukrywaniu poglądów kiedyś, a wolności teraz, to materiał z którego są zrobieni, staje się coraz bardziej wybrakowany. Nie zapomnę, że kiedyś nieżyjący już lekarz, profesor Aleksandrowicz w późnych latach sześćdziesiątych, gdy jeszcze w Polsce nikt nie słyszał o ochronie środowiska, wygłosił taką tezę, że mamy tak zatrute nasze otoczenie, że dzieci które się teraz rodzą będą debilami albo złoczyńcami. Oczywiście został surowo napiętnowany w ówczesnej prasie, ale mnie to utkwiło w pamięci bardzo silnie. Teraz chyba spełnia się jego proroctwo, do głosu dochodzą dzieci tych dzieci. To niepoprawne politycznie sądzić, że ludzie są z gorszej materii zbudowani niż dawniej, zawsze tak mówiono, każde pokolenie narzekało na młodych. Dlaczego my mielibyśmy być wyjątkiem?

Wdaje się jednak, że problem leży też w innym miejscu. Ludziom przyzwyczajonym do tego, że są w stanie kontrolować swoje życie i życie swojego otoczenia (przemoc domowa to także złudzenie kontroli nad naszym światem, światem swoich żon i dzieci) wydaje się, że **trzymają rękę na pulsie**. Nie myślą, że ich świat za pomocą mediów tak bardzo się rozszerzył, że kontrolowanie czegokolwiek nawet mając pozorną możliwość interakcji (fora miejskie) jest skrajną głupotą. Dyskutując o parametrach broni, uczestnicy forum podświadomie uważają, że ich „fachowe” uwagi pomogą zabójcom w słusznej sprawie, a że sprawa jest słuszna, w to nie wątpią. Karanie niedbałych żon czy mieszkańców Skierniewic jest — ich zdaniem — powinnością społeczną, wyrazem zaangażowania w sprawy swojego otoczenia.

Jak w moim śnie — przykładając dłonie do rozpalonej do czerwoności ściany — trzymają rękę na pulsie. Nie wygląda na to, żeby łapa się spaliła, a chęć kontrolowania wszystkich oprócz siebie — minęła.

64. Pamięci Roberta

Końca świata nie było. Postanowiłam jednak poczekać do godziny 0,00, żeby sprawdzić to osobiście. I głupio zrobiłam. Wszyscy moi znajomi wiedzą, że idę spać o 10,00. Zażywam proszki (dwa białe, pół żółtego i jeden różowy oraz czasami podłużny i obły sraczkowatego koloru) i dziesięć minut później jestem denatka.(czasami budzę się o trzeciej nad ranem, ale to już opowieść z innej bajki).

Tymczasem nie bacząc na moje zwyczaje, zadzwonił do mnie ktoś z rodziny informując mnie o śmierci pewnego znajomego. Młody chłopak, zawsze miał pod górkę, a kiedy wreszcie zaczynał powoli wychodzić na prostą, dopadła go śmierć. Znałam go od dziecka, najpierw zuch, potem harcerz, matka alkoholiczka, wychowywała go babcia, dokąd żyła, zimą w dziurawych trampkach i podartym sweterku. Na harcerskim obozie (robiłam tam za kucharkę wykorzystując ówczesny przepis, że osobie pracującej na rzecz obozów harcerskich przysługuje urlop bezpłatny i średnia pensja – byłam wówczas naczelnikiem w PZU, ale zachciało mi się oderwać od wyścigu szczurów) Robert był słoneczkiem. Odznaczał się niespotykaną żywotnością, optymizmem, humorem. To jedna z tych osób, na których widok nie sposób się było nie uśmiechnąć. Zawsze żartował, nawet wówczas, gdy wszyscy mieliśmy dosyć i padaliśmy na nos.

Pomagał w kuchni (jak w dziurawych butach zdobywać szczyty?), zawsze chętny do pracy, wesoły, żartował. Zapamiętałam z tamtych lat taką scenę: Przywieziono połowę barana i trzeba było go rozebrać. Robert ustawił się z siekierą przy pieńku i rąbał zmrożoną tuszę. Ja, nieopodal, kroiłam jakieś jarzyny i zacięłam się w palec. Robert, zawsze chętny do pomocy pobiegł na drugie piętro do gabinetu pielęgniarki (tzw. Piguły) po plaster i bandaż. Ale zapomniał zostawić w kuchni skrwawioną siekierę i z nią wpadł do gabinetu Piguły – studentki medycyny. Przerażona dziewczyna spytała po co mu plaster i bandaż, na co Robert odrzekł, że rąbał półtuszę baraniny i odrąbał niechcący pani kucharce dłoń. Biedna Piguła zemdlała i bała się nawet zejść zobaczyć, co się naprawdę stało. Robert przyniósł plaster i banadaż. Dopiero wieczorem Piguła, gotowa do wyjazdu z obozu, stojąca w holu z walizką dowiedziała się, że z niej zażartowano.

Robert miał niesłychanie ciężkie życie. Zakochał się w kimś niewartym tego uczucia, pod jej wpływem postanowił zdobyć pieniądze na wspólne życie i popełnił przestępstwo. Może traktował to jak żart, podobny odrąbania dłoni pani kucharce, ale nie było żartów z wymiarem sprawiedliwości. Robert odsiedział aż osiem lat, bo nie był zbyt pokorny i polubił izolatkę. W więzieniu skończył gastronomiczną szkołę zawodową, a po wyjściu założył firmę kateringową. Miał talent do kucharzenia. Talent, smak i wyczucie. Wspólnik okradł go, ale Robert po swoich doświadczeniach bał się jakiegokolwiek kontaktu z wymiarem sprawiedliwości czy policją. Założył rodzinę, urodziło im się dziecko, syn jak skóra ściągnięta z ojca, choć wymagające leczenia. Pracował ciężko, zawsze nastawiony optymistycznie do życia. Na nowo rozkręcał działalność, a ja robiłam dwa razy w tygodniu dla jego firmy pierogi. Dyskutowaliśmy o gustach „białych kołnierzyków" i modach gastronomicznych. Uczył mnie i inne współpracujące osoby sekretów kucharzenia, zdobienia potraw i ukrywania mankamentów, których żadna gospodyni domowa nie zna. Gdyby nie punkt startu, moim zdaniem miałby przed sobą zawodową przyszłość. Na moje siedemdziesięciolecie uszykował piękne półmiski potraw. Pamiętam go, jak wynosił z samochodu po jednym półmisku, żeby dekoracja się nie rozpłynęła.

Robert po każdym upadku podnosił głowę i wierzył, że wszystko zawsze będzie lepiej. Zawsze był dla nas – jego przyjaciół — tym słoneczkiem, jak w dzieciństwie.

W biurze, gdzie ostatnio pracował, przeziębiony czuł się źle i wygoniono go przymusem do domu, Wieczorem zadzwonił po pogotowie, bo miał trudności z oddychaniem.

Jeszcze w nocy sms-ował do swojego szefa, że nie może mówić, bo podłączono go do respiratora. Godzinę później zmarł. Podobno była to sepsa.

Rano zgłosiła się do jego żony matka przypominając, że syn co miesiąc dawał jej jakieś pieniądze, więc żeby żona przypadkiem nie zapomniała o tym, że przed Nowym Rokiem winna jest jej coś koło 300 zł. Nie obchodziło ją to, że wdowa odchodziła od zmysłów.

Jak ktoś ma przechlapane w życiu, to do końca. Umiera koło trzydziestki, gdy wszystko ma wreszcie przed sobą.

Pół godziny później zadzwoniła do mnie jedna z czarownic – ta, która wywołała kiedyś burzę. Ma raka płuc. Ona też miała przechlapane życie.

Pomyślmy przez chwilę o Robercie, który jest przykładem niespodzianek szykowanych dla nas przez los. Oby każdy z nas do swojego końca tak trzymał fason jak On.

I trzymajmy kciuki za operację Krysi — czarownicy.

65. Karta Umiarkowanie

Moja przygoda z tarotem zaczęła się od tej karty. W czasach, gdy jeszcze nie miałam pojęcia o tarocie i nie interesowałam się w ogóle zagadnieniami ezoterycznymi, przyśnił mi się pewien sen. Śniła mi się moja zmarła mama przed naszym nieistniejącym już domem, z którego eksmitowano nas w latach sześćdziesiątych. Moja mama była kobietą tęgą, grubej kości, osiemdziesięciotrzyletnią, gdy zmarła. Ubierała się w workowate szaro-czarne płaszcze, spódnice i swetry. Podpierała się laską, do czasu, kiedy przestała chodzić. Nie pamiętam, żeby założyła kiedykolwiek na siebie coś kolorowego, choć na nielicznych przedwojennych zdjęciach (czarno-białych) widać, że lubiła się ładnie i modnie ubierać, fotografować na żaglówkach, grać na plaży w piłkę. Podobno uprawiała sporty: pływała, była dobrą gimnastyczką, biegała, grała w siatkówkę. Wojna jednak złamała ją.

I w tym śnie stanęła przede mną ubrana w dwubarwną sukienkę: granatową z jednej strony, fioletowo – różową z drugiej. W każdej ręce trzymała po dzbanku, jakby w zamiarze przelewania płynu z jednego do drugiego naczynia. Jednak z obu dzbanków, skierowanych w dół, wypływała woda. Zarówno dom jak i ona stały na wzgórzu, nie tak jak w rzeczywistości.

Moje pierwsze skojarzenie było: przelewanie z pustego w próżne. To było częste powiedzenie mamy i tak jakoś na nim się zafiksowałam, że nie potrafiłam zrozumieć o co jej chodzi. Po co mi się ukazała? Co mi chciała powiedzieć?

Tak już było, że sny z mamą rozumiałam zawsze poniewczasie. Pamiętałam je doskonale, ale ich sens był przede mną ukryty. Na ogół sny zapominałam szybko, nawet gdy specjalnie chciałam je zapamiętać. Ale nie **takie** sny z mamą w roli głównej. Wiedziałam, że są ważne. Dopiero po jakimś czasie, nie krótszym niż kilka miesięcy nagle zachodziło jakieś wydarzenie, które otwierało mi oczy na ich sens.

Poprzedni sen z mamą, sprzed blisko roku, dopiero niewiele wcześniej ujawnił swoje przesłanie. W śnie tym mama miała białą suknię z ogromną plamą na siedzeniu i odjeżdżała na otwartej platformie pociągu. Mówiła mi, że jedzie do Moskwy.

I właśnie wyszły na jaw wydarzenia, które tam miały swój początek. Byłam wściekła, złość roznosiła mnie, byłam gotowa na bardzo drastyczne rozwiązania. Urażona była moja duma i moje uczucie, a nadwyrężone finanse. Nawet nie mogłam rozmawiać, bo ze mną rozmawiać nie chciano.

– Rób co chcesz – tylko tyle usłyszałam zamiast wyjaśnień i propozycji rozwiązań. Kilka dni wcześniej zrozumiałam sens snu z mamą jadącą pociągiem do Moskwy.

Czułam więc, że ten drugi sen wiąże się z pierwszym i że ma jakiś ważniejszy sens. Ale jaki? Co on dla mnie oznaczał?

Jakiś czas potem trafiłam w internecie na rysunek karty Tarota – Umiarkowanie. Rozpoznałam postać mojej mamy ze snu i te dwa dzbany, kiedy próba zrozumienia wypływającej z nich wody prowadziła mnie na manowce. Przeczytałam też gdzieś i zapisałam (niestety nie wiem czyj) poniższy tekst i cytat:

„W latach dwudziestych naszego wieku rosyjski ezoteryk P.D. Uspienski w swym wizyjnym spojrzeniu na 14 kartę tarota (wstrzemięźliwość) wskazał na ten problem mówiąc: "Imię anioła to czas, powiedział głos. Na jego czole jest okrąg, to znak wieczności i znak życia. W rękach trzyma anioł dwa dzbany, złoty i srebrny. Jeden dzban to przeszłość, drugi – przyszłość. Łączący je łuk tęczy stanowi teraźniejszość. Widzisz, że płynie w obu kierunkach. Jest to czas w jego niezrozumiałym dla człowieka aspekcie. Ludzie myślą, że wszystko nieustannie płynie w *jednym* kierunku. Nie widzą, jak wszystko wiecznie się spotyka, jak jedno wypływa z przeszłości, drugie — z przyszłości, i że czas jest mnogością kręgów, które obracają się w różnych kierunkach. Pojmij tę tajemnicę i naucz się rozróżniać przeciwstawne prądy w łuku tęczy" (Uspienski, *Nowy model wszechświata).*”

Znaczenie snu stało się dla mnie jasne. Było nim jej tytuł: Umiarkowanie. Nie podejmuj pochopnych decyzji. Rozważ nie tylko cudze winy ale i swoje. Pomyśl, co ty byś zrobiła, gdybyś była w sytuacji drugiej strony. Skąd masz pewność, że ty postąpiłabyś w sposób prawy. A jeśli by ciebie ogarnęło szaleństwo? Skąd wiesz, że miałabyś siłę mu się oprzeć?

I wtedy zapisałam się do Wojtka na kurs tarota.

Jednak nie dawała mi spokoju myśl, że czas może płynąć w **obu** kierunkach. Jeżeli tak jest, to nic dziwnego, że przyśniła mi się moja mama w chwili, gdy stałam na rozdrożu. Nawet ten nieistniejący już dom miał znaczenie, ponieważ żaden dom nie jest nim na zawsze i żaden właściwie nie jest do końca mój. Tak jak żaden dom nie był do końca domem mojej mamy, bo traciła je w dziejowych zawieruchach.

I po latach widzę jak wiele naszych doświadczeń było wspólnych, choć poruszały się po różnych torach.

66. Sny o mamie (1)

Skoro jestem już przy snach z udziałem mamy muszę coś wyjaśnić w związku z nimi. Moja mama za życia była osobą apodyktyczną z gatunku tych, które mają zawsze swoją wizję jak każda, najdrobniejsza sprawa powinna wyglądać. Jako dziecko buntowałam się przeciw jej władzy ale i później, gdy moim zdaniem zbyt ingerowała w moje życie stale były między nami jakieś spory. Kończyły się na tym, że mama wygłaszała godzinne „kazania", a mnie nie chciało się z nią dyskutować, więc milcząc czekałam, aż skończy swoje przemowy. Mama była zbyt przenikliwa, żeby uwierzyć, że zgodziłam się z jej zdaniem, ale uważała za swój obowiązek je wygłaszać.

Ten układ zmienił się pod koniec życia mamy, kiedy nie wstawała już z łóżka i zdana na opiekę moją i mojej siostry złagodniała i przestała czepiać się drobiazgów.

Ten nieco przydługi wstęp potrzebny był do rozważań co się właściwie działo z moimi snami po jej śmierci. Nie śniła mi się często, ale zawsze były to sny „znaczące". Najczęściej ostrzegały mnie przed czymś lub uspokajały wobec wydarzeń, które zapowiadały się groźnie. W tych snach mama była bardzo oszczędna w słowach (w przeciwieństwie do rzeczywistości) i często posługiwała się aluzjami, nie zawsze dla mnie zrozumiałymi (których w realu nigdy nie stosowała, zawsze wykładała „kawę na ławę").

Rozważając pochodzenie tych snów i wrażliwa na style ludzkiego myślenia i mówienia, raczej przyjmowałabym, iż sny te nie pochodzą od kogoś w rodzaju „ducha mojej mamy", a traktowałabym je bardziej jako sygnały z mojej własnej podświadomości. Gdyby nie... Właśnie gdyby śniły się tylko mnie, a nie nawet obcym osobom.

Pierwszy sen z moją mamą w roli głównej wystąpił zimą po jej śmierci, tuż przed Wielkanocą.

Moja mama umarła w 1992 r., w połowie stycznia. Kiedy umierała, był dość ciepły, deszczowy dzień, bardziej jesienny, niż to w styczniu się zdarza. Nie było wcześniej żadnych mrozów, a ziemia była przez te deszcze rozmiękła. W dzień pogrzebu mojej mamy od razu schwycił silny mróz, gdzieś koło minus 18 stopni. W ogóle dzień był i pod innymi względami pechowy. Na pogrzebie nie pojawili się obydwaj moi synowie, którzy wyjechali swoim samochodem trochę przed nami. My pojechaliśmy jeszcze do zakładu pogrzebowego i powinniśmy teoretycznie być po nich. Denerwowałam się z tego powodu przez cały pogrzeb, mimo że wyjechali samochodem, który był starym gratem i mógł się po drodze popsuć. Wiedziałam, że mieli ze sobą pieniądze, więc w takim wypadku powinni byli zostawić samochód i przyjechać autobusem lub, w najgorszym razie, taksówką. Na pogrzebie nie było zbyt wielu osób, ale za to wszystkie starsze panie, przyjaciółki mojej mamy, reprezentujące określony gatunek mający „młodym", czyli tym przed sześćdziesiątką, wszystko za złe. Indagacjom na temat, dlaczego moich synów nie ma na pogrzebie nie było końca, a wszystkie próby wyjaśnienia, co ewentualnie mogło się stać, paniusie te przyjmowały z niedowierzającym uniesieniem powiek. Okazało się, że synowie mieli wypadek po drodze.

To wszystko spowodowało, że mimo swojej praktyczności nie dopilnowałam technicznej strony pogrzebu, a między innymi nie zwróciłam uwagi na działania murarzy.

Gdzieś w marcu następnego roku odebrałam bardzo dziwny telefon. Dzwoniła pani, która była sąsiadką mojej mamy i z którą mama bardzo się przyjaźniła do czasu, aż się nie posprzeczały i ich stosunki nie stały się oziębłe. Miała jednak, jak wszyscy sąsiedzi mamy, mój numer telefonu na „w razie czego" Może nie ma to nic do rzeczy, ale dodam, że ja osobiście za tą panią nie przepadałam, powody były drobne, niezbyt ważne i dotyczyły jej stosunku do życia, którego nie aprobowałam, ale który w końcu mnie nie obchodził. Piszę o tym tylko dlatego, że pomysł, aby ta pani Janina miała do mnie po cokolwiek dzwonić, wydawał mi się nieprawdopodobny. Tymczasem zadzwoniła, przedstawiła się i zaczęła rozmowę właściwie o niczym i to także nie było podobne do tej oschłej, praktycznej kobiety. Ona zawsze mówiła konkretnie, a tu jakieś dziwne przeciąganie rozmowy o niczym. W końcu ja podjęłam jej grę i pytam: *W czym mogłabym pani pomóc?* Na to ona mi odpowiada, że właściwie sama nie wie, ale spotkało ją coś dziwnego i musi mi o tym opowiedzieć. Na to ja, że słucham ją uważnie, ale byłam dość zniecierpliwiona, bo byłam w pracy i gdzieś się spieszyłam. Zaczęła więc mi opowiadać: — *Śniła mi się dzisiaj pani mamusia w nocy. Stanęła przy mnie przy łóżku i powiedziała: Pani Janino, mam do pani bardzo dużą prośbę. Niech pani zadzwoni do mojej córki Kasi i powie jej...* Niestety w tym momencie kobieta się przebudziła i nie dowiedziała się, co miała mi powiedzieć. Podziękowałam jej i zadzwoniłam do mojej siostry, opowiedziałam jej o telefonie i o tym, że wybieram się na cmentarz, na grób mamy, jeszcze przed Wielkanocą, a ona zdecydowała się pójść ze mną. Muszę nadmienić, że moja niechęć do chodzenia na groby była znana w całej rodzinie i ja przynajmniej z mamą nigdy na cmentarz nie chodziłam. Nie sądzę w związku z tym, żeby mama tego po mnie oczekiwała. Przeciwnie, mówiła kiedyś, że chciałaby mieć grób murowany, bo córki nie lubią chodzić na groby, więc nie potrafiłyby o grób ziemny właściwie zadbać.

Moja siostra doszła do wniosku, że musi pójść ze mną, bo sama mogę nie trafić. Kupiłyśmy jakiś kwiatek i znicze i kiedy doszłyśmy do grobu, postawiłam te znicze na grobie i zaczęłam je zapalać. Wtedy nagle sklepienie grobu się załamało i ja wpadłam do środka prawie po szyję, ale nogami stanęłam na trumnie. Siostra narobiła krzyku, zbiegli się ludzie, pomogli mi wyjść z grobu i wszyscy mi gratulowali, że nie złamałam sobie nogi ani niczego innego. Nawet w rajstopach nie poszło mi oczko! Na to ja bez namysłu odpowiedziałam, tak jakby ktoś przemówił za mnie: *Przecież moja mamusia nie dałaby mi zrobić krzywdy!.*

Później, z siostrą zastanawiałyśmy się, dlaczego Mama przyśniła się pani Janinie, a nie którejś z nas. Siostra doszła do wniosku, że dlatego, bo pani Janina była bardzo skrupulatną kobietą, jeśli chodzi o utrzymanie grobów i inne kościelno-parafialne sprawy, więc potraktuje poważnie ten sen, a ja mogłabym nie zrozumieć, o co mamie chodziło. Moja siostra miała trochę żalu, że mama jej się nie przyśniła, ale wytłumaczyła sobie, że w tym przypadku pani Janina była odpowiedniejszą osobą.

67. Sny o mamie (2)

Piotr Jaczewski w dzisiejszym odcinku blogu pisze m.in. o snach:

*"To tylko sen - sny można przekształcać i interpretować - **co się objawia w tym śnie?***
*To tylko duch - z duchami można się zaprzyjaźniać i porozumieć - **czego chce ten duch?"***

Takie proste pytanie, a taka trudna odpowiedź!

„Sny można przekształcać i interpretować – co się objawia w tym śnie?"

To właśnie czynię. Ale czego chce ten duch? Postaram się to odgadnąć, choć nie jestem pewna, czy z duchem mam do czynienia. Ale skoro we śnie objawił się pani Janinie, niezależnie od mojej woli i poglądów (a wierzcie mi, to była naprawdę trzeźwo stąpająca po ziemi kobieta!), to pewnie jest to jakiś duch, jak by nie rozumieć to pojęcie.

Wracając do snów z moją mamą.

<u>Sen o Mamie z 13 kwietnia 2000</u>

Zobaczyłam dzisiaj we śnie moja mamę, poznałam ją po okularach. Sylwetka w ciemnym płaszczu była w cieniu, także twarz, jedno oko widziałam zza okularów. Wyglądała jak wtedy, gdy była już stara. To ja, a nie ona, próbowałam zatrzymać jej rękę w czarnym palcie, by nie odchodziła. Odpowiedziała mi uściskiem przez materiał, ale przesunęła się dalej, za moje plecy i znikła. Czy miała mi za złe, że opowiadałam o tym, że rodzina wyrządziła mi krzywdę. Nigdy do tego nie chciałam się przyznać, ale wiele lat w młodości uważałam się za skrzywdzoną. Uważałam, że rodzina nie udzieliła mi wsparcia (nie chodziło o sprawy materialne), a przeciwnie, nie akceptując mnie i mojej osobowości zmusiła do borykania się na własną rękę z losem, a tym samym i do decyzji życiowych nazbyt pochopnych.

Dzisiaj myślałam: Czy moja mama mogła postąpić inaczej? Ją też zostawiono bez opieki i wsparcia, musiała sama sobie dać radę. Czy to dziwne, że swoje córki chciała uodpornić? Chciała dobrze. A że moja wrażliwość przeszła jej oczekiwania? Czy to jej wina? Nie była wykształcona, nie wiedziała nic o psychologii, urodziła nas późno, jej przekwitanie zbiegło się z naszym dojrzewaniem. Dlaczego więc w głębi duszy ciągle mam żal? Czy dlatego, że mimo wszystko była mi najbliższa?

Czy dlatego mi się przyśniła, żeby w innym świetle okazać mi problem moich dzieci? Że ja przegięłam sprawy w przeciwną stronę i to też wcale nie było dobre. Czy może chciała dać mi do zrozumienia, że już niewiele czasu mi zostało?

<u>Sen o Mamie z 1996 roku</u>

W okresie przekwitania dla osób chorych na serce (sądząc po sobie) najgorsze są napady lęku przed śmiercią. Kiedyś, na działce, obudziłam się w nocy z bólami serca (albo zdawało mi się, że takie bóle czuję), nie wiedziałam czy budzić męża, czy jeszcze poczekać. Pojawił się lęk przed śmiercią, zaczęłam się modlić, ale że słów modlitw pozapominałam, szło mi to niesporo. Pełna poczucia winy i strachu leżałam i czekałam aż przyjdzie świt.

Wtedy zasnęłam i drugi raz przyśniła mi się moja mama. Śniło mi się, że czekałam na nią w jej dawnym mieszkaniu, lekko zniecierpliwiona, gdzie mogła sobie pójść. Do czasu wypadku samochodowego w mieszkaniu tym mieszkał syn i we śnie umeblowanie tego mieszkania było takie jak obecnie, nie jak za czasów mamy (po śmierci mamy zrobiliśmy remont zmieniający całkiem ustawienie, z jednego pokoju zrobiliśmy dwa, wnękę kuchenną połączyliśmy z jednym z pokojów, słowem to było już zupełnie inne mieszkanie niż za czasów Mamy). Patrzyłam na legowisko mojego syna, na którym leżał jego charakterystyczny niebieski rulon maty do spania, fioletowy plecak, śpiwór, kurtka i menażki, niecierpliwiąc się gdzie to też mogła pójść moja mama. Nagle mama pojawiła się i powiedziała, że teraz nie jest tu, tylko gdzie indziej. Spytałam ją, czy mogę ją odwiedzić, ale ona odpowiedziała mi tylko coś w tym sensie, że na razie tylko mogę zerknąć okiem, jak jej jest. Muszę podkreślić, że we śnie miałam głębokie przekonanie, że żyje i ani w głowie mi powstała myśl, że mogłaby już nie być na tej ziemi. Poszłam za mamą kawałek korytarzem i mama pozwoliła mi zajrzeć do pokoju, w którym mieszkała. Siedziała przy okrągłym stole z jakimiś nieznanymi mi ludźmi, jakby była gdzieś w gościach. Kazała mi wracać do domu i powiedziała: *nie martw się o syna, niedługo wróci.*

Obudziłam się w dobrym nastroju, po moim lęku nie pozostał ślad. W pierwszym odruchu pomyślałam, że mama chciała mnie przekonać, że nie warto martwić się i bać się śmierci na zapas, nie jest ona niczym strasznym, spotykamy się z innymi ludźmi, rozmawiamy, mamy jakieś absorbujące nas sprawy i nie odczuwamy żadnych dramatów z tego powodu. Potem jednak pomyślałam, że Mama mówiła coś o synu, więc ponieważ akurat miał wyjechać na Ukrainę z nieznanym mu zupełnie klientem - Rosjaninem (prowadził wtedy jednoosobową firmę transportową) zadzwoniłam do niego i prosiłam, żeby bardzo uważał. Wrócił wtedy bez problemu, ale w dwa tygodnie później miał wypadek, w którym doszczętnie uległ zniszczeniu samochód, a syn miał połamane oba kolana. Kiedy pojechaliśmy z mężem na parking policyjny odebrać jego rzeczy z rozbitego samochodu, właściciel parkingu przyniósł duży karton, na wierzchu jego leżały te same rzeczy, które przyśniły mi się, i w tym samym ułożeniu, to jest niebieski rulon maty do spania, plecak, śpiwór, kurtka i menażki. Co więcej, uświadomiłam sobie, że tamten sen był czarno-biały, jakiś zamglony, a tylko rzeczy te były kolorowe, bowiem to niebieski kolor maty i fioletowy kolor plecaka spowodowały zwrócenie na nie uwagi.

<u>Sen, a właściwie działkowe sny o mamie</u>

W pierwszym śnie, króciuteńkim, mama stała naprzeciw mnie, niezbyt wyraźnie widoczna, ale w i e d z i a ł a m, że to mama i powiedziała do mnie z gniewem i oburzeniem: *Nie przestrzegasz przepisów!* Ten gniew i oburzenie było takie silne, że natychmiast obudziłam się pełna poczucia winy. O co mogło mamie chodzić? O tego kotleta schabowego zjedzonego w Wielki Piątek? O poczucie złości wobec wszystkich dookoła spowodowane moimi problemami małżeńskimi? O to, że nie poszłam w niedzielę Wielkanocną, jak początkowo planowałam, na grób mamy, tylko zgodziłam się wyjechać z mężem na działkę? O to, że nie będąc w niedzielę Wielkanocną na cmentarzu, nie zapłaciłam za opiekę nad grobem? Potem zaczęłam rozważać, dlaczego użyła takich, a nie innych słów. Nie chodziło jej na pewno o jakieś moralne sprawy, bo powiedziałaby na przykład: *nie postępujesz słusznie* czy *nie przestrzegasz zasad religii.* Ale dlaczego ma pretensję o ten kotlet schabowy (do niego najbardziej pasowało Jej powiedzenie) skoro dopiero w wyniku jego zjedzenia i późniejszych rozmyślań poczułam pewność, że wznowię praktyki religijne. To właśnie zjedzenie kotleta schabowego w Wielki Piątek uświadomiło mi, że nie będę w zgodzie ze sobą, jeśli nie podejdę do praktyk religijnych poważnie, a więc powinnam być raczej za to postanowienie pochwalona, a nie zganiona. W dodatku byłam

przekonana, że ten sen jest bardzo ważny. choć mama była wierząca, ale do kościoła nie chodziła, a raczej chodziła jeśli już musiała).

Wśród tych rozmyślań zapadłam w sen i przyśnił mi się drugi sen o mamie. Ten był dla odmiany bardzo realistyczny, choć przedstawiony świat odbiegał od obrazu codzienności. Tonacja była szaro bura, obraz siermiężny, z jakiejś odległej przeszłości. Sen przedstawiał dworzec i mnie wśród tłoku oczekującą na podstawienie pociągu. Tutaj muszę zaznaczyć, że temat „dworzec" zawsze towarzyszył mi w chwilach ważnych. Będąc młodą dziewczyną malowałam dziesiątki dworców, usiłując na swój sposób odkryć, co w nim takiego ważnego, ale nie udało mi się i karierę malarską zakończyłam, gdy uświadomiłam sobie, że nie można być malarzem jednego tematu, choć jeden z moich dworców zdobył wyróżnienie na wystawie EXPO 58 w Brukseli (miałam wtedy 14 lat) Tak więc od początku snu miałam przekonanie, że jest on ważny, więc zwracałam uwagę na szczegóły.

Śniło mi się, że moja mama, już stara i z trudem się poruszająca, ma jechać do Moskwy. (może tu chodziło tylko o odległość, była to najdłuższa podróż pociągiem jaką odbyłam – wskutek opóźnienia pociągu jechałam dwie doby z hakiem). We śnie pociąg wyglądał raczej jak kolejka wąskotorowa, ławki z drewnianych listewek, wąskie i niewygodne, choć w przeciwieństwie do normalnych pociągów siedziska były ustawiane rozmaicie, wzdłuż i w poprzek pociągu, jak popadnie, bez większego ładu. Powiedziałam mamie, żeby czekała na peronie, a ja zajmę jej miejsce. Udało mi się dostać przed wszystkimi do wagonu i zająć jej jedno z najwygodniejszych miejsc. Peron opustoszał, a mamy ani śladu. Musiałam więc zostawić to zajęte miejsce i pójść poszukać mamy, choć nie miałam pewności, że miejsca nie zajmie ktoś inny. Znalazłam ją na końcu pociągu. Przyczepiono tam dziwaczny wagon, zupełnie odkryty (deszcz siąpił z góry) w dodatku mający zamiast podłogi tylko jakąś metalową kratownicę i dwie czy trzy ławki. Mama siedziała na najmniej wygodnym miejscu, a jej nogi zwisały między prętami kratownicy. Chciałam ją przekonać, żeby przeniosła się do wagonu, ale nie reagowała na moje prośby. Wreszcie, widząc, że gdy pociąg ruszy, nogami może zawadzić o skraj peronu widoczny pod kratownicą, poustawiałam jej nogi na prętach kratownicy martwiąc się, czy długo w tej pozycji wytrzyma. Nogi miała grube, jak słupy, tak jak w ostatnich latach życia, spuchnięte i z widocznymi wylewami, prawie bezwładne, więc ugięcie ich w kolanach i ustawienie w bezpiecznej pozycji zajęło całą moją uwagę. Nie rozmawiałyśmy ze sobą, tylko ja pamiętam swoje duże zmartwienie.

Nagle zobaczyłam ją z daleka, jak pociąg zaczął oddalać się, wstała opierając się na prętach i machając ręką na pożegnanie. Byłam zdziwiona, że wstała, że raptem zrobiła się zupełnie szczuła. Już z tyłu widziałam, że nogi miała szczupłe a na nich buty na obcasie. Sukienkę miała jasną, letnią, ale z tyłu mocno poplamioną na żółto (to pierwsze kolory w moim śnie). I tak znikła z moich oczu.

Obudziłam się drugi raz, nadal księżyc mocno świecił mi w oczy, a ja leżałam i myślałam, co ten sen mógł oznaczać. Wiem, że był bardzo ważny, ale jak go zrozumieć? Że to już ostatnie spotkanie Mamy ze mną, teraz na tym świecie, we śnie. Że życie wieczne, to młodość, jasna sukienka, zdrowe, szczupłe nogi? Ale co oznaczały te plamy na sukience? I dlaczego mama wybrała ten karkołomny sposób podróżowania, zamiast normalnego wagonu?

Moskiewski temat snu wyjaśnił się pół roku później – było to ostrzeżenie, że kontynuacja pewnych przedsięwzięć mojego męża rozpoczętych w Moskwie zaczyna mi on zagrażać. Wiele zdrowia kosztowały mnie anonimowe telefony, które odbierałam w dzień i w nocy do czasu, aż nie zmieniłam

numerów telefonów. Policja nie chciała mi w tej sprawie pomóc, otoczenie też uważało mnie za panikarę.

Każdy z opisanych snów (łącznie ze snem opisanym przy okazji karty Tarota Umiarkowanie") chciał zwrócić moją uwagę na problem, który ujawni się w przyszłości. Problemy były rzeczywiste, konkretne, niemal namacalne. Jednak ja ich nie dostrzegałam dotknięta dziwaczną ślepotą. Nie mogę też zapomnieć snu rok przed śmiercią męża, gdy mama na moje nalegania oświadczyła mi, że nie może się ze mną spotkać, ale wcześniej spotka się z moim mężem „służbowo". Zastanawiałam się, co to oznacza. Mama nigdy nie pracowała, jak więc mogłaby spotykać się z kimś „służbowo"?

Taka czy inna interpretacja była doraźną oceną znaczenia snu. Ale idąc śladem rozważań Piotra Jaczewskiego zadaję sobie pytanie: Czego chciał ten duch?

Pozornie miał całkiem przyjazne zamiary. Chciał mnie ostrzec, uspokoić ale i zaintrygować. W końcu to nie była to jednak moja Mama. Moja Mama nie znała się na kartach Tarota i zapewne odżegnywałaby się od nich. Moja mama patrzyła prosto na mnie i moją siostrę surowym wzrokiem, a nie zerkała jednym okiem zza okularów. Moja mama nie znała pojęcia, że coś może odbywać się „służbowo". Moja mama przestrzegała tradycji, ale nigdy nie była jej maniaczką. Z rzeczy, na które nie miała wpływu, rezygnowała i nie przejmowała się nimi. Nigdy nie zarzuciłaby mi, że nie przestrzegam jakichś przepisów. Uważała je zawsze za uciążliwość, a zaprawiona w bojach z Opieką Społeczną, Ligą Kobiet i innymi instytucjami opiekuńczymi PRL rozumowała w sposób właściwy prostym ludziom – jak się da, trzeba to znieść, ominąć, wyjść drzwiami, a wejść oknem, pojęczeć i popłakać – co w danym momencie najkorzystniejsze.

Czego więc chciał ten duch?

68. Piękni i brzydcy

Odkąd nie muszę rano wstawać do pracy czasem trudno mi się obudzić. Najlepiej w tym celu służy włączenie telewizora, zwłaszcza TVN 24. Przecieram oczy i usiłuję coś odczytać z paska wiadomości. Kiedy litery przestają się rozmazywać, wiem, że jestem obudzona. To, co mówią prowadzący poranny program jest mniej ważne, od coś tam trzeszczą. Czasami jednak jedno czy dwa słowa budzą jeszcze skuteczniej.

Dziś rano po składance widoczków z obchodów Nowego Roku, w której pokazano m.in. osoby spędzające Sylwestra w basenach termalnych Jarosław Kuźnar oświadczył, że niektóre z tych osób mogłyby się zasłonić, bo przecież miały świadomość, że ktoś ich filmuje.

Spieszę uspokoić czytelników: osoby w basenach były ubrane w kostiumy kąpielowe – stosownie do miejsca – bawiły się świetnie w wodzie wznosząc toast kieliszkami. Niektóre z nich wyszły z basenu i tańczyły przed nim – choć naokoło widać było śnieg.

Żądanie aby wszystkie osoby filmowane przez TVN 24 były piękne i młode jest z gruntu idiotyczne. Co ono znaczy? Że nikt nie ma prawa bawić się w wodzie jeśli nie ma idealnej figury? Nonsens. Tak naprawdę na tym filmiku nie było nikogo starego i brzydkiego – wszyscy normalni. Jeden pan z brzuszkiem w slipkach i jedna pani puszysta ale o ładnej skórze i w ślicznym kostiumie. Jedna ładna młódka i tę oczywiście poproszono o wypowiedź, chociaż nie była ona ani specjalnie mądra ani nawet interesująca.

Idąc dalej – tropem myślenia prowadzącego Jarosława Kuźnara – zapewne pokazywanie tzw. „morsów", którzy w większości są starzy i niezbyt urodziwi nie powinno mieć miejsca. Nie jest ważne, że poddają swoje ciało pewnym ekstremalnym doświadczeniom, co ma służyć ich zdrowiu, ważne, że nie są piękni i młodzi.

Wkrótce zapewne na ulicach nie będzie się pokazywało normalnych ludzi, tylko wybrane osoby, których wizerunek zatwierdzą telewizyjni decydenci.

Powszechnie wiadomo, że nikt nie chce oglądać brzydoty, woli piękno (czy to, co uważa za piękno).

Dlaczego więc czuję się u progu Nowego Roku upokorzona, choć mnie nie przyszłoby do głowy spędzać Sylwestra w basenach termalnych?

69. Inne sny, złudzenia i inne duchy (1)

W mojej rodzinie ze strony ojca fakt pojawiania się „snów poprzedzających" (żeby nie powiedzieć „proroczych") był faktem znanym i uważanym za oczywisty. Do legendy rodzinnej przeszły niektóre z tych snów. Były to sny aluzyjne, podobne niektórym filmom, których treści należało się domyślać i wyciągać wnioski z obrazu i wypowiedzi postaci, ale raczej nie zawierały one przekazu dosłownego. Tego typu sny i ja miewam.

Jako przykład może posłużyć mój sen o kratownicy z czasu pobytu z 6-letnim wnukiem na działce zapisany w roku 2005 lub 2006.

Śniło mi się, że wchodzę do jakiegoś bloku na klatkę schodową i brnę niby do mojego mieszkania, ale przeszkadza mi jakaś wredna baba, która ciągnie po schodach kratownicę. Kratownica ta umieszczona jest po pierwsze całkiem na płask, przez co nie zostawia dla mnie miejsca, po drugie babsztyl jest odrażający. Zaczynam się awanturować, czy nie mogłaby tej kratownicy ustawić nieco na sztorc, a wówczas ktoś inny także zmieściłby się na schodach, ale ona nie chce mnie słuchać uważając, że nie mam żadnego prawa mówić innym co mają robić. W końcu oświadcza mi, że jej mąż tyle lat pracował za komuny i należy mu się coś tam z tytułu jego warsztatu pracy (jak zrozumiałam – tej kratownicy). Wskutek tego wszystkiego ląduję zamiast w swoim mieszkaniu (mimo, że ciągle wspinałam się nieustannie po tych schodach w górę) w okrągłym bloku, który często mi się śni i który niby jest jednym z moich zakładów pracy z dawnych lat (choć tamten rzeczywisty budynek wcale nie był okrągły, ale idąc przed siebie korytarzami można było wrócić w miejsce, z którego się wyszło). W dodatku okazuje się, że jestem boso, a w żadnym okolicznym sklepie nie ma butów. Mało tego, nie ma też pomidorów. Jestem kompletnie zdołowana i budzę się. Pożądam pomidorów, a wredne bufetowe złośliwie twierdzą, że po pomidory przychodzi się z rana i jak się na nie zasłuży. Budzę się prawie płacząc. Pocieszam się myślą, że w piwnicy mam jeszcze dużo słoików z przecierem pomidorowym i budzę się na dobre.

Rano z wnukiem rozmawiamy o kretach i o pułapkach na nie. Wnuk rozpakował paczkę z zakupami, więc demonstruję mu kretołapkę i jak ona działa. To taka rura z ruchomymi blaszkami na końcach. Rysuje 12 rysunków (numeruje je od 1—12, w przedszkolu właśnie nauczył się liczyć) o sposobach na łapanie kretów. Rysunki są kompletnie nieczytelne – ale to dziecko tak już ma. Wyjaśnia, że gdy złapiemy krety, wywieziemy je za rzekę i wypuścimy je do lasu, żeby nie ryły nam trawnika, tylko łąki nad wodą. Rysunek numer 8, jedyny czytelny przedstawia kratownicę z mojego snu.

Wnuczek nie wychodzi na dwór, bo pada deszcz, ogląda telewizję satelitarną i bawi się żołnierzykami. Nie widzi, że, w basenie utopił się kret (na basen jest widok tylko z mojej sypialni, ale i tak z daleka niewiele widać), a ja czekam aż wróci syn z wycieczki, wyciągnie go i zakopie. Wnuczek pyta, czy krety boją się wody i ja potwierdzam. On dalej drąży i pyta, dlaczego krety boją się wody, a jednak topią się. Wyjaśniam mu, że może źle oceniły niebezpieczeństwo i strach przeszkodził im myśleć, a ponieważ podobno są ślepe, nie widząc wody mogły nie dostrzec niebezpieczeństwa. Syn wraca z wycieczki, Wnuk rysuje mu kolejno kreta, pisze słowo kret, prezentuje 12 pułapek na kreta, a mój syn głupieje, co ta babcia wyprawia z dzieckiem. Dlaczego prezentuje mu utopione zwierzątko i co gorsza, dyskutuje z nim o śmierci?! Nie ma pojęcia jak krążą myśli w zamkniętym małym domku oblewanym strumieniami deszczu.

Wnuczek wymyśla i rysuje nowe pułapki na krety (jak maszynę, co przerzuca złapane krety przez płot do sąsiada).

Podobna kratownica śni mi się jeszcze raz – we śnie z mamą, opisanym w poprzednich odcinkach.

Co kratownica miała znaczyć, nie wiem do dziś, jednak w obu snach wiązała zupełnie różne z pozoru sprawy i osoby. Jedynym tropem, który przychodzi mi na myśl jest pokrewieństwo brzmieniowe słowa „kret", „kratownica", „krecica" – to ostatnie niepoprawne oczywiście, ale logiczne w danej sytuacji.

W rodzinie ze strony mojej mamy podobno tylko ona miewała sny poprzedzające i była raczej z ich powodu wykpiwana. Jej sny były innego typu: nie było ważne co się śni, fabuła i otoczenie, ważna była osoba śniona i to, co miała zawieszone na szyi. A mogła mieć (jeśli miała) dwie rzeczy: wieniec z białych kwiatów lub spiętych kawałków krwistego mięsa. Wieniec z białych kwiatów oznaczał śmierć tej osoby, wieniec z mięsa także śmierć ale tragiczną – o co w czasie wojny, okupacji i Powstania nie było trudno. Nie wyobrażałam sobie jak to mogło wyglądać, ale odkąd obejrzałam wideoklip z jedną z piosenek Lady Gagi, już wiem. Ojciec zawsze kpił z mamy, że jak postoi się w mięsnym w kolejce, to mogą przyśnić się rozmaite bzdury. Dlatego mama była oszczędna w swoich opowieściach o snach, choć upierała się, że je ma, ale my, jako dziewczynki, uczone w szkole, że jest „jeden naukowy, światopogląd, a reszta to przesądy" nie drążyłyśmy tematu. Wiadomo, uczeni radzieccy, najmądrzejsi w świecie, o niczym takim jak prorocze sny nie informowali.

Zresztą mój ojciec miał także sceptyczny stosunek do snów w swojej rodzinie i dowiedziałam się o nich tylko od innych członków rodziny: ciotki, stryja i dziadka.

70. Inne sny, złudzenia i inne duchy (2)

Najdalsze wspomnienia mojej rodziny o snach znaczących sięgają prababki Anny. Była matką dziewięciorga dzieci, z których najstarszym synem był mój dziadek. Był on oficerem w armii austrowęgierskiej i brał udział w jednej z bitew na froncie włoskim, gdzie został ranny.

Pewnej nocy jego matka, Anna, obudziła wszystkie swoje dzieci, kazała im klęknąć i modlić się, bo Benio jest w niebezpieczeństwie. Podobno stało się to w tym samym czasie, kiedy Benedykt został zraniony i pomyślał o matce. W pewnej mierze opowieść tę potwierdzają pocztówki wysyłane przez dziadka ze Szwajcarii, gdzie leczył się z ran.

Krótki czas po śmierci dziadka Benedykta moja ciotka, jego córka i mój stryj L., syn jego brata, pojechali w Tatry. Tam odwiedzali ludzi, którzy znali dziadka (namiętnie uprawiał wspinaczkę) i z tego powodu ciotka chodziła ciągle zapłakana. W końcu doszli do wniosku, że najlepiej będzie jak wrócą do Warszawy. Mieli w górach spędzić jeszcze jedną, ostatnią noc.

Tej nocy stryjowi przyśnił się dziadek, z rękami założonymi za plecy, jak lubił się przechadzać. Dziadek robił wrażenie niezadowolonego i zdegustowanego. Powiedział im: „Co wy wyczyniacie?! Jak można tak się zadręczać? Co wy sobie wyobrażacie, że śmierć jest kresem wszystkiego?!" Tu zwrócił się do stryja:

„Co, twój ojciec nie żyje? Przecież żyje choć dawno się utopił!" Zdanie to nie miało sensu, ponieważ ojciec stryja żył wtedy i, o ile wiedziano w rodzinie, nigdy się nie topił.

Ciotce śnił się dziadek, mówiący to samo, tymi samymi słowami. Tylko zakończenie było inne: nie mówił o ojcu stryja, a pytał ciotkę, czy już jej lepiej (była spuchnięta od zapalenia okostnej).

Identyczny sen który przyśnił się dwojgu ludzi może budzić rozmaite domniemania, zwłaszcza, że zakończenie każdego snu było inne i niekoniecznie prawdziwe. Równie dobrze mogło być wynikiem sennego porozumienia obojga ludzi jak i porozumienia każdego z nich z *duchem* dziadka.

Mój stryj L. miewał więcej tego rodzaju snów. Kiedyś ledwie zasnął, albo na pograniczu snu i jawy zobaczył przed sobą ogromną czerwoną kulę, pulsującą i przekształcającą się. Z kuli wyłoniła się twarz, w miarę przekształcania się, przyjmującą wyraz twarzy jego stryja, Kazimierza. Twarz ta odsuwała się, ale stawała się wyraźniejsza w miarę oddalania się czerwonej, kulistej formy. Malała coraz bardziej, najpierw do rozmiarów główki dziecka, potem jeszcze mniejszych, aż przeniknęła przez okno i znikła. W nocy stryj rozmawiał z żoną i doszli do wniosku, że postąpili niełądnie. Stryj tak ich wcześniej zapraszał, a nie odwiedzili go, postanowili więc znaleźć czas, aby nadrobić zaniedbanie. Jednak po rozmowie telefonicznej z rodziną dowiedział się, że stryj Kazimierz umarł w tym samym czasie, kiedy go zobaczył. Wcześniej nie mieli zamiaru do niego jechać, ale po tym wydarzeniu pojechali na pogrzeb. Na miejscu okazało się, że jego żona, innego wyznania, urządziła świecki pogrzeb na cmentarzu ewangelickim i nie miało przy nim być księdza. Mimo, że do pogrzebu było tylko dwie godziny stryj znalazł księdza, który zgodził się być na cmentarzu i uzyskał pozwolenie od duchownego ewangelickiego na odprawienie egzekwii przez księdza katolickiego. Stryj uważał, że jego stryj Kazimierz dlatego ukazał mu się we śnie, żeby załatwił sprawę pochówku katolickiego, ponieważ był bardzo głęboko wierzącym człowiekiem.

I jeszcze jeden sen mojego stryja. W tamtym czasie bardzo cierpiał z powodu ataku kamicy nerkowej. Bóle były tak silne, że podobno momentami pragnął śmierci. Kiedyś był bardzo zaprzyjaźniony z sąsiadami z przeciwka: Dziudkiem i Amandą. W tym czasie Dziudek nie żył już od dwóch lat, a jego żona przebywała w Anglii. Stryj znużony cierpieniem przysnął w fotelu (było to w czasie, kiedy jeszcze nie otrzymywał środków przeciwbólowych, dostał je dopiero w dniu następnym). Przyśnił mu się zmarły sąsiad wołający żonę: „Amandziu, pomóż mu! Amandziu pomóż mu! On tak cierpi, on tak cierpi.”. Żona przyłożyła we śnie ręce w bolące miejsce i ból zelżał. Następnego dnia Amanda dzwoni z Anglii i deklaruje, że przyspieszy powrót ponieważ w nocy przyśnił jej się mąż i powiedział jej: „Amanda, pomóż mu, pomóż mu”. W jej śnie powodem konieczności pomocy było to, że stryj rzekomo przyjechał do Anglii i zabłądził, czy też samochód mu się popsuł, w każdym razie potrzebował pomocy.

I w tym śnie widać pewne pomieszanie. Więź między małżeństwem i zaprzyjaźnioną z nim osobą w jakimś sensie wykracza poza próg śmierci. Z drugiej strony widać jak umysł śniącej przetwarza wołanie zmarłego męża, buduje jakąś fabułę, racjonalizując jądro snu – wołanie o pomoc – i próbując tego dokonać schodzi na fałszywą ścieżkę. Jednocześnie te senne przekazy między trójką ich bohaterów zaowocowały ustaniem, przynajmniej chwilowym, bólu.

Powstaje pytanie: komu łatwiej pomylić się w przewidywaniu przyszłości: zmarłemu członkowi rodziny czy żyjącemu śniącemu? Odrzucając niepotwierdzone wierzenie, że zmarły w zaświatach wie już wszystko, sądzić należy, że to śniący produkuje swoje proroctwa i jego niedoskonałe przewidywania i spekulacje znajdują odbicie w pomyłkach i racjonalizacjach. Stając się prorokiem przyszłości wykorzystuje swoich zmarłych przodków jako tubę przekazu. W antycznych dramatach ważne prawdy wygłaszał zawsze chór, w naszych snach czynią to zmarli przodkowie.

Ale czy na pewno? I czy zawsze?

71. Inne sny, złudzenia i inne duchy (3)

Przywidzenie nad jeziorem

Teraz napiszę o swoich przywidzeniach i/lub snach. Pierwsze z nich zapisane to przywidzenie nad jeziorem wśród spławianych bali. Właśnie na skutek tego przywidzenia zaczęłam zapisywać także i swoje niektóre sny.

Wracaliśmy z dziećmi z wczasów na Mazurach w roku 1975 lub 1976 samochodem (jeszcze syreną) i zatrzymaliśmy się na odpoczynek i zjedzenie drugiego śniadania nad brzegiem jeziora. W miejscu tym pełno było spławianych bali i żeby dotrzeć do wody trzeba było po tych balach skakać. Bałam się, że chłopcy wpadną do wody i odciągnęłam ich od brzegu do lasu.

Byłam mocno rozgrzana słońcem i po wejściu do ciemnego, gęstego lasu mój wzrok jeszcze nie przyzwyczaił się do innego oświetlenia. Zaglądaliśmy pod krzaki jałowca, gdzie rosły zazwyczaj podgrzybki. Szukając grzybów kątem oka zwracałam uwagę na to, gdzie podziewają się dzieci, żeby przypadkiem nie zagubiły się w lesie. Możliwe, że nagłe przejście z jaskrawego światła do zacienionego lasu i ciągłe utrzymywanie w napięciu wzroku zajętego jednoczesnym szukaniem grzybów i oglądaniem dzieci kątem oka, było przyczyną tego niezrozumiałego zjawiska, które potem skojarzyłam sobie ze śmiercią koleżanki, możliwe jednak, że było to jedno z tych dziwnych zjawisk, które trudno wytłumaczyć.

Zaglądając pod wielki krzak jałowca zobaczyłam grzyba, a ponieważ z boku mignęła mi jakaś postać, którą uznałam za syna, powiedziałam do niego, żeby wpełzł głębiej pod krzak i wyrwał podgrzybka. Ponieważ nie reagował, odwróciłam głowę w bok i spojrzałam. Obok mnie stało coś białego, przejrzystego; jednocześnie miałam świadomość, że to nie jest realne, choć wcześniej wzięłam to coś za syna, a jego obecność była jak błysk i wcale nie byłam pewna, czy to coś widziałam, czy odczuwałam. W każdym razie mignęło mi i znikło.

Nazajutrz, już w pracy dowiedziałam się, że mniej więcej o tej porze zginęła w wypadku moja koleżanka. Nie byłam z nią specjalnie związana, ale znałyśmy się dość dobrze. Jednak gdyby ktoś mi powiedział, że mnie wybrała, żeby mi się pokazać po śmierci, byłabym zdziwiona. Nie było żadnego po temu powodu – nie tak jak w czasie snu lub przywidzenia mojego stryja.

Wrażenie było jednak bardzo silne i zostało na długo, ponieważ był to pierwszy przypadek niewytłumaczalnego w moim życiu.

Do tego muszę dodać, że kilkakrotnie trafiałam w miejsca, gdzie podobno ludziom pokazywała się Matka Boska (na wieży kościoła na Nowolipkach), czy ludzie tragicznie zmarli (rodzina, która zabita przez pociąg w tunelu pod Dworcem Gdańskim podobno odcisnęła swój ślad na ścianach tunelu) itp. Mimo wielkiej ilości osób wokół mnie oglądających te zjawiska i całkowicie pewnych, że je widzą, ja nie widziałam nic i prawdę mówiąc, byłam tym zdziwiona – Jak to?! Wszyscy widzą z wyjątkiem mnie? Jestem ślepa, czy co? – Dlatego sądzę, że nie jestem podatna na sugestie otoczenia (co nie znaczy, że na autosugestię).

Sen o ciotce

Moja ciotka, siostra ojca, jak wszystkie osoby z mojej rodziny po linii ojca – z wyjątkiem samego ojca, była polonistką z wykształcenia i nauczycielką. Studia kończyła w Wilnie, rozpoczęła nawet tam pisanie pracy doktorskiej, jednak perspektywa wojny i inne rodzinne sprawy zmusiły ją do połączenia się z resztą rodziny. Była bardzo mądrą osobą, łagodną i wyważoną, niezbyt praktyczną. Fizycznie jestem do niej bardzo podobna, charakterem i temperamentem jednak nie. Zawsze łączyła nas jakaś więź mimo, że po odejściu mojego ojca od mamy i wojnie między rodzicami wszelkie kontakty między mną a rodziną ojca zostały zerwane. Dopiero po śmierci ojca zbliżyłyśmy się, ale wkrótce i ona umarła.

Sen ten przyśnił mi się dwa dni po rocznicy jej imienin w czasie intensywnej pracy na działce nad „Historią rodziny", rozmyślaniu o niej i próbach przypomnienia sobie informacji, na które kiedyś nie zwracałam uwagi, a które teraz bardzo przydałyby mi się. Próbowałam też zastanowić się, gdzie jeszcze mogłabym szukać informacji o rodzinie.

Śniła mi się ciotka przeglądająca notatki przed lekcją. Miała mnóstwo kartek i karteczek i jeden maszynopis. Powiedziała mi: mam maszynę do pisania i teraz wszystko, co jest ważne, mogę zapisać.

Potem przyszedł człowiek, może dyrektor jej szkoły i oświadczył: S. powiedziała, że teraz masz za nią uczyć. Nie powiedział, kogo ani czego. Zaczęłam przeglądać notatki S., żeby dowiedzieć się, przynajmniej czego mam uczyć, ale tylko zrozumiałam, że moja nauka ma dotyczyć różnicy między „słowem" a „wyrazem". Męczyłam się we śnie żeby zdefiniować tę różnicę, zaglądałam do notatek S., ale wszystkie kartki okazały się puste. Dyrektor powiedział mi: musisz poszukać jej notatek pisanych na maszynie, wtedy zrozumiesz, o czym ma być lekcja.

Obudziłam się, ale problem nadal mnie nurtował. Sen był tak wyraźny i sugerujący istnienie nieznanych mi materiałów, pomocnych w pisaniu „Historii rodziny", że przy najbliższej okazji zaczęłam dopytywać się jej męża, czy przypadkiem nie przeoczył gdzieś notatek S. L. zaprzeczał, ale trudno mi było w to uwierzyć. W końcu, przyciskany, dowiedziawszy się o moim śnie, powiedział mi, że S. pisząc swoją, nigdy nie dokończoną pracę doktorską, prowadziła notatki na drobnych kartkach, ołówkiem lub różnokolorowym atramentem. Kartki te były różnego formatu. Notatki te podobno zostały zniszczone w czasie przechowywania w piwnicy, to znaczy pogryzione przez myszy. L. próbował je kiedyś odczytać, ale nie udawało mu się (może, jak w moim śnie, kartek tych nie dawało się przeczytać i dlatego S. nasunęła mi myśl o maszynopisie). L. stanowczo twierdził, że notatki te nie zawierały żadnych innych treści, ani związanych z rodziną, ani z S. osobiście. Co do maszynopisu, to podobno S. nie umiała pisać na maszynie i wszystkie teksty, które wymagały takiego napisania, powierzała mężowi.

Nurtuje mnie jeszcze jedno pytanie: Czy usilne rozmyślania w moim śnie dotyczące różnicy między „słowem" a „wyrazem" mają jakieś znaczenie, czy nie są pewnym tropem, który ujawni się w swoim czasie? Cóż może wyjaśnić słownikowa informacja, że słowo jest zespołem dźwięków mowy, odpowiadającym jednemu pojęciu, a wyraz znakiem pewnego przedmiotu lub pewnej treści – inaczej zapisem słowa? Kiedy opiniowałam akty normatywne, poprawiano mi zawsze „słowo" na „wyraz" (wyraz taki a taki należy zastąpić innym wyrazem). Miało to sugerować, że czepiam się nie wymowy aktu, a sformułowań, choćbym czepiała się naprawdę jego wymowy. Typowy przykład: zastąpić wyraz „należy" wyrazem „powinno się" lub „wskazane jest" – choć przecież chodzi o „słowa" i ich znaczenie, a nie o zapisane „wyrazy". Ale to już tajemnica biurokracji.

Sen o ciotce w nocy 6/7 października 2000 śniony w czasie choroby z bardzo wysoką gorączką

Odprowadzam skądś S.; jest zima, dookoła zwały lodu, choć jezdnia oczyszczona i mokra. Wiem, że S. chce mi się zwierzyć i przeczuwam, że dotyczy to jej męża. S. mówi: *może rozstaniemy się, jeszcze nie wiem. On tak zaangażował się w opiekę nad tą całą „Stokrotką"* (możliwe, że „Margerytką", dziś nie jestem już tak pewna, w każdym razie w miarę, jak S. mówiła, odnosiłam wrażenie lekko złośliwego określenia dotyczącego „słodkiej naiwnej" lub kogoś w tym rodzaju). I dodaje z oburzeniem: *Wiesz skąd on wziął? On po prostu ją kupił w domu publicznym!* Dochodzimy do wielkiego zwału śniegu i lodu w poprzek ulicy. Jest on wysoki, wyślizgany, jak od zjeżdżania sankami. Nie da rady przejść tego zwału, więc omijamy go, S. z prawej, ja z lewej strony. Za tym zwałem już nie spotykam S. Budzę się i chwilę dochodzę do siebie. Zastanawiam się, że S. mówi „dom publiczny" a nie na przykład „agencja towarzyska"; (to takie staroświeckie) jak bym ja powiedziała i wtedy dochodzi do mnie fakt, że S. nie żyje i że gdy umierała, nikt jeszcze nie słyszał o „agencjach towarzyskich". Potem myślę, czy S. po to mi to powiedziała, żeby spytać jej męża o ową „Stokrotkę". Układam w myślach jak najlepiej to zrobić, żeby słowa o „Stokrotce" nie dały jej mężowi do zrozumienia, że cokolwiek interesuje mnie jego prywatne życie. W końcu po śmierci żony ma prawo do innych związków. Ja chcę sprawdzić tylko trafność sennej informacji.

— *S. mówiła mi we śnie, że zaopiekowałeś się kobietą imieniem Stokrotka? Czy tak?* Ale czy „Stokrotka" jest jej imieniem, przezwiskiem czy tylko skojarzeniem S.? Jak o coś takiego spytać? Potem zasypiam. Jednak do dziś nie tracę poczucia niesłychanej realności owej rozmowy

Na imieninach M. 12 października tegoż 2000 roku wspominam, że ostatnio śniła mi się S., z którą byłyśmy na spacerze. Mąż S. zmienia temat. Już nie lubi prowadzić, jak kiedyś, rozmów, w których wspomina się o niej lub o ich wspólnych sprawach. Czas wiele zmienia.

W początku roku 2001 wyczytuję gdzieś, że kwiat margerytki jest symbolem złego prowadzenia się.

3 maja 2001 roku na imieninach męża S. poznaję niejaką J., jego sąsiadkę z góry. Pani J. jest miłą, choć nieco afektowaną kobietą, młodszą znacznie od nas wszystkich, pracującą, prawdopodobnie z wyższym wykształceniem, bowiem o tych studiach wspominała. Jest samotna, o czym też wspominała. Zupełnie nie pasuje do obrazu „kobiety zakupionej w domu publicznym". To pewnie znowu jakieś senne przekłamanie.

A jednak... Ma granatową sukienkę w białe margerytki czy też stokrotki.

72. Inne sny, złudzenia i inne duchy (4)

Czas na opis snów i zdarzeń mających związek ze sprawami ogólnymi. Taki sen poprzedzający przydarzył mi się raz i pewne złudzenie, a właściwie głos podpowiadający – też raz.

Głos podpowiadający „nawiedził" mnie tuż po katastrofie lotniczej w Lesie Kabackim w 1987 roku. Siedziałam przy otwartym oknie w moim mieszkaniu, z którego słychać czasami sygnały karetek jadących Doliną Służewiecką. Kiedy usłyszałam ten dźwięk, coś w mojej głowie „powiedziało" – *samolot spadł*.

Nieco bardziej skomplikowana i dziwaczna była sprawa z katastrofą „Twin Towers – World Trade Center" w Nowym Jorku w 2001 roku. Obudziłam się w nocy, gdy jeszcze było ciemno (godzina nieustalona) i przywidziało mi się, że muszę wstać i wyciągnąć z regału książkę. Wstałam więc (wówczas jeszcze nie wstawałam w nocy do toalety, a nigdy nie lunatykowałam) i podeszłam w tym półśnie do regału stojącego naprzeciw mojego łóżka. Sięgnęłam na półkę i po ciemku wymacałam trylogię Tolkiena – wydanie jeszcze z lat pięćdziesiątych. Wyciągnęłam środkowy tom i położyłam go na stoliczku na kółkach obok łóżka – gdzie zawsze kładę czytane książki i gazety.

Kiedy obudziłam się rano znalazłam „Dwie wieże" i przypomniałam sobie nocne wstawanie. Byłam zdziwiona i odłożyłam książkę z powrotem na półkę; nie miałam zamiaru bowiem po raz któryś jej czytać, w dodatku od środka. Około 10-ej rano włączyłam telewizor i zobaczyłam transmisję uderzenia w pierwszą wieżę. Druga jeszcze wówczas stała.

Miewam czasem dziwaczne sny, które wydają mi się ważne, ale których nie potrafię zinterpretować i powiązać z jakimiś wydarzeniami. Opiszę tu mój sen o pojazdach (statkach kosmicznych?) , ponieważ nie miał on moim zdaniem żadnego specjalnego znaczenia, jednak wykorzystany i przetworzony literacko przyniósł klęskę kolejnym przedsięwzięciom wydawniczym zawierającym ten motyw. Opowiadanie uznano za bardzo dobre, ale zawsze było albo za długie albo za krótkie, albo nie odpowiadało linii antologii wydawnictwa albo nie dawało się symetrycznie podzielić na odcinki. Ostatni zarzut dotyczył tego, że jego związek z tematyką innej antologii był zbyt luźny. Zresztą od klęski tego opowiadania zaczęła się moja kilkuletnia niemoc twórcza.

Śniło mi się, że jechałam pociągiem i pociąg ten dojeżdżając do Warszawy przejeżdżał przez most kolejowy na Wiśle. Jak w normalnej rzeczywistości, doskonale było widać oświetlone Śródmieście z Pałacem Kultury. Pociąg jechał bardzo wolniutko i w połowie mostu zwróciłam uwagę na poruszający się równolegle pojazd. Płynął bezgłośnie nad wodą na wysokości pociągu i był konstrukcją przypominającą wielki helikopter czy statek, jednak był wielopoziomowy i całkowicie przezroczysty. Zarysy statku i znajdujących się tam istot (raczej to byli ludzie) były widoczne dlatego, że światła Śródmieścia i ich odbicie w wodzie w jakiś sposób kolejno odbijały się od przezroczystej powierzchni statku pozwalając miejscami widzieć wszystkie zarysy: konstrukcji, maszynerii i ludzi (istot) na statku. Widok był bardzo piękny, delikatny, a jedyne uczucie, jakie we mnie budził, to było zdziwienie, że dane mi jest to widzieć, choć to wydarzenie tajemnicze i wyjątkowe.

Gdy skierowałam wzrok ku górze zauważyłam, że nie jest to jedyny statek. Właściwie całe niebo pełne było takich pojazdów, poruszających się spokojnym, płynnym ruchem, o rozmaitej wielkości i

odmiennych konstrukcjach. Potem kąt widzenia zmienił się i światło ze Śródmieścia zaczęło inaczej padać na wodę i widok statków znikł.

Sen ten był tak realny i pełen zagadek (istoty na statkach wykonywały rozmaite niezidentyfikowane czynności posługując się dziwnymi choć doskonale widocznymi narzędziami), że chwilami miałam wrażenie iż nie był to sen, tylko gdzieś tę scenę widziałam. Dodam jeszcze, że moja siostra, która pierwsza, jeszcze przede mną interesowała się literaturą SF (i miała zawód uprawniający ją do tego – inżynier automatyk ze specjalizacją robotyka) miała bardzo podobny sen w tym samym okresie. U niej jednak statki unosiły się w dzień nad miastem.

Jednak i w realu przydarzały mi się zdarzenia dziwne i niezrozumiałe. Pierwszym z nich był prawdopodobnie coś, co nazwałam „bolid na Lemanach"

Było to dziwaczne zjawisko zaobserwowane na wsi Lemany. Pojechałam tam w bodajże czwartej klasie szkoły podstawowej na wakacje z mamą i panią S. Mama przyjaźniła się z panią S., ale przyjaźń ta nie była symetryczna. Państwu S znakomicie się powodziło, a moja mama, nie mając żadnych źródeł dochodów i będąc bardzo schorowaną, utrzymywała siebie i nas z zasiłków Opieki Społecznej. Jolusia S. miała kłopoty z czytaniem i ja miałam ją podkształcić w tym zajęciu. W tym celu siadywałyśmy godzinami na łące nad rzeką i Jolusia dukała z książki opowiadania. Nawet mam zdjęcie z Jolusią na tej łące. Zajęcie dla mnie było bardzo nudne, ale ponieważ przebywałyśmy z grzeczności pani S., w wynajętym przez nią domu na tych wakacjach, nie mogłam się od niego wykręcić. Czasami jednak miałam trochę czasu dla siebie, gdy mama wołała Jolusię na kolację, ja mogłam poleżeć trochę sama na łące i poczytać swoją książkę, o wiele bardziej interesującą, niż baśnie Jolusi.

Kiedyś prawdopodobnie zasnęłam na tej łące nad rzeką i obudziłam się, gdy zapadał już zmrok. Leżałam chwilę wpatrzona w niebo (widać było gwiazdy, ale nie było księżyca) aż zaczęły mnie gryźć komary czy inne owady. Pamiętam doskonale, że z ich powodu postanowiłam wracać. Wstałam więc i stałam, gdy nagle nad moją głową, niesłychanie nisko, przeleciała świecąca kula. Podmuch i świst, hałas, jaki usłyszałam spowodował, że przewróciłam się na ziemię i odruchowo zakryłam rękami głowę. Dlatego też nie widziałam dokładnie kuli, ale było to najbardziej realne zjawisko, jakie można sobie wyobrazić. Kula błyskawicznie znikła za horyzontem.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że nikt nic nie widział, ale słyszeli hałas; sądzili że to przeleciał nisko jakiś samolot. Nie wgłębiałam się w tę sprawę, ponieważ zawsze w rodzinie powtarzano, że mam bujną wyobraźnię, więc bałam się ośmieszenia. Zresztą starałyśmy się swoimi sprawami jak najmniej zawracać głowę pani S.

W przeciwieństwie do innych moich doznań, to było niesłychanie realne. Dlatego też przypuszczam, że mógłby to być jakiś bolid spalający się w atmosferze. Parę lat temu przeczytałam artykuł, w którym informowano że naukowcy potwierdzili subiektywne istnienie dźwięku wydawanego przez przelatujący bolid i zastanawiali się nad jego przyczyną, ponieważ tarcie o atmosferę spalającego się ciała nie mogło emitować dźwięku realnego, ponieważ był zbyt odległy od obserwatora. Wcześniej gotowa byłam uwierzyć, że to moja buntownicza natura znalazła odbicie w fantastycznej interpretacji zjawiska spadającej gwiazdy – skoro coś spada, musi świszczeć i wyć, bowiem upadek w ciszy przekracza moje zrozumienie. Jednak tej interpretacji przeczył fakt, iż nie miałam poczucia, że coś spada , tylko czułam, że coś leci.

Innym zjawiskiem niewytłumaczalnym dla mnie było pękanie szklanki w moim poprzednim mieszkaniu w Alei Lotników.

Kilkakrotnie zdarzyło mi się, gdy siedziałam przy stole i myślałam o jakichś kłopotach czy trudnościach, bezmyślnie wpatrując się w pustą szklankę po herbacie (wówczas jeszcze nie było szkła typu arcoroc, szklanki robiono z normalnego, cienkiego szkła), stojącą na stole, że szklanka ta pękała. Działo się to tylko w mieszkaniu na Al. Lotników i potem, raz na działce, gdzie wywiozłam niedobitki szklanek z czasów PRL – umieszczanych w metalowych lub plastikowych „koszyczkach".

Mogły być tego dwojakie przyczyny. Mieszkanie to, narożne w bloku bardzo łatwo podchwytywało drgania pochodzące z przejeżdżających jezdnią ulicy ciężkich samochodów. Często od nich drżały szyby w mieszkaniu. Jednak szklanki pękały wyłącznie w opisanych okolicznościach – ponurych rozmyślań.

Druga przyczyna mogła wiązać się z moim ówczesnym stanem nerwów. Było to tuż przed nadejściem okresu przekwitania, kiedy moje trudności nasilały się, ale kiedy jednocześnie miałam najwięcej siły i woli, żeby coś w swoim życiu zmienić. Nie zmieniłam oczywiście nic, poza tym, że trzy czy cztery razy spowodowałam (?) pęknięcie szklanki.

Na działce grały emocje, gdy kilka godzin po wyjściu ze szpitala w Siemiatyczach po rozpuszczeniu zakrzepu w tętnicy szyjnej, otrzymałam na komórkę anonimowy telefon z groźbami. Wówczas pękły na raz trzy brudne szklanki w plastikowych pomarańczowych koszyczkach. Szklanki w koszyczkach metalowych ocalały. Mnie się nic nie stało.

Tutaj muszę wspomnieć o mrowieniu w brzuchu. Jest dziwacznym odczuciem, poprzedzającym niektóre zdarzenia w moim życiu. Zawsze poprzedzało pękanie szklanki. Raz wystąpiło przy słuchaniu w radio jakiejś robiącej wrażenie melodii. Najczęściej doświadczam go przed zaśnięciem na działce, szczególnie silne jest przed snami znaczącymi. Wiązałam go z faktem, że nad moim łóżkiem wahadełko zachowuje się jak oszalałe, że na podcieniu domu pod oknem, przy którym stoi moje łóżko, zawsze budują gniazdo osy i gromadzą się bezpańskie okoliczne koty i że śpię na materacu, na którym umarła moja mama. Może to być ciek wodny, ale i możliwe jest coś innego.

Uczucie to przypomina wibrowanie i umiejscowione jest trochę poniżej żołądka, ale w żadnym określonym miejscu mojego ciała. Nie wiąże się z żadnym bólem. Czasem powoduje poważne przyspieszenie akcji serca, do tego stopnia, że muszę przed snem zażyć dodatkową dawkę lekarstwa zwalniającego rytm. Nie występuje rano, ale zawsze bezpośrednio po położeniu się do łóżka, potem zanika, czasem powraca w środku nocy.

W Warszawie się nie zdarza.

Oprócz opisanych snów poprzedzających, trzy lata temu przydarzył mi się ostatni z takich snów. Był to jednocześnie pierwszy ze snów, w których występował zmarły mąż. Do tamtej pory nie śnił mi się, z wyjątkiem jednego snu, kilka dni po śmierci. Potem już nie.

I wówczas przyśniło mi się, że nocujemy u naszych znajomych, u których kiedyś zostaliśmy na noc przed laty po dłuższej balandze. Mam nawet fotografię z tamtego miejsca i tapczanu półki na którym nas położono w ubraniach i wygłupiających się z kieliszkami i butelką szampana. Sen powtórzył tamtą sytuację. Śniło mi się, że budzę się właśnie w tym miejscu i patrzę na półkę nad tapczanem. Stoi tam

radioodtwarzacz, który gra jakąś melodię. Mężowi ta muzyka się nie podoba i każe mi włączyć jakąś płytę. Nastawiam więc płytę leżącą obok na półce i na wyświetlaczu aparatu pokazuje się pasek z wiadomościami jak w TVN 24 lub TVP Info. Na pasku tym czytam: „Zginął śmiercią tragiczną...” Przerażona budzę się.

W noc przed śmiercią mój mąż obudził się, zawołał mnie i opowiedział swój sen, w którym wieczorna wiadomość obejrzana w telewizji o śmierci jakiegoś żołnierza w Afganistanie spowodowała, że nabrał przekonania iż zmarły żołnierz był członkiem jego rodziny. Tuż przed chorobą mąż badał genealogię swojej rodziny, a była ona bardzo rozległa. Każda tabela jednej linii pradziadka (a było ich kilku) zajmowała kilkanaście stron. Mąż prosił mnie, żebym rano sprawdziła kim był ten żołnierz, który zginął. Nad ranem zmarł i sprawa poszła w zapomnienie.

Przypomniałam sobie to wydarzenie i wiązałam ów sen z tamtą sprawą. Zaczęłam więc szukać informacji o tym zmarłym dwa lata wcześniej żołnierzu i zajęta byłam tym do chwili kiedy otrzymałam sms od bliskiej mi osoby o zamiarze popełnienia samobójstwa.

Zdążyłam zapobiec temu zamiarowi. Udało mi się ściągnąć tę osobę do mnie, a potem znaleźć namiary na doskonałego lekarza leczącego depresje, załatwić dojście do niego i ekspresowe przyjęcie oraz podjąć cały szereg kroków, które spowodowały, że obecnie nic takiego już nie grozi.

Na koniec napiszę o zdarzających się mi często snach o zwierzętach. Nie są to sny poprzedzające ani specjalnie ważne, choć zawsze są koszmarami. W snach tych przyjazne mi dotychczas zwierzęta jak pies bernardyn, tygrys i lew nagle stają się groźne. Przykładem jednego z takich snów jest sen o tygrysie.

Ale o tym następnym razem

73. Czym się podniecano w roku 1915?

Pisząc swoją książkę z okresu dwudziestolecia międzywojennego przekopałam mnóstwo ówczesnych gazet i wydawnictw, także ezoterycznych. Tych nie będę tym razem przywoływać, kierunek ich sugestii i zainteresowań jest oczywisty. We wstępie do swojego bloga obiecałam, że niczego nie będę cytować, ale muszę tę obietnicę złamać. Zainteresowania prasy codziennej, opisy, konkluzje i interpretacja faktów, a także snute przypuszczenia i prognozy z okresu dwudziestolecia międzywojennego są tak smakowite, że nie mogę cytowania ich sobie odmówić. Tak więc: cyt, cyt – na potrzeby tego przeglądu prasy zawieszę swoją obietnicę.

Na początek „Kuryer dla Wszystkich" numer 42 z 11 lutego – roślinka do ogródka Wojtka Jóźwiaka piszącego o kolei Warszawsko-Wiedeńskiej: sensacyjna wiadomość: — „Wczoraj na dworcu kolei Warsz.-Wied. wywieszono ogłoszenie, że od dnia dzisiejszego kasa biletowa sprzedawać będzie bilety dla publiczności bez ograniczeń do Jaktorowa i Żyrardowa"

W powodzi wiadomości z frontów i z kraju ta brzmi wyjątkowo optymistycznie.

Bo czyż można cieszyć się z tego, że „magistrat wystąpił do warszawskiego generał-gubernatora o podwyższenie wykazanej w taksie ceny na świece w sprzedaży hurtowej, a mianowicie z 14 na 14 rb.50 kop., za pudełko" czy „W Warszawie istnieje gatunek kupców hurtowników zwanych zapaśnikami ponieważ ukrywają w sprytny sposób zapasy towarów..." ?

Czyż można przyjąć obojętnie wiadomość, że „Kaliski Komitet Obywatelski postanowił dać dzieciom zajęcie w schroniskach, a mianowicie urządzić wyrabianie papierowych torebek. Wobec tego Kaliski K.O. uprasza ludzi dobrej woli o łaskawe nadsyłanie starych gazet i starego papieru pod adresem Komitetu (Hoża Nr 12 m. 1)"

Albo informację z numeru 134 z 17 maja 1915, że „Niezwykle wysoka zwyżka ceny owsa pochłania już prawie całkowicie zwyżkę zarobków dorożkarskich skutkiem podniesienia taksy taksy prawie o 50%. W dodatku z podniesieniem taksy publiczność już zupełnie unika dorożek niezaopatrzonych w obręcze gumowe zmuszając najbiedniejszych dorożkarzy do takiego wydatku wynoszącego około 200 rubli i zmianę osi na oliwne, nie smarowane mazią. Najubożsi więc dorożkarze posiadający powozy stare, na żelaznych obręczach cierpią wielką biedę i ukazują się na mieście tylko nocą gdy publiczność z konieczności posługuje się nimi." Zapewne dokuczały ludziom z tego powodu nocne hałasy, ale tym prawdopodobnie nikt się specjalnie nie przejmował.

W numerze 102 z 14 kwietnia mamy bulwersujące dzisiejszego czytelnika w dziale ogłoszeń drobnych następujące ogłoszenie: „Dziewczynka dwutygodniowa do oddania na własność. Żórawia 9 m. 32" Nawet nie ma formuły *oddam w dobre ręce* – którą stosuje się dziś w przypadku piesków i kotków.

Podane cytaty wyraziście charakteryzują Warszawę tamtych czasów. Trwa wojna, ludzie są biedni. Docierające wiadomości z frontów mogą przyprawiać o dreszcze, jak poniższa, w tymże numerze 102 zatytułowana „Niemcy w Lille". Czytamy w niej:

„Wśród oddziałów niemieckich Lille zajmujących, powstał bunt z następującego powodu. Zmarłych swoich żołnierzy czy to skutkiem ran, czy też skutkiem chorób, grzebać każą pod miastem, używając

w tym celu miejscowej ludności lecz w jej braku każą to czynić swoim szeregowcom. Zdarzyło się iż dwóch z nich do tej czynności delegowanych powróciło do koszar bardzo wzburzonych, opowiadając, iż kazano im wapnem niegaszonem zalewać niby to zwłoki ale w rzeczywistości jeszcze żywych ludzi. Mówili to głośno, wywołując oburzenie towarzyszy takim rozkazem władzy, powstał wreszcie jawny bunt. Władze bez zwłoki rozkazały przywódców buntu rozstrzelać, lecz bawarski następca tronu, kwaterę swą w Lille mający, wpływem swym sprawę załagodził i lżejszą karę przestępcom wyjednał."

Jakie znaczenie wobec tych okropności ma jedna dwutygodniowa dziewczynka do oddania na własność? Nie czytamy przecież, że zaniechano praktyki zakopywania żywcem rannych i chorych, tyle tylko że sprawców doniesienia ukarano łagodniej.

Mimo wszystko ludzie byli bardzo ofiarni. Z numeru 45 z 14 lutego 1915 roku możemy dowiedzieć się, że zebrano ofiary na organizację Legionów Polskich — pieniądze wg spisu nazwisk + 216 medalików, 6 szalików i sznury(?). Także „Ofiarowało się u siebie przezimować woły dla Królestwa Polskiego 73 ziemian z Litwy i Rusi bezpłatnie, a dziesięciu za drobną opłatą. Ilość sztuk waha się między kilkudziesięciu a 100. Niektórzy jednak chcą przezimować bezpłatnie nawet 250 sztuk. Spodziewane są jeszcze duże zaofiarowania lokat dla wołów i krów w guberniach południowych oraz na Litwie i Białorusi."

Jeszcze tak niedawno...

Uwaga: zachowałam w cytatach pisownię oryginalną

74. Z czym walczono, a co tolerowano w roku 1924? (1)

Dwudziestolecie międzywojenne obfitowało w wydarzenia i opinie, które w dzisiejszych Polakach budzą przynajmniej zdziwienie albo wydają się co najmniej dziwaczne, jeśli nie całkowicie śmieszne, a czasem niesmaczne. Obraz tego świata przybliżyć nam może „Stołeczny Kurjer Wieczorny" – gazeta dostępna za zaledwie 10 groszy, reklamująca się jako najtańszy popularny dziennik informacyjny. Liczył sobie zazwyczaj 4 strony. Zawierał on przede wszystkim wiadomości polityczne, ale także mnóstwo sensacji i wiadomości z dziedziny obyczajowej i społecznej, mody, zdrowia i urody. Taki groch z kapustą.

Na pytanie „z czym walczono" nie ma jednej dobrej odpowiedzi.

Przede wszystkim walczono z przesądami. Lub z tym, co za przesądy uznawano, bo, zwłaszcza w dziedzinie zdrowego trybu życia, przesądy lub to, co uważamy za nie dziś, przeważały. Jak dziś – walczono z sektami – tyle, że sekty trochę inaczej wyglądały i inaczej działały. No i przed wszystkim – jak dziś – walczono z komunistami. Wszystko co komuniści wymyślili było: po pierwsze głupie, po drugie śmieszne i po trzecie: szkodliwe. Komuniści też walczyli z przesądami. Tylko innymi. Na początek o walce komunistów z przesądami:

W numerze 8 z 9 października w notce **„Napad komunistów na modlących się żydów"** czytamy:

„Wczoraj jak wiadomo obchodzili żydzi uroczystość sądnego dnia. O godzinie 11 rano w przepełnionej synagodze przy ulicy Leszno 49 odbywały się właściwe uroczyste modły, gdy naraz rozległy się okrzyki :

Precz z przesądami! Nie usypiajcie narodu religijnemi narkotykami poczem na głowy modlących runął z góry prawdziwy deszcz papierowy w postaci komunistycznych odezw i rysunków antyreligijnych.

Oburzeni żydzi ortodoksi rzucili się z pięściami i książkami na heretyków. Po chwili zawrzała formalna walka w synagodze. Zatrzęsły się z oburzenia fale modlących się żydów i rzuciły się na profanujących dom Boży komunistów.

Darto szaty, wydzierano sobie włosy z głowy i drapano się po twarzy.

Na miejsce przybyły oddziały policji politycznej które dokonały aresztowania kilkunastu komunistów.

Przy aresztowanych znaleziono różne odezwy antypaństwowe i antyreligijne.

Wśród aresztowanych komunistów są specjalni delegaci przybyli ze Lwowa, Krakowa, Łodzi itp."

Podobnie jak dziś walczono z sektami. Tylko ówczesne sekty były inne.

Można przeczytać o tym w numerze 22 z 25 października w artykule „**Nowa sekta religijna w Bekesszabie na Węgrzech"** z podtytułem: „Pomysły powojennych ludzi są niewyczerpane".

Artykuł zaczyna się przydługim wstępem na temat że ludzie odczuwają ostatnio potrzebę mistycyzmu i po latach „w których pławiliśmy się w krwi aż do przesytu" daje się odczuwać silna potrzeba powrotu do idei religijnych. Miejscowość Bekesszaba jest dużą gminą nadgraniczną, w której

„zwolennicy tej mistycznej sekty znajdują podobno upust dla swych religijnych uczuć w tańcu który kontynuują aż do całkowitego zapamiętania się".

Nowa sekta powstała przed rokiem i zbliżona jest do amerykańskich kwakrów. Czytamy dalej, że „Jeden z bogatych gospodarzy cały swój majątek poświęcił nowej wierze i testamentem zobowiązał córkę, aby poszła w jego ślady już nie tylko majątek ale nawet życie swe ofiarując na ten cel. Pani Kallai której widocznie życzenie to zupełnie przypadło do smaku postępuje zupełnie w myśl testatora i u niej w domu odbywają się nabożeństwa nowej sekty. W czasie takiego nabożeństwa gromadzą się wierni przy zamkniętych drzwiach i oknach i nikogo nie wtajemniczonego do udziału w „nabożeństwach" nie dopuszczają. Ponieważ jednak w czasie nabożeństwa z zamkniętego szczelnie domu wydobywały się gwałtowne jęki ponieważ tu i owdzie na nabożeństwie znajdowano ślady krwi zainteresowała się temi sprawami policja. Zaczęto badać, śledzić i ostatecznie udało się silnemu oddziałowi policji wtargnąć do domu w czasie nabożeństwa Widok przedstawił się policji niezwykły. W pokoju było prawie ciemno, na środku bowiem dużej izby na stole płonęła jedna świeca. Przed stołem stał mężczyzna ubrany w szkarłatne szaty, prawdopodobnie kapłan. Na ziemi leżeli na pół omdlali wyznawcy, wyczerpani w najwyższym stopniu. Robili wrażenie ludzi których przed chwila torturowano a na twarzach ich malował się ból i cierpienie, czoło zaś zroszone było obficie potem. Policja nie mogła się od nich dowiedzieć żadnych bliższych szczegółów. Później dopiero śledząc dalsze nabożeństwa, udało się stwierdzić, że wyznawcy w czasie nabożeństwa zadają sobie najrozmaitsze katusze, biją się wzajemnie dyscyplinami i łańcuchami, a przytem tańczą, śpiewają i odprawiają modły. Ponieważ jednak nikt z poszkodowanych nie wniósł dotąd żadnego zażalenia policja nie mogła dotąd wkroczyć w tę sprawę.

Pozatem ludzie ci ulegający nowemu obłędowi religijnemu są bardzo poważani, nie piją, nie oddają się żadnym zabawom, nie bywają ani w teatrach ani w kinach, nie czytają też żadnych książek i gazet, nawet biblji. W nabożeństwach biorą udział kobiety razem z mężczyznami. Wyznawcy wspierają się wzajemnie, pielęgnują swych chorych i nie zdarzają się pomiędzy nimi wypadki kradzieży."

Uderza ciekawe rozumowanie dotyczące policji; Nikt nie zgłosił skargi więc policja *dotąd* nie mogła wkroczyć. Ale jednak wkroczyła (*odkąd*?) Zwłaszcza że poza tańcem i kaleczeniem się ludzie ci to ideały wręcz! Autor artykułu też ciekawie uzasadnia fakt, że ludzie po latach wojny mając rzekomo dość rozlewu krwi i dążąc do uczuć religijnych kaleczą się w tańcu po ciemku, przy jednej zaledwie świecy!

Najważniejszym przedmiotem walki byli komuniści. A zwłaszcza bogaci komuniści. I bogaci komunistyczni szpiedzy obnoszący się, jak każdy szpieg, swoim bogactwem, po czym zresztą porządni ludzie ich rozpoznają. Także po tym, że nie znają języka kraju w którym szpiegują i wdają się w awantury.

W numerze 9 z 10 października gazeta doniosła o schwytaniu sowieckiego szpiega, a właściwie 3 szpiegów Godina, Pitrutynskiego i Misiurenki.

Czytamy, że „Bolszewicy... nie dowierzają tutejszym. Nie powierzają większych sekretnych funkcji komunistom, przysyłają w celach szpiegowskich wypróbowanych i specjalnie wyszkolonych szpiegów. Do takich należał niedawno aresztowany Godin (Szopenals) który obracał kolosalnymi sumami i posiadał w Warszawie ośm dużych domów i kilka przedsiębiorstw"

Najciekawsze jest to, ze szpieg Pirutynskij nie mówił po polsku i posługiwał się „rosyjskim i żargonem”. Aresztowano go w czasie antyreligijnej awantury w bożnicy, o czym była mowa na początku odcinka.

Z notki w numerze 23 z 27 października dowiadujemy się, że bolszewikom przeszkadzały... pocałunki(!!!) Tytuł: **„Bolszewicy jako wrogowie całusów”**. Czytamy w niej: „ Z Moskwy donoszą, że komisarz ludowy dla hygieny wydał surowy zakaz całowania się na całym obszarze sowieckiej rzeczypospolitej łącznie z wszystkiemi krajami należącymi do unji. Przedewszystkiem rozporządzenie występuje przeciwko zwyczajowi całowania się w usta przy powitaniu przez wieśniaków. Zabroniono także całowania pań w rękę. Komisarz ludowy podkreśla w swem rozporządzeniu, że całusów w rękę zaniechać należy stanowczo, jeżeli już nie ze względów hygienicznych, to z tego powodu, że jest to w całej pełni zwyczaj burżuazyjny, który bezwzględnie nie może być cierpiany w proletarjackiej rzeczypospolitej.

W numerze 61 z 6 grudnia pod tytułem „**W mieszkaniach prywatnych nie wolno hodować świń”** czytamy: „Bolszewicy ogłosili przepisy, obowiązujące mieszkańców miast a dotyczące ich prywatnych mieszkań. Przepisy te wzbraniają hodować w prywatnych mieszkaniach świnie, kozy i barany, jak również utrzymywanie bez klatek królików i gołębi”.

Wydaje się, że autor notki uważał za niedozwoloną taką ingerencję państwa we własność prywatną, choć nie jest pewne, czy rozróżniał mieszkania stanowiące własność od mieszkań z przydziału urzędów kwaterunkowych.

Jako żywo przypomina mi się napominanie polskiej prasy w początku lat 50-tych, tuż po oddaniu do użytku w Warszawie nowo zbudowanego MDM, że zasłużeni dla budowy ludzie, którzy otrzymali tam mieszkania, hodują świnie w wannach. Jeśli to prawda, to nie byliśmy lepsi od bolszewików, a hodowla przedświątecznych żywych karpi jest tylko atawizmem.

Numer 74 z 22 grudnia prezentuje nam już prawdziwy horror w wykonaniu bolszewików. Co ciekawsze nie mówi niczego wprost tylko ogródkami. To jest prawdziwa sztuka! Warto więc zapoznać się z jego treścią.

Tytuł mimo swojej długości prezentuje się okazale dzięki tekstowi rozwleczonemu na 3 szpalty: **„Rząd sowiecki sankcjonuje niedozwolone operacje u kobiet”** i podtytuł równie długi: **„W ten sposób Sowiety chcą stworzyć... raj na ziemi”.**

W treści czytamy: „Upadek moralny i rozluźnienie obyczajów w Rosji sowieckiej, jaki daje się zauważyć przeważnie wśród młodzieży — zniewoliły rząd sowiecki do **usankcjonowania niedozwolonych operacji u kobiet**. W szpitalach istnieją nawet specjalni lekarze i akuszerki, które operacji takich dokonują. Chcąc spopularyzować nowy pomysł sowiecki wystawiono nawet **specjalny film w kinach**, który zamiast oświecać sieje pornografię i demoralizację. Film ten bowiem przedstawia z wyszukaną wprost dokładnością **przebieg operacji na żywych modelach** ze specjalnym podkreśleniem momentów najbardziej drażliwych.”

Tekst niezbyt długi ale rozwleczony do ostateczności (3 szpalty ale w 2 tylko po 2 wiersze, w trzeciej zwiększone odstępy i pogrubienia) ma przyciągnąć uwagę czytelników.

Upadek moralny, nie tylko w wykonaniu bolszewików, zajmował ówczesną prasę nader smakowicie roztrząsającą najdrobniejsze szczegóły. Ale o tym już w kolejnym odcinku

Uwaga: Pisownia w cytatach i pogrubienia oryginalne

75. Z czym walczono, a co tolerowano w roku 1924? (2)

Równie gorąco jak z bolszewikami walczono z rozpustą pod każdą postacią.

W numerze 11 z 13 października czytamy: **„Szkoły filmowe czy akademie rozpusty w Warszawie?"**

„Od pewnego czasu w Warszawie mnożą się jak grzyby po deszczu, najrozmaitsze szkoły filmowe, które szumnemi nieraz reklamami przyciągają liczne koła naiwnej młodzieży płci obojga, żądnej zrobienia karjery filmowej. Pomijając iż większość tych „szkół" z natury rzeczy **obliczona jest na wyzysk szerokich mas naszej młodzieży, gdyż żadna ze szkół nie wydała ani jednego prawdziwego aktora**, nie mówiąc oczywiście o wykolejeńcach życiowych, szkoły te, rekrutujące najrozmaitsze elementy społeczne, **przeważnie stanowią prawdziwe gniazda rozpusty**. Nad szkołami temi należałoby czemprędzej rozciągnąć opiekę moralną, przyczem Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego tym razem winno swoją władzę przekazać Policji Obyczajowej która przy pomocy Tow. Ochrony upadłych kobiet znajdzie tu dla siebie doprawdy bogate żniwo i bardziej odpowiednie pole działania."

W numerze 28 z 2 listopada na pierwszej stronie zwraca uwagę tytuł: **„Tajemnice kryją się poza firankami oszklonych samochodów"**

„Każdego uważnego przechodnia nieraz uderzyć musiał i zastanowić fakt, że w wielu najruchliwszych punktach Warszawy, zwłaszcza w okolicy Alej Jerozolimskich i Krakowskiego Przedmieście mieszczą się tzw. postoje taksometrów samochodowych. które **całemi dniami stoją bezczynnie.**

Prawdziwą zagadką dotychczas było, po co właściwie auta te wyczekują całemi godzinami na mieście skoro nikt z nich nie korzysta.

Dopiero wczoraj, dzięki niezwykłemu przypadkowi udało się **tajemnice te rozwiązać.**

Okazało się bowiem, że auta — taksometry służą właściwie na przystań namiętności dla rozmaitych szumowin wałęsających **się po nocach** w Warszawie.

Sprytni szoferzy, rekrutujący się niekiedy z pośród ciemnego elementu społecznego w związku z zamarciem ruchu taksometrowego wpadli na pomysł **wykorzystania swoich przeważnie zakrytych aut** na cele wprost zastraszające, a mające zastąpić nocną porą brak wolnych pokojów umeblowanych w naszem mieście, które wynajmowane były dotychczas — jak wiadomo — **romantycznym parom** szukającym tutaj chwili zapomnienia. W tym celu szoferzy warszawscy wynajmują auta i zawożą przygodne pary w ciemne zaułki.

Ostatnio zdarzył się właśnie na tem tle wstrząsający wypadek **erotycznego napadu na urzędniczkę państwową**, przez dwóch nieznanych drabów wśród pustkowia, panującego za rogatkami, poczem zbiegli w niewiadomym kierunku.

Jak się łatwo można domyśleć w zbrodniczym tym czynie współdziałali szoferzy, którzy za kilkadziesiąt złotych są **gotowi do wszystkiego**.

W związku z tym faktem, ruchem taksometrów samochodowych w mieście zainteresował się bliżej kierownik ruchu kołowego p. komisarz Grzędzica, a policja śledcza zajęła się energicznie ewidencją szoferów, z których niejeden powędruje za kratki więzienne."

Z upodobaniem czytam: *Przystań namiętności dla szumowin, ciemny element społeczny, cele wprost zastraszające* — co za piękne eufemizmy, aż żal, że zastąpiły je inne, mniej poetyckie. Chociaż aktualne podobno *taksówkowe pogotowie psychologiczne* dobrze się trzyma, wolałabym czytać o *taksówkowym ratunku dla dusz i ciał* na przykład.

W numerze 37 z 11 listopada czytamy o innej formie karygodnej rozpusty w artykule p.t**. „Młodym dziewczętom zakazano wyjazdów do Francji w obawie przed demoralizacją"**

„Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało zakaz wystawiania paszportów zagranicznych nieletnim dziewczętom, udającym się do Francji. Zakaz ten nie dotyczy dziewcząt wyjeżdżających w towarzystwie swych rodzin na roboty do Francji.

Zarządzenie to jest wynikiem zabiegów zarówno naszych konsulatów we Francji, jako też polskich organizacji społecznych zajmujących się sprawami emigracyjnemi. Zabiegi te musiały być podjęte, gdyż często zdarzało się, że nieznające języka i stosunków francuskich młode robotnice polskie, zakontraktowane do służby na majątkach rolnych w niewyjaśniony sposób wędrowały we Francji do domów publicznych! Drogą pośrednią między służbą na folwarku, a hańbiącą te dziewczęta rolą w domach publicznych była służba w domach prywatnych.

Trzeba tu wyjaśnić, że dziewczętom tym, które podpisywały w Warszawie kontrakt jedynie na służbę na folwarkach zamieniano bezprawnie i bez ich wiedzy kontrakt na służbę w domach prywatnych.

To było początkiem ich zguby. Nie znając zupełnie ludzi padały często ofiarą nadużyć i wyzysku, a przy braku należytej opieki moralnej, staczały się w odmęty rozpusty..."

Wiara, że należyta opieka moralna naprawi stosunki społeczne przetrwała do dziś i ma się coraz lepiej.

Oczywiście bez moralności nie tylko charaktery się psuły ale i kości oraz stawy, zwłaszcza biodrowe, wykrzywiały... O czym możemy się przekonać czytając numer 39 z 13 listopada

Pod tytułem „**Gdy zwierzę ocknie się w człowieku tragedia duszy dziewczęcej"** opisano sentymentalną historię panienki siedzącej w parku i płaczącej z powodu zdrady rodziców i ukochanego, którzy wyrzucili dziewczę z domu, bo nie wróciła na noc. Historyjka jest błaha i nudna, ale ciekawa z innego względu. Autor notki przedstawia panoramę parku, gdzie wokół dziewczyny „...snują się jakieś **podejrzane postacie!** Tu dziewka w podkasanej sukni, z pod której wystają nogi skrzywione u bioder z rozpusty. Twarz jej to wstrętna maska imitująca podobieństwo kobiety."

W numerze 41 z 15listopada możemy przeczytać o tym, że

Na łączce u zbiegu ulic Madalińskiego róg Kieleckiej kilka osób leżało i popijało alkohol, na czym zastał ich (wg tytułu) **„Niedyskretny policjant wróg kultu nagiego ciała"**. W krzakach spółkowała naga para.

„Gdy posterunkowy usiłował wydostać nagusa z krzaków ten zaczął się gwałtownie opierać nie chcąc widocznie wyjść „z raju", uderzył policjanta w rękę i kopnął go nogą w brzuch. ... Nagiego urwisa skrępowano, włożono wraz z towarzyszką na furmankę i odwieziono do komisarjatu. Wczoraj Sąd Pokoju 29 Okr. skazał Kazimierza Darkowskiego, robotnika z art. 280, 284, 475 i 530 łącznie na 3 miesiące bezwzględnego aresztu. Odbierze mu to chyba ochotę do „rajskich" eksperymentów"

A skoro jesteśmy już przy karach nakładanych na obywateli przez ówczesną sprawiedliwość to na pytanie: Co nie budziło zdziwienia w czytelnikach z roku 1924? — jest jedna najważniejsza odpowiedź: to właśnie kary nakładane przez sądy oraz ich uzasadnienie — często kompletnie rozmijające się z obecnym poczuciem sprawiedliwości. Ale o tym w następnym odcinku

Uwaga: Pisownia w cytatach i pogrubienia oryginalne

76. Z czym walczono, a co tolerowano w roku 1924? (3)

Co nie budziło zdziwienia w wiadomościach z roku 1924? Jak to zmierzyć?

Nie były komentowane kary nakładane przez sądy, jednak przeglądając kilka roczników gazet wydaje mi się łatwym do uchwycenia kilka prawidłowości;

— Pierwsza z nich to podawanie nazwisk imion i adresu osób które bądź dokonały przestępstwa bądź były tym przestępstwem skrzywdzone, na przykład ofiar wypadków. Z jednym tylko wyjątkiem – samobójstw. Dokonywały ich najczęściej służące i — wg notek prasowych — najczęściej „w bramie domu pod takim a takim adresem". Dlaczego wszystkie te nieszczęsne kobiety wypijały ług lub esencję octową akurat w bramie domu? Zapewne po to by chronić reputację ich pań przed podejrzeniem, że one, albo warunki pracy u nich mogły być choć w części odpowiedzialne za ten gest — o co oczywiście nie dbały same służące, tylko dziennikarze albo policja.

— Naiwność przestępców. Co by nie powiedzieć od tamtej pory przestępcy weszli na wyższy poziom swojej „sztuki". Nie zdarzają się już raczej przypadki, że ktoś coś ukradnie i nie wie potem co z tymi przedmiotami zrobić.

— łagodne kary dla mężczyzn za czyny dokonane we wzburzeniu i surowe dla kobiet w podobnych okolicznościach. Zazdrosny mężczyzna zabijający żonę ląduje na kilka miesięcy w więzieniu, kobieta w identycznej sytuacji dostaje nawet karę śmierci.

Poniższy przykład może być taka ilustracją. A przeczytamy o nim w numerze 23 z 17 października w artykule pod tytułem: **„Dlaczego Antoni Muc strzelał w tłum kobiet?"**

„Antoni Muc, człowiek żonaty, a nawet dzietny — jak to się często zdarza — zakochał się w Józi Ch., z którą łączyły go bliższe stosunki. Nieszczęśliwa żona – bo jaka żona jest w takich razach szczęśliwa? — starała się wszelkimi sposobami **nawrócić męża na drogę cnoty i moralności**, ale cóż, kiedy wilk ciągnie do lasu... Antoni odbywał często wycieczki, gdzie **na łonie natury mile spędzał czas z zalotną Józią**, podczas gdy jego małżonka wraz z dzieckiem czekała nieraz dniami i nocami powrotu lekkomyślnego męża o głodzie... To dało powód do ciągłych nieporozumień małżeńskich, do których wtrącała się również rodzina żony romantycznego męża. Gdy pewnego razu Muc wrócił zblazowany w towarzystwie Józi z wycieczki **dopadła go na ulicy** siostra jego żony Anna Sowa wraz z legjonem kumoszek i jęła mu „draniowi" perswadować, że kto ma żonę i dziecko nie powinien się „łajdaczyć z dziewkami", a że chciała go o tem przekonać namacalnie — kopnęła go kilka razy w to, o czem się nie mówi... Zawstydzony przed swoją kochanką Muc chciał udać bohatera i **wyjąwszy z kieszeni rewolwer** skierował go w kierunku zbuntowanych kumoszek. Rozległ się strzał, a po chwili Anna Sowa, zataczając się, runęła na ziemię. Krew buchnęła z rany w klatce piersiowej, powodując silnym swym upływem śmierć Sowy. Muc stanął wczoraj przed Sądem Okręgowym, oskarżony o popełnienie szaleńczo-zbrodniczego czynu, jakim było właśnie zabójstwo własnej szwagierki. Zmizerowany, wychudły i wynędzniały już w więzieniu prewencyjnym oskarżony przyznał się do błędu życiowego i fatalnego czynu, który popełnił w uniesieniu, i zapewniając Sąd, że więcej już nigdy nie będzie zdradzał swej żony oraz, , że chce uczciwie dla niej i dla dziecka swego pracować prosił o łagodny wymiar kary. Sąd wychodząc ze słusznego założenia, że jedno przestępstwo nie powinno pociągać za

sobą drugiego, że jedno wykolejone życie nie powinno wykolejać życia innych, wymierzył Mucowi najłagodniejszy wymiar kary skazując go **na 3 lata więzienia** z zamianą na dom poprawczy. Może jeszcze rodzina Muców będzie kiedyś szczęśliwa, a głowa tej rodziny odkupi swą winę okazując się pożytecznym członkiem społeczeństwa?"

Uderza pobłażliwość z jaką się pisze o Mucu. Jego przeciwniczki to „*stado zbuntowanych kumoszek*", które właściwie należałoby wszystkie wystrzelać. Jedyna wina Muca polega na tym że zachowywał się niemoralnie. Stąd oczywistym wydaje się ten łagodny wyrok i nadzieja na powrót małżeńskiego szczęścia, gdy już poprawi się w domu poprawczym, na który zamieniono mu wyrok więzienia, a skoro oskarżony przyznał się do błędu życiowego zapewniając Sąd, że więcej już nigdy nie będzie zdradzał swej żony, należy mu wierzyć.

Przestępstwa w roku 1924 bywały różne. Z biedy i nędzy, z umiłowania honoru i z arogancji. A także z poczucia niezależności, które spotykało się z najbardziej ostrą przyganą. Oto przykład tego ostatniego — w numerze 26 z dnia 30 października pod znamiennym tytułem: **„Niewdzięczny wychowanek"**. Oto notka: „Z domu wychowawczego przy Szpitalu Dzieciątka Jezus zbiegł wychowanek 13-letni Edward Jedynak w ubraniu zakładowem". Biedny niewdzięczny wychowanek! Nie dość, że ucieka w porze niepogody, to jeszcze nie jest uprzejmy zostawić ubrania, w które go odziała dobroczynność, jakby miał inne na zmianę!

Tu pozwolę sobie na dygresję: O warunkach jakie panowały w domach wychowawczych i przytułkach dla sierot i bezdomnych (często mieściły się razem) nie raz wypowiada się prasa. Tutaj tylko jeden z licznych przykładów:

Baraki dla bezdomnych i sierot mieszczące się na Żoliborzu były 2 rodzajów" blaszane i drewniane. W obu rodzajach panowały okropne warunki, zimno, woda kapiąca z sufitu, po kilkanaście rodzin w jednym baraku. Z tym, że w razie pożaru baraki blaszane były śmiertelną pułapką. W barakach tych sypiano także na korytarzu. W którymś numerze Kurjera opisano los biednego sieroty, sypiającego właśnie na korytarzu, któremu bezdomny ukradł łóżko i pobił jeszcze dzieciaka, który na niego naskarżył.

We wspomnianym wcześniej numerze 26 czytamy, że „**Teściowa chciała otruć zięcia różowemi kluskami"**

„W Łodzi zdarzył się niezwykły wypadek. Oto córka robotnika fabryki Gampe i Albrecht, Hajdukówna przyniosła ojcu swemu — jak to zwykle bywa — obiad do fabryki, który składał się **z kapusty i klusek**. Po spożyciu kilku klusek Hajduk poczuł, że mają one jakiś dziwnie gorzki smak poczem stwierdził, że są one **zabarwione na różowo**. Jeden z robotników który był obecny przy tej scenie poradził Hajdukowi, by obiad oddał do policji dla zbadania, czy nie zawiera trucizny. Badanie chemiczne klusek i kapusty przeprowadzone przez Państwowy urząd badania **żywności wykazało** na kluskach **warstwę czerwonego proszku** który rozpuszczony w kwasie solnym spowodował wydzielanie gazowych pęcherzyków. Wedle opinii biegłego trujące substancje zawarte w badanem pożywieniu może spowodować natychmiastową śmierć konsumenta. Jak się okazało obiad dla Hajduka gotowała jego teściowa Marianna Bartczak, która sama włożyła kluski do garnka. Stosunki pomiędzy zięciem a teściową od dłuższego czasu były naprężone, a nawet nieżyczliwe! Hajduk oskarżył swą teściową o usiłowanie otrucia go farbowanemi kluskami. Doprawdy, różne bywają teściowe, ale takiej wiedźmy nie notowały jeszcze kroniki policyjne."

Nie mogę oprzeć się ciekawości — po co było kobiecie to farbowanie klusek? Żeby zięcia nie otruć, a przestraszyć? I dlaczego coś, co wydziela gazowe pęcherzyki, koniecznie jest trucizną? No i w końcu zięć zjadł kilka klusek i nic mu się nie stało — przynajmniej czytelnikowi nic o tym nie wiadomo. W sumie jakaś dziwna sprawa.

No ale nie wszystkie ówczesne przestępstwa są takie zagadkowe.

W numerze 23 z 27 października czytamy o „**Skandalu w „Udziałowej**".

„Pewien porucznik, pan Lucjan Horodeński, lubiący zaglądać do kieliszka przechodząc Nowym Światem wstąpił do „Udziałowej" No i zaczęło się. „Licznie zgromadzeni tam koledzy porucznika poznawszy jego „stan" zaczęli pokpiwać i dowcipkować z tego że „Lutek znów się zalał". Porucznik słuchał i będąc prawie pół przytomny złapał nagle najbliżej stojące talerze z pączkami i ciastkami i, zaczął w pasji rzucać temi smakołykami we wszystkie strony"

W artykule przedstawiono obraz pandemonium, jakie zapanowało do czasu przybycia policji i odprowadzenia delikwenta na komisarjat. Tam ów porucznik wołał do policjanta: „Ty glino jestem porucznikiem rezerwy i nie pozwolę się aresztować." „Sąd Pokoju, do którego sprawa ta została skierowana skazał pana H początkowo nakazem na areszt jednak następnie na jego prośby i zapewnienia, że „to już nigdy się nie powtórzy" sprawa to została zupełnie powtórnie rozpatrzona i ostatecznie porucznik rez. został skazany za zakłócenie spokoju publicznego na 50 zł grzywny. Sądzimy, że to będzie dla niego ostatecznym środkiem do powstrzymania się na przyszłość od podobnych ekscesów, które hańbią godność oficera rezerwy" – podsumowuje sprawę dziennik.

Co wojsko to wojsko, nawet w rezerwie!

Że sprawy honoru to nie są żarty świadczy i inna sprawa relacjonowana w numerze 30 z dnia 4 listopada. p.t. **„Pułkownik Dzwonkowski oskarżony o pojedynek"** Czytamy tam: „W Warszawskim wojskowym Sądzie Okręgowym odbyła się przed kilku tygodniami **rozprawa przeciw płk. Dzwonkowskiemu o to, że wbrew przepisom ustawy karnej wzywał i odbył pojedynek z p. Adolfem Nowaczyńskim**. Sąd Okręgowy przyjmując w motywach stan wyższej konieczności i nieodpornego przymusu wywołanego pojęciami specjalnego honoru oficerskiego, płk. Dzwonkowskiego uniewinnił"

Czy ów *nieodporny przymus* to coś w rodzaju *pomroczności jasnej* tamtych czasów?

A na koniec coś lżejszego, z dziedziny kultury z numeru 23 z 27 października, gdzie możemy przeczytać o **„Radiowym koncercie psów„** w Londynie. (to jako odpowiedź na pytanie co ludzi nie zadziwiało w tamtym czasie)

„... Pewnego dnia o godzinie 6 wieczorem na stacji londyńskiego Towarzystwa radiotelefonicznego pies posiadający dar szczególnie melodyjnego wycia które właściciel jego określa jako mezzo-alto-robusto **podniecony muzyką zawył w telefon,** a właściciele psów, którzy chcieli się przekonać o muzykalności swych czworonożnych przyjaciół i kosztem ich zabawić się, połączyli się z tą stacją i słuchawkę przytknęli do ucha. Tym sposobem nastąpiło chóralne wycie. Wiele psów odniosło wrażenie, że w **słuchawce ukrywa się jakiś zwierz** i poczęły gwałtownie warczeć w aparat. Jeden pies był przekonany, że wycie nadchodzi z ogrodu i gwałtem wydzierał się by wyskoczyć na poszukiwanie śpiewaka. Wogóle jednak psy nie zastanawiały się skąd pochodzi wycie, lecz nastrojone przez solistę na odpowiednią nutę, jęły wyć pięknie, co robiło im wielką przyjemność. Niektóre prześcignęły

pięknością swego organu solistę i pytanie, czy nie znajdzie on poważnych rywalów przy najbliższym takim eksperymencie? Bo figiel ten tak się spodobał, że wkrótce koncert psi ma być powtórzony.”

Jak dzieci, całkiem jak dzieci! I nikogo te żarty z poważnego medium nie dziwiły.

W tamtych czasach radio działało przez przyłożenie słuchawki do ucha, był to właściwie telefon z którego na raz mogło korzystać kilkuset ówczesnych odbiorców. W Polsce założenie stacji radiowej było dopiero w planach. Na pierwszy program Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego, początkowo doświadczalny trzeba było zaczekać do następnego roku.

Skoro jestem przy radiu odbiegnę trochę od tematu : w październiku i listopadzie gazeta informowała o pracach Marconiego nad telegrafem bez drutu i jego planach zbudowania nad kraterem Etny anteny, żeby przekazywać szumy i odgłosy wulkanu naukowcom w ich gabinetach. Przeszkodą w tym dziele była wysoka temperatura. W listopadzie Marconi oświadczył, że rozwiązał problem bezpośredniego połączenia radiotelegraficznego między dwoma punktami świata bez konieczności posługiwania się stacjami pomocniczymi oraz kompletną izolację przekazywanych wiadomości przed nasłuchem.

Afer i spraw kryminalnych ciąg dalszy w następnym odcinku

Uwaga: Pisownia w cytatach i pogrubienia oryginalne

77. Z czym walczono, a co tolerowano w roku 1924? (4)

W numerze 33 z 7 listopada możemy przeczytać taką reklamę przedstawienia: „**Kino Palace Chmielna 9... Historia walki dwóch płci „O czem się nie mówi" – dramat łez i krwi wybitnie sensacyjny erotyczny dramat życiowy w 8 aktach z prologiem według genjalnego utworu Garbryeli Zapolskiej. W rolach głównych: Jadwiga Smosarska i Kazimierz Justian**"

Taki cel przyświecał ówczesnym dziennikarzom Kurjera: — ***dramat łez i krwi***. Z wszystkiego, z czego się dało, tworzono takie dramaty (wprawdzie dziś także podobnie bywa, ale w prasie określonego rodzaju no i nasze wymagania też są wyższe — nie zadowalamy się prostymi wyciskaczami łez, komplikujemy sprawy, przenosimy chwyty z „wyższej półki literackiej", jesteśmy bardziej wyrafinowani — wystarczy poczytać o Katarzynie W. z Sosnowca, której już nie traktujemy epitetami w rodzaju *wyrodna matka* itp. choć o udowodnienie tej tezy się staramy).

Na początek więc klasyczna historia pod tytułem: **„Krwawy finał pościgu za zbiegłym kochankiem 17-letnia dziewczyna mści się na swoim uwodzicielu"** z numeru 33 z 7 listopada.

Reszta historii przewidywalna: amant uciekał, ona za nim jeździła, wreszcie go dopadła i zabiła strzałem w głowę. Rzecz cała działa się w Paryżu, a „sędzia śledczy ze względu na zbliżający się młodej dziewczyny okres macierzyństwa, pozostawił ją na wolności" — zwłaszcza, że oskarżona oświadczyła, że żałuje swego czynu.

Ta powszechna wiara organów sprawiedliwości w szczery *„żal za grzechy"* jest doprawdy ujmująca. Ona najbardziej pokazuje zmiany, jakie zaszły w Polsce w ciągu niespełna 100 lat

Jeszcze inną zbrodnię przedstawia nr 36 z 9 listopada. — **„Straszna zbrodnia przy ulicy Kruczej. Tytuł: Dziecko zaledwie ujrzało światło dzienne zostało zamordowane"** z podtytułem: **„ Matko pomyśl kiedyś o twoim synie, który mógł ci pomódz w starości"**

Epitety się zdewaluowały, dziś czytamy o *„dzieciach w beczce po kapuście"*.

Sama historia jest prosta: policja otrzymała anonim, że niejaka Anna M. nie chcąc stracić figury udała się do swojej matki Zofii M. zamieszkałej na ulicy Kruczej, tam odbył się poród, a potem kobiety wrzuciły dziecko do ustępu. „Jest to fakt autentyczny gdyż młodsza siostra to widziała i w sekrecie powiedziała — koleżankom. Nie pierwszy to wypadek w życiu pani M., jednak dawniej załatwiała się z tem wcześniej — ale teraz to był już chłopiec duży, więc musiały coś z nim zrobić." Dozorca zakomunikował policji ciekawe szczegóły: „Anna M przybyła do swej matki niedawno; wyglądała na bardzo osłabioną i stale nosiła luźny płaszcz... Pewnego dnia zauważyłem jak matka jej wieczorem wyniosła **dużą wiązkę słomy** i wrzuciła do śmietnika. „Tknęło mnie" następnego dnia rano zaglądam tam — patrzę Jezus Marja, adyć to dziecko – trupek cały pokrwawiony w smołę wplątany! Jeszcze potem tośmy z żoną w piwnicy zakrwawione szmatki znaleźli. Pannę Anię bezzwłocznie aresztowano: przyznała się ona do zbrodni i ze łzami w oczach twierdziła że **„musiała tak postąpić"** inaczej by ją bowiem wydalono ze sklepu gdzie jest ekspedientką. Musiała się udać do matki, któżby jej bowiem dopomógł a matka... poradziła. Sprawa przeciwko 21-letniej przestępczyni rozpatrywana była przez sąd przy drzwiach zamkniętych i, jak się zdaje, obfitowała w wielce drastyczne momenty. Drzwi sali

posiedzeń otworzono dopiero przy ogłoszeniu wyroku, mocą którego Anna M została z art. 22 K. K. skazana na miesiąc aresztu."

Jak na finał *„Strasznej zbrodni przy ulicy Kruczej"* To niewiele. Ale istotnie, w sprawach o dzieciobójstwo, w przeciwieństwie do innych kar, na które zasądzano za zabójstwa kobiety, orzekano kary raczej symboliczne. Dziecka nie traktowano jako pełnoprawnego człowieka.

Warto zwrócić także uwagę na „gospodarność" zabójczyń — dziecko w wiązce słomy wyniesiono do śmietnika, ale zakrwawione szmatki schowano w piwnicy, bo może jeszcze się przydadzą...

Z artykułu w numerze 46 z 20 listopada przy okazji znalezienia trupa zakopanego pod podłogą celi, dowiadujemy się, że jakaś kobieta w latach 1919-1922 odbywała karę więzienną w Zakładzie Magdalenek za kradzież, a jej koleżanka, odsiadywała jeszcze dłuższą za rabunek. Tak więc za kradzież można było otrzymać przynajmniej 2 lata więzienia.

Tymczasem w numerze 29 z 3 listopada w artykule „Straszydło w czarnym filcowym kapeluszu niesamowity wypadek przy ulicy Twardej" czytamy o złodzieju który wybiwszy szybę wszedł do mieszkania pewnego stolarza, uciekał przed nim na podwórko i tam ścigany wydobył z kieszeni rewolwer. Jednak został ujęty przez policję i znaleziono przy nim plon wcześniejszej kradzieży w postaci 3 pierścionków, 2 kolczyków i złotego łańcucha. Skazano go za tę kradzież na pół roku więzienia.

Z numeru 29 dowiadujemy się, że pewien mężczyzna, urzędnik XII kategorii w Kowlu zawarł znajomość z 15-toma wdowami od których wyłudzał 2 razy w miesiącu posiłki i poranną kawę. Kobiety zorientowawszy się w tym procederze wszystkie razem oskarżyły go w sądzie. Sędzia uznał, że nie można karać mężczyzny utrzymującego znajomość z kobietą w celu zjedzenia dwa razy w miesiącu obiadu i kolacji i uniewinnił delikwenta. Ale... Wdowy spowodowały, że mężczyzna musiał przenieść się z Kowla do Kobrynia.

Przy okazji kamyczek do ogródka ówczesnych sądów. W numerze 44 z 18 listopada zwraca uwagę tytuł: **„Niedopuszczalne praktyki sądów bydgoskich Sąd nie jest widowiskiem teatralnem Co na to Ministerstwo Sprawiedliwości?"**

W artykule czytamy, że Sąd w Bydgoszczy pobiera 1 zł opłaty za wstęp na proces pewnego zabójcy żony, który to proces ma ogromne powodzenie wśród publiczności, tak, że aż nie wszyscy mieszczą się w wyznaczonej sali

Ale dajmy spokój sprawom kryminalnym (na razie przynajmniej). Trochę zabawnych informacji z dziedziny mody, zdrowia i urody. Na wstępie wiadomość z dziedziny którą nazwałabym horrorem higienicznym, którą przynosi numer 12 z 14 października. Tytuł brzmi: **„Jak w Ameryce „wietrzą" dzieci„,** z którego wynika że w sierocińcach w celu zapewnienia dzieciom dopływu świeżego, zdrowego powietrza, nie mogąc wyprowadzać ich na spacery z powodu braku personelu, przywiązuje się je do sznura do bielizny i wówczas starczy do „opieki" nad nimi jedna osoba. W gazecie sformułowano to tak: „Dzieci rozwiesza się na sznurach odpowiednio przymocowanych do bielizny". Jest to jeszcze jeden przykład na to, że nieprecyzyjny styl pisania może być przyczyną wieloznaczności: *przywiązuje się te dzieci do sznura do bielizny, czy rozwiesza za ich bieliznę?*

W numerze 9 z 10 października mamy ciekawy artykuł – apel:

„Piękne panie nie noście krótkich włosów bo wyrosną wam wąsy i broda!” czytamy w nim: „Przeciwko modzie noszenia krótkich włosów wystąpił przewodniczący Stowarzyszenia amerykańskich hurtowników handlu kosmetykami. Ostrzega on panie, że moda ta może niekorzystny wpływ wywrzeć na kobiety i woła z patosem — Dziś macie głowy chłopców a niedługo wyrosną wam wąsy i broda jak chłopcom! Twierdzi on, że to co mówi nie jest przesadą ponieważ ciało ludzkie stanowi rodzaj laboratorjum produkującego włosy. Jeżeli zatem rozrost włosów powstrzyma się w jednem miejscu, muszą włosy pojawić się w innym. I za przykład podaje, że np. dzicy, którzy nie strzygą głowy mają mierny zarost na twarzy”

Zanim zaczniecie się śmiać, poczytajcie sobie „wykłady” wysyłane drogą mailową, którymi uszczęśliwia młode matki Instytut Pampers. Na swojej stronie internetowej są bardziej poprawni i rzetelni.

I jeszcze dwa przykłady: w numerze 72 z 19 grudnia w zbiorku porad **„ Z buduaru pięknej pani”** czerpiemy informację, że „Kobiety uprawiające sporty tracą wdzięk niewieści” a w numerze 74 z 22 grudnia pod tytułem **„Farbowane futra i pończoszki damskie przyczyną niebezpiecznych chorób skórnych zatruwają one tkanki w organizmie ludzkim”** W treści artykułu sugeruje się podobieństwo do niektórych pokrzywek po zjedzeniu określonych potraw, niemniej brak rozeznania, co właściwie może powodować takie objawy skutkuje atakiem na farbowane futra i pończochy, choć niekoniecznie farba tu jest winna. A nawet w tamtych czasach trudno sobie wyobrazić konfekcję i ubrania niefarbowane. Jest to więc przykład straszenia dla samej sensacji.

I coś optymistycznego – do czego mogą jeszcze służyć damskie pantofle na wysokich obcasach, o czym przeczytamy w numerze 40 z 14 listopada.

„Najnowsza moda w Ameryce każe amerykańskiej elegantce nosić wysokie obcasy przy butach, a obcasy te tak są urządzone, że zawierają schowanko na pudełeczko z pudrem, chusteczkę do nosa a nawet kluczyk od mieszkania”

Rzeczywiście, torebki dopiero wchodziły w modę i to raczej jako modele balowe, a nie codzienne. Klucze do mieszkania na przykład trzymano „w mężu”. Swobodniejszy styl życia Amerykanek owocował takimi wynalazkami, jak wyżej opisany.

78. Jak zachować zdrowie i nie zgłupieć

Jako że zima nie jest najlepszym okresem dla zdrowia przystąpiłam do lektury książki „Niektóre choroby układu krążenia" której autorem jest Peter Dimkow, z podtytułem „Przyrodolecznictwo i życie zgodne z naturą"., która właśnie wpadła mi w ręce. Przerzuciłam trochę początkowych stron, z których dowiedziałam się, że rzecz jest nowa, bo wydana przez Dom Księgarski „Ezoteric" w roku 2012.

Ponieważ jestem Babcią ezoteryczną, nic co ezoteryczne nie powinno mi być obce i ponieważ mój układ krążenia, jak to u babci nie jest idealny, rzuciłam się na lekturę ciesząc się, że mam szansę wspomóc swoje zdrowie środkami naturalnymi. Przeleciałam informacje wstępne o zdrowym trybie życia i takich księżycowych zaleceniach jak codzienne chodzenie boso, koniecznie po trawie, codzienna kąpiel w zimnej morskiej lub rzecznej wodzie, a z ich braku codzienne polewanie się zimną wodą, codzienne spacery wśród lasów i łąk (ale nie w mieście!), codzienna lewatywa itd.

Jak na zawołanie powróciło moje dzieciństwo i młodość. Urodziłam się i wychowałam w Warszawie, więc stosowanie takich zaleceń nawet 70 lat temu nie było możliwe, ale moja mama świetnie je znała i starała się stosować w czasie wakacji spędzanych „na letniskach" sprawiając, że wyjazdy te stawały się najczęściej dla mnie i mojej siostry koszmarem.

Mama podchodziła do wszystkich zadań z powagą i stosowała wersje maximum. Jak chodzenie boso – to po rżysku, jak kąpiel w zimnej wodzie – to najchętniej polewanie nią z dzbanka w zimie, w niedogrzanym mieszkaniu (mieliśmy tylko kran z zimną wodą, a na węgiel do pieców najczęściej brakowało pieniędzy). Hartowanie ciała było jej konikiem, co w końcu nie miało w sobie nic dziwnego. Wychowywała nas do przeżycia kilku następnych spodziewanych wojen i godnego znoszenia przeciwności losu, nędzy, wygnania, utraty domu, a nie do odnoszenia zwycięstw. Sprawiła, że do dziś źle reaguję na pierwszy kontakt z każdą wodą, nawet ciepłą; kiedy biorę prysznic przestaję odczuwać niemiłe doznania dopiero po kilku minutach. Nie ma mowy o basenie czy moczeniu się w wannie. Smarowaniu twarzy kremem towarzyszy uczucie obrzydzenia (to od odmrożeń smarowanych maścią tranową), a chodzenie boso, nawet po miękkim dywanie jest niemiłe i powoduje skurcze łydek.

Mama opowiadała nam, że jej przyjaciółka z lat szkolnych przeżyła Oświęcim bo zawsze hartowała się i myła całe ciało zimną wodą.

Te wszystkie (nieprzyjemne) wspomnienia przeleciały mi przez myśl, gdy czytałam o zasadach zdrowego trybu życia. Dlaczego wszystko, co zdrowe musi być co najmniej niemiłe, a nawet bolesne?

Innym zaleceniem książki jest „zachowanie porządku we wszystkim" rozumianym jako utrzymanie stałego rytmu dnia.

I znowu niemiły skurcz (może właśnie układu krążenia?). Jako babcia emerytalna łykająca codziennie porcje proszków muszę przestrzegać rytmu dnia. Jeść o określonej porze (chociaż wcale mi się nie chce), wstawać przed ósmą rano (pogania żołądek), wychodzić z domu po gazetę itp. Nie mogę pozwolić sobie na przerwę w jedzeniu dłuższą niż 4 godziny (protestuje woreczek żółciowy), jednorazowe dłuższe siedzenie przy komputerze niż pół godziny, a nocną bezsenność odchorowuję

parę dni. Jakże tęsknię do lat młodości, kiedy mogłam mieć w nosie wszelkie ustalone rytmy, nie jeść cały dzień, bo mi się nie chciało lub nie było w domu nic do jedzenia, obżerać się jak dziki łowca po polowaniu, gdy trafiła się okazja, przesiedzieć nad ciekawą książką całą noc, a rano biec do nudnej pracy i siedzieć na niewygodnym krześle bez jedzenia i picia, księgować „raz po winien raz po ma" podliczając to wszystko na liczydłach i myśląc o niebieskich migdałach.

Teraz prowadzę „zdrowszy" tryb życia, ale jestem mniej zdrowa i samo życie tak już mnie nie cieszy. Jako młoda dziewczyna reagowałam na świeży poranek radością i chęcią biegania (nawet w kółko), a teraz biegam tylko we snach.

Posmutniała od wspomnień wracam do lektury. Następnym zaleceniem jest „panowanie nad sobą". Owszem, panuję nad sobą, jak najbardziej, ale co w tym przyjemnego? Złość i nic więcej. Ciągle mi to zalecenie powtarzano, gdy byłam dzieckiem, a ja ciągle tego nie umiałam. Podświadomie zapewne przeczuwałam, że cała radość jest w niepanowaniu nad sobą i w wewnętrznym zezwoleniu na to. Teraz to wiem, ale nie potrafię już sobie zezwolić na nieopanowanie. Zapomniałam jak to się robi.

Kolejne hasła: spokój (mimo całonocnego zgniatania puszek pod moim oknem przez osiedlowych „nurków" i innych osiedlowych hałasów jak umfa umfa z samochodów parkujących z pracującymi silnikami), sen (jak obok), pragnienie (piękna oczywiście, bo czegóż by innego?), prawda (trzeba ją kochać!), rozwaga (trzeba być), szlachetny charakter (polegający na tym, żeby kształtować w sobie dobre ((to znaczy jakie?)) nawyki. Te blebleble kończy przestrzeganie przed bezczynnością, jako źródłem wszelkiego złego. Nie kupuję tego pomysłu. Całe życie byłam czynna jak szczur na kołowrotku, jak mróweczka targające wielkie słomki do mrowiska, jak wół wprzęgnięty w jarzmo i wreszcie dziś, gdy jestem bezczynna, wcale nie ciągnie mnie do zmiany tego stanu. Bezczynność bowiem pozwala czasem pomyśleć i poświęcić trochę czasu kpinom z zaleceń zdrowego życia.

Rozbawiona i znużona tą lekturą przechodzę od razu do działu najbardziej mnie interesującego czyli do chorób krążenia.

Czytam więc (na str.221), że przy arytmii na serce stosować z przodu i z tyłu torebki z cienkiego płótna (20x20 cm) napełnione świeżym ciastem na zakwasie chlebowym sporządzonym 4 godziny wcześniej z dodatkiem do każdej torebki 3 łyżek stołowych zmielonych kasztanów, 7 zgniecionych śliwek węgierek bez pestek i 1 łyżki stołowej sparzonej i posiekanej liści pietruszki. Na głowę świeży liść kapusty. Poza tym na brzuch i na inne miejsca (także intymne) jeszcze coś innego, codzienna lewatywa, naprzemienne kąpiele nóg (ach te „naprzemienne kąpiele" mojej mamy! Najpierw lodowata woda, potem powinna być ciepła, ale jej nie ma, więc kończymy „naprzemienną" kąpiel na pierwszym etapie).

Jako walka z bezczynnością to jest doskonały pomysł. Cały dzień trzeba coś robić. Coś robić nieprzyjemnego, a rezultatów raczej nie doczekać. Nikt nie obiecuje, że z nadciśnienia albo z chorób serca można się wyleczyć.

Dobrnęłam jeszcze do rozdziału o podwyższonym ciśnieniu krwi (na co cierpię od dzieciństwa, możliwe, że wskutek zasad zdrowego trybu życia stosowanych przez moją mamę) i załamałam się, gdy przeczytałam na str. 239, co powinnam zrobić wieczorem; np., że do stóp powinnam przyłożyć jak zelówki kawałki czysto wełnianego materiału, zamoczone w occie i dobrze odciśnięte, nałożyć wełniane skarpety i tak spać.

Na głowę powinnam założyć czapkę z cienkiego płótna napełnioną chłodnym świeżym ciastem na zakwasie chlebowym zrobionym 4 godziny wcześniej z dodatkiem 7-10 łyżek stołowych kasztanów utartych (zmielonych) ze skórką i surowymi utartymi ziemniakami (ilości nie podano) po utarciu ziemniaków zalać100 g surowego mleka na 30 minut potem dobrze je odcisnąć. Czapkę przykryć papierem i naciągnąć wełnianą czapkę.

Ciało przepasać w talii pasem z miedzianego drutu (to chyba już rano) w płóciennej izolacji. Trzeba jeszcze coś tam doczepić do tego drutu zrobionego ze starych szczoteczek do zębów (chyba osłonkę końców drutu, żeby nie stykały się ze sobą). Do tego z pięć rodzajów zaparzanych mieszanek pitych o określonych porach no i jeszcze pomedytować na dokładkę (albo pomodlić się o szybkie odejście z tego świata).

Przyznam się, że wolę już swoje proszki, choć im starsze, tym droższe i mniej refundowane. Parę lat temu dwumiesięczna porcja kosztowała 60 zł teraz już ponad 300. Niektóre z nich biorę już z 50 lat. Ale jeśli mam chodzić przepasana zwojami miedzianego drutu z dyndającymi na końcu szczoteczkami do zębów – to ja już wolę cennik Arłukowicza. W końcu ocet winny (do stóp) też kosztuje – wiem, bo jest to często stosowana przyprawa do potraw. Jeśli dodać do tego świeżą kapustę, zioła, miód, orzechy włoskie, cytryny, walerianę, codzienne ciasto z ziemniakami, kasztanami i śliwkami węgierkami (zwłaszcza kasztany są luksusem – 19 zł mała paczuszka), mrożone śliwki węgierki w zimie też trzeba kupić gdzieś no i dobry szampon do zmycia z głowy owego ciasta — jestem pewna, że zdrowy tryb życia nie jest dla mnie. Chociaż moja mama myła nam głowy żółtkami, ale jajka wychodzą drożej niż szampon.

I za coś takiego moja koleżanka zapłaciła 35 złotych! Ciekawa jestem czy znalazła tam jakiś przepis który wypróbowała i za który może poręczyć!

79. Leczenie woli manii samobójczej

Swego czasu bliska mi osoba borykała się z myślą samobójczą, ale na szczęście odstąpiła od niej krok przed realizacją.

Mając dziewiętnaście lat i ja przeżyłam zawód miłosny, a może raczej brutalne powiadomienie, że nie mam żadnych szans u tej osoby, co skutkowało postanowieniem popełnienia samobójstwa. Na szczęście pojawił się w odpowiednim momencie starszy kolejarz wracający z nocnej zmiany i najpierw siłowo zapobiegł mojej desperacji, potem zaś opowiadał rozmaite rzeczy, które spowodowały, że nigdy więcej taki zamiar nie pojawił się w moich myślach, a wręcz przeciwnie zaczęłam lękać się śmierci.

Dane mi było także powstrzymać pewną zdesperowaną dziewczynę ściągając ją w ostatnim momencie ze skałki, z której zamierzała skoczyć w przepaść z przyczyny, oczywiście, zawodu miłosnego. Jej ukochany zebrał trzy dziewczyny przed sobą i zerwał z nimi hurtowo. Myśl, że dla takiego bęcwała mogła stracić życie młodziutka, wrażliwa dziewczyna, w dodatku dotknięta inną tragedią pół roku wcześniej spowodowała, że stąpałam za nią krok w krok, a że miałam wówczas zaprawę we wspinaczkach i że działo się to nocą w górach uważam to za swój prawdziwy sukces. W dodatku napisałam o niej piękny wiersz – zanim przestałam w ogóle pisać wiersze.

Czytając odcinek bloga Teresti jakoś pomyślałam o tych, których może trzeba podtrzymać na duchu czy pomóc w inny sposób, by powstrzymać przed krokiem, od którego czasem nie widzą już odwrotu.

Dlatego interesują mnie wszelkie metody jakim można zapobiec takim dramatycznym decyzjom. Szperając po cyfrowych bibliotekach w poszukiwaniach lektur ezoterycznych wygrzebałam pewną perełkę. Poniżej okładka tej książki:

5020/71

BIBLJOTEKA WIEDZY OGÓLNEJ
pod redakcyą Dr. fil. Ł. Böttchera, docenta Szkoły politechn.

Dr. R. A. FELSBERG

POTĘGA ENERGII

(JAK POSIĄŚĆ ENERGIĘ?)

Wypróbowana kuracya zaniku woli, roztargnienia, przygnębienia, melancholii, utraty nadziei, trwogi wewnętrznej, słabej pamięci, bezsenności, zaburzeń żołądkowych ogólnego zdenerwowania i t. p.

PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU
STANISŁAWA ZAWADZKIEGO

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I UZUPEŁNIONE.

WARSZAWA — LWOW
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA"
LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA,
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

W książce tej moją uwagę zwrócił rozdział o tytule jak w niniejszym odcinku.

Wstępem do właściwej kuracji jest ćwiczenie woli. W tym celu należy przez 2-3 dni powstrzymywać się od wszelkiej strawy ścisłej i od płynów pożywnych i pić jedynie wodę zimną. Post ten powtarzać trzeba aż do otrzymania pożądanego rezultatu dwa do trzech razy kolejno po dwudniowej przerwie każdorazowo (str.9). Autor wymienia nieprzyjemne objawy towarzyszące postowi i twierdzi, że zmienia się też wskutek niego stan duchowy nawet w wysokim stopniu.

Mam więc myśli samobójcze i pojawia się osoba opatrznościowa, taka jak ja, obecna babcia na przykład, dobrze poinformowana, ale starsza wiekiem, zdająca sobie sprawę, że wspomniana M. mająca myśli samobójcze wymaga natychmiastowej pomocy. Nie mogąc już skakać za nią po skałkach, bez zwłoki nakłaniam ją do 3 postów razy 2 dni = 6 dni + 2 x 2 dni przerwy = razem 10 dni.

Biorąc pod uwagę okoliczności (przebywałyśmy na obozie wspinaczkowym) powyższe lekarstwo, nawet gdyby do jego zastosowania skłonić M. wówczas mogłoby mieć okropne skutki podczas normalnych zajęć.

A jednak autor, twierdzi, że „nawet miłość, ten popęd zmysłowy z wrodzoną nieodpornością kładący jednym zamachem na ziemię całą intelektualność człowieka, popęd, któremu daremnie przeciwstawiany bywa rozsądek i względy praktyczne, któremu ani obawa sromu ani pohańbienie godności osobistej powstrzymać nie są w stanie — nawet „wszechwładna miłość" nigdy jeszcze nie pokonała próby wielodniowego głodu!" powołując się na autorytet psychiatry dra Störcha.

Mimo to dla M. i jej podobnych głodówka jest nie do zastosowania. A w tym okropnym XXI wieku bywają też głodówki prowadzące do śmierci, jak anoreksja. Zamieniłby więc stryjek siekierkę na kijek.

Czytam więc dalej i dowiaduję się, że błędne jest mniemanie iż mogłabym jej pomóc znajdując i zatrudniając hipnotyzera. Autor przytacza przykład pewnego „38-letniego kupca, który zachorował na silne zdenerwowanie wskutek nieszczęśliwej miłości, ponurego usposobienia i melancholii; gnębiący i beznadziejny stan jego duszy doprowadził go aż do myśli o samobójstwie. Przytem trapiła go absolutna bezsenność. Chory stracił wiarę w samego siebie; był bez humoru, niezdecydowany, podrażniony i na żadnym przedmiocie nie mógł zatrzymać swej myśli. Otóż poddał się on praktykom hypnotycznym; atoli wszelkie zabiegi hypnotyczne spełzły na niczem i wszystkie ośm posiedzeń nie doprowadziły do pożądanego skutku, owszem, jedynie zaszkodziły choremu"

Autor nie informuje czy na tyle radykalnie zaszkodziły, że zamiar swój zrealizował? Czy może powziął inne, gorsze zamiary? I w ogóle nie wiadomo co w takiej sytuacji jeszcze mogło mu więcej zaszkodzić. Bankructwo?

Pozostawia więc nas z nierozwiązaną zagadką, co można realnie zrobić dla zapobieżeniu samobójstwu i przechodzi do rozdziału o bezsenności. Phi, to wszyscy znamy, a osoby starsze najczęściej.

Potoczna opinia głosi, że starszy potrzebuje mniej snu, co nie zawsze jest prawdą. Normalnie ja potrzebuję 10 godzin snu (teoretycznie powinno wystarczyć mi 6-8), chyba, że przytrafia mi się okres bezsenności, kiedy śpię trochę mniej ale muszę odbić sobie to w dzień. Bezsennością więc także jestem zainteresowana, choć summa summarum śpię za dużo.

Ale rady są nudne i powszechnie znane, więc kartkuję dalej docierając do strony 23 traktującej o sposobach na regulowanie żołądka. No i wreszcie coś przyjemnego w leczeniu: sposób „E. Wypal z rana jedno cygaro przy kawie lub herbacie". Wprawdzie cygar nie używam, ale palenie papierosów kiedyś uważałam za przyjemne. Też bym je doradziła – co mi szkodzi.

A już dalej czytam przepis na „Utrzymaniu głowy w spokoju" Też bym chciała. Na pewno poczytam i sprawdzę, czy warto na sobie sprawdzać. Może jednak głowy ezoterycznych babć nie powinny zaznawać spokoju?

80. Jak zdobyć forsę metodą Sigili

W grudniu komornik potrącił mi ¼ mojej emerytury, potem mu się odwidziało, bo przypomniał sobie że wygrałam przeciwko niemu sprawę w sądzie i zwrócił forsę nie mnie, ale ZUS-owi, a czy i kiedy ZUS się doliczy i zwróci mnie, sam Pan Bóg raczy wiedzieć. I tak się cieszę, bo mógł mi tak potrącać jeszcze cztery miesiące. Osoba, która spowodowała dług, ma jeden prosty argument: nie mam forsy. Ja też nie mam.

Postanowiłam więc sięgnąć po metody magiczne . Nie przyśnił mi się żaden sen proroczy, który pozwalałby spodziewać się wygranej w totka, więc nie poszłam do kolektury i nie wykupiłam losu. Szkoda mi było zresztą resztki pieniędzy, którymi dysponowałam. Zaplanowałam sobie wydatek 20 zł i zakupiłam kurę, którą nadziałam sercami i wątróbką i upiekłam. Przy oszczędnym gospodarowaniu będą jadła ją 6 dni: po 3 dni każdą połówkę. Mam w domu kaszę i kartofle z lepszych czasów, trochę tostów, kapustę i ogórki własnego kwaszenia, nie umrę więc z głodu. Siódmego dnia będę odpoczywać i wproszę się do kogoś na obiad.

Przez te 6 dni muszę wyjść z finansowego dołka, ponieważ do limitu debetu na koncie zostało mi zaledwie 5 złotych. Magia jest tu niesłychanie pożądana, zwłaszcza, że w księgarni upatrzyłam sobie książkę, którą pragnę mieć, a kosztuje całe 69 złotych. No i przydałoby się jeszcze w domu to i owo, nie będę wymieniać, żeby nie zapeszyć. Nie mówiąc o tym pragnieniu, żeby w portmonetce brzęczało.

Przeczytałam (przyznaję dość pobieżnie) pewną pożyczoną książkę, pod tytułem „Osobiste symbole sukcesu". Poniżej kopia okładki:

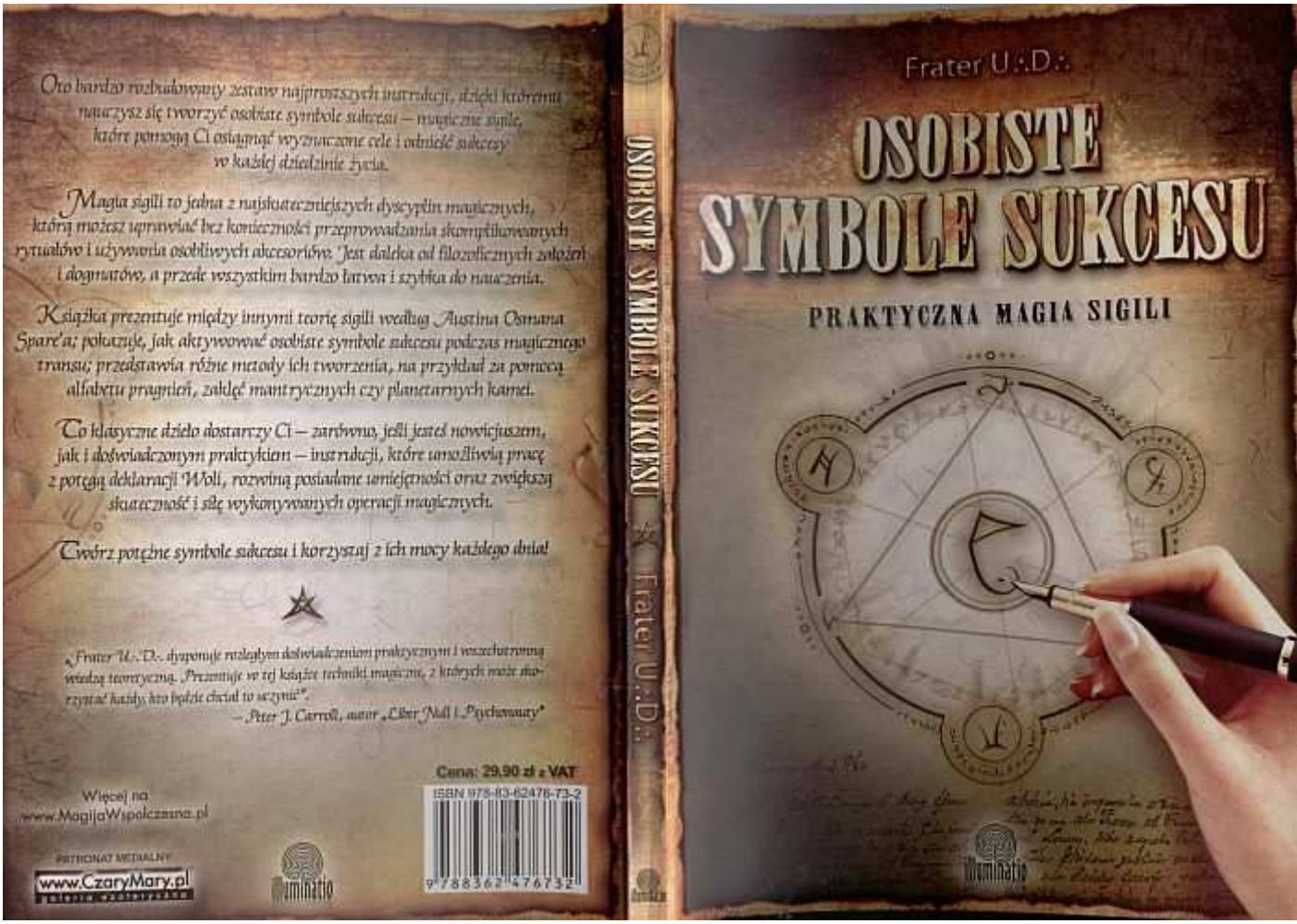

Książka traktuje o tworzeniu symboli, tzw. sigili metodą angielskiego maga i malarza Augustina Osmana Spare`a, która jest ponoć jedną z najskuteczniejszych i najwydajniejszych dyscyplin magicznych; nie wymaga przy tym żadnych akcesoriów, a nauczyć się jej jest prosto i łatwo. Coś całkiem dla mnie, mało zachodu, żadnych wydatków i natychmiastowe skutki.

Postanowiłam więc utworzyć swój osobisty sigil/a (?). Jak go zwał tak zwał, przede wszystkim trzeba sformułować zdanie wyrażające pragnienie i zapisać je drukowanymi literami. To proste!

CHCĘ DOSTAĆ DUŻO FORSY

W języku polskim należy pozbawić litery wszelkich ogonków i kropek. Już się robi!

CHCE DOSTAC DUZO FORSY

Potem należy wykreślić litery występujące więcej niż jeden raz. Proszę bardzo!

HCETA DUZ FORSY

Nie bardzo mi się to podoba. Wygląda jakby coś ze mnie drwiło zadając głupie pytanie. Ale oryginalna magia jest po angielsku, więc może w języku polskim tak drwiąco to brzmi, ale nie jest to oznaką, że drwią ze mnie siły wyższe? Idę więc dalej w magicznym przedsięwzięciu.

Teraz należy każdą z tych 3 zbitek liter przekształcić w rysunek pamiętając o tym, że np M może być też literą W – jak napisze się więc 2M czy 2W to będzie ok. Ja wykorzystałam tak literę D i U w drugiej zbitce.

Poniżej sigile trzech zbitek

Hceta (C jest niebieskie, może nie szkodzi, że zaostrzone, a nie zaokrąglone, bo moje pragnienie jest ostre jak brzytwa), **duz, forsy** (Y niebieskie)

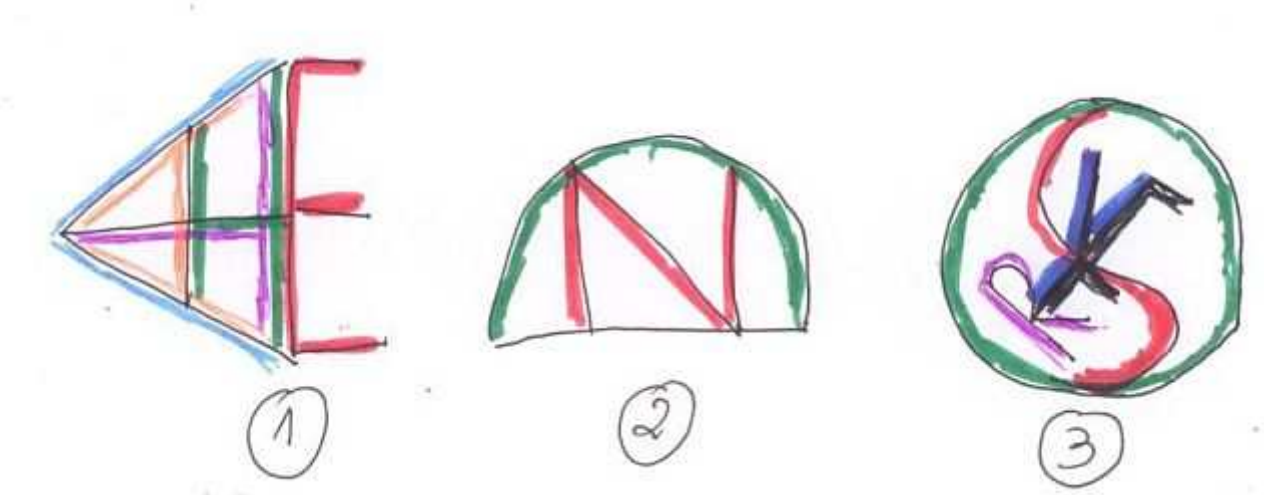

Teraz należy je scalić w jeden

A na końcu uprościć

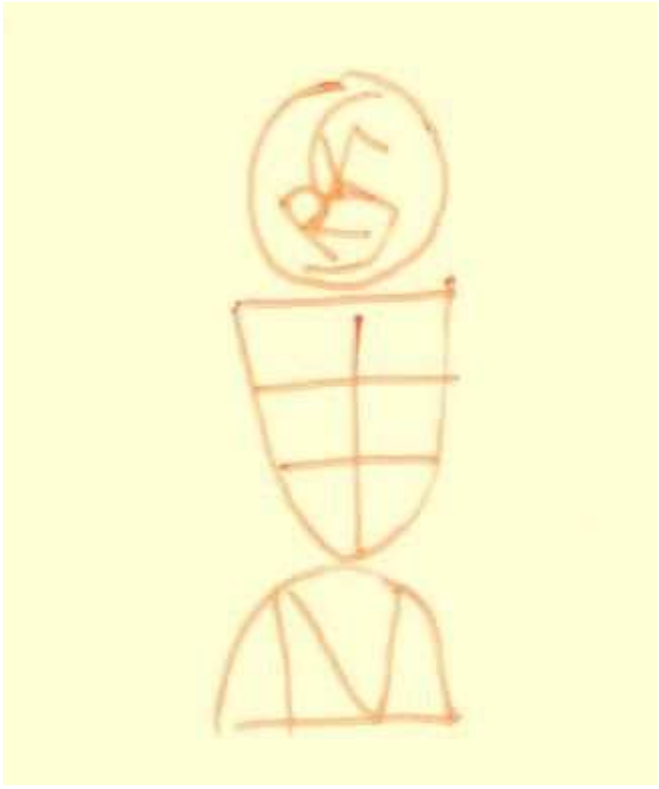

i wersja ostateczna wygląda jak kielich z monetą na której narysowano mandalę, w którą z kolei wpisano litery R, F i Y. Złośliwa wyobraźnia podpowiada mi, że może oznaczać to RAFY na mojej drodze do forsy, ale nie słucham złych duchów komorników. Kielich wygląda trochę jak tarcza, a podstawka jak przewrócony półd...ek, z przeciwwagą S na drugim końcu kielicha. Co to może oznaczać? SR...na półd...ek? No nie, już moja wyobraźnia kieruje się w nie całkiem te strony, które powinna. CHCĘ DOSTAĆ DUŻO FORSY! I tyle. Sięgam po karty tarota dla wspomożenia mojej imaginacji i odczytuję znaczenie asa kielichów i asa monet. Jak pisze WJ w jednym ze swoich wykładów, asy oznaczają energetyczne poparcie pewnej tendencji i że „as to jak garść pieniędzy w kieszeni". Nareszcie coś pozytywnego! As monet to zasobność materialna, a as pucharów to siła uczuć i fascynacji. Hurra!!!

Po stworzeniu sigili należy nad nimi medytować najlepiej w stanie euforii, ekstazy wywołanej za pomocą magii seksualnej, masturbacji, stosunku seksualnego lub rytuału albo wyczerpania fizycznego lub po zażyciu narkotyków. Nie mam narkotyków i nie używam ich, w transy nie wpadam, magii seksualnej nie uprawiałam i nie uprawiam, euforii nie mam powodu odczuwać. W związku z tym wyciągam 100-gramową flaszeczkę znakomitej własnej nalewki na pigwie i wypijam do lustra (nie wolno mrugać) skupiając się maksymalnie na sigilu i mając nadzieję, że to wystarczy. Gdzieś w podświadomości kołacze mi się słowo „figiel", mam nadzieję, że to znowu nie mieszają się w moje sprawy finansowe złe duchy wszystkich komorników, robiące mi na złość. Usiłuję więc sobie wmówić, że to ja robię figiel komornikowi, a nie on zrobił go mnie. Wszakże Sąd na 4 bite strony w błahej sprawie wytknął komornikowi błędy, jak nie przymierzając inny Sędzia pewnym służbom. Tak ma to wbić się w podświadomość, że CHCĘ DOSTAĆ DUŻO FORSY! Na pohybel komornikom!

Jeżeli to może być formą zastępczą transu, to już osiągnęłam właściwy stan. Rozmyślam nad sigilem-figlem, przyswajam go, wchłaniam zamiast kolacji i mam zamiar przywoływać go kilkakrotnie przed

snem, a zwłaszcza tuż po proszkach. Szkoda, że pigwówka już się skończyła, ale trudno, musi wystarczyć. Sama w sobie jest magiczna.

Pigwę zbierałam w pośpiechu podczas ostatniego pobytu na działce z zapomnianych krzaków cudem ocalałych spod kosiarki obecnych zarządców działki ścigając się przed nadchodzącą wichurą i deszczem. Nawet podkradłam sąsiadce kilka sztuk. Żegnałam się z moim dawnym królestwem krzewów i drzew brzydkich, niemodnych i kłujących. Dlaczego ktoś trzyma takie wredne krzaczki czepiające się spodni, podczas gdy na rynku można kupić za jedne 15 złotych dorodne pigwy, wielkie jak jabłka? A że nie mają aromatu? Po co komu aromat, można kupić wodę perfumowaną jeśli chodzi o to tylko! Na szczęście aromat został zaklęty w pigwówce, a wytłoczone połówki mogę dodawać jeszcze do herbaty.

Potem palę sigila nad zlewozmywakiem używając zapałki, a nie zapalniczki. Mam nadzieję, że zeskanowanie go przed spaleniem nie zaszkodzi magicznym celom i jednak przyniesie mi ten magiczno-artystyczny wytwór forsę w zębach wraz z aromatem pigwy. Daję mu na to tydzień. Do zjedzenia kury magicznie nadzianej sercami i wątrobami.

81. Wszechogarniająca miłość pozbawiona ...izmów

W czasie dyskusji nad odcinkiem o życiu zgodnie z naturą, dyskusja zboczyła na lekko dziwaczne tory. Odezwali się idealiści(tki) wierzące w automiłość pozbawioną narcyzmu, egoizmu i takich tam przywar. Piotr Jaczewski postawił tezę, że wszechogarniająca miłość towarzyszy zawsze jakiejś formie przemocy. Z niechęcią przyznaję, że chyba ma rację.

Nie uważam oczywiście, że nie należy kochać siebie. Trzeba, ale bez przesady i zaślepienia, z umiarem i rozwagą. W ogóle popadanie w skrajności nie przynosi dobrych rezultatów.

W Biblii najbardziej podobają mi się przypowieści mające ilustrować pewną tezę. Więc i ja posłużę się taką przypowieścią. Wydarzenie jest prawdziwe ale niejednoznaczne. Podejrzewam, że moje spojrzenie na nie jest całkiem inne niż dyskutującej Moniki Stępniewskiej ale niestety, nie mam nadziei, że Monika spróbuje choć spojrzeć na niego moimi oczami. Patrzy na świat przez pewien filtr, jak osoby, o których napiszę. (Co nie oznacza, że używają tego samego filtra!)

Jeśliby próbować nadać nazwę zjawisku, z którym miałam do czynienia, to dziś istnieje na nie określenie: bombardowanie miłością.

W 1959 roku zdałam na studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim i idealistycznie nastawiona do świata, z kompletem poglądów które wzbudziłyby poklask Moniki, postanowiłam gdzieś wyjechać na wakacje. Nie miałam jeszcze 17 lat, więc byłam w wieku zbyt starym na uczestniczkę kolonii letnich (jednak w sierpniu załapałam się na takie kolonie), a zbyt młodym jeszcze na wychowawstwo na koloniach. Idealnym wyjściem, które wynalazła mi mama, był obóz dla młodzieży studenckiej organizowany przez pewien kościół w Warszawie. Opłata była symboliczna, zapowiadano dużo czasu poświęconego na dyskusje i swobodę tych dyskusji, co w zupełności się potwierdziło. Księża byli młodzi, sympatyczni i wykształceni. Ja wtedy już przestałam chodzić do spowiedzi po pewnych niemiłych doświadczeniach, ale byłam otwarta na wszelkie rozmowy i starcia poglądów.

Wśród nas była i młodzież ateistyczna i nikt jej nie krępował w wypowiadaniu swojego zdania ani nikt nie sekował za nie. Czasami dyskusje przeciągały się długo w noc, były zawsze na wysokim poziomie intelektualnym. Dyskutanci powoływali się na filozofów, o których jeszcze nic nie wiedziałam. Chłonęłam te dyskusje, uczyłam się nowych poglądów i dzięki temu bezwarunkowo akceptowałam całą formułę tego obozu. Poranne i wieczorne msze (nieobowiązkowe, ale uważałam, że jeśli korzystam z gościnności Kościoła mam obowiązek w ramach akceptacji poddać się wszystkim zalecanym czynnościom), to, że ksiądz gra z nami w piłkę i na co dzień nie chodzi w sutannie, wieczorną spowiedź (na którą nie uczęszczałam) no i owe inspirujące dyskusje. Przyjacielskość wszystkich wobec wszystkich.

W szkole byłam średnio lubiana. Wszyscy wiedzieli, że utrzymujemy się z Opieki Społecznej i matki koleżanek przynosiły mi ich stare sukienki. Ze swojego kościoła parafialnego wyniosłam też niezbyt dobre, dość traumatyczne doświadczenia – choć nie nikt nie korzystał wówczas z jego pomocy, jak dziś. Wydawało mi się, że Kościół zawsze i wszędzie jest taki sam i to zaskoczenie było przyjemne.

Dziś wiem, że jeżeli coś jest aż tak bardzo świetlane, to zazwyczaj kryje się za tym jakaś ciemna strona. Mając 16 lat byłam naiwna i pewnych rzeczy nie chciałam wiedzieć. Że na przykład codziennie chodząca do wieczornej spowiedzi moja koleżanka jest zakochana w księdzu i że ich kontakty w dzień bywają dziwne. Wokół nich powietrze jakby gęstniało od niewypowiedzianych słów i pragnień, ale cóż ja o tym mogłam wiedzieć, naiwne dziewczę chowane pod moralnym kloszem, bez lepiej poinformowanych przyjaciółek i pod wpływem starannie dobieranych przez mamę lektur.

Bombardowanie miłością. Podobno po tym odróżnia się sekty od prawowiernych religii, ale to oczywiście uproszczenie. Ja z czymś takim zetknęłam się tylko raz w życiu, ale pamiętam to doświadczenie do dziś, a właściwie przypomniałam sobie pod wpływem wspomnianej dyskusji.

Najpierw zadziałał instynkt, wręcz fizyczne odczucie, że „coś nie jest tak” i on pozwolił mi uciec gdzie pieprz rośnie.

Zaczęło się pewnego ranka. Wybrałyśmy się na wycieczkę w góry z trzema koleżankami. Nigdy nie dość nam było rozważań filozoficznych, więc i religijne też się zdarzały. Moje koleżanki należały do osób bardzo religijnych i chciały właśnie na ten temat dyskutować. Mnie było wówczas wszystko jedno o czym dyskutuję, kochałam sam kontakt z ludźmi, możliwość rozmowy z nimi, spragniona byłam koleżanek, przyjaciółek, nieocenzurowanych przez mamę rozmów.

W czasie tej wycieczki osunęła się pode mną sterta kamieni i zjechałam na dół śliskim od kapiącej wody żlebem. Nie stało mi się nic strasznego, ale noga spuchła mi w kostce jak bania. Potem okazało się, że zerwałam ścięgno, ale nie założono mi nawet gipsu, tylko jakiś czas chodziłam w bandażu elastycznym.

Na upartego podpierając się jakimś kijem doszłabym do schroniska, w którym mieszkaliśmy. Mogłam też zaczekać aż koleżanki przyprowadzą więcej osób, a zwłaszcza chłopców z noszami. Próbowałam im to wytłumaczyć, ale one się uparły, że zrobią siodełko i same mnie zaniosą do domu.

Protestowałam, ale były naprawdę uparte, a mnie noga bolała jak diabli. Poza tym byłam kompletnie nieodporna na ludzką życzliwość, głupiałam wówczas po prostu i rozpływałam się jak smalec na patelni. Darzyłam takie osoby nieograniczoną miłością i wielką estymą.

Dziewczyny były szczuplutkie, a ja swoje ważyłam, gdzieś z 52 kg – dla każdej po 26 kg to nie byle co. Widziałam jak się męczą i byłam coraz bardziej przerażona. Gdybym mogła natychmiast zmieniłabym się w piórko i uniosła do góry, ale nie mogłam im w żaden sposób ulżyć. Milczałam więc, jakby słowa dodawały ciężaru.

Tymczasem one nie bacząc na pot lejący się po całym ciele szły nieustraszenie dalej. W końcu poprosiłam żeby postawiły mnie na chwilę i odpoczęły, a najlepiej poszły po kogoś do schroniska. One jednak nie chciały. Nawet trzeciej, drepczącej obok bezradnie nie dały się zmienić.

Zaczęłam wyrażać swoją wdzięczność i swoje skrępowanie, że tak je wykorzystuję i już sama nie wiedziałam jak okazać im moją — wówczas — wszechogarniającą miłość.

Na to usłyszałam, że nie robią tego dla mnie, tylko dla miłości Boga. I jeśli o mnie chodzi, to mogłabym zdechnąć tu, na miejscu, ale wówczas Bóg by im nie wybaczył. I człowiek musi się umartwiać z miłości do Boga, żeby pokazać mu swoje oddanie, więc tak czy inaczej to robi, wszystko jedno. Umartwienie polegające na niesieniu mnie pojawiło się same, bez poszukiwań z ich strony, więc jeśli w ten sposób mogą okazać miłość do Boga, tym lepiej. Całą drogę tak trzeszczały mi o tym umiłowaniu umartwień i co by jeszcze zrobiły z miłości do Boga. Jedna z nich pokazała mi nawet pręgi od samobiczowania i wówczas zrozumiałam dlaczego w górach na wycieczce chodzi w długiej spódnicy, a nie w szortach, jak normalni ludzie.

Zawieźli mnie samochodem do szpitala razem z moimi rzeczami, a ja po prześwietleniu i opatrunku kazałam się odwieźć na stację kolejową i wsiadłam do pierwszego pociągu. Siedząc na peronie kilka godzin cały czas czułam mdłości ze wstrętu. Takie to wydawało mi się chore i obrzydliwe. Widok tych pręg na udach koleżanki prześladował mnie.

Doskonale wiedziałam z dzieciństwa jak boli uderzenie pasem (w dodatku ze sprzączką) na nagim ciele. Bywało, że nie mogłam rozebrać się na WF, a matka pisała mi zwolnienie. Myśl, że ktoś dobrowolnie może sobie coś takiego robić i w dodatku twierdzić, że czyni to z miłości, przekraczała moje pojmowanie. Wydawało mi się to obrzydliwe i właśnie chore, jak mdłości na chwilę przed wymiotami.

Dziś wiem: bombardowanie miłością towarzyszy zawsze indoktrynacji. Oczywiście moje koleżanki pod wpływem wysiłku prawie przekraczającego ich możliwości utraciły dotychczasową umiejętność ukrywania swoich celów.

Nie była to jednak indoktrynacja w stylu ojca Rydzyka, wręcz przeciwnie, indoktrynacja ludzi myślących i dyskutujących. Bombardowani miłością, jeśli nie załapali, że to manipulacja (tam przecież nikt nikogo do niczego nie zmuszał, wolno było mówić wszystko i w każdy dostępny sposób), wpadli jak śliwka w kompot i pływają w nim, niektórzy zapewne do dzisiaj.

82. Dalsze losy sprowadzania dużych pieniędzy metodą sigili

Po spaleniu sigila leżałam chwilę czekając na sen. Jestem z natury osobą dość czynną, więc nie w moim zwyczaju jest bezpłodne oczekiwanie na coś, co się może zdarzyć. Obmyślałam posunięcia, które podejmę dla realizacji mojego pożądania pieniędzy.

Postanowiłam napisać do pewnego wydawcy, którego mi polecono i wysłać tekst, który był jak skrojony pod projekt ich antologii. Nie zrobiłam tego wcześniej z głupiej przyczyny – jedna z moich negatywnych bohaterek opowiadania nosiła przezwisko jakie nadano przedstawicielce owego wydawcy, której mnie rekomendowano. Nie mogłam zmienić ksywki bohaterki, bo była ona elementem konstrukcyjnym opowiadania, a jakoś nijak mi było tak się narażać. Po zastosowaniu magicznych zabiegów i utworzeniu sigila uznałam, że co mi tam, nikt mnie nie zje, najwyżej sobie o mnie pomyśli „wredna baba" i tyle. Myśląc o tym, że wyślę ten mail rano zauważyłam, że moje ręce na kołdrze wykonują po ciemku ruchy, jakbym pisała na klawiaturze komputera i zaczęłam zastanawiać się, czy to przypadkiem to nie pierwsze działanie magii polegające na nawiązywaniu kontaktu z nieznaną mi, choć podobno sympatyczną kobietą o paskudnym przezwisku.

Następnie podjęłam inną decyzję: zwrócić się o pożyczkę do kogoś, kto mi ją oferował, ale komu odmówiłam w zgubnym przekonaniu, że muszę sobie dać sama radę. Musi to na Rusi – jak mówiono u mnie w domu – a w Polsce jak kto chce. Nie sądzę, żeby ktoś obecnie w Polsce miał głupie skrupuły w zaciąganiu pożyczek od dość bliskich mu osób, więc i ja powinnam być bardziej nowoczesna. Moje dotychczasowe trudności nie wzięły się przecież z zaciągania pożyczek! Zresztą chodzi o niewielką sumę – tylko na przetrwanie i rezerwę, gdyby kura nie wystarczyła.

I trzecie postanowienie — to było dać magii szansę, czyli pójść rano do kolektury i wykupić los, najlepiej metodą chybił-trafił. Jeśli magia zadziała upora się na pewno z komputerem losującym układy, a mnie oszczędzi dokonywania wyboru jakichś liczb.

Potem zasnęłam i takie miałam sny: Sen pierwszy: Śni mi się haftowana złotem kanapa, w której ozdabianie jestem zaangażowana. Zostaje przez zamawiającego odrzucona, bo haft nie był zbyt udany. Sen drugi: Na wielkim łożu leży kilkoro starców obojga płci. Po pokoju biega dziecko goniąc mechaniczną zabawkę. Woła rozdzierającym serce głosikiem: Piesek... Ucieka.... Biorę dziecko na ręce, przytulam i tłumaczę mu, że to nie jest prawdziwy piesek i dlatego nie powinien za nim biec. Budzę się słysząc jeszcze jego rozdzierający płacz za uciekającym pieskiem. Brrr!

Nie sądzę, żeby te sny wróżyły pozytywny skutek magii. A jeżeli się nie wierzy w działanie magii, to ona podobno nie działa. Chyba moje wewnętrzne Ja nie uwierzyło Mnie testującej metodę sigili.

A może po prostu źle sformułowałam pytanie? Może nie powinnam napisać że „chcę dostać dużo pieniędzy" tylko „kimkolwiek jesteście dajcie mi dużo pieniędzy"? Ale na zmiany za późno. Sigil wdrukowany w jaźń, kielich z monetą w złotym kolorze zafiksowany w umyśle, pozostaje tylko czekać. Na oku mam jeszcze dwa inne przedsięwzięcia, ale tak się składa, że w ich sprawie wcześniej zrobiłam, co mogłam i nic mi już więcej nie pozostało, ba, mogłabym nadmiernie naciskając tylko sobie zaszkodzić.

Dzień drugi

Dla zabicia czasu opracowuję horoskop pewnej znanej pisarki, o który mnie prosiła. Oczywiście bezpłatnie. Nie jestem przecież astrologiem – zbyt wiele mam wątpliwości i nie zawsze sama ze sobą się zgadzam. Wysłałam jej 3 odcinki i na razie podobno wszystko się zgadza. Ale taki horoskop, jak ona, to każdy chciałby mieć! Ona po prostu nie mogła nie odnieść sukcesu! Trzy osie obsadzone, Jowisz tam gdzie powinien, Saturn też i jeszcze inne rzeczy takie, że nie może być lepiej, a w dodatku

te tranzyty! I jest śliczna! Deszcz forsy bez żadnej magii. Co prawda w 2015 roku, ale zawsze. Dobrze, że nie mam natury zawistnej, bo mogłabym się załamać.

Koleżanka napisała mi w mailu, że żeby sigile pomogły, to nie powinnam o nich głośno mówić, jak również nie powinnam ich skanować. Więc jeszcze jest jeden powód, jeśli nic z tego nie wyjdzie. W każdym razie ja tego wcześniej nie wiedziałam i trudno, stało się.

Poszłam do kolektury i wykupiłam los za 12 zł, bo otrzymałam już pożyczone pieniądze. Teraz czytam książkę o snach proroczych.

Dzień trzeci

Rozszerzam swoją wiedzę o Sigilach. Ich najważniejszy pomysłodawca był członkiem Zakonu Złotego Brzasku razem z Aleisterem Crowley`em. Cały ZZB używał sigili jako obrazów dusz istot magicznych – cokolwiek to znaczy. Nie ma więc chyba nic dziwnego, że utworzony sigil skojarzył mi się z kartą Tarota. Po prostu poszłam mimowolnie śladem swoich wielkich poprzedników. Z dalszej lektury dowiaduję się, że mogłam swojego sigila jeszcze bardziej uprościć aż do postaci zupełnie nie przypominającej pierwotnej. Następnym razem się poprawię.

Autor książki rysuje sigile bardziej uproszczone z jednej strony, z drugiej zaś mocniej odrealnione. Poza tym on preferuje pozycję leżącą sigili, ja zaś stojącą. Czy to ma wpływ na coś? Używam określeń: leżący i stojący, a nie poziomy i pionowy celowo, mnie bowiem kojarzą się w jakiś sposób z przetworzoną sylwetką człowieka. Moja moneta jest głową, środek tarczą, herbem i korpusem człowieka, podstawa zsuniętymi stopami, a wpisana w nią litera Z ich niespokojnym układem. W głowie/monecie roi się od ostrych kątów i skontrastowanej z nimi łagodnej linii mandali. Dysonans, jakby nie było.

Doczytuję do fragmentu, który mówi o tym, że należy o sygilu zapomnieć. Nie będę więc już o nim myśleć i pisać, a ciekawych odsyłam do książki

Dzień czwarty

Wieczorem losowanie lotto. Rano zapominam o sigilach, bo wdaję się w dyskusję o automiłości, wszechogarniającej miłości itp. Koresponduję z kimś i jego zdanie inspiruje mnie i skłania do opisania pewnej starej, dawno zapomnianej historii. Rozumiem też lepiej siebie — wiem dlaczego reaguję jak pies Pawłowa na *wszechogarniającą miłość*, tylko nie ślinieniem się, a mdłościami. Piszę nowy odcinek Babci, w którym opisuję tę historię. Mam nadzieję, że nie dostanę przez łeb od dyskutantek, zwłaszcza tych, które najpierw napiszą, a potem skasują wpis (zdążył przyjść mailem). Jak z takimi rozmawiać? Uruchomić w głowie łagodną mandalę czy kanciastą ekierkę?

Zaledwie po dwóch dniach otrzymuję odpowiedź od przedstawicielki wydawcy, co jest szybkością zaiste szokującą. Normalnie raczej nie odpisują. Wprawdzie jej zdaniem opowiadanie nie pasuje do tej akurat antologii tematycznej, ale do następnej chyba tak. Nie obraża się o ksywkę i twierdzi, że będzie wszystkich informować iż została postacią literacką. Uważa je za niejednoznaczne (co chyba jej zdaniem jest zaletą) i będzie go rozgryzać i myśleć, jak go wykorzystać. Szybkiej forsy z tego nie będzie, ale nastrój mi poprawiło. Lubię być rozgryzana. To ta głowa Sigila, unosząca się nad kielichem zadziałała, jestem pewna.

Dzień piąty

W nocy wstałam i weszłam na stronę lotto. Pudło. Nic nie wygrałam Noga boli. Ręka boli. Proszek nie działa. Za oknem szaro. Wchodzę na stronę Taraki i widzę, że podniosła mi się liczba czytelników. To jest miłe. Wszyscy życzą mi wygranej, a ja niestety nie jestem w stanie życzeń tych spełnić. Czy za mało chcę, czy jestem zbyt niecierpliwa? Pada śnieg ale jest brudno. Wietrzę mieszkanie, ale powietrze które napływa też jest brudne. Wchodzę na stronę pewnego blogu o magii i z artykułu „Aktywność gwiazd a energie nowotworowe" dowiaduję się, że w ostatnim czasie spadło na ziemię dużo światła wybranych gwiazd. Teraz to „oświetlanie" się skończyło, ale proces ten uaktywnił zarówno w mieszkaniach, jak i indywidualnych systemach energetycznych ludzi bardzo wiele energii i wibracji nowotworowych. Owemu zawiadomieniu towarzyszy nieprzyjemny rysunek i trzeba sprawdzić czy w pobliżu w mieszkaniu lub otoczeniu nie ma rzeczy wpadających w rezonans z tym krabem. Jeżeli są, należy wizualizować wymiotowanie krabami do czarnego wiadra, a wiadro wrzucać do zwizualizowanego wulkanu. Można też wyobrazić sobie, że nasz dom nie ma dachu i wizualizować wylatujące kraby dotąd, aż całkiem wylecą do ostatniej sztuki. Nad moim mieszkaniem nie ma dachu tylko jest mieszkanie sąsiadów, którzy lubią po nocach hałasować, więc może tam im wpuścić te kraby? Nie, co ja wymyślam! Magii nie wolno używać przeciw komuś.

Magia przestaje mi się podobać. Jest niebezpieczna, to pewne. Kiedy zacznę wizualizować sobie te wstrętne stworzenia, i jeśli nawet powstrzymam się z wypuszczeniem ich do moich sąsiadów, mogą nie zechcieć opuścić mojej głowy. Już teraz wygląda na to, że kurczaka będę jadła co najmniej osiem zamiast sześciu dni. Męczy mnie tylko pytanie: Co za *wybrane gwiazdy* emitowały te promienie i kto je wybierał i pod jakim kątem?

Dzień szósty

Otwieram poranną pocztę i znajduję jakiś mail, że zostałam wpisana do ogólnopolskiego rejestru przedsiębiorców pod numerami takimi a takimi i mogę to sprawdzić pod takim linkiem. Boję się sprawdzić. Wyciąganie pieniędzy drogą wysyłania maili lub nawet wyroków e-sądu do ludzi, którzy o niczym nie mają pojęcia, bo nie posługiwano się ich właściwym adresem, stało się już procederem, podobnie jak wysyłanie niechcianych rzeczy – książek, kalendarzy itp. Nie jestem żadnym przedsiębiorcą, ale sprawdzenie, co tam o mnie nawypisywali może skutkować domaganiem się opłaty za korzystanie z jakiegoś rejestru, będącego czyjąś własnością. Czyżby magia działała na opak – ściągała na mnie jakieś roszczenia zamiast przysłać pieniądze?

W moim bloku już drugi dzień nie działa ogrzewanie. Napisano: awaria, ale o żadnej awarii na mieście ani słychu ani widu. Czyżby więcej ludzi podjęło działania magiczne i pieniędzy po prostu zabrakło?

83. Klimakteryjne odchyłki

Minął mi czas wesołkowatości, pomyślmy więc na poważnie. Jak w powodzi dostępnych lektur, autorytetów, sugestii i twierdzeń znaleźć to, co jest prawdziwe, mimo, że nieoczywiste? I na ile jest prawdziwe, a na ile prawdę uzupełniono domysłami? Są rzeczy, z których można łatwo kpić ale i są rzeczy, co do których jesteśmy przekonani, prawie pewni, że są prawdziwe. I mylimy się co do nich równie często, zachowując i nie zachowując ostrożności.

Niech za przykład posłuży niniejsza historia z życia wzięta. Pewna Pani przechodziła trudny rozwód z mężem. Pani była schorowana i niepełnosprawna, mąż miał kochankę, z którą niezbyt się krył (sąsiedzi widzieli i byli gotowi zeznawać, że w czasie jednego z pobytów Pani w szpitalu opalał się nago z kochanką na balkonie ich mieszkania w bloku) więc groziło mu, że sąd uzna jego winę, a tym samym będzie musiał płacić alimenty na niepracującą i schorowaną żonę. Imał się więc różnych środków, żeby udowodnić, że to Pani jest winna, sięgając do tajemnic ich łoża, stołu i łazienki, a nawet zarzucając wadliwe charaktery ich dzieciom, odziedziczone oczywiście po Pani.

Pani po jednej czy dwóch rozprawach zasłabła i została odwieziona do szpitala. Jej serce domagało się leczenia, ale ponieważ Pani źle znosiła swoje klimakterium i miała rozmaite przywidzenia (jak uznali lekarze) poważnie rozważano sprawę ewentualnego przeniesienia jej na oddział psychiatryczny po skończeniu reperacji jej złamanego serca. Na razie nikt jej o tym nic nie mówił obawiając się niedobrej reakcji i pogorszenia stanu zdrowia. Powiedziano o tym jej dzieciom, które miały w tej sprawie podjąć decyzję. Oboje uważali, że mama nieco przeholowała w swoich przywidzeniach, ale różnili się w poglądach na to, jaką podjąć decyzję – wyrazić czy nie wyrazić zgody. W końcu nic nie zrobiono, a mamę wypuszczono ze szpitala do domu.

O co poszło w tym całym podejrzeniu niepoczytalności mamy? Otóż Pani twierdziła, że na jej sali położono szpiega kochanki męża i że tym szpiegiem jest niejaka „Małpa" udająca chorą tylko po to by ją, prawowitą żonę Pana, szpiegować i jemu na nią donosić. Pani mogła źle myśleć o owej „Małpie", ponieważ tamta kpiła z niej i wśród chorych robiła jej antyreklamę, że głupia, że histeryczka, że niechlujna i tak dalej – wszystko co mogło biedną Panią w oczach innych kobiet skompromitować. Ale przecież, na miłość boską, po co Panu szpieg w szpitalu, skoro i tak na Panią nie może patrzeć i z nią nie chce żyć.

Naturalnie wszyscy podzielali ogólną opinię, że z głową Pani nie wszystko jest w porządku, a ponieważ czasem sprawiała wrażenie rozhisteryzowanej starej wiedźmy, współczuto jej przystojnemu, młodszemu od niej i zrównoważonemu mężowi (w dodatku „na stanowisku"). Tą opinią zarażono także dzieci, przekonane, że same swój pogląd sobie wyrobiły, nie naciskane i nie ponaglane przez nikogo.

Jakie było zakończenie tej historii? Oczywiście Pan dostał rozwód, ale ze swojej winy i został zobowiązany do płacenia alimentów (których zresztą nigdy nie płacił). Sąd tak rozstrzygnął sprawę mimo, że w roli świadka wystąpiła pewna kobieta twierdząca, że leżała na sali szpitalnej razem z Panią i była świadkiem nieobyczajnych i nienormalnych zachowań Pani, co może świadczyć o jej chorobie psychicznej i wszystkich możliwych odchyłkach. Świadek ten nosił takie samo nazwisko, jak

kochanka męża, opalająca się nago na balkonie peerelowskiego bloku, co przecież poniekąd także było objawem niepoczytalności. Ale odium choroby psychicznej przylgnęło do Pani, a nie do niej.

Czego dowodzi ta historia? Niektóre urojenia mogą być prawdą, a niektóre prawdy (także objawione) urojeniami. Zawsze z tym należy się liczyć. W ezoteryce zwłaszcza.

Jeżeli więc ktoś twierdzi, że usuwa złe energie, istnieje pewna możliwość, że te złe energie istnieją i że on je istotnie usuwa. Nie wyklucza też innych możliwości, że on usuwa coś, co nie jest złymi energiami, albo że energie dobre i złe istnieją lub nie istnieją, ale tak czy inaczej on ich nie usuwa. Sam w sobie pakiet jest neutralny. Jeśli jednak do tego pakietu włączyć szereg innych twierdzeń, staje się on coraz mniej prawdopodobny. Oto nieszkodliwa z pozoru strona, polecona mi przez kogoś znajomego.

http://www.artuvia.pl/

Wczytując się jednak głębiej docieram do odcinka blogu:

http://artuvia.blogspot.com/2012/12/aktywnosc-gwiazd-energie-nowotworowe.html, o którym pisałam poprzednio pokazując rysunek kraba.

Szczególnie polecam jednak inny odcinek dotyczący pieniędzy:

http://artuvia.blogspot.com/2012/04/blokady-finansowe.html

traktujący o tym dlaczego nie mamy pieniędzy i ich nie będziemy mieć. Plączący się Kosmici, plus poprzednie wcielenia, plus relacje z osobami które związane są węzłami karmicznymi z: (patrz uprzednio wymienione nacje), zanieczyszczenie energetyczne naszych pomieszczeń (uwaga na kupione używane mieszkania!) i negatywne praktyki duchowe (czy metoda sigili do nich należy?) – to mają być jedne z przyczyn. Trochę ich zbyt dużo, żeby dały się usunąć bez większych inwestycji w działania specjalisty.

A jednak facet na tym właśnie robi pieniądze. Podobno. I polecano mi go jako bardzo rozsądnego człowieka, tylko osoba polecająca nie miała pieniędzy, żeby go zaangażować. Za darmo trochę sobie z nim porozmawiała przez telefon. Jaki rodzaj blokady wystąpił w jej przypadku? Zapewne bez pieniędzy nie dowie się.

Czy może jest jak owa Pani z opowieści o rozwodzie – ma rację, ale wszystkim wydaje się, że oszalała szukając przyczyny swoich niepowodzeń finansowych?

84. Scenariusze perfidnie odtwarzane

Historia Pani i Pana i ich rozwodu przypomniała mi inną, wprawdzie nie rozwodową, ale związaną z małżeńską zdradą. Kto mówi, że głupi ludzie nie mają genialnych pomysłów? Testowanie serialowych scenariuszy jest częstsze niż się wydaje, ale trudne do zdemaskowania, ponieważ nie wszyscy oglądają seriale. A jednak czasem warto, jeśli chce się żyć. I w dodatku można podkształcić się w archetypach.

Czytając w prasie o Katarzynie W. wyczytałam, że popełniając zabójstwo ponoć wzorowała się na jakimś filmie. Ja mogę opowiedzieć inną historię, tego samego rodzaju, choć nie z tak dramatycznym skutkiem.

Tu bohaterką też jest Pani, nazwijmy ją Zosia. Pani Zosia przebywając na działce odległej o 150 km od jej domu w nocy dostała bólów zamostkowych i przez obudzonego sąsiada została odwieziona do miejscowego szpitala.

Okazało się, że w jej tętnicy prawdopodobnie utworzył się zator, ale szpital był kiepsko wyposażony i nie dysponował wówczas nowoczesną aparaturą, więc leczono ją tradycyjnie, zastrzykami w brzuch i lekami uspokajającymi oraz obniżającymi ciśnienie.

Mąż pani Zosi przyjeżdżał na działkę tylko w weekendy ponieważ pracował na odpowiedzialnym dyrektorskim stanowisku. Jak się później okazało jego sekretarką była pewna przechodzona panienka, nazwijmy ją „Inną". Ta Inna była nieszczęśliwą kobietą – według jej opowiadań ciężko doświadczoną przez los. Te ciężkie doświadczenia życiowe to zdrada ukochanego, śmierć rodziców, dybanie na majątek przez jej brata. Przez zdradę ukochanego została panienką, śmierć rodziców spowodował brat. Tak coś pomajstrował przy butli z gazem, że wybuchła i zabiła rodziców. W dodatku brat był gangsterem, przez co został znienawidzony i pozbawiony prawa do spadku. W związku z tym dybie stale na życie swojej siostry – panienki, chcąc odziedziczyć po niej dom będący spadkiem po nich, zanim zostanie mężatką. Taką historię opowiedziała Inna mężowi pani Zosi, wskutek czego postanowił zaopiekować się nieszczęśliwą panienką i awansował ją z podrzędnej biuralistki na swoją sekretarkę. Kiedyś opowiedział żonie jej smutną historię, tak bardzo ubolewając nad nieszczęściami kobieciny, która w dodatku przeszła ciężką operację utrudniającą jej znalezienie chętnego na dwupiętrowy dom męża, że pani Zosia nie wytrzymała i wyraziła wątpliwość, czy w Polsce można kogoś jawnie zabić i pozostać bezkarnym, będąc w dodatku gangsterem, na którego działania skierowane są oczy wszystkich. Nie wyeksponowała swojego żalu, że jej losy i choroby rodzonemu mężowi są raczej obojętne

Jej nieufność do osoby sekretarki miała swoje niewypowiedziane podstawy – po prostu była kobietą trzeźwo stąpającą po ziemi i nie wierzącą w historyjki o „książkowych" ludzkich nieszczęściach, no i znała wiele opowieści o mężach, którzy po pięćdziesiątce zmieniają swoje priorytety życiowe na młodsze, w zgubnej nadziei, że te lepiej się nimi zaopiekują na starość, wdzięczne za podniesienie ich społecznego statusu. Na swoje nieszczęście nie oglądała też seriali, ale los tu ją wyręczył i pozwolił obejrzeć w szpitalu jeden jedyny odcinek z kilku tysięcy innych, który ją oświecił co do przygotowywanego dla niej losu.

Mąż powiadomiony o tym, że żonę zabrano do szpitala „na serce", przyjechał na drugi dzień. Pani Zosia przeszła już jeden zawał i kilka innych incydentów, więc rokowania były niepewne. Przywiózł jej maleńki, przenośny telewizorek, trochę osobistych rzeczy i po pół godzinie, przekonawszy się, że żyje odjechał, bowiem był bardzo zapracowanym człowiekiem i wiele urzędowych spraw od niego zależało.

Pani Zosia leżała w szpitalu tydzień i stan zdrowia jej się poprawiał. Ustąpiły bóle, wracała jej energia, chęć do rozmów z ludźmi, jednym słowem chęć do życia. Mąż obiecywał, że przyjedzie w weekend.

Leżące na oddziale kobiety pochodziły najczęściej z okolicznych wsi, biedne, spracowane. Opowiadanie o nieszczęściach i chorobach było rozrywką numer 1, a rozrywką numer 2 oglądanie seriali. Niestety, szpital nie posiadał telewizorów. Za to miała je ta Paniusia Zosia. Kobiety więc przymilając się namówiły ją, żeby włączała im telewizor o godzinie „Szansy na sukces", ponieważ oglądanie tej wrednej Brok robiącej zakusy na prawowitego męża pozwalało im mieć nadzieję, że Prawowita Żona pokona Wredną, Dobro zwycięży Zło, a one zyskają jeszcze jeden dzień pobytu w szpitalu, do następnego jarmarku w czwartek, zwyczajowo przeznaczanego na odwożenie babć karetką do domów opornych rodzin. Przez ten czas co sobie pojedzą, to pojedzą, podleczą się trochę i nikt im nie każe czegoś robić.

Pani Zosi żal było tych kobiecin, więc odpalała im telewizor, ustawiając na przeciwległą stronę sali, ponieważ sama niczego w rodzaju serialu nie miała zamiaru oglądać, a one w zamian opowiadały jej swoje życiowe historie, równie godne uwiecznienia, jak perypetie wrednej Brok i dynastii nafciarzy z Teksasu. Potem pani Zosia wszystko mi opowiedziała i dzięki niej uzyskałam koloryt lokalny do jednego ze swoich tekstów (w oczekiwaniu na działanie sigili).

Przy kolejnym odcinku drzemiąca po lekach pani Zosia została gwałtownie wybudzona. Była kobietą racjonalną, ale wierzyła w przeczucia i sny i coś kazało jej wsłuchać się w dialog z telewizora.

Wredna Brok rozmawiała z jakimś młodym Przyjacielem rozważając sposoby na wyeliminowanie Prawowitej Żony i razem wymyślili, że skoro tamta jest chora na serce, najprościej będzie zadzwonić do niej, poinformować, że mąż ma zamiar ją porzucić i związać się z Brok, dać jej na to dowody, a tamta dostanie zawału i szybko się wykończy. Wówczas Brok poślubi jej męża (wraz z jego majątkiem) i będzie sobie żyła długo i szczęśliwie w tajnym związku z Przyjacielem.

Nadszedł weekend, a mąż pani Zosi nie przyjechał. To znaczy przyjechał na działkę, bo odwiedziły ją sąsiadki, które zawiózł na grzyby, a potem odwiózł na widzenie do szpitala, a sam pojechał do Świętego Źródełka, którego woda leczyła wszystko. Z sąsiadkami umówił się na powrót w holu szpitala, świętą wodę przekazał przez salową. To już była epoka telefonów komórkowych, więc pani Zosia zadzwoniła do męża dopytując się, kiedy ją odwiedzi. Wszakże działka była odległa od szpitala osiem kilometrów, na grzyby z sąsiadkami miał dalej. Ale mąż oświadczył, że porozumiał się już ze szpitalem i następnego dnia wypuszczają panią Zosię, więc nie ma potrzeby żeby wcześniej się pojawiał; o świętej wodzie mówiła podczas jego pierwszej (i ostatniej) wizyty pewna kobieta spod okna, więc dla niej ta butelka jest przeznaczona, żeby sobie nią wymasowała kolana i nad nią się pomodliła. Panią Zosię wypuścić mają ze szpitala o 13-ej, więc przyjedzie po nią tylko ma być gotowa i spakowana, bo on nie ma czasu.

Przyjechał o 15-ej. Tylko ten. kto nigdy nie leżał w szpitalu wie, co to jest czekać z gotowym wypisem i spakowanymi rzeczami całe 2 godziny w zimnym holu szpitalnym, głodnym i spragnionym, bo obiad był o 14-ej i wypisywani go nie dostawali; nie dostawali też śniadania, bo robiono im ostatnie analizy do wypisu.

Pani Zosia nie miała też pieniędzy, żeby wezwać taksówkę, do szpitala zabrał ją sąsiad w koszuli nocnej i kapciach, jak iść jesienią w ten sposób na postój przez pół miasta?

Mąż jednak w końcu pojawił się i odwiózł panią Zosię na działkę. Wypakował jej jakieś kiełbasy zakupione po drodze oraz bochenek chleba i oświadczył, że musi jechać (w niedzielę), bo ma niesłychanie ważne sprawy zawodowe i bez niego świat się zawali albo spali.

Pani Zosia została na działce sama. Wiatr wył w kominie, w piecu nie napalono, a kiełbasa domagała się przygrzania, przynajmniej na wodzie. Drewno było w drewutni, woda w studni, a między drewutnią, studnią i domem wiatr wzbijał sterty jesiennych liści i tumany deszczo-śniegu. W odległej wsi wyły łańcuchowe psy, a pani Zosia bała się zostać sama tej nocy. Może właśnie tę noc wybrały siły wyższe, żeby uwolnić świat od jej uciążliwej obecności? Sąsiadki przyszły, pomogły coś tam i poszły, a sąsiad zostawił kolejarską sygnałową trąbkę, żeby dmuchnęła w nią, gdyby coś złego zaczęło się dziać. Nie wpadł na to, że pani Zosi problem zdrowotny właśnie na tym polegał, że brakło jej czasem oddechu.

O północy panią Zosię z oparów leków wybudził dźwięk telefonu. Męski gruby głos oświadczył jej, że jeśli nie zrobi czegoś ze swoim mężem i ową Inną, zostanie lekko uszkodzona, a mąż skasowany. Rozmówca przedstawił się jako gangster z mafii (jakiej – pominę milczeniem – ale parę dni wcześniej podobno zamordowali kogoś opornego w podwarszawskim motelu George), a mąż pani Zosi wszedł im w paradę, ponieważ chodzi z dziewczyną gangstera i wcina się w jego żywotne interesy.

Na szczęście pani Zosia była przymulona działaniem leków i przemowa gangstera (?) nie zrobiła na niej takiego wrażenia, jak powinna. Gangster więc powtórzywszy swoje groźby oświadczył, że ma dowód na wszystko, co mówi, a mianowicie, niech no pani Zosia zadzwoni na komórkę męża i wypyta się, gdzie on właśnie tej nocy przebywa. On, jako gangster wie to doskonale, zlecił swoim ludziom śledzenie go i widzi doskonale przez okno willi co wyprawia z jego dziewczyną. Jeśli pani Zosia nie zrobi z tym porządku co najmniej jedna osoba zginie...

Pół nocy pani Zosia wydzwaniała do męża, ale komórka była wyłączona. Na działce nie zawsze był zasięg, więc czasami pani Zosia wybiegała w kapciach i nocnej koszuli w deszczo-śnieg na drogę, gdzie był zasięg. Nie mogła pozwolić, żeby mąż, jaki by nie był, zginął jak ci nieszczęśnicy zaplątani w walki mafiozów.

W końcu małżonek odebrał telefon, zaskoczony, nie ukrywał, że nie przebywa w swoim domu ani nie załatwia pilnych spraw służbowych.

Rano przyjechały samochodem dorosłe dzieci pani Zosi i ewakuowały ją do domu. Gdyby nie to, że jedno z dzieci słyszało rozmowę z człowiekiem przedstawiającym się jako gangster, sama pani Zosia byłaby przekonana, że wszystko jej się przywidziało pod wpływem leków, które jej dano w szpitalu do zażycia przed snem.

Tak więc sprawa się wydała, a gangster nękał panią Zosię telefonami jeszcze blisko rok. Mąż odmówił wyjaśnień, a pani Zosia zastanawiała się skąd „gangster" znał numer jej komórki i fakt, że przebywała w szpitalu „na serce". W ogóle zaczęła trochę myśleć i kojarzyć różne fakty. Policja oświadczyła, że nie ma powodu interweniować, bo nic takiego się nie stało. Syn połączył telefon z komputerem i uruchomił jakiś program identyfikujący nadawcę, ale policjanci przestrzegli go, że użył metod hakerskich więc może za to odpowiadać przed sądem. W końcu pani Zosia zmieniła numer telefonów domowego i komórki i nikomu ich nie dawała. Jedno z dzieci, jak w poprzedniej historii, uważało, że

matka ma przywidzenia, kto bowiem o zdrowych zmysłach uwierzy, że pewna Inna posłużyła się metodą wrednej Brok z amerykańskiego serialu.

Moim zdaniem to dowód na to, że archetypy mocno się trzymają.

Uspokoję Was, pani Zosia przeżyła i ma się dobrze. Sprawa się rozmyła i pani Zosia z mężem żyją w miarę spokojnie. Pani Zosia podciera mu ślinę, karmi, myje i zmienia pieluchy, ponieważ mąż choruje na nieuleczalną chorobę. Znajomi są przekonani, że będzie żyła dotychczas, dopóki nie zabraknie jej celu w życiu, to znaczy dopóki ma obowiązki wobec męża. Po jego śmierci jako żona idealna, zgaśnie.

Uśmiejecie się, ale ma Chirona w koniunkcji z Jowiszem i Węzłem Księżycowym na descendencie. To pozwala zrozumieć dlaczego tak rozsądna z pozoru kobieta zamiast mścić się na sprawcy jej trudnych życiowych chwil opiekuje się nim z oddaniem godnym lepszej sprawy.

85. Spalony słońcem Merkury cwałujący na krabie

Odcinek ten napisałam zanim pan Mariusz Kozłowski wziął udział w dyskusji, więc uzupełnię go o swój głos w dyskusji nad szkodliwością niektórych działań ezoterycznych w następnym – 86-tym.

Wracam jeszcze do problemu pieniędzy i po raz przedostatni (obiecuję) odwołuję się do „Artuvii" Mariusza Kozłowskiego: http://artuvia.blogspot.com/2012_03_01_archive.html

Czytam wpis p.t. Czy kochasz pieniądze? Autor bloga przyznaje, że kocha. Śladem swojej przyjaciółki Andrei wymienia powody, dla których warto je kochać. są to m.in.

— bo mówią prawdę — cel wydatków obnaża preferencje człowieka.

No więc moim zdaniem to bzdet. Czy moje preferencje obnaża wysokość mojego czynszu? Albo opłaty za elektryczność, gaz, telefon, kablówkę, internet?

Owszem, obnaża wyłącznie fakt, że nie żyję w ziemiance i nie palę lampy naftowej albo świec, bo trudno szukać w moich rachunkach wydatków na naftę. Mój bank zamieścił ostatnio na swojej stronie kalkulator wydatków i obnażył strukturę moich za ostatnie 3 miesiące. M.in. wygląda ona tak: rachunki – 1907 zł, zdrowie – 178 zł, rozrywka – 131, dom – 97 zł. Nie podaję wydatków podstawowych, bo to niewymierne – w osiedlowym sklepiku częściej płacę gotówką niż kartą. Wyznam, że nieco mniej niż rachunki.

Co z tej struktury można wywnioskować? Że jestem zdrowa (dość) ale całkiem nie rozrywkowa i nie dbam o dom. I dość dużo jem, niestety. Pudło!

— bo pieniądze to najlepsza recenzja — jeśli się rozwijasz, rośnie Twoje konto. Jeśli wpływy się nie zmieniają to i ty się nie zmieniasz.

Bzdet do kwadratu! Nawet nie chce mi się tłumaczyć, takie to idiotyczne i prezentuje jednostronne widzenie rozwoju człowieka jako czegoś, czego obiektywną miarą jest ilość zapisanych przez kogoś znaków. Na pewno się nie rozwijam, bo moje konto nie rośnie. A jeżeli coś robię bezpłatnie dla rozwoju?

— bo pieniądze to nauczyciel duchowy. — Im dalej podążamy naszą duchową ścieżką (a jeśli podążam nie ścieżką tylko bezdrożem, albo uczęszczaną przez wszystkich autostradą, to co?) — tym większa nas będzie otaczać obfitość. Najlepiej więc podąża duchową ścieżką facet z numerem 1 na liście milionerów, choćby mu to nawet nie przyszło do głowy. I, tu już chyba według własnych dochodów MK policzone!. Im więcej zwalczysz kosmitów, wywalisz czarnych krabów, oczyścisz ludzi z ich przeszłych wcieleń i karmicznych zobowiązań, podążając swoją duchową ścieżką... Ludzie, podążajcie duchowymi ścieżkami! Nie traćcie czasu na nieodopłatną pracę w hospicjach, ochronie zwierząt, przyrody, lokatorów, ofiar wypadków drogowych i dziesiątkach innych organizacjach społecznych non profit!

— bo pomagają nam być tym, kim jesteśmy naprawdę

Jasne, wszystko zrozumiałam. Trywialne. Jesteś niczym, jeśli nie masz nic.

— bo mogą uszczęśliwiać — na przykład wylegiwać się z ukochaną osobą na złotej kanapie.

Przypomina mi się mój sen omówiony w odcinku o sigilach. Odrzucona została moja kanapa haftowana złotem, bo zamawiającemu coś się nie podobało w jej wzorze. Wychodzi na to, że miałam proroczy sen. Nie będziesz wylegiwać się z ukochaną osobą na złotej kanapie, bo wyhaftowany na niej wzór nie jest atrakcyjny. A ja myślałam, że to brak ukochanej osoby i złotej kanapy jest powodem nie wylegiwania się na złotej kanapie.

W poprzednich odcinkach wspominałam o paskudnym czarnym krabie, którego należało wymiotować do wiadra, a wiadro wrzucać do wulkanu. Ten krab nie pojawił się znienacka. Od miesiąca blisko gardła, na języku zrobiło mi się coś, co kazało zapisać do specjalisty celem obejrzenia sprawy. Wyczekawszy swojej kolejki wczoraj udałam się do lekarza z radością dowiedziałam się, że nie jest to nic groźnego i ów czarny krab natychmiast zmył się sprzed moich oczu.

Siedząc w poczekalni przychodni przed wizytą i usiłując odepchnąć wizję kraba sięgnęłam do doświadczeń ezoterycznych i mojego przesądnego przekonania, że to Merkury spalony Słońcem utrudnia moje porozumienie z ludźmi. Niedobry mój Merkury może dosiada także czarnego kraba cwałując na nim przez moje gardło? (Wszak choroby wywołuje nasza podświadomość, podobno). Że spalony, to nie ulega wątpliwości. Wszystko zaczęło się gdy dostałam na przezimowanie kuchenkę mikrofalową z działki i upiekłam sobie w niej jabłko. Z wierzchu ostygło, ale środek bez przesady spalił mi język i gardło tworząc brzydką wyspę niezrozumienia.

Ale mój blog spotyka się z odzewem wielu osób które mnie rozumieją (także i tych, którzy mnie nie rozumieją, to trzeba przyznać). Więc pomysł ze spaleniem Merkurego w istocie nie jest adekwatny do rzeczywistości.

Wizje więc trzeba zmieniać w sposób magiczny. Zastępować niekorzystne korzystnymi, dołujące, afirmującymi i tak dalej. Przykład pierwszy z brzegu:

W dyskusji nad angielską wersją Taraki „Symbole i archetypy” Jacek Dobrowolski stawia pytanie/domysł „Swoją drogą ciekawe, co mamy na ścianach”. Wojtek ujawnił swoje ściany.

A co ja mam na ścianie? A właściwie nie na ścianie tylko na przeszklonych drzwiach? W zeszłym roku miałam taki plakat Pągowskiego:

A w tym zmieniłam na inny

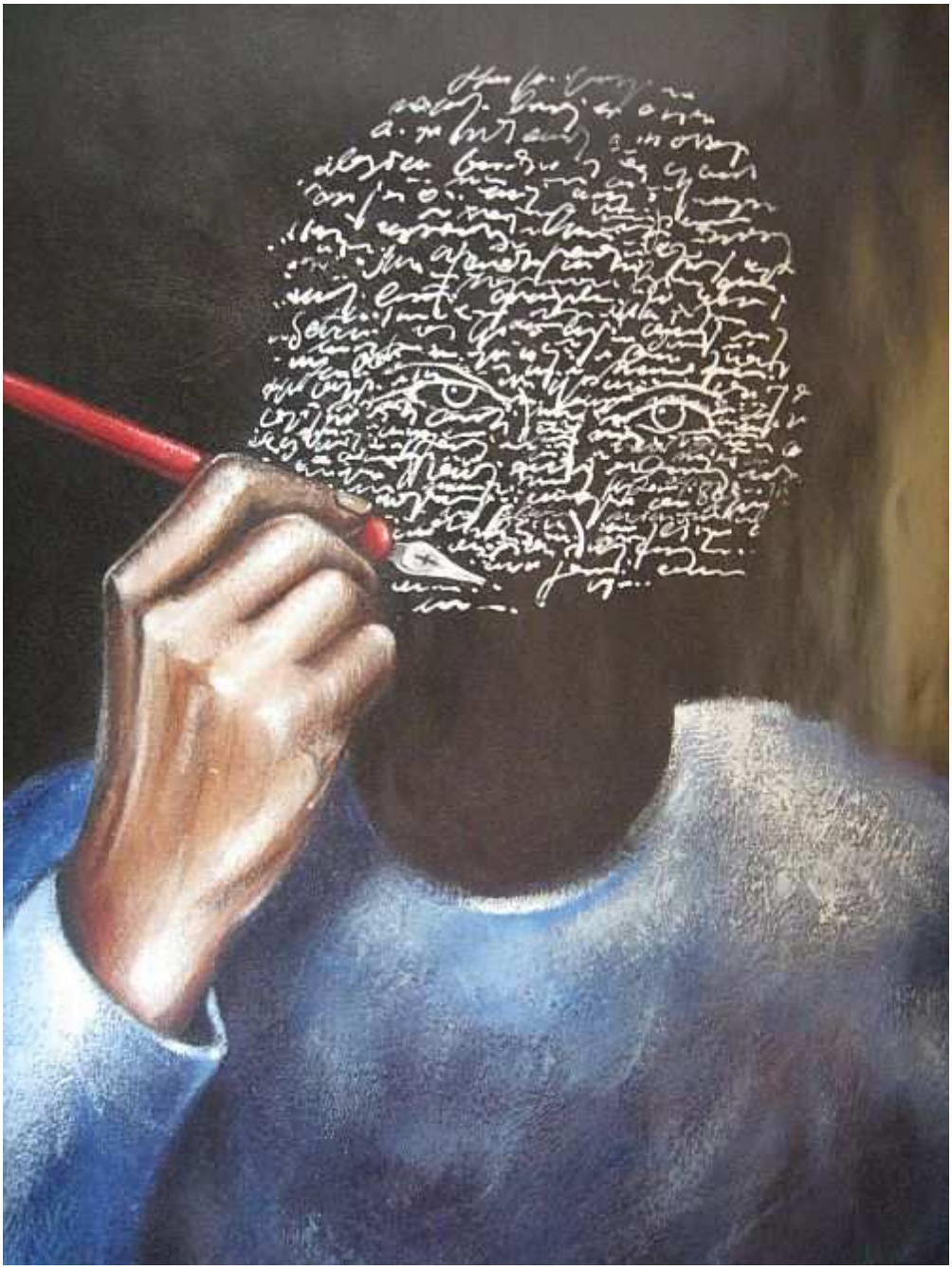

Chociaż zapewne powinien wisieć jeszcze inny, o pieniądzach

Ale jakoś nie czuję, że powinnam go powiesić. Plakat wyraża podobny stosunek do pieniędzy mój i Pągowskiego i jest to stosunek dwuznaczny. Różnica jest taka, że Pągowski ma zapewne więcej pieniędzy niż ja i nie potrzebuje magii, żeby je zdobyć oraz może sobie pozwolić na wyraźne tego podkreślenie — chyba, że czyni to przez swoiście pojętą kokieterię. Ale w takim razie po co taki plakat wieszać?

Ktoś może powiedzieć, że zaczęłam w swoim blogu plątać wszystko z wszystkim. I to będzie prawda, ponieważ czasami tak widzę świat. Kocham światy jasne, przejrzyste, oczywiste, wyraziste, łatwe do interpretacji i zrozumienia, ścielące się do nóg jak przekarmione koty. Ale nie umiem tak ich widzieć. I kiedy przeczytałam we wspomnianym odcinku bloga Wojtka o symbolach, że edytor tekstów podpowiedział mu zamiast pomyłkowego „archatypu" słowo „parchaty" zakiełkowała w moim mózgu zbitka „parchaty archetyp" i tak dalej i dalej ze wszystkimi tego konsekwencjami, jakie można wyciągnąć. Tak czasami pracuje mój umysł, jak przegrzany w mikrofali Merkury.

86. Wyznanie niewiary

Dlaczego wiarę w przeszłe wcielenia, kosmitów oraz energie „dobre" albo „złe" uważam za szkodliwą? Podkreślam jeszcze raz, że są to moje **osobiste** poglądy i z ich głoszenia nie czerpię żadnych dochodów.

Kiedy miałam obawy, że brzydkie coś, co pojawiło się w moim gardle może być rakiem, miałam przez parę dni wiele niemiłych skojarzeń. A więc skojarzenie z „krabem" z „Artuvii", astrologicznie „spalonym" Merkurym i jeszcze innymi przedmiotami, wydarzeniami i pomysłami oderwanymi od rzeczywistości. Poruszałam się wśród nich jak tancerka na scenie wśród dekoracji, okrążając je, ale starając się ich zbyt nie potrącić. Skojarzenia te poszły w zapomnienie, gdy lekarz oświadczył, że moje języko-gardło jest w porządku, a dolegliwości biorą się z czegoś innego, czemu łatwo zaradzić.

Inaczej byłoby, gdybym wierzyła i była przez kogoś przekonywana, że za rozmaite choroby mogą być odpowiedzialne moje przeszłe wcielenia albo kontakty z osobami mającymi niekorzystne dla mojego stanu zdrowia przeszłe wcielenia. Mogłabym sądzić wówczas, że w którymś przeszłym wcieleniu na przykład zawisłam na szubienicy lub wyrwano mi język. Albo ktoś z moich bliskich zakaża mnie obecnością swojego przeszłego wcielenia w naszych kontaktach. Aczkolwiek jako literacka inspiracja może dać niezłe rezultaty (nawet finansowe), to w świecie realnym, póki co nie udowodniono obiektywnego istnienia w osobowości człowieka śladów przeszłych jego wcieleń (nie mówiąc już o samych wcieleniach), poza subiektywnym przekonaniem różnych osób. Co więcej, mnie **osobiście** sprawa wydaje się podejrzana z jednego prostego powodu: wśród opowiadających o przeszłych wcieleniach istnieje zdumiewająca przewaga osób „ważnych" we właściwych czasach: władców lub ich bliskich, wodzów, bogatych itp. Przypisuję to raczej śladom w pamięci po zapomnianych książkach, filmach, opowieściach. Zresztą te ślady mogą działać tak w naszych umysłach, jak działałyby przeszłe wcielenia, gdyby istniały. Po co więc mnożyć byty? Żeby kogoś postraszyć?

Dlaczego uważam wiarę w przeszłe wcielenia za szkodliwą? Nabywszy obaw o swoje zdrowie, nie mogłabym już przeciwstawiać się nasuwającym się obrazom (które traktuję jako meandry mojej wyobraźni niezależnie od źródeł ich pochodzenia), bowiem ich istnienie sugerowałoby, że „coś jest na rzeczy" i żeby wyleczyć się, muszę zająć się oswajaniem lub przepracowywaniem swoich przeszłych wcieleń. Tymczasem powinnam zająć się przede wszystkim możliwą diagnostyką swoich realnych dolegliwości nie bacząc na skojarzenia i wykwity wyobraźni.

Podobnie odnoszę się do kosmitów, i innych bytów. Po pierwsze: ich istnienia nie udowodniono. Po drugie: jeśli nawet istnieją (np. jako egregory) nie wierzę, że są dobre albo złe. W ogóle nie wierzę, że istnieje coś takiego jako bezcielesne dobro czy zło. Jak w astrologii, gdzie po samym tranzycie nie odróżnimy czy okradniesz kogoś, czy ciebie okradną, dobro i zło są rozmaitymi aspektami działań (bynajmniej nie obiektywnie rozpoznawalnymi).

Przekonując jednak ludzi do bezwątpliwego istnienia tych bytów i możliwości ich usuwania, neutralizacji, odsyłania gdzieś indziej, oczyszczania z nich pobliskiej przestrzeni, obiektywnie wprowadzamy ich w błąd.

Dlaczego więc interesuję się ezoteryką? Od czasu do czasu w tej dziedzinie coś udaje się udowodnić albo coś działa mimo niesprawdzonych przesłanek tego działania. Warto to wiedzieć i nie poddawać się niesprawdzonym sugestiom. Życie bez snucia przypuszczeń byłoby nudne, ale trzeba je zawsze

odróżniać od realności sprawdzonej i w miarę udowodnionej – np. przez poszlaki, ale przy logicznym wykluczeniu istnienia innych przyczyn.

A aspekt finansowy? Jako osoba żyjąca skromnie (jak większość Polaków), nie zawsze znajduję środki na prywatną wizytę specjalisty lub drogie badanie (taka tomografia może kosztować 700-800 zł!). Wydawanie pieniędzy i zachęcanie, by ktoś to czynił po to, by ochronić się przed chorobą nowotworową ponieważ „W ciągu ostatnich kilku dni „spadło" na Ziemię bardzo dużo światła ze strony wybranych gwiazd. Teraz to „oświetlanie" się skończyło, ale proces ten uaktywnił zarówno w mieszkaniach, jak i indywidualnych systemach energetycznych ludzi bardzo wiele energii i wibracji nowotworowych." — jest moim zdaniem nieetyczne. Oczywiście nie dotyczy to doradzania businessmanom w ich działalności, stać ich na to i ich wola, z jakich źródeł wiedzy czy niewiedzy korzystają.

Dlatego z sugestiami w sprawie stanu naszego zdrowia (a nie z ezoteryką!) powinniśmy być szczególnie ostrożni.

Ktoś kto jest bardziej „wierzący" niż ja napisał mi: „...ale z tymi Energiami należy być ostrożnym, czasami ktoś może wyrządzić większą szkodę niż jest, a często zdarza się, że niektórzy zasilają własną Energię od tych którym rzekomo pomagają..." Więc nie tylko ja mam zastrzeżenia.

I jeszcze co do bezpłatnych analiz. Pan Mariusz odpowiada we wrześniu komuś na stronie : http://artuvia.blogspot.com/p/kontakt.html — „Niestety, z braku czasu i po dosłownym zasypaniu mnie przez prośby o takie analizy, nie jestem w stanie dłużej ich wykonywać. Przepraszam ale proszę więcej nie pytać o bezpłatne analizy." Nieprawdą jest więc jego głos w dyskusji do odcinka 83 "Zapewne bez pieniędzy się nie dowie" — „...Kolejne słowa rzucone bez sprawdzenia. Gdyby Pani choć odrobinę się postarała, to by Pani sprawdziła, że praktycznie wszystkie wstępne analizy problemu robię bezpłatnie. Ale po co to sprawdzać. Lepiej napisać nieprawdę."

Kto, panie Mariuszu pisze nieprawdę? Ja czy pan?

Żeby być dokładną: nie mam za złe pobierania wynagrodzenia za pracę, jeśli w przekonaniu zamawiającego i wykonującego zlecenie została ona wykonana. Zwłaszcza, jeżeli się wierzy, że w „100% nasz stan majątkowy zależy od nas samych" i „Nasz stan materialny jest w 100% naszym dziełem. W każdej chwili tworzymy. Jeżeli nie tworzymy bogactwa, to tworzymy biedę. I tak naprawdę, tylko my sami mamy moc zmiany tego, co tworzymy" – cytuję. (Złośliwie spytam: czy pobierając pieniądze z bankomatu tworzymy bogactwo czy biedę?) Czy może zastanowimy się wcześniej kto i dlaczego nam te pieniądze wpłacił, jaki wpływ na wysokość wpłaty miały miejsce i data naszego urodzenia, rodzina w której przyszliśmy na świat, stan zdrowia noworodka, status społeczny otoczenia w którym się wychowaliśmy. Przypomina mi się pewien angielski dowcip: Chłopiec z elitarnej szkoły miał napisać rozprawkę o życiu „biednych ludzi". Napisał więc: „Ta rodzina była tak biedna, że ich lokaj miał podzelowane buty, pokojówka nosiła jedną sukienkę a kucharka jeździła na zakupy koszmarnie starym samochodem". Uważam, że pana wyobrażenie na temat odpowiedzialności za nasz stan finansowy jest równie naiwne (choć podane zapewne w dobrej wierze) jak rozprawka tego chłopca.

I jeszcze jedno. Napisał pan na swojej stronie: "Zamykam w tym momencie ten wątek. To nie jest forum wymiany zdań". Proszę więc się nie dziwić, że dyskusja odbywa się gdzie indziej.

Swoją drogą chętnie widziałabym artykuł pana Mariusza w Tarace i inne głosy w tej dyskusji. Czy podjąłby pan takie wyzwanie? Nawet jeśli nie chce pan dyskutować ze swoimi klientami na własnej stronie? Tylko – o ile wiem – publikacje w Tarace są bezpłatne.

87. Wyznanie niewiary c.d.

Niewielkie znaczenie ma to, w co wierzę lub nie wierzę. Ktoś inny może wierzyć w coś innego, a jeszcze ktoś inny w coś całkiem przeciwnego. Zresztą ja też jestem wyznawczynią przekonania, że tylko krowa nie zmienia poglądów. Zdarza się, że w świetle nowych informacji ich wpływ jest tak znaczący, że stare przekonania nie mogą się utrzymać. Zapewne mylę się często w jednych i drugich, starych i nowych.

Różnice naszych poglądów i obiektów wiary wcale nie stoją w sprzeczności do możliwości kontaktów, przyjaźni a nawet miłości. Ja sama mam przyjaciół o poglądach politycznych odstręczających mnie, począwszy od źródła samych ich założeń, ale nie przeszkadza mi to porozumiewać się z nimi w innych, nie tak bardzo kontrowersyjnych sprawach albo widzieć ich jako dobrych i szlachetnych ludzi. Oprócz odstręczających poglądów istnieją dobre postępki i szlachetne czyny, a nie ja jestem od ważenia ich i oceny zawartości dobra i zła w człowieku.

Istnieje jednak rzecz której nie akceptuję pod żadnym pozorem. Tym czymś jest straszenie ludzi. Ani zamachem, ani promieniowaniem, złymi energiami, terrorystami, wojną, piekłem, kosmitami czy skażoną żywnością.

Można nazwać to fobią, ale tak już mam. Zbyt często straszono mnie w dzieciństwie i młodości, żebym na stare lata nie czuła manipulacyjności takiego straszenia. Nie ma tu w ogóle żadnego znaczenia, czy na przykład ktoś twierdzi, że GMO jest szkodliwe albo pomidory wywołują raka, a ptaki roznoszą ptasią grypę. Jeśli nie posługuje się emocjami tylko rzeczową argumentacją (z którą można się zgadzać lub nie) to nie jest straszenie. Straszenie jest wtedy, gdy zamiast posługiwać się zestawem argumentów za i przeciw, pokazuje się zestresowanego i emocjonalnie roztrzęsionego człowieka kręcącego film z którego wynika, że z kranu jakiejś tam osoby na drugim końcu świata płynie woda którą można podpalić, bo niedaleko znajduje się odwiert gazu łupkowego. Film robi wrażenie – więc straszy – ale żadnego argumentu poza tym, że gaz łupkowy jest be, a firmy wydobywcze to ogólnoświatowy spisek nie przedstawiają.

Uff!!! Rozpisałam się. Temat jest stary jak świat światem, straszono ludzi chyba od zarania dziejów i wiele tych strachów było sensownych. Także straszono świadomie w określonym interesie. Paradoks polega na tym, że we współczesnym świecie tych zagrożeń jest zdecydowanie mniej, a strachów zdecydowanie więcej. W końcu nie czyha na nas za każdym drzewem czy rogiem wróg z narzędziem gotowym pozbawić życia za przechodzone buty. Ale nie muszę wiele się zastanawiać, żeby stwierdzić, że kilkanaście tysięcy lat temu na pewno nie dożyłabym siedemdziesiątki, ba, nie przeżyłabym chyba porodu i zmarłabym zapewne w wieku dwudziestu dwóch lat. Mimo tego z perspektywy mojego życia ta suma strachów wcale się nie zmniejsza, wręcz przeciwnie, ale nie ja osobiście i moje doświadczenie życiowe ma ich ilość miarkować, a zła wola innych.

Największym strachem mojego szesnastoletniego życia był strach przed zagładą atomową. Poznałam wtedy miłego i mądrego chłopca, z którym mogłam rozmawiać o wszystkim, jak z niewielu kolegami i koleżankami. Spotykaliśmy się pod „patykiem” jak wówczas było to modne (był to obelisk koło Pałacu

Kultury, w pobliżu którego czuło się wiatr przestrzeni, bowiem umieszczono na nim ilość kilometrów dzielących nas od najważniejszych stolic świata). Mogliśmy więc rozmawiać o wszystkim, a rozmawialiśmy o tym, że nie ma dla nas ani dla świata przyszłości, bowiem tak czy inaczej ktoś nas wcześniej zabije. Znajomi rodziców kolegi budowali w swoim ogródku schron przeciwatomowy (podobnie jak wielu ludzi w innych krajach wschodniej Europy), ale on twierdził, że to przedsięwzięcie z góry skazane jest na niepowodzenie ponieważ to metodami chałupniczymi budowany kurnik, który uchronić może człowieka dwa czy trzy dni. Nie robiliśmy więc żadnych planów na przyszłość dalszych niż do następnego spotkania. Ja już studiowałam, ale on, nieco starszy ode mnie doszedł do wniosku, że nie warto się męczyć skoro i tak nas zgładzą wstrętni imperialiści.

Chodziłam wcześniej na zajęcia z malarstwa w Pałacu Kultury i udało mi się wykorzystać czyjąś nieuwagę i wejść do schronów przeciwatomowych ciągnących się pod Placem Defilad. Owszem, robiły wrażenie. Wszystko tu było napisane i oznaczone. Łóżka, koce, pościel ponumerowane. Nad kranami (pojedynczymi – więc chyba tylko z zimną wodą) widniały napisy: „woda", a nad zamkniętymi szafkami: „szafka". Światło było ostre, a świetlówki czy oprawki osłonięte splecionym drutem. Chciałam wejść dalej, ale wygoniono mnie, więc nie obejrzałam innych pomieszczeń poza salami sypialnymi. Wystarczyło to jednak, żeby zrozumieć, że w pomieszczeniu takim można przebywać kilka dni, a nie całe lata. Wiadomo przecież, że ziemia na powierzchni będzie skażona przez dziesięciolecia albo stulecia. Jednak tak poważne przedsięwzięcie (wówczas ściśle tajne, wiedziano o nim tylko dzięki szeptom „wtajemniczonych" i takich przypadkowych świadków jak ja) kazało wierzyć, że strach przed zagładą jest całkiem realny. Nawet dziś trwają dyskusje w prasie, czy istotnie pod Pałacem Kultury znajdował się schron przeciwatomowy.

Na malarstwie obsesyjnie zajmowałam się tylko dwoma tematami: „dworzec kolejowy" i „cyrk". Dworzec kolejowy fascynował mnie jako miejsce nieustannych świetlnych ostrzeżeń (na ulicach sygnalizacja w dzisiejszym kształcie była nowością i było jej niewiele, chyba kilka zaledwie punktów w Warszawie) i w dodatku występowały kolory, które nie wiadomo było jak interpretować, na przykład granatowy. Jednak dworzec stanowił miejsce z którego można, przynajmniej teoretycznie, udać się gdzieś indziej. Ale gdzie, skoro zagłada groziła całej Ziemi. Cyrk z nieodmiennie chodzącą lub tańczącą sylwetką na linie wiązał się z przekonaniem, że nasze istnienie tu, na ziemi i w Polsce (choć o Polsce w ogóle wtedy nie myślałam), to sztuka takiego właśnie utrzymania się w przestrzeni pełnej ostrzegających świateł. Czasem więc tancerka dawała swój popis na dworcu kolejowym. Nie walczyłam o pozostawienie mnie na tym studium, kiedy mimo międzynarodowej nagrody ma Expo 58 za jeden z „dworców", skreślono mnie z powodu braku właściwego pochodzenia socjalnego (robotniczego lub chłopskiego) i skierowano na filatelistykę, gdzie nie było kompletu. Nie było warto walczyć o cokolwiek, skoro miała nas spotkać Zagłada.

Z chłopcem tym rozstałam się, gdy jego przekonanie o nieuchronności atomowej zagłady przerodziło się w początki psychozy. Mnie też niewiele do tego brakowało.

W sprzyjających okolicznościach podatna osoba może z powodu na przykład kosmitów lub złych energii sprowadzić całe swoje życie na manowce. I nie oszukujmy się, że każdy wybiera swoje poglądy w pełnej wolności i świadomie. Równie często jesteśmy oszukiwani i wykorzystuje się naszą niepewność lub psychiczne dołki. Obawa o życie lub zdrowie jest najbardziej elementarną obawą człowieka. Dlatego sfera ta powinna być szczególnie chroniona, nawet prawem.

Pamiętacie reklamę ostrzegającą przed odkleszczowym zapaleniem mózgu? Tą z przerażonym dzieckiem i cieniem kraba, (tfu, przepraszam, kleszcza) na ścianie? Zabroniono jej i całkiem słusznie. A przecież nie była nieprawdziwa generalnie rzecz biorąc, ponieważ realnie istnieją kleszcze i taka choroba jak odkleszczowe zapalenie mózgu oraz borelioza. Jej manipulacyjność polegała na tym, iż sugerowała nieprawdziwą wielkość zagrożenia po to, by skłonić ludzi do szczepień. Moja pani doktor pierwszego kontaktu powiedziała mi w roku emisji tej reklamy, że w Warszawie były 3 wypadki odkleszczowego zapalenia mózgu na ponad milion mieszkańców. Ja sama miałam po kilka kleszczy w roku. A na boreliozę, częstszą, nie ma szczepionki.

88. Przetwarzanie symboli (1)

Zmęczyło mnie myślenie o pieniądzach, zdrowiu itp. ważnych życiowych sprawach. Zmęczył mnie spór, w który niepotrzebnie się wdałam. Zmęczyło mnie tłumaczenie rzeczy dla mnie oczywistych, a całkiem niezrozumiałych dla młodszych roczników. Zmęczyły mnie nieodśnieżone chodniki, wyprawy na rehabilitację i zimowy lęk przed utratą przyczepności. Chętnie więc oderwę się od ziemi, ale tylko po to by poszybować gdzieś w bok i skonstatować, że jest to możliwe, a nawet wskazane, jeśli nie ma się na myśli stąpania po realnej ziemi, kostce Bauma czy białych pasach na przejściach dla pieszych wymalowanych farbą poślizgową, zwłaszcza w towarzystwie śniegu, nawet posolonego.

Angielska „Taraka" ma nosić podtytuł: „praca z symbolami i archetypami". Bardzo mi się ten podtytuł podoba.

Blog w Tarace miałam ochotę zacząć pisać znacznie wcześniej, ale miałam opory właśnie ze względu na moje zainteresowania, które wydawały mi się odległe od szamanizmu, doświadczeń „twardej ścieżki", rozkładania historii i nazw na czynniki pierwsze (och, jak okropnie tego nie znosiłam na studiach polonistycznych, jak zresztą całej gramatyki historycznej!)

Czułam jednocześnie, że moje zainteresowanie Taraką (nie tylko astrologią, tarotem, I`Cing) wiąże się z czymś głębszym, co leży u podstaw.

Są to właśnie symbole i archetypy. Oczywiście moja „praca" z nimi wygląda zupełnie inaczej niż tarakowe warsztaty. A jednak jest i większość osób piszących wykonuje ją, choć może czasem zupełnie nieświadomie.

Problem polega na tym, że każdy owe symbole i pojęcia widzi nieco inaczej. Niby są jakie są, ale gdy wymienić pojęcia „dom", „świątynia", „miłość", „sprawiedliwość" – każdy rozumie je w inny sposób, dla każdego znaczą różne sprawy. Podobnie „zdrowie" czy „pieniądze" o czym przekonałam się z dyskusji przy poprzednich odcinkach blogu.

Dlatego dziś chciałabym zająć się symbolem „dom". Powszechną wymowę tego symbolu najlepiej oddaje ostatnio emitowana reklama składów węgla. „Twój dom, ciepło twojego ogniska..." plus fotka szczęśliwej mamusi i szczęśliwego dziecka. Nie przez przypadek na fotce brakuje tatusia – dla mężczyzn dom nie zawsze oznacza to samo, co dla kobiet. Czasami pojęcie domu inaczej rozumieją dzieci i wówczas, gdy psychologom nie zgadzają się zapisane w podręcznikach wzorce z realną wypowiedzią dziecka, zalicza się taką odchyłkę na konto wadliwego wychowania przez rodziców.

Swego czasu starałam się o posłanie swoich dzieci, bliźniąt, nieco wcześniej do szkoły – normalnym trybem poszłyby tam mając siedem i pół roku – i musiałam zaliczyć wizytę u psychologa celem sprawdzenia ich dojrzałości szkolnej. Niestety, uznano ją za niewystarczającą. Pisałam już o tym w swoim blogu, jak nie potrafili opisać mojego zawodu. Popełnili jeszcze drugi błąd, o którym będzie poniżej.

Drugim powodem „niedojrzałości szkolnej" moich synów był symbol domu. Dzieciom kazano narysować „domek". „Normalne" dziecko podobno rysuje domek z daszkiem i kominem, z którego

leci dym, drzwi pośrodku (czasem z klamką) i po 1 okienku z każdego boku – koniecznie z podziałem na planie krzyża. Obok domku stoi drzewko i prowadzi doń ścieżka.

Skąd dziecko bierze taką wizję domku? Zapewne z książek dla dzieci. Jeśli nie chodziło do przedszkola, nie widziało książeczki z „domkiem" albo nie utrwaliło sobie takiego wizerunku, albo ciągnęło go do książek dla dorosłych z bardziej skomplikowanymi ilustracjami, może mieć zupełnie inną wizję domu. Zwłaszcza dziecko chowane w izolacji od innych dzieci.

Wychowane w miejskim bloku, wśród innych bloków inaczej wyobraża sobie dom. Przypuszczam – bo nie jestem psychologiem – że „blok" z kilkudziesięcioma mieszkaniami wcale nie stanowi dla dziecka „domu". Domem jest jego mieszkanie i zawartość. Jeżeli mówi się dziecku: wracamy ze spaceru do domu – mamy nas myśli nasze mieszkanie i dziecko zapewne też.

Pracowałam wtedy w delegacjach służbowych, 15 dni w miesiącu i nie zawsze wracałam na noc, jeśli miejscowość była zbyt oddalona od Warszawy, żeby codziennie do niej dojeżdżać. Mąż także pracował poza Warszawą wracając do domu jedynie na niedziele (soboty były wówczas dniami roboczymi). Dziećmi zajmowała się moja mama albo pomoc domowa.

Kiedy wracałam wieczorem do domu starałam się dla chłopców zawsze mieć jakiś prezent. Najczęściej były to plastikowe małe misie w różnych kolorach, których pełno było w kioskach ale tak się składało, że w każdym mieście w innym kolorze. Misie były albo gładkie, albo pokryte czymś mechatym, ale wszystkie według jednego wzoru. Chłopcy biegli zawsze do mnie do drzwi i zapuszczali swoje łapki w moje kieszenie w poszukiwaniu misiów.

Misie te gromadzili skrupulatnie, bawili się nimi, a kiedy poszli do szkoły i nauczyli się czytać i pisać zapisywali całe zeszyty opowieściami o tych misiach: gdzie były i co robiły, kogo spotykały. Czytali dużo książek, więc te misie wplatali w rozmaite fabuły. Nazywali je „Misiami Malu".

Dziś wiem, że nie była to zbyt dobra sytuacja dla dzieci, ale wówczas i ja inaczej na to patrzyłam i społeczne przekonania o tym, co dla nich dobre, były diametralnie różne.

Kiedy więc pani psycholog kazała im narysować „dom" obaj narysowali rzędy misiów w ciężarowym samochodzie stojącym na półce, gdzie je gromadzili. Oczywiście narysowali regał, na którym stał samochód, ale tak nieudolnie, że pani psycholog uznała go za „jakąś kratkę".

Dziś rozumiem to tak, że nieobecność rodziców zastąpili obecnością misiów. Czyli ich rysunek „domu" obnażał nieobecność rodziców, nie oznaczał jednak nieznajomości pojęć normalnego dziecka.

Misie były bardzo ważne w ich życiu niesłychanie długo. Kiedy jeden z synów miał już swojego syna, dawał mu się czasem pobawić tymi misiami. Kiedyś jeden misio w czasie tej zabawy gdzieś przepadł i osobą bardziej zrozpaczoną z tego powodu był mój syn, niż wnuk.

Na uwagę zasługuje też drugi symbol – „miś". Nie były one zwykłą zabawką (podobnie jak niebieski misio, o którym kiedyś pisałam, dla mnie). Niosły w sobie wiele znaczeń na tyle silnych, że angażowały emocje już dorosłych ludzi.

Kiedyś z okazji ślubu jednego z synów zorganizowałam przyjęcie dla ścisłej rodziny i wpadłam na pomysł, żeby przed każdym gościem na serwetce położyć małego misia. Nie były to już misie takie, jak w dzieciństwie chłopców, ale stosunkowo podobne. Wygłosiłam też mowę, której elementem

było pokazanie, że owe misie są symbolem związków w naszej rodzinie, każdy oddzielnie, w innym miejscu (syn też żenił się z dziewczyną z odległego miasta), ale zawsze blisko, gdy istnieje taka potrzeba. I takie były moje życzenia dla państwa młodych. Tamta rodzina nie sprawdziła się zupełnie jako wsparcie, dlatego nie było nic dziwnego w tym, że chętnie oddała swoje misie, jako niepotrzebne zabawki mojemu drugiemu synowi, a mnie uznała za odjechaną dziwaczkę.

Nie po raz pierwszy Uran przeszkadzał mojemu Merkuremu nie pozwalając mi przekonać innych do moich racji.

89. Przetwarzanie symboli (2)

Dla mnie osobiście symbolem domu jest inny obrazek. Pewnie w dzieciństwie rysowałabym domek tak, jak życzyły sobie tego panie psycholożki, ponieważ wychowałam się w domu jednorodzinnym i istotnie, w otoczeniu było dużo drzew i ścieżka prowadziła do furtki. Tyle, że furtka zawsze była zamknięta na klucz.

Dla mnie dom symbolizował wyłącznie bezpieczeństwo. W złych snach dach domu przeciekał, a w ślad za tym dachem woda płynęła po ścianach. Pękały jakieś rury i nie było sposobu by to wszystko naprawić. W dobrych snach stałam przy drzwiach balkonowych i widziałam ogród na dole, furtkę i nigdy nie używaną bramę. Zmieniłam kilka miast i mieszkań, ale zawsze „domem" był ten właśnie dom mojego dzieciństwa. I ten śni mi się do dziś, zwłaszcza w snach, które nazwałam „poprzedzającymi".

Dom mojego dzieciństwa był ruderą. Odłaziły zeń płaty tynku przykrywające rusztowanie z trzciny. Balkon kazano nam podeprzeć drewnianą belką ponieważ groził zawaleniem. Przed domem rosła ogromna czereśnia, a niektóre jej gałęzie wychodziły na balkon. O te czereśnie walczyliśmy z ptakami, kto prędzej je zje. W stadium dojrzałości były wielkie i czarne, ale zazwyczaj dojrzałych już nie było. Na tym drzewie ćwiczyłyśmy z siostrą wspinaczkę, a ona jako lżejsza i mniejsza i chyba odważniejsza, wchodziła aż na sam czubek, tak cienki i kołyszący się, że aż strach.

Cały fronton domu był podziurawiony pociskami. Dziury były duże i całkiem maleńkie, od odłamków czy rykoszetów. W dużych miały gniazda ptaki. Ogród był zdziczały i pełen niespodzianek. Dzikie „bulwy", które teraz kupuje się za duże pieniądze jako słodkie ziemniaki. Rodzice mówili, że podobno są jadalne, ale bali się próbować. Szeroko rozrośnięta jabłoń z trzema konarami, na których rosły jabłka różnych gatunków. Gruszka nazywana „Małgorzatką" pod którą było pełno najwcześniejszych owoców. Kiedy ich brakowało – trzęsło się nią. Śliwki nazywane „sraluszkami" – żółte i kwaśne. Pieczarki w kącie ogrodu pod opadającymi do ziemi gałęziami jakiegoś wysokiego krzewu. Trzy czeremchy wyrosłe z kijów wetkniętych przez mamę w ziemię do rozwieszenia prania. Kiedy zakwitały, rodzice mówili, że trzeba je wyciąć, bo śmierdzą, ale nigdy im się nie chciało. Musieliby wetknąć nowe kije.

Był to jeden z domków letniskowych wybudowanych tuż przed wojną na Bielanach, a po wojnie zasiedlony przez kwaterunek powracającymi z wygnania po Powstaniu Warszawiakami. Reszta była murowana, w dobrym stanie, tylko nasz i jeszcze jeden, na końcu ulicy, drewniak, były mocno zdewastowane.

Moja mama przeżyła 3 wojny – w tym 2 światowe, straciła dwukrotnie swoje mieszkania, więc to trzecie nie było jakoś specjalnie traktowane przez rodziców jako dom. Stanowiło chwilowe schronienie przed kolejną wojną, która miała nas dopaść. Dla mnie jednak było tym archetypowym „domem".

Nie był domem przyjaznym, ciepłym ani miłym. Nie był też dostatni. Kiedy ojciec wyprowadził się i przestał nas utrzymywać, zimą brakowało węgla do ogrzania, ponieważ brakowało nań pieniędzy. W naszych sypialniach na piętrze był jeden piec na dwie małe klitki, ale mur między nimi wykruszył się i mama zatykała go zmiętymi gazetami. Już to samo świadczy o tym, jak gorący bywał piec w najlepszych momentach.

Zimą woda zamarzała i trzeba było nosić ją wiadrami od sąsiadki z drugiego końca ulicy. Były i bliższe domy, ale tamci sąsiedzi nie pozwalali nam nabierać u siebie wody.

Na noc zostawiałyśmy miskę z wodą, która w nocy czasem zamarzała. Dzień zaczynałyśmy od postawienia jej na maszynkę elektryczną i topienia lodu, żeby można było się umyć przed pójściem do szkoły.

Spałyśmy w paltach, czapkach i rękawiczkach. Kąpałyśmy się u życzliwych rodziców koleżanek. Dostawałyśmy od nich używane sukienki.

Kiedy mamie udało się zdobyć pieniądze (jakiś zasiłek albo pożyczkę na wieczne nieoddanie) brałyśmy z siostrą sanki, dwa wiaderka i jechałyśmy do składu węgla. Tym węglem paliłyśmy oszczędnie tak, żeby starczyło go na tydzień. W końcu wskutek zabiegów pojawiających się spadkobierców przedwojennego właściciela, pod pozorem remontu zostałyśmy wyeksmitowane „do nikąd".

Dlatego „dom" dla mnie znaczył zawsze i wyłącznie tylko poczucie bezpieczeństwa. Albo był albo go nie było. Wydawało mi się, że obojętne jest jak wygląda.

Kiedy rozpoczęłam własne życie, wszystkie zabiegi skierowałam na to, żeby być samodzielną. Pracowałam i chciałam pracować i nie być uzależniona od męża, jak moja mama. Nie chciałam być bezradna i poniżana przez urzędników i ludzi dlatego, że byłam gorzej sytuowana. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że moje dzieci miałyby mieszkać w takim domu, jak ja. A że kosztem tego był brak stałej obecności matki i ojca — zawsze jest coś za coś. W rekompensacie za brak przydziału mieszkania kwaterunkowego skierowano nas do spółdzielni mieszkaniowej – które właśnie powstawały. A na mieszkanie, mimo, że mieliśmy otrzymać przydział poza kolejnością (co i tak trwało trzy lata) trzeba było wpłacić pieniądze. Więc trzeba było pracować ile się dało i gdzie się dało. Jeździć po Polsce z małymi dziećmi, bo tu czy tam zapewniano kwatery służbowe.

Żadne z owych kwater ani mieszkań (łącznie z ostatnim, w którym mieszkam) nie traktuję jako archetypowego „domu". Przez jakiś czas sądziłam, że zastąpi go nasz dom na działce. Budowaliśmy go z mężem własnymi rękami, a każdy szczegół był przemyślany. Mąż, inżynier budowlany testował na tej budowie technologię kanadyjską, jeszcze wówczas w Polsce nieznaną. Polegała ona na tym, że dom składał się z ram sporządzonych z bali. Po sporządzeniu takiej ramy zwoływało się sąsiadów i w kilka osób ustawiało ramę na fundamencie mocując ją do niego za pomocą śrub. Potem ramy wypełniało się ociepleniem, z zewnątrz i wewnątrz obijało deskami. Tym sposobem jeden człowiek angażując tylko kilka razy cztery osoby na kilkanaście minut sam mógł zbudować dom.

Mój pokój w tym domu przypominał sterówkę na statku: miał okna na trzy strony świata. W nocy księżyc w pełni wędrował kolejno przez wszystkie okna aż do świtu. Jeszcze przed świtem budziły mnie ptaki. W ogrodzie było mnóstwo drzew. Z niektórymi odczuwałam dziwne więzi. Sadziłam też kwiaty, jakie rosły w moim domu rodzinnym, a zwłaszcza floksy. Kto pamięta jeszcze te kwiaty?

Kiedy zmarł mąż i stało się jasne, że nie jestem w stanie sama opiekować się tym domem, nie mam samochodu, żeby tam dojechać ani dowieźć zaopatrzenia, musiałam przekazać dom synowi.

Synowi drzewa, a zwłaszcza krzaki, przeszkadzały przy koszeniu trawnika. Wówczas ból, jaki doznałam, gdy ginęły moje rośliny, tak niespodziewany i silny, uświadomił mi, jaki jest mój archetyp domu. Jego cechy to:

— pełne bezpieczeństwo. Okna na trzy strony świata, żeby wszystko widzieć i słyszeć. Ciepło. Ogrzewanie: piece, kominek, kuchnia plus piecyki elektryczne na wszelki wypadek. Drewutnia pełna narąbanego drzewa. Jedzenie: lodówka i zamrażarka zapełniona. Kuchenki: gazowa, elektryczna i kuchnia kaflowa. Lampy naftowe i świece na wypadek, gdyby zabrakło prądu.

— umiejscowienie w przyjaznym świecie – szumiące i dające cień wysokie drzewa, śpiew ptaków, czasami pojawiające się małe zwierzęta: wiewiórki, jeże, zaskrońce, kuny, żaby, krety, nornice, zabłąkane koty. Niektóre przyjazne rośliny, pachnące albo wyglądające jak te z dzieciństwa. Zioła do przypraw: lubczyk, bazylia, mięta, chrzan, szczypiorek.

— Przyjaźni ludzie wokół, z którymi można posiedzieć na ławce i posłuchać ich nudnych gadek. Żadnych niespodziewanych wydarzeń, żadnej konieczności decydowania o czymkolwiek. Spokój, cisza i pełna świadomość, co wokół się dzieje. Można zamknąć oczy i słuchać. Kiedy się chce, można się odizolować, a nie będzie słychać żadnego radia czy telewizora z głębi domu (tak było specjalnie zaprojektowane).

Dopiero z takiego domu można wyruszać w świat i do niego potem wracać. Kiedy jest źle, można w takim domu się zaszyć i odgrodzić na jakiś czas, aż będzie się gotowym do wyjścia na zewnątrz.

90. Przetwarzanie symboli (3)

Kiedy się ma dom, opał, jedzenie, przyjazne twarze dookoła, można pomyśleć o drugiej ważnej sprawie: miłości. Jeśli nie ma niczego z wyżej wymienionych, miłość jest tylko kolejnym problemem, z którym trzeba się zmierzyć, bowiem ten, kto kocha, stawia się zawsze w gorszej pozycji niż ten, kto nie kocha. Chyba że otoczenie jest nieprzyjazne, a my z naszą miłością zawieramy sojusz, by walczyć z całym światem. Ale to już jest inna miłość, nie taka „prawdziwa" i naturalna.

Niezależnie od siły łączącego ludzi uczucia, miłość jest zawsze liną, którą każda ze stron pociąga w swoją stronę, badając jak daleko może się posunąć. Miłość nie daje poczucia bezpieczeństwa, chyba, że jest ślepa i nieracjonalna. Miłość to poczucie odbiera, trzeba więc być silnym, żeby móc pozwolić sobie na miłość, następnie trzeba mieć wspólne cele, żeby mniej więcej rysować horyzont czasowy miłości i chcieć wspierać się wzajemnie. I do tego jeszcze być dla siebie atrakcyjnym fizycznie, psychicznie i intelektualnie.

Tak wiele wymagań, że statystycznie biorąc miłość „prawdziwa" nie zdarza się to często. Nie mówię o miłości do dzieci, bo to zupełnie coś innego i zupełnie inaczej się kształtuje.

Mając miłość, paradoksalnie chce się zachować poczucie własnego JA i nie roztapiać w drugiej osobie, ale od czasu do czasu się roztopić i zapomnieć o swoim JA. Żeby to mogło nastąpić, wszystkie inne potrzeby, a zwłaszcza poczucie bezpieczeństwa musi być zaspokojone. Żeby miłość była wszechogarniająca, trzeba jej na to pozwolić i zaakceptować, że jest to sprawa ryzykowna, a w głowie ma się pozajączkowane.

Są kobiety, które mówią: Niech się wali i pali, niech bije i zabije, ale ja go kocham! W dyskusji do 88 odcinka blogu Piotr Jaczewski wspomniał o imprezowaniu z Plutonem i taka miłość ma w sobie chyba coś wspólnego z tego rodzaju spotkaniem — może przynieść odnowę, ale może też śmierć (nie mam na myśli skutków fizycznych, choć i takie też mogą się zdarzyć).

Nawet największa miłość nie przynosi szczęścia. Szczęście może przynieść współodczuwanie, przyjaźń i oddanie, zaś miłość tylko chwile wielkiego uniesienia, rozrywającego człowieka na strzępy, czasem tak wielkiego, że aż bolesnego. Kto chciałby takie doświadczenia powtarzać!

Pewnego dnia byłam świadkiem, jak niespodziewane szczęście zabiło człowieka.

Działo się to w czasach kartkowych, gdzie przeciętna kobieta aby zdobyć coś do jedzenia (zwłaszcza mięsożernej męskiej rodziny) musiała stać w długich kolejkach z nadzieją, że uda jej się zrealizować kartki i nabyć trochę ochłapów z których dawałoby się wykroić nieco mięsa zdatnego do jedzenia. Pewnego razu wyczaiłam sklep na trasie między moją pracą a domem, gdzie była dostawa popołudniowa w takiej wielkości, że można było mieć nadzieję iż coś się uda kupić, mimo ludzi stojących w kolejkach już od rana. Był to spory pawilon na którego piętrze urządzono trzy stoiska: mięsne, z artykułami zbożowymi i trzecie, chyba elektrotechniczne. Miał on jeszcze jedną zaletę — szeroką ławę nad grzejnikami wzdłuż przeszklonej ściany, na której mogły przysiąść osoby zmęczone, starsze lub chore albo takie jak ja – zasuwające w trosce o swój status na wysokich obcasach (czego skutki zbieram dziś).

Wyszłam z pracy o 16-ej i stanęłam w kolejce. Dostawa miała być o 17-ej, więc niedługo. Przede mną stał starszy pan o lasce w niemodnej czapce z nausznikami, które odchylał, kiedy chciał zrozumieć, co ktoś do niego mówi.

Nagle, niespodziewanie, piętnaście minut przed dostawą mięsa, na stoisku z przetworami zbożowymi pojawiła się kasza gryczana. Kolejka runęła do tego stoiska. Ten pan był pierwszy tym razem, a ja także za nim. W kolejce mięsnej byliśmy na dalekich miejscach, co paradoksalnie okazało się sukcesem. Bowiem po 15 minutach, gdy zaczną sprzedawać mięso, ktoś będzie musiał opuścić kolejkę *gryczaną* dla *mięsnej*. I wówczas jedną szansę straci. Ale ten pan i ja zdążymy powrócić do kolejki mięsnej, a kto wie, może w tym bałaganie, jaki się utworzył, znajdziemy się na bliższych pozycjach niż byliśmy. Podkreślam te okoliczności, żeby nie sądzono iż do uczucia szczęścia, z powodu kupienia dwóch kilo kaszy gryczanej, dołączył się jakiś konflikt preferencji czy konieczność dokonania natychmiastowego życiowego wyboru. Wszak czasami okazać się może, że nie warto wracać po resztkę *wołowego z kością*, jeśli te ostatki to już kość i tłuszcz, a ty masz tylko kartkę na mięso „*prawdziwe*" czyli szynkę.

Pan spytał sprzedawczyni, ile może wziąć kaszy gryczanej, a ta odpowiedziała, że 2 kilo. Pan kupił kaszę, zapłacił i odwrócił się w kierunku kolejki *mięsnej* i upadł na ziemię. W zamieszaniu, jakie nastąpiło, tylko mnie i jeszcze jednej osobie za mną udało się kupić kaszę. Potem już nikt niczego nie

kupił. Pan zmarł w sklepie spożywczym, więc położono go na ławie pod oknem, a lekarz stwierdził zgon. Wydano zakaz sprzedawania czegokolwiek spożywczego, a ludzie stali smętnie w nadziei, że może coś się odmieni i towary paczkowane (jak kaszę gryczaną) zaczną jednak sprzedawać. Na kupno mięsa nikt już nie miał nadziei.

Gdy wychodziłam ze sklepu udało mi się jeszcze kupić baterie na stoisku elektrycznym, bowiem gamoniowatemu sprzedawcy zamydliłam oczy, że zakaz dotyczy wyłącznie artykułów spożywczych, (a właśnie wyniósł baterie na stoisko) i ulotniłam się zanim kierownictwo sklepu nakazało całkowite zamknięcie sklepu i wszystkich jego stoisk do dezynfekcji.

Stałam na zewnątrz sklepu i patrzyłam na nieboszczyka z twarzą obróconą w kierunku ulicy (położono go tak, bo nikomu nie wpadło do głowy żeby poświęcić coś, co mogło przykryć mu twarz) i głowę daję, że na twarzy miał wyraz szczęścia. Czy może być lepsza śmierć?

Poniżej opiszę jak wygląda mój archetyp **prawdziwej** miłości.

— Mamy wspólny cel i wspieramy się nawzajem, a nie tylko ja jego, a on pozwala mi łaskawie na wspieranie go.

— Możemy ze sobą rozmawiać o wszystkim. Nie ma tak, jak u pani Zosi, że on mówi: „nie będę z tobą o tym rozmawiał" albo „rób co chcesz".

— Możemy także rozmawiać o rzeczach oderwanych od bieżączek oraz programów TV, dzienników TVN, wystąpień polityków i innych rzeczach przemielonych i przeżutych i wyplutych przez innych ludzi. Takie rozmowy rezerwuję do pogaduszek z sąsiadami na działce, przy piwku, żeby szły przez aparat trawienia bardziej gładko.

— Nie usłyszę od niego „Co tam twoja praca?! To nic w porównaniu z moją, ponieważ moja odpowiedzialność jest o niebo większa, niż twój biurowy babiniec. Zmiłuj się, znaj proporcje!"

— Mogę mu zaufać i czuć się bezpiecznie pamiętając, że diabeł leży w szczegółach i wspólne konto, to jeszcze nie równość: jedno może go zasilać, a drugie opróżniać.

— Sprawy seksu mają drugorzędne znaczenie. Osoba podporządkowana, niczym niewolnik, może tylko rozwijać kamuflaże. Wskazana jest oczywiście pełnia przeżyć z obu stron, ale do tego potrzeba autentycznej bliskości i pełnego zaufania. Nie, żeby o niektórych sprawach męża informował żonę Urząd Skarbowy.

Na szczęście kobieta z wyobraźnią może sobie poradzić. W tym celu istnieją aktorzy filmowi, zjawiskowo męscy i piękni, przypadkiem spotkani mężczyźni z którymi „zaiskrzyło" ale obie strony miały świadomość, że nie są im potrzebne komplikacje. Można też przeczytać że: „I stało się tak, że Aragorn zobaczył Eowinę..." — z samego szyku słów widać, jak ważne to było spotkanie. Stoisz więc w swojej wyobraźni na szczycie suchego, upalnego wzgórza, jako rzeczona Eowina, z długim rozpuszczonym blond włosem, a przepływający nad twoją głową pierzasty chmur (nie wiedzieć czemu jest rodzaju męskiego!) wysusza twoje wargi i skórę sprawiając, że każda kropla, która je zwilży, będzie zapomnieniem wszystkiego co było dotąd, łącznie z tobą. Jesteś piękną wojowniczką i to zostanie zapisane w kronikach. Wtedy możesz wrócić do garów.

Wzięcie sobie realnego kochanka nie załatwia sprawy, ponieważ może okazać się, że „zamienił stryjek siekierkę na kijek”, a ty nieszczęsny Strzelcze wybrałaś znowu Lwa. Jeszcze bardziej lwiego Lwa, ze słońcem w Lwie i na ascendencie – taki twój los.

Nie oszukujmy się jednak – tę klatkę, na której Saturnowość i dwunastodomowość narzekamy, zbudowałyśmy sobie same; mało, jej pręty przyozdobiłyśmy kwiatuszkami, wycinankami, ozdóbkami i innymi durnostojkami ze śmietnika Wenus. Pokochałyśmy swoją niewolę, bowiem bardziej jest bezpieczna niż upalne wysuszone wzgórze. Seksowna koszulka, koronkowe majtki, aromatyzowana świeca na podłodze, tak niewiele trzeba. A nas, z mojego pokolenia nauczono, że najważniejsze, aby nikt do ciebie nie strzelał.

Jeżeli tylko ptaki uwiją swoje gniazda w dziurach po pociskach, to możesz odetchnąć z ulgą — na jakiś czas. I próbować żyć według powszechnie akceptowanych reguł.

91. Przetwarzanie symboli (4)

Symbol matki i dziecka zapewne jest o wiele starszy niż „Matka Boska z Dzieciątkiem przy piersi” – a jednak w zbiorowej wyobraźni on zwycięża. Kiedy pomyśli się o *macierzyństwie*, przed oczami staje jedno z licznych dzieł sztuki o tym temacie, które najgłębiej zapadło w pamięć.

Malarze średniowieczni ubierali postaci Matki Boskiej i Dzieciątka w stroje swoich epok po to właśnie, żeby patrząc na obraz wierni widzieli symbol przybliżony do współczesności, jak się tylko da.

Czasy się mocno zmieniły. Któż teraz odważy się w kościele powiesić obraz współczesnej matki karmiącej dzieciątko z butelki, a zamiast udrapowanej białej tkaniny umieścić między nogami dzieciątka pampersa? Nie zależy nikomu, by osoby święte ludziom przybliżać, przeciwnie należy oddalić je od człowieka jak najbardziej. Panuje przekonanie, że w przeciwnym wypadku ujdzie wówczas z nich cała świętość.

więcej na stronie **www.sw-jan.vn.pl »**

Pamiętamy chyba perypetie obrazu gdańskiego malarza „Ostatnia Wieczerza" Macieja Świeszewskiego, który zebrał mnóstwo nieprzychylnych recenzji, zwłaszcza za to, że umieścił jako postaci Apostołów współczesnych gdańskich notabli. Zaniechano prawie w ogóle analizowania symboliki obrazu, a zajęto się szczegółami: nadmiarem potraw na stole, gadżetami takimi jak paczka papierosów i telefon komórkowy. Nie podobało się też światło podobne do tęczy w czym dopatrywano się symboliki gejowskiej. Sądząc po wpisach dyskutantów pod artykułami w prasie na ten temat uznano go wręcz za profanację świętości.

Tymczasem przypatrzmy się świeżym okiem takiej historii pewnego porodu.

Matka bała się porodu. Chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Przyjechała ze wsi z mężem do Warszawy do pracy. Musiała pracować, żeby mieć urlop macierzyński. Mąż pracy nie znalazł, zarabiał dorywczo gdzie się dało. Ona pracowała w markecie, ale zbyt mało zarabiała, żeby wynająć mieszkanie. Zajęli więc pustostan i naściągali doń starych wyrzuconych mebli, odmalowali i wyszorowali, przygotowali mieszkanie na przyjęcie dziecka.

Tuż przed terminem porodu wyrzucono ich z mieszkania, a matka trafiła do szpitala. Dziecko było wcześniakiem i dostało się do inkubatora. Matka miała krwotok a potem przyplątało się coś innego z wysoką gorączką i kiedy odzyskała przytomność już nie miała pokarmu. Kiedy dziecko można było już wypisać ze szpitala, wypisano z nim i matkę. Stała biedna na ulicy z zawiniątkiem na ręku i zastanawiała się dokąd pójść. Z kieszeni płaszcza wystawała jej butelka ze smoczkiem i pokarmem, którą podarowano jej na drogę. Mąż nie przyszedł po nią, nie wiadomo czemu. Może szukał innego mieszkania? Może upił się z rozpaczy?

Dlaczego taka Madonna z Dzieciątkiem nie może stać się symbolem macierzyństwa? Wszakże z pewnym uporem penetrujemy rozmaite skrajności nadając im rangę większą niż na to zasługują (np. pomnik Pana Gumy, bezdomnego pijaczka z Pragi pomysłu Pawła Althamera, ale chyba wykonania kogoś innego, pomyślany jako pomnik dla lokalnej społeczności) określany w prasie jako genialny i nawet „zaopiekowany" przez samego Pana Prezydenta) natomiast wzbraniamy się przed upamiętnieniem Madonny w jej współczesnym kostiumie?

Sądzę, że przyczyna leży w nieuświadamianym sobie na ogół procesie powiększania się rozziewu między symbolami, a ich kontynuacją. Zastanówmy się: Co różni opisaną bezdomną matkę od Madonny rodzącej w stajence? Tylko gadżety. Ich sytuacja jest taka sama. Obie bezdomne, z mężczyznami, którzy nic nie są w stanie poradzić na spotykający rodzinę los, obie ofiary jakichś urzędników (Heroda od spisu i kogoś z urzędu dzielnicy), tam w stajence, tu zapewne w noclegowni albo innym schronisku dla kobiet. Może nad moją bohaterką pochylą się Trzej Królowie (albo magowie) Urzędnik, Ksiądz, Dziennikarz, z czego jednak nic specjalnego nie wyniknie. Urzędnik może zapisze ją do jakiejś mieszkaniowej kolejki na tysiączną którąś pozycję, Ksiądz wesprze dobrym słowem lub coś tam podaruje, Dziennikarz napisze artykuł, w którym będzie dowodził, jak wspaniałą istotą może stać się ten mały niedawno urodzone dzieciątko, jeśli ktoś mu teraz pomoże. I wszystko.

Niewiele różni się to od sytuacji w Betlejem (czy gdzie indziej). Przeszkadzają gadżety: Butelka ze smoczkiem, pampers, dżinsy i kurtka. Panuje powszechna opinia, że odebrać one mogą świętość temu symbolowi. W końcu został on swego czasu zawłaszczony przez jedynie słuszną religię i dlatego należy dbać o jego nieskalanie. Eksmitowanej matki nie wolno pomylić z Matką Boską! Wszak na pewno nie jest dziewicą.

W tym wszystkim zapominamy, że Matka to nie tylko młodziutka położnica z dzieckiem przy piersi, ale także ktoś, kto stoi przy dziecku aż do końca, wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszelkiej kalkulacji. Że wiele kobiet z miłości do dziecka więcej ma łez niż satysfakcji, że są równie dobrze przez dzieci wykorzystywane, poniżane i niedocenione. Sztuka dostrzegła ten tragizm w Matce Boskiej poprzez obrazy przedstawiające zdjęcie Jezusa z krzyża. Dostrzegła też inną prawidłowość – na obrazach tych Matkę Boską wspierają i pomagają jej przede wszystkim kobiety.

Dzisiaj tego nie chcemy widzieć. Śmierć jest najbardziej obciachowa ze wszystkiego (chyba, że jest to śmierć w bitwie koniecznie o słuszną sprawę).

Jednak takie traktowanie symboli, przesuwające je w sferę, której nie wypada aktualizować, uwspółcześniać, rozbudowywać, uzasadniać prowadzi do dziwnych wynaturzeń.

Pamiętam dziewczynę, która oświadczyła, że nie może doczekać się świąt Wielkanocnych, bo wówczas będzie mogła sobie do woli pojeść święconego chrzanu. Nie dała sobie wytłumaczyć, że podstawą święconki są jajka i że symbolika jajka wykracza poza te święta, jest starsza i bardziej wrośnięta w kulturę, a chrzan to jedynie dodatek wkładany do koszyczka ze święconką, podobnie jak pomarańcze i co tam jeszcze ktoś lubi. U niej w domu dzielono się święconym chrzanem, a jajka czy wędlina były do niego dodatkiem, żeby za bardzo nie piekło w buzi.

Inny przykład: Znany jest zwyczaj zapalania zniczy na grobach. Światełka te miały wskazywać drogę duszom zmarłych, ogrzewać je, stanowić dla nich pokarm i wskazywać drogę. Oczywiście duszom zmarłych nie zapalano światełek tam, gdzie sobie ich nie życzono, poza czasami dawniejszymi – w domach, obejściach. Palono je w miejscach pochówku i na rozstajnych drogach. Jednak ten obyczaj zmieniono. Początkowo zaczęto zapalać je na poboczach dróg ofiarom wypadków (nie bacząc na sens tego zapalania i opowieści o duszach zmarłych błąkających się w pobliżu miejsc swojej śmierci, nieświadomych swojego statusy nieżyjących i mogących powodować kolejne wypadki) oraz w miejscach symbolicznych w punktu widzenia ludzi (np. przy grobie Nieznanego Żołnierza, przed Pałacem Prezydenckim i w innych miejscach). Znicze stawały się wówczas symbolem naszego szacunku dla osoby zmarłych, a nie dla ich duchów.

Ostatnio zwyczaj ten poszedł znacznie dalej. Czym bowiem, jakim symbolem, są światełka zniczy zapalane przez żony strajkujących gdzieś robotników przed obiektem, w którym strajkują?

Tak na naszych oczach zmieniają się symbole w sposób podobny uszkodzeniom DNA, równie przypadkowo jak i czasem dziwacznie. W natłoku informacji każdy może zgłupieć i Pana Gumę uznać za genialny przejaw sztuki współczesnej, a co gorsza, symbol połowy Warszawy.

Dlaczego więc niektóre z nich tężeją w niemożliwe do naruszenia stereotypy?

92. O pisaniu blogu

Blog jest bardziej spontaniczny niż każdy inny gatunek wypowiedzi literackiej. Zdarza mi się, że czasami chciałabym cisnąć klawiaturą o ścianę, bo nazajutrz dochodzę do wniosku, że albo zbyt się obnażyłam, albo strzeliłam jakąś głupotę, albo niespodziewanie dałam się sprowokować i wciągnąć w niepotrzebną wojnę.

Jednak jest to zajęcie wciągające i dla mnie nowe. Muszę przypomnieć, że z komputerem zetknęłam się dopiero pod koniec swojego zawodowego życia i przechodzę w sposób znacznie przyspieszony wszystkie fazy obcowania ze społecznością (w tym wypadku Taraki). Zaczynam rozumieć skąd się biorą wcześniej oceniane przeze mnie negatywnie pokusy dzielenia się wieloma sprawami, o których politycznie byłoby raczej zamilczeć. Mając żywego, a niesympatycznego rozmówcę, nie będę mu się zwierzać ze swojego życiorysu, a na blogu to robię, choć nie wiem z jakim odbiorcą mam do czynienia.

Ludzie niegdyś chętnie zwierzali się obcym, w pociągach na przykład, choć od wielu lat w Polce ten zwyczaj zupełnie zanikł. Ale próżnia zawsze musi być wypełniona i pojawiły się blogi.

W moich nastoletnich czasach pisało się pamiętnik. Zabierałam go do szkoły po to, by w domu nie wytropiła go mama mająca niesłychane zdolności śledcze. I stało się raz tak, że notowałam coś w zeszycie do łaciny, a pod spodem rozłożyłam swój pamiętnik, w którym wylewałam mnóstwo złości na moją mamę i że dorwała mnie na tym Łacinnica. Jej też nie znosiłam, bo zawsze oświadczała przy całej klasie, że kaktus jej na dłoni wyrośnie, jeśli Kasia będzie studiować. Nie była więc to ktoś mi życzliwy, a w dodatku z pozycji całkowicie ignorujących mnie jako osobę. Uważała i wypowiadała to głośno, że w sytuacji w jakiej znajduje się moja rodzina, powinnam zaprzestać wygórowanych ambicji i zamiast się uczyć w liceum, a potem wybierać na studia, iść do pracy i wspomóc swoimi zarobkami moją biedną mamę. Uczennicą byłam zaś nierówną, raz się uczyłam, raz mi się nie chciało i wolałam czytać pod ławką książki, więc miała ona swoje racje.

Tak więc ta nieżyczliwa osoba przyłapawszy mnie na pisaniu pamiętnika, zabrała go, wezwała do szkoły moją matkę i w obecności dyrektorki szkoły przekazała jej pamiętnik, odczytawszy wcześniej dramatycznym tonem ostatnie wpisy krytykujące moją mamę. Możecie sobie wyobrazić, jakie rozpętało się w domu piekło, bowiem moja mama bywała nieobliczalna i zwykła rzucać przedmiotami, jakie jej się nawinęły. W tym wypadku ledwo uniknęłam rozbicia głowy ciężką, kryształową popielnicą okutą metalem i zaopatrzoną w wystające z niej mosiężne przyrządy do obcinania cygar. Po wojnie takie dziwne przedmioty pałętały się w wielu domach. A ja byłam ostatnią niewdzięcznicą.

Ostatnio moja koleżanka opowiadała mi, jak synowa potraktowała jej kilkunastoletnią wnuczkę. Dziewczyna pisała na swoim blogu i moja koleżanka wiedziała o nim, ale jej matka nie. Pewnego razu o tym fakcie poinformowała matkę koleżanka nauczycielka i matka natychmiast przeczytała wpisy. Moim zdaniem okazała się krańcową idiotką. Z córką miała nienajlepszy kontakt, wojowały bezustannie, choć podobno dziewczyna nie robiła niczego złego, nie wpadła w „złe towarzystwo”, nie brała używek, uczyła się w miarę, była tylko nieco buntownicza. Otóż mamusia, zamiast cieszyć się, że ma jaki taki wgląd w sprawy córki, zmilczeć i czytywać od czasu do czasu, by wiedzieć, co w trawie

piszczy, gdy przeczytała jej wpis krytykujący gust mamy w doborze koloru firanek, wściekła się tak, że zrobiła latorośli dziką awanturę, po której córeczka oczywiście zlikwidowała blog.

Dziewczyna ta zastępując pamiętnik blogiem popełniła błąd, bowiem nie założyła, że przeczyta go ktoś nieżyczliwy, a w każdym razie nie spodziewała się kłopotów z tego tytułu.

Ja oczywiście nie jestem nastolatką, większość swego życia mam za sobą i z powodu tego, co piszę nikt nie ośmieli mi się robić awantur. Jednak narażam się na niekomfort krytyki wobec mnie, znanej z nazwiska i wizerunku, ale czynię to całkiem świadomie.

Jako autorka wycinam dużo partii napisanego tekstu, czasem więcej wycinam niż dopisuję. Nie mogę sobie pozwolić na dygresje i odejście od założonej konstrukcji, nie mogę też pozwolić zostać zdaniom o treści wątpliwej, bardzo niejasnej, sprzecznej z czymś wcześniejszym. Jeżeli ilość wycinanego tekstu jest większa niż przybywającego, następuje niemoc twórcza. Często jej przyczyną jest nadmierny autokrytycyzm, próba podporządkowania się normom i standardom, które błędnie uznaje się, że w danej chwili mnie obowiązują.

Dążenie do perfekcji zawsze przynosi depresję, ponieważ zdarza się, że tracimy zewnętrzny punkt widzenia i wchodzimy za bardzo do środka swojego dzieła. Jest w końcu ono naszym wymyślonym światem i jako takie, wobec narzuconych sobie ograniczeń nie dorówna nigdy dziełu boskiemu. Konieczność selekcji, zamiany jednych słów na inne powoduje, że będąc w środku nie umiemy już ocenić czy zrobiliśmy dobrze zmieniając to a to, czy źle albo niepotrzebnie. Ja dla ocalenia tego zewnętrznego spojrzenia na produkt swojej świadomości staram się odczekać przynajmniej miesiąc i zapomnieć jak najwięcej tekstu. Zapisane wyrzucam z pamięci (na ile mogę). Ale przy licznych poprawkach, korektach, zwłaszcza pod cudze dyktando, zawsze się traci tę pożądaną zewnętrzność spojrzenia. Nie ma na to siły.

Na przykład: byłam (i jestem) często krytykowana przez redaktorów za zbyt długie zdania i używanie słów, które trzeba czasem sprawdzić w słowniku. Uważano także, że za mało jest dialogów w stosunku do opisów. Jest to oczywiście wyraz podporządkowania się wymogom literatury rozrywkowej, gdzie zdania mają wyrażać akcję, a nie jakieś durne rozważania, które nikogo nie obchodzą. Teraz czytam książkę, która ponoć jest literackim arcydziełem (Bolano – 2666), jestem w jej połowie, na pięćsetnej którejś stronie i może do tej pory przeczytałam tam ze trzy dialogi. Ale w Polsce musi być tak jak w USA – dziesiąta woda po Hemingway`u. Nie jestem tu zbyt obiektywna — nie lubię po prostu modnego stylu „hemingwejowskiego", jego krótkich, męskich zdań. Czasami sądzę wręcz, że są oszustwem, ideologicznym okrojeniem świata. Pozorem, prezentowanym na zewnątrz pod wpływem obrazkowej kultury amerykańskich filmów klasy B (choć zapewne to filmy czerpały swoje dialogi z Hemingway`a, a nie on z nich). Nie umiem myśleć krótkimi zdaniami, dialogi ograniczają mnie, są komunikatami codzienności, gdy reszta nie jest na zewnątrz ujawniana. W filmie można grać twarzą i sylwetką. W książce tylko – i to nie zawsze – kontekstem.

Drobiazgi, podkreślone stylem wypowiedzi oznaczają dla mnie świat, który warto penetrować. Jednak przykro mi. Nie da się wytłumaczyć komuś takiej optyki, jeśli jej z natury nie rozumie. Czytelnicy tak chcą – słyszę. Nie pytam, jacy czytelnicy.

Nie oznacza to, że nie używam zdań krótkich albo równoważników zdania. Robię to, gdy chcę pewne rzeczy ze sobą skontrastować — na przykład ulotne fantazjowanie z faktem, że „autobus odjechał".

Do czytelnika należy wówczas ocena czy może autobus uciekł, bo opisywana osoba zajęła się czymś nierzeczywistym.

Na blogu sama jestem sobie redaktorką, a żywy kontakt z czytelnikiem, nawet krytyczny, pozwala mi ocenić na ile mój styl pisania ktoś rozumie i komuś on odpowiada. Pisanie blogu przekonało mnie, że mimo technicznych niedoróbek (nie pracuję przecież nad tekstem tak, jak dla wydawnictwa) jestem rozumiana i ogólnie rzecz biorąc nieźle oceniana.

Dlatego pisanie blogu może być tak bardzo pochłaniające i atrakcyjne. Nie mówiąc już o tym, że porządkuje pewne sprawy w moim umyśle i w wypowiedzi pozwala być precyzyjniejszym.

Wdzięczna też jestem Wojtkowi, że pozwolił mi pisać w Tarace mimo, że treścią moje wpisy odbiegają często od profilu strony.

Mam tylko nadzieję, że nie dorwie się jakaś „mamuśka" i nie skrytykuje mnie za „Trzech Króli" – jak przytrafiło się Teresti.

93. Dama z jednorożcem i pokrojony pies

Jednorożec w Średniowieczu był zwierzęciem symbolicznym. Najkrócej mówiąc symbolizował dziewictwo, a w miarę, gdy Kościół przyswajał sobie ten symbol, uznano go za symbol Chrystusa.

Dlaczego dziewictwo? Pierwsze wspominki o jednorożcu zawdzięczamy podobno Ktezjaszowi z Knidos, Arystotelesowi oraz rzymskiemu historykowi Pliniuszowi. Według aleksandryjskiego bestiariusza, jednorożec był groźnym zwierzęciem, którego nie mogli złapać myśliwi, chyba, że zastosowali przemyślny sposób — by go schwytać, należało zwabić zwierzę na przynętę w postaci dziewicy i pochwycić, gdy spał z głową na jej łonie.

Dlaczego symbol Chrystusa? Stał się symbolem Jezusa zstępującego na Ziemię, gdy znalazł godną swej boskiej istoty Dziewicę. Czyhający na niego myśliwi, to grzeszna ludzkość wydająca Zbawiciela na mękę. Także sądzono powszechnie, że jednorożec miał moc uzdrawiania i dlatego proszek z jego rogu stanowił panaceum na wszystkie choroby. Zapobiegał też otruciu bowiem niwelował moc trucizn. W dawnych czasach najczęściej chorowano od zatrutej wody, dlatego też wierzono, że jednorożec poprzez zanurzenie rogu w wodzie uzdatnia ją. Z Chrystusem łączyło go więc również uzdrawianie.

Poza tym jednorożec symbolizował tak różne cechy (przymioty) jak: „czysty rozum, mądrość, inteligencja, wspaniałość, odwaga, męska aktywność, szybkość, szlachetność, cnota, uwznioślona płciowość, pokój, samotność, życie zakonne, śmierć, czystość, dziewictwo, kobieca bierność, łagodność" (za Joanną Jafernik). Ufff!

Ponieważ związek dziewictwa i Chrystusa oraz męskiej aktywności jest dość odległy, a sztuka przedstawia ten motyw jako najeżony wręcz innymi symbolami, także płodności – czasami uważano, że źródłem całej symboliki z nim związanej jest sekta katarów. Niektórzy badacze uważają wręcz, że słynny cykl późnogotyckich tkanin *La Dame á la Licorne* wystawiony w muzeum sztuki średniowiecznej Cluny w Paryżu świadczy o fascynacji twórcy arrasów herezją Graala, tyle że skrzętnie zakamuflowaną.

Na temat Damy z jednorożcem powstawały też teksty literackie, m.in. Rainera Marii Rilkego. Także jej poświęcony jest fragment powieści Nadine Gordiner (nie pamiętam tytułu)

W muzeum tym wystawie arrasów poświęcona jest jedna okrągła sala i kilka przylegających do niej pomieszczeń. Panuje w nich półmrok ze względu na płowienie tkanin. Także ich ogromny rozmiar powoduje, że trudno uchwycić całość i dostrzec drobiazgi. A one mają ogromne znaczenie – wystarczy wspomnieć, że każde drobne zwierzątko czy każdy gatunek kwiatka symbolizuje określone cechy czy przymioty. Jest lew dzierżący chorągiew. Na niektórych gobelinach uśmiecha się, na innych jest groźny. Są króliki, jest pies i cętkowany dzianet. Lisy, gepardy, lwiątka, sokół polujący na czaplę, kuropatwy, mała małpka przywiązana łańcuchem do małego wózeczka, który wykonano specjalnie po to, by nie wchodziła na drzewo.

I rośliny. Np. królik jest symbolem płodności; rośliny z gobelinów: (lak, lewkonia, stokrotki, fiołki – środki na płodność), (obrazki plamiste, barwinek, storczyk męski – afrodyzjaki), inne: goździki (zaręczyny), fiołki (pożądanie), róże (miłość), barwinki (małżeństwo), dęby (element słoneczny), ostrokrzew (element księżycowy), pomarańcze (stosunek małżeński), granaty (kobieca płodność) i szyszki (męska płodność).

Na sztandarach widnieje księżyc ubywający — symbolizujący dziewczynę oczekującą na oblubieńca. (Księżyca nie przedstawiano w 4 kwadrach jak dziś, tylko w 3 stadiach: dziewicy, matki i staruchy)

Dopiero zakup pocztówek (w wersji cenowej, a co za tym idzie formacie) dostępnym przeciętnemu turyście pozwala niektóre z tych szczegółów dostrzec. (Duża reprodukcja na tkaninie około pół metra na pół kosztowała aż 800 euro!)

Poszczególne gobeliny noszą nazwy związane ze zmysłami i ich zmysłowość jest doskonale widoczna. Ostatni z cyklu, przedstawiający damę dokonującą wyboru klejnotów ma uzmysławiać oglądającemu, że człowiek jest wolny i może wybierać.

Jadąc do Paryża chciałam obejrzeć przede wszystkim te gobeliny. Sama nie bardzo rozumiałam dlaczego.

Kiedy byłam już na miejscu i usiadłam na ławce, poczułam nieprzyjemny zapach stęchlizny, źle wentylowanego pomieszczenia i smołowego impregnatu do drewnianych podłóg, boazerii i okien zabytkowego budynku. Światła reflektorków skierowane w podłogę raziły w oczy nie oświetlając tego, co chciało się zobaczyć.

Dlatego też nie zobaczyłam rzeczy, o których potem przeczytałam, że: „Najlepiej zachowany szkielet dziewicy można zobaczyć w paryskim muzeum Średniowiecza — Cluny. Dziewiczy szkielecik zawieszono w okrągłej sali niemal pod sufitem, naprzeciw 2,5-metrowego rogu jednorożca. O tym, że wysuszone kości należały do panny zmarłej w stanie dziewiczym, łatwo się przekonać zaglądając szkieletowi w dobrze zachowane spojenie łonowe. Zakryte jest ono skostniałą, lekko sperforowaną

błoną dziewiczą. Ten wyjątkowy eksponat błony dziewiczej datowany jest na drugą połowę czternastego wieku.” (źródło z internetu, nie pamiętam już jakie)

Uświadomiłam sobie wówczas, że nie wiadomo jak byśmy się starali, nie zobaczymy rzeczy najciekawszych i nigdy nie będziemy mieli pewności, czy istnieją. To, że zobaczył (albo napisał o tym) ktoś inny w niczym nie zmienia naszego doświadczenia. Obnaża tylko nasze braki i naszą nieuwagę.

Wspomnieniem mojego wyjazdu do Paryża jest wyliczenie rzeczy, których nie udało mi się obejrzeć. A przecież specjalnie nie zapisałam się na wycieczkę, tylko wybrałam wyjazd indywidualny, ponieważ chciałam poczuć atmosferę miasta, nieskażoną cudzym opisem. I ten cel osiągnęłam.

Istnieją także rzeczy, które wprawdzie obejrzałam dokładnie, ale mylnie zinterpretowałam.

W Musee d'Orsay obejrzałam wiszący dość wysoko, niewielki obraz:

który niesłusznie uznałam za „pokrojonego psa” i przypisałam do sztuki współczesnej. Tymczasem autorem był Francisco Goya y Lucientes, obraz z 1746 r, tytuł obrazu: „Martwa natura z głową byka”, a w innej wersji: „Martwa natura z głową owcy”. Towarzyszące mi osoby patrzyły ze zgrozą na to, ile czasu poświęcam temu obrzydliwstwu. A ja nie mogłam się oderwać od widoku oka zwierzęcia, które wcale nie wyglądało na martwe. **Jego głowa mogła być głową ujarzmionego jednorożca, pozbawionego rogu, znaczenia i mitycznej otoczki.**

Dziś widzę w tym zwiedzaniu Paryża dwa bieguny symboliki: idealistycznej i realistycznej.

Moje osobiste związki ze sztuką oglądaną w Paryżu były chaotyczną ucieczką od czekających mnie zasadniczych zmian w moim życiu, do wyidealizowanego, nieistniejącego świata, ucieczką od rzeczywistości, która i tak w końcu każdego dopada. To było tak, jakby chciało się nadać swojemu życiu moc symbolu ukradzionego oglądanym dziełom, nie wiedząc dokładnie, jakiego symbolu poszukuje się.

Gęste od znaczeń tkaniny, sztuka wymagająca precyzji, uwagi i miesięcy pracy, a od oglądającego znajomości wielu symboli, a na przeciwnym biegunie fascynacji „mięsistość” życia i śmierci, wręcz dosłowność, ale...

I właśnie w tym „ale...” zawarta jest mądrość wszelkich podróży.

94. Miejsca mocy i niemocy

Jesienią z naszej działki, mieszczącej się w okolicy Siemiatycz robiliśmy z mężem liczne wycieczki. Najczęściej wsiadaliśmy w samochód i zapędzaliśmy się w różne odległe miejsca, ledwo dostępne. Potem szliśmy do lasu i tam łaziliśmy. W ten sposób trafiliśmy w miejsce, którego niestety nie jestem w stanie odnaleźć, a męża już o to nie spytam. Pamiętam tylko, że było to w rejonie kilku wsi w których mówiło się po białorusku i prowadziły doń drogi brukowane kocimi łbami, więc niewiele samochodów tam się spotykało.

Stanęliśmy w miejscu, skąd do drogi schodził z góry kamienisty żleb podobny tym, jakie spotyka się w górach tyle, że w nieco mniejszej skali. Postanowiliśmy wejść nim na górę i rozejrzeć się po okolicy. Przeszliśmy kawałek drogi, gdy z boku, po naszej lewej ręce pokazała się kopiata górka. Była bardzo dziwna, niezbyt wysoka, ale stroma, porośnięta wysokim lasem. Jej kształt sugerował usypany kopiec, ale obecność starych drzew też dziwiła — kopce na ogół są w płaskich, odsłoniętych miejscach, żeby z daleka je było widać.

Postanowiłam wejść na górę gnana nie bardzo zrozumiałą chęcią, a mąż, poszedł za mną także zaciekawiony. Wspinaczka była krótka i ułatwiały ją gęsto rosnące drzewa między którymi łatwo było się podciągać. Na szczycie stały szeregi bardzo zbutwiałych drewnianych prawosławnych krzyży – tak jak w pobliskiej Grabarce. Jednak te krzyże wyglądały jakby były tu od zawsze, wyrastały spośród zbutwiałych albo obróconych w próchno jeszcze starszych krzyży. Poza nimi nic tu specjalnego nie było widać.

Wówczas jeszcze niezbyt interesowałam się sprawami ezoterycznymi i zupełnie nie mogłam zrozumieć swoich uczuć w tym miejscu. Czułam się tak, jakby ktoś tu mnie ściągnął ale nie przemocą, a wszechwładnym uczuciem że MUSZĘ tu i teraz zatrzymać się w tym miejscu. Czułam w sobie ogromną siłę i otwartość, ale takie jakieś nieukierunkowane – jakby gotowe, żeby wypełnić je dowolną treścią.

Z wielką niechęcią schodziłam na dół sama sobie się dziwiąc. Po paru dniach zapomniałam o tym wrażeniu, ale od czasu do czasu to wspomnienie do mnie wraca.

Dziś wiem, że byłam w miejscu mocy. Nie potrafiłabym już teraz wdrapać się na ten kopiec (nawet gdybym wiedziała gdzie go szukać i gdybym go odnalazła), ale same jego przypomnienie napełnia mnie siłą. Co tam kiedyś było? Dawno, o wiele dawniej niż czas, gdy stawiano krzyże? A stawiano je pewnie przez kilka wieków.

Dlatego wyobrażam sobie miejsca mocy jako miejsca, w których chciałoby się być (ale nie wiadomo po co).

Ale nie wyobrażajmy sobie miejsca mocy wyłącznie jako wzgórza na odludziu, jakiegoś uroczyska czy tym podobnego matecznika, otoczonego zdziczałą przyrodą. Czasami znajdują się tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał.

W moim rodzinnym domu takim miejscem był śmietnik. Dom miał trzy wejścia: frontowe, po przeciwnej stronie na taras, ale nie używane, bowiem taras był stertą potłuczonych płytek i kawałków gruzu powstałych po wybuchu jakiegoś pocisku – i trzecie wyjście, boczne od kuchni. Od tego wyjścia prowadziły trzy schodki do wiecznie wilgotnej sterty śmieci. Mieściła się ona pod parasolem srebrnej wierzby, której pędy opadały na ziemię, kryjąc pagórek. Na moim obecnym osiedlu rosną takie

wierzby jako drzewa ozdobne i czasami, jesienią, gdy są przycinane, a obok leżą sterty gałęzi, zabieram jedną czy dwie gałązki na pamiątkę. Ich srebrzysty kolor i małe, białawe, okrągłe owocki są bardzo dekoracyjne, ale i przywołują na myśl tamten śmietnik.

Kąt pod płaczącą wierzbą, stale wilgotny, śmierdzący w lecie mydlinami i wychlustywanymi z kuchennej sionki pomyjami, przywoływał rozważania o tym, jak pachnie brud. I różnymi myślami o tym, co brudne, a co czyste, jak pachnie brud czystszy i brudniejszy, gdzie gromadzi się w nieustającej wilgoci i w jaki sposób staje się sprawcą bujności zasilanego brudem drzewa. W tamtych czasach prało się w miednicy mydłem, a śmieci to były tylko kuchenne odpadki. Żadnych chemikaliów, a zapach rozkładu nie był takim smrodem, jaki bije dziś z osiedlowych śmietników. Brud i czystość były wówczas często przedmiotem nauk Kościoła i rodziców i opanowywały czasem dziecinną wyobraźnię ponad wskazaną miarę.

Dziwaczne bulwy rosnące przy opuszczonej siatce od strony sąsiadów, przez którą czasem przełaziłyśmy z siostrą wbrew zakazom, razem ze srebrzystą wierzbą osłaniały mnie od wzroku mamy często pojawiającej się na kuchennych schodkach. To miejsce utrwalone jest tylko w mojej pamięci. Ale ten śmietnik nie tylko przyciągał mnie swoją dwuznaczną, atawistyczną mocą i nadal przyciąga mnie we wspomnieniach. Był on czymś, gdzie rozkład przeradzał się w coś wręcz przeciwnego, ale umysł dziecka był zbyt słaby, żeby dać sobie radę z tłumaczeniem i interpretacją wrażeń. Nie wytłumaczony do końca trwa do dziś zrośnięty z obrazem wierzby, która nie jest prawdziwą wierzbą, takim albinosem wśród drzew. Srebrzysta ale nieczysta.

Co tam było, pod tym śmietnikiem? Od jak dawana tam leżało i skąd się wzięło? Było dobre czy złe? Dlaczego tak fascynowało dziecko?

Tak, jak istnieją miejsca mocy, istnieją też miejsca niemocy. Jedno z nich pamiętam doskonale, choć nie mam pojęcia gdzie się mieściło.

Byłam wtedy dziewczynką jedenasto lub dwunastoletnią. Pamiętam starą, popękaną asfaltową drogę obsadzoną szpalerem bardzo starych drzew z wielkimi dziuplami (wtedy się ich nie cementowało) i całymi połaciami obdartymi z kory. Szłam tym szpalerem gdzieś, chyba do miejscowego kościoła na nabożeństwo wlokąc się na końcu towarzystwa rodziców i ich znajomych. Był niedzielny poranek – pora i dzień, którego najbardziej nie lubiłam. Dla dzieci przymusowe nudziarstwo. Czysta sukienka, której nie wolno pognieść. Książeczka do nabożeństwa zajmująca niepotrzebnie dłonie wyrywające się, żeby uszczknąć gałązkę, podnieść dziwny kamyk czy coś równie frapującego. W dodatku czułam mdłości, nie wiem czemu. Mdłości tym bardziej natężały się im bliżej byliśmy celu. W koronie jednego z drzew pohukiwał puszczyk i ten głos wydał mi się zwiastunem... Nie wiem czego. Chyba choroby, niemocy, przymusu, śmierci. Potem, gdy dowiedziałam się, że głos puszczyka uważa się za złowróżbny, jakoś zracjonalizowałam swoje wspomnienie. Po prostu puszczyk tak brzmi złowieszczo, to taki dźwięk nieprzyjemny, jak inne pomyślałam. Ale nigdy więcej nie miałam takich skojarzeń, choć wielokrotnie słyszałam głos puszczyka. Mieszkam przy starym cmentarzu, więc trudno byłoby go od czasu do czasu nie posłuchać. Teraz nie brzmi złowieszczo, raczej intrygująco.

Inne miejsce niemocy, stale obserwowane, to tzw. stary bazarek w Warszawie na rogu ulicy Wałbrzyskiej. Czasami chodzę tam latem, bo w tej części bazarku sprzedawane są zazwyczaj świeże i ładne owoce i warzywa. Jest tam coś takiego, że gdy wejdę, zaraz zaczyna mi być słabo i moje serce zaczyna nierówno bić. Potwierdzają to także inne znajome osoby. Dotyczy to nie tylko samego

bazarku: ścieśniono go bardzo, a wokół wyrosły wysokie apartamentowce. W jednym z nich znajduje się sklep z materiałami instalacyjnymi i za sprawą niezbornego hydraulika w ciągu tygodnia łazienkowych przeróbek kilkakrotnie musiałam tam udawać się po coraz nowe rzeczy, które akurat mu się przypomniały. Szło się do tego sklepu wzdłuż ogrodzenia bazarku i tak mniej więcej w jego połowie dopadały mnie wspomniane dolegliwości. Za każdym razem, gdy tamtędy przechodziłam.

Mam jednak świadomość, że przyczyny mogą być całkiem prozaiczne, choć dla mnie niezrozumiałe. Wielokrotnie jeżdżąc z mężem samochodem na działkę w burzliwą pogodę odczuwałam podobne sensacje w czasie, gdy widoczne były wały chmur na przemian z czystym niebem. Takie sensacje następowały wraz z wjechaniem i wyjechaniem spod wału chmur. Podobno było to związane ze zmianami ciśnienia. Jednak przebywając w jednym miejscu, gdy chmury takie przepływały nade mną, nie odczuwałam niczego aż tak silnie. Być może zmiana była mniej nagła, a siedząc w samochodzie jako pasażer, nie zmienia się pozycji i ma się nic do roboty, więc sensacje trudno przegapić.

Co jednak tkwi (bo nie przepływa) pod powierzchnią bazarku? Zawsze, niezależnie od pogody, samopoczucia, osób?

Oprócz miejsc mocy i niemocy są chyba jeszcze miejsca inspiracji. Jest takie jedno zabałaganione podwórze przy starym gospodarstwie i nowo budującym się domu znajomych na obrzeżu Puszczy Kampinoskiej. Nie mam pojęcia czemu, ale czuję się tam jakbym za chwilę miała dokonać jakiegoś wynalazku albo wymyślić teorię na miarę Einsteina. Może przez ten chaos rozmaitych rzeczy, przeznaczonych do rozmaitych celów, wyniesionych z gospodarczych zabudowań lub ściągniętych skąd inąd? Taki śmietnik przedmiotów, które mogą się kiedyś przydać (przydasiów), który gromadzi większość leciwych osób.

Tak tam wygląda otoczenie z perspektywy pól:

Może to te skrzaty działają?

Albo siła nowego życia?

Lub tunel w czasoprzestrzeni wiodący od chaosu życia do jasności?

Nie mam pojęcia. Nie ciągnie mnie do oglądania poszczególnych przedmiotów, zastanawiania się nad ich przydatnością czy przeznaczeniem. One działają na mnie jako całość, układ. Czasem tylko wzrok wyciągnie jakąś rzecz z ich masy i przez chwilę zatrzyma się na niej, umysł popłynie w nieprzewidywalną stronę, coś w nim zakłębi się — i na przykład powstanie kawałek prozy, która może stać się zaczynem tekstu, zostać przylepiona do innego albo pozostanie samoistnym wykwitem bez przyszłości i zastosowania.

95. Rewolucja na tratwie

W Paryżu jeszcze jeden obraz zwrócił moją uwagę. Przedstawia on tratwę z rozbitkami docierającą do brzegu wówczas, gdy większość z nich jest już martwa, lub bliska śmierci. Upamiętniać ma on katastrofę francuskiego statku La Méduse, a autorem jego jest Théodore Géricault. Łodzie z kapitanem i załogą odpłynęły, a tratwa z niektórymi pasażerami statku dryfowała kilka tygodni. Uratowało się z nich kilkanaście osób.

Obraz został namalowany w 1819 roku, a jego zarys w postaci płaskorzeźby powtórzony na nagrobku malarza na cmentarzu Pére Lachaise: www.cro.pl/paryz-raz-jeszcze-t28122-300.html

Cały dzień dreptania po ogromnym Luwrze, którego i tak w całości nie dało się zobaczyć, aby jak najlepiej wykorzystać drogi, ważny cały dzień bilet — powodował takie zmęczenie, że wszystko w oczach dwoiło się i troiło. Nie nastawiałam się na zapamiętanie obrazów i zanotowanie informacji (choć to było i tak dość trudne, bowiem nie znam francuskiego i na dobrą sprawę rozpoznawałam

tylko nazwiska bardziej znanych twórców). W zamian robiłam zdjęcia obrazów, a po powrocie do Polski wyszukiwałam na ich podstawie reprodukcje i informacje w internecie.

Dziś trudno mi odpowiedzieć, dlaczego najlepiej zapamiętałam kilka dzieł wcale nie najbardziej znanych malarzy i dlaczego one wówczas zwróciły moją uwagę.

Luwr jest w znacznej mierze Jowiszowy. Cechuje go nadmiar tak wielki, że człowiek głupieje jak w czasie PRL w zachodnioniemieckim sklepie z wędlinami. Nie wiadomo na co patrzeć; choć wie się, że każda rzecz jest zupełnie inna, to mózg nie nawykł do rozróżniania tylu przedmiotów z jednej kategorii. Ucieczką od tego jest odwracanie wzroku na przykład na ulicę za oknami, ale mimo tego i tak umysł tworzy niejednorodną zbitkę, jak źle rozmieszane ciasto.

Elementem, który zwraca przede wszystkim uwagę na tym obrazie jest powiewający nad tratwą żagiel. Dostępne w internecie reprodukcje nie oddają wszystkich szczegółów ani prawdziwej kolorystyki obrazu, więc takiej zbitce uległ on w moim odbiorze z kilka obrazów z wcześniej oglądaną „Wolnością wiodącą lud na barykady” (nie znam prawdziwego tytułu ani autora obrazu).

Podarty żagiel i powiewający sztandar nad stosem umarłych w obu wypadkach oddaje entuzjazm niewielu pozostałych żywych: na widok statku i na myśl o zwycięstwie. Podobne są trójkątne kompozycje obrazów i podobny, trzypiętrowy schemat fabularny. Centralna postać w euforii (plus flaga i żagiel) to trzecie piętro, klęcząca postać błagająca o litość w „Wolności" i klęcząca za centralną postacią w „Tratwie" – także błagalna – to drugie piętro i pokotem leżący zmarli oraz na wpół żywi w malowniczych pozach – to pierwsze piętro. Za nimi skupione, prawie zlewające się postaci pod żaglem i pod sztandarem. Pod nimi jeszcze jest „piwnica" – to ciała tych, których głowy znajdują się poniżej korpusu w „Wolności", czy spadają z tratwy w morze głowami w dół.

W katastrofie Meduzy dryfujący na tratwie rozbitkowie podobno zjadali ciała zmarłych towarzyszy (czego malarz nie uwiecznił mimo ponoć dogłębnych studiów w prosektorium – ciała nie noszą śladów uszkodzeń), nie widać jednak by śmierć towarzyszy specjalnie ich obchodziła, a otumanieni walką rewolucjoniści nie przejmują się śmiercią towarzyszy, a może i wrogów, w pogoni za mrzonką na horyzoncie. I tu i tam nie jest ona zresztą widoczna dla oglądających obrazy.

Dziś czytamy i słyszymy o tragicznych losach uciekinierów z Afryki, z krajów ogarniętych wojną, których tratwy tonęły nie zdoławszy dopłynąć do brzegu, albo były zawracane przez Włochów z powrotem na morze.

Wydawałoby się, że taki obraz mógłby powstać i dzisiaj. Ale nie, wystarczy trochę tylko przyjrzeć się, żeby zobaczyć jak bardzo upozowane są postaci zmarłych. W „Wolności" dwa ciała z najbliższego planu przystają sylwetkami jak obie Ameryki z Afryką — kiedyś były razem ale oddzieliły się. Ciemna postać z prawej w mundurze, jasna postać z lewej odarta z ubrania. Ci po prawej zapewne wrogowie, ci po lewej, żywi i martwi — zwycięzcy.

Rzeczywista śmierć na morzu wygląda inaczej. Zapewne w rewolucji — sądząc po zdjęciach z Syrii — także.

O włos minęła mnie na morzu. W latach siedemdziesiątych za zasługi na polu zawodowym wraz z osiemdziesięciu innymi osobami otrzymałam nagrodę w postaci dwutygodniowego rejsu statkiem po Morzu Czarnym. Jak wszystko w tamtych latach było siermiężne tak i rejs wykupiono na starym statku, który jeszcze w latach przed II wojną Światową pływał po Dunaju, a w ZSRR awansował do roli morskiego statku turystycznego dla turystów z demoludów. No i stało się to co stać się musiało. Po kilku dniach pięknej pogody i straszliwych oparzeń pań, które nie miały pojęcia o tym, że opalać się należało najpóźniej do godziny ósmej rano przyszedł gwałtowny sztorm. Wszyscy chorowali, także załoga. Z naszej wycieczki wolne od choroby morskiej byłyśmy jedynie dwie ze starszą już koleżanką, a z załogi oprócz kapitana i lekarza chyba niewielu. Wiem, bo pod dyktando lekarza obie zajmowałyśmy się chorymi i rannymi. Było kilka złamań, jeden zawał serca (mężczyzna zmarł potem na granicy polsko-rosyjskiej), wiele potłuczeń, rzyganie i biegunki. Przez nieszczelne bulaje wlewała się woda, wybijało też sanitariaty, tak że w kabinach woda była do pasa i najniższe prycze były zalane. Trzeba było nieustannie sprawdzać, czy ktoś nie spadł z koi i taszczyć na wyższe miejsca, żeby się nie utopił. Brodziło się nieustannie w gównie i rzygowinach, między połamanymi sprzętami, szkłem i pływającymi szczątkami bagażu.

Otaczały nas statki marynarki wojennej, chyba kilka. Kapitan rozmawiał z nimi przez radio, głośno, żeby przekrzyczeć ryk morza i słyszałyśmy tylko, że „u nas oczeń płocho", a od nich, że nie mogą podpłynąć bliżej.

Wszystko to trwało trzy dni zanim udało nam się w przechyle dopłynąć do portu w Odessie. Część z nas odwieziono do szpitala, reszcie wynajęto jakiś apartament z jedną wanną na pozłacanych łapach (ale bez toalety) i dwoma kozetkami. Położyliśmy się więc na podłodze i spaliśmy do wieczora, gdy odwieziono nas na dworzec, zdrowych, rannych i zawałowca, któremu leki musieliśmy kupić za własne pieniądze w aptece, bo szpital miał tylko aspirynę i wsadzono do pociągu do Polski, brudnych śmierdzących i bez bagażu.

Opisuję te szczegóły żeby wykazać, że scena przedstawiona na tratwie jest nieprawdziwa. Ludzie nie tak umierają i nie tak chorują na morzu. Nikt nie rozkłada się w dramatycznych pozach, każdy kuli się i stara się zajmować jak najmniej miejsca. Jest bezwładny, owszem, otępiały i bez energii. Jest zmarznięty, nawet w ciepłym klimacie. Jak może stara się izolować od wpływów zewnętrznych. Nie robi dramatycznych gestów, nie krzyczy i zapewne nie macha chusteczkami. Nawet gdyby zobaczył statek po tylu dniach nie miałby zapewne siły na malownicze pozy. No, może jeden by się na to zdobył, ale nie pięciu, jak na obrazie. Wyciąganie rąk pochłania energię, a gdy się nie je, nie pije i nie śpi, dramatycznie jej brakuje. Żyje się w półśnie, nawet zdrowi, a cóż dopiero ranni i chorzy.

To, co w obrazach jest mrzonką, której nie widać, a którą można sobie jedynie wyobrazić, w rzeczywistym życiu uzyskuję rangę symbolu wartego, by oddać zań życie. I na tym polega kłamstwo sztuki.

To jest jej destrukcyjna rola. Skłania szaleńców do udawania się na morze (choć oczywiście bohaterowie obrazu „Tratwa" działali pod przymusem) i rewolucjonistów do walki o zwycięstwo. Potem, gdy wydarzenia już trwają, nie myśli się o innych. Samemu stara się przeżyć. Niestety, prawdziwa śmierć nie jest tak widowiskowa, artystycznie upozowana, obliczona zgodnie z zasadami kompozycji. W jakimś momencie człowiek się godzi z nią i pragnie tylko jak najprędzej zasnąć i przestać cierpieć.

Pozostaje pytanie: Czy nawet najszlachetniejsze mrzonki warte są tej ceny, jaką jest życie? W końcu mamy tylko jedno.

96. Pajęczyny i osty czyli historia pechowej nazwy

Kiedyś z koleżanką pisarką zamierzałyśmy otworzyć stronę internetową. Zdania co do nazwy były podzielone na dwa, albo na jeszcze więcej, ponieważ do dyskusji włączyli się członkowie rodzin i sympatycy. W końcu stanęło na:

Witryna Kobiet Twórczych

Oraz wspierających je Mężczyzn

Pajęczyny, osty i laurowe liście

No i oczywiście strona nie powstała, ponieważ zbyt wielu było wspierających.

Pierwsza propozycja mojej koleżanki pisarki brzmiała: koniecznie „Laura”! Oczywiście od laurów literackich. I Laury i Filona. I powieści sentymentalnej. I jeszcze kilku skojarzeń. Niby, przynajmniej w świecie wirtualnym, obie miałyśmy zasłużyć na laury, choćby w skromnej postaci bobkowych liści.

Miałyśmy gotowy manifest:

„Laura jest młodą, wiotką i śliczną dziewczyną. Idąc tańczy, ponieważ przed nią mnóstwo najpiękniejszych dni...

Możliwe jednak, że Laura jest starą, zmęczoną gospodynią domową z wargami zaciśniętymi w taki sposób, że ci, którzy przypadkowo zatrzymają na niej wzrok pomyślą sobie: ale to wredne i złośliwe babsko...

Niekiedy można dojść do wniosku, że Laura jest elegancką bizneswoman o wymiarach 178/88/56/92 w kostiumie rozmiar 38 kolor 372, butach na szpilce 36 i uśmiechu numer 16 wersja B, popołudniowa, dla pierwszej dekady miesiąca...

Laura może być też męczennicą przywiązaną do drzewa wśród burzy, piorunów i smug deszczu wplatających się w jej włosy pośród ruin gotyckiej twierdzy...

Także nie wykluczone, że Laura jest młodym człowiekiem, wrażliwym i mądrym, który każdego ranka zastanawia się po co pojawił się właśnie tu i teraz i dlaczego jego życie tak bardzo boli...

Wszystkie te wersje Laury łączy jedno: kiedyś zostanie zwieńczona czymś, co nazywamy wawrzynem, laurem, liściem bobkowym. Na pewno. Kiedyś.”

Syn koleżanki nawet przygotował projekt strony startowej:

Wówczas ja zaczęłam wybrzydzać. Rzeczona Laura wydawała mi się paskudna, niepotrzebnie brzydko naga, pokrwawiona czy posiniaczona, a jej rozwiany włos bynajmniej nie romantyczny. Miała też nieproporcjonalnie długie nogi, a ja z koleżanką należymy do tych, których wzrost obecnie zalicza się do „niskich", choć kiedyś byłyśmy „średnie" (nie, nie skurczyłyśmy się, tylko normy wyśrubowano) i z zasady nie trawiłyśmy długonogich blondynek. Dla mnie Laura powinna być lekka, zwiewna, subtelna (choć ja do takich się nie zaliczam) i taką narysowałam w proteście przeciwko uciemiężonym, ale z lekka zeszmaconym dziewicom. Moja Laura wyglądała tak:

Z kolei tamta strona prychała z niezadowoleniem, a zwłaszcza wspierający nas mężczyźni. Gotowa byłam odstąpić od swojego wizerunku Laury i wówczas wspierający nas mężczyźni wpadli na pomysł, żeby witrynę nazwać „Laura i Filon".

Powstał nawet nowy projekt strony startowej „Laura&Filon". Wyglądał on tak, że pod nazwą widnieją dwie miniatury z dziewczęcymi buziami w środku, a pomiędzy nimi gęsie pióro. No i znowu ja zaczęłam wybrzydzać. Po pierwsze znak & między Laurą a Filonem. Sugerował spółkę prawa handlowego albo czegoś w rodzaju kancelarii adwokackiej Laura&Partner(rzy). Po drugie miniatury były stylowe jeśli chodzi o oprawę, a nie jeśli chodzi o zawartość. Zawartością były portreciki dziewczyny o bynajmniej nie subtelnych rysach i chłopaka o rysach bardzo subtelnych, ale okularnika. Nie załączam tego projektu, bowiem podejrzewam, że za wzór posłużyły konkretne, w dodatku niezbyt urodziwe albo niefotogeniczne osoby. Zarówno Laura jak i Filon (o ile w ogóle był potrzebny) moim zdaniem powinny stanowić subtelne odwołanie do kobiecości/męskości, odległe od seksualnej atrakcyjności postaci.

W końcu osoby wspierające znudziły się naszym wybrzydzaniem i zmyły się pozostawiając po sobie ładnie brzmiące deklaracje na czas „jeżeli już będziecie wiedziały czego chcecie”,

Niestety, my od początku wiedziałyśmy czego chcemy, ale nie mogłyśmy pozbyć się osób wspierających (przynajmniej tego zestawu), bowiem obie miałyśmy żadne pojęcie o zakładaniu stron i ich programowaniu.

Po jakimś czasie ja wyszłam z innej strony. Zafascynowana fotografiami przyrody mojego długoletniego kolegi Jurka Płaczka uzyskawszy jego zgodę na dowolne czerpanie obiema garściami z jego dorobku, wybrałam fotografię łąki, którą umieściłam na swoim pulpicie:

Potem były inne zdjęcia, zwłaszcza cudownych pajęczyn, co spowodowało, że przyszła mi na myśl nazwa „Pajęczyny i osty” z takim uzasadnieniem:

„– Jesteśmy pajęczynami – bo łączymy siecią i wspieramy dzięki temu pobliskie źdźbła. Czasami tylko wpadnie nam myśl, że nasze działania, to instynkt pająków…

– Jesteśmy też ostami, bo w gąszczu zdarzeń zdaje się nam, że tylko nasze ostre wypustki mogą ocalić nas i naszych bliskich od zniszczenia.

– Jesteśmy wreszcie prozaicznym listkiem bobkowym z kuchni, któremu rzadko tylko przychodzi na myśl, że może być częścią laurowego wieńca zwycięzców, skoro w języku polskim „bobek" kojarzy się z czymś niemiłym i niewielkim, bez znaczenia."

Chcąc być w zgodzie ze wszystkimi dodałam do nazwy jeszcze „laury", po czym osoby wspierające uznały, że nazwa jest do kitu i przestały nas wspierać, co i tak nie zmieniło postaci rzeczy. Z grupy piszących przyjaciół jedna poetka zmarła, a reszta przestała być zainteresowana.

Postanowiłam więc założyć własną stronę i zarejestrowałam domenę, już o prostej nazwie, nie związanej z żadnymi pajęczynami, ostami i innymi przyrodniczymi odchyłkami, ale na tym się skończyło.

Zamiast pożegnać się z wizją pajęczyn, ostów i liści bobkowych zmieniłam wstępne expose na:

„— Pajęczyny wiążą nas ze sobą, osty ostrzegają przed nadmiernym zbliżeniem. W jesiennej scenerii są podsumowaniem, nie zawsze chcianym, ale realnym. Zatrzymują nas w biegu, gdy sięgamy po laur, każą nam się jeszcze raz zastanowić dokąd zmierzamy. Ale czas ucieka, nie możemy zatrzymywać się zbyt długo, trzeba ruszyć i mieć nadzieję, że nas inni zrozumieją, tym razem lepiej niż poprzednio" Co miała ilustrować inna fotografia mojego kolegi:

Tymczasem ktoś, kto miał stronę w najprostszy sposób „oprzyrządować” doszedł do wniosku, że po całym dniu pracy ma komputera wyżej uszu i tak już zostało.

Już podobno Julian Tuwim wyraził pogląd, że kobieta pisząca popełnia dwie zbrodnie: zwiększa liczbę książek i zmniejsza liczbę kobiet. Erna Rosenstein napisała taki wiersz:

Nie mogę zmieścić się w sobie
Ciasno
Wnet pęknie mi głowa
Tłukę się w klatce piersiowej
Nogi mam bardzo ciężkie
Ręce też nie są moje
Wyjdę przez usta

Co, jak widać jest świadectwem, że mania pisania i publikowania odbiega od normy zdrowotnej, nie brzmi zbyt optymistycznie, a nawet wskazuje na pożądaną wizytę u właściwego terapeuty. Zwłaszcza, gdy czyta się aforyzm Stanisława Jerzego Leca: „Chciałem powiedzieć światu tylko jedno słowo. Ponieważ nie potrafiłem tego, stałem się pisarzem” pozbawiony wątpliwości, ale nie pozbawiony autokreacji.

Zapewne to nazwa pogrzebała całą sprawę. Musiała nieść w sobie ładunek destrukcji i nie było już sposobu, żeby pomysł zaowocował.

Fotel laureatów więc pozostanie wolny.

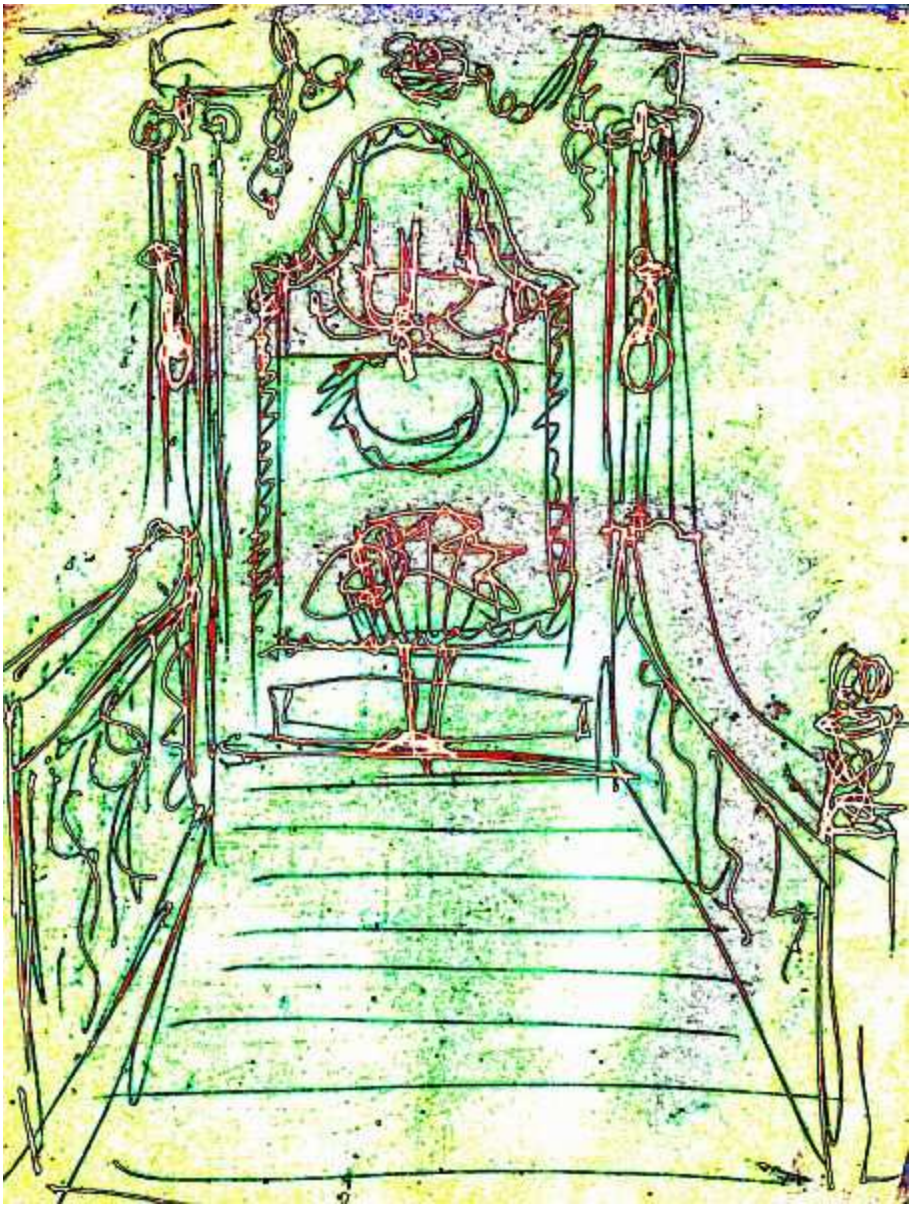

97. Holandia z okien samochodu i głowy własnej

W dwudziestoleciu międzywojennym grupa naukowców, historyków i bibliofilów krakowskich wydało parodystyczny numer *Przewodnika Bibliograficznego,* słynny Nr 13, zawierający bibliografię nieistniejących dzieł istniejących pisarzy. Jedno z takich „dzieł" opatrzono tytułem: „Rosja sowiecka z okien wagonu i głowy własnej". Ten przedśmiewczy tytuł miał obrazować niewielką orientację autora, któremu pozycję przypisano w sprawach dotyczących państwa bolszewickiego i szerzej, w sprawach, o których pisze.

Przeczytać można o tym tu:

http://www.zwoje-scrolls.com/zwoje17/text22p.htm

Nawiązując do tego nieistniejącego dzieła chciałam podzielić się kilkoma spostrzeżeniami z pobytu na holenderskiej wsi, bynajmniej nie pretendując do znawstwa tematu.

Holandię udało mi się zobaczyć z okien tira, do którego na postojach dla babci przystawiano stołeczek, żeby mogła się wygramolić. Jednak taka podróż trwająca blisko dwie doby w każdą stronę zbyt była męcząca, żeby ją powtórzyć i oczywiście ją odchorowałam lecząc tydzień opuchnięte nogi. Pojechałam jeszcze tam dwa razy, już samochodem osobowym, jednak wypraw tych chyba nie powtórzę. Mimo wszystko było warto. Spędziłam kilka miłych dni u mojej koleżanki, zobaczyłam kraj w rozmiarach stworzonych dla ludzi, miałam szczęście trafić na imprezę folklorystyczną w jej wsi/miasteczku Weerselo, zobaczyć rzemieślników ubranych w historyczne stroje, wykonujących swój zawód na oczach widzów.

Miałam okazję przekonać się jak zupełnie inna jest mentalność Holendrów i coś, czego w Polsce nie widać: szacunek dla trwania. Przedmioty, sprzęty a nawet kupki kamieni (kamienie są tam rzadkością i kupuje się je w sklepach ogrodniczych po to, by trawnik przed domem ozdobić ich kopczykiem) są czymś, czego nikt nie lekceważy. Na jarmarku dzieci sprzedawały swoje zabawki, a także kamienie – była cała uliczka tych dziecinnych straganów. Stare sprzęty są z pietyzmem naprawiane, dumnie eksponowane w salonach. Sklepy ze starymi rzeczami: ciężkimi meblami z jednolitego drewna, ceramiką, tkaninami cieszą oko nie chciałoby się z nich wychodzić. Przy czym nie są to rzeczy „martwe", *durnostojki,* ale stale używane wrosłe w krajobrazy kuchni

Wszystko w Holandii (dużych miast nie widziałam) jest na miarę człowieka: nawet znaki drogowe są niższe, tarcze większe, a obrazki na nich wyraźniejsze. Jezdnie i ulice celowo są zwężane, żeby nikt nie rozwijał nadmiernej szybkości. Samochody stoją najwyżej pod wiatami obok domów, nikt ich na noc nie chowa w garażach. Cała przestrzeń wokół domów jest przyjazna, miła dla oka i stateczna. U mojej koleżanki i w wielu innych posesjach są tylko śladowe ogrodzenia. Nikt nie otwiera najeżonych kolcami bram, po prostu ich nie ma. Kwiaty, rośliny, donice i żywopłoty ograniczają umowną przestrzeń posiadania.

Jarmark, na którym byłam, jest w równej mierze targiem jak i imprezą folklorystyczną. Sprzedający, ubrani w stare stroje prezentowali swój kunszt, a zwiedzający i kupujący, zupełnie inaczej niż w Polsce, byli zainteresowani ich pracą. Ludzie rozmawiali ze sobą, wypytywali, próbowali nauczyć się jakichś czynności. Miejscowi staruszkowie i niepełnosprawni jeździli po terenie na wózkach bardziej przypominających nasze skutery niż wózki inwalidzkie. Za zupełnie śmieszną opłatę roczną dostają je w użytkowanie od gminy i dzięki temu nie są na starość przywiązani do jednego miejsca.

Poniżej kilka zdjęć z tego jarmarku.

PLEGT-VOS

Fischbrötch

W następnym roku koleżanka była na podobnej imprezie, tylko o charakterze historycznym (Optocht Historischse), upamiętniającym pobyt Napoleona w mieście Saasveld w regionie Overijssel i przysłała mi cały zestaw fotografii. Impreza miała charakter wystawnej parady i naprawdę szkoda, że tych zdjęć jest zbyt dużo, żeby je zaprezentować. Te stroje z pietyzmem przechowywane przez pokolenia, stare sprzęty domowe, rowery, wózki dziecięce, narzędzia do wykonywania rzemiosł, nawet stare zbiorniki na naftę, którymi przywożono ją ze składów.

Tak, wiem, tam wojna i okupacja nie przeorała tak kraju i nie przetrzebiła zasobu pamiątek, ale przecież wydawałoby się, że powinno być na odwrót. Im dobro rzadsze, tym powinno być cenniejsze, a w Polsce nie jest (nie mam na myśli kolekcjonerów). Opowiadano mi o bardzo bogatym właścicielu rozległego centrum ogrodniczego (nasze są przy nim jak żuczek przy słoniu), który mieszka w domku swoich dziadków, ma ich meble, szafy, stoły, a w kuchni kredens ze stale otwierającymi się drzwiczkami. Nie przyszło mu do głowy, żeby budować sobie jakąś rezydencję.

Inny mój kolega, mieszkający na stałe w Norwegii przysyła mi fotografie z imprez folklorystycznych odbywających się w kościołach, a nawet supermarketach, których tradycje sięgają Średniowiecza! Te przedstawienia (bo inaczej trudno je nazwać) angażują wiele młodych i starszych osób, a ich wymowa dość luźno związana jest z ceremoniami ściśle religijnymi, zupełnie odmiennie niż polska parada Trzech Króli, której wystrój nie jest związany z żadnymi konkretnie istniejącymi przedmiotami zabytkowymi, za to wymowa ściśle związana z wiarą.

Parada Trzech Króli to dobry początek wskrzeszania rozmaitych masowych imprez o charakterze odmiennym niż sportowe czy polityczne, w których celujemy.

W latach pięćdziesiątych w Polsce utrwalił się pewien charakter takich imprez, który pokutuje do dziś. Pierwszomajowe pochody główną ulicą miasta z nagłośnieniem czynnym dwa tygodnie przed i dwa tygodnie po, wiece typu: „Ręce precz (od Kuby, Wietnamu, Konga itp)” albo „Nigdy więcej (zazwyczaj wojny)”, Festiwal młodzieży, wiece (ludu pracującego miast i wsi), mecze, tańce na deskach nad Wisłą itp. Ich kontynuacją jest Euro 2012, sylwestry miejskie i dzielnicowe, koncerty na stadionach. Zniknęła lub zmieniła się otoczka ideologiczna, ale charakter imprez został. Gdzieniegdzie, nieśmiało pojawiają się jakieś spotkania mieszkańców ulicy, imprezy lokalne na osiedlach, typu „M-3” na osiedlu Służew nad Dolinką, dokąd prowadziły napisy wymalowane na wszystkich chodnikach osiedla, a nikt na początku nie wiedział, o co chodzi; ale wszystko to jest wątłe i jednostkowe. Na wsiach nastawione na turystów i ograniczone do miejscowego folkloru. Tymczasem impreza w Weerselo, która jest wsią, robiła wrażenie przeznaczonej dla mieszkańców, którzy chcą utrwalić i pokazać swoje umiejętności. Bynajmniej nie kobiety wiodły tam prym – mężczyźni wydawali się równie zainteresowani prezentacją. A turyści niech się cieszą, jeśli uda się im na nią trafić. Byli mile widzianymi gośćmi, ale nie jedynymi adresatami.

98. Proroctwa i przepowiednie na następny rok

Wraz ze zbliżającym się końcem roku pojawiają się proroctwa na rok następny, a czasem i kilka lat. Zazwyczaj wygłaszają je nowo odkryte media, jasnowidzący albo telepaci, a czasem nawet zwyczajni ludzie pod wpływem hipnozy. Te proroctwa stanowią jakiś czas sensację, potem wszyscy o nich zapominają i nikt nie zabiera się za sprawdzenie. Z góry wiadomo, że jeśli się sprawdzi, to niewiele. Ja zauważyłam też, że czasami przepowiednie sprawdzają się, ale zazwyczaj nie są to te z końca roku, tylko pojedyncze, wygłoszone nie specjalnie ale przy jakiejś okazji i nie przez osoby, które uważają się za jasnowidzące.

Najlepiej widać to z dystansu, np przy okazji proroctw dla Europy i świata wygłoszonych w październiku 1924, a zamieszczonych w „Neues Wiener Journal" (podaję za Stołecznym Kurierem Wieczornym nr 12 z roku 1924) na lata 1925 — 30. Co wówczas prorokowano?

Niemcy rozpoczną ponowną wojnę z Francją w roku 1927 i wówczas nastąpi bardzo szczęśliwa dla Niemiec epoka. Polska zginie z mapy jeszcze wcześniej. Oba bieguny zaczną coraz bardziej pokrywać się lodem, co spowoduje przesunięcie się bieguna ciężkości Ziemi. Pojawią się niesłychane roje meteorytów, ich upadki na nieznaną dotychczas skalę oraz trzęsienia ziemi i inne kataklizmy, wskutek których Anglia i północne części Francji zapadną się w morze, (także ucierpi miasto Hamburg), a w pobliżu Wysp Azorskich wyłoni się nowy ląd (prawdopodobnie zaginiona niegdyś Atlantyda). Powstanie nowa religia, świat dostąpi bardzo szczęśliwej epoki pod przewodnictwem Indii, Niemców i Ameryki, które zapanują nad światem. W Afryce odkryta zostanie masa łącząca zalety aluminium i stali, która zastąpi metale; wynaleziona zostanie też siła, przy pomocy której człowiek będzie mógł przenosić ciężary jak zabawki. Ponieważ przepowiednie powstały w Niemczech i Austrii (które przy okazji miały się zjednoczyć) polska prasa potraktowała je z przymrużeniem oka.

Co z nich się sprawdziło? Może to, że w 12 lat później Niemcy rozpoczęły wojnę, ale przepowiednia była raczej pobożnym życzeniem niż rzeczywistą przepowiednią. Cała reszta do wyrzucenia. Nikt tego nie sprawdzał, nie istniały już nawet gazety, które te proroctwa zamieszczały, a ja trafiłam na nie przypadkiem. Niestety, jeżeli uznać, że przeciętne przewidywania powinny wynosić 50% trafień na 50% omyłek, to tutaj wystąpiło 100 % omyłek.

W listopadzie 2002 roku przepowiednie niejakiej Jessiki na rok 2003 publikowała polska prasa (ja podaję je za „Angorą"). Jessika (pseudonim) była pacjentką psycholog Heleny Rataj-Zubek pracującej jako psycholog kliniczny na Śląsku. Przeprowadzała ona seanse hipnotyczne i zaczęła interesować się niezwykłymi możliwościami mózgu, które powstają w stanie transu. Uznała ona, że do tych możliwości należy zaznaczyć również umiejętność przepowiadania przyszłości i zaczęła współpracować z Jessiką, najlepszym medium. Podobno na Śląsku jej przepowiednie zdobyły ogromny rozgłos i uznanie.

Co prorokowała Jessika? Śmierć Saddama Hussajna, dyktatora Iraku albo jego udawany pogrzeb (trumna bez ciała) oraz przygotowania do wojny w lecie 2003. W istocie zmarł w 2006 roku, choć władzę utracił wiosną 2003 roku, a o żadnym sfingowanym pogrzebie nikt nie informował. Jeśli już jesteśmy przy Iraku to Jessika prorokowała, że Busch zostanie zastopowany w swoich przygotowaniach do wojny w kwietniu 2003 roku. W istocie w kwietniu w wojnie Stany Zjednoczone

odnosiły sukcesy, a Hussajn zaczął się ukrywać. Na maj-czerwiec Jessika zapowiadała przygotowywanie do wojny z Irakiem. W rzeczywistości wojna rozpoczęła się 20 marca 2003 roku.

Tak więc generalnie rzecz biorąc w swoich przewidywaniach co do wojny w Iraku myliła się całkowicie.

Na lato 2003 roku Jessika przewidywała chorobę papieża. Nic o tym nie wiadomo. Miały także wystąpić liczne epidemie duru brzusznego i pomór bydła w Holandii. Niczego takiego nie udało mi się dowiedzieć, a w internecie przeczytałam, że taki pomór w Holandii wystąpił w XIX wieku. Epidemii tyfusu nie znalazłam.

W marcu w Moskwie miała wystąpić epidemia choroby odzwierzęcej spowodowanej przez terrorystów. Istotnie, w końcu roku 2002 pojawiła się epidemia SARS, ale nie w Moskwie, a w Hongkongu, a potem Chinach, zaś marcu 2003 roku WHO wydało ostrzeżenie o możliwości zachorowań na całym świecie. O terrorystach i ich udziale w tej epidemii nic nie wiadomo. Można to zaliczyć jako jedno częściowe trafienie Jessiki (ale w listopadzie o pierwszych zachorowaniach prawdopodobnie można było już przeczytać w prasie)

We Francji miało nastąpić porwanie autobusu z naukowcami jadącymi na konferencję, a wśród nich Polaka. O niczym takim nie udało mi się przeczytać, choć kronika porwań w tym roku internetowego wydania GW jest dość obfita. W wielu miejscach porywano ludzi ale nie z autobusów. W 2003 roku w Lyonie nastąpił tragiczny wypadek autobusu we Francji ale nie na serpentynie, nie przełamał się na pół i nie został porwany przez terrorystów.

Nie nastąpiły także inne zapowiadane kataklizmy jak pożar ogromnego budynku z czterema obracającymi się kulami na dachu w Nowym Jorku, ojciec Rydzyk nie uciekł za granicę, Miller nie miał kłopotów z bankiem i Pałacem Kultury. Powodzie i pożary jakieś były, jak zawsze. Czy w mieście na literę P czy gdzieś indziej, kto to pamięta! Jedyne co się sprawdziło, to że w referendum unijnym Polacy opowiedzieli się za przystąpieniem, a premier Kaczyński jak zwykle dużo obiecywał a nic nie zrobił – co i bez jasnowidzącej było do przewidzenia. W sumie na blisko trzydzieści przewidywań zapisałam że dokładnie sprawdziło się jedno (ustąpił minister zdrowia) a jedno było zbliżone – wspomniana epidemia SARS. To bardzo niewiele jak na tak reklamowane medium.

Nie oznacza to, że wszelkie tego typu przewidywania są bzdurą. Zdarzają się trafne, ale, co ciekawsze, nie wygłaszają ich uznane media, a całkiem zwyczajne osoby, takie od jednego „przeczucia". Na przykład wiele osób twierdziło, że miało wizje związane z atakiem na World Trade Center (między innymi i ja). Musiały to być jednak wydarzenia ważne dla osoby zainteresowanej lub wstrząsające dla większej liczby osób – nie jakieś tam pożary domu w mieście na literę P.

Podobno przeprowadzono kiedyś badania statystyczne ilości pasażerów w samolotach które uległy katastrofom lotniczym i w innych rejsach na tych samych trasach i w tych samych porach. Okazało się w rejsach zakończonych katastrofą brało udział mniej osób niż zwykle. Wskazuje to na możliwość instynktownej niechęci do podróży feralnym rejsem, na tyle silną, że ludzie decydowali się na anulowanie rezerwacji.

Coś w tym jest. Kilka kat temu w „Polityce" przeczytałam artykuł, który zrobił na mnie ogromne wrażenie. Nawet go zeskanowałam, ale nie mogłam teraz odnaleźć. Autor artykułu analizując utwory literackie opublikowane w 1939 roku stawia tezę, że znani pisarze i poeci przeczuwali nadciągającą II

wojnę światową i dawali temu wyraz w swojej twórczości. Artykuł zawierał cytaty, które nie obrazowały jakichś ogólnikowych „przeczuć", a wręcz prorokowały konkretne sytuacje i wydarzenia. Było to tak frapujące spostrzeżenie, że zmuszało do zastanowienia.

Pisarze i poeci mają znacznie lepiej niż media w rodzaju Jessiki. Nie stoją pod presją konieczności ułożenia listy jakichś wydarzeń i nikt ich z tego nie będzie rozliczał. Mogą w zasadzie napisać wszystko, co im przyjdzie do głowy. Nie muszą troszczyć się o realia i szczegóły, ba, nie muszą rozumieć swoich wizji. Wiedzą jedynie, że były one na tyle silne, iż postanowili je zapisać i literacko wykorzystać. Nie muszą także osobiście tych wizji zobaczyć – mogą posłużyć się wizjami innych osób. A prawdą jest, że w obliczu zbliżających się poważnych katastrof wielu ludzi doznaje instynktownego przeczucia, że zbliża się coś niedobrego – choć nawet nie próbuje tego zrozumieć. Po prostu czuje, że coś jest nie tak.

Oglądałam kiedyś film o Nostradamusie. W filmie jest jedna scena obrazująca istotę tego, czym mogą być przeczucia. Nostradamus jedzie gdzieś karetą i nagle widzi za oknami wybuchy pocisków, a drzwi karety czepia się żołnierz w mundurze z II wojny światowej i masce przeciwgazowej. W tle miga przemawiający Hitler, samoloty i czołgi, jakieś sceny wojenne. Tego obrazu, a zwłaszcza technicznych środków bojowych nie jest w stanie w pełni zrozumieć człowiek jego czasów, dlatego tworzy sobie jakieś dziwaczne wyjaśnienia widzianych scen.

Także i my nie jesteśmy w stanie zrozumieć tego, co nasuwa nam się przed oczy w czasie spontanicznych wizji czy snów. Dopiero – jeśli i gdy się po jakimś czasie da dopasować zapamiętaną wizję do realnych wydarzeń, coś niecoś rozumiemy, przy czym zazwyczaj udaje nam się skupić i dopasować całą wizję w jednym punkcie – realnego wydarzenia – odcinając rzeczy niezrozumiałe lub sprzeczne z nim (w naszym mniemaniu). Ograniczamy wtedy ją do tego, co naszym zdaniem prawdziwość tej wizji potwierdza, amputując „niepotrzebną" resztę, choć właśnie w niej może kryć się głębszy sens przewidywanych wydarzeń.

Tego rodzaju amputacji wymaga się od kogoś w rodzaju Jessiki i to jest zasadniczą przyczyną jej klęsk.

99. Lodowe duchy

Mój ciężko pracujący kolega napisał mi, że wstaje o 3-4 rano a dalej czeka go ciężka praca do późna. Prosi o to, bym napisała czasami jakieś osobne zdanie dla tych co czytają blog czarnym rankiem. Twierdzi, że są to inni ludzie i że jest wtedy najbardziej wyostrzony, a czasami ma swoje satori i wydaje mu się, że wszystko rozumie i wszystko jest takie proste, jasne, że widzi prawdę absolutną. Później coraz bardziej wszystko się przymula. Swój mail zatytułował „lodowe duchy" i załączył doń fotografie zlodowaciałego śniegu na cienkich gałązkach drzew. Niektóre z kawałków tego lodu w dużym zbliżeniu istotnie przypominają jakieś potwory albo dziwaczne zwierzęta.

W niektóre dni zimy, zwłaszcza rankiem, dzieje się tak, że świat dookoła przestaje być światem znanym i zrozumiałym, a staje się czymś nieodgadnionym i symbolicznym. Nie ma to związku z urokiem przyrody w zimowej szacie, świeżością powietrza i szokiem zmiany temperatury po wyjściu z ciepłego mieszkania, choć te czynniki mogą pogłębić takie wrażenie. Wydaje się, że przyczyna tkwi w samym człowieku. Nasze myślenie podlega ograniczeniom, zwłaszcza wówczas, gdy mamy przed sobą jakieś zadanie i musimy się dostosować do czekających nas obowiązków. Ta chwila dla lekko zszokowanego umysłu – zanim przystąpimy do działania – traktowana jest przez nas jako coś własnego, osobistego i prywatnego, aż tak bardzo uporczywie i zajadle, że wszystko w nas przyspiesza wyrywając się do tego olśnienia, na które oczekujemy przewidując, że już za chwilę nic nie będzie takie samo.

W takim stanie widok czegokolwiek albo jakakolwiek myśl wydaje się niesłychanie ważna, istotna i znacząca. Lodowe duchy w warstwie wizualnej komuś, kto widzi więcej i inaczej; dźwięki stłumione opadającą szadzią komuś, kto słyszy lub tworzy muzykę Kosmosu i Sfer; frazy słów, których brzmienie nie osłania sensu, a przeciwnie, uwypukla go stanowiąc odkrycie na miarę świata — nie są tylko złudzeniem.

To nasza przyziemna konieczność zmuszająca nas do nudnej pracy i porannego wstawania, pajęcza sieć zależności wymuszająca wyłuskiwanie z osi czasu chociaż drobnego momentu dla siebie, niweczy sens tych chwil. Zupełnie niepotrzebnie. One mają w sobie coś z transu, w którym świat przemawia do nas, a my zamiast go słuchać tchórzliwie uciekamy w codziennie odgrywane role. Przecież żaden szaman nie spieszył się do podpisywania listy obecności albo podbijania karty zegarowej. Gdyby to robił – utraciłby swoje zdolności.

Wiem, o czym piszę. Teraz nie potrzebuję wstawać rano, ale wiele lat tak wstawałam i wychodząc po ciemku z bramy swojego bloku ulegałam rozdwojeniu. Jedna część mnie szykowała się do roli niewolnicy, druga z każdą chwilą wyrażała bunt, niestety, bezprzedmiotowy. Gdybym się tylko postarała, odrzuciła skrupuły mogłabym wsiąść na miotłę i polecieć. Ale nie przyszło mi to nigdy do głowy.

Teraz czasem też podobnie odczuwam, ale za sprawą bólu. Ból poruszania się rozdwaja mnie — jedna ja jest kuśtykającą staruszką, druga ja zrywa się do lotu szybuje z ptakami i kracze z wronami na zaśnieżonym trawniku, wynajdując nowy, wspólny z nimi język.

I tu jest to przesłanie do wstających rankiem. Musicie zapamiętywać te swoje olśnienia! Nie wiadomo kiedy i do czego, ale jestem pewna – przydadzą się. One i tak nie przepadają w przestrzeni waszych umysłów, ale lepiej je utrwalić – tak jak zrobił to mój kolega fotografując lodowe duchy. Kto wie, w co się mogą kiedyś obrócić!

100. Eksperymenty zdrowotne

Miałam nieprzyjemność odbyć ostatnio wizytę u lekarza specjalisty w ogromnej przychodni w Warszawie. Przychodnia ta jest skomputeryzowana, co poznaje się po tym, że komputer wyznacza absurdalne godziny wizyt u lekarzy. Ja na przykład miałam wyznaczoną godzinę 9 min. 28, pewien Pan po mnie 9 min 31, a jeszcze kolejna Pani dopiero 11 min 04. Ponieważ w przychodni tej leczy się wiele starszych osób nie mających pojęcia o działaniu systemów komputerowych, takie wydruki są pretekstem do stanowczych oświadczeń, typu „teraz ja wchodzę, bo ja najdłużej stoję", albo jeszcze bardziej wyrafinowanych dyskusji wywołanych próbą ustalenia godziny wyznaczonej na „numerku" w rodzaju: „Co mam może jeszcze dowód osobisty okazać?"

System ten wymyślono zapewne po to, żeby ucywilizować kolejki do lekarzy i ułatwić chorym bezstresową wizytę. Nic z tego, w Polsce wszystko szybko staje się swoją karykaturą.

W przychodni tej zamiast stać około półtorej godziny w kolejce do rejestracji można zapisać się przez telefon. Teoretycznie ma to dużo zalet: zamiast jechać w drugi koniec miasta bladym świtem i stać w monstrualnej kolejce, wygodnie siedząc w swoim mieszkaniu z taką samą albo podobną dozą cierpliwości możesz ustawić się w kolejkę telefoniczną i zostać zapisanym na wizytę za kilka miesięcy. W dniu wizyty jednak trzeba zgłosić się do oddzielnego stanowiska wydającego owe zarezerwowane „numerki".

Teoretycznie tu już nie powinno być kolejki, no może 2-3 osoby, bo formalności jest niewiele. Dowód osobisty, legitymacja ubezpieczeniowa i jako taka orientacja w świecie, przestrzeni i czasie i już. Niestety tego dnia, gdy ja przyszłam, kolejka tych, co bez kolejki, liczyła już kilkadziesiąt osób więc postałam nieco dłużej niż zakładałam i spóźniłam się do lekarza o 1 minutę w stosunku do godziny wyznaczonej systemem komputerowym. Wywołało to trochę dyskusji w kolejnej kolejce, ale taka stara wyjadaczka jak ja, pamiętająca kolejkowe oszustwa z czasów PRL nie dała się omamić argumentom, że „mi się spieszy", albo „ja muszę", albo „ja chcę, a pani się spóźniła więc pani traci swoje miejsce" i udało mi się wejść do pana doktora specjalisty. Moja wizyta trwała nie dłużej niż 3 minuty – tyle czasu, ile pani pielęgniarka poodhaczała mnie na rozmaitych listach i wypisała skierowanie. Pan doktor oświadczył, że skoro dotychczasowe terapie mi nie pomogły, a zaszkodziły, może mnie tylko skierować do poradni leczenia bólu. Na moje nieśmiałe sugestie, że może to, co mi jest, to nie jest statystycznie najczęstsza dolegliwość osób starszych, tylko coś innego, ale pan doktor machnął tylko ręką: — „Ja tak zapisałem w karcie, więc na to pani choruje".

Zaklasyfikowana, zaszufladkowana, podlegająca poufnemu okólnikowi MZiOS, na jakie badania i zabiegi można kierować osoby po 70-tce. Siły wyższe ustaliły, na co może chorować osoba taka jak ja i wara od dyskusji z takimi siłami. (Oczywiście nikt nie pytał, które objawy i jakie symptomy są inne, niż u przeciętnej osoby w moim wieku, cierpiącej na przydzielone i zatwierdzone mocą komputera schorzenie i nie zastanawiał, się dlaczego dotychczasowe terapie pomagające wszystkim na to schorzenie, mnie tylko pogorszyły dolegliwości.).

Potem nieco załamana zeszłam do ogromnego holu i tak za małego na kłębiące się tłumy podobnych mnie babć i dziadków i ustawiłam się w kolejce do rejestracji głównej. Stałam półtorej godziny, zanim zostałam ponownie sprawdzona, wpisana do systemu komputerowego, zakwalifikowana do tych, co im już nic nie pomoże (chyba, że niedozwolone w Polsce ciasteczka z marihuaną). Po półtorej godziny stania można się rozchorować na inne jednostki chorobowe, chyba, że czas ten wykorzysta się na obserwacje i refleksje.

Uświadomiłam sobie, że jestem przykładem nieudanego polskiego eksperymentu, który w innych krajach znakomicie się udawał.

Słynny eksperyment więzienny profesora Zimbardo — http://pl.wikipedia.org/wiki/Eksperyment_wi%C4%99zien

powtórzono w warunkach polskich w roku 2005 (czytałam o tym artykuł w „Charakterach") i okazało się, że w Polsce całkiem to nie działa. Po dwóch dniach nastąpiło krańcowe rozprzężenie wśród „strażników" i zaczęli handlować z „więźniami", bodajże piwem, o napisanie prac zaliczeniowych. W związku z tym eksperyment przerwano i w podsumowaniu stwierdzono, że eksperyment bardziej był uzależniony od określonych społeczeństw, niż uprzednio sądzono.

Ja jednak sądzę, że wszystkie pomysły zachodnie w Polsce nie całkiem się sprawdzają. Na dowód przytoczę wypowiedź pewnego francuskiego eksperta od ubezpieczeń z École nationale d'administration (ENA) – najsłynniejszej francuskiej uczelni wyższej (byłam na tej konferencji w 1991 r, ale od tamtej pory raczej sytuacja się zaostrzyła, przynajmniej w Polsce), który zapytany jak francuscy ubezpieczyciele radzą sobie z próbami wyłudzenia odszkodowań za rzekomo rozbite lub ukradzione samochody, długo nawijał o tym, że zaprasza się te osoby do restauracji i pracownicy ubezpieczyciela oraz psychologowie prowadzą z nimi rozmowy tłumacząc, że czynią źle… Nie mógł zrozumieć dlaczego Polacy obecni na konferencji ryczeli ze śmiechu. Nie śmiali się tylko Rosjanie, ale to z powodu takiego, że u nich nie było ubezpieczeń komunikacyjnych.

Mam dwie koleżanki: jedną zamieszkałą w Holandii, drugą przebywającą tam jakiś czas, zamężną z Holendrem, człowiekiem dość schorowanym. Słyszałam ich narzekania na tamtejsze eksperymenty, ale gdy opowiadano mi o tym, jak traktuje się pacjentów w szpitalu i odwiedzające ich rodziny, o tym, że codziennie organizuje się im koncerty i inne rozrywki, że rodziny częstuje się obiadem i kawą, że wreszcie robi się wszystko aby chorzy nie byli narażeni na stres i złe myśli zrozumiałam, że pewien wspólny poziom europejski został osiągnięty. I u nas i u nich zrozumiano, że stres szkodzi i trzeba z nim walczyć.

Jeśli pamiętacie odcinek blogu o starszym panu który w stanie wojennym zmarł w kolejce, bowiem doznał szczęścia kupienia kaszy gryczanej, rozumiecie zapewne dlaczego w polskich przychodniach (przynajmniej w stolicy) dba się o to, żeby dziadki i babcie nie doznały nagłego stresu z powodu, iż zostali bez czekania przyjęci do lekarza i że wszyscy specjaliści interesowali się tym, co mieli do powiedzenia.

101. Ekwiwalentność

Postanowiłam wypowiedzieć się na modny temat: ekwiwalentności. Czyli coś za coś. Dawno temu na forum Akademii Astrologii jakaś kobieta oburzyła się na inną, początkującą, że ta ośmieliła się prosić o interpretację swojego horoskopu. Prośba nie była zwrócona do nikogo konkretnie. Pytająca oczekiwała, że może ktoś jej coś tam wytłumaczy (jeśli będzie chciał). Jedyne, co można było odczytać z jej postu to tylko to, że jest zupełnie zielona i naiwna. Odezwały się dwie stałe bywalczynie forum, astrolożki, zapewne z tych zarobkujących. Coś jej tam napisały, ale i obrzuciły wyrzutami, że takie interpretacje powodują zachwianie ich bilansu energetycznego, a nieekwiwalentność wymiany budzi zgrozę. Tłumacząc z ezoterycznego na nasze oznaczało to, że prośba o coś bez płacenia za usługę jest bezczelnością.

Na kursach tarota Jana Witolda Suligi prowadzący przy ćwiczeniach rozkładów kart w parach każdorazowo kazał wyciągać portmonetki i płacić koleżance (koledze) po kilka symbolicznych groszy i przestrzegał tego zwyczaju rygorystycznie. Tłumaczył, że nieekwiwalentność wymiany może być źródłem późniejszych kłopotów mentalnych tarocisty. (Dla niwelowania ich palono także świeczki zapachowe – co jednak nie zapobiegało wykwitom agresji wśród kursantów).

Tak więc przekonanie, że każda czynność podejmowana na rzecz innych musi zostać wynagrodzona ekwiwalentnie trafiła w sfery duchowości, co samo w sobie wydaje się równie zabawne, jak i smutne i pouczające.

Na fali tego poglądu liczy się, że kobiety krócej pracują i dłużej żyją, więc muszą mieć niższe emerytury. Muszą? Pełna ekwiwalentność wymiany (o tyle o ile) może być wymagana, gdy któraś z nich ciuła forsę w banku, ale emerytura to coś innego, chyba. Miało to być świadczenie wyrównujące poziom życia na ostatnim jego etapie do względnie zaspokajającego najważniejsze potrzeby. Z założenia więc jeden z płacących składki mógł stracić po to, żeby komuś można było wyrównać poziom do uznanego za względnie zaspokajającego te potrzeby. Wszystko inne poza tym jest umowne, podobnie jak wiek, sposób obliczania itp.

Chociaż więc nie ma mowy o rzeczywistej ekwiwalentności w obecnym systemie emerytalnym, stwarza się wrażenie, że jest to podstawowym jego dążeniem. Nie solidaryzm społeczny, a ekwiwalentność właśnie.

No ale rozgadałam się na poboczne, nieezoteryczne tematy. Chociaż coś z tym sumieniem społecznym u nas nie tak. Niedawno przeczytałam artykuł, którego autorka twierdzi, że pomagając biednym dzieciom i ich rodzinom trzeba wziąć pod uwagę nie konkretne potrzeby tych rodzin a ich aspiracje. Chodziło jej o to, że na przykład dzieciak w szkole, nie posiadający markowej bluzy (tylko jakąś zwyczajną, niemarkową, choć pewnie nieodróżnialną dla normalnego człowieka) czuje się wśród rówieśników gorszy. Możliwe, tak bywa. Niemniej ratunku na to wcale nie widzę w nawoływaniu, żeby opieka społeczna czy filantropia fundowała dzieciom takie towary bardziej luksusowe (wymieniono w artykule: markowe ciuchy, komputery pozwalające na granie w gry, konsole do gier itp.) bo nigdy nie dorównają dobrze sytuowanym, a tylko rozbudzają oczekiwania niemożliwe do spełnienia. Raczej powinno się dzieciom umożliwiać osiągnięcie innych satysfakcji, zdobywanie jakichś umiejętności itp.

Na przykład na Pradze, wzorem południowoafrykańskich slumsów uczono dzieci fotografii. To jest chyba słuszniejsze, niż fundowanie markowych ciuchów, bo może nie starczyć komuś na coś potrzebniejszego. A jeśli ktoś nawołuje do datków społeczeństwa na ten cel, to ma chyba trochę pozajączkowane w głowie.

Wszystko sprowadza się do tego, że zatracono jakąś sensowność i spójność działań ukierunkowanych pomocowo i wyrównująco w społeczeństwie. Rzeczy ważne dla ludzi starszych (dostępność lecznictwa, poziom dochodów, komfort bezpieczeństwa) często uznaje się za mniej ważne niż rzeczy drugorzędne, ale zaspokajające ambicje młodych. Jest to odbicie trendu stawiającego młodość w pozycji ważniejszej dla życia społeczeństwa niż starość – częściowo ze względu na liczebność grup, ale i wyraźnie widać w tym dążenie do ekwiwalentności. Oczywiście nie jest to ekwiwalentność licząca wszystkie wkłady tych grup i wydatki społeczne na ich rzecz, a ekwiwalentność liczona prostacko — to, co było, się zmyło; ważne jest to, co jest.

Ale i tak nie ma mowy o ekwiwalentności. Nie wiadomo czy młodsze pokolenia (nawet zaopatrzone w markowe bluzy, obuwie i gadżety) wniosą tyle w życie społeczne ile wniosły starsze. Żyjemy więc, jako społeczeństwo złudzeniami w dodatku łatwo dającym się obalić za pomocą zwykłego rozsądku. Ale nikomu na tym nie zależy. Lepiej mieć złudzenia bzdurne niż ich nie mieć. Tutaj oszukujący i oszukiwani zawierają dziwaczny sojusz.

Wracając do ezoteryki. Nie jest złem żądanie pieniędzy za wykonywane usługi, także ezoteryczne. Złe jest dorabianie do tego ideologii, że się komuś pomaga z dobroci serca, nakłanianie drogą straszenia i mącenia w głowie albo wmawianie, że jeśli ktoś komuś odpowie na zadane pytanie czy napisze z rozpędu albo zwyczajnej chęci z tego tytułu należy się wynagrodzenie np. „za utratę energii”.

A propos – pewien pan, dyskutujący na moim blogu z takim poglądem obiecywał napisać artykuł do Taraki. I co? Chyba przegrałam zakład z innym autorem Taraki, który twierdził, że na pewno nie napisze. Muszę uznać, że często mylę się w swojej ocenie ludzi, przeceniam wartość ich deklaracji.

Obiecuję, że w przyszłości przestanę być stękającą babcią i zajmę się weselszymi sprawami. Tylko trochę dojdę do siebie.

102. Nagle

Nagle wszystko się zmieniło. W perspektywie miałam bolesne zabiegi, dwie serie po 14 dni wypełniające czas do początku wiosny, kiedy: *„Jeśli starzec przeżył marzec to mu już wypada żyć do listopada”*, potem żałosną pewność, że niewiele może mi pomóc, skoro komputer przypisał mnie do segmentu rynku: *biorących a niczego nie dających*, *nie perspektywicznych*, a więc nie zasługujących na nic innego (oprócz ciasteczek z marihuaną, podobno, bo nie próbowałam, ale mówi się że dla pensjonariuszy polskich domów starców to jedyne wyjście, kompleksowe zresztą) i wreszcie, gdy już byłam mocno zdołowana, przyszło zaproszenie od mojej zagranicznej koleżanki, która ma spędzić tydzień w Polsce, w pensjonacie w Karpaczu i miałaby ochotę ze mną tam się zobaczyć.

Tu muszę podziękować Marcusowiuranicusowi istotnie czasami denerwującemu dyskutantowi, który skarcony przez Wojtka nie poddał się i odkrył prawo, o którym nie śmiałam głośno mówić, choć lękliwie napomykałam o tym niekiedy — że starsze osoby mają też swoją Twardą Ścieżkę i wyliczanie przeszkód na ich drodze do szamańskiej świadomości niewiele różni się od opisów Szałasu Potu, Szamańskich Wizji i innych przeszkód z którymi adepci muszą się zmierzyć, żeby dotrzeć do wnętrza siebie. Dziękuję Ci Marcusie i nisko się kłaniam za Twoją intuicję i mentalne wsparcie.

Również szybko znalazły się osoby z rodziny obiecujące mnie tam zawieźć i przywieźć, nikt już nie domagał się ode mnie, żebym wsiadała do pociągu i gramoliła się aż trzy okropne stopnie w górę – przeszkody łatwe do przebycia miłośnikom wycieczek po górach, ale nie do przebycia (możliwe, że mentalnie) dla ezoterycznych babć, których wyobraźnia zmaga się zawsze z hipotetycznymi przeszkodami, a nie pnie się do przodu z optymistycznymi wizjami swoich pragnień (pod okiem Przewodnika).

Czy to zadziałały sigile? Nie, nikt nie dał mi pieniędzy do portmonetki, nie wygrałam w lotto, chociaż próbowałam dwa razy (mimo, że Ela Bazgier nie wróżyła mi sukcesu z powodu mojego podejścia do finansów), ale dostałam coś o wiele bardziej miłego – ludzką życzliwość. I to nie dlatego, że jestem biedną staruszką zasługującą na litość, ale – mam nadzieję – dlatego, że rozumiem się z wieloma ludźmi, lubię ich słuchać i wierzę, że od każdego można się czegoś nauczyć i dowiedzieć.

Zaczęłam więc przygotowania do jutrzejszego dnia. Najważniejsza rzecz – aparat fotograficzny. Mam zresztą marny, taki którego nie chciał już mój dwunastoletni wnuk, który zdążył już zmienić ze dwa. Nie pretenduję do pięknych zdjęć, jaki robi mój kolega, o którym wspomniałam na blogu, nie mam nigdy czasu na ustawienie się, przemyślenie kadru i decyzję dotyczącą ekspozycji tego, o co mi chodzi.

Zdjęcia robię z okien samochodu. Trzaskam jedno za drugim aż do wyczerpania baterii (a to starocie pożera 2 sztuki na mniej niż 100 zdjęć). Potem powoli je oglądam, smakuję, wspominam, rozważam, wypatruję szczegóły, których nie sposób było w czasie jazdy dostrzec.

Tak robiłam ostatniej zimy poprzedzającej śmierć mojego męża, kosztem dwóch opakowań baterii po 4 sztuki opstrykałam całą drogę z działki do domu i teraz, gdy zbiera mi się na wspomnienia, uruchamiam pokaz slajdów i czuję się jakbym znowu jechała do mojego wspaniałego miejsca, sterówki z oknami na trzy strony świata, księżycem wędrującym przez trzy okna i ptakami budzącymi

się przed świtem i jakbym za chwilę mogła tam się znaleźć — trzęsąca się z zimna, ale szczęśliwa, że ***jestem u siebie***.

Czasami tylko przypomina mi się moja mama, zmarła w 1991 roku. Ostatnie dwa lata życia nie wstawała z łóżka, ale zanim całkowicie w nim ugrzęzła, nie wychodziła z mieszkania, ponieważ przeszkodą nie do pokonania były schody między fundamentem bloku, a windami. Opowiadała mi, że bardzo chciałaby zobaczyć las, rośliny, może kwiaty, drzewa i usłyszeć ptaki. Kiedy więc kupiliśmy z mężem samochód, postanowiliśmy pierwszą wycieczkę zrobić mamie. Nie dysponowaliśmy wózkiem inwalidzkim (już na kule trzeba było mieć zlecenie od lekarza i kilkanaście pieczątek rozmaitych urzędników) ale zorganizowaliśmy zniesienie i wniesienie mamy do samochodu. Wycieczka trwała niedługo – parę kilometrów od blokowiska były lasy, niezbyt może duże, ale zielone, pełne śpiewu ptaków i szumu liści.

Oczekiwaliśmy, że mama się ucieszy, okaże swą radość, wszak tak marzyła o świeżym powietrzu i przyrodzie, a my gotowi byliśmy cieszyć się z nią. Wyciągnęliśmy mamę z samochodu, podaliśmy jej kule, ale ona nie chciała postąpić dalej ani kroku.

Wiesz Kasiu – powiedziała mi – tak jestem zmęczona, że nie mam nawet siły cieszyć się lasem. Odwieźcie mnie jak najprędzej do domu, muszę pójść spać i zapomnieć ten las.

Zaczynam ją rozumieć, choć oczywiście mnie coś takiego nie grozi. Tak czy siak mogę kupić sobie wózek inwalidzki nie oglądając się na pieczątki i podpisy, i mam synów, którzy zawiozą mnie do lasu, jeśli znajdą na to czas.

Jednak zafiksowałam w sobie pewne pragnienie. Chciałabym zobaczyć Galerię Drezdeńską, której nie skończyłam zwiedzać pięćdziesiąt lat temu z tego powodu, że uczestnicy wycieczki chcieli zdążyć do sklepów i kupić miksery oraz młynki do kawy. Po dobrach tych dawno nie pozostał żaden ślad (kto dziś mieli kawę w młynku innym niż sprzężonym z ekspresem!), ale przerwane w połowie oglądanie obrazów Hieronima Boscha (choć nie tu jest ich najwięcej), Durera, i Lucasa Cranacha (którym zachwycałam się potem w Weimarze). Podniecają mnie też malarze holenderscy z ich miłością do szczegółów i martwych natur, których ja osobiście nie znosiłam, gdy żądano ich ode mnie, a które są zupełnie inne na obrazach mistrzów.

Boję się tylko, że znalazłszy się tam odkryję, iż jest już na to za późno i będę miała ochotę wrócić jak najprędzej i położyć się spać.

103. Powidoki czyli babcia w Karpaczu

Powidok jest czymś, co zostaje w oczach po ich zamknięciu. Jako zjawisko optyczne stanowi dopełnienie barwy widzianej poprzez zamazany obraz w barwie dopełniającej. Na przykład żółty kwiat widzimy jako fioletową plamę. Jako zajście nie analizujące barwy tego, co się widziało, a jego treść – powidok zachowuje się często w sposób nieprzewidziany. Nie zachodzi jednak w sposób automatyczny jak w powidoku optycznym — zamkniesz oczy i pozostaje pod powiekami ostatnio widziany obraz. To, co zostaje, może być obrazem znacznie wcześniejszym, w wielu sensach minionym. Czy można go nazwać powidokiem? A może lepiej postwidokiem? Albo jeszcze inaczej? Zostawić widok na boku i nazwać wspomnieniem? Nie, wspomnienie to niedobra nazwa, gdy się na myśli konkretny widok spod powiek bez całej jego fabularnej i emocjonalnej otoczki, która zostaje wprawdzie, ale zepchnięta gdzieś głęboko i nieujawniana. Można ją tylko wygenerować rozumowo, wyciągając wnioski z faktu, że pozostały pod powiekami obraz nie jest ostatnim, a więc jest ważniejszym niż ostatni, pominięty.

Kładąc się spać wczorajszą późną nocą widziałam wciąż zasypaną śniegiem autostradę z Drezna, nie nadążające z jego zgarnianiem maszyny, sznury tirów i wyprzedzających je po białej dziewiczej płaszczyźnie aut osobowych o równowadze lekko zachwianej niczym ktoś, kto odrobinę wypił za dużo i prze do domu nie bacząc na okoliczności — mimo, że widoki ostatnich stu kilometrów były kojące — deszcz, żadnego śniegu i żadnego tańca na lodzie.

Potem leżałam na swoim stabilnym łóżku, ale w nogach ciągle czułam drgania, jakby dom dotknięty był trzęsieniem ziemi.

Pamięć ciała jest zwodnicza i bywa oszukańcza. Zachowuje coś nieprzydatnego powodując, że mimo zmęczenia nie można usnąć. Pamięć świadoma rejestruje wspomnienia miłe i ważne, ale pamięć ciała nie daje zasnąć nam w błogim zadowoleniu z zupełnie drugorzędnych powodów.

Powiecie być może, cóż to za wycieczka do takiego Karpacza? O czym tu pisać? Żadnego zjeżdżania na nartach, żadnych atrakcji jakie towarzyszyły młodzieńczym wyjazdom w góry i gdzieś indziej. Banał i nuda. Takie Machu Picchu , Piramidy czy Kanał Panamski, to jest coś! W dodatku dostępny Polakom na wyciągnięcie dłoni (i karty).

Na starość odbywa się podróże do wnętrza siebie, a tam ważne jest zupełnie coś innego. Dostrzega się współgranie ciała z otoczeniem, odczuwa jedność ze światem w sposób wprawdzie stresujący, bo ułomny i nie do końca adekwatny. Szuka się odpowiedzi, które niegdyś wcale nas nie interesowały. Dawniej potęga czy piękno otoczenia pozwalały nam odczuć naszą małość ale i podnosiły naszą ważność wynikającą z faktu, że zestawiamy siebie z ogromem atrakcji obiektu z najważniejszych zasobów świata, stawiamy się dzięki temu z nim na jednym poziomie, czerpiemy z jego aury część barw i dodajemy do swojego wyobrażenia o sobie.

Dzisiaj nasza starcza jedność ze światem jest innego rodzaju. Śnieżna zadymka jest zagrożeniem, którego nie niweluje nowoczesna autostrada i dzieła techniczne człowieka. Niemożliwy do użycia, zablokowany pas też nie podnosi pewności siebie. Świat znowu jest tym, czym dla pradawnego człowieka — miejscem, gdzie szanse bynajmniej nie są równe. Dlatego też na starość, także poprzez

fizyczną niesprawność wracamy na początkowe pozycje naszych praprzodków — Jesteśmy zależni od wszystkiego, tylko nie od siebie samych.

Te wszystkie dywagacje umysł nasz spycha w głąb (jak inaczej moglibyśmy z tym wszystkim na co dzień żyć!) ale cofając powidok z momentów ostatnich do chwil ważnych, daje subtelny sygnał niemożliwości ucieczki od własnego ciała.

Na zakończenie — babcia na deptaku w Karpaczu — całkiem wesoła i nie taka poważna jak w tym odcinku. W tle, za starością, zielona młodość, na pozór z podobnymi kijami, ale to nie są te same kije, bynajmniej...

104. Wycieczka do Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD)

Czy obcowanie ze sztuką może być źródłem upokorzeń? Pytanie wydaje się idiotyczne, jeśli dotyczy normalnego na ogół człowieka. Sztuka nigdy nikogo nie jest w stanie poniżyć, może najwyżej postawić wobec czegoś, co go przerasta, i to wszystko. Nawet jeśli nie czuje się podziwu tylko zazdrość twórcy, nie dorastającego do pięt mistrzom, nie jest to w żadnej mierze upokorzające.

Ja jednak coś takiego przeżyłam w Dreźnie. Złożyło się na to kilka spraw, ale najważniejszą z nich był powrót przeżytego w latach siedemdziesiątych obcowania z byłą NRD — wówczas w Weimarze, obecnie w Dreźnie.

Zafiksowałam się na chęci obejrzenia Galerii Malarstwa Mistrzów Dawnych (Gemäldegalerie Alte Meister) w Zwingerze i zdałam na starania osób bliskich, które zarezerwowały i wykupiły bilety korzystając z sieci, do której ja nie miałam dostępu. Nie zwróciliśmy uwagi, że galeria ta jest niedostępna z powodu remontu. Na stronie internetowej Muzeum w Dreźnie była informacja, ale ja nie miałam internetu. W rezultacie bilety zostały wykupione na wystawę Grünes Gewölbe — pokazującą skarby królów saskich. Można obejrzeć ją wirtualnie, z daleka i bez szczegółów tu:

http://www.skd.museum/fileadmin/panoramav103/

Było jeszcze kilka pomniejszych „wystawek" o niewielu eksponatach, ale bilety obowiązywały na każdą z nich oddzielnie, a takich nie zarezerwowaliśmy.

Wystawa, jak przystoi na skarbiec królów **j**est oczywiście olśniewająca przepychem, artyzmem wykonania, błyskiem klejnotów, połyskiem kości słoniowej łączonej czasem z koralem, wzmaganymi jeszcze przez wszechobecne lustra. Warta obejrzenia, ale do zwiedzania na góra dwie godziny, nie więcej i nie dla osób ze słabym wzrokiem. Eksponaty nie dość, że w gablotach, to jeszcze oddzielone barierką z co najmniej z metrowym odstępem od gablot. Jak w tych warunkach oglądać klejnoty i drogie kamienie? Duże, bo duże, ale na miarę klejnotów; kto ma słabszy wzrok szczegółów na odległość nie rozróżni. Nie ma też gdzie przysiąść. To nie Paryż jednym słowem, nie Luwr i inne muzea przyjazne zwiedzającym, gdzie za jednym biletem wchodzić można na cały dzień, coś zjeść, napić się kawy, przysiąść na każdej prawie sali i kontemplować sztukę, a wieczorem stwierdzić, że nie zdążyło się wszystkiego zwiedzić. I marzyć o powrocie.

Upokorzenie zaczyna się już na etapie szatni. Stoi się w gigantycznej kolejce, a gdy przychodzi do oddania kurtek, okazuje się, że zapłacić trzeba przed, a nie przy odbiorze odzieży. Zanim zorientowałam się, zostałam obdarzona niemiłym spojrzeniem, chociaż pani szatniarka była grzeczna i cierpliwa. Numerek oraz kwitki na zapłacone po 50 centów od osoby niefrasobliwie schowałam do swojej, niedużej torebki – jak to zwykle się robi z numerkami i kwitkami, jeśli nie ma się w ubraniu kieszeni – a ja nie miałam. Przy wejściu zawrócono mnie – należało oddać torebkę. Poczułam się głupio, nienawykła pozbywać się w obcym kraju pieniędzy, dokumentów i lekarstwa, ale torebkę oddałam. Wyjęłam z niej numerek, ale zostawiłam w środku kwitki opłaty. Pani odwiesiła torebkę, zwróciła numerek, ale zażądała owych kwitków, które zostały w torebce. Nie znam niemieckiego, więc zanim się zorientowałam o co chodzi i zanim ona mnie zrozumiała, upłynęła chwila. Ona stała grzecznie i czekała, ale mówiły jej oczy. Na długą kolejkę nawet nie śmiałam spojrzeć. Wcześniej

stałam w niej ponad kwadrans. Wręcz czułam skoncentrowaną niechęć — a ja niestety takie rzeczy wyczuwam.

W końcu wpuszczono nas do szklanej klatki, w której prześwietlono nas i wypuszczono do pierwszej sali. Sal takich było kilka i przed każdą z nich należało wejść do dwuosobowej klatki i poczekać w niej jakiś czas.

Z tymi wszystkimi ceregielami zwiedzanie trwało niewiele dłużej niż godzinę. Schody były pozagradzane więc na inne piętra i na niższy poziom, do toalet, należało czekać na windy. Wind było dwie, do nich kolejki, więc wszystko to zabrało mnóstwo czasu, i okazało się, że na te piętra trzeba mieć odrębne bilety. Informacja turystyczna mocno kulała, gdzież tam do naszych piktogramów, napisów w kilku językach (po angielsku byłyby dla mnie w zupełności zadowalająca, każdy Polak po trochu go zna). Zwiedzający wystawę dysponowali w środku nagraniami po polsku, ale były one mocno denerwujące, wiele słów, mało treści. Nadmiar zachwytów, a mało konkretów; w dodatku nie ma gdzie przysiąść, żeby tego posłuchać. No i jak ma się w każdym ręku po kuli, trudno przykładać aparat do ucha; przydałyby się słuchawki.

Po wyjściu pochodziliśmy trochę po okolicy, ale warunki były mocno nie sprzyjające — śnieżyca, kopny śnieg powyżej kostek, nigdzie nieodśnieżone chodniki i samochody, których kierowcy nie zwracają uwagi, czy ktoś porusza się o kulach i nie mają zamiaru zwolnić, czy przepuścić pieszego, nawet na oznaczonych dla nich przejściach. Ech! Gdzież tam im do Paryża, albo nawet Warszawy, na którą utyskuję! Nawet na moim osiedlu kierowcy zatrzymują się przed przejściami, chociaż stoję jeszcze na chodniku i czekam! I dozorcy odśnieżają chodniki. Lepiej, gorzej, ale zawsze. Drezno pod tym względem to całkiem wykapana Rosja — gdzie trzeba na jezdni biec truchcikiem, żeby w ogóle przejść, bo nikt nie zwolni, nie mówiąc już o zatrzymaniu się. A przecież było sobotnie przedpołudnie, okolica pustawa, jeśli nie liczyć wycieczek, ruch stosunkowo mały.

Kiedy już wyjechaliśmy z miasta pełnego bloków, brzydszych niż w Warszawie i niewiele tylko ładniejszych niż w Moskwie, oboje z synem wybuchliśmy śmiechem. Rzecz była w tym, że drugi z synów obiecywał mi od trzech lat, że mnie zawiezie do Drezna i okazało się, że wcale nie zostanie mu darowana ta obietnica. Mam zamiar wrócić i obejrzeć wymarzoną galerię dawnych mistrzów w lepszej porze, bardziej sprzyjającej wycieczkom. No i kiedy skończy się remont.

Pisałam w poprzednim odcinku o powidoku. Jako głębsze wrażenie zostało mi to niechętne spojrzenie szatniarki o sowich, okrągłych oczach, w schludnym mundurku, zachowującej się bez zarzutu, ale upokarzającym innych poczuciem własnej wyższości. Ona wiedziała to wszystko, o czym ja nie miałam pojęcia. Ona była odpowiedzialna za wiele ważnych przedmiotów (łącznie z moją torebką), a ja przeszkodą w wypełnianych obowiązkach.

Nie wzięłam pod uwagę, że nie byłam już w Europie, tylko w XX wieku w NRD, gdzie wprawdzie w sklepach była kiełbasa i szynka, ale zawsze czuliśmy się upokorzeni. Wszystko było w porządku, gdy nie otwieraliśmy ust, wyglądaliśmy tak samo jak tubylcy, ale kiedy tylko zamienialiśmy ze sobą kilka słów po polsku, w każdym sklepie chodzono za nami krok w krok i śledzono sowim wzrokiem tej szatniarki. Zrobiliśmy więc wycieczkę do niewłaściwego kraju.

105. Zalane kasety

Zadziwiające, że najlepsze podsumowania powstają wśród nawałnic i trąb, wizyt spodziewanych i niespodziewanych gości, ich przedmiotów i rekwizytów, a nie w ciszy i kontemplacji. Nie dziwi mnie więc już, że dokonuję ważnych podsumowań swojego życia wówczas, gdy dookoła mnie kłębią się i walczą różne sprawy rozmaitych ludzi. Obraz, kiedy wszyscy w postaciach własnych i cudzych przebraniach, maskach innych, dawno zapomnianych osób wracają naraz do gry po to, by uświadomić mi, że choć epoka ich królowania odeszła, to przedstawienie wciąż trwa i ma wielką i pociągającą siłę Znaku Mocy.

Może ma to w sobie coś z ustawień Berta Hellingera (nie brałam w nich udziału, ale próbuję sobie wyobrazić i zrozumieć, jakie stany symbolizują) i stąd czerpią ich siłę oddziaływania.

W czasie pobytu w Karpaczu jednej z rodzin, która mnie gościła ukradziono samochód. Różne czynności urzędowe przeplecione z planowanymi lekcjami jazdy na nartach i snowbordzie, pertraktacje z osobami podającymi się za złodziei, ich sprawy pozostawione w domu, wcześniej ułożone i zaplanowane, które trzeba było telefonicznie odkręcać, stres dopadający wszystkich obecnych, ciągłe rozważania czy samochód się odnajdzie, wszystko to w obłokach papierosowego dymu i problemów mieszkańców dwóch krajów, w moim zwykle spokojnym i poukładanym życiu zawirowało z siłą tajfunu, w którym raptem musiałam się odnaleźć i przypiąć do masztu.

Przypomniałam sobie wówczas fragmenty „Biegnącej z wilkami" Clarissy Pinkoli Estes i książki Angeliki Alti „Dzika kobieta – powrót do źródeł kobiecej energii i władzy". Nie mogę teraz znaleźć „Biegnącej" ale tam właśnie coś było o symbolicznym odrzucaniu kolejnych spraw i osób, które miały na nas wpływ: rodziców, kochanków, dzieci i stawaniu się dzięki temu sobą, gotową do tytułowego biegu. Angelika Alti zaś uświadomiła mi, że jestem chaosem i ciemnością, a więc kobietą. Zadawałam sobie pytanie, czy postąpiwszy w pewnym momencie według zaleceń „Biegnacej" (ale całkowicie spontanicznie, ponieważ przeczytałam ją znacznie później) rzeczywiście uwolniłam w swoim życiu moc i czy stanowiła ona istotnie zaprzeczenie bierności, która jest sztuką uprawianą przez wieki patriarchatu przez kobiety wypierające z siebie, miłość, kształtowanie, pielęgnację, rozwój. Jednym słowem czy odnalazłam w sobie choć odrobinę dzikiej kobiety wolnej od wieloletniego prania mózgu.

Wtedy zalecenia wydawały mi się sensowne. Dziś nie jestem o tym przekonana. Bowiem zamieniłam swój chaos i swoją ciemność na chaos i ciemność innych ludzi. Uwolniłam się od obowiązków (powtarzam sobie: — ja już nic nie muszę!), ale jak w ustawieniach Berta Hellingera, COŚ wyszło do mnie zza kulis sceny, na której inni ludzie odgrywają inną sztukę.

Niegdyś w ramach rozrywek szczurzycy biegającej w dwóch kieratach pozostawało mi nocne słuchanie kaset magnetofonowych — „zalanych kaset" po kataklizmie, który dotknął moje mieszkanie. Spis kaset i nagrań potrzebny był do wypłaty odszkodowania za zalanie, a ponieważ były ich setki i wiele stanowiło wiązanki własnego zestawu, pracę wykonałam ogromną. Po latach słuchając, tego, co nadawało się jeszcze do odtworzenia i zostało przegrane, odkrywałam nowe światy i uzyskiwałam odpowiedzi na rozmaite, zdawałoby się nierozwiązane zagadki.

Taka na przykład prosta, dość melodyjna i chwytająca za serce piosenka: *Dziewczyno z nocnego pociągu, Od lat niewyspana konduktorko… Twoje życie przemija* itp. itp. udzieliło mi odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie tak kochali PRL, choć wcale nie żyło im się lekko i słodko. Kto dzisiaj śpiewa piosenki o kasjerkach w supermarkecie zakładających pieluchy i marzących o tym by wyrwać się choć na chwilę ze swojej pracy? Kto da tym kobietom poczucie, że ich los jest dla kogoś ważny, że można o nim śpiewać piosenki?

Albo tacy „Bezdomni kochankowie" z woli „kwaterunku". *...Każde okno to gwiazda na czyimś niebie, czyjejś miłości znak. A nam szczęścia nadzieje Waga kolebie, Orion i ślepy Rak...*

Czyż sensem świata i zamierzeniem Boga nie jest przypadkiem to, aby marzenia nigdy się nie spełniały? Żeby były, ale żeby się nie spełniały? *A biedna Rebeka w utęsknieniu czeka, aż przyjedzie miły do jej bram…*Nie tylko to marzenie biednej Rebeki się nie spełniło, ale wszystkie inne życzenia, nawet najdrobniejsze i najbardziej przyziemne – z zasady nie mogły się spełnić z wiadomych historycznych powodów. Pozostawały snami i marzeniami. Bo gdyby Rebeka spotkała bogatego umiłowanego, gdyby została jego żoną, gdyby miała kilkoro dzieci, była gruba, brzydka i zapracowana i gdyby jego bardziej obchodziły drogie gadżety czy jego firma niż żona...?

Nie wiem, sam już nie wiem, czy to warto, kochać ciebie… Podśpiewywał w takt piosenki z tej kasety ktoś w osiemdziesiątym czwartym czy piątym roku, gdy przekroczyłam czterdziestkę, przy bridżu w moim domu, podczas gdy ja pasowałam nie dlatego, że nie miałam dobrej karty, ale dlatego, że nic innego nie byłam w stanie wykrztusić, choć byłam jak najdalsza od jakichkolwiek marzeń, cały mój wysiłek kierowałam na to, żeby być dobrą żoną, dobrą matką, dokładnie zmywać talerze i cienko obierać ziemniaki i jeszcze pozdawać te egzaminy i pokazać mężowi i otoczeniu, że nie jestem taka głupia, za jaką mnie mają. I ta piosenka zburzyła moje przekonanie, że można pokochać kolejki, zmywanie i obieranie kartofli. Że można nauczyć się być zadowoloną ze swojego życia.

I nie mówiliśmy oboje niczego, co mogłoby zachwiać niepisaną wątłą równowagą i zostać zrozumiane inaczej niż słowa następnej piosenki: *Wiem, wiem, gdzie jest moje miejsce, wiem, wiem, chociaż wiedzieć nie chcę...*

To już nieco później, ten czas, kiedy uświadamiam sobie, gdzie jestem i na jakim świecie żyję. Patrzę w lustro i widzę obcą kobietę, nie siebie. Wtedy przytuliłam twarz do kolumny obrzuconej szorstkim tynkiem z drobnym żwirkiem, chcąc zabić w sobie wewnętrzny ból, pocierałam o nią policzek aż do zdarcia skóry, ale ból nie zelżał, a doszedł drugi. Poczułam klatkę i uświadomiłam sobie, że ja ją zbudowałam, ale nie ja ją mogę rozebrać. *Więc dróg przebądź sto, aby dojść do mych ust, bo świat, cały świat, chcę ci zamknąć na klucz...*

Jest tego całe pudło, tych zalanych kaset z PRL, nagrywanych staruteńkim grundingiem nocami albo w czasie grypy.

Pomimo więc lektur, intelektualnej pracy włożonej w uświadomienie sobie uwarunkowań, dróg wyjścia, poszukiwań właściwych misteriów dla odzyskania wolności — teraz, gdy ją mam — nie mam oczekiwanej MOCY. Miałam dostać w nagrodę ciastko, a dostałam jakąś gumiatą masę, o której nie wiadomo do czego da się użyć.

Moi znajomi, jak w ustawieniach Berta Hellingera, odgrywali nieświadomie swoje role, w których znaczenie miało wszystko: miejsce w którym usiedli, czy pili kawę czy herbatę, papierosy, a nawet

serial w telewizji, którego nie dawano wyłączyć, bo cisza może być groźna. Tak jakby ktoś rozpisał mnie na kilka osób. W końcu wszyscy powsiadali do swoich samochodów (ci, którym skradziono auto, do autobusu) i rozjechali się na trzy strony świata.

Widzę oczami wyobraźni salonik, w którym wszyscy przesiadywaliśmy, bowiem był blisko kuchni, pusty i cichy, uwolniony od dymu i postaci z wyjątkiem jednej. Tak mi się coś wydaje, że dwunastoletni chłopiec, który z nami był i który kupił w restauracji, gdzie jedliśmy kolację, figurkę „ducha gór" w ferworze pakowania zapomniał jej, stojącej na telewizorze. Jeśli istotnie tam została — starzec z wiązką chrustu na plecach, a każda gałązka oddzielnie polakierowana — był tą postacią, która zostaje z bagażem artefaktów po przedstawieniu. Każda gałązka, każda sprawa, każde powiedziane słowo niczym łodygi krwawnika z wróżby I`Cing mogłyby zostać inaczej ułożone, ale w końcu zostały i zastygły na plecach starego człowieka. Nawet, jeśli chłopiec ją zabrał, nie zmieni położenia wiązki chrustu na plecach DUCHA GÓR, tyle, że zabierze go w świat...

106. Duchy lodowe, drewniane i inne

W miarę, jak dłużej trwa nasze życie pojawia się w nim coraz więcej duchów. Początkowo są to nasze własne duchy, przywiązane grubym sznurem pępowiny do naszego ciała, mieniące się naszymi barwami, odzywające się naszym tembrem głosu i tylko czasem dopuszczające w barwie aury cudze wpływy. Gdzieniegdzie w przebłysku duch uzyskuje obcą twarz, mignie nią nam i wróci z powrotem do naszej własnej fizys. Na początku jesteśmy przecież całością – wszystko, co nas dotyka i czego doznajemy omiata nasze własne spojrzenie i brak nawet prób świadomego rozumienia, że może to być spojrzenie cudze.

Cudze wpływy są zawłaszczane przez nas i nasze duchy, są tworzywem wykorzystywanym bezczelnie i arogancko. Tak w młodości przyjmujemy na przykład piosenki, literaturę, muzykę, sztukę. Nie obchodzi nas, kto napisał tekst piosenki i jej muzykę, wchłanianą przez nas niczym własne odbicie zapisane przez kogoś; już prędzej interesuje nas osoba wykonawcy, jego aparycja, wymowne oczy, temperament, rytm i ciało coś sygnalizujące.

Kiedy więc przypadkiem jednemu z moich wnuków w czasie kilkudziesięciugodzinnej podróży tirem przez Europę uparcie przestawiającemu radio na modny łomot wspomniałam o tym, że muzyka młodzieżowa swoje powodzenie zawdzięcza transowemu rytmowi, dającemu się określić jako stosunek do szybkości uderzeń serca człowieka w stanie określonego pobudzenia i emocji, popatrzył na mnie jak na wariatkę, chociaż na tę informację dość łatwo trafić w internecie. Ba, orzekł, że gadam bzdury, jak to zwykle starsi ludzie. Niestety, mój wnuk należy do osób, które nigdy nie zajrzą do takich internetowych informacji, bowiem w sieci interesuje go coś zupełnie innego. Ja, jako jego babcia też nie trafię na strony kibiców lokalnych piłkarskich klubów, i innych miejscowych patriotów, więc nie mam prawa wypowiadać się o jego intencjonalności. Z tą tylko różnicą, że ja o tym wiem, a on nie. On jeszcze nie ma zielonego pojęcia jak jest manipulowany i nie wiem, jak by zniósł taką świadomość. Zanim jeszcze czegoś się dowiedział, zamknął się na wszystko, co do niego nie przemawia.

W miarę nabywania dorosłości przeżywamy etap gdy czasami oddzielamy się od swoich duchów albo więź łącząca nas z nimi blednie i czasem rozmywa się. Może nawet wydawać się nam, że jesteśmy schizofrenicznie rozdwojeni na kilka ja. Jedno ja krząta się wokół codziennych obowiązków, drugie ja szybuje w przestrzeni snów i marzeń, a zdarza się i trzecie, łypiące krytycznym okiem na pozostałe dwa. Inne duchy dołączają do naszych w przyjaźni lub opozycji; jedne przytulamy, inne odtrącamy, z niektórymi kłócimy się zażarcie, ale zaczynamy dostrzegać, że jesteśmy ich królem w naszym świecie i stosownie do tego dzielimy lub rządzimy. Wtedy to właśnie czasami dołączają do nas cudze duchy z ich własną obcością i odrębnością i zdarza się nam wątpić, czy przypadkiem to nie my dołączyliśmy do ich królestwa, a nie one do naszego.

I wreszcie na starość świat kłębiących się wokół nas duchów traci pozycję naszych własnych duchów. Przestaje mieć znaczenie czyje są — żywych, umarłych, realnych czy wymyślonych.

Oczywiście zdarza się i odwrotnie, jako że starzy ludzie usztywniają się nie tylko w swoich poglądach ale i w swojej osobistej więzi ze światem duchów. Jest to jakby ich powrót do sytuacji dziecka tyle, że nie tak nieświadomy i nie tak spontaniczny.

Ja jednak, niestety, nie umiem zamknąć się w owej skorupie bezpiecznej i zorganizowanej i wydana jestem na pastwę wszystkich duchów hulających po pustych zimowych przestrzeniach do czasu, aż zmienią się w niebieskie pastwiska.

Jakie są dla mnie owe duchy, których jestem służką, a nie królową? Na ogół życzliwe i wyrozumiałe. Nie żądają ode mnie zbyt wiele poza oczywiście uwagą i poświęceniem im myśli. Niektóre materializują się opanowując chwilowo jeden albo drugi zmysł. Pojawiają się obrazy, frazy jakichś melodii, przebłyski zapamiętanych fragmentów rozmów i scen, czyjeś argumentacje oddarte z wywołujących je opisów stanu świata. Potem duchy wirują, mieszają się, kojarzą w dziwaczne i niezrozumiałe pary czy trójce, rodzą się w tej konfiguracji jakieś inne duchy, rozbłyskują nagłym fajerwerkiem i giną po chwili.

Na zakończenie: jeden z *lodowych duchów* Jerzego Płaczka.

107. Kto ma zasiadać w oślich ławkach?

Czytając wczoraj prasę zwróciłam uwagę w Gazecie Wyborczej na komentarz Pawła Pacewicza dotyczący kontrowersyjnej wypowiedzi Wałęsy dyskryminującej homoseksualistów i inne mniejszości, poprzez wyznaczanie im ostatnich ławek w Sejmie.

Występując w słusznej sprawie, oburzony na Wałęsę dziennikarz nie zwrócił uwagi, że sam wypowiada się w sposób dyskryminujący, tylko nieco inny segment naszego społeczeństwa.

Usprawiedliwieniem Wałęsy ma być mianowicie fakt, że „70-letni Wałęsa podobnie jak jego żona Danuta... są przedstawicielami swojego pokolenia, któremu trudno przestawić się na realia modernizującego się świata"

Jest to argument często używany i nadużywany wobec starszych ludzi, a ja, jako przedstawicielka tego pokolenia spotykam się z nim nadzwyczaj często. Praktycznie biorąc słyszę go za każdym razem, gdy wchodzę w jakiś spór na temat uprawnień mi przysługujących, co ma się nijak do rzeczywistości. Przez lata pracy jestem obeznana z wieloma aktami prawnymi i śledzę zmiany w tych sprawach, które mnie interesują. Nie mam trudności z obsługą komputera, składaniem PIT przez internet, poszukiwaniem informacji w cyfrowych bibliotekach. To się nie liczy, najważniejsze są siwe włosy.

Gdybym szukała przyczyn takich a nie innych poglądów Wałęsy, zwróciłabym uwagę na inne, nie mniej ważne, a nawet ważniejsze czynniki (ponieważ, jak zazwyczaj, jest ich więcej niż jeden), a więc: środowisko, z jakiego pochodzi, religijność, być może brak znajomości z realnymi homoseksualistami, stopień życzliwości i chęć zrozumienia otaczającego świata, otwartość na doświadczenia i tak dalej. Zaawansowany wiek może tu być o tyle jakimś wyjaśnieniem, że ma tendencję do utrwalania istniejących wcześniej poglądów, bynajmniej nie determinuje ich jednak. Wydaje mi się, że największe znaczenie ma środowisko, w którym się przebywało.

Zajmuję się tą błahą z pozoru sprawą, ponieważ tendencja do posługiwania się stereotypami, a nie rzeczową analizą omawianych zagadnień jest na tyle dominująca, że umyka powszechnemu odbiorowi, i, co przykrzejsze, dotyczy też przypadków, gdzie prezentuje się na ogół *światłe* poglądy.

Jako stara kobieta zajmująca się od czasu do czasu ezoteryką już tylko za sprawą przynależności do tych trzech grup jestem szczególnie często zaliczana do tych mniejszości, które należałoby odesłać do oślich ławek, bowiem są nienowoczesne.

W dziedzinie ezoterycznej taka dyskryminacja jest szczególnie przykra. Nie wymaga ona przecież przestrzegania naukowego kanonu, w którym nowoczesność bądź nienowoczesność ma jakiekolwiek sensowne uzasadnienie. Nie można tu powiedzieć, że ktoś zaprzeczający prawdziwości twierdzenia że e= mc2 ma tylko schować się do mysiej dziury ze swoją nienowoczesnością. Wydawałoby się, że z całej gamy „starej" astrologii każdy badacz ma prawo wybierać wszystko to, co wydaje mu się sprawdzalne i do wykazania, że jest prawdziwe. Oczywiście jakość uzasadnień może być różna i tym samym zaufanie do danego badacza większe lub mniejsze, nie można jednak nikomu stawiać zarzutu, że jest nienowoczesn,y czy idzie na przekór uznanym trendom.

Bierze się to oczywiście ze stereotypowego przenoszenia zdań dotyczących uznanej nauki na inne dziedziny, nie mające z nią nic wspólnego. Dlatego też na przykład pojęcia reinkarnacji i karmy rozumiane są na ogół stereotypowo i przenoszone do grona ludowych przekonań z wschodnich terenów dawnej Rzeczypospolitej, że:

— Źli ludzie posiadali dwie dusze, dwa serca. Podobno jedno było dobre, drugie złe. Jedną zbawiał chrzest, drugą bierzmowanie. Ci, którzy mieli dwie dusze — serca stawali się wampirem, strzygoniem lub upiorem. Serce sprawiedliwe pochodziło od człowieka, a niesprawiedliwe od diabła. Poznać można było po tym, że taki ktoś na głowie miał dwa wicherki i nie jadał mięsa.

— Może być i tak, że człowiek ma dwa życia. Jedno utraciwszy, drugiego używa w nocnej porze. Jak poznać? Chrapliwy oddech, samobójcy, ofiary tragicznych wypadków, złośliwi i źli, mający zrośnięte brwi. Ciekawe, że nieszczęścia i niepowodzenia na wieś ściągał nie tylko człowiek, który odebrał sobie życie ale i ten, który uległ wypadkowi

— Ale jeśli heros miał dziesięć serc — był bohaterem. Jak się rodzą tacy ludzie? Jeśli do gotującego się jadła wpadł węgielek lub iskra z pieca, a brzemienna połknęła go wraz z jedzeniem.

Do tego grona obecnie dodano też przekonanie, że reinkarnacja polega na tym iż człowiek po każdej śmierci rodzi się na nowo w kolejnym wcieleniu i tak bez końca dopóki nie „przepracuje" swoich grzechów i w związku z tym postępuje tak albo tak, bo „karma twoja mać" i tylko oczyszczające działania magiczne ze złej energii za stosowną opłatą mogą go od tej karmy uwolnić. Jakby grzech, karma i zapłata za magię pochodziły z jednego kotła wierzeń!

108. Przyszłość wyczytana w gazecie

Moja nieoceniona koleżanka Grażyna (wielkie dzięki!) jest dostarczycielką rozmaitych ciekawostek wyszperanych w internecie. Ostatnio przesłała mi artykuł, który bardzo pobudził moją wyobraźnię. Jest to mianowicie „Przyszłość wyczytana w gazecie" autorów John i Susan Townley — dostępny w Almanachu Astrologicznym http://astrolog.pl/astrologia-ogolnie/przyszlosc-wyczytana-w-gazecie/

Artykuł ten traktuje o pewnym podejściu do astrologii pociągającym za sobą praktyczne badania wydarzeń z dnia urodzin. Jego autorzy piszą:

„Komik Steve Allen, który był również fanem astronomii i nauki i spędził wiele lat podśmiewając się z astrologii i innych powiązanych sztuk, raz sarkastycznie zauważył: „Możesz dowiedzieć się więcej o sobie dzięki przeczytaniu gazety z dnia w którym się urodziłeś, niż kiedykolwiek mógłbyś dowiedzieć się z horoskopu". Prowokacyjna myśl, zwłaszcza dla astrologa!

Jesteśmy daleko od uznania tego za błahostkę, bo trafił on dokładnie w serce nauki, która stanowi podstawę dla astrologii. Jeśli wiele z naszej osobowości jest kształtowane przez układ planet w dniu urodzenia, to logicznie jest to, że układ ten powinien zamanifestować się w wydarzeniach które miały miejsce tego dnia. Jak na górze, tak i na dole… Być może częściowo tłumaczy to popularność tego rodzaju prezentów – oprawioną gazetę upamiętniającą urodziny, rocznice, itp."

Konsekwentnie autorzy zajmują się analizą astrologiczną wydarzeń w dniu swoich urodzin posługując się egzemplarzem gazety z dnia następnego po urodzinach i nie odróżniając wydarzeń ważnych od nieważnych (łącznie z reklamami i anonsami).

Spodobał mi się ten pomysł na tyle, że zachciało mi się przeprowadzić taką analizę wydarzeń z dnia moich urodzin. Jednak uważałam, że muszę nieco pomysł ten zmodyfikować. W dniu moich urodzin pełną parą trwała II Wojna Światowa, a Warszawa znajdowała się pod okupacją hitlerowską. To już musiało spowodować, że charakter wydarzeń, o których zachowała się pamięć był zdecydowanie jednostronny. W Warszawie prawdopodobnie wychodziła jakaś polska *gadzinówka* ale nie zachowała się w zasobach bibliotek cyfrowych. Jedyne zachowane czasopismo z 1942 r. to niemieckojęzyczne ogłoszenia dotyczące kilku powiatów, co mnie nie interesuje. Poszukiwałam więc informacji o wydarzeniach 26 listopada 1942 roku w internecie, a tam, ze specyfiki tego medium, wybór wg swoistej hierarchii ważności dokonywany jest nader dowolnie.

Najczęściej występującą informacją nie jest wcale informacja o losach wojny, a o premierze filmu fabularnego „Casablanka", melodramatu, którego premiera odbyła się właśnie w tym dniu, co zbiegło się zresztą z inwazją aliantów na Afrykę Północną i zajęciem Casablanki. Film uznaje się za kultowy, jednak scenariusz, a zwłaszcza zakończenie zmieniano kilka razy sukcesywnie w czasie kręcenia go, żeby dopasować do aktualnej sytuacji na frontach, czego celem było uzyskanie rozmaitych zbieżności z rzeczywistymi wydarzeniami i zwiększenie oglądalności.

A więc mamy do czynienia tu z sytuacją w przededniu wojny, manipulowaną i zmienianą dla uzyskania pożądanych efektów. Jakie planety mogły brać w tym udział? Na pewno Mars w Skorpionie w trygonie do Księżyca uosabiający pasję, waleczność, bezkompromisowość i poświęcenie, ale także

skrytość i skłonność do samoudręczeń. Księżyc to naiwni odbiorcy tego obrazu, współpracujący niechcący z manipulantami.

W horoskopie tego dnia najbardziej zwracającym uwagę układem jest opozycja Urana i Saturna do stellum Słońce/Merkury/Wenus. Może to być odzwierciedleniem wojny, gdzie wszystko co piękne i uładzone (Wenus), mądre, przemyślane, uzgadnialne i wymienne (Merkury) zostaje skonfliktowane z rządami, dyktatorami, wojskiem (Saturn) w technicznej wojnie z użyciem nowoczesnych środków w postaci lotnictwa, czołgów i okrętów podwodnych (Uran).

Czego udaje się dowiedzieć o losach wojny z króciutkiego sprawdzania zawartości internetu o tym dniu? Wszedł do służby okręt podwodny U-650. Z inicjatywy komunistów powstała Antyfaszystowska Rada Wyzwolenia Narodowego Jugosławii przypisująca sobie funkcje najwyższego organu ustawodawczego i wykonawczego, a na jej czele stanął Józef Broz Tito. Doszło do tzw. bitwy o Birsbane, którą to ironiczną nazwą określono zamieszki między sojusznikami: żołnierzami australijskimi i amerykańskimi. Na Pacyfiku alianckie krążowniki: holenderski "Jacob van Heemskerck" i australijski "Adelaide" przechwyciły niemiecki łamacz blokady płynący do Francji z Holenderskich Indii Wschodnich. W ZSRR resztkom niemieckiego 48 korpusu pancernego, które walczyły w okrążeniu między rzekami Kurtłak i Cuckan, udało się przebić na wschodni brzeg rzeki Czyr w rejonie Czernyszewskiej, zająć tam obronę i zamknąć w ten sposób lukę między 3 armią rumuńską a niemieckim 17 korpusem. Tym samym Niemcom udało się ustabilizować front w obszarze wielkiego łuku Donu.

Na terenie obecnej Polski zaś w nocy z 25 na 26 listopada 1942 roku zaczęła się deportacja Żydów z Oslo do Szczecina, skąd już pociągami byli kierowani do komór gazowych w Auschwitz-Birkenau. W Gdańsku tego dnia aresztowano czołowych działaczy Armii Krajowej i Szarych Szeregów.

I coś z dziedziny Urana: w rejonie Iwanowa w ZSRR rozpoczęto formowanie francuskiej eskadry lotniczej Normandie, przekształconej później w Pułk Lotnictwa Myśliwskiego Normandie. Za zasługi bojowe przy forsowaniu Niemna pułk otrzymał od Rosjan nazwę Normandie Niemen. Szlak bojowy zakończył on w Prusach Wschodnich. Do tego czasu piloci pułku Normandie-Niemen stoczyli 869 walk powietrznych z czego zestrzelonych zostało na pewno 273 maszyny wroga. Na froncie wschodnim rozpoczął się kontratak wojsk radzieckich pod Stalingradem (nazwany operacją "Uran"). I jeszcze wiele podobnych informacji.

Wśród tych dołujących wpisów jedna w miarę optymistyczna. Dotyczy ona dziesięcioletniej dziewczynki żydowskiej, Chasi (jakie podobieństwo imion!), która przeżyła egzekucję. O jej losach pisze fundacja „Pamięć, która trwa” na stronie: http://www.fpkt.org.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=101%3Aobraz-7-chasia-farbiarz-cz-1&catid=3%3Azapisane-obrazy-historii&Itemid=8&lang=pl

Dlaczego tylko w miarę? Dziecko przeżyło, ale było świadkiem śmierci matki i bliskich i tułało się w zagrożeniu jakiś czas, zanim odnalazło ukrywającą się babcię. Mieszkańcy pobliskiej wioski którzy przyszli ograbić trupy rozstrzelanych pozwolili dziewczynce odejść. Czy to dobra czy zła wiadomość?

Czy więc na moim przykładzie można orzec, że wydarzenia z dnia urodzenia stanowią formę horoskopu dla tej urodzonej w danym dniu osoby? I jakie wydarzenia brać pod uwagę?

Mogłaby to być prawda, gdyby czasopisma, internet i inne źródła odzwierciedlały istotnie najważniejsze wydarzenia, a w dodatku nie dokonywały ich selekcji pod kątem poczytności, oglądalności czy zainteresowania określonym ich rodzajem. Ponieważ tego nikt nie gwarantuje, wnioski wyciągnięte z wydarzeń „o których powszechnie wiadomo" mogą być mylące.

Można sobie wyobrazić, że ktoś w godzinie i w pobliżu miejsca urodzenia hipotetycznego dziecka przeżywał niesłychanie intensywne chwile, zrozumiał coś i odczuł ważność tego na całe życie, może nawet dokonał odkrycia, które mogło zmienić świat, ale którego nie doceniono i tak dalej. Bo w astrologii nie sądzę żeby było tak, że tylko to, co głośne i znane, jest ważne. Dlatego też nie lubię omawiania horoskopów celebrytów, bo w ich życiorysach nic nie jest pewne i nie daje się odróżnić rzeczy realnych od wymyślonych czy opisanych tendencyjnie. Trzeba człowieka znać osobiście, żeby wiedzieć, co ze wskazań horoskopu urodzeniowego naprawdę się zrealizowało w jego życiu. Także historia jest manipulowana albo kryje istotne tajemnice i nic nie możemy na to poradzić.

I chyba dlatego rejestr wydarzeń z dnia urodzenia jest ślepą ścieżką, astrologiczną ciekawostką.

Przychodzi mi na myśl jeszcze jedno zastrzeżenie: wyobraźmy sobie, że nastąpiła jakaś głośna katastrofa (np. smoleńska). Czy wszystkie dzieci urodzone tego dnia będą nosiły na sobie jej astrologiczne piętno? A wydarzenia tego rodzaju powinny się przecież grupować i kumulować, skoro było to astrologicznie ważne? Niestety, prasa z tego dnia i kilkunastu następnych nie zajmowała się niczym innym odcinając nas od możliwości analizy tego, co działo się w tej dacie.

109. Kuchenne błędy nieprzystawalnego transferu.

Zastanawiałam się czasem, co każe wielu kobietom tkwić w zachowaniach autodestrukcyjnych. Jeżeli dla niektórych z nich (raczej starszego pokolenia) kuchnia jest formą i symbolem uwięzienia, przymusu całego otaczającego świata, bo to w PRL bez gotowania mężowi i dzieciom nie sposób było żyć, to kiedy konieczność ta ustała, wraz ze sklepami pełnymi żywności, nieraz zadziwiająco taniej, choć niezłej jakości, łatwo byłoby się od tego uwolnić.

Pewna moja znajoma w wieku średnim, bardzo ładna kobieta, ale nie mogąca znaleźć pracy, choć uporczywie jej poszukująca, biegnie na telefon syna do domu, żeby przygotować mu jeść, choć „dziecko" mające około dwudziestki nie uczy się i nie pracuje (też nie może znaleźć pracy, ale specjalnie się nie stara), wieczory i część nocy spędza z kolegami, ale gdy zdecyduje się pojawić w domu i jest głodny...

Teoretycznie rzecz biorąc owa matka, praktycznie samotna, działa kompletnie wbrew swojemu interesowi. Na zdrowy rozsądek, skoro owe „dziecko" w niczym jej nie pomaga, a wiele żąda, a o jeszcze więcej ma pretensje, powinna dać mu nauczkę. Przyszła do mnie z wizytą, a jednak tkwi przypięta na końcu jakiegoś bungee, które na dźwięk telefonu uruchamia swoisty silniczek i wymiata ją niezależnie od tego, jak ciekawą rozmowę prowadziłyśmy.

Mogę to wytłumaczyć tylko w jeden sposób — jako chronienie się w kuchni, tym bastionie, okopie, nielubianym, często znienawidzonym, ale traktowanym jako jej terytorium — oznaczone zapachem, narzędziami, wytworami pracy własnej.

Czasami spotykam się z takim przejawem: — udaję się do kogoś z wizytą imieninową, ostatkową albo tzw. „kobiecym wieczorkiem". Następuje powitanie, prezentacja gości. Drzwi od mieszkania się

otwierają lub zamykają (w zależności od tego czy właścicielka przyjmuje gości sama czy z mężem) – i gospodyni pędzi do kuchni. Taki odruch, jak u psa Pawłowa, który początkowo na widok jedzenia, a potem po tresurze, ślinił się na sam dźwięk dzwonka. Solenizantka odkłada wręczone jej kwiatki i prezenty (nie zaglądając nawet do nich) i przepraszająco stwierdza, że musi jeszcze zajrzeć do piekarnika. W moim pokoleniu takie zachowanie jest raczej obowiązującą normą, u kobiet najmłodszych na szczęście na ogół nie występuje. Wiele z nich nawet nie ma zamiaru uczyć się gotować, choć nie mają nic ważniejszego do roboty. I oby tak było dalej!

Wracam jednak do żon mojego pokolenia, usługujących mężowi i dzieciom – często dorosłym – wspierających dzielnie swoją rodzinę przed złym światem. Czasami wydaje mi się, że ten mit złego świata mężczyźni wychowani w PRL podtrzymują celowo, bowiem uzasadnia to ich istnienie i żądania. Sytuacja rozwija się dalej według określonego schematu, który nie przewiduje wyrażania jakiejkolwiek wdzięczności, wręcz przeciwnie. Dlatego potem wszystko jest nie tak.

Oni:

1) niedobrze, źle przyrządzone, przesolone, niedosolone, za mało tłuste, za dużo tłuste, sypkie, twarde, rozgotowane, zimne, po co makaron, po co te śmiecie (koperek); wiesz, że nie lubię tego tamtego i owego,

2) nie jestem głodny, po co mi to, na co mi to, powinnaś oszczędzać, pieniądze nie rosną na drzewach, nie mam kopalni złota,

3) demonstracja wrogości w ogóle: siedzą we wrogim oczekiwaniu: *czy w tym domu jeść nie dają*!? Rażące wydaje się niektórym osobom użycie w sejmie określenia *W **tym kraju** nie jest możliwe...* ale nie wydaje się rażące *„Czy **w tym domu** jeść nie dają”* To z powodu podkreślenia: jeśli na kraj patrzę z pozycji obcego i to jest naganne, na dom pewnie też, ale to jest naturalne. Dom nie jest mój. Moja jest praca, polityka i moje sprawy. Kuchnia i dom jest kobiety. Słowa zdradzają intencje i wygłaszają je zarówno wykształceni jak i niewykształceni mężczyźni, mężowie i synowie, a czasem i wnuki.

Teraz one:

1) albo zostają same w kuchni z niepotrzebną, przesoloną, zbyt zamakaronowaną zupą, choć mogłyby ją na przykład demonstracyjnie wylać przez balkon (dezercja)

2) albo to, co jest, to nie jest to, co powinno być, więc pędem przystępują do poprawienia swoich wad (bronią okopu, bastionu), kaszę jaglaną zastępują kartoflami, ale wolno się gotują i trzeba czasu na obranie, więc spieszą się; zniecierpliwienie zwiększa się w tym stopniu, w jakim ich pośpiech; rezultat — jeśli nie pokaleczą się nożem, to zaczyna je boleć serce (*okop obroniłam, ale straty własne przekroczyły dopuszczalne)* – choć strategia obrony za wszelką cenę jest dobra, gdy ta cena jest niewielka. Czasami, w nocy dostają zawału albo wylewu, albo rano, w drzwiach łazienki, jak pewna moja znajoma, padają na ziemię martwe (*nie zdążyły wziąć porannych proszków* — opiniuje lekarz).

3) albo idą do pokoju i pytają łagodnym tonem: *czy można już podawać obiad?* wiedząc, że usłyszą złe słowa i otrzymają nieprzychylne spojrzenie. Idą po to, żeby naprawić sytuację, choć nie one ją zaogniły (posłowie walczącej strony, uważającej się za słabszą dążą do zgody).

A przecież najrozsądniejsze wyjście: wyłączyć wszystko, pójść i oglądać telewizję lub czytać książkę. Można wyjść na spacer. Dlaczego tego nie stosują? One mogą być świadome wojny, przeciwnik nie; instynktownie rozdziela ciosy, jakby kopał kamienie. Jeśli spytasz, czy wydał wojnę kamieniom, zdziwiony zaprzeczy. Niemniej wojna jest, głównie w kobiecej świadomości, ale jej bomby, wybuchy i ataki są zjawiskiem obiektywnym. Patrząc na to szerzej — powinny być lepszym strategiem od przeciwnika, on atakuje na oślep, niczym niedźwiedź opędzający się łapą przed niewidzialnym wrogiem, a one pakują mu się przed oczy ściągając na siebie ciosy łapy. Czy przed niedźwiedziem może być lepsza obrona, niż udawać nieżywą? Nie, ale ten niedźwiedź w każdej chwili może zacząć myśleć i zadawać ciosy skierowane. Pewnie dlatego nie wyłączają wszystkiego i nie idą gdzieś. Tkwią, jak moja mama *trzymając rękę na pulsie*.

Ta strategia działa od wieków. Pokolenia starszych kobiet mojej i innych rodzin, zapracowane w domu i przy garach, odzywają się we mnie twierdząc, że baba z założonymi rękami siedząca w fotelu to wynaturzenie, bliska śmierć i grzech. „*Tylko umierający kładą się do łóżka*" – mówiła moja mama „*byle się nie położyć"*. Położenie się dla kobiety pracującej fizycznie, to brak sił podołania obowiązkom, a brak sił, to choroba i śmierć. Trudno odmówić im racjonalnego jądra w ocenie sytuacji. Możliwe, że to racjonalne jądro tkwi w sposobie zaradzenia złu: nagła zmiana trybu życia na bezczynny, poddanie się, to depresja i śmierć. Nie ćwiczone życie przestaje mieć smak; lęgnie się przekonanie o zbędności i braku przydatności kobiety, a za łóżkiem już czai się śmierć. Czy jednak teraz ta strategia, gdy wyzwania, obowiązki, stosunki i wojny są inne, ma jakikolwiek sens?

Siostra mojej teściowej, też Katarzyna, samotna gospodyni wiejska, po zawale wraca ze szpitala do domu z zaleceniem lekarza, aby dużo odpoczywała i robiła tylko to, co konieczne. Nie umiała odpoczywać i nie wiedziała, jak tego się nauczyć. Siadała na twardym, niewygodnym krześle na środku kuchni, odsuniętym od stołu (zaraz wyjaśnię po co). Przez otwarte drzwi pokoju widać było łóżko z piętrzącymi się stertami poduszek w świeżych, białych powłoczkach, każdy załomek pościeli był wygładzony do przesady, koronka wyprostowana, na czubku najmniejszej poduszki siedziała lalka. Ciotka Katarzyna zasypiała na tym krześle, cały wysiłek przez sen wkładając w to, żeby z krzesła nie spaść. Czasami jednak spadała i dlatego krzesło było odsunięte od stołu, bo mogłaby się bardziej potłuc. Nie podpierała się na stole łokciami, nie rozsuwała szeroko nóg, bo przypuszczam, podobnie jak moja mama uważała, że łokciami na stole podpierają się tylko mężczyźni — *siedzisz jak chłop w knajpie* — mówiła.. Po pół roku dopadł ją drugi zawał, tym razem przerwał jej zmęczenie wiecznym odpoczynkiem na leżąco, w wyścielanej trumnie.

Nieprzystawalne korzystanie z doświadczeń przeszłości psychologia nazywa błędem nieadekwatnego transferu. Co nie zmienia faktu, który można wyrazić bardziej poetycko:

I zatopiły nas fale czasu

I jako mgnienie był nasz los

(nagrobny napis na cmentarzu w Pieriedielkinie w powieści Wasilija Aksionowa „Nowy słodki styl")

Mężowie zazwyczaj już poumierali (żyją krócej), kobiety też dołączają sukcesywnie do nich i na szczęście te obrazki przejdą do historii. Ale umierają z nimi i nami także rzeczy piękne i dobre, gdy niewiele trzeba było, żeby odczuć radość, gdzie nikt nie udawał się do psychologa, psychiatry albo na jakąś terapię, bowiem wystarczyło zasiąść wieczorem na werandzie wraz z sąsiadkami i przy

ćwierkaniu świerszczy i odgłosach nocnego lasu, oprzeć spuchnięte nogi na stołeczku i rozmawiać z żywymi kobietami, siostrami własnego losu.

I tak widzę Ciebie, moja nieżyjąca przyjaciółko, stojącą późnym wieczorem pod lampą, w stronę której lecą kąśliwe komary, nieszkodliwe ćmy, obrzydliwe żuki i innego rodzaju niezidentyfikowane paskudztwo. Piękne motyle, niestety, śpią. Starasz się odganiać komary (żeby nie pogryzły), ratować nieszczęsne ćmy przed samozagładą, obserwować żuki i zrozumieć całą tę owadzią mnogość. Chwilami odmieniasz się: starasz się zrozumieć komary, odgonić żuki i bronić się przed ćmami. Czasami odwołujesz się w tym do swoich wcześniejszych doświadczeń, ale albo wówczas owady były inne, albo pora roku nie ta... Niekiedy pojawia się potwornie wielki szerszeń, zwabiony światłem i czasami lęk przed nim i próba przewidzenia, co zrobi, przykuwa Twoją uwagę. Odczuwasz zbliżające się zagrożenie. Zastanawiasz się, czy nie masz zbyt słodkiej krwi i czy nie jest to Twoją winą. Ale mówisz sobie: To wszystko jest częścią natury, to wszystko ma prawo być. Niestety, nie potrafię znaleźć SŁOWA wynikającego z tego obrazu. To Ty w końcu byłaś poetką, nie ja.

Dzisiaj babciom oferuje się naukę obsługi komputera i pogaduszki za pomocą komunikatorów.

110. Deklaracja zgody

Z okazji Dnia Kobiet przypomniało mi się takie wydarzenie. W latach siedemdziesiątych obchody święta Kobiet były niesłychanie wyczekiwane przez panie. W zakładach pracy organizowano uroczystości na których podawano prawdziwą kawę w szklankach (i w torebkach – jako prezenty), wręczano rajstopy — o które było w sklepach trudno – funkcjonował nawet zawód repasaczki, kobiety za pomocą elektrycznej maszynki łapiącej oczka w rajstopach, a bardziej przewidujące sprowadzały zza granicy (głównie wschodniej) specjalne maleńkie szydełka z ruchomą klapką, dzięki którym można było zaoszczędzić na wydatkach. Wprawdzie oczka „załapane" ręcznie czy elektrycznie nigdy nie były tak równe i gładkie jak oczka fabryczne, ale *na bezrybiu i rak ryba*.

Tak więc obdarowane prezentami, a czasem i bonami towarowymi pracownice zakładów podpisawszy na listach odbiór tych wszystkich dóbr (łącznie z kwiatkiem, najczęściej tulipanem) zasiadały do szklanek prawdziwej kawy i prawdziwych ciastek, a cukier stał na stołach w cukiernicach i każdy mógł sobie sypać ile chciał.

Bardzo lubiłam to święto, ale miałam sporo uciechy z obserwacji, jak władze z każdym rokiem wprowadzały jakieś dodatkowe formalności i utrudnienia w obchodach. Zazwyczaj parę dni wcześniej krążyły okólniki w sprawach uważanych za oczywiste oczywistości, ale nagle władze rzucały nań snop światła niczym z reflektora, który skłaniał do zastanowienia się nad sensem pewnych świątecznych rytuałów. Żałowałyśmy, że nie jesteśmy obywatelkami ZSRR, bo tam dawano 3 dni wolnego, a nie marne ½ dnia, jak w Polsce. I w tym czasie w sklepach było większość tego za czym tęskniłyśmy: prawdziwa kawa, prawdziwe kakao, czekolada, różne kasze (jaglana aż w 3 granulacjach) i tłuste, nie rozwodnione mleko.

Tradycją było, przynajmniej w mojej wojewódzkiej spółdzielni transportowej, że panowie podawali paniom zasiadającym do stołu kawę i ciastka oraz wręczali kwiatka z życzeniami, po czym, gdy wszystko ze stołu zniknęło (łącznie z cukrem odsypywanym chyłkiem z cukiernic do chusteczek – bo i tak się zmarnuje do codziennej kawy prezesa, albo zabierze go jego sekretarka) panie były zwalniane do domów. Panowie zostawali sami „na dyżurze" i wówczas odbywały się w siedzibie firmy prawdziwe imprezy – męskie bez pań, może tylko czasem z udziałem sekretarki prezesa, która do czegoś była im potrzebna. Z zapachów wydostających się z sekretariatu można było sądzić, że na czołowym miejscu męskiego menu były szykowane śledzie w oleju z cebulką.

Pewnego razu na kilka dni przed świętem kobiet puszczono w obieg „państwowy" okólnik zabraniający różnych rzeczy, a w szczególności spożywania alkoholu na terenie zakładu pracy. Nasz prezes wymyślił, że wszyscy muszą ten okólnik podpisać. On w ogóle miał genialne pomysły w zakresie *puszczania obiegiem* okólników, najczęściej podpowiedziane przez główną księgową. Jej to pomysłem, firmowanym przez prezesa było między innymi puszczanie obiegiem takiego czasopisma jak „Przegląd Pożarniczy", czy coś w tym rodzaju i każdy pracownik musiał podpisać obiegówkę, że się zapoznał. Na ostatniej stronie tego czasopisma zamieszczano jednak krzyżówkę, więc żeby pracownikom nie przyszło do głowy rozwiązywać ją w godzinach pracy, krzyżówkę tę starannie zaklejano papierem (jednak czasem komuś dla rozrywki udało się nad parą z czajnika papier odkleić więc potem zamazywano ją flamastrem).

Puszczanie obiegiem czasopism oczywiście dotyczyło tylko tej, nikogo nie interesującej gazety, pozostałe czasopisma jak gazety codzienne oraz niesłychanie pożądana „Kobieta i Życie" trafiały tylko do prezesa, który tę ostatnią zabierał do domu dla żony. Był to czas, że czasopism kobiecych nie dawało się normalnym sposobem kupić w kiosku, wszystko odkładano dla znajomych). W latach siedemdziesiątych nie było właściwie takiej rzeczy, którą można by normalnie kupić.

Ale odbiegam od tematu. Otrzymawszy rządowe rozporządzenie zakazujące organizacji imprez z alkoholem na terenie zakładów pracy, nasz prezes sformułował własnym tekstem stosowne polecenie dla pracowników i uzupełnił je formułą oświadczenia, że pracownik taki a taki zatrudniony na stanowisku takim a takim przyjął w/w do wiadomości i zobowiązuje się tegoż przestrzegać. Tak się akurat zdarzyło, że sekretarka była chora a ktoś musiał w/w napisać na maszynie. W zakładzie kobiety były w mniejszości ale nie do pomyślenia było, żeby jakiś mężczyzna coś pisał na maszynie, to uwłaczało jego godności. Więc akurat nawinęłam się ja i prezes polecił mi napisanie tegoż elaboratu.

Byłam jeszcze dość młoda, rogata i czasami trzymały się mnie głupie żarty. Do tego miałam jeszcze młodszą koleżankę, obie byłyśmy pracownikami kontroli i jeździłyśmy razem na delegacje w województwie, gdzie miałyśmy obowiązek przebywać 15 dni. Nasi koledzy wizytatorzy, mężczyźni, oddawali swoje sprawozdania do przepisania na maszynie sekretarce, my zaś same pisałyśmy na maszynie swoje materiały, Uważałyśmy więc dodatkowe obciążenia tego rodzaju za jawną niesprawiedliwość. I coś strzeliło mi do głowy, żeby zamiast przepisać tekst prezesa, sformułować go na nowo. Nasz prezes robił wiele błędów ortograficznych i stylistycznych (np. z uporem maniaka góral, góra, górski, górować itp. pisał przez u zwykłe), co nie przeszkadzało mu poprawiać wszystkie cudze pisma. Zaczęło się więc zwyczajnie – od poprawiania błędów, wymieniania odpowiednich paragrafów tytułów i podtytułów, punktów i liter, do których on nie miał cierpliwości i tak doszło do sformułowania na końcu zobowiązania o treści:

„... W związku z powyższym, ja niżej podpisany(a) zobowiązuję się udostępnić Zarządowi Spółdzielni swoje prywatne mieszkanie do organizacji imprez, w czasie których spożywany ma być alkohol i wyrażam zgodę na zastosowanie wobec mnie sankcji służbowych w razie, gdybym z tego zobowiązania nie wywiązał(a) się. Data, podpis (czytelny)"

Zamierzeniem naszym było podłożenie owego dokumentu prezesowi do podpisu, a potem uciecha, jeśliby go podpisał. Zakładałyśmy oczywiście, że prezes odda nam teczkę z dokumentami i ja, jak to zwykle robiła sekretarka, rozdzielę pisma na poszczególne działy. To pismo oczywiście nie miało być upowszechnione. Miało tylko stanowić nauczkę dla niego, żeby mnie na przyszłość nie obciążał cudzymi obowiązkami, w dodatku poniżającymi. Niestety, jak zwykle sprawy potoczyły się swoim torem. Prezes wprawdzie podpisał owo rozporządzenie, ale poszedł z całą teczką gdzieś i puścił dokument obiegiem . Nasz zarząd liczył 45 pracowników i wszyscy podpisali, z wyjątkiem radczyni prawnej która dołączyła karteczkę do prezesa z pytaniem: „Czy to nie przesada? Ale jeśli mi pan poleci na piśmie, to podpiszę."

Prezes wściekł się. Zrobiła się nieziemska afera, ale oczywiście nikt nie obarczył mnie odpowiedzialnością za żart. Oświadczono, że radczyni prawna celowo przygotowała ten prowokacyjny dokument, żeby sprawdzić jak pracownicy czytają wysyłane obiegiem dokumenty i niestety zrealizował się najgorszy scenariusz obnażający bezmyślność naszej kadry. Zostaliśmy jakoś tam ukarani, dostaliśmy pisma ostrzegające, aż w końcu sprawa przycichła. I tak świetnie zapowiadający się dowcip okazał się całkiem chybionym, bowiem tradycyjne przemówienie prezesa

na Dzień Kobiet poświęcone było naszej pracowniczej bezmyślności. Dopiero łaskawie na koniec zauważył, że my, kobiety, jesteśmy niezastąpione ,jeśli chodzi o wykonywanie drobnych, uciążliwych, niesatysfakcjonujących prac i mężczyźni powinni docenić to, ile problemów dzięki temu spada im z głowy. Na koniec zaserwował nam swój żart: w jego małżeństwie panuje sprawiedliwy podział obowiązków — on zajmuje się nieważnymi rzeczami, jak praca, gazety, polityka, a jej pozostawia sprawy najistotniejsze — wychowanie dzieci i troskę o funkcjonowanie i politykę gospodarczą domu.

111. Samotniczenie

Tuż po śmierci męża, przed sześciu laty, samotniczałam. Polegało to głównie na tym, że wszystko, co przerywało tok mojego myślenia albo działania drażniło mnie, a czasem powodowało wybuch. Nie miałam żadnej – jak dziś – tolerancji dla odmiennych zainteresowań innych osób i codziennych spraw. Siadałam przy komputerze i zapuszczałam się w świat rzeczy odległych, oderwanych od codzienności: filozofii, sztuki, ezoteryki i co tam jeszcze się nawinęło, im dalej od zwyczajnego życia, postępowania spadkowego, rodzinnych sugestii, rozliczeń i kalkulacji, tym lepiej. W końcu po raz pierwszy miałam czas wyłącznie dla siebie, nie musiałam go kraść obowiązkom i zachłysnęłam się nim. Wróciłam do stadium dziecka, dla którego istnieje wyłącznie jego punkt widzenia. A świat jest piaskownicą z której garściami czerpiesz i przesypujesz piach. No i to chwilowo starcza dopóki zabawa się nie znudzi.

Oczywiście natychmiast pokłóciłam się przez telefon z bliską krewną, która zadzwoniła w nieodpowiednim momencie, gdy zajęta byłam pracą przy komputerze, sporządzaniem jakichś notatek (cofnęłam się mentalnie do czasów szkolnych) i zaczęła mi nawijać jakieś głupoty o swoim aparacie cyfrowym, który otrzymała w prezencie od syna i do którego ciągle dokupuje jakieś rzeczy, choć jeszcze nie zdążyła zrobić żadnych zdjęć. Aparat ma już od Bożego Narodzenia, a zbliżała się właśnie Wielkanoc i aż cierpłam na myśl jakim to rytuałom rodzinnym będę musiała się podporządkować, ile wysłuchać ubolewań innych ludzi, że zostałam wdową i ile pomysłów na moje dalsze życie (łącznie z ofertą do biura matrymonialnego) będę musiała znieść i odeprzeć. I oczywiście nie ma mowy, żebym spędziła samotnie święta. Makabra.

Więc gdy kuzynka zaczęła mi opowiadać o tym jakie baterie kupuje do aparatu, jakie akumulatorki i jaka ładowarkę i na moje pytanie: na ile czasu starcza jej jedno doładowanie odpowiedziała że nie wie, bo jeszcze zdjęć nie zrobiła i zaczęła mi robić wykład z rzeczy oczywistych, to znaczy że jak używa się lampy błyskowej, to jest większy pobór energii... nie zdzierżyłam i trzasnęłam słuchawką. Zadzwoniła ponownie więc powiedziałam jej że chętnie z nią porozmawiam, ale o czymś innym, zaczęła wyjaśniać poprzednią sprawę i swoje w niej stanowisko i znowu było blisko kłótni. Ona miała taki schemat prowadzenia rozmów: dzwoni i pyta co słychać? I ja muszę się męczyć, bo co może być u mnie słychać na przykład od wczoraj? Nic interesującego. Nie będę opowiadać jej, co jadłam na śniadanie i kiedy się wypróżniałam, ani co robię siedząc przy komputerze. Podstawowe informacje, na przykład, że kupiłam lodówkę albo byłam u lekarza, już ma. I tu są dwa możliwe kierunki rozmowy: jeśli u mnie "coś słychać", więc zaczynam jej mówić, ale ona odpowiada, że to nie na telefon, albo że już wyrozmawiała swoje minuty (po czym zaczyna mnie wprowadzać w tajniki swojej taryfy telefonicznej). W każdym razie jak by nie było, dba o to, żeby tematy rozmów były idiotycznie trywialne, wcale mnie, ani nikogo chyba nie interesujące. Rozumiem, że czując się osamotniona, chce z kimś pogadać, ale niech gada o czymś sensownym! A na pytania co ona porabiała, odpowiada: byłam z kimś umówiona, spotkałam się z kimś i wszystko. Żadnych szczegółów, z kim, po co, jak było i tak dalej. Tylko że kupiła coś tam i wydała trzydzieści złotych i że zestaw składał się z czegoś tam, co kosztowało dwadzieścia złotych i dwóch sztuk, zapewne po pięć złotych. To wszystko o aparacie fotograficznym, ale już jakie zdjęcia zrobiła i czy w ogóle je robiła - ani mru mru. Najściślejsza tajemnica. Może jej telefon na podsłuchu? Lepiej o prywatnych sprawach nie mówić.

Teraz, gdy jestem sama, nic nie stoi na przeszkodzie, że gdy czymś się zajmę, świat zewnętrzny przestaje dla mnie istnieć. Gdy byłam dziewczyną i na przykład uczyłam się intensywnie do klasówki, takie odloty miałam bardzo często. Stan najwyższej koncentracji. Dlatego wszyscy mówili, że nie uczę się, a mam dobre stopnie. Ja uczyłam się oczywiście, ale starczyło mi tylko niewiele, gdy się skoncentrowałam, szybko już wszystko umiałam. Potem, gdy miałam już męża, dzieci, gdy pracowałam, taka koncentracja była utrudniona. Ja nigdy nie byłam Napoleonem i nie potrafiłam robić na raz nawet marnych dwóch rzeczy; kiedy nie mogłam się skoncentrować, cierpiało na tym wszystko, co robiłam.

Teraz jest inaczej, na ogół nic mi nie przeszkadza i łatwo mogę, jeśli czuję taką potrzebę, wyłączyć się i zająć się pracą przy komputerze. Jednak im jestem starsza, tym trudniej przychodzi mi sama koncentracja, jeśli już wpadnę w rytm pisania, leci mi tak pięknie i tak wspaniale to, co piszę, łączy się z jakimiś wyższymi, nie zawsze świadomymi kalkulacjami, że ktoś, kto zaczyna mi nawijać jakieś bzdety, a w dodatku kłócić się, czy akumulatorki mają pojemność 6V czy jakąś inną, jest po prostu zbrodniarzem.

Poza tym dziś wiem, że to był przejaw dobrego serca i troski o mój stan psychiczny. Rozmówczyni sama wcześniej owdowiała i zatrzymała w czasie swoje samotniczenie – słowotok gadek o bzdetach i detalach, broń boże o żadnych sprawach istotnych, które dotknęłyby rzeczywistych problemów. Ja samotniczałam zupełnie inaczej. Nie uważałam wówczas, że ta troska o mnie jest w ogóle potrzebna, ale bliscy zauważyli, że na sprawę sądową dotyczącą testamentu i ewentualnego podziału spadku założyłam do czarnych spodni dwie różne skarpetki: czarną i jasną. U osoby tak zorganizowanej i poukładanej, jaką byłam wcześniej, było to wręcz wydarzenie kwalifikujące mnie do wysłania do psychiatry. Nic dziwnego, że rodzina się martwiła i usiłowała przeciwdziałać mojemu samotniczeniu. Dzwonili więc bez przerwy i opowiadali byle co. Ale wiadomo – dobrymi chęciami piekło wybrukowane.

Historyjka ta przypomniała mi się, gdy czytałam pochwały Przemysława Kapałki o kobietach tworzących kuchenne rytuały przy przyjmowaniu gości.

Moja kuzynka też taka jest. Na jej przyjątkach trudno w ogóle z kimś porozmawiać, bo zawsze przerywa je zachęcanie do spożywania wymyślnych potraw i omawianie przygotowania oraz walorów potraw okraszonych kajaniem się, że to czy tamto nie wyszło, bo nie udało się czegoś ze składników kupić, albo za długo (za krótko) potrawa tkwiła w piekarniku. No i wszechwładne panowanie słodyczy oraz tłumaczenie z uzasadnieniem mojej odmowy jedzenia ich. Ostatnio w ten sposób nie udało mi się dokończyć bardzo ciekawie zapowiadającej się rozmowy z pewną malarką o drobnym detalu występującym coraz częściej w jej obrazach. Podawanie tortu przerwało jej opowieść wyjaśniającą, skąd ten detal się wziął. Potem już ktoś inny zdominował konwersację.

Mimo, że to denerwujące, rozumiem to podpieranie się kulinariami, gdy rozmowy poważniejsze budzą obawy, a w głębi serca kołacze się niepewna siebie perfekcjonistka. W końcu jest to osoba w czynnym życiu zawodowym wykształcona, pracownik naukowy, specjalista niekobiecej dziedziny, której przymusowa emerytura i wdowieństwo zamknęło spojrzenie na świat według recepty Scarlett „Nie będę o tym myśleć”. Scarlett dodawała wprawdzie „pomyślę o tym jutro”, a moja kuzynka nie chce myśleć o jutrze. Wprawdzie często zadaje mi pytanie: „Jakie masz plany”, a gdy odpowiadam, że żadnych i na szczęście nie muszę, złości się, ale ona planuje wszystko – tyle że w horyzoncie tygodnia.

Wracając do pochwał Przemysława. Przykro mi, że nie zrozumiał mnie. Nie opisywałam kuchennych rytuałów, żeby krytykować kobiety tylko, żeby pokazać z czego się biorą. Piotr Jaczewski mnie zrozumiał, bo on także opisuje tego rodzaju sprawy, tyle że z pozycji teoretycznej, no i robi to w inny sposób niż ja. Ale oboje staramy się sięgać do dna, na ile jest to możliwe, oczywiście.

Mogłabym powiedzieć, że wzorem Biblii stosuję metodę przypowieści ilustrujących jakieś zagadnienie, tyle, że robię to inaczej, po kobiecemu – od analizy do syntezy, a nie od syntezy do analizy.

Smutno mi, jeśli ktoś nie rozumie moich historyjek. (zaraz myślę o spalonym Merkurym i innych astrologicznych herezjach). Osobiście denerwują mnie kobiece rytuały kuchenne, telefoniczne i tym podobne, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że ja też jestem pełna różnych takich zjawisk wskazujących na nieadekwatny transfer doświadczeń. Jeśli ktoś z czytających będzie chciał wiedzieć, niektóre mogę zdemaskować – co nie zmienia faktu, że mimo, iż rozumiem ich źródła, nie potrafię się zmienić albo nie uważam za sensowny wysiłek, który musiałabym w tę zmianę włożyć. W każdym razie za nieadekwatny do wagi zjawiska. Przykładem może tu być: zamykanie drzwi za zamek lub nawet trzy zamki, w zależności od pory, czasami nawet wstawanie nocą, aby sprawdzić czy drzwi są zamknięte, albo reakcja sprawdzająca czy nie ma gdzieś w bloku pożaru, gdy dobiegnie mnie zapach spalenizny (otwieranie okien i drzwi do mieszkania, stwarzanie przeciągu i węszenie przez zaspany nos). Podpadam też własnym dzieciom, bo czasem zapominam złożyć im życzeń urodzinowych, a kto jak kto, własna matka powinna o urodzinach dzieci pamiętać. Nie celebruję świąt, ale wściekam się, gdy wnuk nie chce podzielić się ze mną jajkiem lub opłatkiem, bo akurat takich rzeczy nie jada i tak dalej...

Z osobami, które opisywałam, od czasu do czasu daję sobie radę, udaje mi się wytrącić je takim czy innym sposobem z ich rytuałów i wtedy naprawdę zaczyna być ciekawie. Czego życzę Przemysławowi — trochę perswazji, trochę zdecydowania i może wyłonić się niespodziewana perła konwersacji wśród stygnących potraw.

112. Rodzinna karma

O rodzinnej karmie napisano mnóstwo rzeczy wyglądających na sensowne i mnóstwo bzdur. Jakieś elementy tej wiedzy/niewiedzy kołaczą się po kątach psychologii, astrologii i w wielu, czasem niespodziewanych miejscach.

Ostatnio sprawdzając zmiany w mojej kablówce wykryłam nowy kanał – telewizję Rodin i trafiłam akurat na wykład Jana Witolda Suligi, między innymi o reinkarnacji i karmie. Jest on także, wraz z innymi dostępny na stronie:

http://ctud.blox.pl/html/1310721,262146,21.html?1430742

Suliga omawia przykład trzech pokoleń kobiet realizujących w swoim życiu tę samą tendencję. Tę historię zresztą opowiadał nam na jednym z kursów. Babcia była szeptunką, jej córka też, ale wnuczka poszła zupełnie inną drogą życiową. W jej życiu nic się nie układało dopóki nie „wróciła" na stronę swoich przodkiń i nie zajęła się sprawami magii.

Suliga objaśnia to w sposób następujący: Pewne elementy wiary w reinkarnację i karmę występowały także na terenach Słowiańszczyzny, na przykład u Prusów. Jednak ta wiara w siłę i osobowość przodków ujawniających się u potomnych, w przeciwieństwie do wiary w reinkarnację narodów Wschodu występowała tylko w obrębie rodzin. Jakby kolejne wcielenia zmarłego przodka, zajmując nowe miejsce wśród żyjących członków jego rodziny wzmacniały siłę rodu, dodawały mu splendoru i znaczenia.

Doświadczalnie sprawdzalne jest, że oczywiście występują pewne prawidłowości zawodów, zajęć czy innych tendencji w obrębie rodzin. Na tych doświadczeniach bazują zresztą chyba także ustawienia Berta Hellingera.

Ja sama pochodzę z rodziny, która może być sztandarowym przykładem takich prawidłowości. Mój pradziadek był nauczycielem (także prababcia) i większość z jego ośmiorga dzieci, w tym mój dziadek. Moja babcia i jej siostra też były nauczycielkami. Moja ciotka, siostra ojca także była nauczycielką. Jedynie mój ojciec wyłamał się z tej rodzinnej tendencji zawodowej zostając inżynierem, konstruktorem samolotów. Ja też na początku swojej kariery zawodowej kilka lat pracowałam jako nauczycielka, podobnie jak jeden z moich synów. Mój dziadek i moja ciotka, siostra ojca, mieli ambicje literackie, ale mimo dużego intelektu i wykształcenia nie zdobyli uznania, zresztą z różnych powodów. U mnie też te tendencje występują, choć jestem dzieckiem rozbitego małżeństwa i z rodziną ze strony ojca nie miałam wiele kontaktów, a w każdym razie nie odgrywała ona żadnej roli w procesie mojego wychowania.

Jednak wyjaśnieniem tego niekoniecznie musi być rodzinna karma. Mogą być po prostu pewne cechy genetyczne, występujące w obrębie rodziny, podobnie jak na przykład schorzenia genetyczne, które także w jednej odnodze rodziny wystąpiły. Na to też mam przykład. Mój teść, ojciec mojego męża, miał pewien zwyczaj – w chwilach zastanawiania się nad czymś skręcał swoje ucho w rulonik. Ten sam zwyczaj ma mój wnuk, choć nie mógł pradziadka zapamiętać; gdy teść zmarł, wnuk był niemowlęciem i niewiele go widywał.

Pojęcie rodzinnej karmy traktuję więc raczej jako przybliżenie, uproszczenie, gdy chcemy opisać cechy wspólne dla grupy ludzi połączonej pokrewieństwem. Te cechy mogą być statyczne (wygląd, sposób bycia) jak i dynamiczne (życiowe wybory, losy, realizacja cech). Jeżeli rodzina ma ze sobą długotrwałe i ścisłe kontakty, ilość tych cech staje się większa, bo część z nich jest wynikiem pewnego rodzaju synchronizacji zachowań i naśladownictwa.

Krytycznie patrzę także na to, co nazywa się "syndromem dzieci alkoholika", syndromem żony alkoholika i matki alkoholika itp. Ludzki umysł lubi upraszczać, a jak już coś skomplikowanego udało mu się uprościć, to czepia się tego, jak rzep psiego ogona i nie chce puścić. Zwłaszcza, gdy pomysł robi karierę medialną. Ja, osobiście, nie patrzę na dzieci alkoholików w ten sposób. Wierzę jednak, że w życiu poszczególnych rodzin, czasem w kilku pokoleniach tych rodzin, pojawiają się problemy, które są odzwierciedleniem rozmaitych przejawów tej samej tendencji charakteru, postawy czy podejścia do świata.

Tendencja jest jedna, możliwe że za sprawą wyposażenia genetycznego, ale czasy, w których przyszło członkom rodziny żyć, są różne i dlatego skutki są niejednakowe. Upraszczając, tak jakby wyzwania stojące przed rodziną i jej członkami były podobne, a napływający falami czas testował: coś korzystnego da się z tego wyciągnąć, czy nie. A jeśli nawet nie da się, to może kolejny członek rodziny trafi na swój czas i tę "wadę" czy "cechę" (albo zespół cech) wykorzysta i osiągnie sukces. Reszta idzie na straty (a może na podtrzymanie tendencji?).

Pogląd ten mogłabym oczywiście rozwinąć szerzej, ale nie o to chodzi. Szukam innych uzasadnień niż karma czy przeznaczenie odbierające człowiekowi możliwości manewru.

W pewnej znajomej mi rodzinie dziadek był zapoznanym poetą alkoholikiem i takim był też jego wnuk. Środkowe pokolenie, córka i matka ukierunkowana także na literaturę, niepijąca, była zarówno dzieckiem jak i matką alkoholików. Ja rozumiem to nieco inaczej, nie jako nabyte wzorce zachowań w jednej wąsko pojętej rodzinie. W tamtej rodzinie (od strony ojca) silne było poczucie odrębności konstrukcji psychicznej i losu od osobowości innych ludzi. Człowiek z takim poczuciem odrębności rozmaicie sobie radzi w życiu, zwłaszcza chcąc je uczynić prostszym, łatwiejszym, podobnym tysiącom ludzi wokół. Jednym ze sposobów jest alkohol. Innym twórczość. Jeszcze innym narzekanie na wszystko i wszystkich. Także choroby, prawdziwe i wymyślone. (przy czym, gdy człowiekowi się wmówi, lub sam siebie przekona, że choroby są wymyślone, pojawiają się, co gorsza, prawdziwe). Mogło by się zdawać, że to fatum, które dotyka rodzinę jest bez sensu, niczego nowego nie wnosi oprócz cierpienia, ale nie, to nieprawda. Łączą się dwie osoby w parę, mają dzieci, a LOS jakby czeka, czy te domieszki pozwolą rodzinie osiągnąć sukces i korzyść z jej odmienności, czy nie.

Nie alkoholizm czy narkotyki są tu problemem, to przypadkowa sprawa. Problemem jest poczucie odrębności i napięcie, jakie odczuwa każdy z członków tej lub podobnych rodzin. Bo jeśli spojrzeć na nią szerzej, to kilka innych, ważniejszych cech jest wspólnych. Jedną z nich to pęd twórczy zderzający się z pędem do osiągnięcia sukcesu. O sukces jest trudno, więc rodzi się napięcie. Inni członkowie tej rodziny, nie uzależnieni od alkoholu też ten pęd przeżywają i też odczuwają napięcie. Są tylko albo silniejsi z natury, albo w obawie przed nadmierną wolnością, narzucają sobie więzy: — zakładają rodziny, opiekują się innymi, angażują się w ruchy oporu przeciwko władzy albo szukają innych miejsc, które będą dla nich łaskawsze (emigracja), lub chorują. Wszystko to są tylko rozmaite strategie w przezwyciężaniu oporu świata wobec ich dążeń.

Można powiedzieć, że członkowie tej rodziny stosują strategię minimaxu, polegającą na minimalizowaniu zagrożeń (osłabianiu napięcia) w dążeniu do maksymalizacji zysku (powodzenie i sukces), przy czym skuteczniejsza zapewne byłaby strategia przeciwna – maximinu, czyli dążenie do sukcesów po trupach, nie bacząc na straty, która cechuje ludzi z czołówki rankingu dochodów.

Można więc powiedzieć o tej rodzinie, że gdyby nie pęd twórczy jej członków, sukces (rozumiany najbardziej ogólnie) byłby łatwiej osiągalny, choć oczywiście panujące powszechnie przekonanie mówi, że ludzie twórczy odnoszą wielkie sukcesy (np. Bill Gates). Jest rzeczą oczywistą iż pęd twórczy stanowił tu obciążenie, jest zbyt silny i zbyt niezależny.

Czasami, przypadek sprawia, że ktoś z takiej rodziny, jeden z wielu pokoleń uzdolnionych, odnosi sukces i jest to sygnał, że zmieniają się epoki.

Niestety, rzeczywisty obraz losów twórczych uzdolnień jest bardziej skomplikowany i niejasny. Zwyciężą czy nie zwyciężą w wyścigu w nadchodzącej epoce?

Wczoraj mój dwunastoletni wnuk przyszedł do mnie wydrukować na kolorowej drukarce swoją pracę z historii. Tekst był na szarym tle, wyglądał jak żywcem ściągnięty z internetu. Zaczęłam więc delikatnie rozmowę o własności intelektualnej, że coraz więcej o tym się mówi, że własna indywidualna praca, a przynajmniej opisanie czegoś własnymi słowami jest o wiele bardziej wartościowe i tak dalej. Na to on mi oświadczył, że pracę napisał samodzielnie korzystając przede wszystkim z książek i kupowanego czasopisma „Ale historia" i tylko sformatował ją tak, żeby wyglądała jak ściągnięta z internetu. Oniemiałam i zapomniałam spytać, dlaczego coś ściągnięte z internetu jest jego zdaniem bardziej wartościowe niż opracowane własnym staraniem.

Może to właśnie sygnał nowej epoki? Coś ściągnięte z zaakceptowanego przez ogół nośnika informacji jest w oczach dorastającego pokolenia bardziej wartościowe niż własny wysiłek i własne twórcze staranie? Ulepszanie (o ile do niego istotnie dojdzie, a nie będzie tylko upiększaniem lub banalizowaniem) będzie wyższą wartością niż wymyślanie nowych rzeczy? Plagiat będzie zaszczytem a nie obciachem?

Czy więc twórczym ludziom grozi zagłada od alkoholu, narkotyków czy chorób rzeczywistych lub wymyślonych? I ich geny czy karma rozmyją się w internetowych chmurach kopii z kopii?

113. Przemiany wewnętrzne i odmiany losu. Część 1. Spowiedź świętokradzka

Telewizji już nie daje się oglądać, a gazet czytać. Podobnie jak w czasie Euro 2012, media zostały zdominowane przez wydarzenia nie mające najmniejszego wpływu na życie zwyczajnego człowieka tu i teraz. Ktoś może powiedzieć, że wydarzenia sportowe to zupełnie coś innego niż wybór papieża. Może ten ostatni wydaje się ważniejszy, ale w konsekwencji i tak, nawet dla ludzi głęboko wierzących, znaczenie jego jest niewielkie. Brzmi to trochę jak herezja, ale zaraz wyjaśnię, co mam na myśli.

Za wydarzenia mające zasadnicze znaczenie dla człowieka uznaję oprócz tych, które odmieniają jego życie w warstwie realnej (wojny, rewolucje, kryzysy, zmiany prawa w sferach bezpośrednio danej osoby dotyczącej) także te, które przewartościowują jego poglądy, sprawiają, że coś, co wydawało mu się złe i niesłuszne, zaczyna wydawać mu się dobre i słuszne. Przyznacie sami, że żaden papież, nawet *nasz* Jan Paweł II nie miał mocy, żeby to sprawić. Grzechy pozostały grzechami, a pokuta pokutą. Niektóre z postępowań człowieka balansują na krawędzi i dopiero za jakiś czas okaże się, czy są grzechem czy nie i to zupełnie niezależnie, co o tym sądzi Kościół – decyzję kolektywnie podejmą wierni swym zachowaniem, jak na przykład w sprawie zapobiegania ciąży. Kościół z papieżem na czele jak każde państwo porządkuje życie obywateli, na ile jest to możliwe i na ile mu oni pozwolą.

Odnosząc to, co napisałam do własnych, prywatnych spraw widzę tylko jeden moment, gdy Kościół miał realny wpływ na moje życie, a właściwie nie na życie, a na poglądy. I wcale nie wiązało się to z jakimkolwiek hierarchą, tylko ze zwykłym, nienajmądrzejszym księdzem w konfesjonale za czasów mojej młodości.

Na którejś z lekcji religii pewien ksiądz tłumaczył speszonym czternastolatkom jak zgubne może być ukrywanie na spowiedzi pewnych grzechów, dzięki czemu spowiedź może stać się świętokradzka. Na liczne zapytania przestraszonych uczennic, bojących się, że ich spowiedź stanie się świętokradzka, bo zapomną jakiegoś grzechu, ów ksiądz, nie wierzący najwyraźniej w siłę człowieczego sumienia, odparł, że właściwie jest tylko jedna rada: nigdy, pod żadnym pozorem, nie opuszczać na spowiedzi żadnego grzechu, a zwłaszcza takiego, co do którego nie jest się pewnym, czy jest grzechem. Najlepiej jego zdaniem, w przypadku takich wątpliwości nawet dodać sobie coś, niż opuścić. Na przykład chcesz, żeby ktoś, do kogo masz żal, umarł. Nie wiesz czy to jest grzech, więc lepiej wyspowiadać się z chęci spowodowania śmierci tej osoby...

Tylko czegoś takiego brakowało nieco rozchwianej Kasi tamtych czasów, w rezultacie czego ksiądz odmówił mi rozgrzeszenia za nie popełniony grzech (Pan Bóg i tak wie jak było naprawdę, a Twoja zasługa polega na tym, że weźmiesz na siebie większą pokutę), co w konsekwencji spowodowało moje rozstanie z religią na kilkadziesiąt lat a także dożywotni uraz do zapachu smołowanych bali.

A było to tak. Zakochałam się w pewnym chłopcu o orientalnej urodzie i pięknych oczach z wysoko podniesionymi brwiami, wyglądających jak w wiecznym zdziwieniu. Byłam wtedy w drugiej klasie liceum, znacznie młodsza i naiwniejsza od koleżanek. Wychowana w izolacji od rówieśniczek zupełnie nie potrafiłam sobie dać rady ze swoim uczuciem, które oczywiście głęboko ukrywałam uciekając w świat marzeń. A w realnym świecie jedna z moich szkolnych koleżanek miała obchodzić swoje

urodziny. Mieszkała w domu jednorodzinnym z dużym tarasem i tam miała odbywać się jej urodzinowa prywatka, na którą ten chłopiec był zaproszony. Chodził do równoległej klasy i do tej pory znałam go tylko z widzenia, nawet z nim nie rozmawiałam. Ta okazja miała być pierwsza do realnego poznania, więc moja fantazja pracowała pełną parą. Wyobrażałam sobie, że tańczę razem z nim na tym tarasie (oczywiście tango *Apassionata*), że za uszy założyłam sobie podwójne czereśnie, które to drzewo pełne czerwonych wielkich owoców rosło nad jej tarasem, że rozmawiamy tańcząc, a ja spoglądam przez jego ramię w dal. W moim marzeniu chłopiec ten obejmuje wargami jedną z podwójnych czereśni wiszących na moich uszach, zdejmuje je, ja biorę w swoje usta drugą czereśnię i, jak w romantycznym filmie, pojawia się napis koniec, a tu marzenie się urywa. Zanim jeszcze doszło do pocałunku.

Muszę dodać, że w tym czasie pojawił się w kinach włoski film „Jutro będzie za późno" dozwolony od 16 lat (nie wpuszczono mnie nań z powodu wieku, ale obejrzałam go, później w sanatorium, ale znałam jego treść z czasopisma i od koleżanek, które nie wyglądały tak młodo, jak ja). Tematem filmu było zdarzenie kiedy dwoje nastolatków schroniło się w czasie deszczu w przypadkowej szopie, gdzie całowali się. Dziewczyna sądziła, że od pocałunku można mieć dzieci i wskutek tego popełniła samobójstwo.

Taka głupia to ja nie byłam, ale w ogóle sprawa czy pocałunek, a w ślad za tym marzenie o pocałunku jest grzechem, zaczęłam mnie nagle poważnie nurtować, ponieważ zbliżał się termin pójścia do spowiedzi i musiałam podjąć decyzję, czy z marzenia tego należy się wyspowiadać.

Kierując się wskazaniami księdza z lekcji religii postanowiłam, że lepiej dodać sobie grzechu niż ująć, żeby spowiedź nie była świętokradzka i opisałam księdzu w konfesjonale swoje marzenie. Nie po raz pierwszy i ostatni w życiu zostałam zapewne źle zrozumiana (czego świadomości jednak nie miałam), bo mój grzech uznany został za tak poważny, że ksiądz odmówił mi rozgrzeszenia.

Naznaczył mi jednak drakońską pokutę, po dokonaniu której miałam powtórnie pójść do spowiedzi i wówczas ksiądz miał zdecydować czy udzielić mi rozgrzeszenia. Pokuta polegała na tym, że przez trzy kolejne niedziele i trzy msze święte pod rząd miałam cały czas klęczeć odmawiając określone modlitwy.

Zaczęłam już tej niedzieli. Nasz kościółek na Bielanach był drewnianym baraczkiem ze smołowanych bali, których smród był czasem, zwłaszcza w upalne dni nie do wytrzymania. Może to, a może osłabienie wieku dojrzewania sprawiło, że nie wytrzymałam do końca nawet pierwszej mszy i zemdlałam. Ludzie wynieśli mnie na zewnątrz, ocucili, a koleżanki odprowadziły do domu. Niestety, w następne niedziele sytuacja powtórzyła się. „Podchodziłam" do pokutowania trzy razy i trzy razy mdlałam. Ktoś w końcu opowiedział mojej mamie, że mdleję w kościele i uznała, że na jakiś czas powinnam przestać tam chodzić. Raz czy dwa poszła z nami do klasztoru w parku bielańskim, ale tam nie próbowałam pokutować, bo musiałabym mamie opowiedzieć jaki to grzech popełniłam, żeby zasłużyć na taką niespotykaną pokutę. Moja mama nie była zbyt gorliwą w chodzeniu do kościoła (twierdziła, że nie ma się w co ubrać) więc odpuściła i mnie. I tak zostałam bez rozgrzeszenia.

W 1996 roku po wypadku, z którego wyszłam żywa prawie cudem, w obliczu ciągle grożącej mi śmierci odczułam nieprzepartą potrzebę, żeby wyspowiadać się, a ponieważ szpital miał swojego księdza, przyszedł do mnie. Leżałam wówczas na OIOMie, całkowicie naga, z podłączonymi monitorami i automatami dozującymi wstrzykiwane leki, otumaniona i przerażona, skrępowana,

brudna i śmierdząca, ponieważ nikt mnie nie obmył ani nie podmył, a moja prośba o narzucenie prześcieradła została zlekceważona. Spowiadanie się w tych warunkach było powrotem do koszmaru pokutowania w latach dziecinnych, gdzie także cielesność zwyciężyła nad duchowością. Nic więc dziwnego, że sytuacja się powtórzyła. Ksiądz odmówił mi udzielenia rozgrzeszenia z powodu pewnego grzechu, do którego rozgrzeszania upoważniony był tylko biskup, a biskupa przecież nikt by do szpitala nie wezwał. Na koniec ksiądz poprosił o datek i otrzymał zawartość mojej portmonetki, jakby to coś mogło zmienić. Nie przyszło mi zresztą do głowy, że za tę sumę, zapłaconą salowej zostałabym obmyta od stóp do głów i nawet wyperfumowana, a także wymyto by mój kubek z którego piłam przez tydzień mleko, herbatę i kompot i był tak brudny, że przyklejał się do rąk. Niestety, wówczas rodzin na OIOM nie wpuszczano.

Tak więc zostałam bez rozgrzeszenia do dziś. Jednak ta spowiedź, zwłaszcza pierwsza była zaczynem poważnej przemiany wewnętrznej, a druga tylko ją potwierdziła i utrwaliła. Z brakiem rozgrzeszenia też można żyć, a z czasem dojść do wniosku, że i tak nikt nie jest w stanie człowieka rozgrzeszyć oprócz niego samego. Teoretycznie jednak samorozgrzeszenie powinno być łatwiejsze niż rozgrzeszenie przez księdza, czy zwłaszcza biskupa, ale tak nie jest. Co daje oczywiście dużo do myślenia i pole do rozważań, w których jednak osoba tego czy innego papieża, omylnego bądź nie, nie odgrywa żadnej istotnej roli. A cała szopka z wypowiedziami osób moknących na placu Świętego Marka jest po prostu śmieszna.

114. Przemiany wewnętrzne i odmiany losu: Część 2. Ekonomika handlu i wartości w stanie wojennym

W poprzednim odcinku uzasadniałam tezę, że za wydarzenia mające zasadnicze znaczenie dla człowieka uznaję oprócz tych, które odmieniają jego życie w warstwie realnej (wojny, rewolucje, kryzysy, zmiany prawa w sferach bezpośrednio danej osoby dotyczącej), także te, które przewartościowują jego poglądy, sprawiają, że coś, co wydawało mu się złe i niesłuszne, zaczyna wydawać mu się dobre i słuszne i że cała reszta jest biciem piany.

Dodam tylko do tego, że chęć przebywania razem z drugą osobą (a także Bogiem, czy własną społecznością), zrozumienia możliwego toku jej myślenia, nawet igrania z cudzym umysłem, bez poddania się wątpliwościom, (a priori nie wiadomo na ile słusznym) może wywołać takie postępowanie, którego wynikiem będzie przebiegunowanie, przemiana w obraz najgorszych zamiarów, jeśli sumienie będzie nadwrażliwe, a swój punkt widzenia zastąpisz cudzym. I naturalnym może się stać, że postanowisz siebie ukarać, a im kara będzie sroższa, tym lepiej może oczyścić twoje sumienie, a pokuta milsza Panu Bogu. Nie będzie już ważne, że wszystko opiera się na fałszywych przesłankach, na tym, że wyobraźnia i własny umysł szuka analogii swoich wewnętrznych przeżyć z tym, co słyszy się od innych ludzi lub czyta w książkach. Nawet świętych. Jesteś utopiony, a u twoich stóp ciąży zardzewiały łańcuch i młyńskie koło.

To niebezpieczne dla Twojego zdrowia psychicznego. A przecież nie robisz nic złego! Nie ma nad czym rozmyślać. Dopóki nikogo nie zamordujesz, nie liczą się myśli, nawet obsesyjne, o morderstwie. Wbrew temu, co mówią księża, nie grzeszy się myślą! Można zgrzeszyć decyzją wprowadzenia myśli w czyn (jeśli się ją wprowadzi) i tylko tyle. A przebiegunowania i tak nadejdą same przez się, bez twojego w nich udziału.

Usłyszałam kiedyś bardzo mądre powiedzenie: Tylko krowa nie zmienia poglądów. Zanim jednak przebije się to do ludzkiej świadomości, wiele wody upłynie, a wiele nieszczęść dotknie niektóre pokolenia...

Oto taka opowieść: Jest najgorszy okres stanu wojennego. Wszystkiego brakuje. Mężowie zatrudnieni w ZSRR na kontrakcie przy budowie elektrowni atomowej w Nietiszynie przysyłają nam tirami wielkie paki dobytku. Telewizory, kasze, plastikowe kolorowe wytłaczanki na 50 jaj, miksery, młynki, *miasorubki* (maszynki do mięsa), odkurzacze i inne wyroby elektryczne. W moim bloku przez całą zimę nie grzeją kaloryfery, bo od października do marca postanowiono wykonać remont c.o. (peerelowskie planowanie!), więc sprzedaję kaloryfery olejowe, chyba ze czterdzieści sztuk. Ciężkie jak cholera, ale jeżdżą na kółkach, do zbycia tylko na jednej posesji. Poza tym dostaję w paczkach czekoladę, kakao olej i sprzęt gospodarstwa domowego.

Władze coś wymyśliły nie tyle na niedobory, ile na babską świadomość. Handel dalej jest państwowy, ale od czasu do czasu organizuje się na większych osiedlach kiermasze, gdzie kobiety wymieniają niemowlęce ciuszki i dziecinne ubrania, a spryciarze usiłują sprzedać to czy tamto (co nazywa się paserstwem albo spekulacją). Nie ma mowy jeszcze o takich bazarach jakie są dziś. Na Ursynowie organizują raz w miesiącu niedzielne kiermasze rzeczy używanych dla dzieci. Sęk w tym, że oficjalnie wolno sprzedawać na takich kiermaszach tylko rzeczy używane, rzeczy nowe konfiskuje policja. W dodatku to wszystko trzeba przewieźć autobusem w wynalazku tamtych lat kraciastych torbach z sizalu, a siły kobiet są niewielkie. Ja ważę 48 kilo, jestem zagłodzona, moi dorastający synowie zjadają wszystko, co uda się dostać na kartki i bez nich. Moja koleżanka podobnie, choć ona ma córki, a te mniej jedzą. Wspomagamy się wzajemnie, ale zaczynają się kłopoty.

Handlowanie wtedy jest czymś, czego uczciwy człowiek nie aprobuje. Cinkciarze, badylarze, niebieskie ptaki i aferzyści – to ich domena. Wstydzimy się handlowania. Gdyby ktoś w naszym zakładzie pracy albo w lokatorskiej spółdzielni mieszkaniowej się dowiedział! Kiermasz odwiedza mnóstwo ludzi, łatwo zostać rozpoznanym przez kogoś. Więc dla kamuflażu na kiermasz ubieram się jak wiejska babina, zakładam ukraińską chustkę w jaskrawe róże na zielonym tle i zniszczony serdak z kożucha, wywrócony futrem do spodu. Alka, moja młodsza koleżanka zakłada ciuchy starszej córki, podkolanówki, plisowaną spódniczkę i przepaskę na włosy z kokardką i udaje niepełnoletnią. Raz łapie nas milicja, ale nie zabierają nam niczego, bo Alka kokietuje milicjanta, umawia się z nim na randkę i odchodzi na chwilę, żeby powiedzieć "mamie", że idzie na spacer z panem władzą, po czym zmywamy się obie. Na szczęście nadjechał autobus i udało nam się prysnąć wraz z tobołami niesprzedanego dobytku. Jednak Alki nie wylegitymowali, ale mnie tak. W dodatku mam okropny stres: na moje "stoisko" oblegane z powodu kolorowych „jajeczników”, jedynych agresywnie barwnych akcentów, zawitał mój profesor z uczelni, u którego za tydzień miałam zdawać egzamin, a ja modliłam się, żeby mnie nie poznał, tak było mi wstyd. Studiowałam ekonomikę handlu i usług i wówczas nie wydawało mi się zabawne, że ów profesor patrzył z pogardą na handlujące kobiety. To była jeszcze ekonomika socjalizmu. A ja chciałam zostać magistrem. (Dziś wydaje się śmieszne, że można nim zostać nie wiedząc, co to akcje i czym się różnią od obligacji i co naprawdę robi się na giełdzie poza noszeniem czerwonych szelek i pogryzaniem grubych hawańskich cygar – ale takim, choć nagrodzonym za pracę magistrem zostałam).

Odwozimy towar i obiecujemy sobie z Alą poszukać innego kiermaszu, gdzie nas jeszcze nie znają, ale gdzie można dojechać bez przesiadek. Jednocześnie wzywają mnie do administracji spółdzielni

mieszkaniowej, ponieważ w bloku wywiesiłam ogłoszenie, że sprzedaję piecyki olejowe. Wieczorem odwiedza mnie jakiś bandzior z prętem w ręku pod pretekstem, że sprzedałam mu zepsuty piecyk, ale szczęściem nie byłam w domu sama i nieco wcześniej oddzieliliśmy z sąsiadami kawałek korytarza zbrojoną taflą mrożonego szkła. Spółdzielnia mieszkaniowa grozi mi eksmisją za handel bez zezwolenia i bezczelne ogłaszanie tego faktu na drzwiach windy. To czas, gdy na tablicy ogłoszeń wiszą jedynie listy lokatorów z nazwiskiem i imieniem. Wiadomo powszechnie, że Katarzyna Urbanowicz zamieszkała tu i tu handluje ruskim badziewiem. Każdy dozorca dostaje mieszkanie służbowe i musi wiedzieć o lokatorach wszystko. Jeśli nie, jest tylko zwykłym sprzątaczem i ustawia się w kolejce do profitów. Chyba, że sam potrzebuje kaloryfera, wtedy można liczyć na przychylność i przymknięcie oczu.

Policja wzywa mnie na przesłuchanie w sprawie j.w. Martwię się, żeby nie dowiedział się o tym mój zakład pracy. Zwolnią mnie jak nic! Pani inspektor, a najgorsza handlara! Milicjanci odpuszczają mi, bo potrafię być przekonująco narzekająca. Polska specjalność. Litość popłaca. Ale obiecuję, że nigdy więcej. Jak w konfesjonale odbywam pokutę. Dyskutuję z milicjantami o trudnościach z młodym pokoleniem, pytam o radę i wskazówki. Oni też mają dzieci. Jak je uchronić?

Powinnyśmy z Alą przestać handlować, ale nie możemy, bo nie mamy za co żyć. Mężowie nakupili towaru za polskie pieniądze (z naszych pensji), a teraz my mamy sobie to odebrać z zyskiem handlując, ale handlarzy ścigają wszyscy (poza kupującymi).Pensje mężów, w bonach PKO, zasilają ich konta i są poza zasięgiem żon. Dopiero po powrocie mogą je uruchomić (o ile w międzyczasie nie znajdą innych pań). W domu leżą kartony *perłamutrów*, perłowych szminek i cieni do powiek, i spędzają sen z powiek na myśl, że albo milicja może je w czasie rewizji odkryć albo celnik odebrać na granicy.

Tej niedzieli po ucieczce z kiermaszu na Ursynowie mnie i Ali życie wydawało się czymś tak potwornym, splotem biedy, głodu, przymusu, beznadziei i strachu, że spiłyśmy się jakimś bimbrem. Ala przekłuwała mi uszy do kolczyków, za kilka dni jechałam do męża i musiałam wywieźć w uszach jakieś byle co (wpisując złoto do deklaracji celnej), żeby wrócić ze złotymi kolczykami na handel. Ala bimbrem dezynfekowała moje uszy, przekłuła je zresztą krzywo, przez co do dziś mam kłopot z kolczykami, w każdym razie spiłyśmy się jak koty. Obiecałyśmy sobie przyjaźń i wsparcie do końca życia — *Nigdy nie wyrządzę tobie żadnej krzywdy* – ale ta przyjaźń nie przetrwała marnych paru lat, choć krzywdy sobie istotnie nie wyrządziłyśmy.

A patrząc na to dzisiejszym spojrzeniem: zmagać się należało być może z milicją i spółdzielnią mieszkaniową, potem pracodawcą, ale samego handlowania nikt nie uważa za uwłaczające i poniżające. Ile więc można było ocalić sobie stresu, poczucia własnej godności i pewności siebie tylko przez aprobatę dla samego zajęcia! Uchronić się przed poniżeniem i beznadzieją. Popatrzyć na wyścig z władzami, jak na komedię Barei, a nie jak na grzech i przestępstwo. Nie szukać usprawiedliwienia, że skoro ktoś przez całą zimę pozbawia mieszkańców wielkiego bloku ciepła grzejników i ciepłej wody i okresowo wyłącza prąd, żeby nie nadużywać poboru energii, więc dobrem, a nie złem jest sprzedawanie olejaków. Że nie jest *moja wina, moja bardzo wielka wina*, tylko tych, którzy mnie i Alę mieli za nic, za pionki do przestawiania, potępiania i zastraszania możliwością skorzystania ze swoich uprawnień.

A ci, niby z drugiej strony barykady, tak wspierający opozycję, ale odmawiający rozgrzeszenia z powodu braku możliwości sprowadzania nowego pokolenia na ten świat – de facto dołączyli do

opresyjnej masy uzurpującej sobie prawo do orzekania, co jest dobrem, a co złem. I tak zażarci, jak zatwardziali bywali niektórzy komuniści – odmawiający rozgrzeszenia nawet w obliczu śmierci – z powodu nawet nie potępienia, ale takiego a nie innego podziału kompetencji.

Jednak przeżyłam – choć szanse miałam niewielkie – i nie udałam się do biskupa po rozgrzeszenie. Pewnego dnia weszłam do sezonowego kościółka w pewnej letniskowej wsi, mocno spóźniona na kazanie i usłyszałam z ambony „Najpierw musisz sama sobie odpuścić swoje grzechy i dopiero wtedy rozmawiać z Bogiem". Tak trafiłam do grona tych, którzy wierzą w dywinacje w oparciu o kamienie, drzewa i przypadkowe słowa. Chociaż wiem, że cała reszta owego kazania umknęła mojej uwadze.

115. Przemiany wewnętrzne i odmiany losu: Część 3. Wina i kara – proces norymberski.

Kiedy byłam dzieckiem wierzyłam, że każda wina spotyka się z natychmiastowym odzewem w postaci kary. Problem był w czymś innym – po czym poznać, że zawiniłaś? Oczywiście po tym, że nadeszła kara. Skoro nadeszła, musiała ją poprzedzić wina. Identyfikacja winy była tu zjawiskiem wtórnym, nic więc dziwnego, że dochodziło do przekłamań i ustaleń daleko odbiegających od rzeczywistych win i ich hierarchii.

Rodziło to pewne trudności, piętrzące się wówczas, gdy należało dokonać rachunku sumienia przed przystąpieniem do spowiedzi. Świat dorosły jest dla dziecka na tyle hermetyczny, że nie potrafi podzielić kar na rodzaje w zależności od tego skąd przyszły. Tak więc karą było lanie otrzymane od rodziców, zruganie przez kogoś przypadkowego lub nauczycieli, a także kary zesłane przez Boga, los, czy władze. Pamiętając otrzymane kary można było drogą wnioskowania ustalić popełnione grzechy i z nich się wyspowiadać. Przy czym spowiedź nigdy dziecku (a może i nikomu z dorosłych) nie przynosiła ulgi z tej prostej przyczyny, że nie było objawów przebaczenia. Mama mówiła najwyżej: *na drugi raz zapamiętaj, żeby tego nie robić*. Dobrze było jeśli win nie wypominała w nieskończoność. Nie było też objawów, żeby Pan Bóg komukolwiek przebaczał, choć księża o tym często mówili.

Dziecko może więc popełnić błąd stawiając na przykład w hierarchii win na jednym poziomie zabójstwo rzeczywiste czy wymyślone z dziecięcymi psotami, nie uwzględniać okoliczności łagodzących istotnych w sądach dla dorosłych, żadnych czynów w rodzaju obrony kogoś przed kimś i wielu, wielu innych rzeczy. Czasami byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było tak straszne.

Tuż po wojnie, kiedy schwytano niektórych hitlerowskich zbrodniarzy i wytoczono im proces przed Trybunałem Norymberskim, w wyniku którego niektórzy z nich zostali skazani na karę śmierci, rodzice rozmawiali przyciszonymi głosami o procesie, a ja, jak to dziecko wytężałam słuch, żeby usłyszeć to, co usiłowano przede mną ukryć. Usłyszałam tylko część i dopowiedziałam sobie resztę z której wynikało, że **zbrodniarzy się wywiesza**. Rozumiałam to w taki sposób, że wywiesza się ich za okno zaczepiając za szyję. I że była to kara za spowodowanie czyjejś śmierci. Większość wyroków wykonano w latach 1946 - 47, miałam więc wtedy około 4 lat.

I zdarzyło się, że ja spowodowałam czyjąś śmierć, a mianowicie zabiłam swojego kolegę, rówieśnika, niejakiego Krzysia. A było to tak.

Warszawskie dzieci w latach powojennych miały jedną powszechną zabawę – w pogrzeby. Grzebało się wszystko: znalezione w ogródku żuczki, dżdżownice, żaby i myszy złapane w pułapkę i wyrzucone

przez rodziców na śmietnik i wszelkie inne żywe stworzenia. Wykopywało się dołek, wsadzało trupka (bez trumny, bo w Powstaniu nikt sobie trumnami głowy nie zawracał), robiło kopczyk i stawiało na nim krzyżyk z gałązek.

Moja siostra była niemowlęciem i leżała w wózku wystawionym na powietrze w ogródku. Przyszedł do nas mój rówieśnik, Krzysio i bawiliśmy się chwilę razem, potem ja gdzieś odeszłam dalej. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że Krzysio łopatką nabiera ziemi z grządki i sypie ją do wózka siostry. Przysypał nawet jej buzię, ale ona spała i nie wrzeszczała. Zrozumiałam więc, że Krzysio ją zabił, a teraz ją grzebie w ziemi.

Wiedziałam, bo rodzice zawsze mi mówili, że siostra jest młodsza, bezbronna, głupiutka więc ja mam zawsze jej bronić ponieważ jestem starsza, mądrzejsza i silniejsza. A tu prawie pod moim bokiem została zabita i teraz Krzysio urządza jej pogrzeb, jak gdyby nigdy nic. Zalała mnie wściekłość. Podniosłam z ziemi jakiś kamień czy odłamek płyty chodnikowej i z całej siły rąbnęłam Krzysia w czoło. Z głowy Krzysia poleciała krew, upadł na ziemię i nie ruszał się.

Z krzykiem zaczęłam uciekać. Podbiegłam do ogrodowej furtki, która akurat nie była zamknięta, bo przyszedł Krzysio z mamą, wybiegłam na ulicę a potem byle dalej, byle dalej od miejsca zbrodni. Tak dobiegłam do pobliskiego lasku bielańskiego i terenu zabaw dla dzieci, a potem dalej i dalej. W lasku były jeszcze leje po bombach, niektóre zarośnięte chaszczami i w jednym z nich ukryłam się.

Wiedziałam, że zbrodniarzy się ***wywiesza***, a ja właśnie stałam się zbrodniarką. Wezmą mnie i osądzą ***w tym norymbergu***, osądzą i ***wywieszą***.

Widziałam już oczami wyobraźni jak wiszę wywieszona za oknem, jak duszę się, jak wszystkie dzieci z ulicy przychodzą i przyglądają się, a ja tak wiszę i wiszę wiele godzin czy dni (jak umierał ***wywieszony*** na krzyżu Pan Jezus)...

Siedziałam w tym wykrocie dwa dni i jedną noc. Wreszcie zziębniętą i półprzytomną odnalazł pewien policjant z grupy przeszukujących okolicę. Wiedziałam że policjanci zabierają zbrodniarzy do więzienia, ale byłam już tak półprzytomna, że było mi to raczej obojętne. Policjant niósł mnie na rękach do domu i coś tam opowiadał. Dotarło do mnie jak wszyscy się martwili i rodzice i Krzysio... Więc Krzysio żyje? – spytałam. – A dlaczego miałby nie żyć – zdziwił się policjant.

Zrozumiałam wówczas, że moja zbrodnia nie została wykryta, a ja mam nadludzkie zdolności. Mogę zabić Krzysia, a potem sprawić, że odżyje, jak w zabawie. Chciałam go zabić i zabiłam na śmierć. A potem chciałam, żeby wszystko się odstało i odstało się. Ale została wina : MOJA BARDZO WIELKA WINA. Policjant mnie uniewinnił, nawet sam Krzysio się o mnie martwił, rodzice nie domyślali się zbrodni, ale przecież ona była, choć uniknęłam kary. Pierwsza Komunia i nauki w kościele, kiedy poszłam już do szkoły nic nie zmieniły w moim rozumieniu. Dowiedziałam się tylko, że to, co do mnie mówi o winie i karze nazywa się sumieniem.

Byłam dzieckiem, ale wiedziałam już, że umiałabym zabić. I pamiętałam to coś czerwonego przed oczami, które pojawia się, jeżeli chcę zabić. Miałam tylko nadzieję, że już nigdy nie zobaczę przed oczami tego czegoś czerwonego.

116. Przemiany wewnętrzne i odmiany losu: Część 4. Wina i kara – zabójstwo staruszki

W poprzednim odcinku napisałam, jak zabiłam swojego kolegę Krzysia i że miałam nadzieję nie zobaczyć już owego czegoś czerwonego przed oczami, co pcha człowieka do zbrodni. Jednak zobaczyłam i znów stałam się zbrodniarką, ale moja wina nie spotkała się z karą. Ukarany został ktoś inny, ale symbolicznie, nieadekwatnie do winy, a tak naprawdę LOSOWI nie chodziło ani o moją winę ani o karę, ale o całkiem inne czyjeś interesy. Tak więc udaremniona zbrodnia nie spotkała się z normalną karą choć karę poniosłam ja i moja rodzina w zupełnie innej postaci.

Brzmi to w sposób mocno skomplikowany, ale kalkulacje ludzkie w wykorzystaniu nadarzających się okoliczności modyfikują sprawę win i kar, sprowadzając je na tory tak nieoczekiwane, jak perfidne potrafią być zamiary ludzi. Czy i jak zostali ukarani ci namierzeni – jest tajemnicą sił wyższych. I nie sądzę, żeby miały na oku wyłącznie sprawiedliwość.

Początek tej historii sięga lat przedwojennych. Pewien człowiek wybudował sobie dom letni na osiedlu eksperymentalnych technologii budowlanych na Bielanach. Człowiek ten zatrudniał służącą, kobietę o nazwisku K...ka. Kiedy zbliżała się wojna człowiek ten, mający powody obawiać się jej, wyemigrował zostawiając dom pod opieką owej K...kiej. Wszystkie meble zostały zgromadzone na strychu, strych zabity na głucho, a ponieważ prowadziła doń tylko drabina i mały otwór uniemożliwiające wyciągnięcie solidnych wielkich sprzętów (wciągano je na dach i stamtąd na strych) rzeczy tego człowieka były względnie bezpieczne i nie zostały rozszabrowane. Nie zostały żadne papiery osobiste, nie wiadomo więc było o nim nic więcej niż nazwisko. Owa opiekunka domu, K...ka też przepadła w zawierusze dziejów.

Po powrocie po Powstaniu do Warszawy moi rodzice uzyskali nakaz kwaterunkowy na ten dom, ponieważ ich mieszkania w Śródmieściu albo zostały całkowicie zniszczone (rodziców ojca) albo jako mieszczące się na Alei Szucha przy siedzibie Gestapo przejęte przez Niemców (mamy).

Mieszkaliśmy tam w spokoju do roku 1957. W tym czasie pojawiła się pani K...ka ze swoim adwokatem i swoimi roszczeniami do domu. Szczegóły sprawy tonęły w tajemnicy urzędów, wiadomo było jedynie, że kobieta ta z opiekunki domu na mocy testamentu właściciela stała się właścicielką domu. Testamentu nikt nie widział (poza urzędnikami) na oczy, więc nikt nie miał możliwości go kwestionować, a właściciel domu ponoć już nie żył. Poza tym kobieta miała inne atuty. Legitymowała się dokumentami poświadczającymi, że była więźniarką z Ravensbruck, a w tych czasach byli więźniowie byli traktowani bardzo opiekuńczo i nikt specjalnie w dokumenty im nie zaglądał. Gdyby zaglądali, dowiedzieliby się, że przebywała tam zaledwie 3 dni no i nic pewnego, czy dokumenty te były prawdziwe. Oglądali je wyłącznie urzędnicy, a jak okazało się znacznie później, w czasie kilku procesów, byli materialnie zainteresowani w podobnych mieszkaniowych szwindlach.

Tak więc pani K...ka, jako prowadząca proces spadkowy, ale jeszcze nie właścicielka, uzyskuje nakaz kwaterunkowy na zamieszkanie w domu z naszą rodziną, pomniejszoną o jedną osobę, ponieważ wymeldował się ojciec.

Dom, jak wspomniałam miał być letniskowy, drewniany, z zewnątrz tylko obrzucony tynkiem. Składał się z kuchni i pokoju na parterze oraz łazienki i dwóch małych pokoików na piętrze. Cały jego metraż to nie więcej niż 40-50 m2. Trudny był podział tego na dwie rodziny, ale Urząd Kwaterunkowy dał sobie z tym radę. Przydzielił pani K...kiej kuchnię i kawałek pokoju na parterze, nakazując oddzielenie go płytą pilśniową, nam pozostawiając resztę.

Pani K...ka wprowadziła się. Była to staruszka blisko osiemdziesięcioletnia, wredne babsko, jak mało kto. W świetnej kondycji fizycznej, ordynarna i wyszczekana i nie odstępowana dzień i noc przez swojego adwokata. Zaczęła wojnę podjazdową. A to wylewała kwas na nasze kwiatki na rabatce, zrywała zielone owoce i wynosiła je na środek ulicy tylko, żebyśmy nie zebrali ich kiedy dojrzeją. Poza tym sukcesywnie przesuwała ową ściankę skokami, aż niespodziewanie, gdy mama była w szpitalu, odgrodziła sobie cały parter. Nasze interwencje u urzędników nie dawały rezultatów także i dlatego, że mama nie umiała rozmawiać z władzą – denerwowała się, plątała w dygresjach, nie umiała jasno wyłożyć swoich problemów. Także, jak później się okazało, urzędnicy nie byli w tej sprawie niezaangażowani i bezstronni.

Ustawicznie walcząc z próbami eksmisji (bez próby zapewnienia lokalu zastępczego – co przewidywały ówczesne przepisy na wypadek przejęcia własności odebranej dekretem Bieruta – wówczas zwracano domy jednorodzinne właścicielom lub spadkobiercom) dotrwałam tak do czasu, gdy wyszłam za mąż i urodziły się moje dzieci.

Był rok 1966. Dzieci leżały w bliźniaczym wózku na powietrzu pod drzewkiem, a ja skończyłam pranie, rozwiesiłam pieluchy i pobiegłam na róg ulicy na chwilę do sklepu. Kiedy wróciłam, zastałam wózek z dziećmi wywrócony na ziemię, dzieci na gołej ziemi (był dopiero kwiecień!), pieluchy pozrywane i wdeptane w błoto, a tam, gdzie przedtem stał wózek rozbił ktoś namiot, rozpalono ognisko i krzątało się kilku facetów. Potem okazało się, że to byli czechosłowaccy turyści, którym pani K...ka wynajęła ogród pod namiot, a rzekomo dzieci i pieluchy psuły im widok. Pani K...ka jeszcze wtedy nie miała żadnego prawa do domu i ogrodu, ponieważ sprawa spadkowa nie była zakończona.

Wówczas zobaczyłam po raz drugi w życiu czerwoną płachtę przed oczami. Awanturowałam się z panią K...ką, kiedy ta pazurami rozorała mi twarz i zrzuciła okulary. Nagle przestałam widzieć i wiedzieć, co się ze mną dzieje. Zareagowałam jak zwierzę broniące swoich małych, wściekłe i trudne do opanowania.

Ocknęłam się kiedy mąż i inne przypadkowe osoby przechodzące ulicą odciągnęły mnie od pani K...kiej, którą podobno o mało nie udusiłam. Oczywiście wezwano milicjantów, a ci sporządzili notatkę. Dzieci były już umyte i leżały w łóżeczkach, a policjantom było głupio, bo nie sprawiałam wrażenia jakiejś megiery, cóż, kiedy mieli swoje obowiązki i przepraszając sporządzili notatkę służbową.

Tydzień później okazało się, że o chuligańską napaść na panią K...ką został oskarżony... mój mąż. Cóż, on był potężnym mężczyzną, a ja wątłą i bladą dziewczyną po trudnym porodzie, która jeszcze nie siadała normalnie na krześle. W sprawach o chuligaństwo orzekały tzw. Kolegia Orzekające. To był automat. Nikt nikogo nie wysłuchiwał, na posiedzeniach orzekał tzw. „czynnik społeczny". W naszym przypadku to był jakiś okropny grubas, radny dzielnicowy z czerwonym nosem i tubalnym głosem oraz dwie milczące kobiety. W każdym razie męża skazano na jakąś karę w zawieszeniu i nikt nie chciał słuchać, że on uratował życie tej K...kiej, a ja na nią napadłam – nie mówiąc już o przyczynach.

Od orzeczenia Kolegium Orzekającego można było odwołać się do sądu, ale należało wnieść opłatę w wysokości jednej pensji, a na to nie mieliśmy pieniędzy. Odpuściliśmy więc sobie odwoływanie się do sądu.

Po miesiącu okazało się, jaką głupotę popełniliśmy. Urząd Kwaterunkowy już nie potrzebował w imieniu pani K...kiej dawać nam lokalu zastępczego. Chuliganów wysiedlało się po prostu poza Warszawę do jakichś baraków. Nikogo nie obchodziło, że jednemu „chuliganowi" towarzyszyła rodzina: żona, dzieci, teściowa i szwagierka i że nie on był głównym lokatorem.

Od tamtych wydarzeń rozpoczęliśmy wędrówkę po Polsce po różnych zakładach pracy, które dawały mieszkania służbowe, aż zebraliśmy wystarczającą ilość pieniędzy na mieszkanie spółdzielcze lokatorskie. Po kilku latach dowiedzieliśmy się, że cała grupa urzędników i adwokat pani K...kiej zostali skazani w procesie o korupcję w Urzędzie Dzielnicy. Naszego domu już dawno nie było, został zburzony, ogród podzielono na dwie działki, sprzedano je i wybudowano na nich dwa domy. O pani K...kiej już nie słyszałam. Nie sądzę, żeby zdążyła skorzystać na całej sprawie i niewątpliwie nie o jej korzyści toczyła się gra.

Reasumując: jak na próbę zabójstwa kara była niesłychanie łagodna, a w dodatku dotknęła mnie tylko pośrednio. Czy jednak istotnie taka powinna być sprawiedliwość? I czy inni uczestnicy wywinęli się z tego bezkarnie? Nie wiem.

117. Dzieci Indygo

Znajoma podesłała mi linki do filmów o tzw. Dzieciach Indygo. Czytałam o nich tu i ówdzie w internecie, ale informacje nie budziły specjalnego zaufania. Filmy, które obejrzałam można traktować nieco poważniej, ale też trudno im zaufać, zwłaszcza filmom USA, noszącym wyraźnie charakter agitacyjny i upraszczający, dostosowany do średnio inteligentnego i niezbyt krytycznego odbiorcy. Już bardziej zasługuje na zaufanie film rosyjski, robi wrażenie poważniejszego i sięgającego głębiej do zjawiska, Które... Czy istnieje...?

Przypomnę podstawowe twierdzenia. Dzieci Indygo są to dzieci urodzone po roku 1980 na całym świecie. Nazwa bierze się stąd, że rzekomo ich aura ma przewagę koloru niebieskiego. Tego nie jestem w stanie sprawdzić, ponieważ mimo starań nie widziałam nigdy żadnej aury, żadnego koloru. Dalej: Dzieci Indygo znacznie różnią się od innych dzieci, są mądrzejsze, dysponują niesamowitymi zdolnościami, które jednak nie zawsze są dostrzegane i doceniane. Dla otoczenia często mają one syndromy ADHD, autyzmu, depresji, manii, choroby dwubiegunowej i innych. (chciałam przejrzeć w internecie rodzaje chorób psychicznych u dzieci, ale odpuściłam sobie, bo trudno znieść przyklejoną agresywną reklamę pieluszek pampers, której w dodatku nie można zamknąć) – w każdym razie nieważne jak nazywają się po polsku, ale mają wiele mądrych nazw. Zaburzenia tego rodzaju dotyka podobno 20 % populacji dzieci (wg źródeł polskich), a same ADHD w Rosji 10% uczniów. Ile spośród nich jest Indygo – nikt nie liczył. W filmie amerykańskim właściwie cechy Dzieci Indygo prezentuje tylko jedna dziewczynka na kilkoro opisanych, więc trudno na tej podstawie snuć jakieś przypuszczenia, co do ich liczby.

Dzieci te w autorów filmu USA mają niesamowite zdolności, ale szkodzą im: fast fody, rtęć ze szczepionek, różne potrawy w zależności od tego, co aktualnie uważane jest za szkodliwe, ale co za dwa trzy lata się zmieni, oraz mnóstwo innych czynników, które psują mózgi tych dzieci. Jak widzimy więc jest tu pomieszanie z poplątaniem – są geniusze, ale życie im szkodzi. I jeśli można przy okazji dowalić szczepionkom, koncernom farmaceutycznym, tym lepiej! W końcu Le Carre w swojej powieści szpiegowskiej zdemaskował je ostatecznie!

Od razu nasuwają mi się dwa pytania:

1) Skąd wiadomo, że jest tych dzieci obecnie więcej niż kiedyś? Bo nie z tego, że autyzm i ADHD nazwano całkiem niedawno, tacy ludzie zawsze istnieli i będą istnieli, podobnie jak ogarniętych smutkiem nazywa się będącymi w depresji, ale przecież smutnych nigdy nie brakowało.

2) Co się z nimi dzieje, gdy dorastają? W końcu dziecko urodzone w latach osiemdziesiątych jest obecnie dorosłe i nie widać jakoś w polityce, sztuce, literaturze i nauce jakiegoś specjalnego „wysypu" genialnych umysłów.

Jest jeszcze jedna teoria wyjaśniająca powstanie tych dzieci. Wiązałoby się ono z tzw „Paradą planet", do której miało ponoć dojść w latach 80-tych, ale jedyne, co znalazłam w internecie to jakieś bajdurzenia na forach. Za to dużo informacji, o tym zjawisku w 2012 roku – ale nic nie wiadomo o tym, by rodzące się właśnie dzieci, poza tym że mają w Polsce przechlapane ich mamusie z powodu nie załapania się na dłuższy urlop macierzyński, były jakieś wyjątkowe. Jeśli była parada planet w

latach osiemdziesiątych i zaowocowała wyjątkowo uzdolnionymi dziećmi, to sytuacja powinna obecnie się powtórzyć.

Wspomniałam, że bardziej interesujący jest film rosyjski: Dzieci Indygo w Rosji http://www.youtube.com/watch?v=zUPJc10P4Wg

W filmie tym stawia się tezę, że czynnikami różniącymi dzieci Indygo od innych dzieci jest:

1) Ich promieniowanie falowe jest 3-10 razy większe niż normalnie

2) występują zmiany w DNA

Niestety, nigdzie nie udało mi się przeczytać o naukowych metodach ustalenia tych faktów oraz o wiarygodnych porównaniach. Tak więc są Dzieci Indygo, bo promieniują falami światła indygo – co jest masłem maślanym.

Dokładniej omówiono ich cechy psychiczne. Ponoć należą do nich:

1) Nie mieszczenie się w normach rozwojowych – in plus

2) Wyższy stopień rozwoju umysłowego, głębokie przemyślenia i wyższy iloraz inteligencji; mądrość ale i gorsze wyniki w nauce

3) Nieodporność psychiczna, nadwrażliwość, wyobcowanie, popadanie w konflikty z otoczeniem, dysfunkcje rozwojowe.

4) Odbieganie od stereotypów

5) Lepsze rozumienie świata ale i konflikt z tym światem

6) Wysokie poczucie sprawiedliwości, patologiczne reakcje na kłamstwo

7) Nieposłuszeństwo, stawianie się ponad innymi, niepogodzenie z cudzym przywództwem i cudzą przewagą

Jako przyczyny dysfunkcji i zagrożenia dla tych dzieci wymienia się: alkoholizm, ołów, rtęć, uszkodzenia okołoporodowe. Stanowi to więc pewną furtkę odwrotu: przyczyną odmienności tych dzieci są uszkodzenia mózgu i jego rozwój w pewnych nieoczekiwanych kierunkach jako kompensata uszkodzeń. Wiadomo na przykład, że niektóre dzieci autystyczne odznaczają się niesłychanymi umiejętnościami np. matematycznymi przy upośledzeniu innych umiejętności właściwych dla ich wieku.

Właściwie więc podsumowując można powiedzieć: nie istnieją Dzieci Indygo, a dzieci o dysfunkcjach mózgu.

Problem ten ciekawi mnie z tej racji, że sama byłam dzieckiem ADHD, choć taka jednostka chorobowa nie istniała wówczas, gdy się rodziłam i gdy szłam do szkoły. Wiem tylko, że posłano mnie do szkoły, gdy miałam pięć lat, bo nikt w domu nie mógł ze mną wytrzymać. Biegałam, przewracałam wszystko i sama się przewracałam, ani chwili nie mogłam usiedzieć w miejscu, gadałam jak katarynka (tak mnie nawet nazywano).Wiem też, że moją ulubioną zabawą w dzieciństwie było turlanie na ręku kuleczek rtęci z rozbitych termometrów, nacieraniu różnych przedmiotów z metali celem sprawdzenia, które

po tym zabiegu bardziej się błyszczą (np, srebro wyglądało jak piękna platyna!). Inną podejrzaną sprawą było wysypywanie przez mamę garściami proszku DDT wzdłuż ścian domu, żeby zapobiec robactwu.

No i wojna, zwłaszcza Powstanie do dziś wywołujące przerażenie mojego ciała na odgłos wybuchów. Czy to znaczy, że byłam Dzieckiem Indygo i że nie zostałam rozpoznana jako prekursorka tego gatunku?

Niestety nie potrafię znaleźć nikogo, kto by mi powiedział jaki jest kolor mojej aury i jaka częstotliwość falowa mojej osoby. I czy, jak te dzieci z lat osiemdziesiątych, mimo znakomitych zapowiedzi zostałam przemielona przez ŚWIAT, z którym nie umiałam się pogodzić?

118. Jeszcze o Dzieciach Indygo (i innych)

W poprzednim odcinku wymieniłam cechy przypisywane Dzieciom Indygo. Mimo, że wyraźnie tego nie napisano ani nie powiedziano, ich cechy można sprowadzić do dwóch:

— Nieposłuszeństwa

— Wszechstronności.

Sięgając do swojego dzieciństwa przypominam sobie, że problemem było zawsze to, co dziś uważa się za zaletę, a mianowicie:

— umiejętność szybkiego czytania – wydaje się, ze miałam ją od zawsze, ale odzwyczajano mnie od tego. W domu i w szkole mówiło się, że „połykam książki" i bynajmniej nie był to komplement. Tę umiejętność zatraciłam dopiero po pięćdziesiątce, w wyniku niedotlenienia mózgu wskutek wypadku. Mozolnie nad tym pracowałam — ale nie osiągnęłam dawnego poziomu gdy jednym spojrzeniem ogarniałam stronę książki i wiedziałam wszystko.

— podzielność uwagi — w szkole opowiadano, że czytam pod ławką jakąś książkę, a nauczyciele chcący mnie „złapać" ni stąd ni zowąd wyrywają do tablicy. Zwłaszcza często robiła to matematyczka nazywana „Pluskwą" z powodu wielkiego brzucha opiętego zjadliwie zielonym sweterkiem. Nie była bynajmniej moim wrogiem, tyle, że z zamiłowaniem mnie testowała. Albo odpowiadałam od razu, albo zaczynałam wyprowadzać jakieś wzory na tablicy ponieważ pamięć miałam marną i wzorów nigdy nie pamiętałam. Mimo tego miałam z matematyki ocenę bardzo dobrą. Także na studiach nie sprawiała mi żadnego kłopotu. Jednak rozumiałam ją bardziej instynktownie niż świadomie – jeśli coś można powiedzieć na podstawie tylko obowiązkowego zakresu tej nauki.

— Tzw. „bujna fantazja". Czego ja wtedy nie wymyślałam! W jedenastej klasie popadłam w manię astronomiczną i nikt nie był w stanie mnie zatrzymać. Tyle, że nie miałam odpowiedniego sprzętu do badań i obserwacji, a i internet wtedy nie istniał. Nauczyciel astronomii odetchnął z ulgą, kiedy przestałam go męczyć. Pamiętam, że miałam uczucie iż potrafię poruszać się w Kosmosie niczym piłeczka i nic z ówczesnych problemów astronomicznych, także rozumienia wykresów, nie było mi obce. Do dziś nic z tego nie przetrwało – odbywając kurs astrologii u Wojtka Jóźwiaka mozolnie uczyłam się podstaw na nowo – ze średnim zrozumieniem. Zapomniałam dokładnie swojego poruszania się w Kosmosie. Mętnie pamiętam, że fascynowała mnie paralaksa, ale to wszystko; nie pamiętam już, o co mi wówczas chodziło.

Moje manie, pomysły i fascynacje trwały na ogół dość krótko, ale tak czy inaczej zawsze mnie do nich zniechęcano. Dziś oceniam, że 80 % mojego wczesnego okresu życia odbywało się w sferze odległej od realiów. Intuicyjnie rozumiałam rozmaite wykresy, poruszałam się po narysowanych wektorach, ale nie umiałam swoich umiejętności wykorzystać. Uczennicą byłam średnią, ze studiów polonistycznych musiałam zrezygnować. a studia ekonomiczne do osiągnięcia pierwszego stopnia zrobiłam z powtarzaniem roku. Dopiero na magisterskich nabrałam wiatru w żagle.

Jednak zawsze mi powtarzano, że moją słabością jest nieumiejętność zaszufladkowania się. Czy na tym też poległy te wszystkie świetnie zapowiadające się Dzieci Indygo?

Dziś mam kłopoty właściwe starszym osobom – trudno mi czasem znaleźć właściwe słowo, zapominam początku myśli i sformułowania, jeśli go nie zapiszę od razu. Mam do zapamiętania kilkanaście PIN-ów i zapamiętuję je, ale czasem, jak zacięta płyta wkładam kartę do bankomatu i czuję się wyzerowana. Albo staję przed swoim blokiem (po kilkukrotnych wymianach zamków mój klucz przestał pasować) i łapię się na tym, że nie pamiętam kodu do drzwi wejściowych. Na szczęście po chwili przypominam go sobie i mogę wejść. Jednak czasem w nocy mozolnie przypominam sobie we śnie te wszystkie PIN-y, a gdy budzę się, odkrywam, że przypomniałam sobie też liczby i daty, które uznałam za na zawsze zaginione w przepastnych zwojach mózgu. W przeciwieństwie do dzieci, wychowanych w kontakcie z komputerem i internetem pierwszy program telewizyjny obejrzałam w wieku 14 lat, a obsługi komputera nauczyłam się w wieku czterdziestu dziewięciu. Tak więc nie mam ukształtowanych medialnych ścieżek w mózgu i być może, w snach mój mózg usiłuje sobie takie ścieżki wyrobić. Bowiem moje sny nie nadają się zupełnie do Zawijawy – stale w nich coś liczę, poruszam się po jakichś internetowych nieistniejących stronach, jedno skojarzenie goni inne, coś się wykluwa a coś zamiera – tak czy inaczej nie używam słów, a liczb, albo najwyżej jakichś pojęć. Niektóre z nich — okazuje się to po obudzeniu — nie istnieją. (Ostatnio śniło mi się „ups" przerobione na brzęczący sygnał radiowego odbiornika lampowego. Śniło mi się owo „ups" jako migotanie tzw. „magicznego oka" – jakie było w każdym radiu mojego dzieciństwa i służyło do precyzyjnego dostrojenia fali poszukiwanej radiostacji nadawczej. Kiedy koniczynka magicznego oka zasłaniała już całe, ciemniejsze tło, owe „ups" eksplodowało i falowaniem kolorów zmieniało się w często używane w reklamach obrzydliwe słowo łał! Wszystko to było bolesne i tamowało oddech.) Tak jakby te słowa (wyrazy) w moim mózgu usiłowały wedrzeć się w miejsce zakodowanych w dzieciństwie wołaczy: hej!, howgh!, czuj!, czuwaj!, achów i ochów, późniejszych cze! („Ej ty tam" od Che Guevary oczywiście),

Nie piszę o tym dla ciekawostek. Zastanawiam się, czy dla Dzieci Indygo (o ile istnieją, a właściwie istniały) konieczność przekierowania swojego mózgu jest tę przeszkodą, która uniemożliwia im życiowy sukces? Ja miałam wprawę — urodziłam się leworęczna, ale częściowo rodzicom udało się mnie przestawić na praworęczność, zanim zabronili im tego lekarze wskutek niekorzystnych objawów neurologicznych. Dlatego możliwe, że jakieś zalążki ścieżek powstały wówczas i nawet starość i właściwa temu wiekowi chęć nicnierobienia i nicniemyślenia nie daje im rady.

To dotyczyło jednej cechy: rozproszonych zdolności i zainteresowań. Pozostaje jeszcze inna cecha Dzieci Indygo – nieposłuszeństwo, niepodporządkowanie się, wybujały indywidualizm.

To jest – sądzę – wyłącznie cecha społeczna. Pamiętam lata, kiedy pierwsza fala powrotów Polaków z ZSRR do Polski zaowocowała kilkoma uczniami w mojej klasie. Jakże oni byli inni! Nie dość, że chodzili w białych fartuszkach z falbankami (jak jakieś burżuazyjne pokojówki – my nosiliśmy fartuszki z błyszczącej granatowej podszewki w formie prostych roboczych sukienek) to dzieciaki te były tak obrzydliwie posłuszne. Każdy rówieśnik mógł im coś kazać, a one, głupie dzieci repatriantów, słuchały się nie tylko dorosłych. Taka Jasia z trzeciej klasy szkoły podstawowej. Śliczna, słodka blondynka, zawsze ulizane włosy, niebieskie oczęta, wyprasowana w kant chusteczka — jakby stworzona, żeby ją drażnić albo wyśmiewać. Najlepsza uczennica z naszej klasy. I takie religijne nazwisko! Ale posłuszna aż do przesady!!!

Ale my też byliśmy (według dzisiejszych standardów) posłuszni! Nikomu nie przyszło do głowy pyskować nauczycielom, uważać się za lepszych czy mądrzejszych od innych. Tyle, że znaliśmy w tym

posłuszeństwie miarę. Nasi rodzice wyszli z wojennej zawieruchy albo całkowicie stłamszeni albo z tych, którzy nic nie znaczą, przeobrazili się w tych, co nagle się liczą i zgłupieli z tego szczęścia. Tak czy inaczej dzieci należały tylko do jednej ze sfer ich zainteresowań, niekoniecznie najważniejszej. Ubrać, dać im jeść, zapewnić przeżycie. Reszty uczyli rówieśnicy, a większość z nich, dzieci biednych rodziców wychowywano w dyscyplinie i obowiązkach. Dzisiejsi rodzice i dzieci są inne.

Czy więc niezależność i indywidualizm Dzieci Indygo nie biorą się z czasów wolnych od wojen i lęku przed następną, gdzie człowiek może zakwitać, bo dziecko nie jest śmieciem, ale kimś ważnym dla społeczności, choć jemu akurat wydaje się, że społeczeństwo jest opresyjne. Przez blisko siedemdziesiąt lat nie było w Polsce wojny i ludzie z pokory przed światem przeskoczyli w drugą ostateczność: hardość i zadziorność.

Mój wnuk jada tylko kilka wybranych potraw, innych nie chce nawet spróbować i w ogóle nie ma nad tym dyskusji. Nie jada warzyw, w życiu nie zjadł jajka. Gdyby znalazł się (i wielu jego rówieśników) w latach czterdziestych na przykład, na Wołyniu, zmarłby z głodu, chłodu i braku opieki, jeśliby nie został wcześniej zamordowany. A jednak, jeśli ktoś tam przetrwał pogromy, to w większości były to dzieci. Opowieści ocalałych świadczą o tym dowodnie. Niektóre mówią o dzieciach nieposłusznych — nie posłuchały się mamy, mimo wołania nie wróciły do domu i przeżyły. Im mniej w ich zachowaniu było cech przewidywalnych, tym większe miały szanse.

Posłuszni zawsze stali na gorszej pozycji, a jednak z uporem tyle lat ćwiczono i ćwiczy się dzieci w posłuszeństwie. Czemu?

119. Wielkanocne trzepanie dywanów

Gdyby zdarzyło się coś tak dziwacznego, że nie chodząc codziennie do sklepów i nie czytając gazet tudzież nie oglądając telewizji meteo, która prognozy dla narciarzy zamieniła na prognozy na Wielkanoc (ale w tym roku przeplotła je tylko zgrabnie) zapomnielibyśmy o zbliżaniu się świąt — jedna rzecz nam je nieuchronnie przypomni — dywany.

Najpierw za oknami od świtu aż do zmroku, a czasem jeszcze dłużej usłyszymy rytmiczny odgłos ciężkiej pracy panów domu, a w ich braku, samotnych matek nie posiadających konkubentów, choć posiadających dywany, potem w naszych skrzynkach pocztowych za sprawą przepisów unijnych zwiększających ich objętość, pojawią się ogłoszenia o wyprzedaży dywanów z powodu likwidacji hurtowni. Już od lat przynajmniej pięciu podobne ogłoszenia zamieszcza Gazeta Wyborcza i co roku zdobią je fotografie tych samych dywanów i ta sama hurtownia sprzedaje je na wyprzedaży, bez widocznego skutku.

Za czasów słusznie minionych dywan w mieszkaniu był wyznacznikiem statusu rodziny. Kanapa, dwa fotele, stół rozkładany z regulowaną wysokością, coby służył raz jako ława pod kawę i ciastka, raz jako bufet na przyjęcia młodych albo stół na przyjęcia starych. To wszystko musiało stać na dywanie, a dywan, choć regularnie odkurzany, przed Wielkanocą musiał zostać koniecznie wytrzepany, jak jego właściciele wyspowiadani, umyci i wypachnieni – najczęściej „ruskimi duchami", bo były mocne i wydajne.

Jednak Wielkanoc miała i inne milsze strony. Rodzinnie malowano pisanki, a przynajmniej gotowano jajka w łupinkach od cebuli, namaczano mięsko wieprzowe w czymś, co nazywało się saletrą, dla sporządzenia szynki (jakoś nikt nie bał się, jak dziś, że saletra kupiona w spożywczaku może zostać wykorzystana przez terrorystów), wszyscy cieszyli się z góry na zwiększony przydział kartkowy, wysiewali nasiona rzeżuchy na podkład z zaoszczędzonej waty albo ligniny (też na kartki, a podpasek wówczas nie było) i czekano na to aż pojawią się kiełki. W sklepach można było kupić baranki, zajączki albo kurczaczki z cukru (nie na kartki!), a dzieci z góry się cieszyły, że po świętach będą je mogły zjeść. Pamiętam, jak kupiłam przed Wielkanocą baranka z wędzonego serka owczego i dzieci były tym mocno rozczarowane. Dla mnie baranek to był tradycyjny przedmiot do postawienia na stole i mało zastanawiałam się nad tym, z czego jest sporządzony – z ciasta, cukru czy sera.

Trzeba było jeszcze przed Wielkanocą nabyć u babiny pęczek bazi i wiecznie zielonej borówki. Laryngolodzy mieli urywanie głowy, bo dzieci, między innymi i ja, lubiły wkładać pączki bazi do nosa. Poczekalnie były pełne takich delikwentów.

Dzieci przeżywały też rozczarowania. W Wielką Sobotę święciło się potrawy, ale jeść je można było dopiero w niedzielę, albo przynajmniej po rezurekcji. Dlatego dzieciaki nie protestowały, kiedy rodzice ciągnęli je do kościoła po nocy wiedząc, że po powrocie dostaną coś gorącego i szyneczkę albo kiełbaskę. Rodzice, którzy nie chodzili na rezurekcję często budzeni byli w nocy z dziecinnym molestowaniem: czy możemy już coś zjeść?

Niektóre kurczaki siedziały w gniazdkach na jajkach z cukru albo czekolady i to też ekscytowało dzieci. Kiedy te jajka będziemy mogli zjeść?

Należało poczekać, aż rodzina podzieli się ćwiartkami jajka i można już było zgarniać do buzi wszystko, co się nadarzy.

To wszystko jakoś napędzało i podtrzymywało tradycję. Sąsiadki spotykające się przed blokiem czy w kolejkach pilnie baczyły kto trzepie swoje dywany.

— Pani nie trzepie dywanów? – pytały mnie.

— Nie, bo nie mam — odpowiadałam.

— Niemożliwe, jak można nie mieć dywanów? Przecież jesteście normalna rodzina, żadne tam menele!

— No, ale mam alergię na kurz.

— To nie ma pani odkurzacza?

— Mam, ale nie mam dywanów.

— To po co pani odkurzacz?

Tak czy siak byłam odmieńcem i tyle.

Religijne aspekty Wielkanocy były mniej ważne, choć w dzieciach budziły rozmaite demony.

Po pierwsze trzeba było przebrnąć spowiedź, a jeszcze przedtem sporządzić rachunek sumienia. Kiedyś moja szkolna koleżanka spisywała na kartce swoje grzechy podczas lekcji i kartkę zabrała jej pani od biologii. Nie była osobą religijną, tylko komunistką z przekonań i praktyki i wobec tego w trosce o uchronienie dzieci przed przesądami, odczytała grzechy mojej koleżanki na głos przed całą klasą. Uważała to za bardzo wychowawcze postępowanie. Czasami dzieci gubiły swoje kartki z grzechami i też przeżywały stres, czy ktoś nieodpowiedni takiej kartki nie znajdzie i na złość nie zaniesie rodzicom.

Kolejnym strachem dzieci były świąteczne rytuały. Ja na przykład zawsze wymiotowałam po zjedzeniu jajka i bałam się okropnie, że nie dobiegnę do łazienki po podzieleniu się jego ćwiartką z rodziną. Zwłaszcza jeśli goście upodobali sobie jakieś dłuższe przemówienia po takim podziale. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło – od tamtej pory wiem, że nie mogę na przykład szczepić się przeciwko grypie.

Potem trzeba było być grzecznym przy stole. Nie można było brać sobie tak od razu upatrzonych potraw, trzeba było czekać, aż zostanie się poproszonym o poczęstowanie. Ale zawsze częstowano akurat nie tym, na co dziecko miało ochotę. Nie można było ciamkać i mlaskać, a także glamać, jeśli coś nie smakowało, trzymać łokci na stole, odzywać się nie pytanym, odpowiadać na pytania w sposób dziwaczny i nieoczekiwany. Poza tym trzeba było odpowiadać na głupie pytania dorosłych: Co tam w szkole, jakie masz stopnie i takie tam – albo jeszcze gorsze. Ja zawsze podpadałam za to ostatnie.

Kiedyś spytana przez pewną panią, czym bym chciała zostać, jak dorosnę odparłam (jeszcze nie chodziłam wówczas do szkoły), że kurtyzaną. Przy stole nastąpiła konsternacja. Pani ta, przyjaciółka mojej mamy „z wyższych sfer" zaczęła dopytywać się, co ja widzę takiego atrakcyjnego w życiu kurtyzany.

Tymczasem ja przypadkowo wysłuchałam kiedyś opowieści pewnych państwa o wizycie w teatrze i obejrzeniu opery „Dama Kameliowa". Dla mnie, nie dysponującej słownikiem, kurtyzana była aktorką, pięknie ubraną dziewczyną wesołą i swobodną, której nikt do niczego nie zmuszał i nikt niczego nie zakazywał (a zwłaszcza trzymania łokci na stole).

Z wielkanocnych gaff jeszcze pamiętam jedną. Przed kościołem chłopiec młodszy ode mnie, brat szkolnej koleżanki zawołał:

— Uważaj Kasia bo wejdziesz w gówno! I ja weszłam. Jego mama spytała:

— Nie słyszałaś?

— Słyszałam — odpowiedziałam.

— Może nie wiesz, co to jest gówno?

— Ależ wiem: to jest coś ważnego, na przykład Dworzec Główny.

Trudne było życie dziecka w tamtych czasach. Dzisiaj nawet nie każą mu się podzielić z dorosłymi jajkiem, bo dziecko jajek nie lubi i jest to wystarczający powód. Wszyscy nabożnie słuchają, co mały królewicz ma do powiedzenia, a on zazwyczaj nieporadnie opowiada jakieś filmy z Fox Kids. I w ogóle, gdyby nie to trzepanie dywanów i jakieś bzdety wystawione w sklepach nikt nie wiedziałby, że jest jakieś święto. Kiedyś nudziły się dzieci, teraz nudzą się dorośli. Tylko dlaczego zawsze na mnie wypada – czy jestem dzieckiem, czy dorosłą?

120. Teorie spiskowe

Są duże i małe teorie spiskowe. Największe to oczywiście Blue Beam, Zamach Smoleński, „rzeczywiste" przyczyny ataku terrorystycznego 10 września, poza tym polskie i zagraniczne legendy miejskie, różne „czarne wołgi", „trupie suknie ślubne ukradzione z trumny i sprzedane na bazarze". Jest ich tak dużo, że nie sposób nawet większości z nich prześledzić. Ale i są małe teorie spiskowe. Słyszymy o nich w osiedlowych sklepikach, gdzie okrutnie przejęte, zazwyczaj starsze osoby opowiadają o zwykłych życiowych bolączkach nadając im niezwyczajne znaczenie.

W sąsiednim bloku trwa remont klatki schodowej. Czekając w kolejce wysłuchuję pretensji pewnej pani o nie wycieranie nóg przy wchodzeniu. Wprawdzie zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma teraz wycieraczki, bo pewnie robotnikom układającym płytki przeszkadzała, ale przecież „człowiek jak nie jest chamem, to tak czy inaczej wytrze buty". Jasne, nawet chusteczką do nosa!. Ale słucham mimowolnie dalej robotnikach, którzy układając kafelki w wejściu na klatkę są chamscy i ordynarni, a ponadto według jej rozeznania nie jest to czyste chamstwo, wynikające z ich prywatnej natury, tylko chamstwo narzucone przez tych, co wygrali przetarg na remont, ale z jakichś powodów zamierzają nękać lokatorów bloku, może dlatego, żeby mieszkania w nim straciły na cenie, a podstawione osoby mogły je wykupić za grosze i przekazać temu jednemu, wielkiemu MANIPULATOROWI, który steruje wszystkim. Przy takich opowieściach zazwyczaj pada nazwisko rządzącego polityka. Tłumaczenie, że specyfika remontów jest taka, że utrudniają ludziom życie nie da rezultatów, ponieważ na odległość już widać, że osoba ta węszy wszędzie teorie spiskowe.

Dlatego też inna osoba z tego rodzaju nie podyktuje nikomu żadnego numeru telefonu do zapisania w komórce, tylko pisze go na kartce (zasłaniając ją ręką) przed ewentualna kamerą zamontowaną (zapewne) w żyrandolu, lub odbiornikiem kierunkowym, który analizuje drganie szyb. Wszystkie siły i środki światowego szpiegostwa skierowane na nią! Stresuje ją też konieczność korzystania z karty miejskiej w metrze, ponieważ nie życzy sobie, żeby ktoś mógł z jakichś danych wywnioskować, że właśnie ona (której fotografia widnieje na kartoniku) właśnie tego dnia, właśnie o tej godzinie, wsiadła do tego, a nie innego metra i udała się w kierunku, który powinien pozostać dla niepowołanych tajemnicą. Przy czym – muszę koniecznie zaznaczyć — jest to starsza pani, absolutnie porządna i uczciwa kobieta, zero jakichś szemranych interesów, nie mająca właściwie nic do ukrycia.

Czasami umawiam się z kimś takim w centrum handlowym i idziemy na kawę, ale trudno się z nią rozmawia, bo ma głównie baczenie na to, żeby nikt nic nie słyszał, co ona mówi (w tym i ja) i zasłania usta. Ostatnia jej teoria mówi, że zwiększyła się ogromnie liczba osób które ześwirowały (jak ten, co w Krakowie gromadził materiały wybuchowe) i można przypadkiem osobie tej narazić się, a jeśli ona ma dojście do tych centrów, gdzie pokazują nagrania z ulicznych kamer... A centra handlowe (jak wiadomo) są nimi naszpikowane. Więc jeżeli ten psychopata, któremu naraziłaś się sama o tym nie wiedząc... Za chwilę zresztą osoba ta mówi, że kamer jest stanowczo nieodpowiednia ilość albo obserwatorzy są nieuważni, bo nie zapobiegają żadnym przestępstwom, najwyżej wykrywają drobnych przestępców, których akurat WAŻNE OSOBY nie chronią.

Poza tym są to zupełnie zwyczajni ludzie , nie wykazujący żadnych odchyłek od normy, jednak ich ogląd świata uległ trwałemu zaburzeniu. Jakie mogą być tego przyczyny?

Na pierwszym miejscu obarcza się media z upodobaniem opisujące i analizujące wszelkie zbrodnie, perfidne przekręty, przejawy niesprawiedliwości i krzyczące o pomstę do nieba okrucieństwa. Także media te podsycają w nieskończoność zainteresowanie takimi wydarzeniami tworząc w ten sposób atmosferę sprzyjającą wszelkim teoriom spiskowym. Potem wymienia się partie polityczne i środowiska uważane za sekciarskie, które na tym żerują. Może to wszystko zawiera trochę prawdy, ale nie tłumaczy właściwie zjawiska. Ja na to spoglądam nieco inaczej.

Wyobraźmy sobie zakochaną nastolatkę (z dawniejszych nieco czasów). Nagle wszystkie rzeczy, które ją interesowały, które były ważne, koleżanki, szkoła, oceny i tak dalej schodzą na dalszy plan. Cała jej uwaga skupiona jest na przedmiocie miłości. Co powiedział, jak wyglądał, jak spojrzał. Z kim rozmawiał. W jakim był nastroju. i tak dalej. Z uporem godnym lepszej sprawy skupia się na tym jednym obiekcie „rozpracowując" go w rozmaitych aspektach. Ma wiele racji w swych obserwacjach, często wnikliwych i odkrywczych. Jednak jest śmieszna i choć często wie o tym (koleżanki się wyśmiewają) nie potrafi zmienić hierarchii ważności swojego widzenia świata. A jest śmieszna nie przez uprawianie głupiego zajęcia, ale przez nadmierną uwagę poświęcaną JEMU w przeciwieństwie do realiów ją otaczających i mających rzeczywisty wpływ na jej życie (stopnie, stosunki z nauczycielami, rodzicami i otoczeniem).

To samo dzieje się z owymi starszymi ludźmi. Nagle przestaje mieć znaczenie rzeczywisty, różnorodny świat wokół nich. Skupiają się na jakimś drobiazgu i niczym domorosły Holmes rozpracowują go, tworząc spiskową otoczkę, bowiem skupienie uwagi podnosi ważność tej rzeczy w hierarchii innych rzeczy tego rodzaju, a podniesienie ważności skutkuje rozważaniom i wyciąganiu wniosków, które choć dla niewtajemniczonych nieprawdopodobne – uprawomocniają się poprzez samą możliwość ich zaistnienia. Jeżeli pewnego rosyjskiego emigranta potrafiono otruć za pomocą dziwnej substancji promieniotwórczej, wcale nie jest pewne, czy jakiś szaleniec nie zaatakuje tym polonem niewinnej staruszki, a więc dla poczucia swojego bezpieczeństwa powinna rozejrzeć się za możliwością zakupu licznika Geigera-Mullera.

Co więc ciągnie tego rodzaju nastolatki i starsze osoby do uprawiania tego jałowego zajęcia wyrzucającego je mentalnie niejako poza otoczenie?

Widzę tylko jedną rzecz: poczucie własnej ważności. Jego potrzeba jest na tyle silna, że podtrzymuje i napędza wszelkie bzdury tego rodzaju. Im więc bardziej spychany na margines życia jest człowiek, tym bardziej zależy mu na zobaczeniu siebie (przynajmniej we własnych oczach) jako odkrywcę czegoś, czego inni nie dostrzegają.

W naszej współczesności, która spycha na margines osoby starsze uprawiając kult produktywności i pożyteczności, jedyną możliwością podniesienia poczucia własnej ważności jest dzielenie się odkryciami spisków, których nikt poza tym nie dostrzega. Jeśli tych niedostrzegających zrobi się więcej, rosną w siłę, a wraz z nimi ich spiskowe teorie.

Opowiadano mi w niedzielę, że w pewnym kościele przed konfesjonałem ze spowiedzią wielkanocną wił się kilkakrotnie zakręcony ogonek, a spowiadający księża byli poirytowani i zdenerwowani tym tłumem. Jeden z nich oświadczył nawet opowiadającej, że jej grzechy nie są na tyle ważne, żeby zawracać głowę w czasie tak dużego spiętrzenia usług duszpasterskich i mogłaby sobie tę spowiedź darować. Z własnego doświadczenia pamiętam, jak ksiądz spowiadający w szpitalu pewną babcię,

krępującą się wyznawać swoje grzechy na głos oświadczył, że nie ma potrzeby aby inne panie z sali wychodziły, bo „cóż to za grzechy może mieć taka staruszka?”

Babcia tak potraktowana wyjdzie więc z kościoła, ciężko usiądzie na jedynym taborecie w kiosku i zaczyna snuć swoje remontowe teorie spiskowe.

Osoba, która opowiadała mi o swojej niedzielnej spowiedzi i oderwała mnie od sporządzania i wysyłania PIT przez internet zauważyła, że może i spowiedź powinna odbywać się tę metodą, a odpowiedni program sprawdziłby ciężar jej grzechów i wyznaczył pokutę, nie upokarzając jej przy tym.

Łatwo sobie wyobrazić, że mogłaby to powiedzieć nie mnie, a komu innemu, a tamta osoba skojarzyłaby sobie informację, że ma być wprowadzona możliwość odpisu od podatku na Kościół i metodą głuchego telefonu "jedna pani drugiej pani" powstałaby nowa teoria spiskowa: **Wprowadzi się podatek dla Kościoła i wszyscy wierni będą musieli spowiadać się na odpowiednich formularzach, najlepiej przez internet. Jeżeli tego nie zrobią nie otrzymają rozgrzeszenia i nie będą mogli przystąpić do Komunii Świętej**.

121. Jeszcze o rytuałach, niekoniecznie Wielkanocnych

Obserwując niektóre rodziny odkrywamy, że panuje w nich wiele zwyczajów, wydających się nam dziwnymi lub nieracjonalnymi. Niektóre wyglądają wręcz jak jakieś rytuały. Nasza ciekawość, co do ich źródeł raczej nie zostanie zaspokojona, ponieważ rozmowa o nich wydaje się czasem przekroczeniem jakiejś niewidocznej bariery, czymś w rodzaju pierdnięcia przy gościach – wszyscy udają, że pytanie nie padło, więc trudno byłoby oczekiwać odpowiedzi na nie. Jednocześnie gość nie stosujący się do tych reguł (a w skrajnych wypadkach gospodarz do reguł narzuconych przez gościa) jest przedmiotem edukacyjnych zabiegów, ale takich, gdzie nikt niczego nie wyjaśnia, tylko oznajmia, że należy postępować tak a tak. Najgorzej z tym mają dzieci, ponieważ najłatwiej je sztorcować i nie uchodzi to za towarzyski nietakt, chociaż często robi im wodę z mózgu.

Miałam wiele przykładów takich dziwnych zabiegów niektórych osób do organizowania przestrzeni i czasu wszystkim innym, którzy znaleźli się w ich zasięgu.

Najwięcej obserwacji czerpałam z pobytów znajomych na mojej działce. W lecie wiele osób znajomych i z rodziny zapraszałam do pobytu na niej i korzyści były obustronne. Czyjś pobyt chronił otoczenie przed dewastacją, włamaniami i kradzieżami, lepiej więc było, żeby domek był zamieszkany. My z mężem przyjeżdżaliśmy tylko w soboty i niedziele, poza tym rodziny te rządziły się same.

Zawsze zaczynały od przemeblowań. Przesuwanie, przestawianie, organizacja przestrzeni według własnych koncepcji. Nasze działkowe meble pochodziły z tzw. przydasiów i czasami próba ich przesunięcia kończyła się katastrofalnym rozpadem. Nie lubiłam tych przemeblowań, nie zawsze mieliśmy czym zastąpić zniszczony mebel, a często nawet, jeśli by był odpowiednik, wchodziło w grę kłopotliwe organizowanie transportu, ale godziłam się z tym, bo wiedziałam, że niektóre osoby tak mają. Moja mama na przykład kilkakrotnie w roku przemeblowywała mieszkanie (a już przed Wielkanocą obowiązkowo) stale będąc z dokonanych zmian niezadowolona. Chociaż ona miała solidniejsze meble.

Bardziej dolegliwy był zwyczaj zmiany miejsc przechowywania różnych rzeczy. Na działce lekarstwa były zawsze w moim pokoiku (żeby dzieci się nie dobrały), półki w kuchni zapełniały naczynia w porządku: najniżej najczęściej używane (ponieważ jestem niewysoka), w kąciku między kuchnią a piecem stołeczek, na którym siadałam rozpalając w piecu, czy opróżniając go z popiołu.

Przyjeżdżając wszystkiego musiałam na nowo szukać. Stołeczek mókł gdzieś na deszczu pod krzakiem porzeczek, lekarstwa w pojemniku bez przykrywki wywędrowały do łazienki i tabletki zamoczone zostały przez prysznic, kieliszki poszły na najniższą półkę kosztem talerzy, które powędrowały najwyżej, przyprawy do potraw w torebkach, którymi (poza solą i pieprzem) nie umiano się posłużyć, wyrzucono do śmietnika. Łyżeczki znajdowały się na trawniku, gdy zeszły śniegi wiosną następnego roku, albo tępiły noże kosiarki, czasami nawet dwa czy trzy lata później przy przerzucaniu pryzmy kompostowej. Po każdorazowym czyimś pobycie musiałam na nowo wszystko układać „po swojemu". Denerwowało mnie to, bo uważałam, że skoro ja w cudzym domu odkładam przedmioty na miejsce wyznaczone przez gospodarzy (niezależnie od tego, co sądzę o wyborze tego miejsca) to w moim domu ludzie powinni też stosować się do tej reguły. Niestety, większość osób nie miała pojęcia, że

taka reguła w ogóle istnieje. Żeby spacyfikować jakoś swoją złość i nie dać gościom do zrozumienia, że ich szarogęsienie się mnie nie zachwyca, zaczęłam analizować dokonane zmiany pod kątem ich uzasadnienia. Niestety, bardzo rzadko zmiany te miały jakikolwiek sens (poza stawianiem kieliszków najbliżej ręki, jak się dało, żeby zbytnio nie męczyć się z ich wyciąganiem). Reszta miała sens wyłącznie wówczas, jeśli znało się upodobania przejściowych mieszkańców lub w ogóle nie miała żadnego sensu.

Mogłam na przykład zrozumieć, dlaczego moje szklanki chowano głęboko i w niedostępne rejony półek, a stawiano w ich miejsce obrzydliwe grube kubki reklamowe z jaskrawymi nadrukami. W niektórych rejonach Polski herbaty nie pija się w szklankach, co uważane jest za „rusycyzm" tylko w filiżankach. Ale w innych rejonach pija się zamiast herbaty kawę w kubkach, więc do herbaty filiżanki można zastąpić ciężkimi kubasami. Tak czy inaczej szklanki, jako pochodzące mentalnie od zaborcy, są źle widziane. Ja lubię widzieć co piję i jakie jest natężenie barwy napoju, więc preferuję szklanki.

Wielu ludzi „nienawidzi" kminku, cebuli, majeranku, a „kocha" oregano i czosnek, no może jeszcze pieprz (w mojej młodości raczej „nienawiść" dotykała właśnie czosnku, ale czasy się zmieniają). Co nie znaczy, że powinni wyrzucać do śmieci cudze przyprawy.

W skrajnej postaci z dominacją nawyków miałam do czynienia u mojej koleżanki, która z uporem maniaka przekładała moje sztućce po zmyciu włożone do osączarki trzonkami do dołu na pozycję trzonkami do góry. Ja nawykłam do tego, bo lubiłam widzieć co biorę: łyżkę czy widelec, ona zaś udowadniała mi, że nóż ustawiony ostrzem do góry może skaleczyć, mało tego, wymuszała na mnie właściwe jej zdaniem ułożenie sztućców. Ustępowałam jej dla świętego spokoju, bo poza tym była całkiem sensowną kobietą i lubiłam ją.

Moja synowa natomiast nawet w czasie krótkiej wizyty robiła swoje „porządki" w mojej lodówce. Wyjmowała wszystkie wędliny i sery z opakowań i wykładała na talerzyki, które ustawiała jeden na drugim (bo lodówka była mała). Po jej wyjściu musiałam przywracać swój ład, ponieważ uważałam, że odsłonięte wędliny i sery obsychają. No i miałam niewiele małych talerzyków.

Kiedyś w mojej pracy zmienił się prezes i straszliwie grzmiał na panie, które w kuchence myjąc szklanki najpierw myły ręce nad zlewozmywakiem. Uważał to za straszliwe horrendum (od mycia rąk jest umywalka) ale nie przyszło mu do głowy, że mycie szklanki brudnymi rękami nie jest najlepszym pomysłem z punktu widzenia higieny. Oświadczał nam, że za taki okropny zwyczaj jego żona zwolniła już niejedną pomoc domową, każąc nam w podtekście zastanawiać się nad naszą przyszłością w tej firmie, jeśli będziemy kultywować coś, czego nie tolerowała jego małżonka.

Dlatego z zachwytem przeczytałam gdzieś rozpracowanie takiego zwyczaju dokonane przez naukowca – psychologa czy socjologa, już nie pamiętam.

Zwrócił jego uwagę zwyczaj karcenia przez panią domu członków rodziny kładących po powrocie do domu płaszcze na łóżku. W dodatku nikt nie wiedział dlaczego czyn ten jest stawiany prawie na równi z jakimś o wiele gorszym przestępstwem. Osoby te miały niewielkie mieszkanie i malutki przedpokój, czasem więc gdy przychodzili goście starano się zostawić im miejsce na wieszaku w przedpokoju. Sprawa płaszczy na łóżku wywoływała wiele rodzinnych awantur i naukowiec ten postanowił zbadać początki tego zwyczaju. I czego się dokopał?

Pradziadek i prababcia pani domu byli lekarzami i pracowali w szpitalu zakaźnym. Mieli też praktykę prywatną w swoim domu. Zwyczaju tego, aby ubrań wierzchnich nie przenosić do sypialni przestrzegali rygorystycznie z powodów higienicznych, co nie sprawiało zresztą kłopotu, ponieważ mieszkali w willi i mieli służbę. Zwyczaj ten przetrwał co najmniej dwie wojny i równie rygorystycznie był przestrzegany w malutkim mieszkanku pracowników biurowych. Bez żadnej świadomości, skąd się wziął. Matki uczyły córki, córki swoje dzieci i tak doszło do współczesności.

W jakim celu to piszę? Jeżeli się będziemy bardzo nudzić w czasie Świąt w gościach u kogoś lub przyjmując gości, rozmawiając na przykład o tym, co ostatnio prasa napisała, a telewizor doniósł, a wszyscy już wcześniej przemielili, proponuję miłą, nieobciążającą zabawę: popatrzmy na zwyczaje panujące przy niektórych stołach i starajmy się wytropić ich źródła. Jeśli nam się to uda – satysfakcja murowana. No i wierzę, że podzielicie się ze mną swoimi odkryciami. Pozdrawiam świątecznie i miłej zabawy!

122. Samotność z żyrandolem

Jarosław Iwaszkiewicz napisał o starości: "Najpierw jest to, że już cię nic nie spotyka; życie staje się wyschłą równiną bez zdarzeń."

Wspominałam już, że po śmierci męża nie umiałam się poskładać i nawet na sądową sprawę spadkową założyłam dwie różnokolorowe skarpetki: czarną i beżową. Jednak najbardziej rzucającym się w oczy objawem (który na szczęście minął po jakimś czasie) było poczucie starości i wizja drogi, która przede mną zwężała się na tyle, że groziła przemiana jej w wąską ścieżkę, przez którą trudno się przeciskać.

Bardzo to pasowało do mnie. Może nie było tak, że zdarzeń tych brakowało w ogóle, ale zdarzeniami stawały się wypadki błahe i nieważne, którym to epizodom przypisywało się nadmiernie ważką rolę. Kiedy otrząsałam się z marazmu i poczucia „nicniemuszenia” i przystępowałam do organizowania sobie życia na nowo, uświadamiałam sobie, że przeżywam zupełnie durne drobiazgi z intensywnością nieadekwatną do ich znaczenia. Historia z żyrandolem była tego najlepszym przykładem.

Latami patrzyłam z obrzydzeniem na żyrandol, który kiedyś wybrał mąż, a teraz dzięki oszczędnemu trybowi życia miałam wreszcie środki, aby rzeczy najbardziej rażące moje poczucie estetyki zlikwidować i zastąpić je tymi, które mi się spodobają.

Słówko wstępu: gdy już kupiłam ten żyrandol, obrzydliwie drogi, ale piękny przez swoją elegancką prostotę i lekko staroświecki minimalizm, uświadomiłam sobie, że jest w stylu żyrandola z domu mojego dzieciństwa. Różnica polegała na tym, że tamten żyrandol miał 3 ramiona, a ten obecny 5. Oba jednak sporządzono z mosiądzu, bez ozdóbek i przybrań, kwadratowe w przekroju ramiona wygięto w literę S i kremowej barwy klosze, gładkie, szerokie, ujęto w mosiężną obwódkę. Tamten, parę dni wisiał w naszym pierwszym mieszkaniu, ale szybko mąż go uszkodził i zdemontował na części pierwsze, jako brzydkie starocie. Któregoś lata owe resztki mosiądzu, pieczołowicie przechowywane przeze mnie na działce, nie nadające się już do niczego świadectwa przemijania, syn oddał sąsiadowi zbierającemu złom. Zapewne z innymi moimi "skarbami" wystarczyło mu na flaszkę.

Ten żyrandol, który wybrał wcześniej mąż był z drewna, ale pomalowanego na biało, z trzpieniem, na którym osadzono białe, mleczne kule. Sam w sobie nie był zły czy niegustowny — ot taki „nowoczesny” styl PRL, ale kompletnie nie pasujący do starych, dziewiętnastowiecznych mebli wyprawowych mojej ciotecznej babci z czeczotu (to żółte, meandryczne drewno starej gruszy), a ponadto znajdująca się na górze osłona na kable była za wąska i nie przykrywała zardzewiałego haka, wmontowanego w sufit jeszcze za Gomułki, starodawnej kostki i czarnych kabli z epoki Gierka. Obrzydlistwo. Co spojrzałam w górę (od dwudziestu z okładem lat), wzdragałam się, ale moja oszczędna dusza zawsze borykała się z niedoborem środków. Wrażenia estetyczne przegrywały ze wszystkimi potrzebami mojego męża, a nigdy nie uważałam sprawy za istotną na tyle, by czynić jakieś zabiegi i starania w celu wymuszenia zakupu nowego żyrandola. Wszystkie moje nadspodziewane dochody powodowały, że mąż wymieniał aktualny model samochodu na lepszy i o żyrandolu nie było mowy.

I wreszcie, gdy postanowiłam kupić nowy, nie potrafiłam cieszyć się tym zakupem; mój Uran, jak zawsze, spaprał całą przyjemność.

Obejrzałam go w małym sklepie, wypytałam o wszystko miłego sprzedawcę i oświadczyłam, że wrócę go kupić, gdy znajdę środek transportu. Ciągle jeszcze trudno mi się było przyzwyczaić do życia bez samochodu. Na to sprzedawca zaofiarował się, że gdy przyjdę przed zamknięciem sklepu, to odwiezie mnie z zakupem do domu. Akurat wtedy coś wlazło mi w nogę i zaczęłam chodzić o jednej kuli (drugiej nie mogłam znaleźć) i poruszanie się sprawiało mi dużo bólu, im więcej chodziłam, tym gorzej bolało. Nie chciało mi się więc iść wieczorem do sklepu (przez taki późny powrót i strach przed nie wiadomo skąd rozlegającymi się odgłosami strzałów i przed majaczącą na horyzoncie grupę młodych napakowanych, nadwyrężyłam swoją nogę udając rączą młódkę, za co pokutowałam właśnie już trzeci tydzień), zaproponowałam więc sprzedawcy, że teraz zapłacę za żyrandol i podam mu adres i telefon, a on przywiezie mi go po zamknięciu sklepu. Spytałam, czy mogę zapłacić kartą, ale prosił raczej o gotówkę, bo płaci nią dostawcom. Poszłam do bankomatu, było tej forsy niemało, bo żyrandol ponad 590 zł plus pięć żarówek energooszczędnych po trzydzieści parę. Facet stuknął coś w kasę a na odwrocie kwitu postawił pieczątkę i wyszczególnił ceny poszczególnych pozycji podsumowując je. Wzięłam kwitek i odruchowo schowałam go do portfela.

Człowiek ten miał być między siódmą i ósmą (w piątek oczywiście), ale nie pojawił się. Miał zadzwonić spod bloku, ale nie zadzwonił. Telefon z pieczątki nie odpowiadał, wyszczególnienie to nie żaden dowód, że zapłaciłam. W dodatku na kwicie kasowym figurowała cena nie bliska 900, a 120 zł. Nic, tylko zostałam zrobiona w konia. Nie jest tak, że nie brałam możliwości oszustwa pod uwagę, ale sklep ten znałam już od paru lat i obawy nie wydawały mi się na tyle realne, żeby zdecydować się na wieczorną wycieczkę przez wymarłe osiedle (i kolejny bieg od stanowiska jednej kamery do drugiej, nie mając zresztą pewności, że ktoś przy tych kamerach czuwa).

Przeżywałam katusze. Zarzucałam sobie naiwność, zwłaszcza gdy wyczytałam, że kwit opiewał na 120 zł. Sprawdziłam swoje wydruki z bankomatu z nadzieją, że może sprzedawca pomylił się i dał mi cudzy kwitek, ale nie, kasa przyjęła owe 120 zł pięć minut po godzinie realizacji gotówki z sąsiedniego bankomatu, a więc kwit był mój, a nie jakiegoś poprzedniego zakupowicza. Spirala samokrytyki, skądinąd wpojona mi w dzieciństwie za jeszcze stalinowskich czasów (zresztą: spowiedź czy samokrytyka, to jedno wredne zło!) kazała w przenośni policzkować się, wymyślać sobie i wołać na głos: durna idiotka, kretynka, niczego życie jej nie nauczyło, nie warta jest więc samodzielnie funkcjonować i wydawać forsę na jakieś bzdety, bo zaraz ją oszukają! Niegodna tej forsy i tyle! Powinna ją dać temu, komu bardziej potrzebna i będzie umiał ją lepiej spożytkować. Toż to cała emerytura kogoś mniej szczęśliwego niż ja! Żyrandola jej się zachciało!

W niedzielę o jedenastej wieczorem zadzwonił właściciel sklepu z przeprosinami: dopiero gdy wrócił do domu i otworzył bagażnik, zobaczył w nim żyrandol. Miał taki zwariowany dzień itp. itd. Długo w noc nie mogłam zasnąć, choć już uspokojona, Mój Uran schował się w kąt i czekał następnej okazji. Mnie serce biło przez pół nocy wywołując dylemat: wziąć na zwolnienie rytmu serca dodatkowy proszek czy nie, ale proszki te są bardzo mało elastyczne, czasem zwalniają rytm aż za bardzo, do omdlenia, tak że nie wiadomo co lepsze. Poza tym są maleńkie i trudno podzielne.

Rano dostałam swój żyrandol, ale w nocy, gdy wreszcie zasnęłam, usiłując zwolnić rytm swego serca siłą woli, miałam jakieś okropne koszmary.

Tonące dziecko ścigało mnie, nie chciałam go widzieć, to nie było moje dziecko, ale za każdym razem, gdy się wynurzało, czułam straszliwy lęk. Wiedziałam, że nie o to dziecko chodzi, że ono jest tylko nieświadomym zwiastunem, że ja nie mogę mu pomóc, że są od tego inni, że ono wcale nie wiadomo, czy tonie i że nie mogę go (nawet gdybym chciała) wyciągnąć, bo wyciągnięte zabije mnie i ponownie skoczy do wody. A jednak czułam wyrzuty sumienia i główkowałam jak go wyciągnąć, żeby samej nie doznać uszczerbku i nie mogłam znaleźć rozwiązania. I coraz bardziej bałam się, nie wiadomo czego.

I wszystko przez głupi żyrandol!

Zresztą na tym się nie skończyło. Nie żył przecież mąż, który choć nie elektryk tylko inżynier budownictwa wodnego, sam sporządził instalację w naszym domu na działce i to lepszej jakości niż ta w mieszkaniu. Dla niego to byłaby pestka. Najpierw długo poszukiwałam elektryka, który zdecydowałby się przyjąć tak drobne zlecenie jak powieszenie żyrandola, potem, gdy go już znalazłam i ubłagałam, praca zajęła jemu i jego pomocnikowi kilka godzin. Okazało się bowiem, że instalacja elektryczna była uszkodzona, prąd przebijał przez sufit, hak trzymał się na słowo honoru i trzeba było pruć betonową płytę sufitu w której zatopiono przewody i jeszcze do tego kawałek ściany.

I wreszcie, gdy mam swój wymarzony żyrandol, niewiele przebywam w dużym pokoju, gdzie go zawiesiłam.

Wisi więc tam samotnie jako kosztowna pamiątka mojej bezradności.

123. Rozdrapany umysł (1)

Na fali narzekań w sprawie marnego czytelnictwa wśród młodego pokolenia, a także starszych emerytów (takich jak ja) odnajduję w notatkach ze swoich lektur poniższy cytat:

„Książki nie dają prawdziwej ucieczki, ale mogą powstrzymać umysł, zanim sam siebie nie podrapie do krwi” Cytat ten pochodzi z książki Davida Mitchella „Atlas Chmur”

Nie jestem zainteresowana takimi statystykami, bo sama w nich raczej się nie mieszczę i zdaję sobie sprawę, że bywa z nimi tak, jak w znanym dowcipie: Jeżeli 10% Polek zdradza męża codziennie, to statystyczna Polka zdradza męża 3 razy w miesiącu.

W statystykach widzimy to, co chcemy zobaczyć. Jedni dowód na upadek kultury, inni zamianę kultury słowa na kulturę obrazu i wizji, jeszcze inni na procesy zachodzące w naszych mózgach ograniczające czas skupienia na jednym obszarze świadomości rekompensowany zwiększeniem szybkości przerzutów między obszarami zainteresowania.

Wspomniany cytat mógłby równie dobrze brzmieć: **„Komputery (filmy, teatr, media, muzyka, sztuka, gry itp.,) nie dają prawdziwej ucieczki, ale mogą powstrzymać umysł, zanim sam siebie nie podrapie do krwi”.**

Różnice oczywiście widoczne są gołym okiem. Żeby zrozumieć to, co opowiada mój wnuk na temat zakończonej właśnie gry muszę użyć całego swojego zasobu inteligencji i wcale niekoniecznie odnoszę sukces. Podobnie i on — gdybym zaczęła opowiadać mu o swoich przemyśleniach związanych z lekturą filozoficznego dzieła nie tylko nie zrozumiałby mnie, ale nawet nie przyszłoby mu do głowy robić w tym kierunku jakieś wysiłki. Nie możemy na razie się spotkać w pół drogi, bowiem do spotkania jest niezbędna chęć zrozumienia innych światów drugiego człowieka, a i wychodzenia czasem im na przeciw poprzez zainteresowanie, zadawanie pytań, chęć rozmowy. A młodzi mają jeszcze mnóstwo zajęcia z samym sobą, żeby przejmować się innymi.

Poza tym w czasie takiej hipotetycznej rozmowy musielibyśmy najpierw uzgodnić ogromną ilość spraw, od bajek, którymi karmiono nas w dzieciństwie (łącznie z tymi w czasie gdy nie istniały jeszcze telewizja i komputery), poprzez kody kulturowe, powszechnie panujące przekonania i obsesje (np. konieczności silnej władzy, niebezpieczeństwa atomowego ataku, rozumienia pojęcia „przyjaźń” w polityce i wielu innych). Dopiero przebrnięcie przez to wszystko, pracochłonne i nie gwarantujące sukcesu, umożliwiłoby porozumienie i poczucie wspólnoty celów, które przecież łatwo zastąpić „to lubię” i wysuniętym agresywnie palcem.

Książka, komputer, wszystkie rodzaje sztuki są odmianami rozmowy z drugim człowiekiem, a z jej braku, tym, co przyjmiemy czy zakładamy jako swego rozmówcę. Jeżeli społeczność faceboka uznamy za swojego rozmówcę, jeżeli wystarczy nam gadanie do obrazu w postaci serialu telewizyjnego (O, patrzcie, co ona zrobiła z włosami! A co to za szantrapa jedna! Czemu ten głupi nie da jej w pysk! itp. – autentyczne cytaty z przebywania w pewnym towarzystwie oglądającym odcinek serialu), jeżeli wreszcie nie odróżniamy autentyku od podróbki – to obojętne jest z jakim medium mamy do czynienia. Które nam „podleci” — to wybierzemy.

Nie musimy wiedzieć, że poruszając się w świecie pozorów i nie odróżniając ich od prawdziwego kontaktu, sami sobie wyrządzamy krzywdę i nawet o tym nie wiemy. Że nasze „to lubię" jest tylko pozorem porozumienia, choć możemy się skrzyknąć w jakimś słusznym jak i całkiem idiotycznym, jak „dzień bez spodni" celu.

Dlatego nie to, co robimy ze sobą w czasie wolnym (lub uważanym za wolny) może dać nam wskazówkę, ile to, co dzięki temu osiągamy lub chcemy osiągnąć.

O sobie mogę mówić jedynie na podstawie osobistego znaczenia dla mnie lektur, bowiem komputer jest dla mnie tylko nieco lepszą maszyną do pisania, katalogiem nie zajmującym miejsca na półkach i encyklopedią, której kartek nie trzeba fizycznie przewracać oraz okienkiem banku, w którym zostawiam swoje pieniądze — bez kasjerki. Ale dla innych, młodszych ode mnie, czymś takim samym mogą być gry czy społeczności. Albo jeszcze chwilowo nieznane wynalazki przyszłości łącznie z bezpośrednim przekazywaniem do mózgu rozrywkowych czy pouczających treści.

Znaczenie książek zmieniało się w czasie mojego, dość długiego życia. Jako dziecko, które nauczyło się ledwie czytać, odkrywałam rozmaite światy. Czy czytałam „Plastusiowy pamiętnik" czy wykradzioną rodzicom książkę o Rewolucji Francuskiej z ilustracjami przedstawiającymi gilotynowanie, kosze pełne odciętych głów, zabójstwo Marata dokonane przez Karolinę Corday oraz portretem Robespierra, który ze swoim niesamowitym profilem wydał się wcieleniem karykaturalnego ptasiego diabła, budząc we mnie odrazę i mdłości czy wreszcie równie ukrywaną książkę „Złote sidła" z nagą dziewczyną na okładce, zawiniętą w futro i niesioną przez trapera pośród śnieżnego krajobrazu. Każdy z tych światów był nowy, niepowtarzalny, niesłychany. Jedne książki, jak „Przygody krasnala Hałabały", o stworzeniach żyjących między gałęziami wielkiego dębu pociągały niczym magnes, inne, jak „Plastusiowy pamiętnik" i „Wielka Rewolucja Francuska" odstręczały i budziły przerażenie (jakże okropnym jest być zamkniętym w piórniku!). Inne jeszcze niosły posmak tajemnicy do rozwikłania: (Dlaczego nie wolno dzieciom czytać książek Pitigrilli? Co to jest ileś tam karatów dziewictwa?).

Bardzo szybko zrozumiałam, w przeciwieństwie do mojego wnuka, który czyta tylko książki o nowych, ładnych okładkach, a na stare nie chce patrzeć, że właśnie im bardziej zaczytana książka, tym jest ciekawsza i tym skrupulatniej chowana przed dziećmi.

Kiedy miałam dwanaście, trzynaście lat rodzice całkowicie zaprzestali kontrolowania moich lektur. Popsuty zamek w biblioteczce udostępnił mi wszystkie posiadane przez nich okropności i tajemnice, choć, szczerze mówiąc konwencja literacka w tamtych czasach wymagała raczej snucia domysłów niż kładła „kawę na ławę" Niedoświadczona panienka więc niebyt wiele dowiedziała się o życiu, poza tym, że nagość jest be, jeśli trafia na okładkę „Złotych sideł", ale cacy jeśli wisi w kościołach.

Potem przeżyłam fascynację akcją. Przeczytałam wszystkie tomy Coopera, powieści o Winnetou, rozmaite książki o „dzikich" w spódniczkach z traw, których nagość traktowano zupełnie normalnie, choć więcej było golizny widać niż na okładce z dziewczyną zawiniętą w futra, której wystawały tylko nogi i głowa. No i o korsarzach oczywiście: „Kapitan Blood", Stevensona „Porwany za młodu" i „Katriona". I inne w tym rodzaju.

Kiedy przerwałam studia polonistyczne zaczęłam pracować jako pomoc bibliotekarza w Bibliotece Narodowej, udało mi się tam wyszperać i przeczytać kilkadziesiąt przedwojennych tomów o Winnetou, które polecono mi podklejać o oczyszczać, aż mój przesyt Indianami uzyskał apogeum.

Moja miłość do lektury książek o Indianach spowodowała, że pod jednym z paznokci u małego palca zasiedlił się jakiś obrzydliwy grzyb – wówczas nikt nie wpadł na pomysł, żeby jakoś go leczyć, dziś tyko udaje się go powstrzymywać i raz do roku aktywizuje się na kilka dni.

Jakich książek nie lubiłam? Dla dziewcząt i romansów. Czytałam Anię z Zielonego Wzgórza, ale nie znosiłam Anieli i Mateusza oraz głupiej Diany, a Anię uważałam za mało oryginalną. Wszystkie jej „wyskoki" były zbyt grzeczne jak na mój gust. Jak rozrabiać, to na całego. Nie lubiłam też powieści biograficznych. Znane postaci pisarzy, malarzy czy innych sławnych ludzi były posągowe i trudno mi było zrozumieć, co w tych ludziach było interesującego, że stali się tacy znani. Ale wtedy nie było takich lektur, jak dzisiejsze biografie, nie ukrywające ciemnych stron znanych i sławnych.

Zupełnym przypadkiem natomiast wpadłam na czasopismo literackie, którego numer poświęcono Jeanowi Genetowi. Uznałam wówczas na podstawie zawartych tam tekstów, że miłość homoseksualna jest o wiele piękniejsza niż „zwykła" miłość. Nie zna głupich konwenansów, jest intensywna i wszechogarniająca, zbliżająca człowieka do zrozumienia śmierci. Bardzo żałowałam, że podobają mi się chłopcy i usiłowałam sobie wyobrazić, że jestem chłopcem i kocham drugiego chłopca. Jakoś o dziewczynach nie pomyślałam.

Na studiach dobrnęłam do II roku i wszystkie lektury w tamtych czasach związane były z „ciężką dolą chłopa pańszczyźnianego". Także gramatyka historyczna mnie nie podniecała, a z prowadzącym zajęcia z teorii literatury, obecnie bardzo znanym profesorem miałam wówczas mocno na pieńku z przyczyn pozamerytorycznych.

Jakie moje potrzeby zaspokajały te lektury? Zupełnie nieuświadomioną sobie potrzebę zrozumienia otaczającego mnie świata, którego najbardziej interesującą część ukrywano przede mną zasłaniając ją niedopowiedzeniami, przyjmowanymi a priori założeniami, a wszystkie te techniki już od początku budziły sprzeciw, jako idiotyczne i sztuczne. Kiedy zrozumiałam, że najwięcej ukrywają lektury obowiązkowe i te, powszechnie dostępne śmiertelnikom, przeżyłam szok. Wyobraźcie sobie, że studentka pierwszego roku Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu w stolicy całkiem niemałego kraju nie ma pojęcia o tym, że istniał ktoś taki jak Freud, a gdy się już tego dowiedziała nie na wykładzie, a na trawniku przed budynkiem od niekonwencjonalnego asystenta, okazało się, że jakikolwiek tekst tego autora jest w Polsce niedostępny bez specjalnego zezwolenia. Takie zezwolenie trzeba było uzyskać u Dyrektora Biblioteki Narodowej. Poza tym aż sam Prymas Wyszyński musiał wyrazić zgodę na czytanie przeze mnie obowiązkowych lektur. Horror!

To drugie uzyskałam, to pierwsze było poza moim zasięgiem.

Poniżej skan z historycznym podpisem

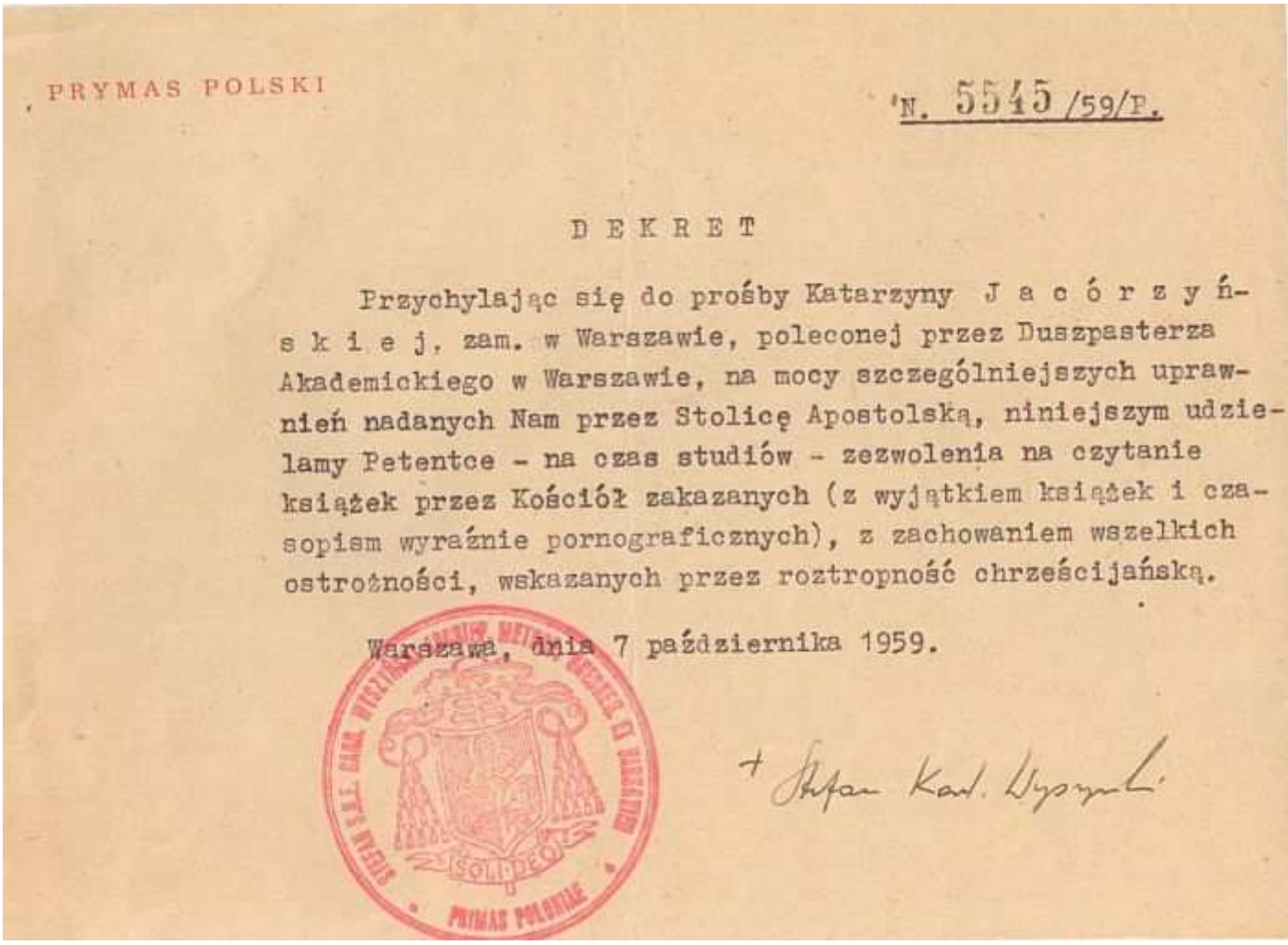

PRYMAS POLSKI

N. 5545 /59/P.

D E K R E T

Przychylając się do prośby Katarzyny J a c ó r z y ń s k i e j, zam. w Warszawie, poleconej przez Duszpasterza Akademickiego w Warszawie, na mocy szczególniejszych uprawnień nadanych Nam przez Stolicę Apostolską, niniejszym udzielamy Petentce - na czas studiów - zezwolenia na czytanie książek przez Kościół zakazanych (z wyjątkiem książek i czasopism wyraźnie pornograficznych), z zachowaniem wszelkich ostrożności, wskazanych przez roztropność chrześcijańską.

Warszawa, dnia 7 października 1959.

+ Stefan Kard. Wyszyński

SOLI DEO

PRIMAS POLONIAE

124. Rozdrapany umysł (2)

Pierwszy etap poznawania świata za pomocą przypadkowo dobranych lektur zakończyłam w 1966 roku wraz z urodzeniem dzieci. Wówczas już wiedziałam wszystko (albo mi się wydawało) z dziedziny męsko-damskiej; nie pociągały mnie już lektury w rodzaju „14 karatów dziewictwa” czy inne, wprawdzie nie będące pornografią, ale tak traktowane. Na czytanie dla przyjemności nie miałam czasu, a świat poznawałam, można by rzec, organoleptycznie.

Co do poznawania świata przez erotyczne aberracje szczególnie należy tu się parę słów pewnemu pisarzowi dwudziestolecia międzywojennego, księdzu Stanisławowi Pasławskiemu. Z nieznanych mi bliżej powodów, może dlatego iż „ksiądz” przed nazwiskiem uspokajał wszelkiego rodzaju rodziców, nawet bardzo ortodoksyjnych w tropieniu „nieczystości” wpływających na niewinne duszyczki młodych panienek, lekturę tę polecano licealistkom albo jeszcze młodszym dziewczynkom. Przeczytałam chyba jego 3 książki, mając lat trzynaście. Pisząc ten tekst w internecie znalazłam jego bibliografię i książka, którą najlepiej zapamiętałam (możliwe, że połączyłam we wspomnieniu elementy pozostałych dwóch) nosiła chyba tytuł „Tajemnica sieroty”.

Ksiądz Pasławski był niezłym pisarzem, jeśli przyjąć za wyznacznik wartości literackiej sugestywność opisu, ale żadna z panienek nie zdawała sobie z tego wówczas sprawy, jak bardzo szkodliwe treści zaszczepiał (przynajmniej mnie zaszkodziły). Dziś zaliczylibyśmy go do rodzaju powieści

„Harlekinowatych” to znaczy takich, które opisują coś z ogromną dozą sentymentalizmu. Nad losami sierotki księdza Pasławskiego można było się spłakać do zużycia zapasu chusteczek, gdyby wówczas używano tych papierowych, a nie ozdobnych z haftem na brzegu.

Typowa bohaterka powieści księdza była sierotką, która trafia do bogatej i nieczułej rodziny posiadającej syna jedynaka, bardzo złego chłopca. Cóż on za ogromu krzywd nie wyrządza nieszczęsnemu dziewczęciu! W jednej z powieści, o ile dobrze pamiętam, wygania ją gołą na śnieg (chyba dorwał ją, gdy się myła w miednicy w kuchni), poza tym bije ją (szpicrutą, potem rózgą czy czymś takim – na gółkę oczywiście). Wygnana na mróz sierotka zapada na ciężką chorobę i leży bliska śmierci. Wówczas przy jej łożu chłopiec nawraca się, przyjmuje sakramenty, a sierotka zdrowieje. Na końcu po dojściu do odpowiedniego wieku pobierają się i żyją długo i szczęśliwie.

Możliwe, że książka była całkiem w porządku, tylko ja odbierałam ją w niezdrowy sposób. Fascynował mnie erotyczny związek katowania biednej dziewczyny z nastawaniem na jej cnotę i przyznam się, że było to chyba w moim odczuciu bardziej pornograficzne niż znacznie późniejsze obejrzenie filmu z autentyczną pornografią, przywiezionego przez kogoś zza granicy w 1965 roku. Film ten oglądałam u rodziców mojej koleżanki, której nie pozwolono go obejrzeć – wolno było to zrobić tylko mężczyznom, no i mnie, bo byłam już w ciąży — ale niestety źle się czułam i w połowie wyszłam. Obie z koleżanką miałyśmy 22 lata. Obejrzany niemiecki film pornograficzny Beaty Ushe nie był nawet w połowie tak szkodliwy jak książka Pasławskiego z jednego powodu: ciężkawa i statyczna pornografia filmu prezentowała na swój sposób zadowolenie z życia — choć dowcip był z rodzaju „żołnierskich” jednak był i nie wskazywał na to, że całe te wygibasy ciał, pod którymi zarywał się stolik w parku oraz podglądający towarzystwo czarnoskóry, korzystający z dziupli mogą mieć inne, drugie dno. Inaczej było przy lekturze „Sierotki”. Tam seksualność, choć tylko domyślana, była mroczna, nacechowana przemocą i koniecznością poddania się osoby zależnej komuś, kto dysponuje siłą i brakiem skrupułów. Całe zakończenie z nawróceniem chłopca i jego wewnętrzną przemianą łącznie było niewiarygodne, jakby doczepione na siłę.

Przez następne kilka lat niewiele czytałam, choć kupowaliśmy z mężem książki, żeby mieć co czytać kiedy już znajdziemy na to czas. Jeśli już jednak je czytałam, pełniły zupełnie inną funkcję. Nie wymagałam już od nich poznawania rzeczywistego świata, a przeciwnie, zatopienia się w nierealności nieistniejących światów lub przeniesienia mnie w nieistniejące realia, gdzie mogłam pędzić przed siebie, sprawować władzę nad rzeczami, na które w realu nie miałam wpływu, a im bardziej świat ten był sugestywny, tym lepiej. Wówczas zainteresowałam się science fiction, a potem fantasy. Tam nic nie było z góry postanowione ani wytyczone, wszystko mogło dziać się inaczej, jeśli książka mi się nie podobała, a autor moim zdaniem zmierzał w złą stronę, odkładałam ją i przy wieczornym zmywaniu, praniu, czy gotowaniu posiłków na następny dzień snułam swoją własną opowieść, jeszcze bardziej nieprawdopodobną, choć zawsze zawierającą domieszkę rzeczywistości. Ta domieszka sprawiała czasem wrażenie kulki z ołowiu tkwiącej w zamkniętej przestrzeni, poruszającej się w niej, ale niezbędnej do tego, aby przedmiot spadając, trafiał we właściwe miejsce. Bo przecież nie tylko o same wymyślone światy chodziło.

Jednym z przykładów powstawania takich opowieści może być opowiadanie o dzieciach spotkanych w opustoszałym Beskidzie Niskim. W 1967 roku, gdy moje dzieci miały nieco ponad rok, moja mama w trosce o mój stan psychiczny i fizyczny mimo zaawansowanego wieku i złego stanu zdrowia namówiła nas, byśmy z mężem wyjechali gdzieś na dwa tygodnie na pieszą wędrówkę. Mąż miał

bardzo dobre wspomnienia z Bieszczad, ale okolice te już zaludniały się, a my poszukiwaliśmy najbardziej odludnych miejsc i niezbadanych rejonów, więc uznaliśmy, że Beskid Niski to znakomity pomysł. Wędrowaliśmy wzdłuż granicy i jedynymi spotykanymi ludźmi byli pogranicznicy. Na każdym następnym etapie spotykając nas pytali wymieniając nasze i jeszcze drugie nazwisko. Nie przebywało tam więc wiele osób. Do wczesnego popołudnia szliśmy dźwigając nasze plecaki z żywnością i ubraniem, a na długim kiju nasz namiot i ciężkie dmuchane materace. Rozbijaliśmy go po południu nad jakimś strumykiem, wyciągaliśmy menażki i gotowaliśmy jakąś kaszę. Chleba nie mieliśmy, bo nie było gdzie kupić, raz tylko spotkaliśmy na tym odludziu gospodarstwo, gdzie podarowano nam świeżo upieczony bochenek i trochę kartofli, ale to było już pod koniec wyprawy.

W dniu, o którym chcę opowiedzieć, rozbiliśmy namiot nad małą rzeczką, w której zanurzyliśmy dla ochłodzenia plastikowe butelki po oleju (innych wtedy nie było) z zaparzoną świeżo kawą. Położyliśmy się na kocu w cieniu drzew i zasnęliśmy zmęczeni upałem. Obudziliśmy się nagle zaatakowani przez stadko dzieci, najstarsze miało nie więcej niż 10-11 lat, ubranych w łachmany, prawie nagich. Ogołociły nas właściwie ze wszystkich drobiazgów, a najbardziej do gustu przypadły im te plastikowe butelki. W jakimś momencie ten atak zaczął być groźny, dzieci było więcej niż dziesięcioro i były bardzo agresywne. Mąż chciał im odebrać co cenniejsze rzeczy więc podbiegliśmy za wzgórek za którymś złodziejaszkiem i zobaczyliśmy bajorko z gnojówką, w której z upodobaniem taplało się kilkoro. Pod gradem kamieni zebraliśmy co się dało, namiot, materace, resztki ubrań i żywności i czmychnęliśmy. Wieczorem doszliśmy do jakiegoś gospodarstwa i tam dowiedzieliśmy się, że dzieci było szesnaścioro i że ich rodzice zostali aresztowani za zabójstwo jakiejś pary turystów (to było to drugie nazwisko, o które dopytywali pogranicznicy) i że w najbliższych dniach miał ktoś przyjechać po te dzieci i zabrać je do Domu Dziecka, tyle, że potrzebny był samochód terenowy z braku dróg i sprawa się odciągała. Tam właśnie przenocowano nas i poczęstowano świeżo upieczonym bochenkiem chleba.

Nie do pomyślenia dla mnie było, że w uporządkowanym i nadzorowanym ściśle kraju (gdzie pogranicznicy z wyprzedzeniem znają twoje nazwisko, trasę i zawód oraz miejsce pracy) może dochodzić do takich napadów i że można bać się w końcu małych, choć agresywnych dzieci. To przeżycie tak silnie tkwiło we mnie, że napisałam opowiadanie o dzieciach pozostałych na opuszczonej przez ludzi planecie, spotkanych przez ekspedycję ratunkową. Opowiadanie to znalazło się w pierwszym moim tomiku i był to początek mojej przygody z fantastyką. Po kilku latach sama zaczęłam pisać opowiadania, początkowo „do szuflady".

Kiedy urodziły się moje dzieci, kupiliśmy pierwszy w życiu telewizor, w którym obejrzałam w 1976 roku najpiękniejszy film w moim życiu — „Tylko Beatrycze" według powieści Teodora Parnickiego. Film ten powtórzono w telewizji w 2012 roku i zrobił on na mnie równie wielkie wrażenie, które trwa do dziś. Odnalazłam w nim wiele mrocznych tajemnic, opowieści o fascynacjach i przeznaczeniu, wydarzeń, na które ludzie nie mają wpływu, sieci intryg, z których istnienia nie zdajemy sobie sprawy, i wszechogarniający pesymizm. Nie rozumiem do dziś dlaczego tak mądry film został prawie zupełnie zapomniany.

Współczesność dopisała pointę do tamtej fascynacji. Znalazłam jedną możliwość obejrzenia w internecie filmu „Tylko Beatrycze". Niestety, film dostępny jest tylko dla tych, którzy zarejestrują się w faceboku i klikną „to lubię". A ja nie po to wypisałam się stamtąd, żeby wracać.

Czego szukałam w sztuce w tamtym czasie? Ucieczki. Czułam się jak samotny myśliwy wystawiony na kły i pazury drapieżnika, ale zdający sobie sprawę, że od jego bystrości i zrozumienia natury ścigającego go zwierzęcia zależy jego życie, więc nie przerywając biegu musi szybko kombinować i wysilać cały swój spryt. Chciałam zrozumieć, czym jest perfidia, przemoc sprawowana przez prawo i jego procedury, młyńskie kamienie mielące cudzą indywidualność i jak można przed nimi się uchylić. I oczywiście SF zaspokajało moją potrzebę ukrycia się, wyartykułowania swoich problemów w języku zrozumiałym tylko dla wybranych.

125. Rozdrapany umysł (3)

Również tamten, drugi etap literackich fascynacji minął. Moje życie na emeryturze uporządkowało się nieco, znałam już swoje miejsce (... chociaż wiedzieć nie chcę...), problemy straciły swoją ostrość, a moja wrażliwość zmalała otorbiona czymś w rodzaju strupa i dodatkowymi, świadomie stosowanymi opatrunkami.

Miałam już dużo czasu na czytanie i na kultywowanie swoich zainteresowań, choć o wiele mniej energii. Zmieniły się także moje upodobania. Szybka akcja i ekstremalne wydarzenia już mnie nie pociągały. Czytając książki zachowywałam się czasem jak zagapione dziecko, przystawałam rozmyślając nad nieistotnym fragmentem, popadałam w dygresje, potem w dygresje od dygresji. Nie skupiałam się już na jednej książce, przed nosem musiałam ich mieć przynajmniej dwie plus gazetę. W tym jedną z dziedziny lektur trudniejszych — po skończeniu studiów wróciło zainteresowanie sprawami bardziej skomplikowanymi i chęć dowiedzenia się czegoś nowego. Nie musiałam już być specjalistą od jednej, nazwanej i zdefiniowanej przez kogoś innego dziedziny; mogłam dziś zająć się tym, a jutro tamtym; porzucać i wracać do jakiejś tematyki, łączyć ze sobą sprawy na ogół odległe i z innych parafii. Nie obowiązywała mnie żadna dyscyplina zdobywania wiedzy i sterowanych rozsądkiem poglądów. Nie musiałam dzielić ich na prawicę, lewicę i centrum; postępowe i zachowawcze. Mogłam spróbować znowu być dzieckiem, niedouczonym i nieodpowiedzialnym dyletantem, znakomicie łączącym lęki przed portretem Robespierra i losem zamkniętego w piórniku Plastusia z przekonaniem, że końcówka reklamowego maila, od której odcięło początek jest prognozą wydarzeń, które nastąpią.

Nabyłam wówczas przekonania, że najciekawsze rzeczy dzieją się na pograniczach: nauk, gatunków literackich, rozmaitych teorii; tym lepiej jeśli każda z innej beczki. Zainteresowałam się wówczas bardzo szeroko pojętą ezoteryką postawiwszy sobie warunek, że nie będę się nadmiernie przywiązywała do żadnego z panujących przekonań, opinii i wyjaśnień. I nie zawierzę nikomu tylko z powodu jego entuzjazmu do czegoś.

Polubiłam książki biograficzne odkąd zrozumiałam, że wydarzenia autentyczne mają walor oryginalności i niepowtarzalności, której nie dorównuje żadna fabularna fantazja. W jednej z nich, stanowiącej wydaną własnym czy rodziny sumptem autobiografię kobiety, która przeszła daleką drogę od biednej dziewczyny walczącej z życiowymi przeciwnościami, zdobywającej wykształcenie w późnym wieku i osiągającej tytuł profesorski, przeczytałam niesamowitą historię o laurce namalowanej przez jej męża ze zwiędłym kwiatkiem i wydarzeniach, które rolę tego zwiędłego kwiatka w przyszłości potwierdziły i wyjaśniły. Była to jedna z takich historii tak dziwaczna, że gdyby nie była prawdą, trudno by ją wymyślić. Ale na okładce książki znajdowała się ta laurka, dokładnie taka, jaką autorka opisała i analizowała. Chciałam ją zeskanować, niestety, złośliwość rzeczy martwych – pamiętam miejsce, gdzie książka ta leżała na półce, ale już tam nie leży. W każdym razie autorką była Maria Holstein-Beck, a książka nosiła tytuł „Olśniewające bramy raju”

Zachwyciłam się też książką Odo Bujwida, „Osamotnienie – pamiętniki z lat 1932-1942” (także z przeceny) — polskiego bakteriologa, pioniera higieny i profilaktyki lecznictwa oraz wytwórcy szczepionek, człowieka, którego żal po utracie żony całkowicie odmienił i skłonił do pisania o codzienności, którą nie miał już z kim się podzielić

Prowadziłam rozległą korespondencję z przyjaciółmi, wysłuchiwałam różnych zwierzeń i dobrze mi było, gdy siedziałam w swoim gnieździe martwiąc się zmartwieniami innych ludzi, nie myśląc o własnych.

Dużo pisałam, niestety, do szuflady. Moich powieści nawet nie czytano — tak ściśle przyporządkowano mnie kiedyś do gatunku SF, że wydawnictwa tego rodzaju literatury odmawiały, z powodu odejścia od kanonu gatunku, wydawnictwa „kobiece" uznawały, że za mało w tym kobiecości, a „poważne" wydawnictwa odpowiadały, iż nie czytają książek osób im nieznanych i przez nikogo nie poleconych. Miałam i mam przyjaciół wśród takich osób, ale to wszyscy z kręgu literatury SF, zresztą nie śmiałabym prosić o jakąkolwiek protekcję. Nawet nie bardzo wiem, co myślą o moich tekstach, w końcu SF to bardzo męska i prawicowa dziedzina.

Zresztą nie byłam przekonana, że to, co piszę zasługuje na druk. Ciągle miałam i mam wrażenie, że moim powieściom sporo brakuje, bardzo wyraźnie widzę ich wady, zwłaszcza konstrukcyjne. Sama nie wytrzymuję napięcia, które powinno powstawać między początkiem a końcem powieści (na początku go zabili, a na końcu okazuje się że przeżył). Raczej bliski jest mi motyw wędrówek w stylu Odyseusza, Orfeusza i Ceres w Hadesie , jednak bez ich terytorialności — mnóstwo przeszkód do pokonania, czasem jeden krok przez salę i trzy przeszkody, a koniec dwuznaczny.

Tu nawiążę do jednej z książek, omówionych w cz.2, które same w sobie są w stanie „rozdrapać umysł" zamiast temu zapobiec. Pisząc o szkodliwości dzieł w rodzaju powieści księdza Pasławskiego (którymi, mam nadzieję nikt dzieci dzisiaj już nie karmi) uświadomiłam sobie jak daleko może sięgać wrażenie, które padło na nieodporny dziecięcy umysł.

Przedostatnia moja powieść, nie posiadająca zresztą tytułu i roboczo określana przeze mnie „Sierotka" zaplanowane 3 tomy, zrealizowane 2, w jakiś sposób odzwierciedla konstrukcję z tamtej lektury. Wprawdzie bohaterka nie jest żadną sierotką, ale życie ma trudne i mozolnie przebija się od pomocy domowej do lepszego życia, które, gdy osiąga, staje się „sierotką po PRL". Nie ma nawrócenia ani życia długiego i szczęśliwego; trudności w zmianie swojego statusu społecznego i ich pokonanie nie sprzyjają osiągnięciom w innych, zaniedbanych sferach życia. Tak więc świadomość trzynastolatki zatoczyła jakieś koło i to, co kiedyś „rozdrapało umysł" powróciło w dojrzalszej formie utrwalając to rozdrapanie, choć przenosząc je na wyższy poziom egzystencji.

Widać to zresztą wyraźnie w całej współczesnej, dobrej literaturze. To pęknięcie, rozdrapanie, powiększa się i sięga do sfer, dawniej dla niej niedostępnych. Przykładem może tu być książka „Igrzyska śmierci" tak bardzo obecnie popularna i podobno przeznaczona dla młodzieży. Jest to zresztą bardzo dobra literatura rozrywkowa, która stopniowo z tomu na tom kontynuacji pierwszej części traci swoją rozrywkowość. Gdyby autorka napisała kolejne, zapewne powieść musiałaby się zmierzyć ze swoistym rodzajem Holocaustu.

Na koniec napiszę jeszcze o jednej bardzo dobrej powieści tego rodzaju, „rozdrapującego umysł", bardzo mało znanej, bo w ogóle nie reklamowanej (a właściwie znanej tylko lokalnie), wydanej przez SuperNową, napisanej przez moją przyjaciółkę, Mirosławę Sędzikowską, nauczycielkę w szkole rolniczej z internatem w województwie toruńskim, odległej od miasta jej zamieszkania, gdzie dojeżdża raz w tygodniu. Jest osobą ciężko doświadczoną w czasach Przemian, do dziś wzbraniającą się przed przyjmowaniem odznaczeń i medali, ale kochaną przez uczniów. I odstającą od Kombatantów zagnieżdżonych w polityce i zajętych odcinaniem kuponów. Jej wydawcy płacą za

teksty grosze, a ponieważ książki nikt nie reklamuje, jej sława meandruje wśród tych, którzy znają ją osobiście.

Mirosława Sędzikowska kanwą swoich powieści, w tym i ostatniej, czyni środowisko młodzieży, co prowadzi czytelnika (i wydawnictwa) na manowce uznając że są to powieści dla młodzieży. Oczywiście nie są, w stopniu nawet większym niż „Igrzyska śmierci". Dlatego też krytycy czepiają się braku pedagogicznego zacięcia, utożsamiają nauczycielkę z powieści z autorką, mając jej za złe np. tolerancję dla narkotyków czy swobodny ton rozmowy z uczniami oraz niekonwencjonalny stosunek do lektur.

O książce tej można przeczytać na stronie:

http://www.biblionetka.pl/book.aspx?id=95167

a moja polemiczna recenzja:

http://www.biblionetka.pl/art.aspx?id=74183

Wydawnictwo nadało tej książce tytuł „Eus deus kosmateus", pierwotnie nosiła ona wiele tytułów, autorka nie mogła się zdecydować na żaden, w końcu zaakceptowała podpowiedziany jej „Tacy jak oni, tacy jak my"; tytuł ten jednak zmieniono, przypisując tym samym książkę do lektur z gatunku młodzieżowej fantasy, co wywołało oczywiście spór o jej „pedagogiczność".

I to jest właśnie pewien problem polskiej literatury i innych form sztuki w Polsce – szufladkowanie. Jeśli autora, czy jego dzieło zaszufladkuje się do jakiejś kategorii — nie jest możliwym jej opuszczenie. Promieniuje to na samych autorów (najczęściej Uraników), także i na mnie. Zastanawiam się często, czy tytuł mojego blogu „Babcia ezoteryczna" jest adekwatny do przekazywanych treści. Tak, na początku miałam zamiar pisać o sprawach ezoterycznych, ale to wymknęło się trochę spod kontroli. Sprawy ezoteryczne mają znaczenie w moim życiu, ale nie dominują go. Pojawiają się i znikają, stanowią nitkę wplecioną w tkaninę, niejednorodną i o różnej grubości, zmieniającą kolor, płowiejącą i jaśniejącą w swoim tylko rytmie.

Nawiązując zaś do cytatu z pierwszej części „Rozdrapanego umysłu" muszę dodać, że w świetle tego, co napisałam, wedle mojego przekonania, cytat jest trafieniem kulą obok celu – efektownym BUM, ale nie całkiem i nie do końca prawdziwym.

Ja bym napisała coś takiego: **„Sztuka jest oswajaniem rozdrapanego do krwi umysłu, choćby nawet to oswajanie oznaczało dalsze rozdrapywanie ran"**

126. Teorie naukowe i naukawe (1) Powrót tego, co przepadło

Zdarza mi się przeżywać chwile zadumy na myśl, ile wspaniałych pomysłów przepadło, nie zapisanych w porę, ile tekstów poszło w zapomnienie, gdy zabrakło energii, żeby je dokończyć. Więcej tego uleciało w kosmos niż gotowych, z którymi wiąże się nadzieje. Czasami, w złych chwilach myśli się, że słowa rozwiewają się jak dym i gdy, słowami piosenki Maryli Rodowicz „przyjdzie komuś z nas dobić do ciemnego portu", nic po nich nie zostanie; nie zostanie także nic po nas, jakby konsystencja, waga i objętość naszych zwłok mogła pomieścić pomysły zarówno zrealizowane jak i nie.

To prawda, niedokończone teksty na ogół przepadają. Przepada też wiele dokończonych tekstów. Rękopisami Norwida palono w piecu, w przytułku, w którym zmarł – i możemy się tylko pocieszyć, że przynajmniej ktoś się nimi ogrzał. Przepadają wspaniałe wynalazki, genialne pomysły szaleńców lub ludzi uważanych za takowych.

Wewnętrzna niezgoda na takie sytuacje może stać się podstawą rozmaitych spekulacji. Nawiasem mówiąc, już bardzo dawno przeczytałam gdzieś o takiej teorii, która mówi, że wszelkie dzieła literackie, filozoficzne, odkrycia naukowe, ważne aforyzmy itp. istnieją już w jakiejś aurze otaczającej Ziemię i pojawiają się w szerokim odbiorze „gdy czas ku temu dojrzeje". Teoria ta miała tłumaczyć dlaczego wiele wspaniałych dzieł nie znalazło uznania w swoim czasie, a dziesiąte popłuczyny po nich za sprawą cudzego plagiatu stały się bestsellerami.

Jednak tego rodzaju pomysły kiełkują i usychają, pojawiają się na nowo już lepiej przemyślane i uzasadnione, a prawdziwe ich autorstwo nie jest takie pewne. W końcu ktoś je zbierze, uzasadni, poświęci ich szlifowaniu wiele czasu, może udowodni, a może uczynią to za niego inni. Może wskaże im drogę w którym kierunku szukać dowodów, a może dowody znajdą się przypadkiem, przy innej okazji.

Teoria pól morficznych Sheldrake`a wychodzi naprzeciw naszym lękom i obawom pozwalając wierzyć, że nawet niedokończony i niezrealizowany pomysł ma swoje miejsce w nieokreślonej przestrzeni czasu i powróci na widownię, gdy zaistnieją po temu warunki. Zapewne już nie jako nasz pomysł, tylko czyjś inny, ale nie przepadnie. Co jednak z tekstem? Czy nie napisany tekst, albo napisany i wycięty awarią komputera pojawi się na nowo? Wiele uzasadnień nie pojawia się w umyśle jako gotowy scenariusz kolejnych kroków opisu, a właśnie w miarę pisania krystalizuje się i nabiera swojej mocy.

Podam tu prosty przykład: oto opis pewnego mojego poranka. „Wychodzę z domu, idę na pobliski bazarek celem kupienia zieleniny: cebuli dymki, zielonej pietruszki i koperku. Dokonuję wyboru, płacę i wracam do domu."

Co naprawdę się dzieje w ciągu tego czasu? To już zupełnie inny opis.

„Tego ranka silnie czuję swoją odrębność od otaczającego świata, wręcz obcość, jednocześnie muszę jednak przyznać, że nie odbiegam zbytnio od innych osiedlowych emerytek. Jak one oglądam na bazarku szczypior od cebuli, balansując miedzy trzema ważnymi wartościami: wielkościo-ilością cebuli w pęczku, jakością szczypioru „przynależnego" pęczkowi, ceną tego kompletu oraz zależności miedzy tymi wartościami, a świeżością zestawu. Jak ktoś, kto nie zdawał sobie sprawy, że mówi prozą, one w

identyczny sposób jak ja dokonują swoich wyborów bazarowych produktów. Dlaczego więc nie czuję z nimi jedności, a przynajmniej poczucia wspólnoty? Zakupiony pęczek wystaje z mojej torby, a piękne i sztywne szczypiory załamują się pod wpływem tłoku w autobusie. Przypominam sobie inny dzień, dawno temu, gdy z wystającym z torby potężnym pękiem zieleniny biegłam...” Stop. To wspomnienie nie ma tu nic do rzeczy, choć było bardzo ważnym elementem opisu tego poranka na bazarze i przykładem nawiązania zerwanych więzi między teraźniejszością i przeszłością. I w ogóle było ważne. Ale nie zostało zapisane.

Czy wiara w istnienie pól morficznych pomoże mi, gdy ważny fragment tekstu przepadnie i nie oda się go już odtworzyć ponieważ był przebłyskiem lub mówił o przebłysku? To był jednak MÓJ przebłysk, a wróci CUDZY, więc nie taki sam, tylko być może, zbliżony, podobny. Mój miał jeszcze otoczkę, która nie znalazła odbicia w tekście i trudno wierzyć, że gdzieś tam, w kronice Akaszy zostanie zapisana i zapamiętana.

Ale jest jeszcze inny problem z tym związany. Listy po latach.

Czytałam w „Wyborczej” eseje o Mickiewiczu. Tadeusz Konwicki opisuje wileńskie aspekty życiorysu Mickiewicza i swojego. Pisząc o Maryli Wereszczakównej, stwierdza, że Maryla Puttkamerowa po wielu latach, już jako osoba mocno przez życie doświadczona, napisała list do Wieszcza, dawnej swojej miłości. I Wieszcz nie odpisał. Autor pisze, że on też po wielu latach otrzymał nieoczekiwanie list od swojej Maryli. I też nie odpisał. Wyjaśnia to w ten sposób (odczuwając prawdopodobnie szczątkowe wyrzuty sumienia): „A czyż teraz miałbym odwagę wdawać się w korespondencję pełną smętnych zwierzeń, narzekań na sytuację życiową, na choroby, na kłopoty z dziećmi, na brak gotówki i grożące jakieś procesy sądowe. Nie, to by zrujnowało cały wszechświat mojej skromnej wyobraźni literackiej. Odczarowałoby całą zaczarowaną przeszłość, z której żyję w tym dzisiejszym, zwariowanym świecie.”

Przyznam, że mierzi mnie to, nie tyle nie odpisanie na list, ale motywacja. Czy literatura to klatka, w której musimy się zamknąć, żeby celebrować swój literacki świat? W końcu faceci zawdzięczają swoim Marylom pewną część twórczości. Wykorzystali je, zapewne nie pytając o zdanie, a teraz odmawiają zapłaty. Wredne.

A nawet jeśli te więzy z Marylami nie były zbyt silne i nie przetrwały lat, to zdawkowe pozdrowienia pozwoliłyby zapewne ocalić tym kobietom odrobinę ich dumy delikatnie dając do zrozumienia, że kontynuowanie kontaktów nie jest zbyt mile widziane.

Jeśliby jednak te nienapisane listy miały się odtworzyć jako **wydarzenie** podobne do napisanego listu, oznaczałoby, że my, jako ludzie i świat, jako otoczenie, niczego się nie tylko że nie nauczyliśmy/ły, ale że się nigdy nie nauczą. Będą wirować w wiecznym kręgu i żaden tekst czy żaden wynalazek nie odmieni LOSU.

Tak czy inaczej, coś tu jest nie tak. Szkoda, bo takie to było pociągające — a zwłaszcza ta myśl, że „nic w przyrodzie nie ginie”.

127. Teorie naukowe i naukawe (2) Wyjdę z siebie i stanę obok.

Wielokrotnie objaśniano zjawisko wychodzenia z ciała. Oczywiście to tylko teorie. Trudno mi uwierzyć, że można to dokładnie udowodnić, a nawet wyobrazić sobie, jak się do tego zabrać. Ale oto pierwsze wyjaśnienie z brzegu:

No więc z grubsza brzmi to tak. Jakieś płaty mózgowe korespondują z płatami mózgowymi innych osób, znajdujących się w pobliżu. Jakby trzymały się za ręce. Chociaż to zła analogia. To jest jakby wspólne oko. W momencie, kiedy jeden z mózgów się wyłącza – np. w razie śmierci klinicznej — pozostaje to wspólne oko w drugim mózgu i dlatego mamy zjawisko patrzenia na samego siebie. Ta teoria zadawala ateistów, a deistom daje do myślenia. Bo to oznacza, że jakaś cząstka świadomości może istnieć niezależnie od własnego ciała. Do tej pory nauka stanowczo temu zaprzeczała. Tym razem też mówi stanowczo: ale to działa nie cząstka leżącego w śmierci klinicznej, lecz tego, kto na niego patrzy. Ale to wcale nie upraszcza sprawy, tylko ją komplikuje. Naukowcy mówią: to nie nasza świadomość postrzega leżące ciało, tyko świadomość świadka. A kiedy delikwent powraca do świata żywych, to pamięta to, co zapamiętał świadek, ponieważ postrzegał świat jego oczyma. Tak więc postrzegał, jego oczyma, kiedy sam był w śmierci klinicznej? Czy tak: kiedy leżał martwy, niczego nie postrzegał, za to gdy się zbudził, świadomość świadka przekazała mu widziany obraz? Według teorii, która jest trochę skomplikowana, wynika, że przekaz musi być równoczesny, a nie opóźniony. A dalej wrócić musimy do cząstki świadomości, przebywającej poza ciałem. Kiedy ateiści się zastanowią, zmartwią się. Jeśli cząstka świadomości może przebywać poza ciałem, to może też, — kto wie, może też istnieć jakaś cząstka, istniejąca zanim ciało się pojawiło. To ona ma projekt, wie dokładnie, w jakiej chwili chce się urodzić. W tym momencie życie już się projektuje.

Astrologicznie rzecz biorąc noworodek „wybiera sobie" moment urodzenia, a w ślad za tym i określony horoskop (wraz z nim możliwości, trudności, a może i wydarzenia) — chyba że wybiera to za niego ktoś inny. Tak czy siak żadne cesarskie cięcia czy przyspieszenia porodu nie mają wpływu na godzinę urodzenia, bo wszystko to zostało już wzięte pod uwagę, zatwierdzone i zrealizowane według planu.

Oczywiście teoria ma mnóstwo dziur. Na przykład jedna z nich:

Ale co, jeśli nie ma obserwatora? A wyjdzie z ciała sam delikwent, a potem wróci i nam o tym opowie. Skąd ten drugi mózg i drugie oko? Nie musi przecież kłamać ani zmyślać (choć zapewne może).

Tak, nie bardzo chce mi się wierzyć tej teorii oglądania cudzymi oczami zdarzeń po śmierci klinicznej.

Inny problem. Na zdrowy rozsądek: Jak wytłumaczyć to, że wiele osób ogląda wydarzenia z perspektywy pod sufitem (tzw. lewy górny róg). Owszem sugeruje to związek z prawą półkulą mózgu, ale żadna pielęgniarka w pobliżu stołu operacyjnego, na którym leży delikwent w stanie śmierci klinicznej, nie widzi sali z tej perspektywy. Po drugie: i u roślin stwierdza się połączenie międzyosobnicze w chwilach stresu — słynne doświadczenie gdy roślinę w jednym pokoju przecinano po kawałku, a druga, w sąsiednim, emanowała biopole o silnym natężeniu, dające się zmierzyć za pomocą aparatury. Do współodczuwania nie potrzeba więc ani oglądania, ani mózgu. Tu jednak nie ma współodczuwania, tylko obserwacja. Dlaczego miała by się odbywać cudzymi oczami i za pomocą

cudzego mózgu skoro istnieje własny, jeszcze nie zepsuty? Co innego gdyby psujący się nieboszczyk nie mógł już korzystać ze swojej aparatury.

Poza tym są inne prawidłowości. Z osobistych opowiadań mojego krewnego wiem, że „jawił" mu się ni to w śnie, ni na jawie przed zaśnięciem zmarły właśnie inny krewny i że wyglądał jak pomniejszona główka w lewym górnym rogu pokoju. Zresztą, zapewne ufając, że miejsce to sprzyja kontaktom ze zmarłymi, pod sufitem w rogu ukosem umieścił obraz, portret swojej zmarłej żony. Takie zresztą usytuowanie portretów przodków — po lewej ręce, sugeruje J.W. Suliga na swoich wykładach. Stajemy twarzą do wschodu (może być wschód wyimaginowany, nie musi być prawdziwy) po prawej stronie mamy nasz los, po lewej miejsce dla zmarłych przodków. Zamiana miejsc może zaszkodzić naszej karierze.

Oczywiście mój kuzyn nazajutrz skontaktował się z rodziną i dowiedział się o śmierci w nocy tego krewnego, przy czym powód pojawienia się we śnie lub w wizji, był całkiem prozaiczny i de facto oznaczał prośbę zmarłego o interwencję w sprawie pogrzebu, który miał odbyć się nie w tym obrządku religijnym jaki uznawał zmarły, tylko w obrządku jego żony.

Trafiłam także w Internecie na wykłady z psychologii mózgu i tam wyczytałam, że we śnie istnieje czasem obserwator — w jego kreacji można odnaleźć cechy postrzegania właściwe lewej półkuli. Jest on komentatorem zdarzeń, sugeruje rozwiązania, może być utożsamiany z zmarłym przodkiem, anonimowym autorytetem itp. O tym pisze też Jarosław Bzoma w swoim artykule „Sztuka śnienia".

To wszystko wskazuje raczej na pracę własnego mózgu, a nie kontakt z cudzym. Ale co ja tam wiem?

Niemniej ta „współczulność" też jest zagadkowa. Zwykle, kiedy naukowcy usiłują coś wytłumaczyć, nie odwołując się do takich pojęć, jak dusza, nadzwyczajne atrybuty przypisują mózgowi. Na przykład, opisywano wydarzenia gdy małe bliźniaczki rozpoznawały zabawki swoich zmarłych przed ich narodzeniem sióstr, wiedziały, jak te siostry zginęły, rozpoznawały ulice, których wcześniej nie widziały, a siostry tak itd. Wyjaśnienie naukowców jest następujące: kiedy dziewczynki były w łonie matki, wszystko słyszały i stąd się wszystkiego dowiedziały. Tak wspaniale ich mózg pracował. Równie prawdopodobna wydaje mi się reinkarnacja. Też jej nie można sprawdzić, ale przynajmniej wiadomo, że nie można. Natomiast co stoi na przeszkodzie, aby wybrać grupę ciężarnych kobiet, przemawiać do ich brzuchów, a po kilku latach sprawdzić, co dzieci z tych przemówień zapamiętały. Ba! Nie trzeba kobiet, jeśli czyjeś sumienie takim badaniom się sprzeciwia. Prowadzono przecież badania na krowach, w czasie których udowodniono, że puszczanie im muzyki symfonicznej zwiększa mleczność. Można więc wybrać ciężarne krowy, serwować im uspokajające teksty, może i reklamę jakiejś paszy (tu wyzwanie dla naszych producentów reklam — niech opracują coś, co będzie zrozumiałe dla bydła, może wizualnie, może z wykorzystaniem rytmów przyrody — w każdym razie niech zbadają jak to się ma do ich porodów i zdrowia cieląt oraz zainteresowania określonym rodzajem karmy.

Na ludziach nikt nie robi takich doświadczeń, bo rezultaty mogły podważyć inny fakt uważany za pewnik — pełne człowieczeństwo życia poczętego. Wyniki niektórych doświadczeń można przewidzieć — dziecko w łonie matki odczuwa to, co matka: strach, stres, hałas, nagłe światło (gdy matka jest rozebrana), ale nie widzi przez matczyne ciało, nie rozumuje i nie wyciąga wniosków. Cały szereg ludowych przesądów związanych z pojawieniem się znamion na skórze dziecka (na przykład w razie oglądania pożaru) nie zostało wprawdzie zbadane, ale cóż stoi na przeszkodzie? Ja pamiętam z czasów, gdy urodziłam bliźnięta w 1966 roku, że mnóstwo rzeczy usiłowano mi w szpitalu wyjaśnić

jako babskie przesądy: noszenie dziecka na ręku i przytulanie go, dawania mu piersi na żądanie , spanie z dzieckiem w jednym łóżku (jakie to niehigieniczne, tfu!), przemawianie do małego głupka (jak określali to lekarze), „przepalony" od stresu czy gorączki pokarm, zbędność karmienia w pierwszej dobie wydzielającą się z piersi siarą (taka nieestetyczna, żółta i w ogóle, wygląda jak ropa) i wiele innych rzeczy, co do których dziś poglądy są diametralnie różne. Za to uważano za konieczne krępowanie niemowlętom rączek i nóżek za pomocą powijaków. Wszystkie matki uczono w szpitalu sposobu pakowania dziecka w tobołek za pomocą specjalnej pieluchy flanelowej i kilku agrafek.

W każdym razie rzeczy traktowanych ideologicznie lepiej nie badać i nie dostrzegać.

Są też zjawiska pokrewne, jak wychodzenie z ciała w stresie. Znam to ze swoich odczuć. Kiedy w wypadku drogowym samochód, którym jechałam po zderzeniu z innym i ze słupem, zarył się w mur budynku, nie czułam w ogóle uderzenia. Leciutko i zwiewnie uniosłam się w górę, po czym ocknęłam się zaklinowana wśród żelastwa przerażona i rozdygotana. Tak więc można nie przeżyć śmierci klinicznej ale wyjść na chwilę ze swojego ciała i może, nie stanąć wprawdzie obok, ale zatrzymać się w pół drogi... Dokąd?

Żeby ktoś chciał to rzetelnie zbadać!

128. Teorie naukowe i naukawe (3) Jak nie zarazić się pożądaniem?

Podobno pewien uczony, Patrick House z Uniwersytetu Stanforda w Palo Alto w Kalifornii zajmował się silnymi uczuciami zbliżonymi do miłości. Jego badania udowodniły, że możliwa jest zamiana silnego strachu i odrazy w pożądanie. Badań swych nie dokonywał na ludziach, a na szczurach i kotach. Doprowadził on do tego, że w pewnych określonych warunkach szczur może zalecać się do kota.

Nie, nie, żadna chemia, żadne feromony ani nic podobnego. Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest pewien pasożyt *Toxoplasma gondii.* Badania House`a pokazały, że zarażane nim gryzonie przestawały panicznie bać się zapachu kota a nawet reagowały na niego wyraźną ochotą. Skąd ta zmiana? Badania wykazały, że tajemnica najprawdopodobniej tkwi w kortykosteronie — hormonie wydzielanym (również i u ludzi) w odpowiedzi na stres i strach. Zarażone szczury wydzielały znacznie mniej kortykosteronu niż normalnie. Ich mózgowe ośrodki odpowiedzialne za uczucie strachu zaczynały pracować na zwolnionych obrotach, za to o wiele bardziej aktywne stawały się ośrodki związane z pożądaniem.

Na pierwszy rzut oka trudno to racjonalnie wyjaśnić. Badacze sądzą że korzenie tego zjawiska tkwią w zawiłych ścieżkach ewolucji gatunków. *Toxoplasma gondii jak* każdy pasożyt, może mieć kilkoro nosicieli. Jednak tylko w organizmie kota jest wstanie się dalej rozmnażać, Dlatego sprawia, że szczur przestaje się bać swojego największego prześladowcy i gdy wyczuje jego obecność, zamiast brać nogi za pas, zaczyna się do niego zalecać. Skutek jest łatwy do przewidzenia — gryzoń kończy jako smaczna przekąska, a pasożyt trafia do środowiska, gdzie może spokojnie przystąpić do przedłużania swojego rodu. A co z ludźmi?

Wielu z nas też jest nosicielami *toxoplasma gondii* (zarażamy się toksoplazmozą głównie jedząc niemyte warzywa i niedogotowane mięso oraz nieuważnie opróżniając kocie kuwety). Na razie nie wiadomo, czy ten pasożyt manipuluje również ludzkimi uczuciami —mówił House. Pokazały się już

jednak pewne prace, które łączą toksoplazmozę z podejmowaniem przez ludzi większego niż zwykle ryzyka. Najważniejsze jednak jest to, że dowiedliśmy, iż strach i miłość nie są od siebie tak bardzo odlegle, jak mogłoby się to wydawać — podsumowuje naukowiec. Inni naukowcy z tegoż Uniwersytetu Stanforda i Uniwersytetu Kalifornijskiego — Kevin Lafferty i Robert Sapolsky z toksoplazmozą wiążą wzrost męskich zachowań dominujących. Podobno mężczyźni, w których mózgach zasiedliły się te pasożyty starają się wymusić na otoczeniu posłuszeństwo i bardziej przywiązują wagę do tradycji.

Za mało wiem, żeby wypowiadać się na temat czy jest to teoria naukowa czy naukawa. Jednakowoż zdaję sobie sprawę, że informacje o uczonych z USA, którzy coś odkrywają lub udowadniają, podobne są do „odkryć uczonych radzieckich", którymi faszerowano mój umysł przez lata pięćdziesiąte. Większość z tych odkryć zatonęła w mroku niepamięci, ale niektóre zostały i stały się powszechnie znane – choć niekoniecznie udowadniały to, co uczony chciał udowodnić. Na przykład pewien ekonomista radziecki (zapomniałam nazwiska, ale uczyłam się o nim na studiach) był wynalazcą macierzy mającej obrazować przepływy środków w gospodarce socjalistycznej. W swoim kraju nie osiągnął powodzenia, bo jego kalkulacji nie potwierdziła praktyka, natomiast karierę macierz ta zrobiła w USA gdzie wykorzystano ją do analizy transportów.

Tak więc i historia o miłości czy pożądaniu powstałym pod wpływem połknięcia pasożyta może zawierać ziarno prawdy. Może na przykład okazać się, że osoby prawiące o wszechogarniającej miłości do świata, Boga i samego siebie powinny sprawdzić zawartość pasożytów w swoim organizmie, pozbyć się ich nadmiaru i wówczas ponownie przeanalizować swoje poglądy. Podobnie jak ci, którzy upierają się przy tradycyjnym podziale ról i podporządkowaniu kobiety mężczyźnie. Możliwe też, że większa higiena w życiu codziennym powoduje rozsądne i umiarkowane poglądy oraz akceptację odmienności i tzw. „polityczną poprawność".

Podobny przykład dotyczy działania pasożyta *motyliczki wątrobowej*. Zaatakowane przez motyliczkę mrówki wprawdzie zachowują się tak samo jak inne, ale z pewnym wyjątkiem. W nocy zamiast schować się do mrowiska wspinają się na najwyższe źdźbło trawy i tam wczesnym rankiem zostają zjedzone przez pasące się owce. Gdyby pasożyt posiadał i posługiwał się swoim umysłem, nie mógłby tego lepiej skalkulować. Może on rozmnażać się jedynie w organizmie owcy, więc w taki skomplikowany sposób powoduje, że owce zjadają mrówki. To, że niektóre mrówki zamiast spokojnie spać wraz z innymi nabierają romantycznych zwyczajów właściwych wilkom wyjącym do księżyca lub zakochanym snującym się po polach i lasach jest ich zgubą perfidnie zaprojektowaną przez bezmózgiego pasożyta.